

**DAVID WEBER**

**HONOR**  
**HARRINGTON**

**MISJA HONOR**

*Mission of Honor*

Przełożył  
Jarosław Kotarski



Dla Megan, Morgan i Michaela Paula,  
centrów wszechświata mojego i Sharon.

Kiedy będziecie to czytać,  
Pamiętajcie, że to dla Was.

Podobnie jak cała reszta mojego życia.

Mama i ja kochamy Was.

## **GRUDZIEŃ 1921 ROKU PO DIASPORZE**

„Żeby zrozumieć politykę zagraniczną Ligi Solarnej, musielibyśmy być obywatelami Ligi... a nic nie jest tego warte!”

Królowa Elżbieta III

## ROZDZIAŁ I

Gdyby ktoś, na przykład wydawca słowników, potrzebował obrazka ilustrującego pojęcie „siedział jak sparaliżowany”, Innokentij Arsenowicz Kołokolcow w tym momencie nadawałby się wręcz idealnie. Prawdę mówiąc, nie wiadomo było nawet, czy wgapiony w ekran komputera stały podsekretarz spraw zagranicznych Ligi Solarnej w ogóle oddycha. Częściowo było to wynikiem szoku, ale głównie niedowierzania, choć to określenie było zdecydowanie zbyt słabe dla oddania tego, co czuł.

Siedział tak ponad 20 sekund, co zaniepokojona Astrid Wang sprawdziła na chronometrze. Potem ze świstem wypuścił powietrze, otrząsnął się i odetchnął głęboko.

I spojrzał na nią.

- To potwierdzone? - spytał.

- To oryginalna wiadomość przysłana z Manticore - zapewniła go. - Pan minister skierował chipa wraz z formalną notą prosto do nas, gdy tylko się z nimi zapoznał.

- Nie o to mi chodziło. Pytałem, czy mamy jakieś niezależne potwierdzenie.

Mimo ponaddwudziestoletniego stażu w biurokracji solarnej i dobrej znajomości „przykazań biurwy” Wang wytrzeszczyła oczy. A jedenaste przykazanie głosiło: „Nigdy nie zawstydzaj szefa słowem, czynem czy miną” i stanowiło podstawę zatrudnienia w zawodzie.

- Panie podsekretarzu, to się wydarzyło w systemie New Tuscany - powiedziała ostrożnie. - A do nas nie dotarło jeszcze potwierdzenie pierwszego incydentu, który według Królestwa Manticore miał tam miejsce, więc...

Kołokolcow skrzywił się i przerwał jej gestem, zły na samego siebie. Oczywiście, że potwierdzenie nie dotarło, bo na to potrzebny był jeszcze z miesiąc standardowy, i to zakładając, że Joseph Byng zachował się zgodnie z procedurami. Naturalnie chodziło o potwierdzenie pierwszego incydentu. Powód był prosty: Królestwo Manticore znajdowało się w połowie najkrótszej trasy prowadzącej z Gromady Talbott do Ligi Solarnej i na Ziemię informacja z Manticore mogła dotrzeć w ciągu trzech tygodni standardowych, podczas gdy raport wysłany kurierem z New Tuscany bez wykorzystania tej cholernej Manticore Wormhole Junction osiągał cel po dwóch miesiącach. A gdyby tak jak nakazywały przepisy, został wysłany do regionalnego dowództwa Biura Bezpieczeństwa Granicznego mieszczącego się w systemie Meyers i stamtąd jednostką kurierską na Ziemię, ten okres

wydłużyłby się do ponad 11 tygodni standardowych.

A zakładając, że informacje z Królestwa Manticore nie były wymysłem, Byng musiał wysłać swój raport do Meyers. Gdyby bowiem wysłał go myślący choćby w podstawowym zakresie admirał, ignorując przepisy, najkrótszą drogą przez Mese, Kołokolcow dostałby go osiem dni temu.

Poczuł nagle dziwną a nachodzącą go niezwykle rzadko chęć, by wyrwać ekran z biurka i cisnąć nim o ścianę, klnąc przy tym pełnym głosem. Wiedział jednakże, że poza chwilową satysfakcją, jaką dałoby mu patrzeć na rozlatujące się szczątki urzędnika, zachowanie takie przyniosłoby mu o wiele więcej strat niż korzyści. Mimo iż wyglądał na czterdziestolatka, liczył sobie 85 wiosen standardowych, z których 70 przeżył jako biurokrata wspinający się po szczeblach kariery, aż do obecnego stanowiska. Nauczył się w tym czasie wszystkich „przykazań biurwy”. A dwunaste przykazanie brzmiało: „Nigdy nie trać nad sobą panowania przy podwładnych”.

Dlatego też zdołał się nawet uśmiechnąć, przyznając:

- To było głupie pytanie, Astrid. Chyba nie jestem aż tak odporny na niespodzianki, jak sądziłem.

- Chyba nie. - Też się uśmiechnęła, ale widać było, że nadal jest zaskoczona zarówno samą wiadomością, jak i jego reakcją. - Myślę, że nikt nie okazałby się odporny w tych warunkach.

- Może i nie, ale to będzie nas drogo kosztowało - ocenił zupełnie niepotrzebnie.

Najwyraźniej jeszcze nie odzyskał równowagi psychicznej.

- Złap Wodosławską, Abruzziego, MacArtneya, Quartermain i Rajampeta - polecił. - Chcę ich widzieć za godzinę w sali konferencyjnej numer jeden.

- Admirał Rajampet jest na spotkaniu z przedstawicielami prokuratury i...

- Nie obchodzi mnie, z kim i gdzie się spotyka - przerwał jej Kołokolcow. - Powiedz mi, gdzie ma się zjawić i o której.

- Dobrze, panie podsekretarzu. Mam mu podać powód tego pośpiechu?

- Nie. - Kołokolcow uśmiechnął się. - Nie chcę usłyszeć od niego żadnego przygotowanego dupochronu. Chcę zobaczyć jego naturalną reakcję. Ta sprawa jest dla nas zbyt ważna.

\* \* \*

- No więc o co chodzi? - spytał ostro admirał floty Rajampet Kaushal Rajani, przekraczając próg sali konferencyjnej.

Przybył ostatni, co z pewnym trudem, ale udało się Kołokolcowowi zorganizować.

Rajampet był niski, żylasty, prawie siwy i miał pooraną zmarszczkami twarz. Mimo iż liczył sobie 123 lata standardowe, posiadał w pełni sprawny umysł i niezłą kondycję fizyczną, co stanowiło spore osiągnięcie, bo poddano go prolongowi pierwszej generacji. Miał zresztą niesamowite szczęście, bo gdyby był o cztery miesiące starszy, nie załapałby się na kurację, gdy stała się dostępna.

Od 19 roku życia był oficerem Marynarki Ligi, ale od ponad połowy standardowego wieku nie dowodził żadnym związkami taktycznym. Szczycił się tym, że nie trawi durniów, z których według niego w przytłaczającej większości składa się niestety rasa ludzka. Była to w sumie jedyna sprawa, w której Kołokolcow zgadzał się z nim w zupełności. Rajampet był też ważną osobą w biurokracji Ligi, choć nie osiągnął najwyższego szczebla. Znał wszystkie sekrety floty i wszystkich jej wyższych dowódców, wiedział też, kto i ile zarobił dzięki kontraktom dla floty. W końcu to on kontrolował wszystkie kurki, którymi pieniądze płynęły do Marynarki Ligi.

- Wygląda na to, że mamy pewien problem - odpowiedział mu Kołokolcow, wskazując wolny fotel przy stole.

- Lepiej, żeby nie był mały - burknął obwieszony medalami Rajampet.

- Proszę? - spytał uprzejmie Kołokolcow, jakby nie dosłyszał.

- Musiałem przerwać spotkanie z przedstawicielami prokuratury generalnej, bo dopiero teraz porządkujemy ten cały bajzel z Technodyne. A obiecałem Agacie i Omosupe, że do końca tygodnia przedstawię im rekomendację w sprawie restrukturyzacji. Zorganizowanie tego spotkania trwało wieki, trudno więc, żebym był zachwycony, że w połowie zostałem z niego wyciągnięty.

- Rozumiem twoje podejście, niestety problem pojawił się nagle, a trzeba się nim zająć natychmiast - poinformował go chłodno Kołokolcow. - I jeśli się nie mylę, ma on bliski związek z tym, przez co Technodyne ma kłopoty.

- Co?! - Rajampet prawie podskoczył w fotelu. - O czym ty mówisz?

Mimo irytacji Kołokolcow prawie rozumiał zdezorientowanie gościa. Reperkusje bitwy o Monicę dopiero przebijały się przez łańcuch dowodzenia floty, a cyrk publicznych procesów właśnie się rozkręcał, ale sama walka miała miejsce ponad dziesięć standardowych miesięcy temu, a co ważniejsze, Marynarka Ligi nie brała w niej udziału. Natomiast dla Technodyne Industries konsekwencje były bardzo poważne, a od ponad czterech wieków była ona jednym z głównych dostawców floty. Dlatego Rajampet jako dowódca tejże floty miał jak najlogiczniejsze powody, by próbować ratować, co się tylko dało, po katastrofie, jaką było

śledztwo i pierwsze procesy. I nie ulegało wątpliwości, że na tym właśnie się skupił w ciągu ostatnich kilkunastu tygodni.

- Mówię o Gromadzie Talbott - uściślił cierpliwie Kołokolcow. - A dokładniej o incydencie między twoim pupilkiem Byngiem a Królewską Marynarką.

- A co, przyszło potwierdzenie? - spytał nagle uprzejmym i ostrożnym tonem Rajampet: najwyraźniej instynkt samozachowawczy starego biurokraty zadziałał.

- Wygląda na to, że Królestwo rzeczywiście wkurzyło się tak, jak sugerowała to jego nota - wyjaśnił Kołokolcow, ignorując pytanie.

- I?

- I nie żartowali w sprawie wysłania admirał Gold Peak do New Tuscany w celu zbadania sprawy.

- Tak? - spytała Wodosławska zamiast Rajampeta.

Stała podsekretarz skarbu miała 60 lat standardowych i należała do poddanych prologowi trzeciej generacji. Miała ciemnorude włosy i atrakcyjną figurę, a obecne stanowisko zawdzięczała kompromisowi zawartemu przez resztę obecnych stosunkowo niedawno, bo ledwie ponad 10 lat standardowych temu. Wiedziała, że każdy z nich wolałby widzieć na jej miejscu kogoś innego, ale nie doszli do porozumienia, wybrali więc ją. Poświęciła te lata na umacnianie swojej pozycji i robiła to tak skutecznie, że nie była już młodszym członkiem na okresie próbnym, lecz jedną z pięciu osób rządzących Ligą jako faktyczni szefowie ministerstw handlu, informacji, skarbu, spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych.

Jako jedyna z nich znajdowała się poza Systemem Słonecznym, gdy na Ziemię dotarła pierwsza nota Królestwa Manticore, toteż nie miała wpływu na reakcję na nią, co mogła w każdej chwili wykorzystać.

I sądząc po minie, miała taki zamiar, jeśli uzna to za korzystne.

- Ponad miesiąc standardowy temu, dokładnie 17 listopada, admirał Gold Peak przybyła do systemu New Tuscany - poinformował zebranych Kołokolcow. - I zastała tam admirała Bynga.

- O kurwa! - jęknął stały podsekretarz spraw wewnętrznych Nathan MacArtney. - Tylko nie mów, że Byng ją też ostrzelał bez powodu!

- Jeśli tak, to wyłącznie dlatego, że został sprowokowany! - zaperzył się Rajampet.

- Nie podniecaj się, Rajani - prychnął stały podsekretarz edukacji i informacji Malachai Abruzzi. - Ja bym się tak nie ciskał na twoim miejscu, bo z pierwszego materiału, jaki nam przysłało Królestwo Manticore, jednoznacznie wynika, że żaden z ich okrętów nie

zrobił niczego, co uzasadniałoby otwarcie ognia. Byng po prostu zabił kilkuset ludzi i zniszczył te okręty bez powodu, nierozsądnie byłoby więc zakładać, że nie zrobił tego powtórnie, tylko tym razem na większą skalę.

- Chciałem ci tylko przypomnieć, że nikogo z nas tam nie było, a potwierdzenia wydarzeń dotąd nie mamy - Rajampet wręcz się rozindyczył. - To, co dostaliśmy, może być sfalszowane w całości lub częściowo, co wydaje się tym prawdopodobniejsze, że według moich analityków dane są zadziwiającej wręcz jakości.

Abruzzi popatrzył na niego z politowaniem i pokiwał głową, choć widać było, że z trudem powstrzymuje się od ostrego komentarza.

Większość członków Ligi Solarnej miała własne systemy edukacyjne, a to oznaczało, że Ministerstwo Edukacji i Informatyki zajmowało się od wieków tylko tym drugim. Abruzzi był szefem propagandy Ligi, toteż do jego obowiązków należało znalezienie jakiegoś wyjaśnienia postępkowi Bynga. Pracował nad tym od chwili otrzymania noty z Królestwa, ale bez specjalnych sukcesów, czemu trudno było się dziwić, gdyż miał do dyspozycji fakty o zdecydowanie jednoznacznej wymowie. Gdy dowodzący 17 krążownikami liniowymi otwiera ogień do trzech niszczycieli, nie mających nawet włączonych napędów, i niszczy je pierwszą salwą, trudno jest przekonać kogokolwiek, że postąpił słusznie. Nawet obywatele Ligi Solarnej. Co się zaś tyczyło danych, to nikt przy zdrowych zmysłach nie podejrzewał, że mogły zostać sfalszowane, bo wiadomo było, że na Ziemię dotrą w końcu zapisy sensorów okrętów solarnych. Rajampet mógł sobie bredzić publicznie, co zechce, ale powinien mieć dość rozsądku i przyzwoitości, by przynajmniej w tym gronie nie opowiadać bzdur i nie zaciemniać sprawy propagandą.

- Nie będę tego komentował, bo nie warto - ocenił Abruzzi. - Powiem ci tylko tyle: powinieneś się cieszyć, że Królestwo nie poinformowało prasy... jeszcze. Bo mimo że od paru tygodni próbujemy, w żaden sposób nie udaje nam się zrobić z Królewskiej Marynarki napastników i wybielić Bynga. A to znaczy, że gdy wieść dotrze do mediów, znajdziemy się w bardzo, ale to bardzo trudnym położeniu. I najprawdopodobniej będziemy zmuszeni przeprosić i wypłacić odszkodowanie za postępek tego kretyna.

- Nie, do kurwy nędzy! - warknął Rajampet na tyle rozwścieczony, że zapomniał o ostrożności. - Nie możemy pozwolić na taki precedens! Jeśli każda zasrana flota z zadupia uzna, że Marynarka Ligi nie jest nieomylna, to na Pograniczu i Obrzeżu dopiero zaczną się problemy! A jeśli Byng został zmuszony do walki ponownie, musimy jeszcze ostrożniej podchodzić do całej sytuacji, bo to tworzy jeszcze groźniejszy precedens!

- Obawiam się, że w tej akurat kwestii masz całkowitą rację - ocenił lodowato



Kołodolcow. - I niestety obawiam się, że Nathan dobrze ocenił sytuację, tylko że tym razem Królestwo nie zachowało się równie dyskretnie wobec mediów.

- O co do ciężkiej cholery chodzi?! - Rajampetowi złość nie przeszła. - Wykrztuś to w końcu!

- Proszę bardzo. Około dziewięćdziesięciu minut temu otrzymaliśmy drugą notę od Królestwa Manticore. Okazuje się, że nasza decyzja co do reakcji na tę pierwszą nie była ani tak rozsądna, ani tak optymalna, jak myśleliśmy. Teraz jest już za późno na wysyłanie odpowiedzi, bo nie sądzę, by fakt, że wysłaliśmy odpowiedź na pierwszą notę w dzień po otrzymaniu drugiej, Królowa czy jej premier uznali za zabawne. A powód przysłania drugiej noty jest taki, że gdy admirał Gold Peak przybyła do systemu New Tuscany i zastała tam Bynga, zażądała od niego dokładnie tego, o czym władze Królestwa uprzedziły nas w pierwszej nocy. Konkretnie kazała mu zostawić tylko szkieletowe załogi, by jej załogi przyzwołe mogły zabezpieczyć komputery, bazy danych i wszystkie zapisy taktyczne dotyczące incydentu. Załogi przyzwołe pozostaną na pokładach, dopóki śledztwo nie wykaże, co się stało i kto jest za to odpowiedzialny, zgodnie z międzynarodowym prawem. I to nie była zagrywka propagandowa.

- Nie wierzę... - wychrypiął Rajampet, ciemniejąc na twarzy z furii. - Nie wierzę, że ktoś mógł być tak głupi, by wysunąć podobne żądania! Nawet oni! Przecież ta cała Gold Peak nie mogła uznać, że ujdzie jej to płazem?! Jeśli Byng rozwalił jej okręty w drobny pył, to jedyną odpowiedzialną za to osobą jest ona sama i...

- Bądź spokojny: Byng nie rozwalił w pył, jak to ładnie ująłeś, nawet jednego jej okrętu - przerwał mu z zimną satysfakcją Kołodolcow. - Mimo że miała tylko sześć krążowników liniowych przeciwko jego siedemnastu, to ona, jak to powiedziałeś, „rozwaliła w drobny pył” jego okręt flagowy.

Rajampet zamarł z otwartymi ustami, wybałuszając na niego oczy.

- O kurwa! - westchnęła cicho Omosupe Quartermain.

Nie cierpiała Gwiazdnego Królestwa prawie równie serdecznie jak Rajampet. On nie mógł znieść, że Royal Manticoran Navy nie uznaje supremacji Marynarki Ligi, jej nie podobało się, że dzięki Manticore Wormhole Junction frachtowce z Królestwa zdominowały przewozy na obszarze Ligi Solarnej. A to z kolei znaczyło, że najlepiej z nich wszystkich zdawała sobie sprawę, jakie straty dla gospodarki Ligi Solarnej spowoduje ich wycofanie czy zamknięcie wormhola dla statków z Ligi, jeśli Królestwo się na to zdecyduje.

- Ile okrętów Gold Peak straciła? - spytała zrezygnowanym tonem, najwyraźniej gotowa oszacować wysokość odszkodowania.

- Ani jednego, nie musisz się martwić - uspokoił ją Kołokolcow.

- Co?! - Rajampet odzyskał głos. - Przecież to idiotyzm! Żaden oficer solarny nie pozwoliłby, żeby coś takiego uszło...

- Zanim zrobisz z siebie kompletnego durnia, proponuję, żebyś przeczytał raport pani admirał Sigbee, która przejęła dowodzenie po śmierci Bynga - przerwał mu z satysfakcją Kołokolcow. - Królestwo Manticore było tak uprzejme, że dostarczyło go nam wraz z notą dyplomatyczną. I zanim się zbłąznisz, nasi spece uznali, że wiadomość nie została otwarta i przeczytana, zanim trafiła do nas.

Tym razem Rajampet wyjątkowo posłuchał dobrej rady i nie odezwał się słowem. Gapił się jedynie wściekle na Kołokolcowa, który spokojnie kontynuował:

- Zgodnie z raportem admirał Sigbee flagowiec Bynga *Jean Bart* został trafiony przez jedną salwę rakiet wystrzelonych ze znacznie większej odległości, niż wynosi maksymalny zasięg naszych rakiet. I uległ całkowitemu zniszczeniu wraz z całą załogą. W tych warunkach i po zapewnieniu ze strony admirał Gold Peak, że zniszczy w ten sposób wszystkie pozostałe okręty, jeśli jej żądania nie zostaną spełnione, admirał Sigbee uznała, że nie ma innego wyjścia, i wykonała je. Tak na marginesie, admirał Gold Peak jest, jak się okazuje, kuzynką Królowej Elżbiety i piątą osobą w kolejce do tronu.

Rajampet otworzył usta, ale nie zdołał wydobyć z nich żadnego dźwięku.

Kołokolcow popatrzył na niego, pokiwał głową i dodał:

- Tak jest, Rajani. Mówiąc krótko i po prostu: Sigbee poddała swoje okręty.

Rajampet zamknął z trzaskiem usta.

Teraz Kołokolcowowi z mieszaniną przerażenia i niedowierzania przyglądali się wszyscy obecni. Sprawilo mu to pewną satysfakcję, ale wiedział, że to jedyna przyjemność, na jaką mógł liczyć do końca dnia.

Teoretycznie utrata jakichś 20 okrętów nie stanowiła dla Marynarki Ligi żadnego problemu, bo była ona największą flotą w galaktyce. Wliczając okręty pozostające w rezerwie, miała na stanie prawie 11 tysięcy superdreadnoughtów, nie mówiąc o znacznie większej liczbie innych, mniejszych okrętów. Ani tysiącach jednostek należących do rozmaitych flot systemowych, a niektóre z nich były całkiem liczne i nowoczesne. Wobec takich sił zniszczenie pojedynczego krążownika liniowego było mniej odczuwalne niż ukąszenie komara. Proporcjonalnie rzecz biorąc, zarówno pod względem masy, jak i zabitych była to mniejsza strata niż dla Royal Manticoran Navy zniszczenie przez Bynga 3 niszczycieli.

Ale był to też pierwszy od stuleci solarny okręt zniszczony w walce.

A nigdy w dziejach Marynarki Ligi żaden jej admirał nie poddał się wraz ze wszystkimi okrętami.

Aż do teraz.

I to właśnie zaniepokoiło ich wszystkich.

A raczej nie zaniepokoiło, a przestraszyło.

Podstawę istnienia Ligi Solarnej stanowiło bowiem powszechne przekonanie o wszechmocy i niezwyciężoności Marynarki Ligi. Celem istnienia Ligi było utrzymanie międzyplanetarnego porządku oraz dobrobytu i niezależności tworzących ją systemów członkowskich. Bywały sytuacje, i to częściej niż mogłoby się wydawać w obecnych czasach, gdy poprzednicy Rajampeta walczyli zaciekle o przetrwanie tych zasad i celów Ligi Solarnej, choć tak naprawdę żaden z przeciwników nie miał szans na dłuższą metę zagrozić jej istnieniu. Wszyscy zaś jego poprzednicy podobnie jak i on sam zaciekle walczyli o pieniądze dla Marynarki Ligi. Naturalnie nigdy nie dostawali tyle, ile chcieli, ale prawie tyle, ile potrzebowali. I mimo iż realne zagrożenie bytu Ligi Solarnej nie pojawiło się od kilkuset lat, nikt nigdy poważnie nie rozważał drastycznego zmniejszenia wydatków na flotę.

Częściowo dlatego, że wszyscy mieli świadomość, iż niezależnie od tego, jak wielka stałaby się Flota Graniczna, nigdy nie będzie dość silna, by pełnić w sąsiedztwie granic rolę policjanta i silnorekiego, jaką przeznaczyła jej Liga Solarna. Znacznie sensowniej byłoby zredukować Battle Fleet, tyle że ta miała olbrzymi prestiż i była tak głęboko wrosnięta w system biurokratyczny Ligi, że nikt nie chciał jej ruszać. Poza tym miała masę popleczników w przemyśle, co było zrozumiałe, jeśli wzięto się pod uwagę, jak lukratywny był kontrakt na budowę jednego tylko superdreadnoughta. Wszystko to powodowało, że nawet gdyby w Lidze Solarnej znalazł się jakimś cudem reformator finansów, przy próbie cięcia budżetu floty nie znalazłby sojuszników. Flota bowiem była zbyt ważna dla całej gospodarki, a jej istnienie przynosiło zbyt wiele indywidualnych korzyści, by wpływowi ludzie zgodzili się z nich zrezygnować. Nie wspominając już o tym, że przypominanie wszystkim wokół o jej potęgze i niezwyciężoności stanowiło podstawę skuteczności działania całej Ligi Solarnej, a Biura Bezpieczeństwa Granicznego w szczególności.

Wyszło też na jaw coś jeszcze, być może nawet gorszego. Kołokolcow nie znał się na tych sprawach, ale z raportu Sigbee jasno wynikało, że była zszokowana skutecznym zasięgiem i celnością rakiet Królewskiej Marynarki. Nie zaskoczona, ale zszokowana.

- Poddała się - powtórzył stały podsekretarz spraw wewnętrznych Nathan MacArtney.

Powiedział to wolno i wyraźnie, jakby upewniając się, że dobrze zrozumiał.

Kołokolcowa zaskoczyło tempo, w jakim MacArtney doszedł do siebie - w końcu

Biuro Bezpieczeństwa Granicznego podlegało jego ministerstwu, toteż wyłączwszy Rajampeta, jego układy najbardziej ucierpią i to on będzie miał największe problemy, gdy reszta galaktyki zacznie sprawdzać, czy rzeczywiście Marynarka Ligi jest niezwycięzona.

- Poddała się - potwierdził Kołokolcow. - A załogi przyzowe Królewskiej Marynarki przejęły jej okręty z nieuszkodzonymi komputerami i nienaruszonymi bazami danych oraz bankami pamięci. W chwili pisania raportu nie miała pojęcia, co RMN zamierza zrobić z jej okrętami.

- O kurwa! - powtórzyła Quartermain.

- Nie zniszczyła nawet baz danych? - spytał z niedowierzaniem MacArtney.

- Biorąc pod uwagę, że Gold Peak właśnie trafiła jeden z jej okrętów z odległości uznawanej przez nas za niemożliwą, uważam, że słusznie przyjęła, iż dotrzyma słowa i w przypadku uszkodzenia systemów komputerowych zniszczy pozostałe - ocenił spokojnie Kołokolcow.

- Ale jeśli dostali kompletne bazy danych, to w tajnych bazach... - MacArtney nie dokończył, rozglądając się nieco bezradnie.

Kołokolcow uśmiechnął się kwaśno.

- To dysponują całą masą tajnych informacji - dokończył. - A co gorsza, to nie były okręty Floty Granicznej.

MacArtney wyglądał tak, jakby właśnie dostał solidny cios w żołądek. Bardziej od Kołokolcowa był świadom, jak reszta galaktyki może zareagować na opublikowanie pewnych oficjalnych, choć wysoce utajnionych planów reakcji na pewne zagrożenia, znajdujących się na wszelki wypadek w bazach danych okrętów Floty Granicznej.

Zapadła naprawdę długa chwila ciężkiej ciszy.

Przerwało ją dopiero pytanie Wodosławskiej:

- A co zawiera ta druga nota?

- Informacje, że dane z naszych komputerów całkowicie potwierdzają te, które już nam wysłali, i to, że mają kopie rozkazu otwarcia ognia wydanego przez Bynga. Dołączyli kopię rozmów między nim a Gold Peak z podkreśleniem, że ostrzegała go wielokrotnie nie tylko o tym, że otworzy ogień, jeśli jej nie posłucha, ale także, że ma możliwość trafienia jego okrętów spoza skutecznego zasięgu jego rakiet i zniszczenia ich. Oraz potwierdzenie autentyczności tych nagrań przez Sigbee. Mówiąc prościej, napisali, że mają potwierdzenie swojej wersji tego, co stało się z ich trzema niszczycielami, oraz że winny ich losu admirał zginął wraz z całą załogą, bo odrzucał ich żądania. Podkreślili też, gdybyśmy to przeoczyli, że zgodnie z międzyplanetarnym prawem to, co Byng zrobił w systemie New Tuscany z ich

niszczycielami, jest uznawane za akt wojny. Podkreślili też, że w tych warunkach admirał Gold Peak wykazała godne podziwu opanowanie, bo mimo trzykrotnego odrzucenia przez Bynga okazji do rozwiązania problemu bez rozlewu krwi zniszczyła tylko jeden jego okręt, mając je wszystkie na swojej łasce.

- Wypowiedzieli wojnę Lidze Solarnej? - spytał Abruzzi, najwyraźniej nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał.

Była to szczególna ironia losu, jeśli przypomnieć sobie jego buńczuczne zapewnienia sprzed ponad miesiąca, iż ta cała konfrontacja ma charakter „kosmetyczny”, a jej prawdziwym celem jest podniesienie morale po bitwie o Manticore.

- Nie, nie wypowiedzieli nam wojny - wyjaśnił Kołokolcow głośno i wyraźnie. - Co więcej, starannie tego unikali... na razie. Natomiast jasno oznajmili, iż stan wojny *de facto* istnieje między naszymi państwami, a wywołał go nasz flagowy oficer swoim postępowaniem. Równie jasno dali jednak do zrozumienia, że nie odrzucają możliwości dyplomatycznego rozwiązania całego problemu.

- Dyplomatycznego rozwiązania?! - eksplodował Rajampet.

I wałnął pięścią w stół, aż echo odbiło się od ścian.

- Pierdolić ich i ich dyplomatyczne rozwiązania! - ryknął. - Zniszczyli solarny okręt i zabili personel Marynarki Ligi! Gównu mnie obchodzi, czy chcą wojny, czy nie, ale już tę wojnę mają!

- A nie wydaje ci się przypadkiem, że dobrze byłoby najpierw przeczytać to, co napisała Sigbee, i przeanalizować dane dołączone przez Królestwo? - spytał rzeczowo MacArtney.

Zapytany spojrział na niego bykiem, na co dostał równie miłe spojrzenie.

- Nie słyszałeś, co Innokentij powiedział? - dodał MacArtney. - *Jean Bart* został zniszczony jedną salwą rakiet o nieporównanie większym zasięgu i celności niż nasze! Jeśli ich rakiety są o tyle lepsze, to...

- To gównu znaczy! - przerwał mu Rajampet. - Ten okręcik to był obsrany krążownik liniowy, i to z Floty Granicznej na dodatek! Te jednostki nie mają obrony antyrakietowej okrętów liniowych, a żaden krążownik nie wytrzyma takiej liczby trafień co okręt liniowy. Nie obchodzi mnie, jak wymyślne rakiety mają, bo niemożliwe jest, by zdołali powstrzymać trzysta czy czterysta superdreadnoughtów Battle Fleet! Zwłaszcza po stratach, jakie ponieśli w tej całej wojnie o Manticore!

- Może przyznałbym ci rację, gdyby nie pewien drobiazg: wszystkie informacje o tej bitwie, jakimi dysponujemy, mówią, że Marynarka Republiki straciła między trzysta a

czterysta superdreadnoughtów - odpalił MacArtney.

- I co z tego? - warknął Rajampet. - Co nas obchodzi, że jakieś dwie bandy prymitywów tłuką się między sobą.

MacArtney przyjrzał mu się niczym wyjątkowo tępemu i na dodatek rozpuszczonemu główniarzowi.

Kołokolcow nie dziwił mu się ani trochę, ale uznał, że doprowadzenie do złośliwej pyskówki, która się właśnie rozkręcała, nie jest pożądane, dlatego nim MacArtney zdążył się odezwać, spytał spokojnie:

- Czy przypadkiem nasze okręty liniowe i krążowniki liniowe nie mają rakiet o tym samym zasięgu, Rajani?

Zapytany spojrzał na niego niezyczliwie, ale kiwnął potakująco głową.

- W takim razie sędzę, że logiczne jest założenie, że ich okręty liniowe dysponują rakietami o co najmniej takim zasięgu jak ich krążowniki liniowe, a to znaczy, że mają taką samą przewagę w tej kwestii - kontynuował Kołokolcow. - A skoro Republika Haven walczy z Królestwem tak coś około dwudziestu lat standardowych i nadal istnieje, znaczy to, że ma rakiety o podobnym zasięgu, inaczej dawno już musiałyby skapitulować. Straciła w tej bitwie trzysta-czterysta okrętów liniowych mimo posiadania broni o zbliżonych parametrach i podobnie skutecznej obronie antyrakietowej. Jakim cudem przyszło ci więc do głowy, że Królewska Marynarka nie pokona naszych pięciuset superdreadnoughtów, które nawet nie będą w stanie ostrzelać jej okrętów?!

- No to wyślemy tysiąc! Albo dwa, jeśli będzie trzeba! Mamy w linii ponad dwa tysiące superdreadnoughtów, kolejnych trzysta w stoczniach na okresowych przeglądach i ponad osiem tysięcy w rezerwie. Może Królestwo i skopało dupę Haven, ale przy okazji samo poniosło poważne straty. Z tych informacji, o których wspomnieliście, wynika, że nie zostało im więcej niż sto okrętów liniowych. A jakiego zasięgu nie miałyby ich rakiety, potrzeba setki trafień, by zniszczyć superdreadnoughta. Przy obronie antyrakietowej i wabikach pięciuset czy sześciuset naszych okrętów liniowych, by wygrać, będą potrzebowali o wiele więcej wyrzutni, niż mogą mieć.

- Twierdzisz więc, że nie zdołają unicestwić zbyt wielu naszych okrętów? - spytała Wodosławska, nie kryjąc sceptycyzmu.

- Tego nie powiedziałem. - Rajampet najwyraźniej prawie odzyskał samokontrolę. - Mogą zadać nam duże straty, ale nie będą w stanie nas powstrzymać. Natomiast nie ulega wątpliwości, że oberwiemy bardziej, niż Marynarka Ligi oberwała kiedykolwiek. I jest to zupełnie bez znaczenia.

Wodosławska uniosła pytająco brwi.

A Rajampet roześmiał się.

Paskudnie.

- Znaczenie ma tylko to, że jakaś zaszraflota z dziury zabitej dechami ośmieliła się ostrzelać Marynarkę Ligi i zniszczyć jej okręt, a inne zdobyć. Na to nie możemy pozwolić i cena nie gra roli. Musimy pokazać, że nikomu nie wolno grać w kulki z Marynarką Ligi. Bo jeśli nie zrobimy tego tu i teraz, nie wiadomo, kto jeszcze nagle dojdzie do wniosku, że może sobie wystosowywać ultimatum wobec nas! I ty, Nathan, powinienesz to rozumieć najlepiej!

- No dobra, mogę się zgodzić, że Flota Graniczna nie może być wszędzie tam, gdzie być powinna, w odpowiedniej sile - przyznał niechętnie MacArtney. - Jej siły główne skoncentrowane są w węzłach o znaczeniu strategicznym, takich jak stolice sektorów czy bazy floty. W większości wypadków na sygnał o zagrożeniu wysyła się pojedynczy okręt, rzadziej kilka, ponieważ nie można pozwolić sobie na osłabienie obsady takiego węzła. Rajani myślą o tym, że ponieważ siły mamy bardzo rozciągnięte i nigdzie nie są one wystarczające, Flota Graniczna często odnosi sukcesy nie dzięki przewadze ogniowej, ale dlatego, że wszyscy wiedzą, iż jeśli zniszczą jeden czy kilka okrętów, reszta floty zjawi się i zniszczy ich. To może potrwać, ale jest pewne i nieuniknione.

- Właśnie! - Rajampet przytaknął energicznie. - To jest najważniejsze. Nic mnie nie obchodzi, czy Królestwo ma rację, czy nie i czy jego flota działa zgodnie z międzyplanetarnym prawem, czy nie. Musimy uczynić z niego przykład dla wszystkich i na długo, jeśli nie chcemy wkrótce mieć problemów z podobnymi, choć o wiele słabszymi państewkami wzdłuż całych granic, które dojdą do wniosku, że już nie muszą się obawiać Ligi Solarnej.

- Zaraz. - Abruzzi nagle jakby ocknął się z osłupienia. - Wspomniałeś coś o mediach, Innokentij?

- Wspomniałem, bo Królestwo poinformowało nas, że oficjalną wersję obu incydentów wysłało do mediów tego samego dnia, w którym wysłało do nas drugą notę. Dokładnie sześć godzin po tranzycie kuriera, sądzę więc, że wkrótce wiadomości dotrą i do nas.

- Podali to do publicznej wiadomości?! - Abruzzi był bardziej zaskoczony niż po informacji o zniszczeniu flagowca Bynga.

- Tak nam powiedzieli i ja im wierzę. - Kołokolcow wzruszył ramionami. - Prawdę mówiąc, nie bardzo mieli wybór. Siedzieli na pierwszym incydencie ponad miesiąc, a z New Tuscany do Manticore jest około trzech tygodni drogi. Jakies pogłoski o drugim incydencie

musiały szybko przedostać się do mediów, bo to zbyt duża rzecz, by można ją było zupełnie wyciszyć. W tych okolicznościach uznali, że nie zdołają długo utrzymać prawdy w tajemnicy, lepiej więc wyjdą na szybkim jej opublikowaniu. Zwłaszcza że w ten sposób to ich wersja jako pierwsza dotrze do naszej wiadomości.

- W takim razie skurwiele wpędzili nas w sytuację bez wyjścia - ocenił Rajampet. - Skoro rozgłosili to na całą galaktykę, nie mamy żadnego wyboru w kwestii sposobu reakcji.

- Przestań się gorączkować! - warknął Abruzzi.

Rajampet posłał mu wściekle spojrzenie.

Abruzzi zrewanżował się tym samym i dopiero po chwili dodał:

- Nie mamy pojęcia, jak to rozegrali, i dopóki nie będziemy mieli okazji sprawdzić, jak to wszystko przedstawili, nie możemy ogłosić żadnej wersji wydarzeń. A nad tym, jak to przedstawimy, musimy zastanowić się naprawdę bardzo dobrze i wykazać dużą ostrożność.

- Dlaczego? - prychnął Rajampet.

- Bo prawda jest taka, że twój admirał idiota postąpił źle i właściwie sprowokował wojnę bez powodu. Nie gap się tak na mnie, bo wrażenia nie zrobisz! Najwyższy czas przestać sobie w tym gronie opowiadać pierdoły! Jeśli nasza opinia publiczna zdecyduje, że postąpiliśmy niewłaściwie, a Królestwo dobrze, cyrk, z jakim teraz masz do czynienia w związku z Technodyne, będziesz wspominał jako niewinną bitwę na poduszki!

- Mówi się trudno - odparł rzeczowo Rajampet.

- Zdaje się zapomniałeś, że konstytucja daje każdemu członkowi rządu prawo weta w sprawach dotyczących polityki zagranicznej, nieprawdaż? - spytał uprzejmie Abruzzi. - Nie wydaje ci się, że jeśli skończymy, potrzebując oficjalnego wypowiedzenia wojny, to dobrze byłoby, żeby nikt, nawet Beowulf, z niego nie skorzystał?

- Nie potrzebujemy żadnego gównianego wypowiedzenia wojny! To ewidentny przykład samoobrony, a artykuł 7 jednoznacznie daje flocie prawo do reagowania na atak z niezbędną siłą - odpalił Rajampet.

Kołokolcow już chciał zaprotestować, ale zmienił zdanie. Rajampet miał rację, przynajmniej historycznie rzecz biorąc. Paragraf 3 artykułu 6 konstytucji został bowiem specjalnie tak sformułowany, by Marynarka Ligi w sytuacjach kryzysowych mogła szybko reagować, bez czekania miesiącami na sprawdzone raporty i decyzje polityczne o wypowiedzeniu wojny. Tyle tylko, że nie było to zezwolenie na każde działanie, a furtka na wypadek zaistnienia lokalnego kryzysu. Do uzyskania dodatkowych funduszy w związku choćby z mobilizacją znajdujących się w rezerwie okrętów niezbędna była oficjalna autoryzacja, którą musiało poprzedzić formalne wypowiedzenie wojny. Tu mogły się zacząć



schody i do kryzysu militarnego dojść konstytucyjny. Wszystko będzie zależało od tego, czy Rajampetowi uda się pokonać Królestwo Manticore szybko i wyłącznie przy użyciu sił będących w linii. Jeśli tak, sprawa się rozmyje i przestanie być groźna, jak wiele kryzysów w długich dziejach Ligi Solarnej. Ale jeśli nie zdoła tego zrobić i nastąpi seria krwawych porażek, nawet ostateczne zwycięstwo nie zapobiegnie trzęsieniu ziemi na niespotykaną skalę. Kołokolcow zastanawiał się, ilu z obecnych zdaje sobie sprawę, że może ono zniszczyć całe biurokratyczne księstwo umożliwiające istnienie Ligi Solarnej...

Po zachowaniu sądząc, Abruzzi był tego świadom. Wodosławska prawdopodobnie też, choć nie był pewien. Rajampetowi to przez myśl nie przeszło, a co do pozostałej dwójki, nie był w stanie nic powiedzieć.

- Zgadzasz się z tobą, jeśli chodzi o historyczną interpretację artykułu 7 - powiedział w końcu Kołokolcow. - Ale na wszelki wypadek skontaktuj się z Brangwen, nim zrobisz cokolwiek, i upewnij się, że w tej sprawie nikt z jej podwładnych nie będzie miał odmiennego zdania.

- Oczywiście, że się z nią skontaktuję - zapewnił Rajampet spokojniej. - Ale w międzyczasie mogę podjąć stosowne, czysto militarne środki ostrożności. A jak wiadomo, najlepszą formą obrony jest atak.

- Może i jest, ale są wyjątki od tej reguły - osadził go Abruzzi. - Mogę się nawet zgodzić, że łatwiej jest po fakcie przeprosić, niż przed faktem dostać pozwolenie na działanie, ale chciałbym przypomnieć, że ta sytuacja mocno się różni od „zwykłej”. Jeśli więc zamierzasz sprzedać to Zgromadzeniu tak, by nikt nie zaczął żądać dochodzeń, przesłuchań i podobnych bzdur, musimy starannie przygotować do tego grunt. Niektórzy jego członkowie naprawdę uważają, że to oni powinni rządzić, będą więc próbowali wykorzystać tę sytuację. Jak długo nie poprze ich opinia publiczna, nic nie zrobią, bo inercja systemu zadziała przeciwko nim, ale żeby tego poparcia nie mieli, musimy przekonać wszystkich, że to my mamy słuszość w tej konfrontacji.

- A jak chcesz to osiągnąć po występach mojego admirała idioty? - spytał lodowato Rajampet.

- Możesz się nie zgrywać, bo za prawdę i tak cię nie przeproszę - warknął Abruzzi i dodał spokojniej: - Był idiotą i nic tego nie zmieni, a sami siebie lepiej nie oszukujemy.

- Jak więc chcesz przekonać ludzi, że postąpiliśmy słusznie, niszcząc Królestwo? - spytał już prawie normalnym tonem Rajampet.

- Kłamiąc jak najęty. - Abruzzi wzruszył ramionami. - Nie pierwszy zresztą raz. Problem w tym, że kłamstwo to musi być od początku spójne i jak najbardziej zbliżone do

prawdy. W końcu to zwycięzcy piszą historię, ale zwycięzcami póki co nie jesteśmy. Dlatego musimy najpierw poznać wersję Królestwa. A to znaczy, że nie możemy przedsięwziąć żadnych kroków militarnych, póki nie przygotują gruntu.

- To przygotuj go szybko - poradził Rajampet. - Bo w końcu i tak moje superdreadnoughty będą musiały wszystko załatwić.

Nim Abruzzi zdążył coś powiedzieć, wtrąciła się Quartermain:

- Może nie dajmy się ponieść entuzjazmowi, dobrze? Dlaczego automatycznie zakładamy, że reakcja musi być zbrojna?! Sam powiedziałeś, Innokentij, że Królestwo nie wykluczyło możliwości rozwiązania dyplomatycznego. Co prawda, jak sądzę, chodziło o przeprosiny i odszkodowanie z naszej strony, ale co nam szkodzi odwrócić całą sytuację? W Królestwie też potrafią liczyć, muszą więc zdawać sobie sprawę, że niezależnie od przewagi jakościowej nie są w stanie zrównoważyć naszej przewagi ilościowej. Powiemy, że jesteśmy oburzeni bezczelnością i nieuzasadnioną eskalacją, i to jeszcze nim otrzymali naszą odpowiedź, i w związku z tym uważamy, że to Królestwo jest odpowiedzialne za dalszy rozlew krwi w systemie New Tuscany. I że żądamy w związku z tym przeprosin i odszkodowania pod groźbą wypowiedzenia wojny i zniszczenia tego całego ich Gwiezdnego Imperium. Jak myślicie, jaka będzie reakcja?

- Chodzi ci o to, że jeśli wymusimy wystarczającą daninę za pozwolenie, by dalej istnieli, to tym samym zniechęcimy wszystkich pozostałych do prób wykręcenia podobnego numeru? - upewnił się Abruzzi.

- Właśnie.

- Nie jestem pewna... - Wodosławska potrząsnęła głową. - Z tonu noty i z tego, jak dotąd postępują władze Królestwa czy tego tam Imperium Manticore, wnoszę raczej, że zaryzykują. Posunęliby się tak daleko, gdyby nie planowali iść na całość?

- Łatwo jest być odważnym, dopóki przeciwnik nie wyceluje w ciebie pulsera - odparł zaskakująco spokojnie Rajampet. - Przyznaję, że nie podoba mi się to rozwiązanie, ale to nie znaczy, że nie powinniśmy go spróbować jako pierwszego. Jeśli przeproszą, poświęcą tę Gold Peak i zapłacą satysfakcjonujące odszkodowanie, to będziemy mogli łaskawie zrezygnować z rozpieprzenia tego ich całego Gwiezdnego Imperium. A jeśli okażą się zbyt głupi, by to zrobić, wyślemy tyle okrętów, ile trzeba, by zniszczyć to państewko skutecznie i szybko.

Nie ulegało wątpliwości, że takiego właśnie zakończenia się spodziewał, i Kołokolcow w duchu przyznawał mu rację. Wodosławska najwyraźniej także, bo powiedziała:

- Sądzę, że wpieryw powinniśmy dokonać analizy ryzyka i potencjalnych korzyści.

Omosupe, sprawdź przewidywane konsekwencje zamknięcia dla naszych statków Manticore Wormhole Junction i wycofania się wszystkich jednostek zarejestrowanych w Królestwie z Ligi Solarnej. Nie wątpię, że to nas mocno uderzy po kieszeni, i nawet bez sprawdzania jestem pewna, że nasze rynki finansowe bardzo poważnie ucierpią. Zwłaszcza jeśli Królestwo dołoży starań, by jak najbardziej zaszkodzić międzyplanetarnym transakcjom. A ma spore możliwości.

- No to będziemy mieć krótkotrwałą zapasę ekonomiczną. - Rajampet wzruszył ramionami. - Podobne już się zdarzały, i to bez niczyjej pomocy. I nigdy nie okazały się poważnym problemem. Ta, przyznaję, może być gorsza, ale i tak ją przetrwamy. I nie należy zapominać, że kiedy to całe zamieszanie się skończy, Manticore Wormhole Junction będzie należeć do nas, a Królestwa czy Imperium Manticore już nie będzie. To powinno przynieść niezły grosz, nawet w porównaniu z naszym produktem państwowym brutto. Powinno wystarczyć na pokrycie kosztów wojny, a potem rok w rok będzie na drobne wydatki.

- I przestaniemy mieć problemy w Gromadzie Talbott i okolicach - dodał z namysłem MacArtney.

- Weźcie może na wstrzymanie, dobrze. - To było polecenie, nie pytanie, toteż wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na Kołokolcowa. - Decyzji na pewno nie podejmiemy tu i teraz. Tak postąpiliśmy poprzednim razem i nie okazało się to zbyt rozsądne, nieprawdaż? Po pierwsze, Malachai ma rację: też chcę najpierw zobaczyć, jak to przedstawi druga strona. Po drugie, chcę, żebyśmy przed podjęciem decyzji zastanowili się nad konsekwencjami. Muszę dostać symulacje wszystkich możliwych wersji rozwoju wydarzeń, zwłaszcza w aspekcie militarnym. A także realistyczną ocenę tego, jak długo ta wojna potrwa. I to taką, która będzie oparta na najbardziej pesymistycznych założeniach dotyczących nas, a optymistycznych dotyczących Królewskiej Marynarki. Wolę nadmiar ostrożności od hurraoptymizmu, rozumiesz, Kajani? I choć pobieżne prognozy dotyczące tego, ile nas będzie ekonomicznie i finansowo kosztowała taka wojna na pełną skalę i do samego końca.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Poza z lekka nabzdyczonym Rajampetem wszyscy zgadzali się z tym, co Kołokolcow powiedział.

Ciszę przerwał po kilkunastu sekundach Nathan MacArtney:

- Chwilowo jestem skłonny podpisać się pod Rajampetem, ale uważam za konieczne zapoznanie się z analizami przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji. Poza tym nie musimy się spieszyć, bo w sektorze pozostało niewiele nowych okrętów, a jestem pewien, że Verrochio nie wyśle ani jednego z tych, które jeszcze ma. Nie sądzę też, by Królewska Marynarka szukała okazji do wywołania kolejnego incydentu.

- W to także wątpię - zgodził się Kołokolcow. - Ale odpowiedź na tę notę musimy napisać i wysłać szybko. Powinna się w niej znaleźć informacja, że nie jesteśmy zadowoleni z ich postępowania, ale będziemy kierować się rozsądkiem, nie emocjami, i odezwiemy się, gdy tylko przestudiujemy dostępne informacje. To ostatnie także powinniśmy zrobić szybciej niż poprzednim razem. Jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, powiem mojemu ministrowi, że rano dostanie stanowczą, ale spokojną w tonie notę.

- Rób, jak uważasz - burknął Rajampet z dziwnym błyskiem w oczach. - Uważam, że i tak skończy się na strzelaninie, ale nie mam nic przeciwko temu, by najpierw spróbować jej uniknąć.

- I nie wyślesz bez uzgodnienia z nami żadnych nowych sił do sektora Madras? - Kołokolcow nawet nie próbował ukryć podejrzliwości.

- Nie planuję wysłać tam żadnych posiłków, ale to nie znaczy, że będę tu siedział beczynnie. Sprawdzę, co możemy szybko zebrać i rzucić do walki, jeśli do niej doszło, i zacznę aktywować jednostki z rezerwy, ale dopóki nie uzgodnimy dalszych posunięć, zostawię układ sił w Gromadzie Talbott i okolicach taki, jaki jest. I tak zresztą niewiele mógłbym zrobić, biorąc pod uwagę, jak długo się tam leci.

Kołokolcow miał dziwne wrażenie, iż nie usłyszał całej prawdy, ale ponieważ nie miał możliwości tego sprawdzić, kiwnął tylko głową i spojrzał na chronometr.

- Dobrze; każę wam wysłać kopie noty i raportu Sigbee plus wszystkie załączniki techniczne, tak byście dostali je nie później niż o drugiej.

## ROZDZIAŁ II

Nie mogę w to uwierzyć - mruknął admirał floty Winston Kingsford dowodzący Battle Fleet. - Zawsze wiedziałem, że Josef ich nienawidzi, ale żeby...

Umilkł, zdając sobie sprawę, co właśnie powiedział - nie był to najszcześniejszy komentarz, bo Josefa Bynga na dowódcę misji zaproponował nie kto inny jak jego przełożony, admirał floty Rajampet. Już wtedy Kingsford był zdziwiony, bo Byng, oficer Battle Fleet, miał dowodzić okrętami Floty Granicznej, co stanowiło swoistą degradację. W związku z tym spodziewał się, że Byng dowództwa nie przyjmie, a miał stosowne koneksje, by móc to zrobić. Spodziewał się także ostrego protestu ze strony admirała floty Engracii Alonso y Yanez dowodzącej Flotą Graniczną i w tej kwestii się nie pomylił. Byng natomiast nie zaprotestował i Rajampet postawił na swoim.

Przypominanie mu o tym, i to w jego własnym gabinecie nie, było najrozsądniejsze.

- Lepiej uwierz - poradził mu ciężko Rajampet.

Obaj siedzieli w luksusowym pokoju wieńczącym czterystupiętrowy Gmach Floty, wyposażonym w prawdziwe okna, z których rozciągał się naprawdę wspaniały widok. Którym to widokiem za jakieś trzydzieści-czterdzieści lat standardowych będzie mógł rozkoszować się całymi dniami Winston Kingsford. Zakładając, że w międzyczasie nie spieprzy czegoś konkursowo.

Albo też nie narazi się poważnie Rajampetowi.

- Zapoznał się pan z załącznikami technicznymi, sir? - spytał.

- Jeszcze nie, ale wątpię, by zawierały jakieś szczegóły dotyczące nowej superbroni Królewskiej Marynarki. Nawet gdyby sensory Sigbee coś ciekawego zarejestrowały, zostało to z pewnością usunięte z wersji, którą dostaliśmy. To samo zrobią z systemami pokładowymi, więc nawet jeśli odzyskamy te okręty, niczego o tych rakietach się nie dowiemy. O ile je odzyskamy.

- W takim razie, za pańskim pozwoleniem, przekażę wszystko Karlowi-Heinzowi i Hai-shwun, sir.

Admirał Karl-Heinz Thimár był szefem Biura Wywiadu Floty, a admirał Cheng Hai-shwun - Biura Analiz Operacyjnych, czyli najnowszego działu wywiadu. Była też zastępczynią Thimára. Czyli ujmując rzecz krótko: osobą, która powinna orientować się w

postępach technicznych Royal Manticoran Navy w miarę wprowadzania ich w życie.

- Naturalnie - zgodził się Rajampet, ale dodał: - Tylko poczekaj, aż porozmawiam z Karlem. Ktoś musi mu powiedzieć, co spotkało Karlote, i wychodzi na to, że mnie przypadło to zadanie.

- Tak, sir - zgodził się Kingsford.

I skłął się w duchu za to przeoczenie. Kontradmirał Karlote Thimár była wszak nie tylko szefem sztabu Bynga, ale też kuzynką Karla-Heinza.

- Zresztą potrzebujemy sensownej oceny tych nowych rakiet - dodał gospodarz. - Cudów dokładności się nie spodziewam, ale niech wycisną z tych nagrań, co się tylko da.

- Dopilnuję tego, sir.

- A my w tym czasie musimy usiąść i przyjrzeć się rozmieszczeniu sił. Wiem, że cała RMN to drobiazg w porównaniu z Battle Fleet, ale chcę uniknąć zbędnych strat wynikających z nadmiaru pewności siebie. Ten cholerny Kołokolcow w jednej sprawie miał rację: przez różnicę w zasięgu rakiet będziemy potrzebowali dużego młotka, żeby szybko skończyć sprawę, kiedy ruszymy na system Manticore.

- Kiedy, sir? - powtórzył Kingsford, akcentując mocno pierwsze słowo.

Rajampet prychnął pogardliwie.

- Ci durni cywile mogą sobie do upojenia powtarzać „o ile ruszymy”, ale nie ma sensu, żebyśmy my się oszukiwali - wyjaśnił. - Nie ma „o ile”, wiadomo, że ruszymy, jest to tylko kwestią czasu i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Ci zasańcy z Manticore są zbyt arogancy, by dojść do słusznego wniosku, że ich jedyną szansą na przetrwanie jest zrobić, co każemy. Nie zgodzą się na pomysł Quartermain i w końcu to my będziemy musieli załatwić sprawę. Na dodatek... - i nagle urwał.

Po czym machnął ręką i zmienił nieco temat:

- W końcu dojdzie do wojny, a wtedy nasza strategia będzie prosta, bo oni mają tylko jeden naprawdę ważny system: system Manticore. Jeśli go zaatakujemy, nie będą mieli wyboru ani żadnej możliwości manewru: będą musieli bronić planet macierzystych, bo ich utrata oznacza koniec istnienia państwa. A my musimy wysłać takie siły, by mimo dużych strat dotarły do celu i zwyciężyły. To nie będzie ładna bitwa, ale będzie wygrana.

- Rozumiem, sir - przytaknął Kingsford świadom, że Rajampet ma rację.

Natomiast nie dawało mu spokoju to „na dodatek” bez ciągu dalszego...

I nagle sobie przypomniał.

Był gotów założyć się o dużą stawkę, że Rajampet nie wspomniał pozostałym o Sandrze Crandall czy o tym, ile miał wspólnego z jej obecnością w sektorze Madras.

Dużo wysiłku kosztowało go, by nie okazać nagłych wątpliwości i podejrzeń, jakie przysły mu w związku z tym do głowy. To nie był czas ani miejsce na takie pytania, tym bardziej że nawet zakładając, że otrzymałby prawdziwe odpowiedzi, zrodziłyby one jedynie kolejne pytania. Zresztą cokolwiek by Rajampet kombinował, miał dupę obitą blachą w sposób doskonały. Przydział Bynga, choć niecodzienny, nie był pierwszym tego typu w dziejach Marynarki Ligi, a po bitwie o Monicę był uzasadniony. Crandall zaś na tyle długo była admirałem i zajmowała wystarczająco wysokie stanowisko, by móc wybrać sobie rejon, w którym chce przeprowadzić ćwiczenia. A że przypadkiem na miejsce tych przedłużonych manewrów o kryptonimie Zimowy Popas, czy jak je tam w końcu nazwała, wybrała system McIntosh oddalony o głupie 50 lat świetlnych od systemu Meyers, no cóż. Na pewno nie świadczyło to niezbitcie o udziale Rajampeta.

A poza tym Crandall już o wszystkim wiedziała i na pewno podjęła jakąś decyzję. Jakakolwiek by ona była, Rajampet fizycznie nie był w stanie dostarczyć jej rozkazów na czas, nie miał więc wpływu na to, co Crandall zrobi. Bez sensu było więc informowanie o tym pozostałych.

Tyle wersja oficjalna.

Winston Kingsford od dziesięcioleci nie dowodził żadnym związkiem taktycznym w przestrzeni, ale doświadczenie w intrygach stanowiących podstawę przetrwania w biurokracji solarnej miał duże. I dobrze wiedział, że Rajampet nie pogodził się z tym, że nie należy do najwyższego grona decyzyjnego. Władza ministra obrony Taketomo była co prawda równie iluzoryczna co wszystkich jego kolegów, ale Rajampet uważał, że obrona jest co najmniej równie ważna jak handel, a przynajmniej powinna być, bo ma stosowny budżet i jest istotna dla stabilności Ligi Solarnej, a co za tym idzie, powinien znaleźć się wśród pięciu najważniejszych osób lub dołączyć do nich jako szósta. Fakt, że tak się nie stało, irytował go niepomiarnie, łagodnie rzecz ujmując.

A gdyby tak wybuchła wojna, prawdziwa wojna, jakiej nie było od 300-400 lat standardowych, to właśnie mogłoby się zmienić, bo flota stałaby się niezbędna. Nieco teoretycznie był ciekaw, ilu ludzi gotów jest Rajampet poświęcić, by do tego doprowadzić, i musiał przyznać, że było to posunięcie godne podziwu. Prawdę mówiąc, nie podejrzewał go ani o taką pomysłowość, ani o takie jaja, ale w końcu każdy może się pomylić...

Nie zamierzał nic robić ze swoją wiedzą, bo jeśli Rajampetowi się uda, za kilkadziesiąt lat to on przejmie jedno z najważniejszych stanowisk w Lidze Solarnej. A jeśli Rajampetowi się nie powiedzie, to szybciej zastąpi go na dotychczasowym, bo jego nikt o nic obwiniał nie będzie. On wykonywał jedynie rozkazy przełożonego.

Nawet przez myśl mu nie przeszło, że w większości państw takie postępowanie uznano by za zdradę. W Lidze Solarnej też powinno tak być zgodnie z konstytucją, tyle że ta była bezwartościowym świstkiem papieru już w chwili sporządzania. A to, co gdzie indziej poczytywano za zdradę, było normą we władzach Ligi. W końcu ktoś musiał to robić, prawda?

- Cóż, sir, nie powiem, że to miła perspektywa, bo żadna wojna nią nie jest, ale obawiam się, że ma pan rację w ocenie sytuacji - oświadczył na użytek urzędów rejestrujących, w które wyposażony był gabinet. - Mam nadzieję, że mimo wszystko tak się to nie skończy, ale na wszelki wypadek musimy być przygotowani do szybkiego i zdecydowanego działania.

- Właśnie - przytaknął Rajampet.

- W takim razie zajmę się dostarczeniem tych zapisów Karlowi-Heinzowi, sir. Wiem, że sam pan chce poinformować o śmierci Karlote, ale obawiam się, że nie bardzo możemy zwlekać, jeśli te analizy mają być gotowe na jutrzejszy ranek.

- Wiem, wiem. - Rajampet uśmiechnął się kwaśno. - Idź do niego, a ja zaraz się z nim skontaktuję. Skończę, nim tam dotrzesz, a przynajmniej damy chłopu zajęcie, nie będzie więc miał czasu na myślenie o kuzynce.

\* \* \*

Elżbieta III siedziała w swoim ulubionym fotelu w jednej z komnat w Wieży Króla Michaela. W samym centrum pomieszczenia stała trzymetrowa choinka - w tym roku był to gryphoński igłowiec - pilnując sterty zapakowanych elegancko prezentów i wydzielając delikatny, acz wszechobecny zapach żywicy. Podkreślał on nastrój odprężenia, który jakoś tak nieodparcie kojarzył się z Królem Michaeliem. Wieżę zbudowano z kamienia, a w otoczeniu ogrodów z fontannami stanowiła oazę spokoju i prawdopodobnie dlatego stała się prywatną siedzibą rodziny królewskiej. Królowa mogła co prawda i tu zajmować się sprawami państwowymi, jako że będąc faktyczną głową państwa, nigdy tak naprawdę nie miała wolnego, ale już dawno postanowiła tego nie robić. Wieża była otwarta jedynie dla członków rodziny i przyjaciół.

Jak na przykład pewnej wysokiej pani admirał siedzącej właśnie bokiem w wykuszu okiennym.

- I co ciekawego powiedziała ci wczoraj twoja przyjaciółka Stacey? - spytała Elżbieta.

- Zaraz przyjaciółka... - zaprotestowała łagodnie Honor.

- To chyba najwłaściwsze określenie. - Elżbieta uśmiechnęła się nieco złośliwie. -



Choć przyznaję, że nikt by się tego nie spodziewał po początkach twojej znajomości z jej rodzicielem.

- Klaus Hauptman nie jest taki najgorszy. Fakt, zachował się jak konkursowy dupek w systemie Basilisk, a niewiele lepiej w Silesii, i prawdę mówiąc, nie sędzę, bym go kiedykolwiek polubiła, ale wie, co to honor i obowiązek. I za to go szanuję.

Siedzący obok niej treecat zastrzygł uszami, usiadł prosto i zaczął sygnalizować:

„Jest wystarczająco bystry, by się ciebie bać. I wie, co by z nim zrobiła Kryszałowy Umysł, gdyby nie przyznał się do błędów”.

- Kryszałowy Umysł? - zaciekała się Królowa. - To Stacey?

- Tak - potwierdziła Honor. - Nie sędzę, by to była uczciwa ocena, Stinker.

„Uczciwość to wasz wymysł - poinformował ją Nimitz - my wolimy trafność”.

- I to jest jednym z powodów, dla których cenię treecaty bardziej od większości ludzi, których mam nieprzyjemność znać - oświadczyła Elżbieta. - A w ocenie Hauptmana jesteśmy oboje z Nimitzem prawie zgodni.

- Nie uważam go za świętego - zaprotestowała Honor. - Powiedziałam tylko, że nie jest taki najgorszy, bo nie jest. Bywa arogancki, często bezmyślny, uparty i jest zbyt przyzwyczajony do stawiania na swoim, ale jest też jednym z najuczciwszych ludzi, jakich znam. To zaskakujące, biorąc pod uwagę, jak jest bogaty, ale to prawda. A kiedy podejmie wobec kogoś jakieś zobowiązanie, będzie je wypełniał wręcz niestrudzenie.

- Z tym ostatnim zgadzam się w zupełności. Podobnie jak z tym, że jeśli ktoś nadeptnie mu na odcisk, skutek będzie taki sam, nie odpuści aż do pełnej satysfakcji. I nie cierpi mieć długów. Poza tym, jak sędzę, pewien wpływ na twoją opinię o nim ma to, jak podchodzi do niewolnictwa genetycznego i jak to się przekłada na jego postępowanie.

- Przyznaję, że tak. Z tego, co mówiła Stacey, wieści o udziale Mesy w wydarzeniach w Gromadzie Talbott nie przyjął spokojnie.

- Co mnie ani trochę nie dziwi - oceniła Elżbieta, rozsiadając się wygodniej.

Ariel rozciągnięty na oparciu fotela pogładził ją delikatnie po policzku, pogłaskała go więc, po czym powiedziała:

- I nie jest w tym odosobniony, prawda?

- Nie jest - westchnęła Honor.

Przestawiła Nimitza z parapetu na swoje kolana i podrapała go po brzuchu. Naturalnie przymknął oczy i zamruczał zadowolony. Ciekawa była reakcji, jaką ostatnie rewelacje spowodowały na Ziemi, bo informacje z mediów Królestwa musiały już tam dotrzeć i lada dzień należało spodziewać się fali solarnych pismaków w drodze do Spandle i New Tuscany.

- Sądę, że masz równie dobre jak Stacey rozeznanie w tym, jak ludzie zareagowali - rzekła po chwili.

- Tak i nie - powiedziała Królowa.

Honor spojrzała na nią pytająco.

- Mam wyniki badań opinii publicznej, analizy tego, co pojawiło się w publicznych serwisach, i tego, co dotarło w różnej formie, od telefonów do maili, do pałacu, ale to ona przez ostatnie półtora roku standardowego tworzy swoje imperium prasowe, a pismacy niestety lepiej wyczuwają nastroje społeczne niż analitycy. Poza tym ma z nimi zdecydowanie lepsze kontakty niż ja i na dodatek słyszy to i owo od współpracowników i przyjaciół ojca. Zresztą jeśli o to chodzi, ty też obracasz się w raczej wyrafinowanych, że tak to ujmę, kręgach finansowych, księżno.

- Odkąd objęłam dowództwo niespecjalnie. Willard i Richard zajmują się wszystkim za mnie.

Elżbieta prychnęła, nie usiłując nawet dodawać, że w to wierzy.

Honor zaś wzruszyła ramionami. To, co powiedziała, było zgodne z prawdą, ale Elżbieta też miała rację. Willard Neufsteiler i Richard Maxwell faktycznie zarządzali jej imperium finansowo-przemysłowym, ale miała zwyczaj być na bieżąco z najważniejszymi sprawami, toteż regularnie czytała ich raporty, podobnie jak te sporządzane przez Austena Clinkscalea na temat domeny Harrington. A wszystkie one zawierały nieoficjalne informacje o nastrojach i opiniach w kręgach finansowo-przemysłowych Królestwa i Graysona.

- Stacey nie ma, jak to nazwałeś, imperium prasowego wystarczająco długo i nadal je organizuje, bo w tym interesie, jak podejrzewam, istnieje wiele aspektów irytujących tak zorganizowaną osobę jak ona - wyjaśniła Honor. - Ale z drugiej strony jest to dla niej coś nowego, więc nadal interesującego.

- Rozmawialiście więc o tym podczas lunchu! - dokończyła z tryumfem Elżbieta.

- Rozmawialiśmy i powtórzyła to, co ty słyszysz od analityków. Ludzie są zaniepokojeni. Prawdę mówiąc, spora część jest wręcz przerażona. Nie aż tak jak zaraz po bitwie o Manticore, ale jest. W końcu chodzi o Ligę Solarną, więc trudno im się dziwić.

- Wiem - westchnęła Królowa. - I chciałabym, żeby istniał sposób, by im tego oszczędzić, ale...

Zamiast kończyć, potrząsnęła wymownie głową.

- Rozumiem to, ale postąpiłaś słusznie - zapewniła ją Honor. - Trzeba to było podać do publicznej wiadomości, bo raz, że ludzie mają prawo znać prawdę, a dwa, coś takiego musiało prędzej czy później wyciec. Gdyby doszli do wniosku, że próbowałaś to zataić...

Teraz ona nie dokończyła, bo nie musiała.

Elżbieta skrzywiła się, ale przytaknęła.

- A jaka według Stacey była reakcja na to, że przez prawie miesiąc standardowy nie ujawnialiśmy pierwszego incydentu? - spytała.

- Osiem osób poparło tę decyzję, jedna nie, a jedna nie miała zdania, czyli w zasadzie wynik podobny jak w sondażach. - Honor wzruszyła ramionami. - Poddani Korony zdążyli się już nauczyć, że jeśli jakaś wiadomość podawana jest z opóźnieniem, to z ważnych powodów natury militarnej lub politycznej, a nie z obawy przed ich reakcją. Większość dobrze to rozumie i akceptuje, a sądzę, że wszyscy są zgodni, iż w tej konkretnej sprawie ostrożność i niepodgrzewanie atmosfery są bardzo ważne. I to nie tylko u nas.

- To dobrze. Nadal jednak mam wątpliwości, czy słusznie postąpiliśmy, podając informacje o udziale Manpower. Już sama wiadomość o wojnie z Ligą Solarną jest zła. Dodanie do tego podejrzenia, że została ona sprowokowana przez bandę handlarzy niewolników, zakrawa na paranoję i spiskową teorię dziejów w jednym.

Elżbieta miała sporo racji. Pomysł, że jakakolwiek firma, nawet największa i mająca poparcie władz planety, jest zdolna do manipulowania polityką zagraniczną i siłami zbrojnymi takiej potęgi jak Liga Solarna, wydawał się niedorzeczny. A taki właśnie wniosek jednoznacznie wynikał ze śledztwa przeprowadzonego przez Henke w New Tuscany. Co więcej, Pat Givens i jej analitycy w pełni się z nim zgadzali. Brała udział w dyskusji nad tym, czy podawać to do publicznej wiadomości, bo faktycznie brzmiało niczym twierdzenie paranoika, ale na jego poparcie były konkretne dowody.

- Zgadzam się, że dla pewnej części społeczeństwa to nieprawdopodobne, ale większość poważnie potraktowała te informacje. Jestem zadowolona, że to ujawniliśmy - oświadczyła Honor. - Być może do tych kretynów na Ziemi dotrze, że zyskali doskonałą wymówkę. Bo jeśli to wszystko jest wynikiem długofalowej intrygi Manpower i Mesy, przyznanie tego faktu to z jednej strony pretekst do przeprowadzenia wewnętrznych porządków, a z drugiej okazja do zdjęcia większości winy z Ligi i z jej władz. Mogą wszystko zwalić na Manpower, przyznając, że dali się zmanipulować. A muszą mieć świadomość, że jeśli tylko zaczną dopuszczać taką możliwość, natychmiast to podchwycimy i wszystko da się rozwiązać w drodze negocjacji. Po tym, co się wydarzyło w Unii Monica i wyszło w Technodyne, podstawy do takiego twierdzenia istnieją, co powinno im ułatwić sytuację.

- Powinnaś jeszcze dodać, że świadomość, iż dali się zmanipulować, powinna ich porządnie wkurzyć, mają więc wszystkie możliwe powody, by zrobić to, o czym mówisz. Tyle tylko, że tego nie zrobią - oceniła ponuro Elżbieta.

Honor spojrzała na nią pytająco, unosząc brwi.

- Gdyby byli rozsądni, nie czekali by trzech tygodni z odpowiedzią na naszą pierwszą notę, zwłaszcza że odpowiedź ta sprowadzała się do stwierdzenia, że badają nasze oskarżenia i że się odezwą. Szczerze mówiąc, jestem zdumiona, że udało im się opuścić słówko „niedorzeczne”. - Królowa potrząsnęła głową z niesmakiem. - Średnio obiecujący start, prawda? I bardzo typowy dla Ligi Solarnej. Nigdy nie przyznają, że zawinił solarny admirał, jeśli istnieje jakikolwiek sposób, by tego uniknąć. A ty masz nadzieję, iż oświadczą, że jakaś korporacja, i to nawet nie solarna, a zajmująca się procederem, którego Liga zakazała, jest zdolna manipulować ich flotą. Prędzej zdecydują się na wojnę z bezczelnym państwkiem, które śmie tak twierdzić, niezależnie od tego, ile będzie ona kosztowała, niż przyznają się do czegoś podobnego.

- Mam nadzieję, że się mylisz - powiedziała cicho Honor.

- Też chciałabym ją mieć, ale nie mam. - Elżbieta pokiwała głową i zmieniła temat. - A skoro już mowa o popełnionych błędach, przejdźmy do sprawy, która tak naprawdę mnie interesuje.

- Cztery dni - poinformowała ją zwięźle Honor.

- Aż tak po mnie widać, o co chodzi?

- Nie, ale ja też głównie o tym ostatnio myślałam. Plany operacyjne zostały ukończone, choć oczywiście wszyscy liczą na to, że nie okażą się one potrzebne. Alice Truman prowadzi manewry, a moje szkolenie u sir Anthony'ego prawie dobiegło końca. Więc za cztery dni.

- Jesteś pewna, że nie przydałoby ci się jeszcze kilka dodatkowych?

- Nie. Prawdę mówiąc, mogłabym wyruszyć wcześniej, ale są święta i chcę je spędzić z rodziną, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie mam. - Elżbieta uśmiechnęła się. - Ciągłe z trudem sobie uświadamiam, że jesteś matką, ale zawsze uważałam, że święta należy spędzać w domu, o ile to tylko możliwe. Teraz jest możliwe, bo kilka dni nie robi żadnej różnicy. Jak rozumiem, twoi rodzice też tam będą?

- Z Faith i Jamesem. Co zresztą bardzo ucieszyło Lindsey, bo byłyby to dla niej pierwsze święta bez bliźniąt, odkąd ukończyły rok.

- To miło, że wyszło wam spotkanie rodzinne - oceniła Elżbieta. - A wracając do poważnych tematów. Jesteś pewna, że tak właśnie chcesz to załatwić?

- „Pewna” to za mocne określenie. Jak wiadomo, nie jestem ekspertem w tej materii, ale uważam, że to najlepszy sposób... I na pewno zwróci ich uwagę.

- Rozumiem. - Elżbieta patrzyła na nią przez kilkanaście sekund. - No cóż, w takim razie niech tak będzie, tylko pamiętaj, że to był twój pomysł. Po namyśle przyznaję, że dobry. Zresztą niezależnie czy od początku ty miałaś rację czy ja, naprawdę najwyższy czas, by skończyć z całą sprawą. Jeśli problem z Ligą Solarną rozwinie się tak źle, jak się obawiam, dodatkowe zmartwienia będą ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy.

\* \* \*

Honor wstała, gdy James MacGuinness wprowadził do gabinetu wysokiego mężczyznę w uniformie oficera Ludowej Marynarki z dystynkcjami pełnego admirała. Za nią znajdowała się przezroczysta ściana z krystoplastu wychodząca na wzburzone wody Zatoki Jasona, oświetlone przez słońce przebijające się od czasu do czasu przez kłębiaste chmury. Stanowiło to ładną alegorię jej dotychczasowej znajomości z gościem.

- Admirale Tourville - powiedziała, wyciągając ku niemu dłoń na powitanie.

Nimitz zaś usiadł prosto na swojej grzędzie i przyglądał się przybyszowi, przekrzywiając głowę.

- Pani admirał. - Lester Tourville uściśnął jej dłoń, nie kryjąc ironicznego rozbawienia.

Wskazała mu fotel stojący przed biurkiem.

- Proszę usiąść.

Poczekala, aż to zrobi, i także usiadła. Oparta łokcie na poręczach i złączyła dłonie w piramidkę. Ich oboje, jak to określali pismacy, „łączyła barwna przeszłość”. Był jedynym oficerem Ludowej Marynarki, któremu udało się ją pokonać i wziąć do niewoli. Zrewanżowała mu się laniem na początku operacji Thunderbolt, ale zdołał umknąć, więc nie został jej jeńcem. No i był pierwszym dowódcą floty bliskim zdobycia systemu Manticore pięć miesięcy temu...

Tylko że, jak mawiał Andrew LaFollet, określenie „blisko” było ważne wyłącznie w odniesieniu do granatów i taktycznych atomówek...

I w niczym nie zmieniało faktu, że w bitwie o Manticore zginęły ponad dwa miliony ludzi. Ani też tego, że Honor zażądała od Tourville'a poddania okrętów z nienaruszonymi systemami komputerowymi. Miała prawo narzucić warunki, jakie chciała, jak długo były zgodne z międzyplanetarnym prawem, ale oboje wiedzieli, że żądanie to wykracza poza przyjęte w międzyplanetarnej wojnie zasady. Tradycją, i to powszechnie szanowaną było, iż oficer zmuszony do poddania okrętu niszczy najpierw jego komputer i banki pamięci. Tak właśnie postąpiła, polecając niegdyś McKeonowi poddać okręt Tourvilleowi.

Nic więc dziwnego, że ten spodziewał się po niej podobnie honorowego potraktowania.

Prawie się uśmiechnęła na wspomnienie jego furii, doskonale zresztą skrywanej za maską nienagannej uprzejmości, gdy pierwszy raz spotkali się po bitwie. Lodowata, nienaganna uprzejmość, z jaką formalnie się poddał, mogłaby oszukać każdego, lecz nie kogoś, kto dzięki unikalnej więzi z treecatem był w stanie wyczuć emocje otaczających go ludzi. Tyle że o tym ostatnim Tourville nie wiedział. Mógłby więc z równym powodzeniem na nią wrzeszczeć i skląć ją od najgorszych. I tak zresztą nic jej to wówczas nie obchodziło. A raczej czerpała z jego wściekłości swoistą satysfakcję, jako że wynikała ona ze świadomości, jak niewiele zabrakło mu do zwycięstwa.

Teraz nie była z tego dumna, ale wówczas śmierć tylu ludzi, z których część znała od dziesięcioleci, a inni, jak Alistair McKeon, byli jej przyjaciółmi, bolała, i to bardzo bolała. Ten ból i poczucie straty rozpały jej złość niemal równie bardzo jak rozczarowanie i złość Tourville'a. Dlatego dobrze się stało, że oboje przestrzegali z żelazną konsekwencją zasad militarnej uprzejmości wypracowanych dawno temu. Dobrze się stało także z tego powodu, iż nawet wówczas wiedziała, że ma do czynienia z porządnym i uczciwym człowiekiem, któremu zabijanie nie sprawia żadnej satysfakcji.

- Dziękuję, że pan przybył, admirale - powiedziała i uśmiechnęła się szczerze.

- To zaproszenie to dla mnie zaszczyt, pani admirał - odparł równie uprzejmie, jakby jeniec w kwestii zaproszenia na obiad przez kogoś, kto trzyma go w niewoli, miał jakiś wybór.

Nie była to zresztą pierwsza tego typu okazja - podczas ostatnich czterech miesięcy standardowych zdarzyło się ich jak dotąd sześć. Tyle że w przeciwieństwie do niego Honor wiedziała, że ta jest ostatnia w przewidywalnej przyszłości.

- Jestem tego pewna, a nawet gdyby tak nie było, jest pan zbyt uprzejmy, by to powiedzieć.

- Och, naturalnie - zgodził się Tourville.

Na co Nimitz bleeknął radośnie.

- Wystarczy. - Tourville pogroził mu palcem. - To, że możesz człowiekowi zaglądać do głowy, jeszcze nie jest powodem, żeby kwestionować zasady dobrego wychowania, choć i tak wszyscy wiedzą, że to jedynie uprzejme kłamstwa.

Nimitz zaczął sygnalizować, a Honor przyglądała mu się uważnie, bo Tourville jeszcze nie opanował języka migowego treecatów.

- On twierdzi, że nie wszyscy mają w głowach coś, co oplaca się oglądać -

przetłumaczyła, z trudem zachowując powagę.

- Doprawdy? - Tourville przyjrzał się Nimitzowi średnio życzliwie. - A czy może ma kogoś konkretnego na myśli?

Chwytne łapy Nimitza ponownie zamigały, po czym Honor powiedziała:

- Mówi, że miał na myśli zasadę generalną, a jeśli pan wziął to do siebie, nic na to nie poradzi.

- No proszę, jaki uprzejmy - burknął Tourville, ale z humorem.

Jednak po jego rozbawieniu nie został nawet ślad, gdy uzmysłowił sobie, że informacje o ostatnio potwierdzonych telepatyczno-empatycznych możliwościach treecatów są zgodne z prawdą.

Trudno było mu się zresztą dziwić, podobnie jak innym jeńcom. Sama świadomość, że jest się przesłuchiwanym przez doświadczonych zawodowców, którzy z najdrobniejszych informacji potrafią złożyć całkiem spójny obraz, była stresująca. Natomiast jeśli przesłuchującemu towarzyszył ktoś, kto potrafił czytać w myślach, perspektywa stawała się wręcz przerażająca. O tym, że treecaty nie potrafiły czytać ludzkich myśli, a jedynie emocje, mało kto wiedział, toteż każdy z przesłuchiwanym zakładał najgorszą możliwość.

Przynajmniej na początku.

Prawda nie była zresztą dla nich o wiele weselsza, bo treecat potrafił stwierdzić, kiedy łąą albo próbują się wykręcać, a także kiedy pytanie dotyczy czegoś, co za wszelką cenę chcą ukryć. Większość jeńców dość szybko zorientowała się w rzeczywistych możliwościach treecatów, ale i tak jedyną skuteczną metodą obrony przed kudłatymi wykrywaczami kłamstw była odmowa składania zeznań. Do czego mieli prawo zgodnie z konwencją denebską.

Nic więc dziwnego, że część z nich nie cierpiała lub wręcz nienawidziła treecatów, uważając, że ich zdolności naruszają ich prywatność. Większość na szczęście podeszła do tego racjonalniej - w końcu treecaty nie robiły tego celowo czy złośliwie, po prostu takie już były i nic na to nie mogły poradzić. A pewna grupa, w tym Lester Tourville, polubiła je nawet. Lester miał w tej kwestii niewielki wybór, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Miał już bowiem do czynienia z Nimitzem, gdy Honor była jego jeńcem, i traktował ich oboje uczciwie i porządnie. To spowodowało, że Nimitz go polubił, a jak Honor miała okazję zaobserwować w ciągu tych kilkudziesięciu spędzonych razem lat, naprawdę niewiele osób potrafiło oprzeć się urokowi Nimitza, gdy ten postanowił, że ktoś ma go polubić, bo on chce się z nim zaprzyjaźnić.

Tourville'a owinął sobie wokół palca w dwa tygodnie mimo wrogości między nim a Honor. Po miesiącu leżał już mu nawet na kolanach i dawał się głaskać, co Tourville robił

prawie odruchowo w czasie rozmowy z Honor.

Na szczęście nie podejrzewał nawet, że Honor zna jego emocje równie dobrze jak Nimitz.

- Jestem pewna, że nie miał pana na myśli, admirale - zapewniła z kamienną twarzą.

- Jasne że nie - prychnął Tourville, po czym przekrzywił głowę i spytał: - Wolno wiedzieć, czemu zawdzięczam to zaproszenie?

- Głównie okazji towarzyskiej.

W odpowiedzi uniósł prawą brew.

- Powiedziałam: głównie.

- Słyszałem. Odkryłem też, że jest pani najgroźniejsza, gdy jest pani najuczciwsza i mówi prawdę. Ofiara nawet nie zauważa, kiedy zapuszcza pani do jej umysłu sondę i zaczyna zbierać informacje, na których pani zależy - odparł, nie kryjąc ironii, ale i lekkiego rozbawienia.

- No cóż, skoro mam być prawdomówna, to przyznam, że jedyną rzeczą, jaką tak naprawdę chciałabym wyciągnąć z pańskiego umysłu, jest informacja o lokalizacji *Bolthole* - poinformowała go z rozbijającą szczerością Honor.

Tym razem nie dał nic po sobie poznać, ale kiedy pierwszy raz spytała go o położenie tej supertajnej stoczni, prawie podskoczył. Nadal nie bardzo wiedziała, czy dlatego, że zdawał sobie sprawę, jak ważny dla Republiki Haven jest ów kompleks, czy dlatego, że zaskoczyło go, iż zna jego nazwę. Tak czy siak, tej informacji z niego nie wydusi. I to nie dlatego, że on jej nie znał, bo nie był oficerem astronawigacyjnym. Nawet jeśli nie potrafiłby podać dokładnego położenia, musiał pozbierać różne informacje i przypuszczać, gdzie może się ona znajdować. Ujawnienie tych przypuszczeń wymagałoby jednak pełnej współpracy z jego strony. A nadzieja, że Lester Tourville będzie współpracował w takiej sprawie, była równie prawdopodobna jak nadzieja na negocjacje z hexapumą. Informacji tej nie było rzecz jasna w bazie danych żadnego ze zdobycznych okrętów, mimo iż co najmniej połowa tam właśnie została zbudowana. Po zakończeniu testów odbiorczych stare systemy komputerowe wymieniono ze względów bezpieczeństwa, czyli by utrzymać położenie kompleksu w tajemnicy, a w nowych te dane już się nie pojawiły.

Być może była to ostrożność przesadna, ale cel został osiągnięty. Jak dotąd Republice, a wcześniej Ludowej Republice Haven udawało się utrzymać położenie tej bazy naukowo-badawczej i kompleksu stoczniowego w tajemnicy, mimo że szukały go wszystkie wywiady Królestwa Manticore i Graysona z wywiadem floty na czele. Wszystko świadczyło o tym, że zarówno Eloise Pritchard, jak Thomas Theisman czy Kevin Usher zrobili wszystko, co mogli,



by ten stan utrzymać. A zmiana systemu i debilizm rządu High Ridge'a spowodował, że Królestwo dysponowało znacznie mniejszą liczbą agentów w Republice Haven niż w Ludowej Republice Haven.

- *Bolthole?* - powtórzył niewinnie Tourville. - A co to takiego?

Honor popatrzyła na niego z wyrzutem i pokiwała głową.

- No dobrze; przynajmniej spróbowałam - podsumowała. - Tak poważnie, ciekawią mnie pańskie opinie, szczerze opinie, o przywódcach politycznych Republiki.

- Słucham? - Tym razem Tourville nawet nie próbował ukryć zaskoczenia.

Kilkakrotnie zahaczali już o ten temat, ale jako uboczny, bo Honor nie była nim zbyt zainteresowana. Tylko na tyle, by dowiedzieć się, że atak na system Manticore został zaplanowany dopiero po odrzuceniu przez Królestwo propozycji negocjacji złożonej przez Pritchart. Oraz że Tourville, podobnie zresztą jak wszyscy jego oficerowie, był przekonany, że to Gwiazdne Królestwo Manticore sfalszowało korespondencję dyplomatyczną w czasie rozmów pokojowych. Fakt, że wszyscy w to wierzyli, co jednogłośnie potwierdziły treecaty, nie znaczył oczywiście, że tak właśnie było, ale skoro ktoś będący tak blisko Theismana tak uważał, prawda musiała być znana naprawdę niewielu wybranym osobom w Republice.

Pewność jeńców w tej kwestii była taka, że Honor omal nie zaczęła wątpić w to, co wiedziała. Korespondencją bowiem zajmowała się Elaine Descroix jako minister spraw zagranicznych w rządzie High Ridge'a. Honor nie miała złudzeń, że zarówno ona, jak i sam High Ridge byliby zdolni do podobnego fałszerstwa, gdyby z jakiegoś powodu uznali je za korzystne lub potrzebne; ba, była przekonana, że takie postępowanie bardziej pasuje do nich niż do Pritchart i Theismana. Był jednak pewien szkopał - w ministerstwie spraw zagranicznych pozostało dość urzędników, i to w rangach podsekretarzy lub podobnych, którzy przysięgali, że widzieli wysyłane depesze i ich treść zgadzała się ze zarchiwizowanymi. Ich prawdomówność także potwierdziły treecaty.

- Nie jestem gotowa rozmawiać o wszystkim, ale istnieje spora szansa, że wszelkie dodatkowe informacje o charakterach osób otaczających prezydent Pritchart, jak i o niej samej, jakie od pana uzyskam, mogą okazać się bardzo istotne dla obu naszych państw - powiedziała poważnie.

Lester Tourville przyglądał się jej uważnie i z kamienną twarzą, za którą kryły się galopujące myśli tak zmienne, że nawet Nimitz był w stanie wychwycić jedynie najsilniejsze emocje. Honor wiedziała, że starannie kultywowana poza radosnego narwańca kryje inteligentny i wysoce logiczny umysł, toteż spokojnie czekała, aż dojdzie do właściwych wniosków. Bo powodów, dla których chciała to wiedzieć, mogło być kilka, a nie wszystkie

musiały mu się podobać. Jak choćby ten, który nazywał się „żądania kapitulacyjne”.

- Nie proszę o ujawnienie żadnych kompromitujących czy tajnych informacji - dodała spokojnie. - I daję słowo, że nic z tego, co pan powie, nie zostanie nikomu powtórzone. Nie przesłuchuję pana w czyimś imieniu; te informacje są potrzebne mnie i tylko mnie. I zapewniam, że pytam o to, by nie dopuścić do rozlewu krwi, o ile to tylko będzie możliwe.

Tourville milczał jeszcze przez kilkanaście sekund, po czym odetchnął głęboko.

- Chciałbym najpierw uzyskać odpowiedź na pewne pytanie - powiedział niespodziewanie.

- Proszę pytać.

- Pani żądanie, żebym się poddał - rzekł, patrząc jej w oczy. - To był blef?

- Pod jakim względem?

- W sumie to pod dwoma.

- Chodzi o to, czy otworzyłabym ogień do pańskich okrętów, gdyby pan nie skapitulował?

- To jeden z nich.

- To nie był blef - poinformowała go rzeczowo. - Gdyby się pan nie poddał albo nie przyjął moich warunków, otworzyłabym ogień, pozostając poza zasięgiem waszych rakiet, i strzelałabym tak długo, aż ktoś, kto przejąłby dowództwo, nie poddałby Drugiej Floty albo aż nie zniszczyłabym ostatniego pańskiego okrętu.

Na długą chwilę zapadła cisza.

Pełna zrozumienia, jak to bywa między zawodowcami. Było w niej napięcie, ale nie było złości. Już nie - złość czy nawet wściekłość, którą oboje wtedy czuli, dawno zmieniła się w coś trudnego do opisanie, co najlepiej oddaje słowo „żał”.

Milczenie przerwał w końcu Lester Tourville.

- No cóż, to jedno przynajmniej wiem. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie darowałabym sobie, gdybym akurat wtedy dał się nabrać.

- Rozumiem. - Honor także się uśmiechnęła. - A drugi?

- Drugie, co nie daje mi spokoju, to czy mogłaby pani to zrobić z takiej odległości.

Honor zastanowiła się. To, o co spytał, objęte było tajemnicą, ale z drugiej strony nie miał żadnych możliwości, by przekazać uzyskane informacje komukolwiek poza innymi jeńcami.

- Nie - powiedziała w końcu. - Z tej odległości nie mogłabym.

- A. - Uśmiechnął się z jeszcze większą autoironią. - Przykro to słyszeć. Nikt nie lubi dowiadywać się, że dał się zrobić w konia.

Już chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie i zamknęła usta bez słowa.

A Tourville roześmiał się, i to niespodziewanie szczerze.

- Chciała pani dostać moje komputery - powiedział. - Oboje to wiemy. Oboje też wiemy, że nie mogłem uciec. A ja wiem też, co pani chciała powiedzieć.

- Wie pan?

- Wiem. Chciała pani powiedzieć, że miała dość rozlewu krwi i chciała uniknąć niepotrzebnych ofiar. A nie powiedziała tego z obawy, że nie uwierzę.

- Nie do końca... - rzekła powoli. - Prawdziwym powodem było to, że obawiałam się, iż zabrzmiałoby to jak usprawiedliwianie się.

- Może by tak zabrzmiało, ale prawda jest taka, że nie zdążyłbym uciec, nim pani zbliżyłaby się na tyle, by mieć moje okręty w zasięgu rakiet, a wtedy byłoby po nas. I prawdą jest, że gdyby do tego czasu dalej toczyła się walka, wynik byłby ten sam, tyle że niepotrzebnie po obu stronach zginęłoby jeszcze więcej ludzi.

Milczała, bo nie było sensu tego komentować.

Tourville zaś rozsiadł się wygodniej i oznajmił:

- No dobrze, przy zastrzeżeniu, że tajnymi informacjami się z panią nie podzielę, odpowiem na pani pytania.

## ROZDZIAŁ III

- Jesteś więc zadowolony ze stanu bezpieczeństwa systemu, Wesley? - spytał Benjamin IX, Protektor Graysona, siedzącego po drugiej stronie biurka głównodowodzącego Marynarki Graysona.

Wesley Matthews spojrział na niego zaskoczony i przytaknął:

- Jestem. A są jakieś powody, dla których nie powinienem być?

- Jeśli tak, to ja nic o tym nie wiem, ale wiem za to, że na Konklawe Patronów padną pewne pytania, lepiej więc, żebyś był na nie przygotowany.

Matthews skrzywił się z niesmakiem i pokiwał głową.

Obaj siedzieli w prywatnym gabinecie Benjamina w Pałacu Protektora, którego okno wychodziło na ogród. Chwilowo pory roku planetarnego pokrywały się z ziemskimi, toteż krajobraz za kopułą ochronną pokryty był śniegiem, jako że zbliżała się Gwiazdka. W oddali widać też było szkielet kopuły mającej wkrótce pokryć całe miasto - największej, jaką dotąd zbudowała Skydomes of Grayson. Póki co wyglądał na tle nieba niczym las martwych, ośnieżonych pni lub zaczątek zamrożonej pajęczyny dla mniej radośnie nastawionych do życia. Bliżej, bo w ogrodzie, roiło się od dzieci lepiących bałwany, prowadzących wojnę na śnieżki i zjeżdżających na sankach ze stromych ulic Starówki położonej zaraz za ogrodem. Do tego należało dodać karuzelę i inne atrakcje wesołego miasteczka rozstawionego w ogrodzie oraz straganiarzy ze słodyczami, gorącą czekoladą i innymi całkowicie niezdrowymi łakociami.

Czego widać nie było, to masek, które dzieci nosiły, ani rękawiczek spełniających wymogi stawiane zwykle skafandrom używanym w środowisku określanym jako „biohazard”, czyli niebezpiecznym dla życia i zdrowia. Powodem było wysokie stężenie ciężkich metali w śniegu i powietrzu, ale do tego mieszkańcy Graysona byli przyzwyczajeni niemalże od urodzenia.

Powodem inwazji nieletnich było ogólnoplanetarne święto, czyli Urodziny Protektora. Obowiązywało ono od prawie tysiąca lat standardowych, tylko data się zmieniała w zależności od tego, kiedy przyszedł na świat każdy kolejny Protektor. Od trzydziestu lat dzieci były poszkodowane, bo Benjamin IX urodził się 21 grudnia, a ferie zimowe trwały od 18 grudnia, straciły więc dodatkowy dzień wolny, który zyskiwałyby, gdyby był bardziej

przewidujący i urodził się na przykład w lutym czy w maju. Albo raczej gdyby jego matka była. Dlatego Benjamin od pierwszych urodzin urządzał przyjęcia w ogrodzie i na Starówce dla wszystkich dzieci ze stolicy i tych, które przyjechały spoza niej. Według skromnych ocen populacja osobników w wieku szkolnym miasta Austen wzrastała w tym dniu skokowo o 40-45%.

Tradycją także było, że tego dnia Protektor nie zajmował się oficjalnymi sprawami - w końcu każdy ma prawo do jednego dnia wolnego w roku. Benjamin wykorzystywał to do zajmowania się nieoficjalnymi sprawami, które uważał za istotne, i do wieczora, czyli do przyjęcia urodzinowego, był niedostępny dla nikogo. Rozwiązywał to w prosty sposób: ci z najbliższego kręgu, z którymi chciał coś omówić, zapraszani byli na wcześniejszą niż reszta gości godzinę. W tym roku w grupie tej znalazł się Wesley Matthews.

Były to 50 urodziny Benjaminu i wiek było już po nim widać - z roku na rok stawał się coraz bardziej szpakowaty. Matthews był o 10 lat standardowych młodszy i osiwił już całkowicie, choć nie miał skłonności do łysienia, co napawało go starannie ukrywaną dumą.

Coraz częściej zresztą łapał się na myśleniu, że się starzeje, zwłaszcza po spotkaniach z oficerami Królewskiej Marynarki, których znał od lat, i wiedział, że są od niego dużo starsi, a wyglądali już na dużo młodszych. Coraz więcej graysońskich oficerów także należało do tej kategorii, jako że w służbie znalazły się pierwsze pokolenia poddane prolongowi. Miał też świadomość, że sytuacja będzie się pogarszać, bo zamiast czterdziestolatków coraz więcej będzie absurdalnie młodo wyglądających nastolatków, którzy prolongowi zostali poddani jako dzieci, nie jako dorośli.

A to znaczyło, że będzie im coraz bardziej zazdrościł, bo bardzo chciałby być świadkiem wielu rzeczy, które wydarzą się, gdy oni będą żyli, a on już nie.

Nie znaczyło to, że stał nad grobem lub szykował się na śmierć - miał przed sobą jeszcze przynajmniej 30 lat standardowych, a Benjamin pewnie z 50.

Nie miało to absolutnie nic wspólnego z pytaniem, jakie mu właśnie zadał.

- A można wiedzieć, które z tych mend, to jest chciałem powiedzieć szacownych patronów, będą autorami tych pytań? - spytał.

- Cóż, spokojnie można założyć, że Travis Mueller wystąpi jako pierwszy, a Jasper Taylor zaraz za nim. Z tego co wiem, towarzyszyć im też będzie Thomas Guilford.

Matthews skrzywił się z niesmakiem. Travis Mueller był synem nieżyjącego i nieopłakiwanego Samuela Muellera straconego za zdradę, czyli udział w spisku zakończonym zamachem na Benjaminu i Elżbietę III. Jasper Taylor, patron Canseco, był synem i następcą najbliższego współnika Samuela Muellera, który zdecydował się kontynuować tradycyjny

sojusz, toteż ich nazwiska go nie zdziwiły. Natomiast Thomas Guilford, patron Forchein, był nową postacią w tym gronie. Był od nich starszy i choć nigdy nie należał do zwolenników reform, nie przyłączył się też do najzagorzalszych ich krytyków. Nie było wątpliwości co do jego stanowiska, lecz unikał konfrontacji z Protektorem i jego zwolennikami i nie sprawiał wrażenia kogoś skłonnego do poświęcenia zasad w imię politycznego pragmatyzmu jak Mueller.

- A jemu co się stało? - zdziwił się Matthews.

- Trudno powiedzieć. - Benjamin usiadł wygodniej. - Prawdę mówiąc, uważam, że w ich objęcia pchnął go High Ridge próbujący rozpieprzyć Sojusz bez powiedzenia tego otwarcie.

Matthews prychnął pogardliwie. Podobnie jak Benjamin od początku był gorącym zwolennikiem przymierza z Gwiazdowym Królestwem Manticore. Grayson skorzystał na nim nie tylko technicznie czy ekonomicznie, ale wręcz zawdzięczał mu dalsze swoje istnienie, bo bez Royal Manticoran Navy albo zostałby podbity przez fanatyków z Masady, albo ostrzelany ładunkami nuklearnymi. Był jednakże zmuszony przyznać, że poprzedni rząd udowodnił, iż Królestwo Manticore państwem idealnym nie jest. A wręcz do ideału mu daleko. Uważał też, że określenie „rozpieprzyć” jest zdecydowanie zbyt słabe, by oddać postępowanie barona High Ridge i jego przydupasów w stosunku do sojuszników. Podobnie jak większość mieszkańców Graysona, był też przekonany, że kretyńska polityka zagraniczna rządu High Ridge’a stanowiła główny powód wznowienia działań wojennych. Co było kolejnym dowodem na to, że głupota, przekupność i żądza władzy są nieodłącznymi elementami ludzkiej natury.

Historia Graysona roiła się od zdrajców, przestępców i wariatów, o religijnych fanatykach jako patronach nie wspominając, ale biorąc pod uwagę skalę zjawiska, Królestwo zdecydowanie przodowało. Faktem też jednak było, że na każdego poddanego Korony podobnego do High Ridge’a przypadało dwóch lub trzech odpowiadających Hamishowi Alexandrowi czy Alistairowi McKeonowi, o Królowej nie wspominając.

No i była jeszcze patronka Honor Harrington.

Pamiętając o tym wszystkim i dodając morze krwi przelanej wspólnie w ramach Sojuszu, był gotów wybaczyć Gwiazdnemu Królestwu High Ridge’a. Ale wiedział, że nie wszyscy rodacy podzielają ten pogląd. Nawet część z tych, którzy pozostali zagorzałymi zwolennikami Honor, oddzielała poparcie dla niej od poparcia dla Królestwa Manticore. Ona była jedną z nich z wyboru i przez przelaną krew należała do Graysona. I dlatego złość wywołana arogancją i debilizmem poprzedniego rządu jej nie dotyczyła. Fakt, że była

zagorzała przeciwniczką High Ridge'a, upraszczał sprawę.

- Mówię poważnie - podjął Benjamin. - Forchein zawsze był społecznym i religijnym konserwatystą, ale daleko mu było do naszego antagonisty. Natomiast połączenie polityki zagranicznej tego nadętego kretyna i wznowienie walk przeważało szalę. I niestety nie tylko u niego.

- Jak źle jest naprawdę?

Podobne pytania zadawał rzadko, bo tradycyjnie obowiązywał rozdział wojska i polityki, i teoretycznie rzecz biorąc, wyżsi oficerowie nie powinni uwzględniać aspektów politycznych przy podejmowaniu decyzji. Była to jednak teoria nie pokrywająca się z praktyką, bo pokryć się nie mogła, a poza tym nie oznaczało to, że oficerowie mieli udawać nieznamość realiów politycznych wpływających na strategię państwa, a więc i na zadania floty.

- Prawdę mówiąc, nie wiem - przyznał gospodarz. - Floyd sonduje sytuację i spodziewam się w przyszłym tygodniu dowiedzieć się dokładnie, kto jeszcze przejawia podobne inklinacje.

Floyd Kellerman, patron Magruder, po śmierci Henry'ego Prestwicka został kanclerzem. Wcześniej Prestwick przez dwa lata przygotowywał go do tej funkcji, a ród Magruderów od stuleci należał do najwierniejszych sojuszników rodu Mayhew, toteż Floyd nieźle się spisywał, ale brakowało mu jeszcze misternej sieci osobistych sojuszy, jakie miał stary kanclerz. Pracował nad nią i już udowodnił, że jest zarówno dobrym administratorem, jak i wytrawnym politykiem.

- Wiem natomiast, o co będzie chodziło i czego będą chcieli - dodał Benjamin. - Część z nich nie poparłaby nas już w chwili wznowienia walk, gdyby *Protector's Own* nie wzięli w niej udziału od samego początku. Uważali i nadal uważają, że High Ridge złamał nasz dwustronny traktat z Królestwem Manticore, prowadząc samodzielne negocjacje pokojowe z Republiką Haven. Podkreślają też, że Republika, wznawiając działania wojenne, nie zaatakowała Graysona, mimo że nasze okręty cały czas współdziałały z Królewską Marynarką, pozostając pod jej rozkazami. Wniosek: skoro tak, to nie jesteśmy ani prawnie, ani moralnie zobligowani do przestrzegania traktatu o wzajemnej pomocy w razie ataku, jak długo nie leży to w interesie Protektoratu, a nie leży. Teraz doszła do tego sprawa konfrontacji z Ligą Solarną będąca efektem ekspansji Gwiezdnego Królestwa Manticore w Gromadzie Talbott. Zresztą prawdę mówiąc, trudno mieć pretensje do kogokolwiek za nerwowość w obliczu groźby wojny z Ligą Solarną, zwłaszcza że High Ridge zupełnie zmarnował inwestycje w lojalność. Jak dotąd żaden z naszych okrętów nie wziął udziału w

operacjach na obszarze Gromady Talbott, ale nasi ludzie służący na królewskich jednostkach wzięli. Ponad trzydziestu zostało zabitych choćby na tych trzech niszczycielach zniszczonych w New Tuscany. A to daje martwiącym się o to, co może nastąpić między Ligą a Królestwem, czyli także i nam, argument, że Liga może uznać, iż tym samym my także wzięliśmy udział w operacji przeciwko niej, wspierając Królestwo. Osobiście uważam, że każdy, kto ma realistyczne spojrzenie na sytuację, powinien wiedzieć, jak działa Biuro Bezpieczeństwa Granicznego i cała Liga, toteż rozumie, że przeciwstawienie się jej leży w interesie każdego jeszcze niezależnego systemu planetarnego, ale nie wszyscy niestety się ze mną zgadzają. I to sprowadza rozmowę z powrotem do pierwszego pytania: czy jesteś zadowolony ze stanu obrony naszego systemu planetarnego.

- Biorąc pod uwagę najbliższą przyszłość, tak - odparł natychmiast i zdecydowanie Matthews. - Odkąd Willie Alexander został premierem, a Hamish Pierwszym Lordem Admiralicji, współpraca i porozumienie z Królestwem i RMN wróciły do normy. Nasi ludzie z działu naukowo-badawczego współpracują bezpośrednio ze specjalistami z Królewskiej Marynarki, dostaliśmy wszystko co potrzebne, by uruchomić produkcję *Apolla*, a nawet osiem tysięcy zasobników defensywnych do obrony systemu. Nasz wywiad otrzymał kompletne kopie wszystkiego, co wyciągnięto z solarnych komputerów w New Tuscany, razem z próbkami solarnego uzbrojenia i wyposażenia. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy dostać któryś ze zdobycznych krążowników liniowych do zbadania, ale uznaliśmy, że to niecelowe, bo ludzie admirał Hemphill są w tym lepsi, a nasi mają tam dostęp do wszystkiego. Jeśli chodzi o Republikę Haven, jestem pewien, że zdołamy obronić się przed wszystkim, co jej zostało. Jeśli chodzi o Ligę Solarną, to na podstawie badań uzbrojenia zdobycznych okrętów twierdzę, że aby zdobyć system Yeltsin, potrzebowałaby tysiąca okrętów liniowych. Pesymistycznie zakładając, bo najprawdopodobniej przynajmniej o połowę więcej. Biorąc pod uwagę, ile solarnych okrętów potrzebnych jest ciągle w samej Lidze, to, że większość tkwi w rezerwie i wymaga aktywacji oraz to, że nim się do nas zabrają, muszą poradzić sobie z Królestwem, jestem spokojny, że nic nam z jej strony nie grozi. Natomiast w dłuższej perspektywie Liga stanowi dla nas bardzo poważne zagrożenie. Zgadzam się z oceną RMN, że Marynarka Ligi, prawdopodobnie zresztą jak cała Liga Solarna, potrzebuje lat na wprowadzenie do użycia uzbrojenia porównywalnego do naszego. Sądzę, że wykorzystanie tego, co mają niektóre floty systemowe, może ten czas trochę skrócić, ale inercja biurokracji będzie działała na jej niekorzyść. Zresztą z tego co wiem, żadna z nich nie dorównuje nam pod względem poziomu technicznego. I jeszcze długo nie dorówna. Natomiast jeśli Liga będzie skłonna zapłacić wystarczającą cenę krwi i pieniędzy,



to bez interwencji boskiej w końcu pokona i Królestwo, i nas, nieważne jakich strat byśmy jej wcześniej nie zadali.

Benjamin obrócił się wraz z fotelem.

W gabinecie panowała cisza, a Matthews z braku lepszych zajęć zajął się kontemplowaniem widoku za oknem. Miał nadzieję, że w końcu wyrośnie na Graysonie choć jedno pokolenie, które nie będzie musiało martwić się wojną i kolejnym zagrożeniem. Zrobił, co mógł, by tak się stało ale wiedział, że pełnego sukcesu nie osiągnął.

- Chciałbym rzec, że jestem zaskoczony tym, co usłyszałem - odezwał się w końcu Benjamin. - Ale niestety tego mniej więcej się spodziewałem i jak podejrzewam, Mueller z przyjaciółmi też doszli do podobnych wniosków.

- Mogę...

- Nie możesz - przerwał mu Benjamin i dodał uroczyście: - Jestem pewien, admirałe Matthews, że nie miał pan zamiaru zasugerować ołgania w żywe oczy Konklawe Patronów, gdyby jego członkowie zechcieli spytać pana o stan naszej obronności.

I parsknął śmiechem, widząc minę rozmówcy.

- Oj, Wesley, Wesley! - westchnął z rozbawieniem. - Doceniam propozycję i jestem pewien, że kłamałbyś dobrze i spójnie. Niestety, pozostawiając na boku niezbyt istotne kwestie, czy byłoby to słuszne i moralne, co nie zawsze znaczy to samo, w końcu sprawa by się wydała, a wtedy wszyscy byśmy na tym o wiele bardziej ucierpieli. Nie trzeba geniusza, by dojść do wniosku, że przy długotrwałej wojnie państwo tak wielkie jak Liga w końcu skopie nam dupę. Po pierwszej klęsce wszyscy nagle zaczną znać się na strategii i wyjdziemy na durniów, na dodatek kłamiących w interesie Królestwa. Lepiej tego nie robić.

Matthews pokiwał głową, ale coś w tonie Benjaminu mu nie pasowało i musiało się to odbić w wyrazie jego twarzy, bo ten zachichotał.

- Mówiłem o długofalowych skutkach - wyjaśnił. - W sprawie sytuacji obecnej, jak i przewidywalnej przyszłości możesz mówić, co chcesz, i przesadzać, jak uznasz za stosowne, skoro jesteś pewien tego, co mi powiedziałeś.

- Jestem. W najbliższej przyszłości nic nam poważnie nie zagraża. Tak bym to ujął.

- To dobrze, bo knujący autokraci tacy jak ja szybko uczą się, że bliskie zagrożenia są o wiele ważniejsze niż długofalowe. Taka już ludzka natura, że koncentruje się na bezpośredniej przyszłości. A jeśli przetrwamy kilka najbliższych miesięcy, sytuacja powinna zmienić się dość radykalnie w efekcie misji Honor.

Matthews kiwnął głową, choć nie był aż takim entuzjastą całego przedsięwzięcia jak Protektor. Jako dowódca Marynarki Graysona należał do nielicznego grona wybrańców

znających cel misji Honor, którym był system Haven, i zgadzał się, że warto podjąć tę próbę, ale nie wierzył w jej powodzenie. Z drugiej strony ta kobieta miała dar osiągania niemożliwego, jakąś nieśmiałą nadzieję więc jednak miał.

- Jeśli zdołamy dogadać się z Republiką, morale poważnie wzrośnie, a nasza pozycja w Konklawe ulegnie znaczącemu wzmocnieniu - dodał Benjamin. - Co więcej, jeśli ktoś w Lidze Solarnej uzmysłowi sobie, jaką mamy przewagę techniczną, i połączy to z faktem, że wszystkie siły będziemy mogli skupić na walce z nią, może dojść do wniosku, że wojna z Królestwem Manticore nie jest sensownym posunięciem.

- Nie żebym się nie zgadzał z tą logiką, ale obaj wiemy, jak myślą w Lidze. Nie bardzo chce mi się wierzyć, by gdzie jak gdzie, ale właśnie na Ziemi nagle dostali ataku zdrowego rozsądku.

- Ja też w to nie wierzę, ale jest to możliwe. Przyznaję, że mało prawdopodobne, ale możliwe. Przypomina mi się stary kawał o perskim koniokradzie opowiadany przez ojca.

- Proszę?!

- Perski koniokrad - powtórzył Protektor, a widząc minę rozmówcy, spytał uprzejmie: - Wiesz, co to była Persja?

- Gdzieś to słyszałem - przyznał ostrożnie Matthews - coś z zamierchłej ziemskiej historii?

- Persja była jednym z największych imperiów w starożytności. Władca nazywał się szach, a termin „szach i mat” pochodzi z perskiego i oznacza „król nie żyje”. To najlepiej świadczy o tym, jak dawne to były czasy. W każdym razie chodzi o to, że pewnego dnia koniokrad ukraść ulubionego wierzchowca szacha, ale nie zdążył uciec z terenów pałacowych. Złapano go i zaprowadzono przed oblicze szacha. Karą za kradzież konia była śmierć, ale władca chciał zobaczyć śmiałka. Spytał, czy wie, co mu grozi. Koniokrad odparł, że owszem, ale każdy szanujący się człowiek w jego fachu kradnie tylko najlepsze konie, a najlepsze ma właśnie szach. Rozbawiło to władcę, który zaproponował mu, by podał choć jeden powód, dla którego nie ma kazać go ściąć na miejscu. Złodziej po paru sekundach namysłu zaproponował, że za darowanie mu życia nauczy jego konia śpiewać, a jeśli mu się to nie uda, nie będzie miał nic przeciwko temu, by stracić głowę. Szach po namyśle zgodził się, ale z pewną modyfikacją: ścięcie poprzedzą tortury. Koniokrad na to przystał i straż go wyprowadziła. Po drodze jeden ze strażników spytał go, dlaczego się zgodził, skoro konia nauczyć śpiewać się nie da. Na co koniokrad odpowiedział, że zyskał rok, w ciągu którego wiele może się wydarzyć: szach może umrzeć, a następca może go ułaskawić, on sam może umrzeć, przestanie więc mieć problem, a wreszcie może jednak koń nauczyć się śpiewać.

Matthews uśmiechnął się uprzejmie, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Pod wieloma względami jesteśmy w podobnej sytuacji - wyjaśnił Benjamin. - Zbyt długo i zbyt ściśle jesteśmy związani z Królestwem, by Liga zostawiła nas w spokoju, jeśli zdecyduje się ukarać Królestwo, zwalając na nie winę za to, co się stało. W końcu jedno prymitywne państewko więcej czy mniej, co za różnica, zwłaszcza dla wielosystemowego, posiadającego najliczniejszą flotę handlową w zasiedlonej galaktyce giganta. Łatwiej zniszczyć oba, niż przyznać, że solarny admirał spieprzył sprawę, i to konkursowo. Taka więc przyszłość nas w końcu czeka, chyba że jesteśmy gotowi stać się posłusznym niewolnikiem Bura Bezpieczeństwa Granicznego i za nie pacyfikować innych prymitywów, którzy narażą się Lidze Solarnej. Jestem pewien, że zdarzy się jakiś pechowy incydent z udziałem naszego okrętu, nim na dobre dobią do Królestwa, bo ktoś uzna, że lepiej załatwić nas przy okazji, nim staniemy się poważniejszym zagrożeniem. I dlatego jedyne, co nam pozostało, to stać u boku Królestwa i liczyć na to, że ktoś w Lidze zacznie jednak myśleć i spróbuje uniknąć masakry na przemysłową skalę. W końcu może i konia da się nauczyć śpiewać...

I uśmiechnął się, lecz bez śladu wesołości.

\* \* \*

- No dobra, chłopcy i dziewczęta: możemy wracać do domu - oznajmił komandor Michael Carus. - To oficjalna decyzja.

- Alleluja! - ucieszyła się komandor porucznik Bridget Landry, której twarz widniała na ćwiartce ekranu łącznościowego. - Nie żeby tu było nudno; ostatnio równie dobrze się bawiłam, gdy wrywali mi ząb mądrości.

Carus uśmiechnął się ze zrozumieniem. Cztery okręty tworzące 2. Dywizjon 265. Eskadry Niszczycieli przez dwa tygodnie pozostawały w kompletnym bezruchu miesiąc świetlny od Manticore A, w zasadzie nic nie robiąc. Bo jedyne czym zajmowały się załogi, to bezustanne skanowanie okolicy w poszukiwaniu czegokolwiek. Niczego nie znaleziono, toteż reakcja Landry była całkowicie zrozumiała. Ale ktoś musiał to robić. Skoro system wczesnego ostrzegania wykrył coś, co mogło być śladem wyjścia z nadprzestrzeni, należało to dokładnie i szybko sprawdzić.

Fakt - najprawdopodobniej mieli do czynienia z elektronicznym duchem. Było wysoce nieprawdopodobne, by ktokolwiek wyszedł z nadprzestrzeni tak daleko od systemu planetarnego, mając złe zamiary, ale to niczego nie zmieniało. Bezpieczeństwo systemu Manticore było kwestią priorytetową i dlatego w takich wypadkach dyżurny dywizjon niszczycieli w trybie alarmowym udawał się na miejsce, by to sprawdzić. Jeśli zaś niczego nie

znalazł, pozostawał tam przez pełne dwa tygodnie standardowe.

Teraz ten okres właśnie dobiegł końca.

- Czyżbyś miała jakieś nie cierpiące zwłoki sprawy do załatwienia w domu, Bridget? - spytał dziwnie uprzejmie Carus.

- Skąd ci coś takiego przyszło do głowy? - zdumiał się z miną niewiniątka komandor porucznik John Pershing przebywający na mostku HMS *Raven*.

Słyszając to, komandor porucznik Julie Chase dowodząca HMS *Lodestone* zachichotała.

- Jak rozumiem, czegoś nie wiem, prawda? - Carus pokiwał głową. - A może mam sklerozę?

- Ona ma spotkanie tych od archaizmów - wyjaśniła Chase.

- To się nazywa kreatywny anachronizm, bando ignorantów - oznajmiła oburzona Landry.

- Chodzi o przebierańców? - upewnił się Carus.

- Tylko znowu nie zaczynaj! - zaperzyła się Landry. - Każdy ma jakieś hobby! Ja o łapaniu biednych ryb na haczyk się nie wypowiadam, prawda?

- On przynajmniej je to, co złapie - skomentowała Chase. - Albo to, co łapie, próbuje zjeść jego; nie jestem pewna. W każdym razie jest to mniej głupie niż twoje przebieranki.

- Zanim się rozpędzisz, chciałabym zwrócić ci uwagę, że Salamandra jest honorowym członkiem Stowarzyszenia Kreatywnego Anachronizmu - wypalił Pershing.

- Co?! - Chase wytrzeszczyła oczy. - Żartujesz?! Księżna Harrington bawi się w takie głupoty?!

- Niedokładnie - przyznała nieco niechętnie Landry. - Jest członkiem honorowym, jak John powiedział. Jej stryj to figura w oddziale na Beowulfie. Wprowadził ją ze trzydzieści standardowych lat temu. Spotkałam ją na kilku zjazdach. Nie przebiera się, ale bierze aktywny udział w konkursie strzeleckim. Z pistoletu.

- No proszę - podsumował Carus. - Jeśli to dobre dla niej, to dla zwykłego oficera też. I nie wyśmiewać mi się tu więcej z Bridget, rozumiano? Nawet jeśli to głupie zajęcie dla osoby dorosłej i inteligentnej, to przynajmniej robi te głupoty w dobrym towarzystwie.

Landry w podzięcie pokazała mu język.

Carus parsknął śmiechem i spojrzał na porucznik Lindę Petersen, oficera astronawigacyjnego HMC *Javelin*.

- Masz obliczony kurs? - spytał.

- Mam.

- W takim razie prześlij go tym typkom - polecił. - Musimy jednak dostarczyć

komandor Landry na Manticore ciupasem albo jeszcze prędzej. Tak, zdaje się, kiedyś mawiali, nie?

\* \* \*

Komandor Karl Østby rozsiadł się wygodniej, zamknął oczy i zanurzył w muzyce. Stare ziemskie opery odprężyły go najbardziej, odkąd sięgał pamięcią. Nauczył się nawet francuskiego, niemieckiego i włoskiego, by móc ich słuchać w oryginalnych wersjach. Miał talent do języków, bo była to jedna z cech jego genomu.

A teraz bardziej niż kiedykolwiek tego odprężenia potrzebował. Jego siedem okrętów od ponad standardowego miesiąca badało perymetr systemu binarnego Manticore, a to nie było uspokajające zajęcie. Ta banda idiotów z Marynarki Ligi mogła sobie myśleć, co chciała, ale Østby podobnie jak cała Flota Mesy żywił najwyższy szacunek dla wyszkolenia i poziomu technicznego Royal Manticoran Navy. Tym jednakże razem to on dysponował lepszymi rozwiązaniami technicznymi i RMN powinna zostać całkowicie zaskoczona. Gdyby nie był tego pewien podczas planowania całej operacji, zyskałby tę pewność teraz, choć musiał przyznać, że Równanie poważnie nie doceniło systemu wczesnego ostrzegania Królewskiej Marynarki. Każdy konwencjonalny okręt zostałby wykryty dawno temu przez zintegrowany system szerokopasmowych sensorów o pokrywających się polach działania, które stopniowo i starannie rozpoznawali. A im więcej wiedział, tym bardziej się obawiał, że mimo wszystko system ten zdoła coś wychwycić na tyle szybko, by przynajmniej zmniejszyć skuteczność operacji, o ile nie uniemożliwić jej w ogóle.

Powtarzał sobie, że jest panikarzem, bo taka ewentualność jest nieprawdopodobna, ale to nie pomagało. Może dlatego, iż był świadom, że to między innymi ta cecha czyni go dobrym oficerem, choć jego podkomendni mogli uważać inaczej, biorąc pod uwagę liczbę planów awaryjnych, jakie kazał opracowywać. Musieli mu jednak przyznać jedno: nie będą zaskoczeni, gdy zadziała któreś z praw Murphy'ego, Jak dotąd tak się nie stało, a *Chameleon* i pozostałe jednostki miały już za sobą najryzykowniejszą część misji - odzyskanie sond zwiadowczych po ich przelocie przez system. Sondy były świetnie zamaskowane, jak tylko udało się osiągnąć po dziesięcioleciach badań wspartych kwotami, o jakich wolał nie myśleć, i nie posiadały nadajników, ponieważ nie musiały przysyłać żadnych informacji. Nie miały też napędów - całą trasę przebyły jako obiekty balistyczne, używając wyłącznie pasywnych sensorów, których odczyty zgrano z nich dopiero po fizycznym spotkaniu i podjęciu na pokład.

Pasywne sensory zbierały o wiele mniej danych od aktywnych, ale sondy wyposażono

w te najczulsze z możliwych, szerokopasmowe i wielokrotnie zdublowane, i ogólny wynik uzyskały jak najbardziej zadowolająco. Z tego, czego się dowiedzieli, wynikało, że jednostki budowane w rozproszonych stocznich nie były na takim etapie zaawansowania, jak ocenił wywiad, bo miały zbyt mało źródeł energii na pokładach. Za to lokalizację tych stocznich poznano bardzo dokładnie, a sądząc po ilości źródeł energii i sposobu ich rozmieszczenia na zewnątrz okrętów, budowę większości nowych jednostek dopiero rozpoczęto. Trudno było mieć pewność, ale wyglądało na to, że stocznie pracowały szybciej, niż zakładano, a to znaczyło, że prawie ukończone okręty, które planowano zniszczyć, zostały już zbudowane i znajdowały się w systemie Trevor's Star, przechodząc próby odbiorcze.

Nie była to miła wiadomość, ale musiał się z tym pogodzić.

Teraz pozostało tylko uaktualnić to, co wykryły sondy. Wołałby co prawda wysłać je ponownie na krótszy przelot, za to bliżej celów, ale rozkazy dostał wyraźne - element zaskoczenia był ważniejszy od dokładności rozpoznania. A poza tym skoro już znał lokalizację stocznich, wiedział to, co najważniejsze. Stocznie orbitalnych nie przecholowywano z miejsca na miejsce, a gdyby komuś przyszło to do głowy, sygnatyry napędów holowników byłyby tak silne, że wykryłyby je sensory pokładowe. A stacji kosmicznych nie dałoby się przecholować, nawet gdyby ktoś naprawdę chciał.

Zostało jedynie czekać i obserwować.

A za miesiąc standardowy umieścić na wyznaczonych pozycjach platformy kontroli ogniowej.

Przyznawał uczciwie sam przed sobą, że będzie to ryzykowne, ale platformy miały skuteczniejsze maskowanie elektroniczne niż jego okręty i żeby którąś wykryć, trzeba by prawie się z nią zderzyć. A miały zostać rozmieszczone poza płaszczyznę ekliptyki, gdzie w zasadzie nic nie latało, więc i nie bardzo miałyby co na nie wpaść. Wołałby co prawda, żeby były mniejsze, ale przesyłanie namiarów celów do tyłu rakiet indywidualnie wymagało solidnej liczby łączy, a więc i dużych nadajników. Dlatego też było pewne, że obrońcy coś usłyszą, ledwie zaczną one nadawać.

Tylko że wtedy to już im nie pomoże.

Mysł ta napelniała go ponurą satysfakcją. Wszystko, co robili przez ostatnie trzy i pół miesiąca standardowego, miało mieć kulminację w ciągu właściwie kilkunastu sekund... A jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nic nie zdoła uratować Gwiezdnego Imperium Manticore.

## ROZDZIAŁ IV

- Dostałaś kopię wiadomości od admirała Cheng? - spytał kapitan Daud ibn Mamoun al-Fanudahi, wsadzając głowę przez drzwi.

- Której wiadomości? - warknęła kapitan Irene Teague z pogardą, na jaką nie pozwoliłaby sobie w rozmowie z żadnym innym oficerem Battle Fleet.

Przy nim zresztą jeszcze miesiąc temu też by nie zaryzykowała, bo wyrażanie pogardy w stosunku do oficera flagowego było proszeniem się o kłopoty. Nawet jeśli okazujący był z Floty Granicznej, a przejawiał ją w stosunku do admirała Battle Fleet. A jeśli rzeczony admirał był przełożonym oficera, wobec którego pozwoliło się sobie na szczerą, kłopoty były wręcz pewne.

Na swoje nieszczęście Teague doszła do wniosku, że al-Fanudahi ma rację, wierząc w niedorzeczne informacje o superbroniach Royal Manticoran Navy. Ostatecznym dowodem było dla niej to, co spotkało Josefa Bynga w New Tuscany.

I co oczywiście umknęło uwagi, jak wszystkie podobne informacje zresztą, admirał Cheng Hai-shwun kierującej Biurem Analiz Operacyjnych, do którego ona i Daud zostali przydzieleni.

- Tej o odprawie w przyszłym tygodniu dla Kingsforda i Thimára.

- A...! - Teague zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć, do którego z folderów wepchnęła akurat tę wiadomość.

Połowy chłamu, który dostawała w poczcie elektronicznej, nawet nie otwierała, nie wspominając już o czytaniu, bo nikt nie byłby w stanie tego robić i mieć jeszcze czas na cokolwiek innego. Ilość produkowanych wiadomości, listów, raportów, próśb i notatek w dowództwie floty była w zasadzie niepoliczalna, a przytłaczająca większość autorów tych śmieci nie tworzyła ich z żadnego innego powodu jak chęci chronienia własnego tyłka. Gdyby ktoś miał do nich o coś pretensje, zawsze mogli się zasłonić tym, że o wszystkim napisali i rozesłali listy, dokąd trzeba i nie trzeba, tylko reakcji nie było.

Po krótkich poszukiwaniach oznajmiła z tryumfem:

- Jest! Potrzebujesz kopii?

- Prześlij mi to, bo moją gdzieś wciągnęło. A chcę sprawdzić, czy Polydorou albo któryś z jego zaufanych mają wziąć w tym udział.

- Poczekaj. - Przebiegła wzrokiem tekst. - Nic tu o nich nie ma.

- Tak właśnie mi się wydawało. Nie najlepszy znak, nieprawdaż?

- Chyba nie najlepszy - zgodziła się po namyśle Teague. - Ale z drugiej strony może to i dobrze. Dzięki temu przynajmniej cię wysłuchają, a on będzie miał mniej czasu na zorganizowanie sobie dupochronu, nim ktoś zacznie zadawać mu niemiłe pytania.

- I naprawdę uważasz, że to prawdopodobne?

- Tak naprawdę to nie - przyznała niechętnie.

Cheng jak dotąd po prostu nie zdawała sobie sprawy, w jaką technicznie zaawansowaną i skuteczną maszynkę do mielenia mięsa Marynarka Ligi pakuje paluchy, natomiast admirał Martinos Polydorou kierujący Biurem Rozwoju nie wierzył w żadne informacje o postępie technicznym RMN i energicznie im zaprzeczał. Należał też do pomysłodawców projektu Floty 2000 i był bardziej niż większość oficerów przekonany o przewadze technicznej floty solarnej nad wszystkimi innymi.

Biuro Rozwoju miało stale poszukiwać nowych rozwiązań technicznych i ich praktycznych zastosowań tak w uzbrojeniu, jak i wyposażeniu okrętów. Taka była teoria. Biuro Analiz Operacyjnych miało teoretycznie analizować dane mogące wskazać potencjalne zagrożenia i wyciągać z nich stosowne wnioski. Jak wyglądała praktyka, najlepiej świadczyła zastopowana od lat kariera al-Fanudahiego, który to właśnie robił wbrew wszystkim innym i szefowi. Teague należała do bardzo nielicznych, którzy podzielali jego wnioski. On zaś nakazał jej nie ujawniać tego nikomu.

- Może szanse byłyby większe, gdybyś pozwolił mi także podpisać się pod tą analizą - oświadczyła.

- Nie wzrosłyby aż tak, by warto było ryzykować, że stracisz wiarygodność. Jeszcze nie czas, żebyś zaczęła mówić.

- Ale...

- Nie - przerwał jej zdecydowanie. - W raporcie Sigbee nie ma nic nowego poza stwierdzeniem, że rakiety mają zasięg co najmniej 29 milionów kilometrów, ale to już zostało ustalone w czasie bitwy o Monicę; wystarczy zajrzeć do raportu. Ktoś musi im to powtarzać, ale i tak nie uwierzą, dopóki jakieś duże zgrupowanie naszych okrętów nie zostanie tak zmasakrowane, że nawet Cheng nie będzie w stanie udawać, że to się nie stało. Wszyscy tu uważają, że jak nie nasze, to nie może być dobre, i nie chcą słuchać nikogo, kto się z nimi nie zgadza.

- Ale przecież tylko kwestią czasu jest, by się zorientowali, że masz rację. Że cały czas ją miałeś.



- Może. Ale uważasz, że kiedy to nastąpi, spodoba im się, że cały czas tkwili w błędzie? Co się przeważnie dzieje z takimi jak ja, którzy przepowiadają nieszczęście, gdy okaże się, że mieli rację? Przełożeni najczęściej tym bardziej chcą ich ukarać. Ostatnią rzeczą, na jaką są gotowi, to prosić o radę kogoś, kto mówił im wielokrotnie, że są kretydami, po tym jak wszechświat udowodnił, że są nimi rzeczywiście. I dlatego tak ważne jest, żebyś się w to nie mieszała. Kiedy wreszcie granat walnie w szambo, tylko ty będziesz miała dostęp do wszystkich moich analiz i notatek. Będziesz mogła zostać ich ekspertem, bo tylko ty będziesz znała prawdę, a równocześnie nie będziesz kimś, kto ich wkurzał, odkąd pamiętają.

- To niesprawiedliwe!

- Tak? - Al-Fanudahi uśmiechnął się gorzko. - A skąd ci przyszło do głowy, że wszechświat jest uczciwy? W bajki wierzysz czy ktoś ci głupot naopowiadał?

- Nie, ale... - Zamilkła, ale potrząsnęła głową na znak, że choć jej się to nie podoba, zmuszona jest się z tym pogodzić.

- No, skoro już to ustaliliśmy, jestem ciekaw, czy poświęciłaś trochę czasu na myślenie nad problemami, o których ci wspomniałem, mianowicie o różnicy między ich pokładowymi rakietami a wystrzeliwanymi z zasobników?

- Chodzi ci o dodatkowy napęd?

- Właśnie. Albo o dodatkowe napędy.

- Daud, jestem skłonna przyznać, że mogło im się udać zmieścić dodatkowy napęd w rakietach odpalanych z zasobników, bo są większe, ale nie widzę sposobu, w jaki mieliby to zrobić z dwoma napędami!

- Nie zapominaj, że nasi przełożeni dalej uważają, że tego jednego też się nie da wcisnąć - przypomniał z błyskiem złośliwości i troski w oczach. - Jeśli się mylą, a wiemy, że tak jest, dlaczego ty nie miałabyś się mylić w kwestii trzeciego napędu?

- Bo istnieją fizyczne ograniczenia, których nawet Królestwo nie zdoła pokonać - wyjaśniła cierpliwie. - A poza tym...

Daud ibn Mamoun al-Fanudahi oparł się wygodnie o ścianę, przygotowując się do kolejnej akcji rozszerzania granic jej wyobraźni.

\* \* \*

Aldona Anisimowna maszerowała energicznie luksusowo urządzonego korytarzem. Nie przemierzała go po raz pierwszy, ale tym razem nie czuła ani zdenerwowania, ani niepokoju, jak to miało miejsce zawsze do tej pory. I to nie dlatego, że towarzyszył jej genetycznie zmodyfikowany ochroniarz choć jego obecność była najlepszym dowodem na to,

jak zmieniała się w ciągu pół roku standardowego nie tylko jej pozycja, ale i cały jej świat.

Nie zdawała sobie z tego sprawy owego dnia, gdy poznała prawdę, podobnie jak cała reszta wszechświata nie miała pojęcia, że już wkrótce ich świat także ulegnie drastycznej zmianie.

Dotarli do drzwi na końcu korytarza, które rozsunęły się bezszelestnie, i na drodze stanął mężczyzna, który mógłby być kuzynem Taliadorosa. W pewnym sensie zresztą nim był. Po paru sekundach wnikliwej obserwacji odsunął się z lekkim ukłonem.

Odpowiedziała lekkim skinieniem głowy, ale tak naprawdę cały czas obserwowała z uwagą wysokiego mężczyznę siedzącego za biurkiem i dwóch młodszych, bardzo doń podobnych, zajmujących miejsca z obu krańców mebla.

- Aldona! - Albrecht Detweiler uśmiechnął się i wstał, wyciągając ku niej rękę. - Mam nadzieję, że podróż powrotna była przyjemna?

- Owszem. - Uścisnęła jego dłoń. - Kapitan Maddox jak zwykle był nader troskliwy, a *Bolide* to wspaniały jacht. I naprawdę szybki.

Detweiler uśmiechnął się szerzej, doceniając dowcip, po czym wskazał jej stojący przed biurkiem fotel. Obaj ochroniarze nalali obecnym kawę, wykazując w tym dużą wprawę, i wycofali się z gabinetu.

- Cieszę się, że doceniasz szybkość *Bolide'a* - powiedział Benjamin Detweiler. - I dobrze, że zjawiałaś się z powrotem tak prędko.

Nowy napęd był czymś, o czym pół roku temu także nie wiedziała i czego nie spodziewałaby się po naukowcach z Mesy. Właściwie to napęd nie tyle był nowy, bo zasady pozostały te same, ile bardzo poważnie zmodyfikowany, niemniej stanowił duże osiągnięcie. Jej samej, podobnie jak reszcie ludzkości, Mesa kojarzyła się z naukami biologicznymi, a głównie genetycznymi, choć wiedziała, że nie tylko w tych dziedzinach prowadzone są intensywne badania. Skoro ona została zaskoczona, to zaskoczenie wszystkich innych będzie znacznie większe, co da się wykorzystać w najbliższych latach.

Modyfikacja oznaczała poważny postęp w międzyplanetarnych podróżach, ale nie była przełomem, choć nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek inny był bliski tego rozwiązania. Od stuleci pasmo theta było graniczne dla hipernapędów, choć wszyscy wiedzieli, iż teoretycznie możliwe jest osiągnięcie wyższych pasm. Nikomu jednak nie udało się zaprojektować napędu ani jednostki, które zdołałyby przetrwać wejście w pasmo jota. Poświęcono temu wiele wysiłku i czasu w początkowym okresie prac nad usprawnianiem hipernapędu, po czym zrezygnowano jako z czegoś, co wbrew teorii jest praktycznie nieosiągalne.

Równanie nie porzuciło badań i w końcu znalazło rozwiązanie. Ujmując rzecz krótko, było to podejście siłowe możliwe jedynie dzięki stosunkowo nowym osiągnięciom w pokrewnych dziedzinach nauki, z których potencjalnego wykorzystania w tej kwestii nikt inny nie zdał sobie sprawy. W efekcie powstał większy gabarytowo i o wiele silniejszy hipernapęd, który pozwalał wejść nie tylko w pasmo jota, ale także i kappa. A to oznaczało, że przelot z New Tuscany do Mesy, klasycznej jednostce kurierskiej zajmujący 45 dni standardowych, trwał niespełna 31.

- Zapoznaliśmy się z twoim raportem. - Albrecht spoważniał. - Ale chcielibyśmy także usłyszeć twoją relację.

- Oczywiście, tylko... przepraszam, ale sądziłam, że będę ją składać Isabel.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe - odezwał się dziwnie twardo Collin, i widząc jej spojrzenie, dodał: - Isabel nie żyje. Zginęła trzy miesiące temu... wraz ze wszystkimi przebywającymi w tym czasie w Centrum Gamma.

Anisimowna wytrzeszczyła oczy zszokowana. Mimo przynależności do w pełni wtajemniczonych z braku czasu miała o niektórych sprawach mgliste pojęcie. O Centrum Gamma wiedziała tylko tyle, że w przeciwieństwie do pozostałych znajdowało się na Mesie, co znaczyło, że jest ważniejszy niż inne.

- Mogę spytać, co się stało?

Spodziewała się negatywnej odpowiedzi, bo nie musiała tego wiedzieć, ale Isabel była dla niej kimś więcej niż tylko współpracownicą. Najwyraźniej Collin wiedział o tym bo odparł:

- Nadal nie wszystko wiemy i nie dowiemy się zresztą nigdy. Wiemy, kto uruchomił procedurę samozniszczenia, ale nie znamy wszystkich faktów, które do tego doprowadziły. Wiemy też, dlaczego to zrobił: dowiedział się, że przybyła, by go aresztować.

Anisimowna kiwnęła głową ze zrozumieniem - gdyby miała wybór między samobójstwem a „rygorystycznym przesłuchaniem”, jak to oficjalnie nazywano, bez wahania wybrałaby to pierwsze.

- Nie mamy natomiast pojęcia, co planował, choć domyśliliśmy się jego intencji dzięki źródłom wtórnym i agentowi polowemu, który jako jedyny w pełni wykonał to, co doń należało. Źródła oryginalne przestały istnieć razem ze świadkami, ale wszystko wskazuje na to, że w sprawę wmieszany był Balet, choć jedynie pośrednio.

- Balet dowiedział się o Centrum Gamma? - Anisimowna zaniepokoiła się, bo skoro dowiedział się tego, mógł również odkryć istnienie Równania.

- To wątpliwe - uspokoił ją Collin. - Mamy zeznania kilku sprawców i na ich

podstawie oraz na podstawie śledztwa można wnioskować, że na Mesie pojawili się Cachat i Zilwicki, a o istnieniu Centrum dowiedzieli się przypadkiem, bo skontaktował się z nimi jego szef ochrony.

Anisimowna ponownie wytrzeszczyła oczy - nawet linia alfa nie była odporna na zaskoczenie, a tym razem niespodzianek było zbyt wiele.

- Wiemy, że zdrajca przypadkiem dowiedział się o ich obecności i z jakichś nieznanych nam powodów skorzystał z okazji - kontynuował Collin. - Mamy nagranie jego spotkania z Zilwickim. To ono skłoniło Isabel do działania, choć nie rozpoznała Zilwickiego. Podobnie zresztą jak agent, który nagrania dokonał. Uznał go jednak za współpracownika Baletu i dlatego zameldował o wszystkim przełożonemu. Którym niestety okazał się właśnie zdrajca, czyli szef ochrony Centrum Gamma. To się nazywa zbieg okoliczności, prawda? Wpadł tylko dlatego, że agent zostawił pluskwę w lokalu, w którym spotkał Zilwickiego, i ona nagrała spotkanie zdrajcy z nim. Mieliśmy szczęście, że ów agent wykazał inicjatywę i miał dość odwagi, by pójść prosto do Isabel. Tyle że żadne z nich nie zameldowało, że mają do czynienia z Zilwickim, bo był dobrze przebrany. Isabel postąpiła słusznie, chcąc położyć kres sprawie szybko i dyskretnie, zaczynając od najgroźniejszego, czyli od zdrajcy. Ten, gdy się zorientował, odpalił ładunek umieszczony pod Centrum i zginął razem ze wszystkimi, którzy tam przebywali, w tym z Isabel. Oraz z jednym z centrów handlowych w Green Pines, bo pod nim zlokalizowane było Centrum Gamma. Na szczęście była sobota rano i większości personelu naukowo-badawczego nie było w pracy. Zdrajca zabezpieczył się przed oszustwem ze strony Zilwickiego i Cachata i zdążył zabić obu, tyle że użył do tego kolejnego ładunku jądrowego. A skurwiel z Baletu zdetonował trzeci w parku Pine Valley. W sobotę rano.

Anisimowna zbladła - wiedziała, gdzie Collin mieszkał i że tam właśnie bawiły się w weekendy jego dzieci...

- Alexis i dzieciakom nic się nie stało - uspokoił ją. - Nie było ich w mieście. Ale większość ich kolegów i przyjaciół była. Złapaliśmy dwóch tutejszych pomagierów Zilwickiego i Cachata, wyśpiewali wszystko, co wiedzieli, ale obaj zarzekali się, że wybuch w parku był samodzielną decyzją ich kolegi, który najwyraźniej się wściekł i postanowił zemścić się na wszystkich. Jesteśmy skłonni im uwierzyć. Niestety trzech eksplozji nuklearnych w jeden dzień w tej samej okolicy nie da się ukryć. Ogłosiliśmy więc, że przeprowadzimy bardzo dokładne śledztwo, nim podamy nazwiska winnych do publicznej wiadomości, ale nie ma wątpliwości, że musimy to zrobić, i to wkrótce. Nie byłoby dobrze przyznać, że to sprawka Baletu, ale po zeznaniach pomocników uznaliśmy że najlepiej będzie oskarżyć o wszystko Zilwickiego. W końcu gdyby się tu nie zjawił, do niczego by nie doszło.

Z dodania do niego Cachata zrezygnowaliśmy, gdyż po pierwsze był o wiele mniej znany, a po drugie i ważniejsze trudno byłoby wytłumaczyć, jakim cudem dwaj agenci z toczących ze sobą wojnę państw współpracowali tu bez żadnych problemów. Na szczęście nikt w Lidze Solarnej nie spodziewa się po terrorystach racjonalnego postępowania, a my od początku rozgłaszamy, że Torch to planeta terrorystów wbrew temu, co oficjalnie twierdzą jej władze. O powiązaniach Zilwickiego z Baletem zaś wiedzą wszyscy, uprawdopodobnia to więc naszą wersję.

Anisimowna przytaknęła, doskonale rozumiejąc, o co chodzi. Taka propagandowa gratka trafiała się naprawdę rzadko, toteż należało ją w pełni wykorzystać. A we wspólną operację wywiadów Królestwa Manticore i Republiki Haven nawet obywatele Ligi Solarnej by nie uwierzyli.

- W każdym razie dochodzenie zamknęliśmy tydzień temu - kontynuował Collin. - A ponieważ ani Zilwicki, ani Cachat nie mogą zaprzeczyć naszej wersji, ogłosiliśmy, że odpowiedzialnym za te trzy eksplozje jest Zilwicki, a był to celowy atak terrorystyczny Baletu i Królestwa Torch, które ledwie powstało, wypowiedziało nam wojnę. To ostatnie przypomnienie ułatwiło zadanie naszym i solarnym speccom od propagandy. Przecież wiadomo, że terrorysta do śmierci pozostaje terrorystą, a w tym ataku zginęły tysiące niewolników i dwójkarzy. Tak naprawdę zginęło kilkuset, ale nikt poza Mesą tego nie wie, a kiedy zaczęło się dochodzenie, dwójkarzy zniknęło dość, by liczba brzmiała prawdopodobnie. To zdecydowanie nie zwiększy popularności Baletu wśród nich i niewolników. Oficjalnie był to atak terrorystyczny na cywilne cele z użyciem broni masowego rażenia i to będą do znudzenia powtarzały solarne media. W ten sposób oberwie się też Królestwu Manticore.

W gabinecie zapadła cisza, którą przerwał dopiero Albrecht:

- I właśnie dlatego nie będziesz referowała przebiegu misji Isabel.

- Rozumiem...

Chciała spytać, nad czym pracowano w Centrum Gamma, ale zrezygnowała - tego naprawdę nie musiała wiedzieć. Ważne było, że zdrajca i obaj agenci zginęli, a nie uciekli, bo dzięki temu przeciwnik o niczym się nie dowiedział. A całą sprawę na dodatek da się propagandowo wykorzystać i przeciwko Torch, i przeciwko Manticore. Szkoda tylko, że cena była tak wysoka...

- Przykro mi - odezwał się zaskakująco łagodnie Albrecht. - Wiem, że byliście blisko. Ja też ją lubiłem. Miała swoje wady, ale była intelektualnie uczciwa i pomysłowa. Będzie mi jej brakowało, i to nie tylko zawodowo.

Anisimowna spojrzała mu w oczy, odetchnęła głęboko i kiwnęła głową.

- Sądę, że nie tylko ją stracimy, gdy sprawy wyjdą na jaw - powiedziała.

- Myślę, że tak - zgodził się Albrecht i dodał już normalnym tonem: - A póki co mamy dużo do zrobienia, może więc zdasz nam w końcu relację?

- Oczywiście - przytaknęła, rozsiadła się wygodniej i zaczęła: - Wszystko poszło mniej więcej zgodnie z planem. Byng zachował się tak, jak oczekiwaliśmy, a Królewska Marynarka okazała się bardziej pomocna, niż zakładaliśmy, bo zamiast jednego niszczyciela wysłała trzy. A raczej cztery, biorąc pod uwagę, jak szybka była jej reakcja. Ktoś musiał natychmiast zawiadomić o tym, co zaszło, Khumala i Medusę, a czas wskazuje na okręt wojenny albo jednostkę kurierską, tyle że ta ostatnia nie ma możliwości kontrolowania sond zwiadowczych, a Gold Peak zjawiała się, znając dokładnie przebieg wydarzeń. Tego nie przewidziałam i z tej części operacji jestem najmniej zadowolona. Miałam nadzieję na więcej czasu i głębsze wplątanie w ten incydent New Tuscany. Tego czasu zabrakło i dlatego gdy Gold Peak dotarła na miejsce, władze New Tuscany zostawiły Bynga samego. Przyznaję, że zrobił, co mógł, żałuję tylko, że Gold Peak wykazała taką wstrzeźliwość i zniszczyła jedynie jego okręt flagowy. Z tego, co zaobserwowałam, nim weszliśmy w nadprzestrzeń, wynika, że Sigbee postanowiła spełnić żądania Gold Peak, nie stawiając dalszego oporu.

- I tak też postąpiła - poinformował ją Benjamin.

Anisimowna uniosła pytająco brwi.

- Królestwo dziewięć dni temu opublikowało swoją wersję obu incydentów - wyjaśnił.

- Teraz znają ją już na Ziemi i nie tylko. Podobno przejęli nieuszkodzone komputery Sigbee.

- No proszę! - mruknęła Anisimowna z uznaniem.

Słyszając to, Albrecht roześmiał się.

- Właśnie - przytaknął radośnie. - Wygląda na to, że sytuacja wymknie się spod kontroli obu stronom bez naszego dalszego bezpośredniego udziału, nie licząc naturalnie informacji o wybuchu. A jeśli nie, to zawsze możemy zorganizować parę przecieków tajnych informacji. Jak na razie Królestwo nawet nie zająknęło się na temat tego, co znaleziono w okrętowych bazach danych, a co nie miało bezpośredniego związku z oboma incydentami. Ale to nie znaczy, że nigdy nie ujawni, dajmy na to, planów Ligi Solarnej na wypadek rozmaitych sytuacji alarmowych, a to powinno wywołać gwałtowną reakcję w solarnych mediach.

- Żeby nie rzec piorunującą. I niemiłą dla wszystkich zainteresowanych w Lidze - oceniła Anisimowna z błogim uśmiechem.

- Jak najbardziej. Póki co wygląda na to, że do tego ogniska nie musimy już dokładać. Kołokolcow i koledzy zrobili w zasadzie wszystko, co mogli, najgorzej, jak tylko się dało. -

Albrecht uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją. - A nasz przyjaciel Rajampet robi dokładnie to, czego się spodziewaliśmy.

- A Crandall?

- Jeszcze nie wiemy - odpowiedział Benjamin. - Nie mogliśmy dać Ottweilerowi kuriera nowej generacji, nie mamy więc jeszcze wiadomości od niego, ale nie sędzę, by były powody do obaw. Nawet bez naszej zachęty jej naturalną reakcją powinien być jak najszybszy atak wszystkim, co ma. A tak się składa, że jej ocena poziomu technicznego Królewskiej Marynarki pokrywa się dokładnie z oceną Bynga.

I uśmiechnął się identycznie jak Albrecht.

- Pięknie - oceniła Anisimowna z satysfakcją. - Martwi mnie tylko to, że nie zdołałam zatrzeć własnych śladów. Jeśli władze New Tuscany będą chciały ułagodzić Królestwo Manticore, Gold Peak usłyszy o wszystkim, co oni wiedzą o naszym udziale.

- Niestety masz rację. - Albrecht spoważniał. - Właśnie tak zrobili, a Królestwo to także roztrąbiło. Ale od początku liczyliśmy się z tym, że prędzej czy później wyjdzie to na jaw. Zrobiłaś, co mogłaś, a nie zawsze udaje się nie zostawić śladów. Poza tym nasi na Ziemi są gotowi, by rozpocząć kampanię dezinformującą. Będą do znudzenia mówić o „fantastycznych i niedorzecznych oskarżeniach wymyślonych na poczekaniu, by tylko usprawiedliwić niesprowokowany atak na admirała Bynga” Koniec cytatu.

- I ludzie naprawdę w to uwierzą? - spytała, zaskoczona mimo wcześniejszych doświadczeń.

- Zdziwisz się, jak wielu w Lidze Solarnej uwierzy. Przynajmniej na początku, a tyle tylko nam potrzeba. Są przyzwyczajeni do najrozmaitszych bzdurnych wyjaśnień tego, co się dzieje na Pograniczu; zadbało o to Biuro Bezpieczeństwa Granicznego, od wielu lat wciskające im niewiarygodne brednie. A media ma tak spenetrowane i wytresowane, że co najmniej połowa dziennikarzy odruchowo przyjmuje wersję Biura za dobrą monetę, ledwie ją usłyszy. Oczywiście nie wszyscy dadzą się nabrać, ale nam wystarczy stworzenie wystarczającego zamieszania, by dać tym, którzy decydują, oficjalne uzasadnienie do zrobienia tego, co uważają za słuszne i niezbędne. Tym nie musimy się martwić, a jak już powiedziałem, jestem usatysfakcjonowany twoimi dokonaniem.

Anisimowna mimo wszystko poczuła ulgę. Zadanie nie należało do łatwych i nie wykonała go idealnie, ale też nie musiało tak zostać wykonane, a ze wszystkiego, co usłyszała, wynikało, że dobrze się spisła.

- A ponieważ jestem zadowolony, prawdopodobnie dostaniesz kolejny problem do rozwiązania - dodał Albrecht. - W nagrodę. Skoro pokazałaś, że potrafisz przeprowadzić

trudną operację, nie ma sensu marnować cię na łatwe, a śmierć Isabel zwiększa zakres obowiązków wszystkich potrafiących radzić sobie ze skomplikowanymi kwestiami.

- Rozumiem.

- Teraz, gdy znalazłaś się w samym środku cebuli, powinnaś się już zorientować, że bardziej straszę, niż karzę - uśmiechnął się Albrecht. - Naturalnie ci, którzy coś spieprzą, są i będą surowo karani, ale nie znaczy to, że konsekwencje spotykają także tych, którym się nie udało nie z ich winy. Wiemy, jak trudne zadania dostają, i znamy prawa Murphy'ego, na które nie ma wpływu ani najlepsze planowanie, ani bezbłędne wykonanie tych planów. Kara spotyka tylko tych, którzy swoim zachowaniem przyczynili się do klęski. A znając twoje dotychczasowe dokonania, wątpię, by ci się to kiedykolwiek przydarzyło.

- Będę się starała, by tak się nie stało.

- Jestem tego pewien. - Albrecht pochylił się i oparł łokcie na blacie biurka. - Oficjalnie wieści z New Tuscany dotrą do nas z Ligi Solarnej za dwa tygodnie i można mieć pewność, że Królestwo dobrze wykorzysta ten czas propagandowo. A co gorsza z punktu widzenia władz tejże Ligi, dzięki systemowi wormholi ta wersja dotrze o wiele szybciej do różnych jej części niż wersja oficjalna, której źródłem będzie Ziemia. Z naszego punktu widzenia to dobrze... najprawdopodobniej. Bo prawdziwym cudem byłoby, gdyby ci durnie z Chicago zrobili jedyną sensowną rzecz, jaką mogą zrobić, i zaproponowali Królestwu Manticore negocjacje. Znacznie prawdopodobniejsza jest kreatywna interpretacja wydarzeń, czyli odwrócenie kota ogonem. Jest jednak możliwe, że na Ziemi żyje jeden, a być może nawet dwóch uczciwych dziennikarzy, co może mieć niefortunne dla nas skutki. Na szczęście mamy swoich ludzi w mediach, zwłaszcza na Ziemi. Chcę, żebyś usiadła z Collinem i Franklinem i żebyście razem z naszymi specami od mediów i propagandy zastanowili się, jak najlepiej przedstawić to, co się stało w New Tuscany, z naszego punktu widzenia. Spora część solarnych mediów będzie wręcz szukała czegoś, co przedstawi Królestwo Manticore w złym świetle. Po rewelacjach dotyczących Gold Peak dane, które przywiozłaś, że o kodach autentyczności nie wspomnę, pozwolą nam na własną, kreatywną interpretację wydarzeń na użytek solarnej opinii publicznej. Mam kilka pomysłów, ale udowodniłaś, że masz prawdziwy talent do takich spraw, nie będę więc niczego sugerował. Przez dwa tygodnie powinniśmy coś stworzyć.

- Rozumiem.

- To dobrze. A jeszcze ci powiem, choć nie musisz tego akurat wiedzieć, że za dwa miesiące standardowe będziemy mieli następną małą niespodziankę, i to nie tylko propagandową.



- Tak? - spytała zaskoczona, bo wszyscy trzej uśmiechnęli się po tych słowach drapieźnie.

- Owszem. Powiedz jej, Benjaminie - polecił Albrecht.

- Widzisz, za mniej więcej dwa miesiące będzie miała miejsce pewna operacja, nad którą pracowaliśmy od dłuższego czasu. Wtedy...

## STYCZEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Mam złe przeczucia...”

Admirał Patricia Givens,  
Royal Manticoran Navy,  
szef Biura Wywiadu Floty

## ROZDZIAŁ V

Kapitan Ginger Lewis maszerująca korytarzem stacji HMSS *Weyland* w stronę gabinetu kontradmirała Tiny Yeager wcale nie czuła się pewnie. I nie dlatego, że obawiała się, iż nie podoła nowym obowiązkom, czy dlatego, że była mustangiem i zaczynając służbę w Royal Manticoran Navy, nawet nie marzyła o stopniu oficerskim. Powodem nie było także i to, że dostała przydział do najlepszego centrum naukowo-badawczego floty, a miała doświadczenie jedynie z maszynowni różnych okrętów.

Chodziło o to, że od chwili pojawienia się na stacji pół godziny temu nie zobaczyła ani jednej zadowolonej osoby. Wszyscy byli nerwowi i niemalże oglądali się przez ramię. Najwyraźniej granat już walnął w szambo i ona była jedyną, która o tym nie wiedziała. No, może jeszcze Paulo i Aubrey byli w podobnej sytuacji, ale nawet jeśli tak, Aubrey z pewnością zaopiekuje się chłopakiem.

Uśmiechnęła się na tę myśl, przypominając sobie pierwszy przydział Aubreya Wandermana, który był też zresztą jej pierwszym przydziałem, bo choć była o kilka lat starsza, szkolenie odbyli razem i niejako wzięła go pod opiekę, bo naprawdę jej potrzebował... Było to 14 lat standardowych temu, a czasami wydawało jej się, że zaledwie wczoraj. Czasami zaś, że wieki temu. Pamiętała, jaki był rozczarowany przydziałem na krążownik pomocniczy... dopóki nie dowiedział się, że jego dowódcą jest kapitan Honor Harrington.

Przestała się uśmiechać na wspomnienie tego, co wydarzyło się potem. Banda rzezimieszków omal jej nie zabiła i prześladowała Aubreya, dopóki Harrington tego nie odkryła. I rozwiązała problem, oddając go pod opiekę Harknessa który doprowadził do tego, że Aubrey stłukł gołymi rękami przywódcę bandy tak, że ten ledwie się wylizał. Nadal gdy miała użyć plecakowego silnika, robiło jej się zimno na wspomnienie owej próby zabójstwa, za to miała satysfakcję, obserwując Aubreya, bo obecny bosman Aubrey Wanderman i tamten zaszczuty młodzian byli dwiema różnymi osobami.

Rozmyślając o przeszłości, dotarła do drzwi z tabliczką „Kontradmiral T. Yeager”, toteż czym prędzej wróciła do rzeczywistości i weszła, jako że były otwarte.

Siedzący za biurkiem podoficer spojrzał na nią i wstał.

- Słucham, ma'am?

- Kapitan Lewis melduje się na pokładzie, bosmanie.

- Dział Delta, tak, ma'am?

- Tak - potwierdziła, przyglądając mu się z namysłem.

Adiutant każdego oficera flagowego powinien znać rozkład jazdy dowódcy, a więc i wiedzieć, z kim ma się on spotkać, ale znajomość takich szczegółów dotyczących oficera, który jeszcze przedwczoraj nie miał pojęcia, że tu trafi, wykraczała poza obowiązki kompetentnego adiutanta.

- Tak właśnie sądziłem, ma'am.

Wyraz twarzy bosmana nie zmienił się, ale zaczęło z niego bić zniecierpliwienie, tyle że jego przyczyną nie była Ginger.

- Obawiam się, że admirał jest chwilowo niedostępna, ma'am - dodał podoficer. - Podobnie jak porucznik Weaver, jej porucznik flagowy. Są na niespodziewanej odprawie u dowódcy stacji.

Ginger nie bardzo wiedziała, jakim cudem udało jej się nie wytrzeszczyć oczu. Niespodziewana odprawa tłumaczyła napięcie i przecucie nieszczęścia wiszące w powietrzu.

- Rozumiem... bosmanie Timmons - odparła po chwili potrzebnej na odczytanie jego nazwiska z naszywki na kurtce mundurowej. - A ma pan przypadkiem choćby jakieś podejrzenia, kiedy admirał Yeager będzie wolna?

- Szczerze mówiąc, obawiam się, że nieprędko, ma'am. Dlatego chciałem potwierdzić, że to pani ma przydział do sekcji Delta.

- A skoro okazało się, że to ja?

- Pomyślałem, że mogłaby pani zameldować się u kapitana Jeffersona, który nią dowodzi. Mógłby zacząć wprowadzać panią w obowiązki, a u admirał Yeager zameldowałaby się pani, gdy wróci od dowódcy.

- Wydaje mi się, że to doskonały pomysł.

\* \* \*

- Cóż, to było rzeczywiście interesujące doświadczenie, jeśli chodzi o konkursowe i całkowite danie dupy, nieprawdaż? - spytał uprzejmie wiceadmirał Claudio Faraday dowodzący stacją kosmiczną HMSS *Weyland*.

Faraday znany był z poczucia humoru, jak i z dosadnego słownictwa. Jeśli doszedł do wniosku, że słowa nieparlamentarne najtrafniej oddają sytuację, używał ich bez oporu. Tym razem, jak zauważyła Tina Yeager, w jego głosie nie było śladu wesołości.

- Jestem bardzo ciekaw, czy w papierach waszych podkomendnych między obszerną

korespondencją i instrukcjami obsługi ubikacji, rozkładami jazdy, notatkami, drugimi śniadaniem i nagraniami gier znajduje się może przypadkiem plan alarmowej ewakuacji stacji? - kontynuował tym samym tonem i przeniósł wzrok z Yeager na kontradmirała Warrena Trammella, szefa działu produkcji.

Trammel wyglądał na równie nieszczęśliwego jak ona, ale żadne z nich nie było na tyle naiwne, by odpowiedzieć na to pytanie.

Faraday uśmiechnął się promiennie i dodał:

- Pytam o to jedynie dlatego, że ostatnie ćwiczenia ewakuacyjne wskazują na to, że albo żaden z nich nie ma egzemplarza tego planu, albo żaden czytać nie potrafi. A wolę nie rozważać ewentualności, że Królewska Marynarka powierzyła swoje najważniejsze programy badawcze bandzie analfabetów.

Yeager drgnęła i Faraday natychmiast skupił na niej wzrok i uwagę.

- Panie admirał, chciałam powiedzieć, że nie mam wytłumaczenia dla wyników mojego działu i jestem świadoma, że moi ludzie spisali się znacznie gorzej niż ludzie admirała Trammella.

- Nie przesadzajmy; pani ludzie rzeczywiście okazali się gorsi, ale biorąc pod uwagę, jak niewiarygodnie niski poziom reprezentowali podkomendni admirała Trammella, nie mogli być znacznie gorsi. Nikt nie byłby w stanie tego osiągnąć.

- Panie admirał - odezwał się niespodziewanie kapitan Marcus Howell i wszyscy trzej admirałowie spojrzeli na niego.

Poza porucznikami flagowymi Yeager i Trammella, których stopnie chroniły przed komentarzami Faradaya, był najmłodszym stopniem obecnym w pomieszczeniu. Ale był też szefem sztabu Faradaya.

- Tak? - zachęcił go Faraday. - Chciałbyś pewnie coś dodać, Marcusie?

- Chciałem tylko zauważyć, że to była pierwsza symulacja ewakuacji stacji przeprowadzona w ciągu ostatnich dwóch lat standardowych, sir. W tych warunkach nie jest aż tak zaskakujące, że ludzie trochę... zardzewieli.

- Zardzewieli... - Faraday prychnął. - Jeśli masz na myśli poziom włazu zabezpieczonego na kamień dzięki utlenianiu się metalu, to określenie „zardzewiały” jest właściwe. Ale rozumiem, o co ci chodzi. Bądźcie uprzejmi nie sądzić, że jestem szczęśliwszy niż dziesięć sekund temu, ale przyznaję że Marcus ma rację. Nie jestem co prawda wielkim zwolennikiem teorii, iż nadzwyczajne okoliczności stanowią wyjaśnienie niedopełnienia obowiązków, ale sądzę, że na karanie jest jeszcze zbyt wcześnie. Dlatego być może powinniśmy po prostu zacząć od nowa, ze świadomością, że wszyscy w czasie tych ćwiczeń osiągnęli poziom...

niedopuszczalnie niski.

Było to naprawdę łagodne określenie, bo w rzeczywistości poziom był fatalny, o czym wszyscy obecni wiedzieli.

Pewne wyjaśnienie, choć naturalnie żadne wytłumaczenie, stanowił fakt, iż poprzednik Faradaya, kontradmirał Colombo, nie przywiązywał żadnej wagi do alarmowej ewakuacji, a jego z kolei poprzednik niewielką. Tyle że on był mianowany przez niesławnej pamięci Janaceka i nie przywiązywał wagi do niczego. Colombo natomiast był energiczny, ale był też technicznym świrem jak większość personelu stacji i jak podejrzewała Yeager, nigdy nie dowodził okrętem, a od ponad 30 lat standardowych zajmował się badaniami. Z kwestiami administracyjnymi jakoś nie najgorzej sobie radził, ale tak naprawdę interesowało go to, co dzieje się w laboratoriach i warsztatach produkujących prototypy.

- Nie chcę się usprawiedliwiać, ale kapitan Howell ma rację: ewakuacji nie ćwiczyliśmy. Ale to nie cała prawda, sir - odezwała się Yeager. - Bardzo wielu moich ludzi cierpi na widzenie tunelowe, sir. Są skupieni na pracy i czasami nawet nie wiem, czy zdają sobie sprawę z istnienia reszty wszechświata. Przynajmniej jeden szef sekcji wyłączył alarm ewakuacyjny, żeby mu nie przeszkadzał w rozmowie z dwoma prowadzącymi naukowcami, gdyż dyskutowali na temat istotnego problemu. Już z nim o tym rozmawiałam i gwarantuję, że tego wyczynu nie powtórzy, ale jego reakcja jest typowa. To oczywiście moja wina, nie ich.

- Jest to rzeczywiście pani wina, admirał Yeager, w tym znaczeniu, że odpowiada pani za postępowanie wszystkich pozostających pod pani dowództwem. Ale to nie tłumaczy ich postępowania czy też bezczynności. A sądząc po wynikach, powinienem zwolnić trzy czwarte oficerów służących na tej stacji, aby ukarać wszystkich, którzy spieprzyli sprawę. Tego zrobić nie mogę i nie chcę. Zamiast tego zajmiemy się naprawieniem problemu, którego powody, jak się obawiam, są takie same jak innych, na które się natkniemy. Mówiąc szczerze, nawet rozumiem, dlaczego podlegający pani naukowcy uważają, że reszta floty bawi się w głupawe gierki przeszkadzające normalnym ludziom w pracy i to poważnej pracy. I ze swojego punktu widzenia mają rację.

Yeager była jego słowami bardziej niż nieco zaskoczona, jako że Faraday nie miał żadnego doświadczenia naukowego i należał do grona nazywanego przez Upiorną Hemphill „strzelcami”. Nie wątpiła, że wolałby dowodzić eskadrą liniową, niż niańczyć stowarzyszenie geniuszów floty.

Po tym, co usłyszała, zaczęła jednakże podejrzewać, że może to właśnie był główny powód, dla którego wybrano go na to stanowisko, a Colombo trafił do sztabu Hemphill nie

dlatego, że jego talenty były tam niezbędne, ale dlatego, że po bitwie o Manticore do kogoś w Admiralicji dotarło, że HMSS *Weyland* potrzebuje dowódcy liniowego takiego jak Claudio Faraday.

I to bardzo potrzebuje.

- Pamiętam o tym, że dowództwo przejąłem niespełna tydzień temu - kontynuował Faraday. - I wiem, że mój poziom wiedzy naukowo-technicznej nie jest imponujący, łagodnie rzecz ujmując, ale to akurat ma niewielkie znaczenie. Plan ewakuacyjny opracowano z konkretnych powodów, a w naszym przypadku są one ważniejsze niż w przypadku pozostałych dwóch stacji. Z tych samych względów co dwanaście godzin przesyłamy wszystkie wyniki badań do dwóch miejsc na powierzchni planety. Istnieje jednak pewna drobna różnica między tym a ewakuacją, mianowicie taka, że nieco trudniej byłoby odtworzyć naukowców niż wyniki ich badań, gdyby stacja została zniszczona.

W sali zapadła cisza.

Cztery miesiące temu w powietrzu wisiałoby niedowierzanie i lekceważenie. Po bitwie o Manticore było tam pełne zrozumienie.

- Wiemy, że nowe zasobniki obrony systemowej zostały rozmieszczone tak, by chronić nas szczególnie - podjął Faraday. - Wiemy też, że Ludowa Marynarka dostała takie ciągi, że w przewidywalnej przyszłości tu nie wróci, ale jeszcze niedawno nikt nie uważał możliwości, że w ogóle się tu pokaże, za prawdopodobną. Niezależnie więc od tego, jak bardzo się to nie będzie podobało naszym naukowcom i jak bardzo będzie im przeszkadzało w pracy, procedurę ewakuacji alarmowej opanują, a ja dopilnuję, by stało się to jak najszybciej. Doceniłbym, gdybyście uświadomili swoim podkomendnym, że wynik symulacji wywarł na mnie duże wrażenie, ale nie sposób określić je pozytywnym. Ja im to również uświadomię. Czego im natomiast nie powiecie, to tego, że mam dla nich coś bardziej drastycznego. Symulacje są dobre i będę z nich korzystał, ale oboje wiecie, że flota od zawsze była zdania, że normalne ćwiczenia są o wiele cenniejsze od symulowanych. I my postąpimy zgodnie z tą właśnie zasadą.

Yeager zdołała nie jęknąć, ale było to niewielkie osiągnięcie, bo Faraday i tak wiedział, co myśli - rzeczywista ewakuacja spowoduje chaos i opóźnienia we wszystkich programach badawczych.

- Rozumiem, że będzie to miało skutki długoterminowe - dodał Faraday, jakby miał telepatyczne zdolności treecata. - I dlatego nie będzie z tego powodu żadnych konsekwencji służbowych. Podjąłem tę decyzję po głębokim namyśle. Musimy to zrobić. I to nie tylko dlatego, że trzeba sprawdzić, jak ta procedura naprawdę działa, ale i dlatego, że pomoże to

przekonać część ludzi, by traktowali sprawę poważnie, bo to o ich życie chodzi. Dlatego nie uprzedzicie ich o tym, co nastąpi. Najpierw będzie kilka symulacji, czego się spodziewają po nowym, wkurzonym dowódcy, którego już zapewne zakwalifikowali do kategorii „służbista-zupak”. Będą narzekać i marudzić z pomysłowością, do jakiej zdolni są tylko ludzie inteligentni, ale jak długo na tym będzie się kończyło, zamierzam tego nie zauważać. Mam nadzieję, że ich umiejętności do chwili, w której ogłoszę rzeczywistą ewakuację, poprawią się przynajmniej na tyle, że nikogo nie zadepczą i nikt nie zginie, bo zapomniał o hermetyzacji skafandra czy założeniu cholernego hełmu!

\* \* \*

Kapitan Ansten FitzGerald odchylił się w tył wraz z fotelem, akurat gdy do sali odpraw wszedł komandor Amal Nagchaudhuri z elektrokartą pod pachą.

- Siadaj - zaprosił go FitzGerald, wskazując fotel stojący naprzeciwko, i poczekał, aż tamten wykona polecenie.

Dopiero gdy Nagchaudhuri usiadł z westchnieniem ulgi, uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Czy w przewidywalnej przyszłości stać cię będzie na taki luksus jak wolna godzina przy piwie? - spytał.

Zapytany jedynie prychnął z rezygnacją.

Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że zostanie pierwszym oficerem największego ciężkiego krążownika Royal Manticoran Navy, jako że był specjalistą od łączności, nie taktykiem, a tradycyjnie to oficerowie taktyczni zostawali wpierw pierwszymi oficerami, potem dowódcami okrętów. Przez ostatnie kilka lat odrzucono jednak tę tradycję, gdyż rozwój floty spowodował zwiększone zapotrzebowanie na doświadczonych oficerów niezależnie od ich specjalizacji. Prawdą też było, że niewielu zostało pierwszymi oficerami w takich jak on warunkach, co miało zresztą sporo wspólnego ze stopniem jego obecnego zmęczenia.

- Nie wygląda na to, by nastąpiło to wcześniej niż za standardowy rok. Ginger odwalila kawał solidnej roboty, ale nadal znajdujemy drobiazgi, które jej umknęły. Pewnie właśnie dlatego tak się stało, ale ciągle poprawiam jej zalecenia dla stoczniovców, bo wiadomo, że nie zrobią niczego, czego nie dostaną na piśmie. To, że kadry tak entuzjastycznie rozkradają nam ludzi, naturalnie mi nie pomaga.

FitzGerald pokiwał głową ze zrozumieniem i współczuciem - był pierwszym oficerem *Hexapumy* do powrotu z Quadrantu Talbott, toteż doskonale znał problemy i rozumiał



frustrację swego następcy. Były one tym większe, że nie spodziewali się trafić do stoczni remontowej tak szybko.

Nikt nie jest jasnowidzem, toteż nikt na pokładzie nie podejrzewał, że pięć dni po ich przybyciu dojdzie do bitwy pod Manticore, którą mogli jedynie beczynn timer obserwować, bo *Hexapuma* do żadnej walki się nie nadawała. Było to niezwykle frustrujące przeżycie, ale najprawdopodobniej jedynie rzeczonym uszkodzeniom okrętu zawdzięczali fakt, że jeszcze żyją. A jednym ze skutków bitwy było postawienie na głowie całego starannie opracowanego planu remontowego floty. Drugim zaś to, że z racji poniesionych strat w trybie pilnym zdejmowano personel z okrętów, które za kilka dni miały trafić do stoczni.

- No cóż, mam dla ciebie dobrą wiadomość - poinformował swego zastępcę FitzGerald, przerywając milczenie. - Kontradmiral Truman znalazła dla nas miejsce w stoczni.

- Tak? - Nagchaudhuri usiadł prosto.

Kontradmiral Margaret Truman dowodząca HMSS *Hephaestus* była kuzynką znacznie sławniejszej admirał Alice Truman, a *Hexapuma* remont miała przechodzić w tej właśnie stacji kosmicznej.

- Kapitan Fonzarelli dostał rozkaz, by nas zadokować jutro rano. Punkt dziewięta zjawia się holowniki.

- To się Aikawa wkurzy - uśmiechnął się Nagchaudhuri.

FitzGerald parsknął śmiechem.

- W końcu mu przejdzie - ocenił. - Poza tym urlop mu się należał.

Chorąży Aikawa Kagiyama był jedynym midszypmenem, który pozostał na pokładzie, a raczej który pozostał w załodze, bo na okręcie akurat go nie było.

- Zawsze możemy poprosić o późniejszy termin remontu, żeby zdążył wrócić z *Weylanda* na tę historyczną chwilę - zaproponował z kamienną twarzą pierwszy oficer.

- I co jeszcze? Powitać go kwiatkami?! Doceniam to, jak się mną opiekował, i przykro mi, że będzie rozczarowany, ale nie opowiadaj mi łaskawie takich bzdur. I nie dramatyzuj: będzie miał niespodziankę, gdy wróci.

- Mam nadzieję, że świetnie się bawi; to dobry dzieciak, a przeżył niejedno w tym rejsie.

- Wszyscy byli dobrzy, a on, przyznając, nieco mnie niepokoi. - FitzGerald spoważniał.

- Nie jest rzeczą normalną, by pierwszy oficer musiał rozkazać chorążemu wziąć urlop. Zwłaszcza chorążemu o takiej reputacji z Akademii.

- Od powrotu do Manticore zachowywał się bez zarzutu. Może chory albo co?

- Podejrzewam, że to raczej utrata współników. Helen została porucznikiem flagowym starego, Paolo z Ginger trafili na *Weylanda*, nie bardzo więc miał z kim grandzić. Za co powinniśmy być wdzięczni losowi - zawyrokował FitzGerald.

- To zależy. Na przykład od tego, czy dostaniemy zasmarkańców, którzy mogliby brać z niego przykład.

- Wątpię, bo będziemy siedzieli w stoczni przez kilka miesięcy, o ile nie dłużej, chyba więc poszukają dla nich nieco aktywniejszego przydziału na pierwszy rejs. No, a poza tym nawet gdyby do nas trafił, jest teraz chorążym i powinien dawać dobry przykład.

- Jakoś tak mam pewne problemy z wyobrażeniem sobie Aikawy jako świetlanego przykładu dla kogokolwiek - przyznał Nagchaudhuri. - Zwłaszcza gdy nie ma w pobliżu Helen wybijającej mu z głowy co oryginalniejsze pomysły.

- Nie przesadzaj; dobrze wiesz, że nie używała wobec niego argumentów natury fizycznej! - obruszył się FitzGerald. - I nie musiała mu często grozić.

- Tylko dlatego, że był wystarczająco inteligentny, by uczyć się na cudzych błędach - odpalił pierwszy oficer.

## ROZDZIAŁ VI

Prezydent Eloise Pritchard odgarnęła niecierpliwym gestem opadający na czoło kosmyk włosów i wmaszerowała do podziemnego centrum dowodzenia. Oprócz tego, że była nieuczczona, była też nieumalowana i w szlafroku narzuconym na nocną koszulę.

W przeciwieństwie do niej Sheila Thiessen, szefowa jej ochrony, wyglądała jak zwykle nienagannie i była w pełni przytomna, a to dlatego, że gdy ogłoszono alarm, była na służbie. A raczej skończyła służbę dwie godziny wcześniej, ale nadrabiała zaległości w papierkowej robocie, toteż nie zdążyła się rozebrać, o spaniu nawet nie mówiąc.

A Pritchard i tak wyglądała na bardziej elegancką z nich obu. Zawsze tak wyglądała, i to w każdym towarzystwie, zwłaszcza w momentach kryzysu. Nie dlatego, że się specjalnie o to starała - po prostu była taka dzięki genom, doświadczeniu i odruchom. Nawet teraz, wyrwana z głębokiego snu i jeszcze nie całkiem przytomna, sprawiała wrażenie gotowej na wszystko, pewnej siebie i panującej nad sytuacją.

Albo też wszystkim tak się wydawało, bo podświadomie potrzebowali, by taka właśnie była...

Podeszła do fotela stojącego przed jej osobistą konsolą baczności, kiwnięciem głowy witając po drodze dwóch obecnych już członków rządu - sekretarza stanu Tony'ego Nesbitta i prokuratora generalnego Denisa LePica. Po czym usiadła i poczekała, aż fotel dopasuje się do jej ciała.

Nesbitt i LePic wyglądali na spiętych i przestraszonych. Byli tu tylko dlatego, że pracowali do późna, i widać było po nich zmęczenie, ale nie ono stanowiło powód ich stanu psychicznego. Objawy napięcia zresztą przejawiali nie tylko oni, ale cała obsługa centrum tak cywilna, jak i wojskowa, choć wszyscy usiłowali to ukryć, pozorując zapracowanie. Coś wisiało w powietrzu, i to coś graniczącego ze strachem w czystej postaci. Thiessen poczuła to, ledwie weszła do sali.

Nie dziwiło jej napięcie, bo od prawie pół roku standardowego cała Republika Haven czekała na ten właśnie moment, choć nikt nie wiedział, kiedy on nastąpi.

Nie odezwała się dotąd, ale sama jej obecność zdawała się łagodzić nastroje. Spojrzała na ekran łącznościowy wiszący na ścianie i spytała spokojnie widocznego na nim mężczyznę w mundurze z admirałskimi dystynkcjami:

- A więc o co chodzi, Thomasie?

Admirał Thomas Theisman, sekretarz wojny i głównodowodzący Marynarki Republiki, znajdował się na stanowisku dowodzenia, czyli w podziemiach New Octagon oddalonego o kilka kilometrów. On także został wyciągnięty z łóżka, ale nikt by się tego nie domyślił, patrząc na niego.

- Przepraszam za pobudkę, pani prezydent - powiedział formalnie. - Ale prawdę mówiąc, nie wiem.

Pritchard uniosła brwi i spytała uprzejmie:

- Mam wrażenie, że właśnie został ogłoszony alarm bojowy. Czy powody tego stanu rzeczy są panu znane, panie admirale?

- Tak - odparł Theisman z dziwną miną. - Około trzydziestu minut temu dziesięć minut świetlnych od granicy przejścia w nadprzestrzeń wyszło z nadprzestrzeni silne ugrupowanie niezidentyfikowanych jak dotąd okrętów. Od planety dzielą je dwadzieścia dwie minuty świetlne, a na podstawie sygnatur napędów określiliśmy, że składa się ono z 48 okrętów liniowych, tuzina krążowników liniowych, tuzina lotniskowców i co najmniej 15 niszczycieli. Do tego dochodzi ponad 10 dużych transportowców, najprawdopodobniej okrętów amunicyjnych.

Thiessen poczuła lodowate zimno - to musiały być okręty Royal Manticoran Navy, i to wyposażone w nowe rakiety, które zmasakrowały Marynarkę Republiki w bitwie o Manticore. A to oznaczało, że mogą bezkarnie ostrzelać obronę systemową, ponieważ zaś system Haven miał imponujące umocnienia, wzięli ze sobą jednostki amunicyjne, żeby nie zabrakło im rakiet.

- W tych okolicznościach raczej nie ma wątpliwości, czyje to okręty i co zamierzają - dodał spokojnie Theisman. - Ale identyfikacja z tej odległości zajmuje sporo czasu, podobnie jak jej potwierdzenie. I przy potwierdzaniu okazało się, że ocena wstępna nie była w pełni dokładna.

- Proszę? - spytała Pritchard, gdy zrobił przerwę.

- To Ósma Flota Królewskiej Marynarki, ale w jej skład wchodzi jeszcze jedna, wcześniej nie zauważona jednostka. I co ciekawe, nie jest to okręt wojenny, lecz prywatny jacht zarejestrowany w Protektoracie Graysona, o nazwie *Paul Tankersley*. A przynajmniej tak się identyfikuje, bo ma własny transponder.

- Jacht? - powtórzyła Pritchard tonem kogoś podejrzewającego, że ma do czynienia z wariatem.

- Tak, pani prezydent. Jacht będący własnością patronki Harrington. Przed chwilą

odebraliśmy od jego kapitana George'a Hardy'ego wiadomość, że admirał Harrington znajduje się na pokładzie jachtu, a nie swojego okrętu flagowego. Kapitan Hardy prosi też o zezwolenie na wejście na orbitę w celu dostarczenia do Nouveau Paris admirał Harrington, która ma dla pani osobistą wiadomość od Królowej Elżbiety III.

Eloise Pritchard wytrzeszczyła oczy.

Thiessen zaś wciągnęła ze świstem powietrze.

I nie była jedyną osobą, która tak zareagowała.

- Admirał Harrington chce tu przybyć osobiście? - spytała po chwili Pritchard.

- Chce tu przybyć na pokładzie nieuzbrojonego prywatnego jachtu, nie żądając żadnych gwarancji bezpieczeństwa - sprecyzował Theisman. - Choć obecność Ósmej Floty jest dość konkretną sugestią, że gdyby cokolwiek się jej stało, nie skończyłoby się to dla nas dobrze.

- Oczywiście... - powiedziała wolno Pritchard, marszcząc brwi.

I przez długą chwilę siedziała w milczeniu, intensywnie myśląc.

Po czym spojrzała na LePica i Nesbitta i uśmiechnęła się bez śladu wesołości.

- Cóż, to rzeczywiście nieoczekiwane wydarzenie - przyznała.

- Nieoczekiwane? - prychnął Nesbitt. - To dopiero łagodne ujęcie sytuacji.

- Odpowiedzieliśmy na tę prośbę, Tom? - spytała Pritchard.

- Jeszcze nie. Wiadomość odebraliśmy około trzech minut temu.

- Rozumiem... - mruknęła i znów zamilkła, ale na krócej. - W tych okolicznościach wolałabym nie nagrywać wiadomości w szlafroku. Skoro wyglądasz tak przytomnie i elegancko, zajmij się tym. Potem oczywiście będzie potrzebny Leslie, ale póki co załatwcie to między wami, żołnierzami.

- Rozumiem, pani prezydent. Co mam odpowiedzieć?

- Że Republika Haven udziela zezwolenia na wejście na orbitę parkingową, a ja osobiście gwarantuję bezpieczeństwo jednostki i wszystkich na jej pokładzie przez cały czas trwania wizyty.

- Rozumiem. Mam poruszyć kwestię pozostałych jednostek?

- Bądźmy taktowni, Tom. - Pritchard uśmiechnęła się przelotnie. - W końcu nic nie możemy zrobić, nawet gdybyśmy chcieli. A skoro ona o nich nie wspomniała, powinniśmy odplacić podobną uprzejmością.

- Rozumiem, pani prezydent.

- To dobrze. A ja w tym czasie spróbuję się doprowadzić do jakiegoś ludzkiego wyglądu. I myślę, że nie zaszkodzi ściągnąć tu resztę rządu. Skoro my musimy być na

nogach, to dlaczego oni mają mieć lepiej?

\* \* \*

Admirał lady dama Honor Alexander-Harrington z kamiennym wyrazem twarzy spoglądała przez okno republikańskiego portu. Jedyne ci, którzy naprawdę dobrze ją znali, mogli zorientować się, że wcale nie jest taka spokojna. Zdradzał ją powolny i równy niczym metronom ruch końcówki ogona Nimitza siedzącego na jej kolanach.

Kapitan Spencer Hawke wybrany przez pułkownika LaFolleta na dowódcę jej osobistej ochrony należał do tego właśnie grona i na dodatek całkowicie zgadzał się z Nimitzem. Gdyby to od niego zależało, skoro patronka już musiała przybyć na tę planetę, zrobiłaby to w zbroi, na pokładzie promu szturmowego Królewskiej Marynarki i w towarzystwie kompanii Royal Manticoran Marines także w pancernych zasilanych skafandrach. A na orbicie znajdowałaby się Ósma Flota w pełnej gotowości bojowej.

Celem zaś owego przybycia byłoby podpisanie w imieniu Sojuszu aktu bezwarunkowej kapitulacji Republiki Haven. Najlepiej na dymiących ruinach Nouveau Paris.

Niestety znał patronkę wystarczająco dobrze, nie marnował więc czasu na proponowanie jej tych drobnych zmian. I nie dlatego, że sprowokowałby wybuch złości, tylko coś gorszego: kliniczne wręcz, logiczne wyjaśnienia, dlaczego jest to z jego strony *foux pas*, którym towarzyszyłoby spojrzenie z rodzaju tych, których trzeba doświadczyć, by móc je opisać.

Już jakiś czas temu przestał się dziwić, dlaczego Andrew LaFollet zaczął tak wcześnie siwieć. Spojrzał na kaprała Joshuę Atkina i sierżanta Clifforda McGrew. Żaden nie wyglądał na spokojnego. Kolejny raz pomyślał, że bywają sytuacje, w których zazdrości gwardzistom patronów-domatorów. Może i wiedli nudniejsze życie, ale na pewno zdrowsze, bo nieporównanie mniej nerwowe.

\* \* \*

Honor nie potrzebowała Nimitza, by wiedzieć, jak spięci i nerwowi są jej gwardziści, bo było to po nich widać. Znała ich tak dobrze, że prawie wiedziała, co myślą, i tym razem wcale jej to nie irytowało. Miała lekkie wyrzuty sumienia, ale był to jedyny sposób na uniknięcie masakry, która byłoby jedynie przerwą w wojnie, a nie jej zakończeniem.

Sama była zdenerwowana. Wprawdzie Pritchart zareagowała tak, jak się spodziewała, a raczej zareagował tak w jej imieniu Theisman, co stanowiło dobry znak, ale nie dawało pewności, że postąpiła słusznie. Mogła teraz tylko udawać spokój i postępować tak, jakby

wszystko toczyło się zgodnie z planem. Dlatego też zignorowała spojrzenie, którym obrzucił ją mechanik pokładowy, ciągle nie mogący uwierzyć, że widzi Salamandrę, która nie jest jeńcem...

\* \* \*

Eloise Pritchard stała na lądowisku promów na dachu Wieży Péricard, która odzyskała swą pierwotną nazwę po odtworzeniu przez Theismana Republiki Haven.

Budynek w ciągu swej 150-letniej historii miał kilka nazw, łącznie z Wieżą Ludową czy Wieżą Sprawiedliwości. Ostatnia nazwa obowiązywała, gdy został siedzibą Urzędu Bezpieczeństwa. Nikt nie wiedział, ilu ludzi zakatowano w jego podziemiach. Jak dotąd udowodniono śmierć wystarczającej ich liczby, by 137 funkcjonariuszy UB dostało karę śmierci.

Podpisała wszystkie wyroki i nie żałowała ani jednego z tych podpisów.

Pierre wolał zamieszkać gdzie indziej i wyjątkowo całkowicie zgadzała się z jego decyzją, ale w końcu mimo obiekcji i obawy, że krok ten może zostać źle zrozumiany przez ludzi, zdecydowała się zamieszkać w tradycyjnej rezydencji prezydenta z okresu poprzedzającego rządu Legislatorów. Czyli na górnych piętrach Wieży Péricard.

Zaufała instynktowi, a nie doradcom, i okazało się, że miała rację - większość obywateli odtworzonej Republiki właściwie pojęła jej motywy. I albo sprawdziła, albo przypomniała sobie, że budynek ten nazwano imieniem Michelle Péricard, pierwszego prezydenta Republiki Haven. Kobiety, której wizjonerstwo i energia doprowadziły do powstania tejże Republiki i która była główną autorką jej konstytucji. Tej, której obowiązywanie przywracali Eloise Pritchard, Thomas Theisman i ich sojusznicy.

Przestała wspominać, widząc prom Marynarki Republiki podchodzący do lądowania. Oślaniały go trzy promy szturmowe z pełnym uzbrojeniem unoszące się ponad lądującą maszyną, a jeszcze wyżej aż gęsto było od atmosferycznych myśliwców patrolujących niebo nad stolicą. Przestrzeń powietrzna w promieniu 15 kilometrów została zamknięta dla ruchu, piloci myśliwców otrzymali rozkaz, że jeśli dostrzegą jakąś rakietę i nie będą w stanie inaczej jej zniszczyć, do przechwycenia mają użyć własnej maszyny. Na szczęście żadne zagrożenie nie pojawiło się, a prom wylądował spokojnie i elegancko. W tym ostatnim nie było nic dziwnego, jako że za jego sterami siedział osobisty pilot Thomasa Theismana, podporucznik Andre Beaupre. A Thomas swojego osobistego szofera nie wybrał przypadkiem ani nie kierował się względami estetycznymi. Nic więc dziwnego, że do tej misji wyznaczył najlepszego pilota, jakiego znał.

Środki bezpieczeństwa mogły wydać się przesadzone, ale cała zasiedlona galaktyka wiedziała, że Republika Haven już raz próbowała dokonać zamachu na Honor Harrington, i to na pokładzie jej własnego okrętu flagowego. Gdyby sytuacja powtórzyła się teraz w stolicy tejże Republiki, konsekwencje byłyby opłakane, i to nie tylko te bezpośrednio związane z reakcją Ósmej Floty. A w mieście było dość ludzi, którzy z chęcią oddaliby życie za możliwość zabicia kobiety, która od początku wojny systematycznie spuszczała lanie ich flocie. Na szczęście informacja o jej przybyciu nadal była ściśle tajna i nawet członkowie rządu dowiedzieli się, dlaczego wyciągnięto ich z łóżek, dopiero gdy znaleźli się w sali obrad i zostali pozbawieni kontaktu ze światem zewnętrznym.

Silniki promu umilkły, z burty wysunęła się rampa, a drzwi otwarły się bezgłośnie.

Pritchart z dużym trudem zapanowała nad sobą, miała ochotę natychmiast ruszyć w stronę promu.

- Nie tylko ty jesteś zdenerwowana, jakbyś nie wiedziała - powiedział cicho Theisman stojący z prawej strony, tak by tylko ona to usłyszała.

- A skąd ci przyszło do głowy, że jestem zdenerwowana?

- Bo ja jestem, a ty masz dłonie splecione na plecach. Trzymasz je tak tylko wtedy, kiedy nie bardzo wiesz, co z nimi zrobić, a to się zdarza, tylko gdy jesteś naprawdę nerwowa.

- Serdeczne dzięki! Ty to wiesz, jak człowieka podtrzymać na duchu w momencie kryzysu!

- Cóż, podobno złość pomaga, bo człowiek przestaje się martwić. Jak widać i tym razem zadziałało, więc przyjmę podziękowania - poinformował ją uprzejmie, błyskając zębami w uśmiechu.

Pritchart poczuła przemożną chęć kopnięcia go w kostkę i obiecała sobie solennie, że przy pierwszej okazji to zrobi. Teraz musiała się zachowywać dostojnie, toteż ponownie skupiła uwagę na promie. I odkryła, że Theisman rozżłościł ją w idealnym momencie, co nie mogło być przypadkiem; zbyt dobrze go znała. W otwartym włazie pojawiła się wysoka kobieta w mundurze Royal Manticoran Navy z dystynkcjami admirała. Pritchart miała 175 centymetrów wzrostu i przywykła, że jest wyższa od większości kobiet. Harrington musiała być co najmniej z pięć centymetrów wyższa od Sheili Thiessman, a ta z kolei była o pięć centymetrów wyższa od niej samej.

Na prawym ramieniu gościa siedział treecat. Pritchart nie była specjalistką od treecatów - w całej Republice Haven takowego nie było - ale przeczytała wszystko, co znalazła na ich temat. I dlatego wiedziała, iż otoczenie ogonem szyi adoptowanego człowieka oznacza ochronę i gotowość do walki w jego obronie.



Zresztą gdyby nawet tego nie zauważyła lub nie zrozumiała, zachowania trzech mężczyzn w zielonych mundurach, którzy wyszli z promu za Harrington, nie sposób było zinterpretować inaczej niż jako oznaki podejrzliwej czujności. O nich też przeczytała wszystko, co się dało. Nieomal czuła, jak członkowie jej własnej ochrony jeżą się na widok pulserów gwardzistów. Wszystkie trzy pozostawały naturalnie w kaburach, ale sam fakt, że je mieli, był zawodową obelgą dla jej ochrony.

Sheila dostała regulaminowego ataku szału, gdy dowiedziała się o zgodzie Pritchard na to, by uzbrojeni ochroniarze towarzyszyli oficerowi kraju, z którym Republika Haven była w stanie wojny. Wyraziła kategoryczny sprzeciw i przez chwilę Pritchard naprawdę się bała, że jej własna ochrona umieści ją w areszcie prewencyjnym dla jej własnego bezpieczeństwa. Na szczęście rozkaz bezpośrednich przełożonych, czyli LePica i Kevina Ushera, zmusił Sheilę do odwrotu. Tym bardziej że Usher wyraził to w sposób dość obrazowy, pytając, czy zamierza nie tylko rozbroić gwardzistów, ale też amputować gościowi protezę, w którą ma wmontowany pulser. O tym ostatnim Sheila nie miała pojęcia i dosłownie mowę jej odebrało. Pritchard nawet ją rozumiała, ale nie mogła się z nią zgodzić.

A Harrington musiała mieć świadomość, że równie katastrofalne skutki miałyby, gdyby z jej winy cokolwiek przytrafiło się pani prezydent, jak i gdyby rzeczona pani prezydent dopuściła, by cokolwiek stało się jej.

To się chyba nazywało świadomość wzajemnego unicestwienia, jeśli dobrze pamiętała, co Thomas mówił o pewnym okresie ziemskiej historii. Może i nazwa nie była najmądrzejsza, ale świadomość okazała się skuteczna, bo ludzkość jakoś nie doprowadziła do samozagłady nuklearnej, więc i tym razem powinno się udać.

Uśmiechnęła się do własnych myśli i zauważyła, że Harrington obróciła głowę w jej kierunku, jakby wyczuła to rozbawienie. Pierwszy raz spojrzały sobie w oczy i Pritchard głęboko odetchnęła, zastanawiając się, czy miałyby odwagę zjawić się samotnie w stolicy wroga, którego flotę zniszczyła pół roku standardowego temu. Zwłaszcza będąc przekonana, że ten wróg rok wcześniej próbował ją zabić i serdecznie jej nienawidzi... Chciałyby sądzić, że w określonych okolicznościach zdobyłyby się na to, ale wiedziała, że pewności nie będzie miała nigdy.

Harrington zaś zrobiła to, i to w chwili, w której przewaga militarna Królestwa Manticore nad Republiką była taka, że nie musiała się narażać. Pritchard spoważniała i podeszła z wyciągniętą prawicą do krawędzi rampy. Wszystko zgrało się pięknie, bo obie dotarły tam równocześnie.

- Przyznaję, że jestem zaskoczona tym spotkaniem, pani admirał.

- Nie dziwi mnie to, pani prezydent - odparła Honor, ściskając jej dłoń.

Pritchard miała nieodparte wrażenie, że zrobiła to ostrożnie, w czym nie było nic dziwnego: połamanie gospodyni paru kości przy tej okazji nie byłoby miłym początkiem.

- Rozumiem, że ma pani dla mnie wiadomość - powiedziała głośno. - A biorąc pod uwagę, w jak dramatyczny sposób postanowiła ją pani dostarczyć, zakładam, że jest ona ważna.

- Dramatyczny? - spytała niewinnie Honor.

Pritchard wbrew sobie uśmiechnęła się, słysząc ten ton, choć nie była to zbyt dyplomatyczna reakcja. Nie mogła się jednak powstrzymać. Królewska Marynarka także potrafiła liczyć i Harrington doskonale wiedziała, o której godzinie czasu planetarnego przybyła.

- Ujmijmy to więc w ten sposób: pora pani przybycia zwróciła moją uwagę - oznajmiła. - Zresztą tak jak pani zamierzyła.

- Muszę przyznać, że zamierzyłam - przyznała Harrington. - I ma pani rację, pani prezydent: to ważna wiadomość.

- W takim razie zapraszam panią i pani gwardzistów do mojego gabinetu, by mogła mi ją pani przekazać.

## ROZDZIAŁ VII

- Jak pani woli, by się do pani zwracać: admirał Harrington, admirał Alexander-Harrington, księżno Harrington czy patronko Harrington? - spytała Pritchard z nieco złośliwym uśmiechem, gdy wsiadły do windy.

Była spora, ale miejsca wystarczyło tylko dla nich i obu grup ochrony traktujących się nawzajem z nieukrywaną podejrzliwością. Naturalnie ani gwardzistom, ani podkomendnym Sheili Thiessen nawet przez myśl nie przeszło, że którykolwiek z nich miałby zostać, żeby zmieścił się jakiś tam sekretarz czy ktoś taki.

- Przyznaję, że czasami bycie tyłoma osobami naraz nieco komplikuje życie - przyznała Honor z nieco bardziej złośliwym uśmieszkiem. - A który by pani najbardziej odpowiadał, pani prezydent?

- Cóż, my w Republice żywimy pewną awersją do arystokracji, używanie któregoś z pani cywilnych tytułów może więc wywołać... mieszane uczucia. Mimo iż mamy świadomość, jak pani do nich doszła; podobnie zresztą jest z przebiegiem pani kariery wojskowej.

Na moment oczy Pritchard, znacznie bardziej wyraziste niż na nagraniach, jak właśnie Honor odkryła, pociemniały. Honor nawet bez Nimitza wiedziała, co było przyczyną - od Tourville'a dowiedziała się o tym, że Pritchard i Javier Giscard byli kochankami, o tym, że on zginął w bitwie o Lovat. A to ostatnie znaczyło po prostu, że to ona go zabiła.

Spojrzała w oczy Pritchard i zrozumiała, że obie zdają sobie sprawę, że nie było w tym nic osobistego. Giscard był po prostu jednym z tysięcy zabitych w tej bitwie. A obie były w stanie to zrozumieć, gdyż w przeciwieństwie do większości oficerów obu flot zabijały z bliska i własnoręcznie, widząc wyraz twarzy i oczu wrogów. Takie zabijanie było osobiste.

Pritchard odchrząknęła, przerywając milczenie.

- Jak już powiedziałam, wiemy, jak pani do nich doszła i dlatego jesteśmy gotowi używać ich w geście szacunku.

- Rozumiem...

Honor musiała przyznać, że w osobistym kontakcie Pritchard wywierała o wiele większe wrażenie, niż się spodziewała, nawet po relacji Mike z jej spotkań z platynowowłosą panią prezydent. Zachowywała się z pewnością osoby dobrze wiedzącej, kim jest i ile jest

warta, a jej emocje, czyli blask umysłu, jak to nazywały treecaty, były emocjami kogoś, kto doszedł do tego, kim jest, własnym wysiłkiem i zapłacił za to wiele. Natomiast niezależnie od luźnego charakteru pytania jego treść była dla niej ważna i Honor nie bardzo wiedziała dlaczego.

Mike tytułowała hrabiną Gold Peak, ale dopiero od chwili, gdy zdecydowała się odesłać ją z wiadomością dla Elżbiety. Mogła to być uprzejmość lub podkreślenie wysokiego miejsca na liście kandydatów do tronu... Albo też chodziło o kogoś innego w rządzie, kto był przeczulony na tym punkcie, lub też o oficjalny komunikat, który prędzej czy później zostanie ogłoszony.

- W tych okolicznościach sądzę, że najwygodniej będzie używać mojego stopnia: im prościej, tym lepiej - zaproponowała.

- Dziękuję. - Pritchard uśmiechnęła się bez ironii. - Podejrzewam, że niestety niektórzy członkowie rządu o nieco bardziej... radykalnym podejściu do równouprawnienia mieliby problemy z używaniem pozostałych tytułów.

W tym momencie Honor olśniło - Pritchard próbowała wysondować, czy wiadomość od Beth była przeznaczona dla całego rządu, czy tylko dla niej.

- Skoro są aż tak ortodoksyjni, to możemy w ogóle zrezygnować z tytułów - zaproponowała niewinnie i z trudem stłumiła wesołość, czując irytację rozmówczyni z tak skutecznego i nieświadomego załatwienia jej subtelnej próby.

- To bardzo łaskawe i wyrozumiałe z pani strony - zdołała wydusić z siebie Pritchard, nim winda stanęła.

Gdy drzwi się otwały, eleganckim gestem wskazała korytarz. Honor wysiadła pierwsza i po paru sekundach obie ruszyły ku drzwiom, ku którym prowadził korytarz. A w ślad za nimi dwie grupy ochroniarzy. Nim uszły kilka metrów, Pritchard odwróciła się ku wysokiej, czarnowłosej kobiecie dowodzącej ochroną i poleciła:

- Sheila, poinformuj proszę sekretarza obrony i resztę członków rządu, że najpierw odbędę prywatną rozmowę z naszym gościem. Biorąc pod uwagę jego dramatyczne przybycie po nocy, jestem pewna, że ma nam do przekazania coś naprawdę ważnego, i dlatego chcę to wpierw sama usłyszeć, a dopiero potem o tym dyskutować.

- Oczywiście, pani prezydent - potwierdziła brunetka.

I zaczęła coś cicho mówić do komunikatora.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu? - spytała Pritchard, spoglądając na Honor.

- Skądże znowu - odparła ta z nienaganną uprzejmością, ale musiał ją zdradzić błysk

rozbawienia w oczach, bo Pritchard parsknęła i ruszyła dalej.

Do drzwi dotarły w milczeniu i po kolejnym zapraszającym geście Pritchard Honor weszła do gabinetu mniejszego, niż się spodziewała.

Na ścianach wisiały stare obrazy, umeblowanie było kosztowne i gustowne, ale było to bezwzględnie miejsce pracy, a nie pomieszczenie służące do przyjmowania gości i wywierania na nich wrażenia. Biorąc pod uwagę jego wielkość, nie ulegało też wątpliwości, że gdyby zgromadził się tutaj cały rząd, zrobiłoby się ciasno. Musiała jednak przyznać, że nieobecność Theismana zaskoczyła ją.

- Proszę spocząć, admirał Harrington. - Pritchard najwyraźniej zdecydowała się dosłownie potraktować propozycję zwracania się do niej jak najprościej.

Usiadła w jednym ze stojących wokół sporego stołu foteli naprzeciwko ściany z krystoplastu, za którą rozciągała się panorama śródmieścia Nouveau Paris. I mimo napięcia zarejestrowała, że jest to imponujący widok, tym bardziej jeśli wiedziało się, do jak opłakanego stanu doprowadzili infrastrukturę miasta Legislatorzy, a potem pogorszyły zamieszki po przewrocie Pierre'a, naloty zarządzane przez Esther McQueen i na koniec ładunek nuklearny zdetonowany przez Oscara Saint-Justa pod Octagonem. W ciągu ostatnich 20 lat standardowych w tym mieście zginęło więcej ludzi niż w bitwie o Manticore na pokładach okrętów Marynarki Republiki. A mimo to ci, którzy przeżyli, zdołali je odbudować i przywrócić do stanu świetności.

Mimo że był środek nocy, w powietrzu panował spory ruch, a duża część okien była oświetlona. Przypominało to obrazy ze starej Republiki Haven, jakie widziała na archiwalnych nagraniach, i wiedziała, że w znacznej części jest to zasługa kobiety, w której gabinecie się znajdowała. Ale była to też ta sama osoba, która zdecydowała się wznowić działania wojenne niespodziewanym uderzeniem. A potem wysłać Tourville'a, by zdobył system Manticore. Można ją było podziwiać, ale należało pamiętać, że jest niebezpieczna, i nie dać się ponieść optymizmowi w ocenie ani jej samej, ani tego, czego naprawdę chce.

- Coś do picia? - spytała Pritchard, siadając. - Albo do jedzenia?

- Dziękuję, ale nie.

- Jeśli jest pani zdecydowana...

Honor uniosła pytająco brew, bo zabrzmiało to nieco dziwnie.

- Zgromadziliśmy pani kompletne *dossier* - wyjaśniła Pritchard. - Pierwsza fala kolonistów Meyerdahla, zgadza się?

- Mniej więcej. I doceniam propozycję, ale mój steward dosłownie wypchał mnie przed wyruszeniem z pokładu.

- A! Niezastąpiony pan MacGuinness?

- Widzę, że panowie Cachat i Usher naprawdę dobrze się spisali - oceniła uprzejmie Honor. - I pan Trajan już nie bardzo miał co dodać.

- *Touché!* - przyznała Pritchart z uśmiechem.

A potem spoważniała.

- Skoro nie chce pani ani nic przekąsić, ani wypić, może powie mi pani, z jakim zadaniem wysłała panią Królowa Manticore? - spytała.

- Oczywiście, pani prezydent - odparła Honor równie poważnie, delikatnie głaskając Nimitza, który przeniósł się z jej ramienia na kolana. - Moja Królowa wybrała mnie na swego osobistego wysłannika i przedstawiciela pełnomocnego. Mam oczywiście nagranie od niej adresowane do pani, ale jest to jedynie informacja, że mam prawo mówić i działać w jej imieniu.

Na twarzy Pritchart nie drgnął nawet jeden mięsień, ale Honor poczuła jej nagłą konsternację i zarazem nadzieję. Tej pierwszej się spodziewała, bo Pritchart mogła założyć, że Honor będzie kimś więcej niż posłańcem, ale właśnie dowiedziała się, że może ona także negocjować w imieniu Elżbiety III. To z kolei tłumaczyło nadzieję, choć w istniejącej sytuacji negocjacje w wydaniu Elżbiety III mogły oznaczać żądanie bezwarunkowej kapitulacji.

Ale nie musiały.

- Jej Królewska Mość i ja zdajemy sobie sprawę z wrogości i nieufności panujących między Gwiezdnym Imperium Manticore a Republiką Haven - kontynuowała Honor tym samym spokojnym głosem. - I nie mam zamiaru dziś się nimi zajmować. Prawdę mówiąc, nie widzę zresztą żadnego sposobu, by dojść do porozumienia w tych kwestiach bez długich i trudnych rozmów. Uważam jednakże, że większość rozbieżności da się rozwiązać na drodze kompromisu między rozsądnymi ludźmi, o ile załatwiona zostanie na początku sporna kwestia korespondencji dyplomatycznej. Ale dziś tym także nie mam zamiaru się zajmować. Chcę natomiast zwrócić uwagę na inną sprawę, która najprawdopodobniej okaże się groźnym problemem, czyli na liczbę zabitych od momentu, w którym Republika Haven zdecydowała się bez żadnego uprzedzenia wznowić działania wojenne.

Przerwała, obserwując reakcję Pritchart. Było oczywiste, że ostatnie zdanie nie przypadło jej do gustu, ale to Honor nie przeszkadzało: nigdy nie uważała się za dyplomatkę i nigdy nie wyobrażała sobie siebie w takiej roli, ale skoro już tak się stało, że w niej wystąpiła, pewne rzeczy zamierzała powiedzieć od razu i bez ogródek, żeby uniknąć późniejszych ciągnących się w nieskończoność nieporozumień czy niedomówień. Nie dodała, bo byłoby to w tej chwili błędem, że niepodpisanie traktatu pokojowego było zasługą rządu High Ridge'a,

nie władz Republiki, podobnie jak nie miała zamiaru przynajmniej na razie przyznać, że głupota i cynizm tegoż rządu, dla którego najważniejsze było utrzymanie się przy władzy, usprawiedliwiały decyzje Pritchard. Ani też, że operacja Thunderbolt była jak najbardziej sensowna z militarnego punktu widzenia, a legalna z prawnego, gdyż skoro nie było traktatu pokojowego, wojna trwała nadal. Na podobne stwierdzenia przyjdzie czas, gdy Pritchard wykaże dobrą wolę i przyzna się do części grzechów, zaczynając od tego, z czyjej winy wybuchła ta wojna 20 lat standardowych temu.

- Jej Królewska Mość ma świadomość, że Republika poniosła znacznie większe straty w ludziach - podjęła po paru sekundach. - Ale ma ona także o wiele większą populację, co oznacza, że procentowo nasze straty są o wiele wyższe. Zniszczenia i inne koszty tej wojny dla obu stron są olbrzymie. Choćby liczba zniszczonych okrętów jest wielokrotnie większa od liczby straconych we wszystkich dotychczasowych wojnach toczonych przez ludzkość razem wziętych. Walka rozpoczęła się osiemnaście lat standardowych temu, dwadzieścia dwa, jeśli za początek uznać atak na terminal Basilisk, ale nawet najbardziej zacięty patriota republikański musi być świadom, mimo wieloletniej propagandy wszystkich rządów, że konflikt spowodowała agresja Ludowej Republiki Haven, a nie Gwiezdnego Królestwa. I że to Ludowa Republika jest winna wybuchu tej wojny. Praktycznie jednak ten konflikt trwa znacznie dłużej, bo widząc, na co się zanosi, obie strony rozpoczęły zbrojenia i przygotowania do nieuchronnego starcia dobre czterdzieści lat standardowych wcześniej. Ujmując rzecz inaczej: odkąd miałam cztery lata standardowe, pomiędzy naszymi państwami trwa wojna, wprawdzie zimna, potem normalna. Przez całe moje życie mój kraj musiał odpierać agresję Republiki Haven w takiej czy innej formie. A to oznacza, że mówimy nie o jednym, ale o wielu pokoleniach, które nie znają życia w pokoju, co musiało wpłynąć na ich stosunek do wielu spraw. Dlatego każda ze stron z łatwością znajdzie wiele powodów, by nie ufać czy wręcz nienawidzić drugiej. Są jednakże kwestie dające nadzieję na zakończenie tej sytuacji. Pierwszą jest ta, że nie mamy już do czynienia z Ludową Republiką Haven, a pani rząd twierdzi, że jego głównym celem jest całkowite przywrócenie starej Republiki Haven we wszystkich dziedzinach życia, pani prezydent. Przyjmuję, że to twierdzenie jest szczerze. Niestety z różnych powodów zdecydowała się pani na wznowienie działań wojennych i to sprawiło, że większość poddanych Korony uważa, iż między obecną władzą a Legislatorami czy Komitetem Bezpieczeństwa Publicznego nie ma wielkich różnic, pomijając kosmetyczne i propagandowe. Mam nadzieję, że się mylą i że obecne władze chcą utrzymać postęp, jaki osiągnęły w przywracaniu normalności po dziesięcioleciach dyktatury nie liczącej się z nikim i z niczym. I że zdają sobie sprawę, że w zakres ich odpowiedzialności wchodzi też

zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom, a więc takie działanie, by jak najmniejsza ich liczba zginęła, zwłaszcza z powodu ambicji politycznych czy też ślepej nienawiści. Drugą różnicę stanowi to, o czym równie dobrze wiecie pani i admirał Theisman co ja i Królowa Elżbieta. W tej chwili posiadamy przewagę militarną większą niż wtedy, gdy przejmowaliście władzę po śmierci Saint-Justa. Możemy doprowadzić tę wojnę do zwycięskiego dla nas końca, niszcząc wasze okręty bezkarnie i bez strat własnych. Możemy obrócić w pył infrastrukturę każdego waszego systemu planetarnego, zaczynając od tego, i nie zdołacie nam przeszkodzić, jak bohaterstwo by się nie zachował personel Marynarki Republiki. Bo że tak właśnie się zachowa, w to nie wątpię. Spora część społeczeństwa mojego kraju wolałaby taki właśnie finał z powodów, które już podałam. Jej Królewska Mość także jest jego zwolenniczką. Jak sądzę czytała pani pewne akta Urzędu Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa, rozumie więc pani, dlaczego Królowa ma jak najbardziej zrozumiałe powody, by was nienawidzić i nie ufać wam w najmniejszym choćby stopniu. Każdy żywiłby takie uczucia w stosunku do kraju, który zamordował jego ojca, stryja, kuzyna i premiera oraz próbował zamordować jego samego.

Pritchard jedynie kiwnęła potakująco głową. Nie była zaskoczona, musiała więc znać prawdę o zamachu na Króla Rogera i nie dziwić się podejściu Elżbiety czy to do Ludowej Republiki, czy Republiki Haven.

- Zaraz po bitwie o Manticore nie mogliśmy podjąć żadnych operacji ofensywnych - dodała Honor. - Jestem pewna, że wasi analitycy doszli do tych samych wniosków, znając szacunkowe choćby poniesione przez nas straty. Teraz jednakże uzupełniliśmy stany na tyle, że możemy wydzielić stosowne do tego celu siły, nie narażając na atak systemu Manticore. A mówiąc szczerze, do działania motywuje nas także sytuacja w Gromadzie Talbott będąca wbrew wcześniejszym naszym ocenom daleka od stabilnej.

Ponownie zrobiła przerwę, ciekawa reakcji Pritchard, która musiałaby nie być człowiekiem, by nie żywić nadziei, że ewentualny konflikt z Ligą Solarną okaże się korzystny dla Republiki Haven, i doradcy polityczni Królowej długo dyskutowali o tym, czy Honor powinna poruszyć tę kwestię. Teraz, wyczuwając u gospodyni ostrożność zmieszaną z nadzieją, Honor wiedziała, że decyzja, którą podjęli, była słuszna - Pritchard była zbyt inteligentna, by nie dostrzec drugiej możliwości, a mianowicie, że mogło to przypieczętować los Republiki. I to szybko.

Należało jednak upewnić się, że w tej sprawie zrozumienie jest pełne, by nie pozostawić miejsca na żadne fałszywe nadzieje. Dlatego zaczęła mówić dalej:

- Liczymy na dyplomatyczne rozwiązanie tego problemu, ale nie będę udawała, że



jesteśmy pewni, iż do niego dojdzie. Jeśli tak się nie stanie, reperkusje dla Gwiezdnego Imperium Manticore będą poważne, z czego musi pani zdawać sobie sprawę równie dobrze jak my. Ale jest jeszcze coś, pani prezydent. Nie możemy pozwolić sobie na zignorowanie zagrożenia, jakim jest perspektywa wojny z Ligą Solarną. Jest to zresztą jeden z powodów, dla których chcemy zakończyć wojnę z Republiką. Jedynie nieodpowiedzialne państwo chciałoby wojny z Ligą w jakichkolwiek okolicznościach, ale tylko głupie państwo chciałoby walczyć z nią i z kimś jeszcze równocześnie. Jestem pewna, że wasi analitycy doszli do tych samych wniosków co nasi, ale na wszelki wypadek powiem, jak my oceniamy sytuację. Marynarka Ligi ma przestarzałe uzbrojenie i okręty, o taktyce nie wspominając. I to w porównaniu zarówno do Królewskiej Marynarki, jak i do Marynarki Republiki, Naturalnie państwo tej wielkości co Liga Solarna ma olbrzymi potencjał, by to nadrobić, ale w naszej ocenie nawet gdyby jutro rozpoczęło produkcję nowoczesnych rodzajów uzbrojenia, i tak przez trzy do pięciu lat będziemy mieć miażdżącą przewagę. Mówię to dlatego, by pani zrozumiała, że choć nie chcemy wojny z Ligą, nie uważamy jej za wyrok śmierci. Natomiast nie zamierzamy jej toczyć równocześnie z wojną z państwem, które ma tak zbliżoną do naszej technikę wojskową. Dlatego mamy tylko dwa wyjścia. Pierwsze, znacznie mniej ryzykowne, to wykorzystać przewagę w uzbrojeniu, jaką mamy obecnie, i zmusić was do bezwarunkowej kapitulacji. Prawdę mówiąc, miesiąc standardowy temu otrzymałam taki właśnie rozkaz, a obiektem lekcji pokazowej miał być właśnie ten system planetarny. Ten rozkaz został jednakże zmieniony. Nie odwołany, ale zmieniony. Jej Królewska Mość dała się przekonać do rozważenia ewentualności, iż Republika Haven rzeczywiście różni się znacznie od Ludowej Republiki Haven. I że nie jest odpowiedzialna ani za zabójstwo admirała Webstera, ani za zamach na Królową Berry. Uczciwość nakazuje dodać, że wcale nie jest co do tego przekonana, ale przynajmniej dopuszcza taką możliwość. A nawet gdyby okazało się, że oba zamachy to jednak wasza sprawka, Królowa przyznaje, że dalsze zabijanie kolejnych milionów obywateli Republiki i niszczenie jej przemysłu może być nieproporcjonalną karą. Dlatego poleciła mi przekazać następującą wiadomość: Gwiezdne Imperium Manticore gotowe jest negocjować zawarcie pokoju kończącego wojnę między nim a Republiką Haven.

Na twarzy Pritchard nie drgnął nawet jeden mięsień. Miała godną podziwu samokontrolę, ale inaczej nie przetrwałaby przecież pod rządami patologicznie podejrzliwych osobników takich jak Oscar Saint-Just.

Natomiast wybuch nadziei był empatycznie prawie aż oślepiający, choć towarzyszyła jej także ostrożność. Pritchard nie była głupia i zdawała sobie sprawę, że negocjacje nie będą ani łatwe, ani krótkie, i wcale nie muszą zakończyć się sukcesem po tylu latach nienawiści i

morzu przelanej krwi.

- Nikt w Gwiezdnym Imperium nie spodziewa się, że będzie to łatwe, nawet zakładając, że nie jesteście odpowiedzialni za te zamachy - powiedziała głośno Honor. - Niemniej jednak Jej Królewska Mość jest gotowa spróbować rozmów w dobrej wierze i otrzymałam od niej upoważnienie do rozpoczęcia negocjacji pokojowych w imieniu jej i Gwiezdnego Imperium Manticore. Poleciała mi również przekazać pani, że nie zgodzi się na przeciąganie tych negocjacji w nieskończoność. Sądzę, że w świetle tego, co powiedziałam o naszych problemach z Ligą Solarną, zrozumie to pani. Równocześnie zdaję sobie sprawę, podobnie jak Jej Królewska Mość, że poprzednie negocjacje pokojowe nie powiodły się nie z winy rządu Republiki Haven. Jej Królewska Mość była przeciwna postępowaniu rządu High Ridge'a, ale pewne szczegóły naszego systemu konstytucyjnego uniemożliwiły jej odwołanie go i zastąpienie przez ludzi świadomych obowiązków związanych z zajmowaniem określonych stanowisk politycznych. Prawda jest też taka, że nikt nie spodziewał się, iż głupota, arogancja i ambicje członków tego rządu doprowadzą do wznowienia działań wojennych. Jej Królewska Mość, podobnie jak właściwie wszyscy, była przekonana, że jest to problem wewnętrzny, który może mieć skutki dyplomatyczne, ale nie aż takie, by wymknęły się spod kontroli. Dlatego zdecydowała się nie wywoływać kryzysu konstytucyjnego, lecz poczekać, aż ta głupota, arogancja i ambicje doprowadzą do upadku rządu. Jestem pewna, że miewała pani podobne trudności od chwili objęcia urzędu prezydenta Republiki Haven.

Wściekłość, jaką te słowa wzbudziły w Pritchard, omal nie wywołała widocznej reakcji Honor, bo Nimitza i owszem - stulił uszy i wyszczerzył kły. Wściekłość z domieszką jakby poczucia winy była bardzo intensywna, ale nie skierowana przeciwko High Ridge'owi czy Królestwu. I to właśnie było najdziwniejsze... Najrozmaitsze możliwości będące efektem wielogodzinnych posiedzeń ze specjalistami od polityki wewnętrznej Republiki Haven przemknęły jej przez głowę, ale teraz nie mogła sobie pozwolić na ich analizowanie. Musiała dokończyć to, co zaczęła, bo było to o wiele ważniejsze. Dlatego mówiła spokojnie dalej:

- Jej Królewska Mość bardzo żałuje, że nie mogła wziąć High Ridge'a na krótką smycz, i gotowa jest przyznać, że fiasko rozmów było winą Gwiezdnego Imperium Manticore, ale wraz z obecnym rządem jest zdecydowana, by zakończyć ten konflikt albo w drodze negocjacji, albo użycia siły. Wolałaby to pierwsze i jest gotowa wykazać tyle dobrej woli, na ile pozwolą okoliczności. Dlatego poleciała mi przekazać, że są tylko dwie kwestie, w których nie ustąpi. Musi zostać publicznie ogłoszone, kto sfalszował korespondencję w trakcie trwania poprzednich negocjacji i dlaczego oraz kto rozpoczął działania zbrojne. Trzeba także ustalić wysokość odszkodowania, ale to może nastąpić na kolejnym, bardziej

szczegółowym etapie rozmów. Nie będziemy upierać się przy warunkach, które byłyby katastrofalne dla gospodarki Republiki, gdyż Jej Królewska Mość ma nadzieję, że ten pokój będzie stanowił podstawę do unormowania naszych wzajemnych stosunków handlowych, naukowych i dyplomatycznych. Być może nawet w trakcie ostatniej fazy tychże negocjacji pokojowych. Chcemy nie tylko zakończyć wojnę, ale i otworzyć nowy rozdział stosunków z wami, i to stosunków korzystnych dla obu stron, opartych na wzajemnym szacunku, wspólnych interesach, a w końcu może i na przyjaźni. Jeżeli jednak osiągnięcie porozumienia w sensownym czasie okaże się niemożliwe, oferta pokojowego zakończenia walk zostanie wycofana. Nikt bardziej niż ja nie będzie żałował, jeśli tak się stanie, pani prezydent, ale mam obowiązek poinformować panią, że jeśli to nastąpi, podejmiemy działania zbrojne. A to oznacza, że będziemy niszczyć system po systemie wasz przemysł orbitalny i wszystkie okręty, jakie staną nam na drodze, dopóki pani lub pani następcza nie podpisze aktu bezwarunkowej kapitulacji. Mówiąc tylko w swoim imieniu: chciałabym, aby negocjacje się powiodły, bo mam dość zabijania obywateli Republiki i dowiadywania się, ilu poddanych Korony wyście zabili. Ale jeśli będę musiała zabijać was dalej, będę robić to tak okrutnie, jak umiem. Proszę mnie do tego nie zmuszać, pani prezydent.

Ostatnie zdanie dodała, mając przed oczyma Alistaira McKeona, Raoula Courvoisiera, Jamiego Candlessa i wielu, wielu innych.

## ROZDZIAŁ VIII

- I cóż? - Eloise Pritchard rozejrzała się po członkach rządu zebranych w zwykłej sali posiedzeń wyposażonej w okna lub skutecznie udające okna ekrany wizualne na wszystkich ścianach.

Pokazywały panoramę stolicy w czasie rzeczywistym - dopiero wschodziło słońce i nikt z obecnych nie wyglądał na specjalnie wypoczętego.

- Myślę, że to było dramatyczne - odezwała się po chwili Henrietta Barloi, sekretarz do spraw nauki i techniki.

Podobnie jak Tony Nesbitt była zwolenniczką nieżyjącego i nieopłakiwanego Arnolda Giancoli, acz prawie na pewno, tak jak wszyscy inni, nie miała nic wspólnego ze sfalszowaniem przez niego korespondencji dyplomatycznej, które doprowadziło do wznowienia walk. Oboje z Nesbittem pozostali jednak najbardziej podejrzliwymi i niechętnymi w stosunku do Gwiezdnego Królestwa, a potem Gwiezdnego Imperium Manticore członkami rządu.

Ale ta uwaga była w ocenie Pritchard spowodowana chęcią zyskania czasu do namysłu, nie zaś przekonaniem, że powinni odrzucić propozycję.

- Można to uznać za dramatyczne - zgodził się Stan Gregory, sekretarz rolnictwa, który leciał tu trzy godziny z przeciwległej półkuli, by zdążyć na spotkanie rządu, a i tak wyglądał na przytomniejszego niż większość. - Niespodziewana wizyta w środku nocy sama w sobie jest wiele mówiąca - dodał. - Pytanie, czy chodziło jedynie o stworzenie pozorów, czy o faktyczne zwrócenie uwagi na powagę misji.

- Osobiście uważam, że to przesada - oceniła kwaśno Rachel Hanriot, sekretarz skarbu. - Nie mówię, że nie przyświecają jej dobre intencje, ale ta cała szopka z przybyciem bez uprzedzenia na pokładzie swojego jachtu... przesadna ostentacja i tyle.

Denis LePic pokiwał głową.

- Przesadna czy nie, ale zwróciła naszą uwagę, a więc osiągnęła zamierzony cel. A prawdę mówiąc, odkąd Arnold się zabił, jestem zwolennikiem wszystkiego, co zbliży nas do przerwania tej strzelaniny, nim skończymy wbombardowani w epokę kamienną, jak to kiedyś obrazowo mawiano - oznajmił. - Nawet gdyby Harrington zdecydowała się przybyć goła, wierzchem na słońcu, i tak byłbym zachwycony, widząc ją.

- Muszę się z tobą zgodzić, zakładając naturalnie, że to nie jest chwyt propagandowy mający pokazać Królową Elżbietę w korzystnym świetle - przyznała niechętnie Sandra Staunton, sekretarz nauk biologicznych i zwolenniczka Giancoli, nadal żywiąca podejrzenia wobec Gwiezdnego Imperium. - Biorąc pod uwagę jej reakcje na oba zamachy i to, że atak na Manticore musi znajdować się na szczycie listy zatytułowanej „Dlaczego nienawidzę Republiki Haven”, cała ta sprawa wydaje mi się mocno podejrzana. Albo też wygląda zbyt pięknie, by mogła być prawdziwa.

- Rozumiem, o co ci chodzi - przyznał Nesbitt. - Tylko nie mogę znaleźć powodu, dla którego mieliby się tak wysilać. Nie po bitwie o Manticore.

Spojrzał na Thomasa Theismana, który skinął potakująco głową.

- Doskonale pamiętam, że operacja Beatrice zakończyła się fiaskiem i że to ja jestem za to odpowiedzialna - powiedziała spokojnie Pritchart. - Zrobiłabym to samo dzisiaj, dysponując takimi informacjami, jakimi dysponowałam wtedy, i takimi ocenami sytuacji, jakie miałam. To oni nie chcieli z nami rozmawiać i wznowili działania wojenne, naszą jedyną szansą było więc odnieść decydujące zwycięstwo, zanim wszystkie okręty Royal Manticoran Navy przebroją się w nowe rakiety. Był tylko jeden sposób, by to osiągnąć, i prawie się udało. Tyle że „prawie” robi dużą różnicę i w efekcie jestem odpowiedzialna za największą militarną klęskę w dziejach naszego państwa.

W sali zapadła cisza, bo nie bardzo było co powiedzieć. Pritchart miała całkowitą rację. A na dodatek zdecydowała się ogłosić rozmiary klęski, gdy tylko się o nich dowiedziała. Naturalnie pewne szczegóły pozostały utajnione, ale nie zmieniały one faktu, że w przeciwieństwie do poprzedników ani nie skłamała, ani nie sfalszowała części prawdy. Mimo iż wielu jej politycznych sojuszników chciało, by tak postąpiła, bo biorąc pod uwagę rozmiary i skutki klęski, spodziewali się desperackich reakcji społeczeństwa. I częściowo mieli rację - odezwały się liczne głosy, że powinna zrezygnować.

Tyle że Pritchart nie miała najmniejszego zamiaru ich posłuchać. I to z wielu powodów, a jednym z istotniejszych była świadomość, że w wypadku jej odejścia wyjdzie na jaw zdrada Giancoli, co może mieć katastrofalne skutki dla przyszłości całego państwa, o którego odtworzenie na gruncie konstytucji tak bardzo walczyła. Najważniejszy jednak był inny: zgodnie z konstytucją prezydent był głową państwa i nie miał prawa złożyć urzędu tak jak premier po podjęciu niewłaściwej czy niefortunnej decyzji. Mógł zostać go pozbawiony, ale mimo głośnych zapowiedzi nikt z opozycji nie odważył się wszcząć procedury impeachmentu pod jakimkolwiek pretekstem. Wszyscy dobrze wiedzieli, że przytłaczająca większość wyborców i parlamentarzystów nadal ufa jej bardziej niż komukolwiek innemu.

Niestety nie było to równoznaczne ze stwierdzeniem, że ufa tak samo jak kiedyś jej ocenie. A to było coś, o czym musiała pamiętać w związku z negocjacjami pokojowymi. A także rozważając kwestię wyznania lub niewyznania prawdy o zdradzie Giancoli.

I tu mogły zacząć się schody, jako że ta właśnie sprawa była jedną z dwóch, w których, jak ostrzegła Harrington, Królowa nie ustąpi.

- Wątpię, by ktoś bardziej ode mnie, i to nie tylko z tu obecnych, ale ze wszystkich obywateli Republiki żałował wyniku bitwy o Manticore, ale masz rację, Tony - dodała Pritchart. - Właśnie pamiętając o niej i wiedząc, że RMN może to powtórzyć w wybranym przez siebie miejscu i czasie, o czym admirał Harrington nie omieszkała mi przypomnieć, nie widzę żadnego powodu, dla którego Gwiezdne Imperium miałyby próbować jakichś matactw negocjacyjnych. I jeszcze coś: z was wszystkich poza Tomem tylko ja spotkałam się z Harrington osobiście. I jestem pod wrażeniem, co uczciwie przyznaję. I to pod wieloma względami A największe wywarło na mnie to, że ona nie ma umysłu i charakteru polityka.

- A co to konkretnie znaczy, pani prezydent? - spytała Leslie Montreau, mrużąc podejrzliwie oczy.

- Znaczy to, że jest ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o świadome kłamstwo w tej sprawie - poinformowała ją rzeczowo Pritchart. - Sądzę, że nie podjęłaby się w ogóle tego zadania, a gdyby została zmuszona, nie próbowałaby być przekonująca.

- Dokładnie tak samo ja to oceniam - dodał cicho, ale zdecydowanie Theisman.

- A wszystko, co zdołał na jej temat zebrać wywiad, sugeruje to samo - dodał LePic.

- Co nie oznacza, że nie mogła zostać wykorzystana - upierał się Nesbitt. - Może być przekonana, że mówi prawdę, nie zdając sobie sprawy, że została okłamana, dajmy na to, przez Królową.

Pritchart parsknęła śmiechem, nie mogąc się powstrzymać.

A Theisman spojrział na niego z politowaniem.

Zaskoczony Nesbitt zeszywniał i uniósł pytająco brwi.

Pritchart otarła łzy i potrząsnęła głową.

- Przepraszam, Tony, ale to, co powiedziałaś, to bzdura. Treecaty potrafią wyczuć, że ktoś kłamie, a dzięki językowi migowemu mogą o tym powiedzieć każdemu, kto go zna. Ona i jej treecat znają migowy. Ale nawet zakładając, że to nieprawda, możesz mi wierzyć, że mnie nie udałoby się jej okłamać. A wiesz, że oboje z Javierem skutecznie oszukiwaliśmy przez lata naprawdę dobrych specjalistów od wykrywania kłamstw, bo Urząd Bezpieczeństwa składał się z ludzi uważających, że wszyscy kłamią i oszukują i byli na tym tle przeczuleni. Rozmawiając z nią, miałam nieodparte wrażenie, że zna moje myśli. Nie sądzą, by

ktokolwiek zdołał ją nabrać, zwłaszcza w tak ważnej sprawie.

- Przepraszam, pani prezydent - odezwał się, powoli i starannie dobierając słowa, Walter Sanderson, sekretarz spraw wewnętrznych - ale mam nieodparte wrażenie, że pani ją polubiła.

Pritchard przekrzywiła głowę, najwyraźniej analizując to, co usłyszała. A potem wzruszyła ramionami.

- Tak bym tego nie określiła. Przynajmniej jeszcze nie teraz, ale przyznaję, że w innych okolicznościach wzbudziłaby moją sympatię. To nie znaczy, że zdołałaby mi sprzedać używany wóz bez sprawdzenia go przez moich mechaników, ale należy pamiętać, że jedną z podstawowych zasad dyplomacji jest wybór odpowiedniego człowieka do konkretnego zadania. Kogoś, kto potrafi przekonać innych, by mu zaufali, a nawet by go polubili. To się nazywa tworzenie dobrej chemii przy stole konferencyjnym. Wiem, że ona nie jest dyplomatą, ale Królestwo Manticore od dawna wykorzystuje w roli dyplomatów na szczególnie ważnych placówkach starszych stopniem oficerów. I to z dobrym skutkiem. Zaskakująco wręcz dobrym skutkiem. Jestem pewna, że te właśnie względy miały duży wpływ na wybór właśnie jej na negocjatora. Ale uważam, że chodziło tu o coś więcej.

- Czyli? - spytała Montreau.

- Sądzę, że ona chciała zostać wybrana - wyjaśniła Pritchard i spojrzała na Theismana.  
- Teraz, po poznaniu jej, jestem naprawdę przekonana, że twój pomysł, żeby ją zaprosić na tamten szczyt, był naprawdę doskonały. Analitycy Wilhelma też mieli rację: z wewnętrznego kręgu Elżbiety ona jest najprzyjaźniej do nas nastawiona.

- Też mi przyjaciel! - prychnął Nesbitt.

- Nie powiedziałam, że jest naszą przyjaciółką, Tony i na pewno nie jest naszym sympatykiem. No i nie ulega żadnej wątpliwości, że jeśli z tych negocjacji nic nie wyjdzie, będzie dowodziła zniszczeniem naszej floty i przemyśli tę operację starannie, nawet jeśli jej nie chce. A nie chce. I dlatego sądzą, że nie będzie się upierała przy nadmiernie ciężkich dla nas warunkach.

Nesbitt rozejrzał się po obecnych, potem spojrzał na nią i powiedział:

- Coś mi się zdaje, że już pani zdecydowała, co zrobimy, pani prezydent.

- Można to i tak ująć, choć w istocie zdecydowałam o czymś innym: czego nie zrobimy. Jeśli warunki, jakie usłyszymy, nie okażą się oburzające, będziemy negocjować, bo to jedyny sposób na przetrwanie. I nie chodzi mi o przetrwanie nasze, ale Republiki Haven opartej na konstytucji. Jeśli będziemy walczyć, nie tylko zginą miliony, ale doprowadzi to do zniszczenia wszystkiego, o co walczyliśmy, co próbowaliśmy osiągnąć i co planowaliśmy

zrobić od dnia, w którym Tom zastrzelił Saint-Justa. A ja nie chcę i nie pozwolę, by tak się stało, nie próbując wcześniej wszystkiego, by tego uniknąć.

Kolejny raz zapadła cisza. Wyczuwała zgodę, ale i strach przed tym, co proponowała. Ale także i nadzieję, nawet wśród tych, którzy najmniej ufali Królestwu Manticore. Nadzieję, że mimo wszystko jest inne wyjście niż walka do spektakularnego i nieuniknionego końca.

- Jak pani admirał proponuje prowadzić te negocjacje? - spytała Montreau.

- Myślę, że głównie zostawia to nam. - Pritchard wzruszyła ramionami. - Powiedziała, że otrzymała konkretne instrukcje, ale mam wrażenie, że Elżbieta wybrała ją głównie dlatego, że ufa w jej uczciwość i zdrowy rozsądek. To, że podała dwie sprawy jako nienegocjowalne, oznacza według mnie, że o wszystkich pozostałych można rozmawiać, a przynajmniej Elżbieta nie będzie w nich nieustępliwa i że już się na coś zdecydowała. Kwestia korespondencji jest problemem, i to poważnym, ale poza tym sądzę, że jest gotowa wysłuchać naszych propozycji i reagować w sposób rozsądny, bez uprzedzeń.

- A sugerowała coś w kwestii protokołu? - Montreau nie zakończyła wypytywania.

- Nie. Na temat protokołu, wielkości delegacji czy jakichkolwiek szczegółów technicznych nie powiedziała słowa. Jeszcze nie. A nie wątpię, że jeśli jakaś propozycja nie przypadnie jej do gustu, powie to prosto z mostu. Nie zrobiła na mnie wrażenia osoby nieśmiałej czy bojaźliwej.

Od strony, gdzie siedział Theisman, dobiegł stłumiony charkot zwykle towarzyszący próbie zamaskowania napadu śmiechu.

A LePic rozkaszał się nagle, osłaniając twarz dłonią.

- Wątpię, żebym akurat tymi przymiotnikami próbowała ją opisać - oceniła Montreau.

- Ale pytałam nie ze względu na nie.

- Tak?... - Pritchard przekrzywiła głowę zaskoczona, a po kilku sekundach westchnęła i dodała: - Rozumiem, o co ci chodzi, ale nie jestem pewna, czy się z tobą zgadzam. Chciałabym, by związek z negocjacjami miała jak najmniejsza liczba ludzi, bo ostatecznie, czego nam trzeba, to polityczny cyrk. A Elżbieta, tak jak powiedziała Harrington, z pewnością nie pozwoli, by negocjacje ciągnęły się w nieskończoność.

- Ja też - przyznała Montreau. - I podobnie jak pani chciałabym uczynić delegację jak najmniej liczną, bo w wąskim gronie najszybciej i najskuteczniej osiąga się porozumienie. Najlepiej byłoby załatwić co się da w rozmowach jeden na jeden, czyli albo ja, albo pani i admirał Harrington. Ale jeśli tak postąpimy, uzyskanie ratyfikacji w Kongresie będzie o wiele trudniejsze.

Zaskoczenie na twarzach części obecnych zmieniło się w ponurą zgodę, a ku



zdziwieniu Pritchard najbardziej ponurą minę miał Nesbitt.

- Rozumiem, do czego zmierzasz, Leslie, ale zapraszanie opozycji do udziału w negocjacjach to przepis na katastrofę, i to pod wieloma względami. A o to ci chodzi, prawda?

Montreau kiwnęła głową.

A Pritchard uniosła zdumiona brwi.

Widząc to, Nesbitt błysnął zębami w uśmiechu, który nie miał nic wspólnego z wesołością.

- Jestem prawdopodobnie najbliższym opozycji członkiem tego rządu, pani prezydent - wyjaśnił. - I myślę, że wie pani, jak mało zaufania mam do Królestwa Manticore, obojętnie jak by się postarało. Ale w porównaniu do części aktywistów opozycji jestem pani duchowym bratem i poplecznikiem. Wstyd przyznać, ale sporo z nich jest takimi samymi egoistami i oportunistami jak Arnold. I podobnie jak on traktują uczciwość i zaufanie.

Gdy mówił ostatnie zdanie, słychać było w jego głosie ból i złość - w końcu należał do osób oszukanych i wykorzystanych przez kogoś, komu wierzył.

- Niezależnie od tego, co uważam na temat Królestwa Manticore, wiem, że jesteśmy w dramatycznym położeniu i że to nasza jedyna szansa na przetrwanie. I dlatego nie chcę w składzie delegacji żadnych politycznych graczy, którzy będą próbowali się przy tej okazji zareklamować albo gorzej - doprowadzić do fiaska negocjacji, bo uznają, że w ten sposób zyskają na popularności. A jeśli tacy egoistyczni wszarze będą mieć wpływ na rozmowy, zacznie się roztrząsanie, kto co zrobił z czyją korespondencją, i nim się obejrzymy, któreś ścierwo sprzeda tę rewelację pismakom, bo stwierdzi, że mu się to opłaci i jego notowania pójdą w górę!

- Zgadzam się z tobą, ale uważam, że Leslie niestety ma rację - odezwała się po chwili Rachel Hanriot. - Musi w tych rozmowach brać udział osoba, która nie jest „jednym z nas”. Wolałabym, by był to ktoś, kto się z nami nie zgadza ze względów ideowych, ale wątpię, czy uda się takiego znaleźć. Niestety musimy włączyć kogoś spoza rządu czy jego zwolenników niezależnie od tego, jakie będą nim kierowały motywy, bo wszyscy w Kongresie, którzy nas nie lubili są nam przeciwni czy też przestali wierzyć w nasze kompetencje po bitwie o Manticore, staną sztorcem, gdy przyjdzie do ratyfikacji traktatu. To nie może być dzieło jednej partii czy kliku, czy jakkolwiek by to nazwać, jeśli nie chcemy mieć problemów w Kongresie. Prywatnie uważam zresztą, że mamy obowiązek pokazać opozycji, jak te negocjacje przebiegają, bo jest to sprawa najwyższej wagi dla wszystkich obywateli Republiki. A to nie jest tylko nasza Republika, choć my w niej rządzymy. I nie powinniśmy o tym zapominać.

- Pięknie, kurwa, pięknie - burknął Sanderson słynący z dosadności w chwilach, gdy uznał, że należy sprowadzić kogoś na ziemię. - Już widzę, jaki się z tego polityczny cyrk zrobi. I pyskówka. Będzie to prawie tak samo przyjemne jak kastracja. Bez znieczulenia.

- Jak rozumiem, będziesz uszczęśliwiony, jeśli utrzymamy cię tak daleko od negocjacji, jak tylko zdołamy? - spytała z uśmiechem Pritchard.

- Święte słowa! - przytaknął z uczuciem.

- Oboje z Rachel macie rację - dodała Pritchard poważniej. - Także nie mam ochoty włączyć w skład delegacji kogoś, kto ma... podejrzone motywy. I zgadzam się z tym, że to może okazać się groźne, jeśli chodzi o sprawę korespondencji. Ona zresztą wzbudza moje największe obawy. Ale prawdą jest, że jeśli nie dopuścimy do rozmów opozycji, przy ratyfikacji będziemy mieli problemy. I to poważne. Prawdę mówiąc, uważam, że mamy większe szanse przeżyć pranie politycznych brudów w obecności Harrington niż w Kongresie, tocząc wojnę o ratyfikowanie traktatu, jeśli przeciwnicy będą ten proces przeciągać. Ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, jest by ci w Królestwie, którzy nam nie ufają, doszli do wniosku, że małpujemy High Ridge'a i specjalnie przeciągamy wszystko w złą stronę.

## ROZDZIAŁ IX

- I co on robi, Utako? - spytał komodor Roderick Sung dowodzący Grupą Uderzeniową 2.2 Floty Mesy, ledwie wrócił na pomost flagowy *Apparition*.

- Trzyma kurs i prędkość, sir - odpowiedziała komandor porucznik Utako Schreiber, oficer operacyjny, unosząc leciutko prawą brew.

Sung na ten widok ledwie stłumił chęć objechania jej, co było u niego wysoce nietypowe. Zdołał zapanować nad sobą i niczego nie okazać. Fakt, że Utako była najlepszym oficerem operacyjnym, jakiego znał, okazał się w tym pomocny. A wybrał ją z szerokiego grona kandydatów przedstawionych przez Benjamina Detweilera właśnie dlatego, że nie bała się samodzielnie myśleć. Głupotą byłoby zruganie jej za to, co w niej cenił i pielęgnował od początku współpracy, tylko dlatego że czuł coraz większe napięcie.

I coraz większy strach.

- Dziękuję - powiedział spokojnie, podszedł do swego fotela i usiadł, starając się to wszystko robić jak najbardziej naturalnie.

Przynajmniej udowodnił, jak jest spokojny, wychodząc do ubikacji. No, ale z drugiej strony zawsze można powiedzieć, że na widok graysońskich okrętów złał się ze strachu...

Ta druga interpretacja nawet go rozbawiła i zaskakująco poprawiła nastrój. Co oczywiście nie znaczyło, że odzyskał dobry humor, bo do tego brakowało mu naprawdę dużo.

Jeszcze dwanaście godzin temu cała operacja przebiegała zgodnie z planem, nie miał więc powodów do narzekania, kiedy wreszcie zadziałało jedno z praw Murphy'ego. Miał szczęście, że dopiero teraz, bo że to nastąpi, było pewne, przewaga techniczna i genetyczna były przydatne, ale we wszechświecie i tak rządziła teoria prawdopodobieństwa. Planujący operację Ostryga zrobili, co mogli, by to uwzględnić, ale wbrew temu, co mówiono w czasie odpraw, Sung wątpił, by przełożeni potraktowali miło kogoś, przez kogo wyszła ona na jaw przed czasem, niezależnie od okoliczności.

I dlatego z wyraźną niechęcią obserwował na ekranie taktycznym fotela czerwone symbole przedstawiające okręty eskadry krążowników Marynarki Graysona. Trzeba było mieć prawdziwego pecha, żeby nadzieć się na jakieś ćwiczenia, które prawem kaduka odbywały się właśnie tu i teraz.

Planujący operację wzięli pod uwagę, że większość statków i okrętów trzymała się

płaszczyzny ekliptyki, bo wszystkie planety, księżyce i pasy asteroidów tam właśnie się znajdowały, toteż okręty wychodzące z nadprzestrzeni miały najkrótszą drogę do celu. Dlatego też systemy wczesnego ostrzegania tam właśnie były najgęstsze, choć oczywiście obejmowały całą przestrzeń wewnątrzsystemową.

A ta eskadra nie wiedzieć czemu prowadziła ćwiczenia powyżej tej płaszczyzny, co musiało być bezpośrednim skutkiem praw Murphy'ego, jako że tam też znajdowało się wszystkie sześć jednostek zwiadowczych Sunga.

I tak oczywiście graysońska eskadra musiała być prawie tam, gdzie zostało wyznaczone ostatnie miejsce spotkania okrętów zwiadowczych badających system. Jeśli ten cholerny krążownik nie zmieni kursu, przeleci w odległości niniejszej niż pięć minut świetlnych od niego.

I znacznie mniejszej od *Apparition*!

Jednym z głównych problemów, jakie trzeba było rozwiązać, planując misję, było to, że system planetarny obejmował przestrzeń olbrzymią do zbadania dla sześciu jednostek, bez względu na to jak dobre miałyby sensory pokładowe i sondy zwiadowcze. I systemy maskowania elektronicznego, bo równie ważne jak zebranie informacji było uniknięcie wykrycia.

Przestudiował wszystkie posiadane przez Flotę Mesy dane dotyczące podobnych akcji Królewskiej Marynarki i był pod wrażeniem jakości zarówno sensorów, jak i systemów maskowania elektronicznego jej sond. Można było powiedzieć, że robiły, co chciały, a Marynarka Republiki nie zdołała przechwycić ani jednej z nich. Niestety on był w znacznie trudniejszej sytuacji, gdyż samo wykrycie obecności któregoś z jego okrętów oznaczało jeśli nie krach całej operacji, to przynajmniej poważne zmniejszenie jej skuteczności, a Ostryga miała być uderzeniem decydującym, a nie tylko bolesnym. Royal Manticoran Navy nie musiała się przejmować podobnymi względami, jako że przeciwnik spodziewał się podobnego działania, a co ważniejsze wiedział, że toczy wojnę, i dobrze wiedział z kim. A Protektorat Graysona był świadom wyłącznie istnienia tego konfliktu i tak musiało pozostać aż do finalnej fazy operacji Ostryga, by mogła ona być w pełni skuteczna.

Dlatego właśnie kategorycznie wykluczono jakąkolwiek łączność między jednostkami zwiadowczymi. Nawet bowiem najlepiej zabezpieczoną transmisję łatwiej jest wykryć niż samą jednostkę. Jedynym odstępstwem od reguły była wymiana informacji w miejscu spotkania przy użyciu kierunkowych laserów małej mocy. Po zebraniu i analizie danych można było dopiero zaprogramować platformy celownicze, dlatego takie cykliczne spotkania były niezbędne.

W przeciwieństwie do bardziej niż ortodoksyjnych członków Równania Roderick Sung prywatnie nic nie miał do normalsów, którzy mieli wkrótce przekonać się, że są przestarzałymi modelami. Ich przekonanie, że przypadkowe flotacje są dobre, a zaplanowane złe, uważał za naiwne i głupie, ale nie winił za to nikogo poza świętoszkowatymi wieprzami z Beowulfa. Brak takiej osobistej motywacji nie zmniejszał jednak ani trochę determinacji, by osiągnąć sukces. A w tej chwili najbardziej ze wszystkiego życzył sobie, by zjawiała się tu spontaniczna czarna dziura i pochłoneła całą tę graysońską eskadrę.

- Zmieniamy kurs, sir? - padło ciche pytanie z boku.

Uniósł głowę i zobaczył swego szefa sztabu, komandora Tralisa Tsau, stojącego obok fotela.

- Minie nas w odległości dwóch minut świetlnych, sir - dodał Tsau.

- Wiem o tym już od pewnego czasu - przypomniał mu Sung.

- Wiem, że pan wie, sir, ale do moich obowiązków należy przypominanie o takich drobiazgach. Tak na wszelki wypadek.

- Prawda - przyznał Sung i odetchnął głęboko. - Utrzymamy kurs. Mając wyłączone wszystkie systemy, powinniśmy nie istnieć dla jego sensorów. A jest już na tyle blisko, że wolałbym nie uruchamiać napędu. Nie powinien wprawdzie być w stanie go wykryć, ale...

Nie dokończył, bo nie musiał. *Apparition* była chwilowo pociskiem balistycznym z wyłączonym napędem i aktywnymi sensorami, za to z aktywnym systemem maskowania elektronicznego, toteż powinna być dla wrogich sensorów niewidoczna. Wszystko zależało jednak od tego właśnie wrednego słówka „powinna”. Jeśli okazałoby się, że tak nie jest, okręt miałby dokładnie zerowe szanse na przetrwanie.

Jednostki klasy *Ghost* nie posiadały bowiem w ogóle uzbrojenia ofensywnego, a antyrakietowe miały zredukowane do symbolicznego. Zostały zaprojektowane do skrytego rozpoznawania, nie było więc sensu udawać, że w razie wykrycia zdołają wywalczyć sobie drogę ucieczki. Wyposażono je w najlepsze środki maskujące, jakie zdołała wymyślić Anastasia Chemevska i jej ludzie, a była to naprawdę pomysłowa grupa. Poza tym starali się, by jednostki były jak najmniejsze, i dlatego zrezygnowali ze wszystkiego, co nie było niezbędne. Im mniejsze gabaryty, tym łatwiej ukryć całość.

A musieli brać pod uwagę, że napęd pochłoniął sporo miejsca, podobnie jak sensory pasywne, należało zaś jeszcze zapewnić załodze jakąś znośną choćby przestrzeń życiową, żeby jej członkowie nie pozabijali się wzajemnie w czasie długich misji. Wszystko to wymuszało pewne kompromisy, ale podporządkowano je sprawie priorytetowej: zapewnienie okrętowi jak najskuteczniejszego maskowania.

W przeciwieństwie do okrętów większości flot jednostki typu *Ghost* pokryte były bardzo nowoczesną farbą. Zwykła nanofarba pozwalała na zmianę koloru czy to całego kadłuba, czy jego części w razie potrzeby. Ta mogła dawać każdy fragment spektrum elektromagnetycznego. Specjalne sensory pasywne rejestrowały promieniowanie padające na kadłub, od podczerwieni do promieniowania kosmosu, a wydzielony tylko do tego komputer tworzył mapę kadłuba, którą odtwarzała nanofarba. Dzięki temu dla ludzkiego oka wyglądał tak, jakby był zrobiony z krystoplastu.

Przynajmniej w teorii, bo jak wiadomo, ta do końca nigdy się z praktyką nie pokrywała, choć w tym przypadku była bardzo do niej zbliżona.

Naturalnie nic nie jest doskonałe, a więc maskowanie elektroniczne też. Największą jego słabością było to, że nie mogło być kompletne, bo musiało dać sobie radę z ciepłem wydzielanym przez okręt. Dzięki rozwojowi techniki większość odzyskiwano i wykorzystywano, ale nie dotyczyło to całości, a reszta musiała gdzieś się podziać, wypromieniowywano więc ją z daleka od znanego położenia wrogich sensorów. Poza tym samo pole maskujące było wykrywalne z niewielkiej odległości przez odpowiednio czułe sensory.

W tym wypadku miał przewagę, bo wiedział dokładnie gdzie znajdują się graysońskie okręty, dostosował więc odpowiednio moc maskowania, ustawiając najsilniejsze od tej właśnie strony. W ramach szkolenia próbował kiedyś wykryć jednostkę klasy *Ghost*, używając najlepszych sensorów, jakie Równanie posiadało. Przy zastosowaniu wyłącznie pasywnych, nawet wiedząc, gdzie jest okręt, nie udało mu się to, szansa, by powiodło się to graysońskiemu krążownikowi, była więc prawie zerowa. Nie miał takiej pewności co do napędu, mimo że Chernevska twierdziła, że jest to mało prawdopodobne. Jej zespołowi zajęło prawie dwa lata standardowe stworzenie sensorów wykrywających go, mimo że dobrze wiedziano, co ma wykrywać. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru zostać tym, który udowodni, że ten optymizm był mało uzasadniony. Każdy napęd posiadał sygnaturę, ten także, choć było to coś, co nikomu nie powinno skojarzyć się z napędem statku kosmicznego. Wystarczyło po prostu, by ktoś zwrócił uwagę na anomalie i był wystarczająco ciekawy, by je pośledzić. Albo wystarczająco znudzony.

A fakt, że ten konkretny rodzaj napędu emitował najwięcej energii w momencie uruchamiania, w tej sytuacji zwiększał ryzyko wykrycia. I w opinii Sunga było ono znacznie większe niż ryzyko, że namierzona zostanie lecąca lotem balistycznym *Apparition*. Naturalnie jak długo dowódca graysońskiego krążownika nie zdecyduje się użyć aktywnych sensorów czy sond zwiadowczych, bo w tym ostatnim wypadku ta możliwość z mało prawdopodobnej

zmieniała się w prawie pewną. Zresztą gdyby się na to zdecydował, nawet przy włączonym napędzie, zmieniłoby to ich położenie tylko o tyle, że byłiby trochę bardziej oddalonym celem. Ale tylko trochę.

Ciekaw był, czy Østby i Omelczenko mieli podobne problemy w systemie Manticore... Nikt nie obiecywał, że zadanie będzie łatwe, a on lubił grać w pokera, ale wszystko miało swoje granice... Rozsiadł się wygodniej, czekając, jakie karty los zdecydował się mu dać tym razem.

## ROZDZIAŁ X

Honor miała nadzieję, że wygląda na znacznie spokojniejszą, niż w istocie jest, gdy wraz z resztą delegatów szła za Alicią Hampton, osobistą sekretarką Montreau, korytarzem na dwusetnym piętrze hotelu Plaza Falls.

Hotel był chlubą Republiki Haven od prawie dwóch wieków standardowych. Legislatorzy utrzymywali go w idealnym stanie nawet po utworzeniu Ludowej Republiki. Służył do przyjmowania ważnych gości, dyplomatów czy dziennikarzy solarnych i biznesmenów traktowanych jako potencjalni inwestorzy czy też zaopatrujących władze w rozmaite niedostępne dobra. Trafiali tu także przywódcy państw, które „poprosiły o ochronę” Republikę czy Ludową Republikę Haven, oraz najrozmaitsze kurewki wysokiej klasy obsługujące co ważniejszych przedstawicieli tychże władz.

Komitet Bezpieczeństwa Publicznego skończył z tą tradycją być może dlatego, że ludzie tworzący go stwierdzili, iż nie ma sensu naśladować ekipy, którą się właśnie wystrzelało. Tłum uznał więc hotel za symbol reżimu i w pierwszych dniach przewrotu zajął się grabieniem i niszczeniem go. Komitet wiele razy potem wręcz zachęcał do podobnych zachowań, gdy motłoch stawał się trudny do opanowania, a wielkość budynku pozwalała na wykorzystywanie go do tego celu przez całkiem długi czas.

W końcu jednak na 220 piętrach zabrakło rzeczy do niszczenia bądź grabienia, a cerambet był substancją wyjątkowo trudno palną. Najzatatwardzialszy piroman zrezygnował po spaleniu jednego piętra, co kosztowało go dużo pomysłowości i energii. Inni mieli dość po pojedynczych pokojach. Dzięki temu budynek jako taki ocalał, zarastając brudem, ignorowany we wszystkich projektach przebudowy czy renowacji.

W końcu uznano, że należy go zniszczyć i zastąpić czymś zupełnie innym, ale rozbiórka tak wysokiej budowli nie była rzeczą łatwą, toteż nim do niej przystąpiono, zmieniła się władza i sprawa znów poszła w odstawkę, bo miała ona ważniejsze problemy.

A potem, ku zaskoczeniu wszystkich, znalazła się firma, która korzystając z prywatyzacji zapoczątkowanej przez Nesbitta i Hanriot, kupiła ruinę przekonana, że uda się ją odrestaurować i przywrócić jej pierwotny blask, a jej historyczne znaczenie powinno przyciągnąć tylu gości, by się to opłaciło. Mimo entuzjazmu sprawa okazała się trudna, ale gdy rzeczona firma zorientowała się, jak trudna, zainwestowała już za dużo, by się wycofać.



Zaparła się więc i ku zdumieniu wszystkich, zapewne własnemu także, doprowadziła sprawę do końca i hotel stał się czymś w rodzaju wizytówki gospodarczego odrodzenia państwa. I mimo iż Republika Haven była względnie biedna (według standardów Królestwa Manticore); hotel zaczął na siebie zarabiać. Może nie aż tak, jak mieli nadzieję nowi właściciele, ale wystarczająco, by po spłaceniu rat i pokryciu kosztów zostawał nie najgorszy dochód.

Honor przestała o tym myśleć, wchodząc do sali wybranej przez Pritchart na miejsce negocjacji. Na jej widok zza drewnianego, masywnego stołu wstała pani prezydent, a w ślad za nią pozostali członkowie delegacji.

- Dzień dobry, pani admirał - odezwała się Pritchart z uśmiechem.

- Dzień dobry, pani prezydent - odrzekła Honor, także z lekkim uśmiechem.

- Proszę mi pozwolić przedstawić członków delegacji.

- Oczywiście, pani prezydent.

- Dziękuję. - Pritchart zachowywała się tak, jakby nikt tu nikogo nie znał, podczas gdy wszyscy członkowie obu delegacji zostali zapoznani z kompletem materiałów, jakie wywiady zebrały o przedstawicielach strony przeciwnej.

Protokół i uprzejmość dyktowały zachowania obowiązujące w dyplomacji, podobnie jak formalne frazy i obowiązkowa uprzejmość służby we flocie. Na pozór mogło się to wdawać głupie, ale życie wielokrotnie udowodniało, że jest przydatna

- Sekretarz stanu Montreau miała pani już okazję poznać, podobnie jak sekretarza wojny Theismana, ale nie sądzę, by to samo dotyczyło pana Nesbitta, sekretarza handlu - powiedziała Pritchart.

- Nie spotkaliśmy się dotąd - przyznała Honor, ściskając jego dłoń.

Emocje Nesbitta były... interesujące. Już wcześniej doszła do wniosku, potwierdzonego przez Nimitza, że Pritchart chce zakończyć wojnę traktatem pokojowym, podobnie jak Leslie Montreau, tylko że ta druga jest mniejszą optymistką i ostrożniej podchodzi do całej sprawy. Theisman przypominał jej Alistaira McKeona pod względem uczciwości, spójności wewnętrznej i zdecydowania. Wcześniej nie miała okazji tego sprawdzić, bo gdy się pierwszy raz spotkali, jej więź z Nimitzem dopiero się wykształcała, a za drugim razem, mając w perspektywie własną egzekucję, nie zwracała uwagi na drobiazgi.

Nesbitt uśmiechał się uprzejmie, ale nie lubił jej tak intensywnie, że omal nie okazała, iż o tym wie. A raczej nie lubił nie tyle jej, ile wszystkiego, co wiązało się z Królestwem Manticore - tak jak powiedziała Pritchart, całe jego życie upłynęło w czasie wojny i dawało się to odczuć. Mimo iż wiedział, że Republika potrzebuje tego traktatu, i był zdecydowany ten cel osiągnąć. Było w nim coś jeszcze: wstyd z jakiegoś powodu połączony z innymi

emocjami i wzmacniający jego złość oraz determinację, by osiągnąć sukces w negocjacjach.

- Pani admirał - powiedział, odwzajemniając uścisk.

- Panie Nesbitt.

- Leslie i Tony reprezentują nie tylko rząd, ale i dwie największe partie - wyjaśniła Pritchart. - Tworząc rząd, uznałam, żeby przywrócić funkcjonowanie konstytucji, potrzebne będzie wsparcie wszystkich partii. Dlatego ministrów doбираłam z różnych. Leslie należy do Nowych Demokratów, a Tony do Korporacji Konserwatywnej. Jestem pewna, że została pani wprowadzona w nasze realia polityczne na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, jak barwne bywają spotkania naszego rządu.

Montreau, Nesbitt i Honor uśmiechnęli się, ale żadne się nie odezwało.

- Jak wyjaśniłam w nagraniu, zdecydowaliśmy, za pani zgodą, admirał Harrington, rozszerzyć skład delegacji o kilku przedstawicieli parlamentu - kontynuowała Pritchart.

- Naturalnie, pani prezydent - zgodziła się Honor uprzejmie.

Nie była zadowolona - wolałaby utrzymać jak najmniejsze delegacje po obu stronach i jak najwięcej załatwić w rozmowach w cztery oczy z samą Pritchart, ale rozumiała powody jej decyzji, Biorąc pod uwagę liczbę partii istniejących w Republice Haven, przepchnięcie czegokolwiek przez Kongres było trudnym zadaniem. Galaktyka jest niestety miejscem niedoskonałym, toteż trzeba czasami pójść na kompromis.

- To senator Samson McGwire - przedstawiła Pritchart żyłastego mężczyznę o szpakowatych włosach i dobre dwadzieścia centymetrów niższego od Honor.

Był też niższy od Pritchart, a nawet od Montreau, za to miał imponujący krzywy nos i krzaczaste brwi nad niebieskimi oczyma. Kryła się w nich inteligencja i nieustanne wyzwanie, ale nie wiedziała, czy tym razem przyczyną jest jej pochodzenie, jej wzrost czy też oba czynniki. Z tego, co zebrali ludzie sir Anthony'ego, wynikało, że należał do partii Nowych Konserwatystów uważanej za matecznik narwańców i osób mających prywatne powody, by nie lubić Królestwa Manticore. Dlatego była zadowolona, że ten cały Giancola dał się zabić w wypadku, bo inaczej sytuacja byłaby o wiele trudniejsza, i to dla obu stron. Swoją drogą to zastanawiające, co sobie wyobrażała Pritchart, nie tylko biorąc go do rządu, ale na dodatek czyniąc sekretarzem stanu. Fakt, nie był aż taki beznadziejny, jak High Ridge czy Descroix, ale też z ich wyborem Elżbieta nie miała nic wspólnego.

- Senator McGwire jest przewodniczącym senackiej Komisji Spraw Zagranicznych - dodała Pritchart. - I występuje tu w obu rolach: i jako przewodniczący, i jako przedstawiciel swej partii.

- Panie senatorze.

- Pani admirał. - W jego głosie nie było ciepła, a uścisk dłoni był zdawkowy, ale on też nie miał złudzeń co do sytuacji Republiki i konieczności dogadania się.

- A to jest senator Ninon Bouchier, najstarszy członek komisji senatora McGwire'a, z Partii Konstytucyjno-Postępowej - przedstawiła Pritchart ciemnowłosą, zielonooką kobietę o dobrych trzydzieści lat standardowych młodszą od Honor i całkiem atrakcyjną.

- Pani senator. - Honor podała jej rękę, próbując zachować powagę, bo pani senator miała zgoła dziewczęcy uśmiech, niewinne oczęta i niezwykle chłodny umysł o skłonnościach drapieżnika, choć nie do przemocy czy okrucieństwa. Była po prostu osobą gotową natychmiast zareagować na każde zagrożenie i wykorzystać każdą okazję. No i miała jasno określone priorytety i obowiązki. Ujmując rzecz krótko, była bardzo podobna do treecata. Była także podobnie jak Pritchart aktywną egzekutorką - według danych wywiadu floty miała na koncie co najmniej siedem wykonanych wyroków. Nie dość tego - zdołała przetrwać okres terroru UB jako szefowa lokalnej organizacji wywodzącej się z Kwietniowców, zwanych też Aprilistami, i miała na tyle dobre źródła informacji, że zgłosiła się do Theismana dosłownie w godzinę po odstrzeleniu przez niego Saint-Justa. Pomogła mu przejąć władzę i utrzymać choćby z grubsza funkcjonowanie struktury państwa. Należała naturalnie do tej samej partii co Pritchart.

- Bardzo chciałam panią poznać, admirał Harrington - oświadczyła niespodziewanie.

- Doprawdy? Mam nadzieję, że się pani nie rozczaruje.

- Ja też.

- Podobnie jak my wszyscy - wtrąciła zgrabnie Pritchart i wskazała na elegancko ubranego mężczyznę niewiele niższego od Honor.

Najmłodszy członek delegacji był jasnowłosy, brązowooki i używał takiej ilości wody kolońskiej, że Nimitz omal nie zaczął kichać.

- Gerald Younger, członek Izby Reprezentantów z Partii Nowych Konserwatystów, członek Komitetu Spraw Zagranicznych Izby - przedstawiła go Pritchart.

- Pani admirał. - Younger błysnął w uśmiechu perfekcyjnym użębieniem.

- Panie Younger - odparła uprzejmie, ledwie powstrzymując się przed wytarciem dłoni o nogawkę, gdy tylko Younger ją puścił.

Pod nienagannie uprzejmą i elegancką fasadą kryły się arogancja i ambicja skrzyżowane już nie z egoizmem, a z narcyzmem.

- A to jest sędzia Sądu Najwyższego Jeffrey Tullingham. - Pritchart wskazała ostatniego członka delegacji. - Występuje tu bardziej w roli doradcy niż negocjatora; uznałam, że dobrze będzie mieć pod ręką specjalistę, gdyby wyniknęły jakieś problemy

natury prawnej.

- Wydaje mi się, że to dobry pomysł - oceniła ostrożnie Honor. - Miło mi pana poznać, panie sędzio.

- Dziękuję, pani admirał.

Oboje uśmiechnęli się równie fałszywie, ale tylko Honor o tym wiedziała. Pan sędzia bowiem był wysoce niezadowolony z jej obecności. I choć zgadzała się, że ekspert prawnik mógł okazać się potrzebny, to na pewno nie ten konkretny, bo obiektywny był tylko w teorii. Wywiad nie zdołał ustalić, co robił przed trafieniem do Sądu Najwyższego, ale analitycy zgadzali się, że bliżej mu do Nowych Konserwatystów niż do rządu. Różnili się tylko w jednym: w ocenie jak blisko. Do tego był on jeszcze bardziej ambitnym egoistą niż Younger, a więc tym bardziej osobnikiem nie zasługującym na zaufanie. I ktoś taki mógł zakwestionować każdą ustawę jako niezgodną z prawem. Pritchard najwyraźniej była świadoma prawdy, sądząc z emocji towarzyszących przedstawianiu Tullinghama, toteż Honor była ciekawa, jakie haki i na kogo miał pan sędzia, że dostał się do Sądu Najwyższego. Na szczęście jego wpływ na tutejsze prawo nie był jej problemem, natomiast ewentualny wpływ na negocjacje już tak. Może zdołałaby przekonać panią senator Bourchier do dopisania ósmego nazwiska do listy własnoręcznie zlikwidowanych, co sądząc po jej uczuciach względem Tullinghama, zajęłoby może z pięć sekund...

Uśmiechnęła się w duchu i zajęła przedstawianiem członków własnej delegacji.

- Jak pani widzi, pani prezydent, sir Langtry zdecydował, że dobrze będzie przydzielić mi kilku zawodowców, żeby ustrzegli mnie przed wpakowaniem się w kłopoty. Oto stały podsekretarz spraw zagranicznych sir Barnabas Kew, specjalny wysłannik Carissa Mulcahey, baronowa Selleck, oraz zastępca podsekretarza urodzony Voitto Tuominen. A to jest mój porucznik flagowy, porucznik Waldemar Tummel - przedstawiła wszystkich jednym ciągiem.

Odpowiedzią były uprzejme i zdawkowe powitania oraz irytacja, gdy padł tytuł baronowej Selleck, co na Honor nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Nie zamierzała udawać, że w Królestwie Manticore nie istnieje dziedziczna arystokracja, a jeśli komuś z obecnych się to nie podobało, to już był jego problem.

Jej delegacja była mniejsza, ale powinna okazać się wystarczająca. O tym, że Langtry dobrze wybrał, przekonała się już po drodze i była naprawdę zadowolona z obecności tych trzech doświadczonych zawodowców.

Kew był najstarszy z nich - siwy, rumiany i obdarzony nosem prawie dorównującym organowi powonienia McGwire'a. Tuominen był najniższy, ale barczysty. W MSZ od dawna uznawano go za narwańca. Podobnie jak Klaus Hauptman nie wywodził się z arystokracji i

mimo że urodził się na Sphinksie, bardzo przypominał Antona Zilwickiego, tyle że nie miał jego niewzruszonej cierpliwości i metodyczności. Baronowa była najmłodsza. Błękitnooka blondynka, zgrabna i atrakcyjna, była doświadczonym agentem wywiadu. Można by rzec oficerem, gdyby nie to, że była z cywilnej służby wywiadowczej. Przypominała Honor Alice Truman, i to nie tylko z powodu zewnętrznego podobieństwa. Najmłodszy był porucznik Tummel i z nim też miała największy problem, acz nie z jego winy. Był nader kompetentnym młodzieńcem o dużym potencjale, ale jakoś nie mogła go w pełni zaakceptować jako następcy Timothy'ego Mearesa. Trzymała go na dystans, jakby okazując mu sympatię, miała zdradzić pamięć poprzednika... Albo jakby się obawiała, że jeśli go polubi, ściągnie na niego śmierć...

Nikt oczywiście nie próbował przedstawić członków osobistej ochrony Pritchard, nie przedstawiła więc też swoich gwardzistów. Śmieszyło ją, że dla gospodarzy ochrona Pritchard była niezauważalna, podczas gdy gwardziści byli tacy dla członków jej delegacji. Natomiast każdą ze stron dosłownie biła w oczy obecność uzbrojonych ludzi strony przeciwnej.

No i gospodarze musieli zostać dokładnie poinformowani o tym, jak skuteczny w walce jest Nimitz, bo to jasno wynikało z ich względem niego emocji. Musieli też wiedzieć o jego inteligencji i telepatycznych zdolnościach, bo część z nich, a najbardziej McGwire, Younger i Tullingham, była w równym stopniu zła co nieszczęśliwa, że się tu znalazła.

Po części oficjalnej wszyscy zajęli miejsca przy masywnym stole konferencyjnym. Przed każdym fotelem znajdował się czytnik, blok do notowania i butelki zimnej wody. A fotele, choć niezasilane, były naprawdę wygodne. Pritchard swoją delegację usadziła plecami do zajmującego całą ścianę okna, dzięki czemu Honor miała doskonały widok na panoramę Nouveau Paris leżącego u stóp pasma Limoges Gór Nadbrzeżnych, na południowo-zachodnim skraju Rochambeau, w pobliżu oceanu Veyret. Wieże mieszkalne wznosiły się wysoko, ale i tak górowały nad nimi górskie szczyty przypominając ludziom, że planeta to naprawdę wielki twór.

Jak każde nowoczesne miasto, Nouveau Paris miał kliny zieleni, parki i zadrzewione place, a zachodnie przedmieścia dochodziły do plaży. Centrum zostało zbudowane u zbiegu rzek Garronne i Rhône. Miejsce to było o tyle wyjątkowe, że położone na górskim zboczu. Po połączeniu się obie rzeki tworzyły osiemdziesięciometrowy wodospad Frontenae. Hotel wziął nazwę od wodospadu, ponieważ wzniesiono go u jego podnóża, gdzie już szeroka rzeka Frontenae majestatycznie płynęła prosto do oceanu, pozwalając na swobodną żeglugę jachtów i innych łódek z wielobarwnymi żaglami.

Pritchard rozejrzała się, sprawdzając, czy wszyscy są gotowi, po czym spojrzała na Honor, która chwilę wcześniej przestała kontemplować widoki.

- Pomyślałam sobie, admirał Harrington, że im mniej formalności, tym lepiej. Formalnego dyplomatycznego walca już próbowaliśmy i wszyscy wiemy, co z tego wyszło - zagaiła Pritchart. - Uważam, że skoro Królowa Elżbieta zdecydowała się na tak niecodzienny krok, należy pozostać przy takim nieformalnym podejściu, jak długo się da, w nadziei, że przyniesie to lepsze skutki. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to wołałabym, żeby zamiast standardowej procedury, w której będziemy powtarzać nasze stanowiska do znudzenia, podczas gdy reszta bohatercko będzie próbowała nie zasnąć, wołałabym, żeby miało to formę otwartej dyskusji.

- Sądzę, że da się to przeżyć, pani prezydent.

- Doskonale. W takim razie, skoro przybyła pani przekazać nam wiadomość od Królowej Elżbiety, prosiłabym, aby powtórzyła pani to, co od pani usłyszałam. A potem nakreśliła nam, naturalnie w ogólnych zarysach, co Gwiazdne Królestwo... to jest Imperium Manticore uważa za sensowne warunki pokoju.

- To rozsądna propozycja - oceniła Honor i zrobiła przerwę, by uporządkować myśli; zdecydowanie wołałaby prowadzić flotę w bój, bo byłaby wówczas znacznie spokojniejsza. - Będę brutalnie szczerą, co mam nadzieję nikogo nie obrazi. Proszę pamiętać, że mimo wszystkich tytułów i zaufania Jej Wysokości jestem oficerem floty nie pochodzącym z arystokratycznej rodziny. Nie jestem dyplomata. Jeśli coś, co powiem, urazi was, to zapewniam, że nie będzie to celowa nieuprzejmość. Jak już mówiłam prezydent Pritchart, Królowa i ja mamy świadomość, że w naszych krajach odmiennie postrzega się to, kto naprawdę jest odpowiedzialny za wybuch tej wojny i za wznowienie działań. Przyznałam też, że rząd High Ridge'a ponosi większą odpowiedzialność za fiasko rozmów pokojowych. Ale to nie on podjął decyzję o wznowieniu walk. Nikt ani tutaj, ani u nas nie wątpi, że to Marynarka Republiki oddała pierwsze strzały w tej rundzie. Wiem, że nie była to łatwa decyzja oraz że uważacie, że mieliście do tego prawo i że było to najlepsze z najgorszych rozwiązań. Ale fakt pozostaje faktem: to Republika wznowiła wojnę, którą wywołała Ludowa Republika. Mam świadomość, że część z was obwinia o wszystko naszą stronę, i zapewniam, że wśród poddanych Korony nie brak ludzi uważających, że wszystko jest wyłącznie waszą winą. Prawda nie jest tak jednoznaczna, ale musi zostać w końcu wyraźnie powiedziane, kto i dlaczego zaczął dwadzieścia lat temu i kto i dlaczego zaczął po przerwie. W tej kwestii nie ustąpimy, a możemy się uprzeć, ponieważ dysponujemy miażdżącą przewagą wojskową.

Zrobiła przerwę, by do wszystkich to dotarło. I dotarło. Nie byli zadowoleni, ale nikt nie uważał, że fałszywie przedstawiła fakty. Z jednym wyjątkiem: Younger najwyraźniej należał do osobników fizycznie niezdolnych zaakceptować możliwości poniesienia klęski.

Zdawał sobie sprawę, że Sojusz ma olbrzymią przewagę, ale nie mógł pogodzić się z tym, że nie zdoła doprowadzić do takiego finału, jakiego by sobie życzył, bo przecież zawsze dotąd się udawało.

McGwire i Tullingham nie myśleli w ten sposób, ale nie znaczyło to, że gotowi byli poddać się od razu. Dopuszczali taką możliwość, ale po wytargowaniu jak najwięcej dla siebie. Jeśli chodziło o wewnętrzne rozgrywki w Republice Haven, Honor nie miała nic przeciwko temu, natomiast jeśli uważali, że zdołają tymi gierkami objąć warunki traktatu, miała zamiar szybko i skutecznie pozbawić ich złudzeń.

- Brutalna prawda jest taka, że Royal Manticoran Navy może obecnie bezkarnie zniszczyć całą orbitalną infrastrukturę każdego waszego systemu - podjęła spokojnie. - Jednego po drugim, zaczynając od tego. Nie pomoże wam nawet system *Moriarty* wymyślony przez admirał Foraker przed bitwą o Solon. Udowodniła to bitwa o Lovat. Nie ukrywamy że w Gwiezdnym Imperium są zwolennicy takiego rozwiązania. Prawdę mówiąc, większość uważa, że powinniśmy zniszczyć kompletnie waszą flotę i tyle przemysłu, ile będzie trzeba, abyście już nigdy nie mogli nam zagrozić, niezależnie od tego, jak nasze państwo będzie się nazywać. Jestem pewna, że po tylu latach wojny większość obywateli Republiki chętnie zrobiłaby to samo z Gwiezdnym Imperium Manticore, gdyby tylko mogła. Historia jednakże dowiodła, że zemsta rodzi zemstę, a zniszczenie jest skuteczne tylko wtedy, gdy jest kompletne. Bo tylko wybicie przeciwnika do ostatniego gwarantuje, że nie narodzą się mściciele, którzy w tajemnicy będą przygotowywać rewanż i kiedyś uderzą, mimo że reszta wszechświata zapomni już o tym, co się niegdyś stało. A my nie jesteśmy na tyle naiwni, by wierzyć, że uda się kompletnie zniszczyć tak duże państwo jak Republika Haven. Niezależnie od tego, jak będą układały się nasze stosunki w przyszłości, w obu państwach będą ludzie pamiętający, co im zrobiła druga strona, i winiący ją za wszystko. Nie można też zapominać, że żadna przewaga techniczna nie trwa wiecznie; admirał Theisman i admirał Foraker udowodnili to parę lat temu i zapewniam, że wyciągnęliśmy z tej lekcji stosowne wnioski. Dlatego uważam, że w najlepszym interesie tak Republiki Haven, jak i Gwiezdnego Imperium Manticore jest zakończenie tej wojny tu i teraz, kosztem jak najmniejszych zniszczeń i śmierci, na takich warunkach, by jak najbardziej zminimalizować wzajemną nienawiść i chęć zemsty. Jej Królewska Mość nie oczekuje, że pójdzie to łatwo i szybko, ale prawda jest taka, że jest to prosty problem, tyle że rozwiązanie go może proste nie być. Jeśli jednak zgodzimy się co do tego, że inny wynik jest nieakceptowalny, to osiągniemy to rozwiązanie. Ponieważ jeśli tego nie zrobimy, zostaną tylko złe rozwiązania, a wówczas Jej Królewska Mość i jej rząd wybiorą to, które najskuteczniej na jak najdłużej zlikwiduje groźbę

jaką stanowi od lat Republika Haven. Osobiście, jako królewski oficer i jako osoba prywatna, uważam, że byłoby to dla obu stron nieszczęście, bo zasiałoby ziarno kolejnej fali walk w przyszłości. Naturalnie tego nigdy nie można wyeliminować nawet, jeśli osiągniemy porozumienie, ale wówczas prawdopodobieństwo takiej przyszłości staje się nieporównanie mniejsze. Dlatego od nas i tylko od nas zależy, jakie rozwiązanie wybierzemy. Uważam też, że jesteśmy, winni nie tylko tym, którzy mogą zginąć, ale także tym, którzy już zginęli w tej wojnie, wybrać właściwe rozwiązanie.



## ROZDZIAŁ XI

- Dzień dobry szanownemu panu - powiedziała radośnie niewiasta w stopniu wiceadmirała widoczna na ekranie łącznościowym kontradmirała Michaela Oversteegena.

- Dobry, milady - odparł uprzejmie i uśmiechnął się, widząc, jak mruży oczy.

Wybrał jak najwłaściwszą formę zwrócenia się do wiceadmirał Michelle Glorii Samantha Evelyn Henke, hrabiny Gold Peak; doskonale wiedząc iż ta forma niepomiarnie ją wkurzy. Naturalnie drobiazg, że ona wiedziała, że on to wie, wkurzał ją jeszcze bardziej.

Dzięki czemu było to zabawniejsze.

A wszystko dlatego, że przez tyle lat robiła, co mogła, by ignorować szczegół, że ledwie parę kroków dzieli ją od tronu, co właśnie się skończyło. Znał, lubił i szanował Mike, ale od dawna irytowała go jej zaciętość w zwalczaniu wszystkiego, co poczytywała za oznakę uprzywilejowania własnej osoby, a była na tym punkcie naprawdę przeczulona. Gdyby była niekompetentna lub ledwie kompetentna, podziwiałby ją za to, bo wykorzystywanie wpływów rodzinnych do wspomaganie takich niedojd było największą słabością arystokracji, a zdarzało się niestety aż zbyt często. Każdy system społeczny ma jakieś wady i zminimalizowanie ich wymaga, by będący na szczycie zdawali sobie w pełni sprawę z ciążących na nich obowiązków i jak najlepiej je wypełniali. Bałwany przekonane, że samo urodzenie pozwala im na wszystko, a obowiązków nie mają żadnych, jak choćby jego wuj Michael Janvier, baron High Ridge, wzbudzały u niego obrzydzenie i nienawiść, ale był też zdania, że pozycję, jaką daje dobre nazwisko, należy wykorzystywać do promowania osób zdolnych a mających pecha urodzić się w niższych warstwach społeczeństwa. Należało sprawić, by je doceniono i umożliwiono im osiągnięcie pozycji pozwalającej samodzielnie troszczyć się wpierw o siebie, a potem o innych. Było to tym skuteczniejsze, iż względnie łatwo było zostać wyniesionym do grona arystokracji, co zresztą stanowiło jedną z większych zalet tego systemu w wydaniu obowiązującym w Królestwie Manticore.

Mike powinna była się dawno zorientować, jak to działa, bo jej najlepsza przyjaciółka była wręcz podręcznikowym, tego przykładem. Fakt, że system ten nie działał zawsze i wszędzie, ale to już była wina ludzi i tylko inni ludzie mogli to zmienić.

- Cóż mogę dla pani zrobić w ten piękny poranek? - spytał uprzejmie.

- Zamierzałam cię zaprosić jako obserwatora na ćwiczenia, które za kilka dni odbędą

się w symulatorze *Artemis*, ale gdy zobaczyłam, jaki jesteś radosny, zmieniłam zdanie. Zapraszam cię na kolację, żebyśmy mogli przedyskutować zadania obrońców, bo właśnie zainspirowałeś mnie do mianowania cię dowódcą obrony systemowej - poinformowała go Henke z promiennym uśmiechem.

- Przykro mi to sugerować, milady, ale czy to przypadkiem nie jest mściwość?

- Oczywiście, że jest, i nie rozumiem, dlaczego ma to niby być przykre. Tak między nami arystokratami: mściwość jest, zdaje się, jedną z naszych cech dziedzicznych.

- Skoro pani tak uważa, milady.

- Proszę, jaka budująca zgodność - oceniła Henke radośnie. - Mam nadzieję, że nie zmieni twojego nastroju świadomość, że napastnicy tym razem też będą mieli rakiety *Mark 23*.

- Ciekawe, dlaczego mam nieodparte wrażenie, że przyszło to pani do głowy właśnie teraz, milady.

- Bo jesteś chorobliwie podejrzliwy, a poza tym za dobrze mnie znasz. Ale dla ciebie powinno to być wielce pouczające doświadczenie, nie oceniaj więc tego tak jednostronnie. Czekam o pierwszej trzydziści. Wiesz, że nie lubię spóźnialskich!

\* \* \*

Mike zakończyła rozmowę, nim Oversteegen zdążył się odezwać, i rozsiadła się wygodniej w fotelu.

- Naprawdę chce pani dać napastnikom te rakiety, ma'am? - spytała z niedowierzaniem kapitan Cynthia Lecter, szef sztabu 10. Floty.

- Nie tylko je, Cindy. Prawdopodobnie dam im też *Apolla* - odparła Henke ze złośliwą satysfakcją.

Lecter skrzywiła się, ale nic nie powiedziała.

Rakiety *Mark 23* miały najsilniejsze głowice i największy zasięg oraz najwyższą prędkość ze wszystkich w zasiedlonej części galaktyki. Już to dawało im olbrzymią przewagę, ale w połączeniu z możliwością kierowania nimi przy użyciu łączności szybszej od prędkości światła stanowiło to przewagę decydującą.

- Nie sądzi pani, że to może... lekka przesada, ma'am? - spytała po chwili Lecter.

- Nie tylko sądzę, jestem pewna. Należy mu utrzyć nos, dla jego własnego dobra, bo odkąd się tu zjawiał, ma same najlepsze noty w symulowanych ćwiczeniach. A jednym z obowiązków dowódcy jest przypominać podkomendnym, że nie są nieomylni!

Ostatnie zdanie wygłosiła, zadzierając nosa.

- Wzór cnót wszelakich - skomentowała Lecter. - Godniejsze podziwu jest to, że wygłosiła to pani z kamienną twarzą i nie parsknęła śmiechem.

- Ma się te ukryte talenty, nieprawdaż? - uśmiechnęła się Henke. - Dziękujemy za uznanie, kapitan Lecter!

Po czym pobłogosławiła ją z miną, której mógłby pozazdrościć jej Robert Telmachi, arcybiskup Manticore oraz piąta woda po kisielu, ale jednak kuzyn.

- A teraz weź Dominicę, Maksa i Billa i wymyślcie coś, co pozwoliłoby w pełni wykorzystać tę nieuczciwą przewagę - zaproponowała.

- Aye, aye, ma'am - potwierdziła Lecter.

I skierowała się ku sekcji taktycznej, gdzie komandor Dominica Adenauer dyskutowała o czymś zawzięcie z komandorem porucznikiem Maxwelllem Tersteegiem, oficerem wojny radioelektronicznej w sztabie 10. Floty.

Patrząc w ślad za nią, Mike zastanawiała się, czy Cindy domyśliła się głównego powodu, dla którego rozważała, czy nie dać napastnikom *Apolla*. Michael Oversteegen był jednym z najlepszych taktyków w całej Royal Manticoran Navy, a najlepszym, jakiego miała, i była bardzo ciekawa, co potrafi osiągnąć, dysponując wszystkim, co mogła dać mu RMN oprócz systemu *Apollo*, gdy przyjdzie mu stawić czoło jej i jej sztabowi.

W tej chwili żaden z jej okrętów nie był wyposażony w *Apolla* ani w *Keyhole 2*, choć wszystkie do tego przystosowano. Jeśli jednak poważnie się nie pomyliła, miało to wkrótce ulec zmianie, a wówczas byłoby lepiej, by wszyscy wiedzieli, jak użyć nowej broni, a nie dopiero się tego uczyli. Byng był niekompetentnym kretyńcem, ale niestety nie wszyscy solarni admirałowie się do takowych zaliczali, nie należało więc liczyć na to, że kolejny, który się tu zjawi, też będzie półgłówkiem.

Pokiwała głową, wspominając, co się porobiło w ciągu ostatnich trzech miesięcy standardowych. Gdy wybierała karierę we flocie, nie przyszło jej do głowy, że może znaleźć się w sytuacji, w której losy państwa, i to dosłownie, bez żadnej przesady, będą zależały od jej decyzji. Żałowała, że nie wie, co naprawdę dzieje się w domu, choć oficjalne wieści, które do niej dotarły, brzmiały miło. Beth mogła ją lubić i mogła sobie być jej kuzynką, ale gdyby uznała to za konieczne, nie wahałaby się zrobić z niej pokazowego kozła ofiarnego. Tak wyglądała polityka. Henke była przekonana, że wielu uważa, iż Królowa tak właśnie powinna postąpić.

Czterotygodniowa zwłoka w łączności między systemami Spindle i Manticore sprawiała, że to nie Królowa, rząd czy Admiralicja, ale ich przedstawiciele będący na miejscu decydowali o wszystkim. Większość flot stosowała zasadę pełnej samodzielności oficerów

wysłanych na odległą placówkę, naturalnie w ramach określonych przez rozkazy, jakie otrzymują. Dotyczyło to także spraw bardzo ważnych, mających istotny wpływ na przyszłość państwa. Ale tym razem decyzje podjęte przez niejaką Michelle Henke były nieco ważniejsze niż zazwyczaj w takich wypadkach, łagodnie rzecz ujmując.

A zniszczenie dwa miesiące temu solarnego krążownika liniowego wraz z całą załogą było taką właśnie decyzją. Nie chciała tego, ale ten nadęty bufon Byng nie pozostawił jej wyboru. Nie znaczyło to, że zabicie go nie sprawiło jej czystej żywej satysfakcji - ścierwo zniszczyło trzy niszczyciele wraz z załogami tylko dlatego, że spanikowało bez sensu. Tyle że to co zrobiła, mogło oznaczać rozpoczęcie wojny z Ligą Solarną, a żaden pozostający przy zdrowych zmysłach oficer Królewskiej Marynarki wolał nie rozważać, co taka wojna może przynieść, zwłaszcza że konflikt z Republiką Haven nadal trwał. A tymczasem Elżbieta, baron Grantville, earl White Haven i sir Thomas Caparelli zaakceptowali jej postępowanie i w pełni je poparli. Co prawda, jak podejrzewała, poparcie to było częściowo przeznaczone na użytek propagandowy tak w domu, jak i w Lidze Solarnej, bo fragmenty oficjalnej wiadomości wysłanej do niej przez Beth zostały dołączone do informacji o obu bitwach o New Tuscany ekspediowanych na Ziemię przez terminal Beowulf miesiąc temu. Nie miała wątpliwości, że Beth, William Alexander i Anthony Langtry długo i starannie rozważali, jak najlepiej przekazać te wieści solarnej opinii publicznej, tyle tylko że najlepiej nie zawsze oznacza dobrze i w tym wypadku tak właśnie było.

Czego miała żywy przykład, bo pierwsza fala dziennikarzy i reporterów z Ligi Solarnej dotarła do systemu Spindle dziewięć dni temu. Nigdy nie lubiła pismaków i ich bezczelnej nachalności, ale to, co zobaczyła, przeszło jej najgorsze oczekiwania. Na szczęście na pokład żadnego okrętu 10. Floty nie mogli się dostać, a ona jako jej dowódca miała dość oficjalnych obowiązków, by móc to wykorzystać i nie pojawiać się na powierzchni planety.

W tak wygodnym położeniu nie byli ani Augustus Khumalo, ani dama Estelle czy premier Alquezar, o ministrze wojny Krietzmannie nie wspominając. Sama została zmuszona do udziału w czterech konferencjach prasowych i w efekcie żałowała, że oficerom RMN razem z mundurem nie przysługuje broń boczna. Z codziennych rozmów z pozostałymi wynikało, że rośnie nie tylko liczba pismaków tak z Królestwa, jak i z Ligi Solarnej, ale także ich nachalność. Na dokładkę ci ostatni znali już pierwsze reakcje władz Ligi. Jak się należało spodziewać, wersja oficjalna obowiązująca na Ziemi, czyli najważniejsza, nie była dobra. Biurokraci rządzący Ligą zareagowali głupio i przewidywalnie, toteż raczej nie było co liczyć na napad zdrowego rozsądku w ciągu trzech tygodni standardowych, które minęły od wylotu z Ligi dziennikarzy, którzy je przywieźli. Z oświadczeń premiera Gyulaya, ministra spraw

zagranicznych Roelasa y Valiente oraz ministra obrony Taketomo wynikało, że „czekają na niezależne potwierdzenie bardzo poważnych zarzutów wysuniętych przez Gwiazdne Imperium Manticore i rozważają stosowną reakcję na zniszczenie przez Royal Manticoran Navy krążownika liniowego SNS *Jean Bart* wraz z całą załogą”.

Podczas gdy Roelas y Valiente „głęboko ubolewał” z powodu zabicia wielu ludzi w pierwszym „przypuszczalnym incydencie” między okrętami Royal Manticoran Navy a Marynarką Ligi w neutralnym systemie planetarnym New Tuscany, jego rząd nie mógł oczywiście w tej chwili udzielić żadnej oficjalnej odpowiedzi na protesty i żądania władz Gwiazdznego Imperium Manticore. Liga Solarna naturalnie „odpowie stosownie”, gdy tylko „wiarygodne i obiektywne”, informacje dotyczące „obu przypuszczalnych incydentów” dotrą na Ziemię i zostaną przeanalizowane. Póki co Liga Solarna „szczerze żałuje, że nie może bezpośrednio ustosunkować się do podanych faktów dotyczących przypuszczalnych incydentów”. Pan minister zaznaczył też, że Marynarka Ligi straciła więcej ludzi niż Królewska Marynarka w wyniku „jak się zdaje, gwałtownej reakcji być może zbyt agresywnego królewskiego oficera flagowego na wieść o przypuszczalnym incydencie, która nie została jeszcze niezależnie potwierdzona”.

Całe to pieprzenie oznaczało, przekładając na ludzki język, że Gwiazdne Imperium Manticore ma się grzecznie bawić na własnym podwórku i czekać, aż dorośli, to jest Liga Solarna, sprawdzą, co się naprawdę stało, i zdecydują, jak ukarać bezczelnego gówniarza odpowiedzialnego za całe zamieszanie.

Pozornie wyjaśnienie było uprzejme i logiczne, tylko że Henke w przeciwieństwie do obywateli Ligi Solarnej wiedziała, że władze dostały raport Evelyn Sigbee dotyczący obu bitew, a to, że zdecydowały się opowiadać bzdury o braku niezależnego potwierdzenia, dysponując raportem solarnego admirała, nie wróżyło dobrze na przyszłość. Podobnie jak brak choćby wzmianki o możliwości stosownej reakcji na to, że Joseph Byng wymordował bez powodu załogi trzech niszczycieli. Wyglądało na to, że urzędnicy rzeczywiście rządzące Ligą zza pleców oficjalnych jej przedstawicieli podeszli do sprawy dokładnie tak, jak do wszystkich dotychczasowych problemów z niezależnymi przygranicznymi państewkami. Ich dalsze reakcje było więc naprawdę łatwo przewidzieć.

Dzięki wzajemnemu położeniu względem siebie Manticore, Ziemi i wormholi władze Ligi Solarnej dowiedziały się o losie Bynga przed Lorcanem Verrochiem, który teoretycznie był jego przełożonym. Teoretycznie, bo jak tylko solarna biurokracja weźmie się do roboty, w żaden sposób nie da się ustalić, kto był za co odpowiedzialny, a na podstawie własnych doświadczeń z Byngiem Henke miała prawo sądzić, że nie musiał wcale wypełniać

czyichkolwiek rozkazów. Było całkiem prawdopodobne, że wszystko, co się stało, zaczynając od przylotu do New Tuscany, było jego własnym genialnym pomysłem.

Naturalnie nie czyniło to z Verrochia niewinnego świadka, bo nawet gdyby był to pomysł Bynga, zgodnie z przepisami musiał wyrazić na to zgodę jako komisarz sektora Madras. No i pozostawała jeszcze kwestia Manpower i Mesy...

Z trudem powstrzymała odruch obgryzania paznokci. Matka zawsze jej powtarzała, że to wyjątkowo ohydny objaw nerwowości. Wywarłoby to fatalne wrażenie na członkach jej sztabu. Po takim występie nigdy już nie zdołałaby nikogo przekonać, że jest uosobieniem spokoju i opanowania, jak przystało dowódcy. A powód do zdenerwowania miała, i to poważny. Beth co prawda zareagowała szybko i zdecydowanie - po pierwszym kurierze z informacją o pełnym poparciu nadeszły kolejne z precyzyjnymi rozkazami i oficjalną korespondencją. Wynikało z nich jasno, że ton Roelasa y Valiente niewielu osobom w Królestwie przypadł do gustu, choć nikogo nie zdziwił, jako że był wkurzająco typowy dla Ligi Solarnej.

Pierwsi dziennikarze, którzy przybyli z Ligi, mieli tylko informacje podane przez Królestwo, bo władze Ligi Solarnej jeszcze nie ogłosiły oficjalnego komunikatu. Nie znaczyło to naturalnie, że przyjęli punkt widzenia Królestwa. Druga fala znała już oficjalne stanowisko władz i pełna była złości i oburzenia. Sensownie zareagowało ledwie kilku. Wprawdzie tego właśnie się spodziewała, ale mimo wszystko była rozczarowana. Tym bardziej że wszystkie artykuły i materiały prasowe docierające z Ligi Solarnej nie zawierały ani jednego faktu dostarczonego przez władze tejże Ligi. Wszystkie konkrety pochodziły z informacji przekazanych przez Królestwo. Naturalne było traktowanie ich z dużą podejrzliwością, ale odrzucanie świadczyło o arogancji i głupocie. Tyle że ani dziennikarze, ani rozmaite gadające głowy zapraszane przez nich do programów tak nie uważały, podobnie jak nie raczyły wpaść na to, że przecieki z administracji solarnej nie muszą być bliższe prawdy od wersji podanej przez Królestwo.

Dobre w tym wszystkim było tylko to, że wersja Królestwa rozchodziła się po Lidze Solarnej szybciej i znana była powszechnie dzięki systemowi wormholi, przez które przelatywały nie tylko frachtowce. Przynajmniej tym razem nie będzie tylko jednej jedynie słusznej wersji władz Ligi Solarnej, jak to przeważnie bywało w podobnych sytuacjach.

Równocześnie z drugą notą od Królowej Admiralicja wysłała do wszystkich jednostek tak wojennych, jak i handlowych ostrzeżenie o zbliżającym się kryzysie. Naturalnie potrzebne były tygodnie, by dotarło ono do wszystkich, ale było prawie pewne, że kapitanowie dostaną je wcześniej, niż rozkazy z Ziemi dotrą do dowódców lokalnych baz wojskowych. Jeśli więc

któs zostanie czymś zaskoczony, będzie to Marynarka Ligi. Oficerowie RMN otrzymali bowiem jasne rozkazy: jeśli jakikolwiek statek zarejestrowane w Gwiezdnym Imperium Manticore zostanie zaatakowany na obszarze, za który odpowiadają, mają odeprzeć ten atak w każdy dostępny sposób niezależnie od tego, kim będzie atakujący. Otrzymali też rozkaz przyspieszenia powrotu statków do przestrzeni kontrolowanej przez Royal Manticoran Navy, mimo iż wycofanie ich ze stałych tras mogło doprowadzić do eskalacji tego kryzysu.

Henke była też pewna, że w Gmachu Admiralicji światła codziennie płonęły do późnych godzin nocnych, gdyż opracowywano plany awaryjne na najgorsze ewentualności rozwoju sytuacji. Być może także z Ligi Solarnej dotarła już oficjalna odpowiedź, ale nawet jeśli tak było, ona nic o tym nie wiedziała, toteż musiała działać, kierując się wyłącznie własną oceną sytuacji.

Dlatego zatrzymała cztery lotniskowce kontradmirała Stephena Enderby'ego z 7. Eskadry Lotniskowców, gdy te dotarły do systemu Spindle. Enderby miał dostarczyć kanonierki do baz w systemach Prairie, Celebrant i Nuncio, po czym wrócić do Manticore po następne. Załogi kanonierek przygotowane do zwalczania piractwa zajęły się intensywnym ćwiczeniem poważniejszych zadań. Podejrzewała, że Admiralicja zatwierdzi jej rozkaz. Miłą niespodzianką było przybycie dywizjonu jednostek klasy *Saganami-C* z informacją, że więcej okrętów jest w drodze. Najwyraźniej sytuacja po bitwie o Manticore zaczynała się stabilizować i spóźnione posiłki dla 10. Floty w końcu zaczęto wysyłać.

Chwilowo dzięki lotniskowcom miała większe siły, niż przewidywał pierwotny plan, ale mogły się i tak okazać za małe, jeśli prawdą było, że do sektora Madras wysłano setkę solarnych okrętów liniowych...

Dama Estelle Matsuko jako tymczasowy gubernator Quadrantu Talbott wysłała notę do Meyers, gdy Mike odlatywała do New Tuscany na spotkanie z Byngiem. Musiała dotrzeć do celu z dwa tygodnie standardowe temu. Michelle była ciekawa odpowiedzi Verrochia, ale wiedziała, że musi uzbroić się w cierpliwość, bo nawet gdyby udzielił jej natychmiast, doszłaby dopiero za tydzień. A nie było co liczyć na pośpiech z jego strony, bo żaden biurokrata się nie wychyli, nawet gdyby nie miał nic wspólnego z tym, co się stało. A Verrochio miał, tym bardziej więc nie będzie się spieszył.

Była pewna, że będzie w stanie pokonać wszystko, co Flota Graniczna zdoła wysłać, bo mogły to być jedynie krążowniki liniowe, gdyż nie miała ona większych okrętów. Wątpiła nawet, by po tej stronie Słońca było ich dość, by stanowić zagrożenie dla 10. Floty, nawet gdyby ktoś wysłał je wszystkie. Zupełnie inną sprawą była Battle Fleet, zwłaszcza jeśli władze New Tuscany miały rację i w McIntosh znajdowała się setka należących do niej

superdreadnoughtów.

Jeśli tak, będzie musiała sobie z nimi poradzić. Właśnie dlatego w ćwiczeniach wyznaczyła Oversteegen na dowódcę obrony systemu oraz dała napastnikom rakiety *Mark 23. Apollo* im raczej nie przydzielili, bo celem ćwiczeń nie było danie nauzki Michaelowi, niezależnie od tego jak by na nią zasłużył i jaką by jej to przyjemność sprawiło.

Głównym celem było sprawdzenie, co wymyśli w takiej sytuacji ktoś, kogo umiejętności taktyczne nie tylko ona wysoko ceniła. Bo prawda była taka, że Michael Oversteegen był lepszym taktykiem od niej, toteż istniała spora szansa, że nauczy ją czegoś nowego. A przy tej okazji z pewnością na jaw wyjdą jakieś niedociągnięcia planów operacyjnych sporządzonych przez jej sztab. A te, choćby były najdrobniejsze, należało usunąć jak najszybciej, bo nie wiadomo, kiedy będą musieli zastosować je w prawdziwej obronie systemu, nie na ćwiczeniach.

Coś jej mówiło, że nie będzie musiała długo na to czekać.



## ROZDZIAŁ XII

- Czym mogę służyć, pani porucznik? - Ton nienagannie wyglądającego *maitre d'hotel* świadczył o tym, że raczej nie spodziewa się rzeczywiście usłużyć w czymś dwóm młodszym oficerom, którzy najwyraźniej trafili do lokalu przez pomyłkę.

- Mamy się tu spotkać z porucznikiem Archerem - poinformowała go Abigail Hearn.

- Ale chyba przyszliśmy trochę za wcześnie.

Udało jej się jakimś cudem powiedzieć to nieśmiało i nerwowo, co Helen Zilwicka zarejestrowała ze szczerym uznaniem. I nie chodziło o to, że jej rodziciel mógłby kupić całą sieć restauracji Sigourneya za drobne na zakupy, ale o to, że Abigail była przyzwyczajona do bywania w podobnych przybytkach. W stwarzaniu wrażenia, że właśnie prysnęła ze szkoły, i to najprawdopodobniej z którejś z niższych klas, i nie wiedzieć jakim cudem przebrała się w pasujący na nią mundur, pomagał fakt, że została poddana prolongowi trzeciej generacji i wyglądała na pensjonarkę. *Maitre d'* co prawda niczym tego nie okazał, ale Helen była pewna, że jęknął w duchu.

- A, porucznik Archer... naturalnie. Panie pozwolą?

I ruszył przez pograżoną w półmroku salę zastawioną stolikami o śnieżnobiałych obrusach ku wejściu do drugiej sali, położonej nieco niżej i o zupełnie innym wystroju. Podłoga i ściany wyglądały niczym zbudowane z cegieł, a sklepienie podtrzymywały grube drewniane belki.

A raczej coś, co wyglądało jak grube drewniane belki. Na Abigail, która wychowała się w kamiennej twierdzy liczącej sobie ponad sześćset lat standardowych, z autentycznymi pociemniałymi ze starości drewnianymi belkami stropowymi, drzwiami mogącymi oprzeć się taranowi i kominkami wielkości pokładu hangarowego niszczyciela, nie mogły zrobić wrażenia.

*Maitre d'* podprowadził je do stołu, przy którym siedział zielonooki porucznik Royal Manticoran Navy i atrakcyjna blondynka. Porucznik na ich widok zamachał radośnie ręką, - Dziękuję - wymamrotała uprzejmie Abigail.

I prawie się zaczerwieniła.

*Maitre d'* bąknął coś i oddalił się z, jak to oceniła Helen, „pospieszną ulgą”.

- Wiesz, Gwen, że powinieneś się wstydzić oszukiwania tego biedaka - oceniła

Abigail, siadając.

Helen w ostatnim momencie ugryzła się w język, by nie zacytować starego powiedzonka o kotle i garnku.

- Ja? - zdumiało się wcielenie niewinności, czyli porucznik Gervais Winton Erwin Neville Archer. - Jak panienka może coś takiego sugerować, panno Owens?

- Bo cię znam.

- I to moja wina, że nikt z pracowników nie zadał sobie trudu sprawdzenia pochodzenia stałych gości? - zdziwił się Archer. - Jeśli już koniecznie musisz znaleźć winnego, skup się na niej.

I wskazał na blondynkę.

Ta czym prędzej dała mu po łbie.

- To nieuprzejme pokazywać kogoś palcem - oznajmiła. - Nawet my, chamy i prostytutki z Dresden, to wiemy!

- Ale to nie zmienia faktu, że zełgałeś - przypomniała Helga Boltitz i uśmiechnęła się. - Witaj, Abigail, i ty także, Helen.

- Cześć, Helgo - odwzajemniła się Abigail.

Helen kiwnęła głową na powitanie i zajęła ostatnie wolne krzesło, stojące naprzeciwko Abigail. Kelner pojawił się natychmiast, jakby wyrósł spod ziemi.

Przyjął zamówienie na napoje i wręczył każdemu dwucentymetrowej grubości menu.

Po czym zniknął.

- Helga mogła z ciebie zażartować, ale tylko za pierwszym razem - oceniła Abigail. - I nie dziwię się jej. To naprawdę snobistyczny lokal, a możesz mi wierzyć, że tata zapraszał mnie do podobnych przybytków. Ale to tobie przychodzi tu i rozmyślanie, jaka też będzie reakcja obsługi, gdy w końcu dowie się prawdy, zaczęło sprawiać perwersyjną przyjemność.

- Chodzi ci o to, że jestem kuzynem typu piąta woda po kisielu Królowej Elżbiety, czy o to, że Helen jest siostrą Królowej Berry? - spytał niewinnie Archer. - A może o to, że patron Owens jest twoim ojcem?

- O wszystko razem. - Helga pokiwała głową z politowaniem. - A choć nie ukrywam, że obserwowanie ich reakcji sprawi mi sporą przyjemność, nie zapomniałam, że wykręciłeś mi ten sam numer.

- Niczego nie wykręciłem! - zaprotestował oburzony.

- Tak? A gdybym tego nie sprawdziła w Clarke's Peerage, dalej udawałbyś, że pochodzisz ze zwykłej rodziny?

- Pewnie by to w końcu wyszło przy jakiejś okazji... - przyznał niechętnie i

uśmiechnął się.

Odwzajemniła ten uśmiech, nie bardzo wierząc w to, co robi. Gdyby osiem miesięcy temu ktoś jej powiedział, że polubi zamożnego arystokratę, posłałaby go do psychiatry, ledwie by jej paroksyzm śmiechu przeszedł. Sam pomysł, by ktoś pochodzący z tak prymitywnej i biednej planety jak Dresden mógł mieć cokolwiek wspólnego z bogaczami mogącymi poszczycić się doskonałym wykształceniem, był niedorzeczny. A na dodatek była przekonana, że arystokraci z Królestwa są co najmniej równie arogancy jak lokalni bogacze plebejskiego pochodzenia i mają muchy w nosie.

Gervais Archer dość skutecznie zburzył te przeświadczenia, delikatnie, acz zdecydowanie przekonując ją, że od każdej reguły istnieją wyjątki. Co doprowadziło w końcu do tego, że siedziała przy jednym stole z tak monumentalnie wysoko urodzonym towarzyszem.

- Osobiście żałuję, że tego nie zobaczę - przyznała Helen, Była równocześnie najstarsza, bo miała 21 lat standardowych, i najmłodsza stopniem z obecnych, jako że była chorąży. I miała nader podobne do Helgi podejście do arystokracji, co nie dziwiło, jako że urodziła się na Gryphonie, a wychował ją góral z tej planety, czyli w opinii powszechnie panującej w Królestwie Manticore niemalże anarchista.

- Skoro tak ci zależy na zobaczeniu ich reakcji, można im powiedzieć dzisiaj - zaproponowała Abigail.

- W żadnym wypadku! Im dłużej to potrwa, tym głupsze będą mieli miny! - zaprotestowała Helen. - I tym bardziej będą wściekli!

Abigail pokręciła głową - choć w ciągu ostatnich dziesięciu lat standardowych więcej czasu spędziła na Manticore niż na Graysonie i choć nabieranie *maitre d'hotel* sprawiało jej czystą radość, nadal uważała stosunek przyjaciół z Królestwa do ich rodzimej arystokracji za przedziwny. Jej ojciec był patronem, czyli sprawował w swej domenie władzę może nie absolutną, ale taką, o jakiej mogli jedynie marzyć najbardziej zatwardziali arystokraci z Królestwa. Dzięki temu, że była jego córką, właściwie nie miała złudzeń co do mnogości przywar szlachetnie urodzonych, ale wpojono jej też poczucie obowiązków, które na każdym z nich ciążyły. I które lepiej lub gorzej, ale wszyscy wypełniali. Być może powodem były warunki środowiska planetarnego, które eliminowały nieodpowiedzialnych idiotów, a może wiekowa tradycja podyktowana instynktem samozachowawczym. Mogła zrozumieć wrogość czy nawet nienawiść w stosunku do tych, którzy nadużywali władzy czy nie do końca dobrze pełnili swoje role, ale lekceważącej autoironii prezentowanej przez Gwena Archera nie potrafiła pojąć, choć widywała ją u wielu równie wysoko jak on urodzonych mieszkańców

Królestwa. Jak to ktoś ładnie ujął: dziewczyna może opuścić Graysona, ale Grayson dziewczyny nigdy. Nie pierwszy raz ta prawda przyszła jej na myśl. I była pewna, że nie ostatni.

Kelner przyniósł napoje, zebrał zamówienie i menu.

I ponownie zniknął niczym zdmuchnięty.

Zajęła się więc mrożoną herbatą, która z jakichś niezrozumiałych powodów była rzadkością na Manticore, i dopiero po paru solidnych łykach odezwała się:

- Proponuję porzucić miłe rozważania, jaki też wpływ na ciśnienie i karnację obsługi będzie miał finał tej niewinnej zabawy, i przejść do spraw poważnych.

- Aha, skończyły się żarty, zaczęły się schody - oceniła Helen.

- Właśnie o to miałam spytać. - Abigail posłała jej bardzo nieżyczliwe spojrzenie i dodała: - Co się dzieje na powierzchni, Helen?

- Czyste wariactwo - skrzywiła się zapytana, odstawiając kufel. - I zanoszą się na to, że będzie gorzej. Chyba nikt w całej Gomadzie nigdy nie widział tylu jednostek kurierskich na orbicie jednej planety. W sumie nawet ich rozumiem, choć mam ochotę odstrzelić następnego pismaka, który stanie mi na drodze. Nie mogę tylko pogodzić się z ich bezczelnością i natręctwem. Jak tu pracować, jeśli przez cały czas człowiek jest prześladowany i nagabywany jak nie o oświadczenie, to o wywiad albo inne takie. Zupełnie jakby tylko życzenia pismaków były ważne i wszystko powinno się kręcić wokół nich.

- Witamy w świecie wolnych mediów - skomentował Archer filozoficznie.

- Wszystko zależy od tego, jak pozwoli się im tę wolność wykorzystywać - sprzeciwiła się Abigail. - Chciałabym zobaczyć takiego, który spróbowałby nachalnie czy bezczelnie nagabywać tatę.

- Ciekawość na ile by wylądował na intensywnej terapii? - zastanowiła się głośno Helen. - Ale wracając do tematu głównego, fakt, że tylu ich się tu zjawilo, może nie być dla nas wcale taki zły.

- A to niby jakim cudem? - zdziwił się Gwen.

Helen wzruszyła lekko ramionami.

- Polityka sprowadza się do dwóch kwestii: zrozumienia i postrzegania. Tak przynajmniej twierdzi Cathy, a ona w politykę bawi się od dawna. Wewnętrzna co prawda, ale zasady są te same. Jeśli kontroluje się warunki debaty, ma się przewagę. Nie możesz co prawda zmusić nikogo po stronie przeciwnej, by zrobił to, czego chcesz, ale masz na to o wiele większą szansę, jeśli zmusisz go do obrony stanowiska pozbawiając możliwości ataku. Przynajmniej tak ma to wyglądać dla opinii publicznej. Atakujący zawsze jest w lepszą

sytuacji, podobnie jak kontrolujący informacje, a zwłaszcza publiczny odbiór tych informacji. Dzięki temu można skutecznie ograniczyć przeciwnikowi wybór wariantów zachowania do tych, które są korzystne dla ciebie. Pamiętaj, że jeśli potrzebne będzie oficjalne wypowiedzenie wojny, wystarczy weto jednego systemu, by do niego nie doszło. Dużym sukcesem propagandowym jest także możliwość przedstawienia swojej wersji wydarzeń, jeśli zrobisz to jako pierwszy. A to nam się udało. Jeśli tylu pismaków z Ligi Solarnej jest teraz tutaj i zamęcza naszych ludzi, wszystko to trafi do mediów. Naturalnie mogą to pociąć i poprzekreślać, ale podstawowa prawda do solarnej opinii publicznej dotrze, bo wszystko muszą budować na podstawie tego, czego dowiedzą się tu od nas.

- Szef uważa podobnie - przyznała Helga. - Ale wyraża to w znacznie barwniejszy sposób, zwłaszcza jeśli chodzi o cechy pismaków.

- Admirał Henke na pewno ma o nich taką samą opinię, choć robi, co może, żeby trzymać się od nich jak najdalej - dodał Archer, który jako porucznik flagowy mógł najlepiej z nich ocenić postępowanie i poglądy Henke.

- A twój pryncypał? - spytała Helga, patrząc na Helen. - Może i jest tylko komodorem, ale wszyscy tu wiedzą, ile czasu spędził w dyplomacji, a Van Dort i reszta rządu naprawdę go szanują.

- Nie rozmawialiśmy o tym - przyznała Helen. - Ale wykorzystał kilku doskonałych okazji, by zostać na pokładzie i uniknąć wywiadów, chyba więc stara się wpłynąć na solarną opinię publiczną. Inaczej zabarykadowałby się na *Jimmym Boyu*, bo pismaków też serdecznie nie cierpi.

Ciężki krążownik HMS *Quentin Saint-James* został przyjęty na stan Royal Manticoran Navy ledwie pięć standardowych miesięcy temu, a już miał przezwisko. Zwykle nadanie go zajmuje załodze znacznie więcej czasu, tyle że ta nazwa została wpisana na listę honorową RMN prawie dwa stulecia temu.

Zresztą nie tylko ten okręt był nowy. Nie licząc superdreadnoughta *Hercules*, flagowca admirała Khumala, wszystkie jednostki 10. Floty większe od lekkiego krążownika nie miały jeszcze roku, a większość niszczycieli była równie nowa jak *Quentin Saint-James* i jego siostrzane krążowniki.

- Cóż, szef pewnie też tak postępuje, tylko ani trochę mu się to nie podoba - przyznała Helga.

Helen niespodziewanie zachichotała.

- Co ci? - spytała z troską Abigail.

- Nic, tylko wyobraziłam sobie, co by spotkało pierwszego, który by nieproszony

podetknął ojcu pod nos mikrofon. Tata by go pewnie potem przeprosił, to jest gdy pismak odzyskałby przytomność. I jak go znam, uparłby się pokryć koszty leczenia.

- A tak się zastanawiałam, po kim masz te skłonności do przemocy - odezwał się ni z tego, ni z owego Archer.

- Jakie znów skłonności do przemocy?! - zdziwiła się Abigail.

- Jak to jakie? Pamiętasz, że byłem w zeszłym tygodniu na *Quentinie*, bo mnie stara wysłała z jakąś korespondencją do twojego starego?

Helen przyjrzała mu się podejrzliwie, ale przytaknęła.

- No to tak się złożyło, że przechodziłem obok sali gimnastycznej, akurat kiedy rzucaliś ludźmi o ścianę.

- Nikim o nic nie rzucałam!

- A właśnie, że rzucałaś. Ktoś mi nawet uprzejmie wyjaśnił, że to się nazywało „Młot Zniszczenia Latającej Kobyły”.

- Że jak?! - Helga spojrzała z niedowierzaniem na Helen.

- To się wcale tak nie nazywało i doskonale o tym wiesz!

- Tak mi powiedzieli. Ja się na tym nie znam, bo nie wycieram ludźmi podłogi.

- Dobra - wtrąciła się Abigail, z trudem tłumiąc chichot. - Jak to się naprawdę nazywało, Helen?

- Tak to złośliwie poprzekręcał, że nawet ja nie jestem już pewna, jakich chwytów i ciosów użyłam.

- To spróbuj sobie odtworzyć.

- Z tego co pamiętam, mogła to być kombinacja Latającej Klaczy, Ręki Młota i być może Sierpa Zniszczenia.

- To wcale tak dużo nie przekręcił - oceniła Abigail. - Ludzkie pojęcie przechodzi, co niektórzy są w stanie po niemiecku ponazywać. W *coup de vitesse* większość *kata* nie ma nawet nazw, a te, które mają, brzmią jakoś tak mniej... dramatycznie.

- Nie do mnie te pretensje - odcięła się Helen. - Ja nie wymyśliłam *Neue-Stil Handgemenge*, ja to tylko ćwiczę. A według Mistrza Ty ci, którzy ten styl walki opracowali, byli pod dużym wpływem starych nagrań rozrywkowych zwanych filmami.

- O słodka godzino! - jęknęła Abigail. - Cofam wszystkie zastrzeżenia.

- Coś się zrobiła taka wspaniałomyślna? - Helen spojrzała na nią podejrzliwie.

- Dopóki patronka się tym nie zajęła, a jeśli się nie mylę, wymagało to przeszukania baz danych na Beowulfie i Ziemi, nikt na Graysonie nie znał dziełek, na których nasi przodkowie oparli zasady sztuki walki mieczem. Teraz niestety już je znamy i uczciwość

nakazuje przyznać, że większość tych „samurajskich filmów” jest co najmniej równie głupia jak to, co oglądali twórcy *Neue-Stil*, sądząc po nazwach ruchów.

- No cóż, miło wiedzieć, że nie wszyscy mieliśmy przodków oddających się głupim rozrywkom - ocenił z wyższością Archer.

- Założysz się? - spytała niespodziewanie Abigail.

- A niby dlaczego chcesz się zakładać?

- Żeby spuścić z ciebie powietrze, nim znajdziesz się pod sufitem. Twoi przodkowie, jeśli dobrze pamiętam, pochodzili z zachodniej półkuli, podobnie jak moi, zgadza się?

- I co z tego, że pochodzili?

- A to, że patronka w trakcie poszukiwań natknęła się na coś zwane „westernami”, więc je też ściągnęła i przywiozła na Grayson. Nawet namówiła stryja i jego przyjaciół ze Stowarzyszenia Anachronizmów czy jakoś tak na zorganizowanie „festiwalu filmowego” w domenie Harrington. Sporo z tych filmów zrobiono w jakimś Hollywood leżącym w Ameryce Północnej. Kilka było naprawdę dobrych, ale reszta... Możesz mi wierzyć, twoi przodkowie mieli tak samo zboczony gust jak moi.

- Ciekawe - przyznał Archer - ale nie o tym, zdaje się, mieliśmy dziś rozmawiać.

- Mówiąc po ludzku: przegrywa, więc zmienia zasady - poinformowała Helga.

- Zmienia, ale ma rację, że to robi - oceniła Helen. - Nie zajmujemy pozycji pozwalających na podejmowanie ważnych decyzji, ale mamy pewien wpływ na osoby, które zajmują. Dlatego uważam, że nie zaszkodzi uzgodnić wersji i uzupełnić wzajemnie wiadomości, żebym gdy mój stary mnie o coś zapyta, mogła mu odpowiedzieć, nie konsultując się z tobą, Gwen, czy z tobą, Helgo.

- Doskonały pomysł. - Archer spoważniał i widać było, że mówi szczerze, co sprawiło Helen przyjemność; może i była najmłodsza stopniem, ale nie znaczyło to, że najgłupsza.

- Zgadza się - przyznała Abigail, choć jako oficer taktyczny niszczyciela klasy *Roland* nie mogła wpływać na nikogo ważnego poza swoim dowódcą, która też nie była nikim ważnym.

- W takim razie zaczniemy od tego, czy słyszałyście, co moja szefowa zaplanowała dla Oversteegeny? - spytał Archer.

\* \* \*

- Czas, panie admirale - powiedziała Felicidad Kolstad.

- Wiem - odparł zwięźle admirał Topolev siedzący w admirałskim fotelu na pomoście flagowym *Mako*.

Za nim, utrzymując idealny szyk, leciało 14 pozostałych okrętów Grupy Uderzeniowej 1.1, a przed nim znajdowała się gwiazda nazwana Manticore-A, od której dzielił go ledwie tydzień świetlny. Wytracili prędkość do 20% szybkości światła i dotarli tam, dokąd zmierzali od chwili opuszczenia systemu Mesa ponad cztery miesiące standardowe wcześniej.

Teraz nadszedł czas, by wykonać zadanie.

- Rozpocząć stawianie! - polecił Topolev.

W burtach wszystkich okrętów otworzyły się olbrzymie furty, z których zaczęły wysypywać się zasobniki holowane.

Sześć jednostek stanowiących Grupę Uderzeniową 1.2 dowodzoną przez kontradmirał Lydię Papnikitas zbliżało się do Manticore-B, ale do wyznaczonego miejsca jeszcze nie dotarły. Topolev żałował, że nie ma więcej okrętów, ale do przyspieszonej realizacji operacji Ostryga wyznaczono wszystkie istniejące jednostki, a zadanie przydzielone jego grupie było najważniejsze. Poza tym w podsystemie Manticore-B znajdowało się mniej celów, a osiem jednostek klasy *Shark* niezbędnych było, aby Grupa Uderzeniowa 2.1 admirał Colenso mogła przeprowadzić atak na system Yeltsin.

Te siły musiały wystarczyć i wystarczą. A za mniej więcej pięć tygodni standardowych Gwiazdne Królestwo Manticore dostanie spóźniony prezent gwiazdkowy, którego nigdy nie zapomni.



## ROZDZIAŁ XIII

Audrey O’Hanrahan nacisnęła klawisz komunikatora, słysząc dźwięki „Uwertury 1812” sygnalizującej, że ktoś chce z nią rozmawiać. Była to wersja, w której użyto oryginalnej archaicznej armaty, i tę właśnie lubiła najbardziej. W ogóle lubiła starocie, dlatego należała do Stowarzyszenia Kreatywnego Anachronizmu. A sygnał poza tym pasował do niej - najlepszego dziennikarza śledczego w Lidze Solarnej.

Bezkompromisowa i szczerą do bólu odmiana pisania, jaką preferowała, była mniej lukratywna od sensacyjnego dziennikarstwa ukochanego przez kolorowe brukowce dostarczające głupim czytelnikom niewiarygodnych plotek, często wymyślonych przez autorów artykułów. Była córką i wnuczką szanowanych dziennikarzy i swoje obowiązki traktowała poważnie, toteż jak ognia unikała podobnej „tfurczości”. I szybko zdobyła sobie reputację prawdziwego unikatku - dziennikarza opierającego się na solidnych, sprawdzonych źródłach, próbującego obiektywnie przedstawiać sprawy i nie cofającego się przed walką w obronie prawdy.

Walczyć lubiła i perspektywa awantury nigdy nie powstrzymała jej przed ujawnieniem niewygodnych faktów, czy chodziło o zasady działania biurokracji, czy o układy istniejące między firmami a urzędnikami Biura Bezpieczeństwa Granicznego lub tymiż korporacjami a członkami Stowarzyszenia Renesansowego w teorii zwalczającego korupcję i biurokrację, czy o teoretycznie zakazany handel niewolnikami genetycznymi, czym jak uporczywa plotka głosiła, dorobiła się kontraktu na swoją głowę ogłoszonego przez Manpower.

Była też jednym z pierwszych dziennikarzy, którzy zajęli się zarzutami Królestwa Manticore po bitwie o Monicę, i choć nie należała do apologetów Królestwa, gdy Amandine Corvisart udostępniła dowody na udział w całej sprawie Technodyne i Manpower, podała te dowody do publicznej wiadomości.

Władzom się to nie spodobało, ale ani na niej, ani na tych, dla których pracowała, nie zrobiło to wrażenia. Miała dopiero 53 lata standardowe, a rynek na takie dziennikarstwo jak jej, choć ograniczony, istniał. A nawet ograniczony rynek w Lidze Solarnej oznaczał miliardy widzów i czytelników, a dzięki jej reputacji w zasadzie wszyscy oni czytali i oglądali jej materiały. Co więcej, nawet ci, którzy woleliby zobaczyć jej nekrolog, przywiązywali dużą

wagę do jej materiałów, bo wiedzieli, że będą one na tyle sprawdzone i zgodne z prawdą, na ile to tylko możliwe. Fakt, zdarzały jej się pomyłki, ale po pierwsze rzadko, a po drugie zawsze się do nich przyznawała i próbowała jak najszybciej naprawić.

Nad komunikatorem stojącym na stole pojawił się hologram mężczyzny, na którego widok zmarszczyła brwi Baltasar Juppé był o jakieś 10 lat standardowych od niej starszy i specjalizował się w analizach finansowych. Była to także odmiana dziennikarstwa śledczego, jeszcze bardziej wyspecjalizowana niż ta, którą ona uprawiała, ale jakoś za Baltasarem nie przepadała. Może dlatego że była atrakcyjna, inteligentna i charyzmatyczna, a jemu pierwszej i ostatniej cechy nie dało się zarzucić. Ona miała kasztanowe włosy, błękitne oczy i delikatne rysy, choć pełną figurę, a on brązowe, mętne oczy, włosy sprawiające wrażenie, że właściciel nie ma nad nimi kontroli, i w najlepszym razie był sympatycznym brzydalem.

Trafiali na siebie czasami, ale kolegami nie byli. Wykonywali ten zawód i czasami zajmowali się sprawą bitwy o Monicę, ale Juppé zawsze krytykował to, jak dalece Królestwo Manticore, a zwłaszcza jego flota handlowa, spenetrowało gospodarkę Ligi, dlatego znacznie sceptyczniej podchodził do przedstawionych przez nią dowodów.

- Cześć, Audrey! - powitał ją radośnie.

Spochmumiała jeszcze bardziej.

- Czemu zawdzięczam tę wątpliwą przyjemność? - spytała z zauważalnym brakiem entuzjazmu.

- Dotkłaś mię! - oznajmił, łapiąc się za miejsce, w którym normalny człowiek ma serce. - I to boleśnie! Jak możesz mnie tak traktować, zwłaszcza że przynoszę prezencik!

- Zdaje się, że jest jakieś przysłowie o przynoszących dary. Znasz?

- Pewnie jest, a jak nie ma, to wymyślisz - odrzekł radośnie Juppé. - Ale myślę, że tym razem najpierw chciałabyś się dowiedzieć.

- Czego?

- Że w końcu mam niezależną relację z tego, co się wydarzyło w New Tuscany - odparł, poważniejąc.

- A masz? - spytała podejrzliwie. - Skąd? Od kogo? I dlaczego zwracasz się z tym do mnie?

- Bo jesteś dobra w tym, co robisz. Nikt o tym jeszcze nie wie i przez jakiś dzień pewnie się nie dowie. A ja wiem, bo mam dobre kontakty w świecie finansów i interesów.

Po czym zamilkł, czekając na jej reakcję.

Nie musiał długo czekać; kiwnęła niecierpliwie głową.

- Znam między innymi kogoś z Brinks Fargo, dowiedziałem się więc, że ich ostatni

kurier lecący przez Visigoth przywiózł nieco inną wersję wydarzeń.

- Przez Visigoth? - powtórzyła z niesmakiem. - Czyli przez Mesę?

- Można to i tak ująć. Ale nie w tym znaczeniu.

- Nie w jakim znaczeniu?

- Że te gnojki z Mesy sfalszowały nagranie.

- Nie uważam, że każda wiadomość z Mesy jest kłamliwa lub sfalszowana - napomniała go łagodnie.

- Tak?! To się zadziwiająco dobrze maskujesz.

- Ja się nie maskuję, tylko oni uprawiają kreatywne dziennikarstwo z taką regularnością, że jest to wręcz nudne.

- Zauważyłem, że jakoś nie pisałaś o wybuchach, a te mają niezależne potwierdzenie.

- Gdybyś czytał ze zrozumieniem to, co piszę, wiedziałbyś, że o wybuchach wspominałam i sugerowałam, iż Balet miał z nimi coś wspólnego. Nadal tak uważam, podobnie jak nadal sądzę, że wysoce podejrzone i wygodne dla władz Mesy są wyniki śledztwa przeprowadzonego zresztą przez te władze, wskazujące, że sprawcą, ku ich wielkiemu zaskoczeniu, okazał się oficer wywiadu Królewskiej Marynarki. I ja mam w to uwierzyć?

- Zilwicki od dawna nie jest oficerem RMN, a z Baletem sypia, odkąd znalazł sobie tę szurniętą Montaigne. Przecież na dokładkę jego córka została Królową Torch, nie jest więc to niemożliwe.

- Gdyby zwariował albo nagle zgłupiał, to i owszem - warknęła O'Hanrahan. - Sprawdziłam wszystkie dostępne informacje o nim, łącznie z raportem tego całego Underwooda, i przyznaję, że jeśli ktoś próbuje zagrozić jemu lub tym, o których się troszczy, jest niezwykle groźny, ale nie jest mordercą i żadnym krwi maniakiem. Poza tym jest bardzo inteligentny, a średnio rozgarnięty człowiek wiedziałby, że atomówka w pełnym dzieci parku to najskuteczniejszy sposób pozbawienia się publicznego poparcia. Jeszcze jedno: wszyscy pamiętają, na co się zdobył, gdy porwano mu córkę. Sądzisz, że ktoś taki zdecydowałby się bez potrzeby zabić setki innych dzieci? Sam wybierz, czy wierzyć w publicznie dostępne od lat informacje, czy w wyniki „niezależnego” śledztwa podane przez pismaków o nieposzlakowanej opinii, pozostających na usługach rządowej propagandy.

Z jej miny można było się domyślić, co o tym sądzi. Liga Solarna co prawda oficjalnego stanowiska nie zajęła, ale nieoficjalne źródła od początku podchwyciły wersję Mesy, podobnie jak większość dziennikarzy. Co oczywiście, jak oboje wiedzieli, nie miało żadnego wpływu na jej podejście do sprawy.

- Nie mam zamiaru się z tobą kłócić, choć nie uważam, że Zilwicki jest taki święty, by nie mógł tego zrobić, ale nie o to tym razem chodzi. To, co mam, nie przyszło z Mesy, tylko z New Tuscany, a przez Mesę po prostu przeleciało, bo tamtędy prowadzi najkrótsza droga z New Tuscany na Ziemię, która nie biegnie przez obszar kontrolowany przez Królestwo czy jak się teraz przezwali.

O'Hanrahan przekrzywiła głowę.

- Poważnie sugerujesz, że wysyłający tę historię bał się, że Królewska Marynarka przeszukuje jednostki kurierskie i ją znajdzie? - spytała, nie kryjąc niedowierzania.

- Nie wiem, nie znam człowieka i nie zajmuję się militarnymi aspektami polityki, tylko ich wpływem na wyniki finansowe. Oboje wiemy, że kupa grubych ryb ma interesy z Biurem i na Pograniczu, ale ja się zajmuję bankowością i giełdą, nie potrafię więc ocenić, czy jego obawy były uzasadnione, czy nie. Wiem tylko tyle, ile mi powiedziano: że nie chciał, aby kurier korzystał z jakiegokolwiek kontrolowanego przez RMN wormhola.

- Dlaczego?

Juppé wzruszył ramionami.

- Pewnie dlatego, że to nie artykuł, tylko materiały od kogoś z władz New Tuscany do kogoś z wywiadu naszej floty. Nie do opublikowania, a przynajmniej nie od razu.

- W takim razie dlaczego wysłano je w ten sposób?

- Dowiedziałem się tego od kuriera, co mnie sporo kosztowało; jeśli wydawca nie zaakceptuje kosztów, dopiero będę się cieszył. Powiedział mi to głównie dlatego, że nie podobało mu się to, co kazano mu zrobić. Miał przekazać materiał wywiadowi, ale nieoficjalnie i z zastrzeżeniem, żeby go nie rozgłaszać. A to dlatego, że ten zapis sensorów nie pokrywa się z wersją Królestwa, a ten, kto go wysłał, boi się to ujawnić, dopóki w systemie New Tuscany nie znajdą się wystarczające siły solarne, by uniemożliwić Królewskiej Marynarce zemstę.

- Królestwo twierdzi, że nic nie ma do władz New Tuscany. I nigdy ich o nic nie oskarżyło.

- Ale to się może zmienić. Mam nieobrobione nagranie z sensorów pokładowych jednego z okrętów systemowych z pierwszego incydentu. Wynika z niego, że to nie były lekkie niszczyciele, tylko lekkie krążowniki, i że to one zaczęły strzelać. Byng jedynie odpowiedział ogniem.

- Co?!

Juppé przyglądał się jej bez słowa, czekając spokojnie, aż odzyska głos.

- Przecież to bez sensu! - oświadczyła w końcu. - Królestwo nie postępowałoby aż tak

głupio; zresztą po co miałyby to robić? Ten twój kurier twierdzi, że chciało celowo sprowokować incydent z naszą flotą?

- On niczego takiego nie twierdzi. Kazali mu dostarczyć określony materiał, którym, jak rozumiem, są oficjalnie potwierdzone zapisy sensorów pokładowych, i polecono jak ognia unikać przelotu przez obszar kontrolowany przez RMN. Może Królestwo od początku wiedziało, że spieprzy sprawę, próbowało więc udowodnić, że to my, bo tylko w ten sposób może uniknąć kary i zniszczenia.

- Pewnie. Już widzę, jak Królowa i cały rząd planują coś tak idiotycznego.

- To tylko jedna z możliwości. Jeśli Mesa ma rację w sprawie Zilwickiego, to Królestwo przestało panować nad swoimi ludźmi. A co do rządu, to, zdaje się, ty wielokrotnie dowodziłaś, jak głupi był ten, jak mu tam... Highbridge, prowokując wznowienie wojny, zgadza się?

- High Ridge - poprawiła go odruchowo, myśląc intensywnie o czymś innym. - To była inna bajka, bo kretyn był konkursowy. Nie zamierzam wierzyć w te kontroskarżenia pochodzące z Mesy czy w jakikolwiek sposób z nią powiązane. A tak w ogóle to dlaczego pofatygowałeś się z tym do mnie?

- Bo mam do ciebie zaufanie.

- Że co proszę?!

- Znasz mnie i wiesz, jak to wszystko działa. Jeśli to prawda, Królestwo będzie mieć przesrane, gdy tylko raport zostanie zweryfikowany w połączeniu z informacjami z Mesy o Green Pines. A jeśli to nastąpi, rynki zwariują jeszcze bardziej. Nasza flota rozpieprzy ich państwo równo i dokładnie, co będzie oznaczało zmianę właściciela Manticore Wormhole Junction. Królestwo będzie miało szczęście, jeśli w ogóle przetrwa.

- I? - zachęciła go.

- Jestem nie tylko reporterem, ale i analitykiem. Jeśli będę pierwszym lub jednym z pierwszych, którzy właściwie przewidzą rozwój wydarzeń i będą doradzali pozbycie się papierów gwarantowanych przez Królestwo, wygram. Wszyscy zapamiętają, że byłem pierwszym, który dostrzegł aspekt finansowy całej sprawy.

- I?

- Nie jestem w stanie zweryfikować tych informacji - przyznał w końcu nieszczęśliwym tonem. - Zwłaszcza że nie długo pozostaną tajemnicą. Flota będzie je sprawdzać, a jeśli okażą się wiarygodne, ci na górze zdecydują, czy ujawnić je zaraz, czy najpierw pogadać po cichu z Królestwem. Uważam, że wybiorą podanie ich do publicznej wiadomości, bez względu na to, czego by sobie życzyło New Tuscany. A to daje niewiele

czasu na publikację. Dla mnie za mało, bo jeśli okaże się, że materiał jest fałszywy, będę skończony. Ty masz stosowną wiedzę i kontakty, by sprawdzić go szybciej i lepiej, a na dodatek ci, z którymi już pracowałaś, zrozumieją konieczność milczenia, dopóki nie skończysz. Proponuję ci więc układ: dostaniesz kopię oryginalnej wiadomości i zapisu sensorów, w zamian za co, jeśli okażą się one prawdziwe, będę współautorem artykułu. Co ty na to?

Audrey przyglądała mu się z namysłem przez kilkanaście sekund. Jak powiedział, oboje znali zasady, a stare przysłowie, że ręka rękę myje, było jak najbardziej na miejscu w tej branży. Jego oferta miała sens, a on sam faktycznie nie był w stanie zweryfikować tych materiałów...

- No dobra - odezwała się w końcu. - Podejmę decyzję, gdy to obejrzę. Jeśli uznam, że to coś warte, sprawdzę wszystko i skontaktuję się z tobą.

- Przed opublikowaniem, tak?

- Masz moje słowo, że nie ujawnię niczego, zakładając naturalnie, że w ogóle będzie co ujawniać, bez rozmowy i uzgodnienia z tobą. Chcesz być współautorem czy nieć swój materiał opublikowany równocześnie?

- Wolę to pierwsze, bo jak często ktoś taki jak ja może sam odkryć coś takiego równocześnie z kimś takim jak ty?

- Jeśli tak wolisz, nie mam nic przeciwko temu. Jak długo będę musiała czekać na ciebie po zweryfikowaniu danych?

- Tyle, ile zajmie ci pisanie. Ja już pracuję nad dwiema niezależnymi wersjami: pierwszą o bezczelnym kancie Królestwa i drugą o próbie oszustwa i zdyskredytowania go. Obie będą gotowe, nim się ze mną skontaktujesz.

- Dobra. W takim razie zorganizuj dostarczenie mi tego. Tylko osobiście przez kogoś, do kogo masz zaufanie.

- Oczywiście. To lecę - zakończył Juppé i wyłączył się.

\* \* \*

Juppé wyciągnął się wygodnie w fotelu, splótł dłonie na brzuchu i z błogim uśmiechem wpatrzył się w sufit.

Dobrze wiedział, że materiał przejdzie każdą weryfikację, bo posiadał prawdziwe kody autoryzacyjne. Pojęcia nie miał, jak zostały zdobyte; być może nastąpiło to o wiele wcześniej i dlatego właśnie New Tuscany wybrano na miejsce incydentów. Takie kody można było naturalnie złamać i podrobić, ale było bardzo trudno tego dokonać i nie

pozostawić śladów. W tym wypadku nic podobnego nie wchodziło w grę, bo były jak najbardziej autentyczne. I dlatego uwiarygodniały nieco poprawiony zapis sensorów pokazujący inny przebieg wydarzeń niż ten, który głosiło Królestwo.

A na dokładkę ich prawdziwość zostanie potwierdzana przez samą Audrey O'Hanrahan. Fakt, istniało jeszcze paru innych dziennikarzy o doskonałej reputacji i każdy skorzystałby z takiej okazji, gdyby ją dostał, ale to ona była najbardziej szanowana na Ziemi.

Teraz wreszcie to wszystko zaczynało być warte całego tego czasu i wysiłku. Bo wielokrotnie żałował, że dostał ten właśnie przydział i to właśnie zadanie. Dla przedstawiciela linii gamma stworzenie fałszywej osobowości i kariery nie było trudne, za to bardzo nudne. Odkąd dorósł, wiedział, że ma potencjalnie znacznie większą szansę, by się wykazać, niż rodzice czy dziadkowie, którzy zaczęli tworzyć historię rodu rzeczowych i wiarygodnych dziennikarzy finansowych na Ziemi, natomiast nie spodziewał się, że nastąpi to w ciągu kilku najbliższych lat.

Teraz nadszedł właściwy czas, a nagranie rozmowy z O'Hanrahan było prawdziwą perełką. Nie wątpił, że ona też ją nagrywała, i prawdopodobnie jeszcze Żandarmeria, która na wszelki wypadek wołała wiedzieć, czym też zajmuje się osoba, która już wielokrotnie dopiekła tej instytucji, ujawniając jej brudy. W tym akurat wypadku im więcej nagrań, tym lepiej, bo każde stanowiło dowód, że zrobił, co mógł, by zweryfikować informacje, które niespodziewanie otrzymał. Jak też że O'Hanrahan nie miała o niczym pojęcia przed rozmową z nim i że podeszła nader podejrzliwie do całej sprawy.

Dlatego właśnie nie rozmawiał z nią osobiście wyposażony w aparaturę antypodsłuchową.

Musiał przyznać, że zazdrościł jej i jej podobnym. I to nie tylko powszechnego uznania czy podziwu, ale głównie tego, że wiedli znacznie ciekawsze i aktywniejsze życie. O'Hanrahan podróżowała po całej Lidze Solarnej, weryfikując materiały, a szanowano ją za wybitny umysł, dociekliwość, odwagę i upór, z jakim przedzierała się przez każdą zasłonę dymną czy oficjalną legendę w poszukiwaniu prawdy. Najbardziej zazdrościł jej przyjemności, jaką dawała jej ta praca.

Natomiast do tej pory nie wiedział, że jej kariera i osobowość były sztucznym tworem dokładnie tak samo jak jego. Teraz, gdy już go w to wtajemniczono, znacznie mu ulżyło - zazdrość pozostała, ale musiał przyznać, że raczej nie zdołałby dorównać jej brawurze i bezczelności. W końcu należał tylko do linii gamma, a O'Hanrahan była z linii alfa.

## ROZDZIAŁ XIV

- Wasza Wysokość, przybyła pani Montaigne.

Elżbieta Winton uniosła głowę znad ekranu, z trudem opanowując nieracjonalną irytację. Służbę w pałacu Mount Royal dobierano między innymi tak, by była zawsze zdolna zachować spokój, chęć uduszenia tego Bogu ducha winnego człowieka właśnie za to była więc całkowicie bezzasadna. Faktem jednakże było, że miała ochotę kogoś udusić. Nieważne kogo, byle się rozładować.

Z grzędy nad biurkiem dobiegło częściowo rozbawione, częściowo rozzłoszczone bleeknięcie Ariela.

- Dziękuję, Martinie - odparła niewzruszenie spokojnym głosem. - Wprowadź ją, proszę.

- Oczywiście. - Służący skłonił się i wyszedł.

Elżbieta zaś ponownie spojrzała na nagranie solarnych wiadomości będące powodem jej parszywego humoru i zgrzytnęła zębami. Bezczelność Mesy była niewiarygodna, a liczba ofiar znikoma w stosunku do liczby niewolników zabitych przez stulecia przez Manpower. Nawet zniszczenie całej Mesy ze wszystkimi mieszkańcami nie wyrównałoby rachunków, ale mimo wszystko detonacja ładunku nuklearnego w parku wstrząsnęła nią.

Zdawała sobie sprawę, że takie podejście jest równie irracjonalne jak chęć uduszenia służącego, bo istniały bronie o równie wielkiej sile, a atomowych używano przeciwko różnym cywilnym celom w ostatnich wiekach wielokrotnie, była to odruchowa reakcja większości ludzi na wzmiankę o pierwszej broni masowego rażenia w dziejach. No i oznaczało to eskalację przemocy, jakiej Balet dotąd starannie unikał. O ile naturalnie Balet był za to odpowiedzialny, tyle że nie bardzo wiedziała, kto inny mógłby być...

Prędzej co prawda uwierzyłaby w uczciwość Michaela Janviera niż w cokolwiek ogłoszonego przez Mesę, ale tym razem po prostu nie widziała alternatywnego sprawcy, a zresztą to było mało ważne, bo nie ona była celem. Informacje i wyjaśnienia adresowane były do solarnej opinii publicznej, a ta nie takie głupoty i nielogiczności przyjmowała bezkrytycznie.

Dlatego na pewno nie zwróci uwagi na taki drobiazg, że zamach odbył się pięć dni przed atakiem na Torch przeprowadzonym przez najemników najętych przez Mesę, co było



oczywiste dla każdego o ilorazie inteligencji większym od numeru buta. Co dokładnie zaszło w systemie Torch, nadal nie było wiadomo, bo władze Torch, Erewhonu i sektora Maya były dziwnie małomówne w tej kwestii, napastnikami byli z pewnością funkcjonariusze UB zebrani przez Manpower po wojnie domowej zakończonej likwidacją Ludowej Republiki Haven. Natomiast z informacji wywiadu floty wynikało, że siły Roszaka poniosły znacznie większe straty, niż oficjalnie podano, i że napastnicy dysponowali znacznie większą liczbą okrętów, niż ktokolwiek się spodziewał. To, czy był to efekt niekompetencji, czy niemożności przewidzenia, pozostawało w gestii admirała Givens, bo po bitwie o Monicę wywiad powinien wiedzieć, że Mesa, czy ktokolwiek to zorganizował, miała dostęp do znacznie większych zasobów uzbrojenia, niż wcześniej sądzono. Z drugiej strony trudno było przypuszczać, że do ataku na właściwie bezbronny system przeznaczy przemysłową liczbę solarnych krążowników liniowych i na dodatek odda je śmieciom z góry spisanych na straty. Na podstawie liczby zaginionych okrętów UB, a określono ją ze sporą dokładnością, uznano, że skala zagrożenia Torch jest nieporównanie mniejsza, toteż Admiralicja założyła, że Roszak da sobie radę z łatwością.

Okazało się jednak, że ledwie mu się to udało.

Przy okazji wyszło też na jaw, że on i Barregos zdecydowanie nie są typowymi przedstawicielami Ligi Solarnej, toteż Pat i Hamish mogą mieć rację, uważając, że niedługo już nimi pozostaną. Ochota zaś, z jaką Torch i Erewhon pomagały ukryć prawdę o liczbie walczących okrętów i stratach Roszaka, sugerowała rozmaite a interesujące możliwości wzajemnych stosunków w sektorze Maya. Gotowa też była założyć się o dużą kwotę, że ten nadęty dupek Kołokolcow nie miał pojęcia, co mu się szykuje pod bokiem...

To wszystko nie miało jednakże wielkiego znaczenia w kampanii propagandowej Mesy, która bitwę o Torch wplotła w oficjalną wersję wydarzeń. Schemat był prosty: Królestwo Torch ogłosiło wojnę z systemem Mesa. Populacja tegoż Królestwa składała się z byłych niewolników, władze zaś z członków Baletu uznawanego za najgroźniejszą organizację terrorystyczną w galaktyce. Najwyraźniej dowiedziały się one o planowanym ataku, bo poprosiły o pomoc Ligę Solarną zgodnie z traktatem o wzajemnej pomocy (w rzeczywistości nie poprosiły, ale o tym nikt poza zainteresowanymi i wywiadem RMN nie wiedział). A w ramach rewanżu zaproponowały detonację ładunku nuklearnego na Mesie, bo tak naprawdę cały czas popierały działalność i metody stosowane przez Balet. Tyle że teraz był to już terroryzm na szczeblu rządowym, a więc znacznie groźniejszy niż dotąd. A oczywistym dowodem była masakra towarzysząca powstaniu tychże władz Królestwa Torch.

Było to zgrabne - musiała przyznać. I ładnie tłumaczyło, dlaczego Balet przekroczył

dotąd pilnie przestrzegana granicę i przeprowadził nie tylko klasyczny atak terrorystyczny, ale na dokładkę z użyciem broni nuklearnej. To, że przy okazji ukatrupił ponoć tysiące niewolników i dwójkarzy, że wybrał bezsensowny cel, mając do wyboru znacznie atrakcyjniejsze, jak choćby centrum handlowe w godzinach szczytu, było bez znaczenia. Każdy przeciętny, bezpieczny i świętoszkowaty półgłówek w Lidze wiedział, że Balet to terroryści, a terroryści nie kierują się logiką i najhardziej ze wszystkiego uwielbiają mordować cywilów. A szczególnie dzieci.

Inne wyjaśnienia po prostu nie istniały.

Stwierdziła, że zgrzyta zębami, a że ją to drażniło, opanowała się. Dosłownie w ostatniej chwili, bo zaraz otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła Cathy.

- Pani Montaigne, Wasza Wysokość - oznajmił Martin.

- Dziękuję, Martinie - powtórzyła Elżbieta i wstała.

Cathy niewiele się zmieniła, przynajmniej fizycznie, przez te lata przymusowej izolacji, gdy ich bliskie kontakty uległy przerwaniu z racji jej niewzruszonych zasad. Mimo ich upływu i jawnego związku Cathy z Baletem Elżbieta nadal uważała ją za przyjaciółkę. Tyle że to ostatnie uniemożliwiało Królowej Elżbiecie III oficjalne odnowienie przyjaźni. Fakt zrzeczenia się przez Cathy tytułu i objęcie przywództwa nad pozostałościami Partii Liberalnej też nie ułatwiały sprawy, ale z tym dałaby sobie radę.

- Cathy - powitała ją, wyciągając rękę nad biurkiem.

- Wasza Wysokość - odparła Cathy, ściskając jej dłoń.

Elżbieta uśmiechnęła się w duchu - Cathy najwyraźniej starała się dobrze zachowywać, a sposób powitania wskazywał, że jest świadoma zarówno powodów zaproszenia, jak i trudnej sytuacji, w jakiej się obie znalazły. Nie było w tym nic dziwnego, bo choć brak jej było hamulca awaryjnego, jak ktoś to kiedyś określił, to nie sposób było jej zarzucić braku inteligencji, choć czerpała perwersyjną przyjemność z udawania, że jest inaczej.

- Żałuję, że cię zaprosiłam w takich okolicznościach - powiedziała, siadając. - Ale jak się zapewne domyśliłaś, nie bardzo miałam wybór.

- Ja też żałuję, a co do wyboru, jestem oblegana przez pismaków najrozmaitszego autoramentu od chwili, gdy ta wiadomość do nas trafiła.

- Pewnie, że jesteś. I na pewno będzie gorzej, nim się to wszystko uspokoi. A to może potrwać. A przechodząc do rzeczy, co wiesz o tym wszystkim?

- Chodzi ci o Green Pines?

- A o co może mi chodzić, do cholery?

- Tak właśnie sobie myślałam. - Cathy pokiwała głową, po czym odparta spokojnie: - W tej chwili wiesz, jak sędzę, więcej o tym, co się stało, niż ja.

- Pieprzysz - prychnęła gospodyni. - Według Mesy to sprawka Baletu i niejakiego Zilwickiego Antona. A jego, zdaje się, znasz o wiele lepiej niż ja?

- Znam - przyznała ostro Montaigne, po czym dodała spokojniej: - I z tego co wiem, to nie miał z tym wybuchem nic wspólnego. Nie patrz na mnie, jakby mi rogi wyrosły, Beth! To prawda!

- I zaraz mi powiesz, że z tego co wiesz, Balet też nie ma z tym nic wspólnego.

- Nie wiem, ale wątpię. Natomiast obiektywna prawda jest taka, że nie wiem.

- A potrafiłabyś wskazać innego winnego? Kogoś, kto nienawidzi Mesy na tyle, by zorganizować serię wybuchów nuklearnych na przedmieściach jej stolicy?

- Osobiście uważam, że pomysł powinien się spodobać wszystkim myślącym ludziom, którzy kiedykolwiek mieli do czynienia z tą bandą zboczonych skurwysynów - odparła spokojnie Cathy. - Ale konkretnie podchodząc do twojego pytania, przyznam, że nie. Najbardziej prawdopodobnym sprawcą jest Balet albo jakiś współpracujący z nim dwójkarz. Poza tym nie wiem nic. Mogę ci tylko powiedzieć, że w czasie ostatniego mojego pobytu na Torch nikt nawet nie zasugerował ataku na Mesę. Jakiegokolwiek ataku. I jestem pewna, że Antonowi coś podobnego nawet przez myśl nie przeszło.

- A niby dlaczego twój przyjaciel, znany pacyfista i filantrop Jeremy X, miałby ci powiedzieć cokolwiek, gdyby tę operację planował?

- Pewnie by nie powiedział, bo moja niewiedza już się parokrotnie przydała - przyznała zapytana. - Z drugiej strony zdarzało mi się też kłamać, znając prawdę, jeśli tak było lepiej dla Baletu. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Nie moja, tylko jego. Razem z Du Havlem stworzyli dom dla genetycznych niewolników, musiały więc być durniem lub wariatem, by zrobić coś, co potwierdzałoby najgorsze oskarżenia ze strony Mesy. A nie jest ani głupi, ani szurnięty, zapewniam. Jestem też przekonana, że gdyby wiedział o podobnym planie, powstrzymałby jego realizację właśnie z tego powodu. A gdyby nie był w stanie, porozmawiałby ze mną, zdając sobie sprawę z propagandowego wydźwięku takiego zdarzenia i próbując temu przeciwdziałać.

- Wiem, że Balet nigdy nie był monolitem, za jaki uważają go ludzie z zewnątrz - odezwała się po chwili Elżbieta. - Ani jak udaje Jeremy. Pełno w nim odłamów, grup i nikt nie wie, kiedy jakiś charyzmatyczny przywódca mniejszego kalibru podejmie jakąś krucjatę. Chodzi o to, że ktoś te ładunki odpalił, a oczywistym sprawcą jest Balet.

- Teoretycznie tak, jeśli zignoruje się fakt, że Balet nigdy nie podkładał bomb

zabijających przypadkowych cywilów. Jeśli używał ładunków wybuchowych, to do likwidacji konkretnego pracownika Manpower, przeważnie z obstawą. Czasami cierpieli na tym przechodnie, ale nigdy nie był to terror dla terroru tak jak w tym wypadku. Druga ewentualność, której nie bierzesz pod uwagę, jest taka, że to sprawka samej Mesy dla celów propagandowych lub wykorzystanie w tym celu wypadku. Przyznaję, to mało prawdopodobne, ale są do tego zdolni i należy o tym pamiętać. Masz natomiast rację co do wewnętrznej niespójności Baletu, ba, powiem ci więcej: część z tych, którzy wcześniej akceptowali przywództwo Jeremy'ego, po utworzeniu Torch i oficjalnej rezygnacji z dotychczasowych metod uznała, że zdradził sprawę i sprzedał się za władzę. Żaden z nich na pewno nie poinformowałby go, co planuje.

- Ani nie poprosił o pomoc?

- Nie dostałby jej. W tej sprawie Jeremy jest nieugięty, bo wie, jaka byłaby cena, gdyby to się wydało. Nie mówię, że nie wysłał czy nie wysłał żadnego agenta, by zlikwidował szczególnie dokuczliwego wroga, ale na pewno nie wspomógł żadnej dużej akcji, bo konsekwencje dla Torch mogłyby się okazać opłakane.

Elżbieta pokiwała głową, bo to, co usłyszała, potwierdzało jej własne przemyślenia i analizy dostarczone przez Pat Givens.

- Dobra, skończmy z ogólnikami. Skąd wiesz, że Anton nie miał z tym nic wspólnego? - spytała.

- Bo... bo nie sądzę, żeby przypadkiem powiązali go z tą sprawą - powiedziała niespodziewanie Cathy nieco łamiącym się głosem, po czym dodała szybko i spokojniej: - Wiem, że z racji jego związku ze mną mogą w ten sposób uderzyć w partię, a pośrednio i w całe Królestwo, ale skutek byłby bardzo wątpliwy, a powiązania jak dla przeciętnego mieszkańca Ligi Solarnej za bardzo naciągane. Obawiam się, że nie przyszedł im do głowy tak przypadkiem... Mogę ci tylko dać słowo, że nigdy by czegoś podobnego nie zrobił. I możesz o to spytać każdego, kto go znał czy zna. Potwierdzi. Ale prawda jest taka, że był na Mesie, i obawiam się, że władze się o tym dowiedziały. Dlatego zdecydowały się wplątać go w to wszystko, nie ograniczając się do oskarżenia Baletu i Torch. A...

I tu zabrakło jej tchu.

- A ty sądzisz, że został złapany - dodała łagodnie Elżbieta.

- Nie - zaprzeczyła Cathy. - Choć od prawie pół roku z nim nie rozmawiałam. Wiem, że udali się na Mesę, bo nie zrobił tego sam. I wiem, że tam dotarli, bo pod koniec sierpnia przyszło potwierdzenie. A od tego czasu nic, ani słowa.

- A po jaką cholere, że tak łagodnie spytam, on tam poleciał?

Montaigne przyjrzała się jej z namysłem, po czym wzięła głęboki oddech i wypaliła:

- Jak chwila prawdy, to chwila prawdy. Sześć miesięcy temu nie dało się nawet z tobą porozmawiać na temat tego, że to nie Republika była sprawcą zamachów na Webstera i Torch. Przyznasz, że tak było?

Zapytana niechętnie skinęła głową:

- Prawdę mówiąc, nadal uważam, że to ich sprawka, ale zostałam zmuszona do przyznania, że uprzedzenia mogą wypaczyć moją ocenę. Przynajmniej jeśli chodzi o Pritchard. I że może to być robota kogoś innego, nie Republiki.

- Chwała ci, Panie! - westchnęła Cathy. - Wiem, jak trudno ci to przyszło. Na szczęście dało się ciebie przekonać i możemy teraz porozmawiać szczerze. Pół roku temu władze Torch i Baletu wiedziały, że Republika nie miała nic wspólnego z zamachem na Torch. Znaczyło to, że ktoś inny jest najprawdopodobniej także sprawcą zamachu na Webstera. To, co wiedziano, dość jednoznacznie wskazywało na Mesę. Fakt, podobnie jak twoje uprzedzenia wykrzywiają twoją ocenę Republiki, tak nasze ocenę Mesy. Ale koronnych dowodów dostarczyli Ruth i Anton, a więc osoby mające obiektywne spojrzenie na sprawę. Przyznaję, że to dowody pośrednie, ale jednoznaczne. Należy zacząć od tego, że wiedzieliśmy, i nie były to podejrzenia, ale stuprocentowa pewność, że Republika nie miała nic wspólnego z zamachem na Torch. A potem Anton i Ruth zajęli się Manpower w związku z bitwą o Monicę. I niezależnie od siebie doszli do wniosku, że tak nie mogłaby działać żadna korporacja. Nawet największa i ignorująca wszelkie przepisy prawne. Tak postępować mogło jedynie niezależne państwo, bo ono nie kieruje się względami finansowymi, lecz innymi.

Elżbieta zmarszczyła brwi - to samo pisała Mike Henke po drugiej bitwie o New Tuscany. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale analitycy tak wywiadu floty, jak i SIS potwierdzili jej podejrzenia, co prawda na razie wstępnie, ale bez zastrzeżeń. Tyle że nikt nie był w stanie powiedzieć, co to może oznaczać i czego można się spodziewać.

- Przy założeniu, że to Mesa, bo w sumie między Manpower a Mesą nie ma różnicy, wbrew temu, co dotąd sądziliśmy, wszystko zaczyna pasować. Tyle że dopiero odkrywamy, jakie mogą być cele i zakres jej działań. Na pewno jest zainteresowana Gromadą Talbott i Torch. A Torch znajduje się w szczególnym położeniu, bo jest półoficjalnym sojusznikiem nas, Republiki, Erewhonu i Ligi Solarnej, a przynajmniej sektora Maya. Dlatego Anton i... Jeremy postanowili sprawdzić, czego da się dowiedzieć na miejscu. Nie opracowali szczegółowego planu działań, chodziło o typowe rozwiązanie, nawiązanie kontaktów i sprawdzenie paru tropów związanych z zamachami. Sądzę, że o stworzenie siatki wywiadowczej, a głównie o znalezienie dowodów, że to Mesa zorganizowała te zamachy.

Elżbieta uśmiechnęła się lekko - Cathy wykazała się niezwykłym jak na siebie taktem, bo nie powiedziała, że chodziło o dowód, który byłby w stanie przekonać takiego muła pancernego jak jej przyjaciółka Elżbieta, zbyt upartego, by choć dopuścić możliwość, że to nie Republika Haven jest winna.

- I mieli działać bez żadnego kontaktu z komórkami Baletu - dodała Cathy. - Mamy bowiem poważne podejrzenia, że wszystkie zostały zmanipulowane przez kontrwywiad Mesy. Dlatego jestem pewna, że Anton nie miał nic wspólnego z Green Pines, jeśli była to akcja Baletu, w co też poważnie wątpię. Poza tym mieli się nie rzucać w oczy i nie ryzykować, bo informacje, których szukali, były o wiele ważniejsze od jakichkolwiek ataków.

Elżbieta przekrzywiła głowę i spytała uprzejmie:

- Nie byłoby ci łatwiej nie gryźć się co chwilę w język, tylko mówić Anton i Cachat?

Widząc minę Montaigne, zachichotała z satysfakcją i dodała:

- Wiesz, raporty o tym, jak powstało Torch, czytałam raczej uważnie, a kolejne od Ruth jeszcze uważniej. Stara się pisać taktownie, ale jest oczywiste, że Victor Cachat jest ważną postacią na Torch i częstym gościem, a co więcej, wygląda na to, że zaprzyjaźnili się z Zilwickim. Skoro jesteście tacy pewni, że to nie mogła być Republika Haven, tę pewność mogliście uzyskać tylko dzięki niemu.

- To rzeczywiście ułatwia mi mówienie. - Cathy doszła już do siebie. - A nie chciałam o nim wspominać, żebyś się nie uprzedziła do wszystkiego, co powiem...

- Jestem dobra w nienawiści - przyznała Elżbieta. - Ale wbrew przekonaniom krążącym w pewnych kręgach nie zwariowałam i nie mam manii prześladowczej. Nie jestem zachwycona nagłą miłością między byłym oficerem mojego wywiadu a ważnym oficerem wywiadu wrogiego państwa, ale wiem, że czasami współpracuje się z dziwnymi partnerami. Dotyczy to polityki, dlaczego więc nie wojny. Ktoś mi to nie tak dawno uświadomił, i to naprawdę przekonująco.

- Doprawdy? - zdziwiła się Montaigne. - Chyba się domyślam, kto to mógł być... Nieważne. Tak jak się domyślałaś, od Victora wiedzieliśmy, że za zamachami nie stoi Republika Haven. I masz rację, że się z Antonem polubili i współpracują. Doskonale się zresztą uzupełniają: Victor jest genialny w improwizacji, Anton zaś ma niezwykle metodyczne podejście do każdego problemu. Jeśli ktoś ma szansę czegoś się dowiedzieć, to właśnie oni.

- Ale od pięciu miesięcy nie miałaś od nich żadnej informacji - przypomniała Elżbieta.

- Nie miałam. Nikt nie miał. Ani od nich, ani od ekipy, która miała ich wywieźć, ani od Zwiadu Biologicznego.

- Proszę! To Beowulf też jest w to zamieszany?! Słuchaj no, czy jest w tej galaktyce ktoś, kto nie spiskowałby za moimi plecami dla mojego własnego dobra?

- No cóż... jeśli doliczyć pewną pomoc techniczną ze strony Erewhonu, to chyba powiedziałam ci już o wszystkich.

- Chyba?

- Przecież nie mogę mieć absolutnej pewności, bo to w sumie wielopaństwowe przedsięwzięcie, nieprawdaż?

- Aha! A nie wydaje ci się, że jest coś z prawdy w starym przysłowiu „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”?

- Może i jest, ale biorąc pod uwagę metody działania Antona i Victora, to mało prawdopodobne, by ktokolwiek poza nimi wiedział na tyle dużo, by mogło to zaszkodzić operacji. Ale z drugiej strony coś poszło nie tak, bo inaczej Mesa nie zrobiłaby z niego głównego winnego. Nie wiemy tylko, co poszło nie tak i na ile to poważne, ale...

- Ale tak długie milczenie sugeruje, że raczej poważne.

- Właśnie. Natomiast jestem pewna, że go nie złapali, bo wtedy pokazaliby albo jego naćpanego po czubki włosów i przyznającego się do winy, albo jego ciało ze wszystkimi szczegółami umożliwiającymi identyfikację. Nie wspomnieli też słowem o Victorze czy o Beowulfie, co sugeruje, że o nich nie wiedzą. Fakt, mogli go po prostu „zniknąć” i zostawić drugą stronę w niepewności, bo to też dobra metoda, albo uznać, że intryga z udziałem nas, Beowulfa i Republiki Haven to za dużo nawet jak dla bezkrytycznej opinii publicznej Ligi Solarnej. Ale gdyby mogli udowodnić, że Anton był wtedy na Mesie, zrobiliby to dla uwiarygodnienia swojej wersji. Skoro tego nie zrobili...

- To dlatego, że nie mogli - dokończyła Elżbieta.

- Właśnie - przyznała Cathy i prychnęła.

- Co ci?

- Właśnie mi się przypomniało, że zawsze kończyłaś za mnie zdania.

- Nie miałam wyjścia. Inaczej nikt by nie zrozumiał, co chciałaś zakomunikować światu.

- Może. W każdym razie sytuacja jest taka: Anton był na Mesie, gdy nastąpiły te wybuchy, ale Mesa nie może tego udowodnić. A więc albo jest w drodze powrotnej, tylko nastąpiła jakaś awaria, albo...

Tym razem Elżbieta, zamiast dokończyć, powiedziała cicho:

- Rozumiem...

A potem zamyśliła się głęboko, kołysząc wraz z fotelem.

- Rozumiem - powtórzyła po długiej chwili, siadając prosto. - Niestety to, co mi powiedziałaś, nie na wiele się przyda, bo nie umożliwi udowodnienia, że Anton, a więc Torch i my nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Ale obawiam się, że dla ciebie oznacza to jeszcze większą nagonkę niż dotąd.

- Wiem. Twoje oficjalne stanowisko będzie takie, że nie mieliście z tym nic wspólnego, Anton od lat nie jest oficerem wywiadu, a od czasu związania się ze mną ma własne kontakty z abolicjonistami i prawdopodobnie także z Baletem. Natomiast ani ty, ani rząd nie jesteście w stanie odpowiadać ani komentować poczynań osoby prywatnej, pełnoletniej i poczytalnej.

- Tego ostatniego może nie będę specjalnie podkreślać - skomentowała Elżbieta - ale w ogólnych zarysach tak to będzie brzmiało. Na pytania o wasz związek mogę tylko odpowiedzieć „bez komentarza”.

- I dlatego cała ta banda będzie próbowała coś ze mnie wycisnąć. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Muszę się dobrze przygotować, to przy okazji będę w stanie przemycić co nieco w odpowiedziach. Ci durnie zawsze dają się na to nabrać.

- Przygotuj się na jeszcze coś - uprzedziła Elżbieta. - To może się odbić na twojej pozycji w partii. Ktoś może skorzystać z okazji, żeby cię wykopać z przywództwa. I na pozycji samej partii.

- Wykopanie łatwo mu nie przyjdzie, a co do pozycji partii na scenie politycznej... zobaczymy. - Błysk w oczach towarzyszący temu filozoficznemu stwierdzeniu sugerował, że także nie będzie to łatwa sprawa, a na pewno miłe zajęcie wypełniające czas i odwracające uwagę od czarnych myśli dla Cathy.

- Przykro mi - powiedziała szczerze Elżbieta. - Jak wiesz, nigdy nie pochwalałam metod Baletu, choć rozumiem, dlaczego je stosuje. Zamach jakoś tak od zawsze źle mi się kojarzy. Nie jestem hipokrytką i nie potępiam ich za to, co robią, bo to jedyne, co mogli robić. I wiesz, że prywatnie nigdy ich za terrorystów nie uważałam. Zawsze podziwiałam tych, którzy mieli odwagę w ten sposób zmierzyć się z Manpower, a ciebie za to, że odważyłaś się oficjalnie i otwarcie ich wspierać, mając gdzieś opinię reszty wszechświata. Powinnam ci to wcześniej powiedzieć, mój błąd. Ale chyba lepiej późno niż wcale.

- To... wiele dla mnie znaczy, Beth - przyznała cicho Montaigne. - Choć wiem, że nie będzie miało wpływu na nasze oficjalne stosunki. Ale dla mnie to naprawdę wiele znaczy.

- To dobrze. - Elżbieta uśmiechnęła się. - A czy teraz Królowa może cię poprosić o uprzejmość?

- Jaka? - spytała podejrzliwie Montaigne.



Elżbieta zachichotała złośliwie.

- Aż tak wredna nie jestem, żeby cię najpierw pochwalić, a potem przyłożyć ci zniecka. Chodzi mi o to, że informacja o Green Pines za jakieś półtora tygodnia dotrze do Haven i wolę nie myśleć, jakie to może mieć konsekwencje dla prowadzonych przez Honor negocjacji. Naturalnie wywoła reperkusje we wszystkich państwach Sojuszu, ale tym razem kwestia negocjacji została z nimi uzgodniona, nie sądzę więc, by były duże. Trudno natomiast przewidzieć reakcję Republiki Haven, byłabym ci więc głęboko wdzięczna, gdybyś to, co mi powiedziałaś, albo tyle, ile uznasz, że możesz jej powiedzieć, napisała czy nagrała i jak najszybciej wysłała Honor. Kuriera zapewnię, chodzi o wiadomość.

- Chcesz, żebym powiedziała jej, że Anton był na Mesie? - spytała Cathy nieco dziwnym tonem.

Elżbieta spojrzała na nią zaskoczona, ale nie skomentowała.

- Chodzi mi o to, żeby miała pełen obraz sytuacji - wyjaśniła. - Przecież się znacie, prawda?

- Całkiem nieźle.

- Więc nie muszę ci mówić, jakie ma poczucie honoru. Jej rodzice mieli napad prekognicji albo czegoś, że jej dali takie imię! Oczywiście jest, że bez twojej zgody niczego nie ujawni.

- Skoro jesteś taka pewna, mnie to wystarczy - odparła tym samym tonem Montaigne.

- Napiszę, co chcesz. I jestem przekonana, że Honor nikomu o tym słowa nie piśnie.

## ROZDZIAŁ XV

- Wyjdziemy z nadprzestrzeni za dwie godziny, sir.

- Dziękuję, Simon - odparł komandor porucznik Lewis Denton, mimo że doskonale o tym wiedział.

Niemniej jednak oficer astronawigacyjny miał obowiązek go o tym zawiadomić na wszelki wypadek, więc należało zachować się normalnie, co też zrobił.

I uśmiechnął się w duchu, spoglądając na zajmującego fotel asystenta oficera taktycznego Gregora O'Shaughnessy'ego. Usiłował udawać spokój i nonszalancję, ale nie bardzo mu wychodziło. Czemu trudno się było dziwić - w przeciwieństwie do reszty załogi był w obcym środowisku. A sytuacja do komfortowych nie należała.

Siedemdziesiąt cztery dni standardowe temu HMS *Reprise* opuścił system Spindle, kierując się do systemu Meyers, gdzie mieścił się sztab Biura Bezpieczeństwa Granicznego sektora Madras. Dla załogi co prawda minęły 53 dni, bo cały czas lecieli z prędkością 70% szybkości światła, ale podróż i tak była długa i wywołująca napięcia.

\* \* \*

- Jeszcze kawy, ma'am?

Mike Henke kiwnęła głową. Billingsley dolał jej kawy do filiżanki, rozejrzał się i powtórzył ten zabieg z filiżanką Michaela Oversteegen. A potem wycofał się. Mike rozejrzała się po siedzących przy stole we flagowej sali odpraw i zapytała:

- Co mówiłeś, Michael?

- Mówiłem, że zastosowanie przeciwko mnie *Apolla* było lekką przesadą, milady - odparł z lekkim uśmiechem i błyskiem rozbawienia w oczach.

Niewielu oficerów tak potraktowanych przez dowódcę na ćwiczeniach potrafiłoby zachować do tego dystans. Na szczęście on miał poczucie humoru.

- Prawdę mówiąc, też tak uważam - przyznała. - I nie zrobiłam tego tylko dlatego, że jestem wredna. To znaczy zrobiłam to, bo jestem wredna, ale miałam też inne powody.

Wokół stołu rozległy się stłumione śmiechy.

- Tak podejrzewałem - przyznał smętnie Oversteegen.

- Głównie chodziło mi o to, by zobaczyć, jak zareaguje w takiej sytuacji prawdziwy człowiek z krwi i kości, nie symulacja komputerowa. Dlatego postarałam się to tak właśnie

zorganizować, by stanowiło to dla niego kompletne zaskoczenie.

- I to się udało - ocenił. - A czy zwierzę doświadczalne może się dowiedzieć, jak się spisało?

- Nie najgorzej jak na kogoś, kto stracił osiemdziesiąt pięć procent okrętów - zapewniła go.

Tym razem śmiech był głośniejszy.

- Prawdę mówiąc, sir, największe wrażenie wywarło na mnie to, że zdołał pan zniszczyć trzy superdreadnoughty napastników - wtrącił sir Aivars Terekhov.

Większość obecnych zgodziła się z nim.

- Czytałem pański raport z bitwy o Monicę, komodorze Terekhov, i byłem pod wrażeniem pomysłowości pełniącej obowiązki oficera taktycznego. Uznałem, że skoro pan użył *Ghost Ridera*, by kierować raketami *Mark 16*, to nie ma powodu, dla którego nie miałbym zrobić tego samego z raketami *Mark 23*. To nie to samo co *Apollo*, ale o wiele więcej niż nic.

- Zgadza się - przyznała Mike. - A zmieniając temat, kurier, który przybył dziś rano, oprócz nowin z domu i pośrednio z Ziemi przywiózł dwie informacje, które sądzę, że mogą was zainteresować. Pierwsza jest taka, że za jakieś trzy tygodnie powinniśmy doczekać się pierwszej eskadry wyposażonych w *Apollo* jednostek klasy *Imperator*, a w związku z pewnym błędem w rozkazach tydzień wcześniej okrętów amunicyjnych, które miały im towarzyszyć.

Ulgę obecnych dało się wręcz odczuć.

- Okręty amunicyjne powinny tu dotrzeć dwa tygodnie po eskadrze, ale ta, którą mieliśmy dostać, przez pomyłkę wylądowała gdzie indziej, musimy więc poczekać, nim nowa zakończy zgrywanie - wyjaśniła Henke.

Komodor Shulamit Onasis dowodząca 2. Dywizjonem 106. Eskadry Krążowników Liniowych zmarszczyła brwi i spytała:

- Ja znam tę minę treecata na grządce selera, ma'am. Jaka jest druga wiadomość?

- Wygląda na to, że tym razem pismacy zaspali - odparła Mike, kątem oka obserwując kapitana dowodzącego 1. Dywizjonem 96. Eskadry Ciężkich Krążowników. - Powodem, dla którego przewidziana dla nas eskadra tu nie trafiła, jest to, że księżna Harrington i Ósma Flota już nie znajdują się tam, gdzie dotąd, a w systemie Haven.

W sali zapadła cisza, a oficer, którego obserwowała, zeszywniał.

- Celem nie jest atak na stacjonujące tam okręty - dodała, uśmiechając się z zadowoleniem. - O ile coś nie poszło bardzo źle, to trzy tygodnie temu księżna dostarczyła

prezydent Pritchard osobistą wiadomość od Królowej. Najwyraźniej nasze odkrycia w New Tuscany spowodowały przemyślenie kwestii, kto może być sprawcą zamachów na admirała Webstera i na Torch. To oraz pogarszające się stosunki z Ligą Solarną skłoniło Królową do próby negocjacji pokojowych z Republiką Haven, a na negocjatora wybrała księżną.

- O kurde! - westchnął dowodzący 1. Dywizjonem 96. Eskadry Ciężkich Krażowników kapitan z listy Prescott David Tremaine. - Miała pani rację, mówiąc, że to nas zainteresuje, ma'am.

- Tak mi się wydawało, Scotty - przyznała Henke z uśmiechem. - I przyznam, że obserwowanie twojej miny, gdy to mówiłam, było warte zachodu.

Teraz salwa śmiechu była naprawdę donośna.

Wszyscy wiedzieli, że Scotty był protegowanym Honor od czasu bitwy o Basilisk, gdy spotkali się na starym HMS *Fearless*. Henke ciekawiło, czy był równie zaskoczony jak ona, gdy odkryła, że Admiralicja nie tylko przeniosła go z grona pilotów kutrów raketowych po bitwie o Manticore, ale dała mu awans i dowództwo nie pojedynczego okrętu, lecz dywizjonu. Było to logiczne posunięcie, bo nawet we flocie tak gwałtownie uzupełniającej braki jak RMN oficer flagowy musi mieć doświadczenie w dowodzeniu normalnymi okrętami, a Scotty, odliczając epizod w czasie ucieczki z systemu Cerberus, takowego nie miał wcale. Najwyraźniej Lucien Cortez postanowił naprawić to niedopatrzenie i dał mu dywizjon krażowników klasy *Saganami-C*, pomijając przy tej okazji sporo kapitanów czy nawet komodorów, którym się to dowództwo należało z tytułu starszeństwa.

I postąpił bardzo słusznie, bo okrętem flagowym dywizjonu był HMS *Alistair McKeon*.

- Mam nadzieję, że moja reakcja rzeczywiście była tego warta, ma'am - uśmiechnął się Scotty.

- Można tak powiedzieć... jeśli ktoś lubi widok twarzy tęskniącej za intelektem - zgodziła się złośliwie Mike. - Choć muszę przyznać, że sama wyglądałam podobnie, gdy przeczytałam tę wiadomość. I sądzę, że nie tylko ja.

- Amen - mruknęła kontradmirał Nathalie Manning dowodząca 2. Dywizjonem 108. Eskadry Krażowników Liniowych.

Miała wąską twarz, brązowe oczy i krótko obcięte włosy. Z uwagi na fryzurę i wzrost przypominała Henke młodsze wydanie Honor. Z zachowania zresztą pod wieloma względami też. Teraz uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

- Po paru ostatnich miesiącach jakoś tak robię się niespokojna, gdy słyszę zbyt dużo dobrych wiadomości, ma'am.

- Wiem, o co ci chodzi - przyznała Henke. - I też wolę nieco pesymizmu od nadmiaru optymizmu, ale może tym razem reguła się nie sprawdzi.

\* \* \*

Reguła się sprawdziła, i to szybciej, niż Michelle Henke mogłaby sobie tego życzyć, bo 37 godzin później, co uświadomiła sobie w tej samej admiralskiej sali odpraw. Tyle że tym razem obecnych było mniej osób: poza nią, Oversteegen, Terekhov, Cynthia Lecter, komandor Tom Pope, szef sztabu Terekhova, i komandor Martin Culpepper, szef sztabu Oversteegen. Panował też znacznie mniej radosny nastrój, po części dlatego, że wieści z Manticore przerwały wszystkim poobiednią kawę i brandy.

- Mam naprawdę serdecznie dość niespodzianek - oznajmiła Henke.

- Tym bardziej że robią się monotematyczne - dodał Oversteegen.

Henke nie uwierzyłaby w informację, że woda jest mokra, gdyby pochodziła ona z Mesy, ale zdawała sobie sprawę, że jej podejście podziela w Lidze Solarnej niewiele osób. Reszta zaś uwierzy w stek bzdur dotyczących wybuchów nuklearnych będących „zaplanowaną zbrodnią Baletu i znanego szpiega Królestwa Manticore”. Wynikało to jasno z tonu, w jakim padały pytania ze strony solarnych dziennikarzy po tym, jak wiadomość 14 godzin temu dotarła do systemu Spindle. Do oficera prasowego 10. Floty już nadeszły dziesiątki próśb, a nawet żądań wywiadu z admirał Gold Peak, jakby mogła ona wiedzieć cokolwiek więcej niż oni.

Mike często zastanawiała się, czy aby zostać dziennikarzem, zwłaszcza solarnym, niezbędna była lobotomia, i coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że tak. Można było zrozumieć, że chcą uzyskać jakieś stanowisko przedstawicieli Królestwa Manticore, a z braku dostępu do obleżonych damy Estelle i Alquezara padło na nią, ale z takim samym skutkiem mogliby pytać o to Marines pilnujących pani gubernator, bo wiedzieli tyle samo co dowódca 10. Floty.

A całość od początku do końca była kłamstwem oczywistym dla każdego, kto poznał Antona Zilwickiego. Ona sama znała go dobrze i od lat, bo jeszcze z czasów, gdy żyła Helen, a oboje byli oficerami Royal Manticoran Navy. Antonowi nie brakowało bezwzględności - mógłby zabić dowolną liczbę ludzi, gdyby uznał to za niezbędne, ale nigdy nie zorganizowałby klasycznego ataku terrorystycznego. Więc albo pod tym parkiem znajdował się jakiś ważny militarny albo badawczy cel, park zaś stanowił tylko parawan, albo Zilwicki nie miał nic wspólnego z tym wybuchem. Zresztą gdyby nawet padł ofiarą moralnej gangreny w ciągu tych kilku ostatnich lat, gdy go nie widziała, był oficerem wywiadu zbyt

inteligentnym, by nie wiedzieć, jak opłakane skutki miałyby coś takiego dla Królestwa Torch.

Problem polegał na tym, że bardzo niewielka część ludzkości znała Antona Zilwickiego...

Ta wiadomość miała zresztą dla niej jako dowódcy 10. Floty niewielkie znaczenie, w przeciwieństwie do drugiej, która przerwała poobiednią pogawędkę. Nadeszła w trzynastcie godzin i dwadzieścia minut po pierwszej.

- Wygląda na to, że byliśmy przesadnymi optymistami - oceniła. - Anisimowna mówiła o sześćdziesięciu okrętach liniowych, tak twierdzili ci z New Tuscany.

- No cóż, już wcześniej wiedzieliśmy, że nie jest najbardziej wiarygodną osobą w okolicy - zauważył Terekhov.

- Fakt, ale nie podejrzewałam, że zelga, zaniżając siły Crandall. Z reguły w takich sytuacjach się je zawyża.

- Tego się wszyscy spodziewali i być może właśnie dlatego zrobiła na odwrót - skrzywiła się Lecter nadal będąca szefem sztabu i oficerem wywiadu 10. Floty. - Ja się nie spodziewałam takiej liczby okrętów, podobnie jak Chandler i ludzie z ministerstwa obrony. I nikt nie sądził, że będą już w systemie Meyers.

Mike pokiwała głową i spojrzała na wydruk meldunku komandora porucznika Dentona: 71 superdreadnoughtów, 16 krążowników liniowych, 12 ciężkich krążowników, 23 lekkie, 18 niszczycieli - razem 140 okrętów. Do tego co najmniej 29 jednostek pomocniczych. I to wszystkie przy granicy Ligi Solarnej na zadupiu, o którym rok temu mało kto słyszał. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że choć przygotowała plany na taką ewentualność, tak naprawdę nie wierzyła, że Mesa ma możliwość dysponowania taką siłą ognia, zwłaszcza że należała ona do Ligi Solarnej. Teraz wiedziała, że była w błędzie, a to rodziło kolejne pytanie: jakie wpływy w Lidze miała Mesa?

Odetchnęła głęboko i zmusiła się do myślenia o ważniejszych sprawach. Miała pod rozkazami 14 krążowników liniowych klasy *Nike*, 8 ciężkich krążowników klasy *Saganami-C*, 4 lotniskowce klasy *Hydra*, 5 niszczycieli klasy *Roland* i kilka przestarzałych okrętów, takich jak *Reprise* czy *Hercules*. No i 400 kutrów rakietowych, których nie należało lekceważyć, ale również i przeceniać. Razem 27 okrętów, bo lotniskowców liczyć nie mogła - nie powinny znaleźć się nigdzie, gdzie mogłyby je osiągnąć wrogie rakiety, bo stanowiły wyłącznie ruchome cele. Pod względem liczby jednostek Crandall miała przewagę ponad 5 do 1, pod względem tonażu 13 do 1, a wliczając kutry 10 do 1. Tyle że o eskadrze Oversteegen i lotniskowcach pani admirał Crandall nie mogła wiedzieć.

- Jeśli Crandall została wybrana równie starannie jak Byng, musi być pewna, że ma

miażdżącą przewagę - oceniła Henke. - Zwłaszcza jeśli uzna, że nie dostaliśmy żadnych posiłków po drugiej bitwie o New Tuscany.

- Takie założenie mógłby przyjąć jedynie wyjątkowo głupi oficer flagowy - sprzeciwił się Oversteegen. - Wyjątkowo głupi nawet jak na solarnego oficera.

- A cóż takiego jeśli wolno spytać, Marynarka Ligi zrobiła ostatnio, że zmieniłeś zdanie w kwestii poziomu inteligencji jej oficerów flagowych? - zaciekała się Henke.

- Nic - przyznał z niesmakiem. - Ale to obraża moje poczucie przyzwoitości. Nikt tak głupi nie powinien zostać admirałem. W żadnej flocie!

- Trudno się nie zgodzić - przyznał Terekhov. - Ale nie przesadzajmy. Z jej punktu widzenia ma trochę racji.

Henke i Oversteegen spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

- Powiedziałem: trochę.

- A mianowicie? - spytała Mike.

- Jeśli założyła, że nic o niej nie wiemy, a jest to bardzo sensowne założenie, bo niby skąd mielibyśmy wiedzieć, to uważa, że ma miażdżącą przewagę plus kompletne zaskoczenie. Ja zakładam, że to wszystko jest zaplanowane i ona wie, po co tu jest. No bo kto pamięta, kiedy ostatnio w okolicy pojawił się zespół wydzielony Battle Fleet? Po prostu nie wierzę w taki zbieg okoliczności.

- Wszystko pasuje - dodała Lecter. - Nawet Byng nie miał pojęcia o jej istnieniu, bo w bazach danych jego okrętów wzmianki o tym nie było. Skąd może wiedzieć, że Anisimowna o niej powiedziała? Gdyby nie to, dowiedzielibyśmy się o jej obecności dopiero teraz, po raporcie *Reprise*.

- A o tym, co się dzieje na Ziemi, nie może mieć pojęcia z uwagi na zwłokę w łączności, zrobi więc, co będzie chciała, bez aktualnych informacji o naszych siłach i sytuacji dyplomatycznej - wtrącił Terekhov. - O ile coś zrobi.

- Poważnie sugerujesz, że będzie siedziała w systemie Meyers, czekając na rozkazy, po tym co się wydarzyło w New Tuscany? - Henke nie ukrywała sceptycyzmu.

- Sugeruję, że zasługujący na ten stopień oficer zachowałby ostrożność i rozwagę - wyjaśnił Terekhov i błysnął zębami w parodii uśmiechu. - Myślę natomiast, że ona tak nie postąpi, a poza tym poczytaliśmy sobie rozmaite plany awaryjne Marynarki Ligi, nieprawdaż?

Henke tylko kiwnęła głową.

Plany te nie były wielkim zaskoczeniem, choć podejrzewała, że dla opinii publicznej Ligi Solarnej byłyby dużym szokiem, gdyby ujawniono nawet tylko niektóre z nich. Ot,

choćby taki plan Fabius zezwalający, by komisarz Biura Bezpieczeństwa Granicznego tak zorganizował operacje Floty Granicznej, by ta przypadkiem zniszczyła cały orbitalny przemysł systemu objętego protektoratem, którego władze nie zdołały „utrzymać porządku”. Czyli mówiąc po ludzku, nie zdecydowały się sprzedać wszystkiego za grosze korporacji wyznaczonej przez Biuro. Korporacji, która miała odtąd kontrolować gospodarkę systemu. Albo plan Bukanier zezwalający temuż komisarzowi na użycie Floty Granicznej do działań pirackich, by w określonych systemach wywołać kryzys uzasadniający zbrojne interwencje „w celu zachowania porządku i bezpieczeństwa publicznego”.

Terekhov miał na myśli inny plan, którego istnienie wywiad floty podejrzewał od dawna. Dotyczył on sytuacji, gdyby jakieś państwo lub gubernator sektora zaatakował Ligę, czyli stawiał zbrojny opór napaści Biura, i to skutecznie. Strategia miała być wówczas prosta: Flota Graniczna z braku okrętów liniowych miała osłaniać operację przed kaprami, natomiast Battle Fleet miała wysłać zespół uderzeniowy dysponujący miażdżącą przewagą do systemu macierzystego owego stawiającego się państwa i zmienić je w kolejny protektorat.

- Rozumiem, do czego pan zmierza, sir - odezwał się komandor Pope. - Ale nawet solarny admirał nie może liczyć, że przebiję się przez obronę terminalu Lynx, mając mniej niż setkę okrętów liniowych. Z terminalu korzysta wystarczająca liczba solarnych statków, by w Meyers wiedzieli, że wszystkie forty są sprawne i ile naszych okrętów tam stacjonuje.

- Nie miałem na myśli systemu Manticore - odparł Terekhov - jako celu jej ataku.

- Miałeś na myśli system Spindle jako stolicę Quadrantu Talbott - dodał Oversteegen.

- Zgadza się.

- Nie ma co liczyć na nagły przyływ zdrowego rozsądku w systemie Meyers - oceniła Henke. - Zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak starannie organizatorzy tej całej operacji dobierają wykonawców. Musimy więc przygotować się na najgorsze. Gwen, dopilnuj, żeby admirał Khumalo i pani gubernator zapoznali się z tym meldunkiem. Jestem pewna, że będą chcieli porozmawiać z komandorem Denfonem i panem O'Shaughnessym, gdy tylko będzie to możliwe, ale chcę, by wiedzieli, co się święci, najszybciej, jak to tylko możliwe.

- Rozumiem, ma'am.

- Potem powiesz Vicki, że do wszystkich systemów Quadrantu Talbott mają zostać wysłane jednostki kurierskie z kopiami tego meldunku. Pierwszeństwo dla kapitana Connera w systemie Tillerman i dla Montany. Poproś, by skontaktowała się z kapitan Shoupe w sprawie dostępnych kurierów. Do kapitana Connera chcę dołączyć wiadomość, kurier musi więc poczekać.

- Aye, aye, ma'am - potwierdził Archer, choć oboje byli świadomi, że jeśli admirał



Crandall zdecydowała się działać, dowodzący parą krążowników liniowych klasy *Nike* Jerome Conner już się o tym dowiedział.

Henke także to wiedziała, ale miała obowiązek uprzedzić wszystkich podkomendnych, i to jak najszybciej.

- Powiedz też admirałowi Khumalowi, że jeśli nie ma nic przeciwko temu, chciałabym wysłać *Reprise* do systemu Manticore, z ostrzeżeniem dla obrony terminalu Lynx po drodze, z wiadomością o odkryciu sił admirał Crandall w systemie Meyers dla Admiralicji oraz z informacją, że spodziewam się, iż zaatakuje ona Spindle.

W sali nagle zrobiło się jakby chłodniej, a obecni odruchowo usiedli prosto.

- Dodaj, że chciałabym, aby *Reprise* był w drodze pół godziny po dostarczeniu na orbitę planetarną Thimble - uzupełniła Henke, a widząc miny obecnych, wyjaśniła: - Crandall wie, że jeśli zechce nas zaatakować, *Reprise* nas uprzedzi, wyruszy więc najszybciej, jak będzie mogła, by utrzymać jak największą przewagę dawaną przez zaskoczenie. Należy więc założyć, że może się tu zjawić dosłownie w ciągu kilku godzin, a gdyby zdecydowała się przypuścić atak, wpierw na terminal Lynx, na dotarcie tam potrzebuje tylko dnia standardowego więcej. To że jesteśmy zgodni, że byłoby to wyjątkowo głupie posunięcie, nie znaczy, że tego nie zrobi, podobnie jak nie możemy założyć, że *Reprise* zauważył wszystkie jej okręty. Może mieć parę eskadr odwodowych w systemie McIntosh, daleko nie szukając. Już się okazało, że ma większe siły, niż mówiła Anisimowna, może więc mieć jeszcze większe.

Terekhov i Oversteegen przytaknęli w milczeniu.

A Mike dodała:

- Zajmij się tym zaraz, Gwen, a gdy skończysz, wracaj, bo coś mi się zdaje, że to będzie pracowita noc.

- Aye, aye, ma'am - powtórzył Gervais.

I skierował się do drzwi.

- A my, panowie, lepiej zacznijmy myśleć tak przewrotnie i nieortodoksyjnie, jak tylko potrafimy - zapowiedziała Henke. - Gdybym była na jej miejscu i chciała dać nauczkę bezczelnej bandzie prymitywów, wyruszyłabym najpóźniej w dwadzieścia cztery godziny po zjawieniu się *Reprise*. Ona może tak oczywiście nie zrobić. Może uznać, że i tak ma wystarczającą przewagę, by spokojnie dopiąć wszystko na ostatni guzik przed wyruszeniem.

- Biorąc pod uwagę, że czas przelotu to ponad miesiąc standardowy, planowanie zostawiłbym właśnie na ten okres, ma'am - odezwał się Terekhov.

- Ja także, więc założę, że ona również. Ale musimy przygotować się na najgorszą

ewentualność, nie na najlepszą. Najlepiej byłoby, żeby zamarudziła na tyle, by zdążyły do nas dotrzeć okręty amunicyjne i eskadra liniowa, nieprawdaż?

- Przyznaję, że to byłoby miłe - zgodził się Oversteegen z lekkim uśmiechem.

- Koniec marzeń, moi panowie - oznajmiła Henke. - Chcę osiągnąć cztery rzeczy. Po pierwsze, aby Crandall nie doceniła naszych sił. Wiem, że już tak jest, ale zamierzam maksymalnie wzmocnić w niej to przekonanie o naszej słabości. Po drugie, chcę ją wkurzyć, na ile się da. Im bardziej będzie wściekła, tym mniej logicznie będzie myśleć, a to zadziała na naszą korzyść. Nie ruszy całą siłą na Thimble, jeśli nie będzie miała mordy w oczach, bo prawdopodobnie zacznie od żądań pod adresem premiera i pani gubernator. A ja chcę, aby gdy nadejdzie pora działania, decyzje dyktowała jej urażona duma i złość, a nie obiektywizm i zdrowy rozsądek. Po trzecie, choć może to zabrzmieć jako sprzeczne z punktem drugim, mam zamiar odwlekać konfrontację jak długo tylko się da, bo czas też działa na naszą korzyść. Jeśli damie Matsuko uda się negocjować przez dzień czy dwa, tym lepiej.

- Te negocjacje w ogóle są prawdopodobne, ma'am? - spytał komandor Culpepper. - Zwłaszcza jeśli nie będzie doceniać naszych sił, a my ją jeszcze celowo wkurzymy?

- Mogę, ma'am? - spytał Terekhov.

Mike skinęła głową.

- Marty, wszystko sprowadza się do tego, ile Crandall ma nadzieję dostać za darmo - wyjaśnił Terekhov. - Jeśli dama Matsuko przekona ją, że istnieje szansa, iż podda system bez walki, Crandall będzie skłonna stracić trochę czasu na gadanie, nim zacznie strzelać. Jestem też pewien, że przy pewnej dozie pomysłowości zdołamy ją w tym czasie zirytować, równocześnie przypominając, że prędzej czy później, ale będzie musiała uzasadnić swoje postępowanie przełożonym. Jak wojownicza i wściekła by nie była, po tylu latach we flocie musi wiedzieć, że o wiele lepiej wygląda meldunek o opanowaniu sytuacji bez walki.

- A jeśli uzna, że ma miażdżącą przewagę, tym prawdopodobniejsze jest, że zdecyduje się rozmawiać - dodał Oversteegen. - Ponieważ przyleci tu już przekonana, że takową posiada, nie ma sensu próbować jej przekonywać, że najrozsądniejsze, co może zrobić, to podkulić ogon i zmiatać, póki jeszcze jest w stanie. Dlatego nawet wkurzona prawdopodobnie będzie negocjować tak długo, jak będzie jej zdaniem trzeba, by przekonać potem dowództwo i dziennikarzy, że naprawdę próbowała załatwić sprawę pokojowo, wzywając nas, żebyśmy się poddali, ale okazaliśmy się za głupi i musiała nas wystrzelać.

- Na to właśnie liczę, ale Marty ma rację co do jednego: jeśli będzie pewna, że może przejść przez wszystko, co jej stanie na drodze, jej zniecierpliwienie wzrośnie - powiedziała Henke. - Zwłaszcza jeśli uważa, że powinna nas ukarać za zniszczenie *Jeana Barta*. Nie

możemy zapominać, że publicznie daliśmy klapsa Marynarce Ligi; sądzę, że najbardziej ze wszystkiego pani admirał pragnie tak nam przyłożyć, żeby żaden bezczelny prymityw z pogranicza nie odważył się nigdy więcej na coś podobnego.

- Pięknie, kurde, pięknie - burknęła Lecter.

A Henke ku własnemu zaskoczeniu parsknęła śmiechem.

- Możesz mi wierzyć, Cindy, ale jeśli tak uważa, to czeka ją niemiłe zaskoczenie. Wolę odwlec początek walk, bo mam nadzieję na dotarcie posiłków, ale nie liczę, że zdążą, i nie będę zwlekała ani minuty dłużej, niż to będzie konieczne. A to wiąże się z czwartą rzeczą, którą chcę osiągnąć.

Zrobiła przerwę, i to na tyle długą, że Oversteegen spytał:

- Czyli, milady?

- Gdy tylko solarne okręty miną granicę przejścia w nadprzestrzeń, skończą się żarty. Nie będzie żadnych wezwań do kapitulacji i żadnego pokazowego strzelania, żeby panią admirał przekonać, co potrafimy. Najwyższy czas sprawdzić, na ile nasze założenia co do zdolności bojowych Battle Fleet są zgodne z prawdą.

## ROZDZIAŁ XVI

- Sądzę, że trzeba zacząć od tego, czy to prawda - ocenił sir Barnabas Kew siedzący wraz z baronową Selleck i Voittem Tuominenero przy stole stojącym na środku pomieszczenia.

Honor z Nimitzem na ramieniu stała przy oknie, wpatrując się w wodospad Frontenae.

- Nie jest - oświadczyła zwięźle.

Jej doradcy spojrzeli po sobie, po czym wbili wzrok w jej wyprostowane plecy.

- Przyznaję, że Manpower i Mesa nie są wiarygodne - odezwał się Tuominen. - Ale oskarżenie ich, że to wszystko sfabrykowali, to...

- To nie jest prawda - oznajmiła tym samym tonem Honor i odwróciła się.

Gdyby nie koniec ogona Nimitza poruszający się z regularnością metronomu, można by uznać, że jest całkowicie spokojna. Znali ją już na tyle, by tego błędu nie zrobić, ale gorączkowo próbowali znaleźć sposób, by w miarę delikatnie a jednoznacznie wytłumaczyć jej, że nie może tego wiedzieć. Zwykle przodował w tym Kew, dlatego spojrzała na niego i powiedziała:

- W galaktyce może zdarzyć się wiele rzeczy, których bym się nie spodziewała, ale nigdy nie zdarzy się, by Anton Zilwicky odpalił ładunek nuklearny w parku pełnym dzieciaków. Znam go i Nimitz go zna. On jest psychicznie niezdolny do czegoś takiego.

- Ale... - zaczął Kew i urwał.

- Nie wątpię, że był na Mesie - dodała Honor. - A raczej wiem, że tam był. Sądzę, że władze się o tym dowiedziały i zdecydowały się włączyć go w sfabrykowane wyjaśnienie tego, co zaszło, które następnie puściły w obieg.

Uznała, że nie muszą wiedzieć ani o wiadomości od Cathy Montaigne, ani o tym, że jeszcze przed bitwą o Lovat wiedziała, że Zilwicky z Cachatem wybierają się na Mesę.

- Sądzi pani, że został złapany, milady? - spytała Selleck.

- Nie. Pokazaliby go i zmusili do przyznania się. Albo pokazali ciało z wszystkimi danymi identyfikacyjnymi, by uwiarygodnić swoją wersję, zamiast twierdzić, że zginął w wybuchu. Martwi mnie brak wiadomości od niego, bo jeśli zdołał uciec, już dawno powinien był dotrzeć na Torch czy do Manticore. I dlatego obawiam się, że mogli go zabić.

Nimitz bleeknął żałością. Podobnie jak ona lubił Antona i Cathy. Od ich powrotu na Manticore utrzymywali stałe i bliskie kontakty, choć nie afiszowali się z tym. A

rekomendacja, jakiej Balet udzielił Honor, sprawiła, że Anton bez zastrzeżeń dzielił się z nią informacjami.

- Przepraszam, a czy przypadkiem nie wie pani, dlaczego był na Mesie? - spytał Tuominen.

Honor przekrzywiła głowę i patrzyła na niego wyczekująco.

- Nie sądzę, że Pritchard czy większość jej narodu uwierzy Mesie, choć paru jej „negocjatorów” z Kongresu oficjalnie weźmie za dobrą monetę wszystko, jeśli uzna, że to się opłaca - wyjaśnił. - Ale pozostają jeszcze media, a tutejsze nas nie lubią. Jeśli więc jest coś, co mogłoby podważyć wersję, że to Zilwicki i Torch...

Honor pokiwała głową.

- Po pierwsze, informacja o tym, że tam był, jest tajna, bo ma znaczenie wywiadowcze, nikt więc o tym pismakom słowa nie pisnie - oznajmiła. - Po drugie, nie wydaje mi się, aby nagle ogłoszenie, że przypadkiem wiem, że był na Mesie, ale przysięgam, że to nie on odpalił atomówkę w parku w sobotni ranek, zabrzmiało wiarygodnie i odniosło pożądany skutek. Raczej zabrzmiałoby jak rozpaczliwa próba zdyskredytowania prawdy wymyślona przez półgłówka. Poza tym wątpię, by ktoś, kto wierzy w cokolwiek ogłoszonego przez Mesę, zmienił zdanie, niezależnie od tego, co by usłyszał z innego źródła. Przynajmniej nie bez niepodważalnego dowodu, że Mesa zełgała.

- Wiem - przyznał nieszczęśliwym tonem Tuominen. - Przepraszam, milady; zdaje się, że była to z mojej strony nieprzemyślana rozpaczliwa próba ratowania sytuacji.

- To naturalna reakcja - pocieszyła go, ponownie odwracając się do okna. - I nie wątpię, że to utrudni nam zadanie, ale bardziej martwi mnie, jakie wrażenie wywrze na solarnej opinii publicznej, bo może zachęcić Kołokolcowa i resztę do energiczniejszych decyzji.

Tuominen kiwnął głową, zastanawiając się, czy przypadkiem jego skupienie na negocjacjach nie było ucieczką od myślenia o tej właśnie reakcji Ligi Solarnej, do której wieści z Mesy musiały już dotrzeć. Reakcji przewidzieć nie było sposobu, ale byłby naprawdę zdumiony, gdyby nie okazała się negatywna.

- Zgadzam się, że reakcja Ligi jest znacznie ważniejsza, ale na nią niestety nie mamy żadnego wpływu - odezwała się Selleck. - Proponuję więc skupić się na tym, co możemy zrobić tu, w Republice. Voitto ma rację co do Youngera i McGwirea. Od chwili przybycia tutaj staram się o nowe źródła informacji i im więcej dowiaduję się o tym pierwszym, tym obrzydliwszy obrazek mi się wyłania. Nadal nie do końca znam wewnętrzne mechanizmy rządzące partią Nowych Konserwatystów, ale wychodzi na to, że Younger jest znacznie

ważniejszy, niż sądziliśmy. I jest też najpewniejszym kandydatem do wykorzystania tej informacji.

- Tylko jak to zrobi? - spytał Kew. - No dobra, w mediach będzie burza, a przy takim nastawieniu opinii publicznej może zrodzić się niezadowolenie, że rząd z nami negocjuje, ale to niczego nie zmieni, bo Pritchard jest zdeterminowana bardziej niż my; nie zamierza dopuścić do zniszczenia ich floty i przemysłu.

- Tak? - Honor spojrzała na niego przez ramię. - To dlaczego jeszcze nie uzgodniliśmy warunków pokoju? Clarissa ma rację co do Youngera, a wydaje mi się, że McGwire podpada pod tę samą kategorię. Problem z Youngerem jest taki, że jego tak naprawdę nie obchodzi, co się stanie z resztą wszechświata, byleby on dostał, czego chce. Inaczej rzecz ujmując, jest absolutnie pewien, że zdoła zmusić wszechświat, by ten zrobił, czego on chce, i gotów jest użyć wszystkiego, by to osiągnąć. Ani jemu, ani McGwire'owi nie chodzi o uzyskanie jak najlepszych warunków dla Republiki, tylko dla siebie w rozgrywkach wewnętrznych. Younger zerwałby negocjacje natychmiast, gdyby uznał, że w jakikolwiek sposób skorzysta na tym politycznie.

- Ta możliwość mniej mnie martwi niż ewentualność, że będzie je przeciągał, milady - oceniła Selleck. - Albo przynajmniej próbował. Uważa, że im gorzej będzie się działo między nami a Ligą, tym prędzej przyjmie jego warunki, żeby mieć pokój i móc skupić się na Lidze bez obawy wojny na dwa fronty.

- Toż to głupie! - ocenił Kew. - A może się okazać, że fatalnie głupie.

- Nie sądzę, żeby wierzył, że Królowa dotrzyma słowa i każe zniszczyć Republikę, jeśli w wyznaczonym terminie nie będzie traktatu pokojowego - wyjaśnił Tuominen.

- A nawet jeśli wierzy, jest przekonany, że ma kupę czasu - dodała Honor. - I do pewnego stopnia ma rację, bo Królowa zdecyduje się na zniszczenie Republiki tylko wtedy, jeśli uzna, że nie ma innej możliwości. Gdyby było inaczej, nie wysłałaby nas tu na rozmowy.

Na wszelki wypadek nie dodała, jak ciężko było ją przekonać do zmiany stanowiska, bo tego wiedzieć nie musieli.

- Problem w tym, że my nie mamy zamiaru gadać po próżnicy w nieskończoność, czego on najwyraźniej nie potrafi pojąć. Dlatego obawiam się, że się przeliczy i wywoła konsekwencje niemiłe dla wszystkich - podsumowała.

- Zgadzam się. Pytanie: jak mu to uniemożliwić - zasepiła się Selleck.

- Nie musimy tego robić. - Honor uśmiechnęła się złośliwie. - Pritchard musi mieć sprawdzoną metodę na niego chyba więc utnę sobie z nią pogawędkę, żeby ją uświadomić, co nas niepokoi w jego postępowaniu.

\* \* \*

- Dobry wieczór, admirał Harrington. - Eloise Pritchart wstała i wyciągnęła rękę nad blatem biurka, gdy Angela Rousseau wprowadziła gościa do gabinetu.

- Dobry wieczór, pani prezydent - odparła Honor.

I ukryła uśmiech, widząc sztywne skinienia głów, jakimi przywitali się Sheila Thiessen i Spencer Hawke. Po ponad dwóch tygodniach oboje osiągnęli etap wzajemnego szacunku, a nawet zaczęli się lubić, choć do tego żadne z nich nie miało ochoty przyznać się komukolwiek.

- Dzięki, że tak szybko znalazła pani dla mnie czas - dodała, siadając w tym co zwykle fotelu. Nimitz naturalnie natychmiast przeprowadził się z jej ramienia na kolana i przyjrzał gospodyni z uwagą.

Pritchart zaś uśmiechnęła się lekko.

- Jakoś tak na poczekaniu nie przychodzi mi na myśl nikt ważniejszy, dla kogo powinnam znaleźć czas, gdy o to prosi - oznajmiła.

- Chyba kogoś takiego nie ma - zgodziła się Honor, także z uśmiechem.

- Skoro jest taka pora, to może podać coś na ząb? - zaproponowała Pritchart. - Belardinelli ma na wszelki wypadek schowane te czekoladowe ciastka, które pani tak smakuje.

Honor parsknęła śmiechem, ale potrząsnęła przecząco głową.

Pritchart wyprostowała się wraz z fotelem.

- Cóż, w takim razie słucham. Jeśli się nie mylę, chciała pani porozmawiać o czymś... wymagającym dyskrecji - przeszła do rzeczy.

- Zgadza się. - Honor spojrzała na Thiessen, a potem na Pritchart. - Jak sądzę, ma pani takie zaufanie do porucznik Thiessen, jak ja do kapitana Hawke'a.

Było to stwierdzenie, nie pytanie, ale Pritchart kiwnęła głową.

- Mimo to może pani uznać, że lepiej będzie nie nagrywać tej rozmowy - dodała Honor. - Zwykle nagrywanie mi nie przeszkadza, ale to, co powiem, będzie miało wpływ na pewne działania wywiadowcze. Wywiadu Republiki, nie Królestwa.

Pritchart uniosła brwi i spojrzała na Thiessen.

Ta nie wyglądała na zachwyconą, ale nie zaprotestowała.

- Nagrywaj to, Sheilo, ale wyłącz wszystkie pozostałe urządzenia rejestrujące - poleciła Pritchart. - Jeśli uznamy, że jednak włączymy tę rozmowę do oficjalnych nagrań, wykorzystamy twoje. Czy to satysfakcjonujące rozwiązanie, admirał Harrington?

- Dla mnie tak, bo wątpię, by moje słowa miały jakiegokolwiek reperkusje w naszym wywiadzie czy jego operacjach.

- Przyznaję, że zdołała mnie pani zaintrygować.

Thiessen dała znak, że urządzenia rejestrujące zostały wyłączone.

- A ja przyznaję, że to było moim celem - uśmiechnęła się Honor.

- W takim razie co mi pani chciała powiedzieć?

- Chciałam wyjaśnić pewne kwestie związane z oskarżeniem przedstawionym przez Mesę, a dotyczącym eksplozji w Green Pines, a konkretnie zarzutu, że kapitan Zilwicki był na planecie jako agent Baletu, którego zadaniem było przygotowanie i wykonanie jakiejś spektakularnej akcji terrorystycznej w ramach niesymetrycznej wojny toczonej z Mesą przez Królestwo Torch. Przyznaję, że pozornie brzmi to logicznie, biorąc pod uwagę jego długoletni związek z Catherine Montaigne, jak i fakt, że jego córka jest Królową Torch, a on swoich sympatii do Baletu nigdy nie ukrywał. Jestem natomiast pewna, że wersja przedstawiona przez Mesę nie ma nic wspólnego z rzeczywistym przebiegiem wydarzeń.

Zrobiła przerwę, z czego skorzystała Pritchart.

- Zaskoczyła mnie pani tematem - przyznała. - Nie jestem skłonna wierzyć w to, co mówią władze Mesy, ale nie bardzo rozumiem, jaki to może mieć związek z naszym wywiadem.

- W takim razie powinna pani spytać dyrektora Trajana, gdzie w tej chwili znajduje się oficer wywiadu Victor Cachat.

Tym razem Pritchart nie zdołała ukryć zaskoczenia, ale mimo to spytała:

- A kto to jest ten Cachat?

- Zdolny młody człowiek zatrudniony jeszcze przez Saint-Justa do zadań specjalnych, między innymi odpowiedzialny bardziej niż ktokolwiek inny za powstanie Królestwa Torch i jego bezpieczeństwo, bo ściśle współpracuje w tej sprawie z Królową Berry, Ruth Winton i Antonem Zilwickim. A tak poza tym to jest szefem stacji waszego wywiadu w Erewhon.

Pritchart skrzywiła się i pokiwała głową.

- Sama się o to prosiłam, prawda?

- Prawda - przyznała Honor.

- No dobrze. Ale poza tym, że wie pani o naszym wywiadzie znacznie więcej, niżbym chciała, nadal nie widzę związku z Mesą.

- Jest on prosty. I nie chodzi mi o to, że Anton Zilwicki jest psychicznie niezdolny do takiego czynu, co potwierdzą pani analitycy, ale o to, że powinna pani wiedzieć, że przed udaniem się na Mesę złożył mi wizytę na pokładzie mojego okrętu flagowego w Trevor's



Star, by omówić kwestię zamachów na Webstera i Królową Berry. Towarzyszył mu Victor Cachat.

- Co?!

Pritchart i Sheila zareagowały niezwykle zgodnie i odruchowo, co wskazywało na stopień szoku. A potem zamarły.

I trwały tak przez kilkanaście sekund.

- Moment - odezwała się z rezygnacją Pritchart. - Chce mi pani powiedzieć, że szef stacji mojego wywiadu na Erewhon i okolicę dostał się do systemu bazy Royal Manticoran Navy i znalazł się na pokładzie pani flagowca?

- Zgadza się. Odnoszę wrażenie, że pan Cachat ma nieco nieortodoksyjne metody działania.

- Nieco! - Pritchart wzniosła oczy ku sufitowi. - Skoro miała pani wątpliwą przyjemność poznania go, rozumie pani, dlaczego zwykle mam w stosunku do niego mieszane uczucia: nie wiem, czy dać mu order, czy zastrzelić od ręki. Widzę też, że będę musiała o nim pogawędzić od serca z Trajanem, choć naprawdę wątpię, by Cachat wtajemniczył go w swoje plany, nim wybrał się autostopem przez galaktykę. I to nie dlatego, że brak zgody spowolniłby go choćby o minutę.

- Jak widzę, zna go pani osobiście - stwierdziła Honor.

- A owszem. Miałam... przyjemność go poznać.

- To dobrze, bo łatwiej pani uwierzy w ciąg dalszy.

- Jeśli chodzi o Victora Cachata, jestem gotowa uwierzyć we wszystko!

Pritchart powiedziała to takim tonem, że Honor omal nie parsknęła śmiechem.

- Obaj złożyli mi w kwietniu wizytę po to, by zapewnić mnie, że Republika Haven nie ma nic wspólnego z zamachami na Torch i na Webstera. Dzięki Nimitzowi wiem, że wierzyli, że to prawda. Przyznam też, że odwaga Cachata wywarła na mnie duże wrażenie; gotów był popełnić samobójstwo po przekazaniu mi tej wiadomości. - Honor spojrzała Pritchart prosto w oczy. - A raczej spodziewał się, że je popełni, bo był pewien, że nie pozwolę mu opuścić okrętu.

- Ale mu pani pozwoliła.

- Tak, i prawdę mówiąc, nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło, by postąpić inaczej. Raz dlatego, że nie zasłużył na tak bezsensowną śmierć, dwa, bo nie tylko uwierzyłam, że mówi prawdę, ale także zgadzam się z analizą wydarzeń i wnioskami, do których doszli obaj z Antonem.

- A jakie to były wnioski?

- Że jeśli odrzucić bardzo mało prawdopodobną opcję, że Republika Haven zaplanowała całkowicie nielegalną operację, o której Cachat nic nie wiedział, wychodzi na to, że Republika nie mogła mieć nic wspólnego z zamachem na Torch. A więc i z zamachem na Webstera. A to znaczyło, że największym podejrzanym jest Manpower, a raczej Mesa używająca Manpower jako parawanu.

- To dlaczego pani nie...

- Powiedziała - przerwała jej Honor. - Rozmawiałam o tym z premierem, ale moje przekonanie, że Cachat mówił prawdę, trudno uznać za dowód, prawda?

Pritchart przez długą chwilę przyglądała się jej w milczeniu, po czym odetchnęła głęboko.

- Prawda - przyznała. - Ale naprawdę żałuję, że go za takowy nie uznano.

- Ja też, pani prezydent - przyznała cicho Honor. - Mówię pani o tym dlatego, że nie tylko oni dwaj mieli tę pewność. Nasz wywiad odkrywa coraz więcej dowodów na działalność Mesy, o którą nikt jej wcześniej nie podejrzewał. Zilwicki i Cachat wybierali się na Mesę, by dowiedzieć się, o co tak naprawdę chodzi. I była to wspólna akcja przeprowadzona przy pełnej współpracy. Wiem to z pewnego źródła, bo od Cathy Montaigne.

- Wspólna? - powtórzyła Pritchart bez specjalnego zdziwienia.

- Wspólna. Dlatego kłamstwem jest, że Zilwicki znalazł się tam w celu przeprowadzenia ataku terrorystycznego we współpracy z Baletem. Poza tym z tego, co wiem, unikali jak ognia Baletu, bo istnieje podejrzenie, że jego siatka na Mesie jest kontrolowana przez kontrwywiad. Nie wykluczam, że to, co się stało, mogło być wynikiem działania jakiegoś odłamu Baletu albo też skutkiem ubocznym zniszczenia celu wojskowego czy wywiadowczego umieszczonego pod parkiem. Natomiast jestem pewna, że ani Zilwicki, ani Cachat nie mieli zamiaru zwracać na siebie uwagi, bo to oznaczałoby koniec ich misji.

- To jest oczywiste - powiedziała powoli Pritchart mająca spore doświadczenie w praktycznym funkcjonowaniu ruchu oporu, a więc i zasad obowiązujących w polowych operacjach wywiadowczych.

- Nie wiem, dlaczego władze Mesy nie wspomniały o Cachacie - dodała Honor. - Być może nie odkryto jego obecności, a może uznano, że nawet w Lidze Solarnej nie uwierzą, że dwaj szpiedzy z walczących ze sobą od dwudziestu lat państw współpracowali z Baletem, żeby zabić kilka tysięcy ludzi na Mesie. Najoptimistyczniejszy wariant jest taki, że o nim nie wiadomo i zdołał uciec z planety.

- A Zilwicki?

- Bardzo wątpię, by mu się to udało. Nie mieszaliby go w to, gdyby nie byli pewni, że

nie żyje.

- Przykro mi to słyszeć. Naprawdę przykro - powiedziała cicho Pritchard.

- Wierzę pani, ale nie to jest najważniejsze, pani prezydent. Wszystko poza samymi eksplozjami i ich lokalizacją jest kłamstwem. Prawdy być może nie poznamy nigdy, ale w tej chwili to nie ona jest najważniejsza. Z mojego punktu widzenia najistotniejsze jest, by nie pozwolić, żeby ktokolwiek wykorzystał tę sprawę do przeciągania negocjacji lub ich zerwania. A obie wiemy, że istnieją pewne mające na względzie wyłącznie własne interesy osoby, które wykorzystają każdy sposób, jeśli im na to pozwolić, co byłoby nader niefortunne dla obu naszych państw. Jeśli te oskarżenia spowodują wzrost napięcia między Gwiazdnym Imperium Manticore a Ligą Solarną, Królowa Elżbieta przestanie mieć czas i możliwość elastycznego podejścia do negocjacji. Być może to także było celem władz Mesy, bo nienawidzą Republiki Haven równie silnie jak nas. Podejrzewam, że głównym celem było sprowokowanie wojny z Ligą, ale mogli dojść do wniosku, że za jednym zamachem załatwią parę spraw. I uważam, że gdyby im się udało, byłaby to tragedia tak dla nas, jak i dla Republiki.

## ROZDZIAŁ XVII

- Muszę spotkać się z księżną Harrington - odezwał się Thomas Theisman po obejrzeniu nagrania wykonanego przez Sheilę Thiessen. - To byłaby tragedia.

- Zwłaszcza jeśli mówi prawdę - przytaknęła Leslie Montreau. - Naturalnie to jest właśnie pytanie: czy mówi prawdę. To wszystko brzmi logicznie i jestem skłonna przyznać, że mówi, ale byłoby dla niej bardzo korzystne, gdybyśmy uwierzyli, że ta informacja to jedna wielka dezinformacja.

- Racja - przyznała Pritchart i przyjrzała się podejrzliwie LePicowi, który siedział bez słowa z dziwną miną. - Dlaczegoż to nie jesteś specjalnie zaskoczony informacją, że jeden z twoich starszych oficerów wywiadu pałęta się po galaktyce samopas?

- Bo nie jestem - przyznał z rezygnacją LePic.

- Moment. - Theisman spojrzał na niego z niedowierzaniem. - Chcesz mi powiedzieć, że nie masz pojęcia, gdzie on jest?! Że wybrał się na okręt flagowy Harrington i nawet nie wspomniał nikomu, że ma taki zamiar?! Zdawało mi się, że on jest szefem stacji na Erewhon i okolicę?

- Bo jest - przyznał LePic z westchnieniem. - I nie wspomniał nikomu. Naturalnie ja dowiedziałem się o wszystkim dziś, gdy Eloise poprosiła mnie o sprawdzenie tego, co usłyszała. Mogły go nawet porwać i zgwałcić kosmiczne krasnoludki, bo nikt u Wilhelma nie ma pojęcia, gdzie on jest. Kevin też nie.

Montreau dołączyła do Theismana i wytrzeszczyła oczy.

Pritchart zaś wyglądała na kogoś, kto stawia czoło nieuniknionemu.

- A jak długo to trwa? - spytał uprzejmie Theisman. - Bo wiesz, my we flocie lubimy wiedzieć, gdzie są dowódcy stacji, każemy więc im regularnie się meldować.

- Bardzo zabawne - burknął LePic i spojrzał na Pritchart. - Wiesz, że Kevin miał na niego zły wpływ od samego początku. Teraz już nie wiadomo, który jest bardziej narwany. Gdyby nie to, że obaj mają zwyczaj czynić cuda, wywaliłbym ich na zbity pysk, żeby mi adrenaliny nie podnosili.

- To samo miałam z Kevinem, gdy byliśmy w ruchu oporu - westchnęła Pritchart. - Ale jak powiedziałaś, to nasi wariaci i mają zwyczaj osiągać niemożliwe. Ale chyba miałeś powiedzieć Tomowi, od kiedy z Cachatem nie ma kontaktu.

- Prawdę mówiąc, próbuję mu tego nie powiedzieć - wyjaśnij kwaśno LePic. - Prawda jest taka, że wszystko pasuje do wersji Harrington, bo ostatni meldunek od niego był ponad sześć miesięcy standardowych temu.

- Co?! - Montreal podskoczyła niczym ukąszona. - Szef stacji nie odzywa się pół roku i nikogo to nie dziwi?!

- Wiem, że to może zabrzmieć dziwnie, i dokładnie to samo pytanie zadałem Wilhelmowi. Odrzekł, że mnie nie informował, bo nie był w stanie powiedzieć niczego konkretnego, choć uważam, że nie odzywał się, mając nadzieję, że Cachat wróci, nim ktokolwiek zacznie o niego pytać. W końcu to on jest szefem wywiadu, ja tylko nadzoruję wywiad i kontrwywiad, nie wtrącam się więc w szczegóły, chyba że chodzi o specjalnie ważną sprawę. A jak Wilhelm powiedział, to nie pierwsze zniknięcie Cachata. Zawsze dotąd wracał z zaskakującymi rezultatami.

- Ale z drugiej strony, gdyby ktoś go złapał, jego wiedza mogłaby przysporzyć nam poważnych szkód - dodał Theisman.

- Tak i nie - odparł LePic. - Jak powiedziała Harrington, nader trudno byłoby wziąć go żywcem. A nawet gdyby się to udało, jeszcze trudniej byłoby cokolwiek z niego wydusić. Nie wiem, czy go spotkałeś, Tom, ale wyobraź sobie Kevina Ushera ze znacznie mniejszym poczuciem humoru, znacznie silniejszymi zasadami moralnymi i całkowicie pozbawionego skrupułów, jeśli uważa, że to, co robi, jest słuszne i dobre dla Republiki.

Po minie sądząc, opis nieco wstrząsnął Theismanem.

- Z drugiej strony nie jest na tyle naiwny, by sądzić, że zdoła wytrzymać wszystko - dodał LePic. - Dlatego polecił swojemu zastępcy Sharon Justice tydzień po swoim odlocie zmienić całą łączność agenturalną: kody, skrytki, wszystko. Gdyby wydostano z niego jakieś informacje, to na pewno niewystarczające, by spalić siatkę, którą stworzył. Justice naturalnie wykonała polecenie.

- Justice... była funkcjonariuszka Urzędu Bezpieczeństwa w La Martine, zgadza się? - spytała z namysłem Pritchart.

- Była - potwierdził LePic.

- To znaczy, że jest nader lojalna wobec niego - oceniła Pritchart.

- Jest - zgodził się LePic. - Cachat zawsze działa w ten sposób i dzięki personalnym kontaktom osiąga takie rezultaty. Żeby choć trochę trzymał się reguł... ale wyniki ma, temu nikt nie może zaprzeczyć. I najlepszą orientację w Królestwie ze wszystkich naszych ludzi, dzięki kontaktom z Zilwickim i Ruth Winton. Że nie wspomnę o praktycznie samodzielnym utworzeniu Torch.

- Dlatego zabrałam go Kevinowi i dałam Wilhelmowi, ale zdaje się, że to nie pomogło - westchnęła Pritchart. - Ale przynajmniej wychodzi na to, że to, co wiemy, zgadza się z tym, co powiedziała Harrington.

- Też tak sędzę. - LePicowi przeszło to przez gardło z dużym trudem. - W ostatnim raporcie Cachat napisał, że skoro to nie my zorganizowaliśmy zamach na Królową Berry, musiał to zrobić ktoś, kto źle życzy Republice. Doszedł do tego, nim w ogóle dowiedzieliśmy się o zamachu. Gdy Wilhelm ten raport otrzymał, po Cachacie nie było już śladu.

- Bo pojawił się na okręcie RMN w Trevor's Star gotów na samobójstwo - dokończyła Pritchart.

- Na to wygląda - przyznał LePic nieszczęśliwym tonem.

Pritchart przyglądała mu się przez chwilę, po czym pokiwała głową.

- A myślałam, że gdy awansuję Kevina, będę miała spokój - oceniła smętnie. - A tu proszę...

- Chcesz powiedzieć - Montreau mówiła wolno i ostrożnie jak ktoś, kto chce mieć pewność, że jednak się nie przesłyszał - że szef stacji naszego wywiadu udał się ze znanym agentem królewskiego wywiadu do zamkniętej bazy floty Royal Manticoran Navy na rozmowę z dowódcą 8. Floty RMN przed bitwą o Lovat? A potem wziął udział w całkowicie nielegalnej i nieautoryzowanej operacji na planecie Mesa, która zbiegła się z tym, co zakończyło się eksplozjami nuklearnymi i masakrą cywilów?

LePic kiwnął potakująco głową.

Montreau zamilkła zaś, próbując pogodzić się z tym, co usłyszała. Sądząc po wyrazie twarzy, nie przychodziło jej to łatwo.

- W sumie to logiczne - odezwał się niespodziewanie Theisman.

- Logiczne? - powtórzyła Montreau niedowierzająco.

- Z tego, co o nim słyszałem, bo nie miałem okazji go poznać, działa głównie intuicyjnie. Większość jego sukcesów to połączenie intuicji, osobistych kontaktów i pomysłowości. Poznałaś Honor Harrington, Leslie. Gdybyś miała dotrzeć do kogoś naprawdę ważnego w Królestwie, bo byłabyś przekonana, że ktoś trzeci sabotuje naszą konferencję pokojową, wybrałabyś kogoś innego?

Montreau otworzyła usta, zamknęła je bez słowa i milczała długą chwilę, nim jakby wbrew swej woli potrząsnęła przecząco głową.

- Założę się, że dobrze się zastanowił, nim ją wybrał - dodał LePic. - I jak widać po podejściu Harrington do tych negocjacji, był to słuszny wybór. Na dodatek poznaliśmy prawdę, a raczej dowiedzieliśmy się o kłamstwie Mesy.

Pozostali nagle spojrzeli po sobie, jakby tknięci tą samą myślą.

- Wiesz, Denis - odezwał się łagodnie Theisman. - Cachat mógł nie nawiązać kontaktu, bo zginął razem z Zilwickim.

- To prawdopodobne - przyznał spokojnie LePic. - Ale obaj byli lub są doskonałymi agentami z dużym doświadczeniem. Przewidzieli możliwość wpadki i zorganizowali sobie różne drogi ucieczki, to pewne, bo inaczej nie pożyliby w tym fachu tak długo. Jest możliwe, że władze Mesy trafiły na trop Zilwickiego, a o Cachacie nie mają pojęcia. Możliwe też jest, że obaj żyją. Trzy czy czteromiesięczne milczenie to jeszcze nie wieczność. Tym bardziej że nie mamy żadnych ustalonych dróg łączności, bo dotąd tam nie działaliśmy. Wysyłanie jakiegokolwiek wiadomości mogłoby być równie ryzykowne jak próba ucieczki, bo trzeba pamiętać, że te eksplozje miały miejsce cztery standardowe miesiące temu. Awanturę, która się rozpełtała, o wiele rozsądniej było cicho przeczekać i nie próbować kontaktu z nikim. Zresztą być może Cachat jest w drodze, tylko zdarzył się jakiś wypadek.

Theisman nie wyglądał na przekonanego, a Montreal nie kryła sceptycyzmu. Natomiast Pritchard jako najbardziej doświadczona w tajnych operacjach przyznała mu rację. Poza tym było jeszcze coś - mówili o Cachacie, człowieku, który już udowodnił, że ma niezwykły talent do wychodzenia ze zdawałoby się beznadziejnych sytuacji.

- Zgadzam się z Denitem, że dobrze byłoby wiedzieć więcej i że nic nie możemy zrobić - podsumowała. - Jak sądzę, zgadzamy się, że to, co wiemy, potwierdza wersję Harrington?

Kolejno przyglądała się obecnym i kolejno uzyskiwała milczące potwierdzenia.

- W takim razie należy też poważnie potraktować ostrzeżenie dotyczące cierpliwości i... jak to było... elastyczności Elżbiety - dodała Pritchard. - Nie jestem pewna, czy Mesa chce, żeby Królestwo najpierw zniszczyło nas, a potem padło ofiarą Ligi, ale nie jest to niemożliwe. Zresztą nieważne, czy to Mesa chciała osiągnąć, czy uda jej się to osiągnąć przypadkiem; liczy się skutek. Dlatego uważam, że najwyższy czas zająć się naszymi oportunistami, nim zdecydują się wykorzystać sytuację.

- A co zamierzasz zrobić? - spytał nieco sceptycznie Theisman.

- Ja osobiście nic - poinformowała go uprzejmie Pritchard.

- Nic?! - zdziwił się LePic.

- To się nazywa w ludzkim języku „dupochron”, Denis, a oficjalnie „wiarygodne zaprzeczenie” - dodała z drapieżnym uśmiechem. - Najprościej byłoby każdemu przystawić pulser do potylicy i kazać złożyć podpis w oznaczonym miejscu, ale obawiam się, że Younger uznałby to za bluff i zmusił mnie do pociągnięcia za spust. Nie żeby mi to nie sprawiło

przyjemność, ale skutek nie byłby taki, jakiego sobie życzymy. Nie mogę mu kazać się zamknąć za każdym razem, gdy wymyśla jakąś przeszkodę, bo byłby to precedens zamordyzmu politycznego, na którym trudno budować demokrację. Mogę natomiast uświadomić mu, że wykorzystanie tego pretekstu byłoby nader... nierozważne, i założyć mu smycz na przyszłość.

- Jak? - spytał Theisman.

- Wykorzystując narwańca, który się nam nie zgubił. Wszyscy wiedzą, że Kevin Usher jest niekontrolowanym narwańcem. Jestem pewna, że jeśli porozmawia z Youngerem i McGwire'em, indywidualnie ma się rozumieć i bez zostawiania jakichkolwiek śladów, które dałoby się wykorzystać do przekręcenia jego słów czy wypaczenia intencji, to przekona ich, że nierozsądne byłoby używanie tych bezpodstawnych oskarżeń Mesy dla osiągnięcia prywatnych celów politycznych. Podobnie zresztą jak nadmierna inwencja w przeciąganiu negocjacji z tych samych powodów.

- Chcesz powiedzieć, że im zagrozi? - upewnił się Theisman zupełnie spokojnie.

Pritchard uśmiechnęła się niewinnie.

- Skądże znowu! - zaprzeczyła. - Kevin nigdy nie grozi. On jedynie od czasu do czasu przewiduje najprawdopodobniejsze skutki czyjegoś postępowania. Robi to rzadko, ale jeszcze nigdy się nie pomylił.



## **LUTY 1922 ROKU PO DIASPORZE**

„Liga Solarna nie może pozwolić, żeby jakaś obsrana flota z zadupia tak się zachowywała, niezależnie od tego jak dalece czułaby się sprowokowana. Bo jeśli na to pozwolimy, to Bóg jedyny wie, kto spróbuje jakiego głupiego numeru jako następny”.

Admirał floty Sandra Crandall,

Marynarka Ligi

## ROZDZIAŁ XVIII

- No i proszę, niespodzianka. A raczej kolejna niespodzianka. - Mimo lekkiego tonu mina Elżbiety Winton była jak najbardziej poważna, a leżący na jej kolanach Ariel był niesamowicie wręcz nieruchomy.

- Kompletne zaskoczenie to to nie jest - odezwał się earl White Haven.

- Nie jest - zgodziła się Królowa. - Choć fakt, że ta cała Anisimowna zaniżyła liczbę okrętów, zdecydowanie zaskakuje.

- Nie spodziewam się, by ktokolwiek miał inne zdanie - skomentował sir Anthony Langtry.

- I wątpię, by kogokolwiek z obecnych zdziwiło, że te okręty tam jednak są - dodał William Alexander. - Nikt również nie sądzi, że ich obecność może wpłynąć na poprawę sytuacji.

- A to zależy całkowicie od tego, kto nimi dowodzi - zaproponował sir Thomas Caparelli, Pierwszy Lord Przestrzeni Royal Manticoran Navy. - Jeśli ta Crandall ma choćby o jeden zwój mózgowy więcej od kury, to zostanie tam, gdzie jest, i poczeka na rozkazy z Ziemi, żeby nie doprowadzić do tego, iż sytuacja wymknie się spod kontroli.

- A co cię skłania do tak optymistycznego założenia w kwestii inteligencji solarnych admirałów wysyłanych do sektora Madras? - spytała Elżbieta, nie kryjąc złośliwości. - Mogę się zgodzić, że we Flocie Granicznej jest paru Wyższych oficerów zdolnych samodzielnie się ubrać bez wydrukowanej instrukcji, ale jeśli Crandall została wybrana z tych samych powodów co Byng i przez tych samych ludzi, to albo jest kompletną kretynką niezdolną samej się wysmarkać, albo siedzi w kieszeni Mesy. Jeśli to pierwsze, to odruchowo potraktuje siły Mike jak gwoździe, a sama uzna się za młotek, jeśli to drugie, postąpi tak, bo jej za to zapłacono. Wątpię, by z punktu widzenia gwoźdźnia była to jakakolwiek różnica.

- Tyle że w tym wypadku młotek nie ma pojęcia, czym grozi spotkanie z gwoździem - dodał White Haven.

- Jaka jest szansa, że Crandall zorientuje się, w jakiej naprawdę jest sytuacji? - spytał William Alexander.

- Gdybym znał odpowiedź, nie potrzebowalibyśmy Pat Givens i jej radosnej gromadki - skrzywił się Hamish. - Każdy, kto oceniłby drugą bitwę o New Tuscany obiektywnie i bez

uprzedzeń, zorientowałby się, jaka różnica uzbrojenia dzieli go od nas. Crandall może to wiedzieć, ale nie musi. Mogła też uznać, że to, co spotkało krążownik liniowy, nie grozi jej superdreadnoughtom. Zresztą jak słusznie zauważyła Jej Wysokość, ten, kogo Mesa wyznaczyła do tego zadania, nie będzie zbyt zainteresowany sprawdzaniem parametrów taktyczno-technicznych. A nawet gdybym się mylił, prawdopodobne jest, iż Crandall oprze się na tym, że superdreadnoughty są znacznie wytrzymalsze od krążowników liniowych.

- Wystarczająco, żeby nie musiała się przejmować sztuczkami, których może spróbować ktoś, kto ma tylko kilka krążowników liniowych, tak? - dokończył jego brat.

- Mniej więcej - zgodził się Caparelli. - Na dodatek może mieć nadzieję, że posiłki nie zdążyły donikąd dotrzeć. Jeśli tak uważa, będzie się spieszyć.

- Zgadzasz się z oceną Mike co do wyboru celów? - spytała Elżbieta, drapiąc Ariela za uchem.

- Biorąc pod uwagę ich plany awaryjne zdobyte w New Tuscany, tak, Wasza Wysokość. Gdyby nie terminal Lynx, system Spindle byłby priorytetowym celem. Tak, na dwoje babka wróżyła, bo opanowanie terminalu pozwoliłoby zablokować dotarcie posiłków, a równocześnie zmusiłoby admirał Henke do przejścia do ofensywy. Dla solarnego stratega to kuszące, natomiast nie sądzę, żeby zdobywała system po systemie bez zniszczenia 10. Floty - odparł Caparelli.

- Chciałbym, żeby wybrała terminal - odezwał się White Haven.

- Ja też - zgodził się Caparelli. - Wszystkie forty poza jednym są w pełni sprawne i mają komplet systemu *Apollo* rozstawiony i gotów do użycia. Prawdę mówiąc, planowaliśmy odwołać Jessupa Blaine'a, żeby wyposażyć jego okręty w *Apollo* i *Keyhole 2*.

- Więc obaj jesteście pewni, że forty poradzą sobie z siedemdziesięcioma superdreadnoughtami? - upewniła się Królowa.

- Może to zabrzmieć jak przechwałka, Wasza Wysokość, ale ta bitwa potrwałaby dokładnie tyle, ile załogi fortów potrzebowałyby na rozstrzelanie tych siedemdziesięciu superdreadnoughtów - uśmiechnął się Caparelli. - Obronę terminalu Lynx zaprojektowano tak, by bez wsparcia wytrzymała atak dwustu pięćdziesięciu takich okrętów liniowych jak nasze przed wprowadzeniem systemu *Apollo*. Nie jesteśmy jeszcze pewni dokładnie o ile, ale bezpieczne założenie jest takie, że czterokrotnie.

- W takim razie admirał Blaine mógłby... - zaczęła Elżbieta.

- Admirał Blaine już otrzymał rozkazy, Wasza Wysokość - przerwał jej Caparelli. - Wydałem je przed przyjazdem tutaj, jeśli więc nie wyruszył jeszcze do Spindle, zrobi to w ciągu najbliższej godziny. I choć nie ma *Apollo*, te solarne okręty nie będą dlań żadnym

problemem. Jest też druga dobra wiadomość: okręty amunicyjne dotrą do systemu Spindle czterdzieści osiem godzin wcześniej, niż została poinformowana admirał Henke.

Elżbieta odetchnęła z wyraźną ulgą, ale zaraz potem White Haven odchrząknął i rzekł:

- Zgadzam się z tym, co Tom właśnie powiedział, ale jest mało prawdopodobne, by Blaine zdołał dotrzeć do Spindle przed Crandall, o ile wyruszyła ona z Meyers krótko po odlocie *Reprise*, Wasza Wysokość. Mike będzie miała do dyspozycji to, czym w tej chwili dowodzi, bo nawet jeśli dotrą do niej rakiety, nie ma *Keyhole 2*.

- A jakie będzie miała szanse bez *Apolla* i Blaine'a? - spytała cicho Królowa.

- Po analizie zdobytych baz danych i zakładając, że Crandall nie ma więcej okrętów, a admirał Henke będzie walczyła równie sprytnie jak zawsze do tej pory, rzekłbym, że co najmniej pięćdziesięcioprocentowe - odpowiedział spokojnie Caparelli. - A najprawdopodobniej większe. Naturalnie nie przetrwałaby pojedynku artyleryjskiego z tyłoma *superdreadnoughtami*, ale też nieprawdopodobne jest, by któryś z nich istniał na tyle długo, by dotrzeć do jej okrętów na odległość umożliwiającą użycie dział. Mają słabą obronę antyrakietową nawet według naszych standardów z okresu poprzedzającego wprowadzenie okrętów raketowych. Analiza ich antyrakiet i systemu *Halo*, w jakie wyposażone były krążowniki liniowe Bynga, świadczy o tym, że Marynarka Ligi nadal nie ma pojęcia, jak wygląda nowoczesny pojedynek raketowy i do czego zdolne są nowoczesne rakiety. Zresztą o ile to nadal jest prawda, w co szczerze mówiąc nie mogę uwierzyć, to z danych z ich banków pamięci wynika, że co najmniej dwie trzecie jednostek znajdujących się w Rezerwie nadal wyposażonych jest w sprzężone działka szybkostrzelne jako obronę antyrakietową.

- Żartujesz?! - wykrztusił Langtry.

- Nie. Wiem, że to niewiarygodne, ale takie dane były w ich komputerach. Analitycy Pat uważają, że Marynarka Ligi dopiero niedawno zdała sobie sprawę ze wzrostu zagrożenia ze strony rakiet. Z informacji po bitwie o Torch wynika, że ktoś w Lidze eksperymentuje z rakietami dalekiego zasięgu, ale wbrew temu, co powiedziano Luftowi, nie jest to Marynarka Ligi. Ta owszem, modernizuje swoje rakiety, ale modernizacja nie obejmuje zwiększenia zasięgu, tylko systemy samonaprowadzające i środki wojny radioelektrycznej. A ten ich cały system *Aegis*, który ma być przełomem w obronie antyrakietowej, polega na tym, że w miejsce dwóch dział zainstalowano dodatkowe łącza taktyczne i systemy kierowania ogniem, co umożliwia naprowadzanie antyrakiet wystrzeliwanych w kanistrach z wyrzutni rakiet. Coś w stylu kartacza. To naturalnie wzmacnia obronę przeciwlotniczą, ale zmniejsza siłę ognia ofensywnego, już i tak niezbyt imponującą. A ich antyrakiety są gorsze od naszych, oprogramowanie kontroli ognia odpowiada zaś naszemu z okresu operacji Thunderbolt. Poza

tym nawet na okrętach przebrojonych z szybkostrzelnych działek w działka laserowe nie zwiększono liczby luf. Nie wątpię, że Marynarka Ligi wzmocniła w ten sposób obronę antyrakietową swoich jednostek, przez co będzie trzeba użyć więcej rakiet niż jeszcze parę lat temu, ale końcowy rezultat i tak nie ulegnie zmianie. Admirał Henke ma cztery okręty amunicyjne wyładowane zasobnikami z rakietami *Mark 23* i magazyny artyleryjskie pełne rakiet *Mark 16*, w większości z nowymi głowicami laserowymi. Wszystkie jednostki klasy *Nike* są wyposażone w *Keyhole*. Jeśli ta cała Crandall będzie na tyle głupia, by zjawić się w systemie *Spindle*, admirał Henke może co prawda nie być w stanie go utrzymać, ale byłbym zdziwiony, gdyby w systemie zostało choć dziesięć procent tych solarnych okrętów, które doń wleciały, gdy skończą się jej rakiety.

- Co tylko pogorszy sprawę z dyplomatycznego punktu widzenia - podsumował Langtry. - Zwłaszcza po rewelacjach O'Hanrahan.

- Dzięki za przypomnienie! - burknął premier. - A już mi się udało ze dwie godziny o tym nie myśleć!

- Trzeba przyznać, że to było doskonale posunięcie - oceniła kwaśno Elżbieta. - Jedyne pismo w całej Lidze Solarnej, któremu nie sposób zarzucić, że siedzi w kieszeni *Manpower*. Gorzej: przez tyle lat ujawniała przekręty Biura, *Manpower* i *Technodyne*, że ten ostatni materiał jest tym wiarygodniejszy.

- Dalej nie rozumiem, jak im się to udało. - *White Haven* potrząsnął głową. - Wiadomo, że O'Hanrahan ma stosowne kontakty, powinna więc zostać poinformowana, że zapis jest sfałszowany, niezależnie od tego, jak dobrze to zrobiono. Jak zdołali ją oszukać?

- Zapis miał autentyczne kody identyfikacyjne Marynarki *New Tuscany*, co potwierdziła *Pat* - wyjaśnił *Caparelli*. - Dzięki temu wygląda jak oryginalny. A O'Hanrahan nigdy nie twierdziła, że była w stanie potwierdzić zawartość zapisu, tylko fakt, że dotarł z *New Tuscany* i został potwierdzony przez flotę tego systemu... w przeciwieństwie do dostarczonego przez nas.

- I to pod wieloma względami jedynie pogarsza sprawę. - Langtry pokiwał głową ze smutkiem. - To nie ona bije na alarm, ona tylko dostarczyła pałeczki dobozom. Ba, ona nawet protestuje, i to ostro, że inni wypaczyli to, co napisała, twierdząc, że całość jest autentyczna.

- Pięknie: pismo, który chciał dobrze, tylko mu się nie udało! - prychnął *White Haven*. - Nie mogłoby być na odwrót? *Pandorze*, zdaje się, też nie wyszło wsadzenie z powrotem tego, co było w puszcze.

- Nie wyszło - przyznał Langtry. - Ale i tak w dalszym ciągu widać rączkę

Abruzziego.

- Na dłuższą metę i tak im to nic nie da, bo za dużo ludzi w New Tuscany zna prawdę - zaprotestowała Elżbieta. - A my mamy oryginalne nagrania floty systemowej z tymi samymi kodami autentyczności i wbitym czasem. Zawartość naturalnie się nie zgadza, bo zgadzać się nie może!

- Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, ale to dokładnie taka sama sytuacja jak z korespondencją dyplomatyczną z Republiką Haven - sprzeciwił się Langtry. - Zastanawiam się zresztą, czy to nie stanowiło natchnienia dla autorów tego posunięcia. Za ładnie to wszystko jest zgrane w czasie: najpierw oskarżenie Zilwickiego, potem materiał O'Hanrahan.

- Naturalnie, że to zorganizowane - ocenił ponuro White Haven. - Obie historie albo zaczęły się na Mesie, albo oficjalnie przynajmniej przechodziły przez Mesę. Ktoś tam to bardzo starannie zaplanował, a O'Hanrahan wrobili właśnie dlatego, że zawsze starała się być obiektywna i ostrożna. A to, że była jedną z niewielu w Lidze, którzy domagali się dowodów i kwestionowali podaną im wersję wybuchów w Green Pines, jedynie uprawdopodobniło drugą kwestię. I powoduje, że jest dla nas groźniejsza, bo ujawniona przez autentycznie obiektywną dziennikarkę. Wykorzystanie jej było ryzykowne, ale jak widać, opłaciło się.

- A tacy jak Abruzzi i Kołokolcow są zdolni zignorować prawdę, nawet jeśli ta kopnie ich między oczy - dodał Grantville. - Wybiorą wersję, która im pasuje, ignorując resztę, a jeśli się po fakcie okaże, że była niewłaściwa, nawet przeproszą, bo pomyłki przecież zawsze mogą się zdarzyć, prawda? Już ich słyszę: „Przykro nam, że mimo wysiłków, by poznać prawdę, nie udało się, ale problem nie jest taki duży - podbiliśmy tylko jakieś Gwiazdne Królestwo czy Imperium, ot, takie nic nie znaczące państwko. Naturalnie zrobimy, co się da, by odzyskało ono niepodległość, a chwilowo powstał tam rząd tymczasowy pod auspicjami Biura Bezpieczeństwa Granicznego. Gdy społeczeństwo Manticore dojdzie do siebie i wybierze demokratyczny rząd, odrzucając tę jakąś tam monarchię, przyjmiemy je do Ligi Solarnej jako, dajmy na to, protektorat, żeby podobne nieporozumienia już się w przyszłości nie zdarzyły. Ewentualnie możemy zrezygnować z protektoratu, niech sobie będą niezależni, byle na jedynie słuszny solarny sposób i podobieństwo. W końcu Liga Solarna to najbardziej demokratyczne państwo w galaktyce”. Amen.

- Ładnie to ująłeś - pochwaliła kwaśno Elżbieta. - A jeśli Abruzzi faktycznie maczał w tym palce, to zdecydowali, że właśnie tak chcą to rozwiązać.

- A przynajmniej do takiego rozwiązania przygotowują grunt - zgodził się Langtry.

- A jeśli Crandall zaatakuje Spindle i przegra, uznają, że zabrnęli zbyt daleko, by się wycofać - dodał White Haven.

- W takim razie dobrze się stało, że w końcu posłuchałam Honor - oceniła Elżbieta i uśmiechnęła się z napięciem, ale bez strachu. - Wygląda na to, że będziemy mieli okazję sprawdzić, na ile trafne były jej strategiczne pomysły, jak walczyć z Ligą Solarną. A wtedy pomysł, by zakończyć wojnę z Republiką Haven, będzie przynosił wręcz nieoczekiwane korzyści. Jak myślisz, Hamish, mam ją pochwalić przy okazji wysyłania kopii raportu Mike?

- Wasza Wysokość może mi wierzyć, że to całkiem bystra niewiasta. Sama się domyśli, że Wasza Wysokość jest zadowolona. Ale pochwała zawsze jest miła, proszę się więc nie krępować.

\* \* \*

Admirał floty Sandra Crandall nigdy nie reagowała dobrze na rozczarowania. Była duża, twarda, zdeterminowana i jak to kiedyś określił jeden z jej podkomendnych, zachowywała się jak niedźwiedź grizzly z hemoroidami próbujący wysrać szyszki. Komandor Hago Shavarshyan uważał, że ocena ta jest wysoce niesprawiedliwa dla misiów grizzly.

Mógł to dobrze ocenić, jako że spotkał go wątpliwy zaszczyt trafienia do sztabu Crandall dosłownie w ostatnim momencie przed jej wyruszeniem z systemu Meyers. Najwyraźniej już po podjęciu decyzji, że idzie na wojnę z Royal Manticoran Navy, olśniło ją, że być może niegłupim pomysłem byłoby mieć w swoim sztabie choć jednego oficera wywiadu, który wie cokolwiek o lokalnej sytuacji. I w ten sposób Shavarshyan został jedynym oficerem Floty Granicznej w 496. Zespole Wydzielonym, którego dowódcami byli wyłącznie oficerowie Battle Fleet. Do tego wszyscy starsi stopniem od niego i współzawodniczący w tym, kto lepiej wejdzie pani admirał w dupę bez mydła. To ostatnie przejawiało się w zaciekłym wręcz przytakiwaniu wszystkiemu, co powiedziała.

Te rozmyślenia snuł, stojąc na mównicy admirałskiej sali odpraw superdreadnoughta *Joseph Buckley* i czekając, aż pani admirał i reszta zajmą miejsca.

- No dobra - warknęła Crandall. - Do rzeczy.

Shavarshyan wyprostował się i przybrał zawodowo obojętny wyraz twarzy, choć był to zbędny wysiłek. Wszyscy obecni wiedzieli, że od 35 dni standardowych, czyli od opuszczenia Meyers, nie dotarły do nich żadne nowe dane. Tyle że nie to chciała usłyszeć pani admirał.

- Jak pani wie, ma'am wraz z admirał Ou-yang kontynuowaliśmy analizę meldunku admirał Sigbee oraz porównywanie jego treści z danymi dostępnymi w analizach Floty Granicznej. Napisałem raport zawierający wszystkie informacje i wnioski i wszyscy powinni go otrzymać zaraz po powrocie z odprawy, jeśli jeszcze nie dotarł on do adresatów. Niestety

w większości potwierdza on wnioski zawarte w poprzednim, bo nie otrzymaliśmy żadnych nowych informacji, a dostępne niczego więcej nie ujawnią. Wolałbym, aby było inaczej, ale w tej sytuacji byłaby to jedynie spekulacja, ma'am.

- Ale nadal upiera się pan przy tych nonsensach dotyczących rakiet? - spytał wiceadmirał Pépé Bautista, szef sztabu Crandall, nie kryjąc sceptycyzmu i nie siląc się na uprzejmość.

Uprzejmy nie starał się być nawet wobec oficerów Battle Fleet, jeśli byli od niego młodszy stopniem, nie widział więc powodu, dla którego miałby się wysilać wobec zwykłego komandora Floty Granicznej.

- Dokładnie o jakie nonsensy chodzi, sir? - spytał uprzejmie Shavarshyan.

- Już meldunek Grunera, że okręty RMN odpaliły rakiety do *Jeana Barta* z odległości czterdziestu milionów kilometrów, jest mało wiarygodny. Chciałbym zobaczyć jakieś zapisy sensorów, nim uznam, że to możliwe. Ale nawet zakładając, że tak jest, nieprawdopodobna jest pańska sugestia, że mogą mieć jeszcze większy zasięg!

- Też chciałbym mieć lepsze dane, sir - przyznał zupełnie szczerze Shavarshyan.

Porucznik Aloysius Gruner dowodzący jednostką kurierską *17702*, jedynym okrętem, który zdołał uciec z systemu New Tuscany po śmierci Bynga, a przed kapitulacją Sigbee, został wysłany z wiadomością na samym początku konfrontacji. Byng bowiem w kolejnym przebiegu niekompetencji nie rozkazał nawet innym jednostkom kurierskim uaktywnić napędów, dzięki czemu wszystkie grzecznie siedziały na orbicie parkingowej, gdy Sigbee się poddała. Kurier *17702* był na tyle blisko, że zdołał odebrać ostatni meldunek Sigbee o zniszczeniu *Jeana Barta* i kapitulacji, ale już nie zapis sensorów, bo na to nie starczyło czasu. A sensory pokładowe nie były na tyle dobre, by ich odczyty z tej odległości pomogły wyjaśnić, jak stało się to, co się stało. Szczegółowe dane prawdopodobnie wysłano do Meyers, ale jeszcze tam nie dotarły, gdy 496. Zespół Wydzielony wyruszył na wojnę.

- Natomiast porucznik Gruner był na miejscu i widział, co zaszło - dodał. - Nic w meldunku admirała Sigbee nie wskazuje, by pomylił się w ocenie odległości, z której odpalono rakiety. A biorąc pod uwagę geometrię starcia, oznacza to, że rakiety te mają na pewno zasięg dwudziestu dziewięciu milionów kilometrów, licząc od miejsca wystrzelenia z nieruchomych wyrzutni. Nic, czym dysponujemy, nawet te najnowsze rakiety obrony systemowej Technodyne, nie może pokonać takiej odległości i mieć jeszcze paliwa na atak. Trzydzieści milionów kilometrów to blisko teoretycznego skutecznego zasięgu dwustopniowej rakiety, według naszych specjalistów logiczne jest więc założenie, że to były właśnie rakiety wielostopniowe. A to z kolei oznacza, że mają większy zasięg niż trzydzieści milionów



kilometrów, i pomyślałem, że dobrze byłoby wziąć to pod uwagę.

Powiedział to spokojnie, by nie rzec uprzejmie, ale Bautista i tak zacisnął zęby, słysząc wzmiankę o bitwie o Monicę, w której jak się okazało, rakiety RMN miały jeszcze większy zasięg niż kolosy Technodyne.

Dlatego zresztą Shavarshyan o nich wspomniał.

Bautista już otwierał usta, ale uprzedziła go wiceadmirał Ou-yang Zhing-wei, oficer operacyjny Crandall.

- Sądzę, że komandor Shavarshyan ma rację, choć ten zasięg nie jest dużo większy. Natomiast jest to możliwość, którą trzeba mieć na uwadze.

- Właśnie - zgodziła się Crandall, choć widać było, że nie jest zachwycona. - Ale na dłuższą metę to bez znaczenia, bo nawet zakładając, że Gruner i Sigbee mieli rację, i tak wiedzieliśmy, że RMN ma rakiety o większym zasięgu. Zgadzam się też z Sigbee i z panem, komandorze Shavarshyan, że rakiety te są zbyt duże, by mogły być wystrzeliwane z pokładowych wyrzutni ich krążowników liniowych, którym mieliśmy okazję się przyjrzeć. Muszą pochodzić z zasobników, a więc nie mogą mieć wystarczającej liczby łączny, by móc je kontrolować przez całą długość lotu. A przy tak dużym zasięgu celność nie może być duża bez zdalnego sterowania. Naturalnie część z nich przedostanie się przez naszą obronę antyrakietową i możemy stracić parę okrętów, ale w ten sposób nie powstrzymają takiej siły jak nasza. A nie dam się namówić, żeby postępować z nimi łagodnie, bo mają niby jakąś superbroń. Do tej chwili ten cholerny niszczyciel musiał już dotrzeć do Spindle, o ile więc skończyli srać po nogach, wysłali prośbę o posiłki, ale po laniu spuszczonego przez Marynarke Republiki niewiele im zostało, co mogliby wysłać do Spindle. Więc nie musimy się tego obawiać, gdy dotrzemy na miejsce i zmienimy ich najgorsze koszmary w rzeczywistość.

- Zgadzam się, że powinniśmy się spieszyć, ma'am, ale do moich obowiązków należy dopilnowanie, byśmy nie ponieśli większych strat, niż musimy - odparła Ou-yang. - A niespodzianek nie lubię tak samo jak pani, niezależnie od tego, kto jest ich autorem.

Crandall prychnęła z pogardą. A przynajmniej tak się Shavarshyanowi wydawało, bo generalnie trudno było rozróżnić jej pogardliwe prychnięcia od rozbawionych prychnięć. Zresztą wyglądało na to, że ona sama ich nie rozróżnia.

Był pełen podziwu dla metod Ou-yang, będącej jedyną osobą w sztabie, którą mógłby uznać za kogoś w rodzaju sojusznika. I jak sądził, żywiącej podobne co on podejrzenia w kilku kwestiach. A zastanawiał się choćby nad tym, jakim cudem ktoś taki jak Joseph Byng, admirał Battle Fleet żywiący nieskończoną pogardę dla Floty Granicznej, skończył, dowodząc

grupą wydzieloną tejże Floty Granicznej, Znając związki Manpower i Technodyne z Unią Monica i pewne sekrety Verrochia i Hongbo, których znać nie powinien, domyślał się, kto za tym stał.

A to z kolei rodziło poważniejsze pytanie, a mianowicie dlaczego to pani admirał Crandall wybrała ten właśnie kawałek sektora Madras na miejsce ćwiczeń o nazwie Zimowy Popas. Gotów był przyznać, że podobne ćwiczenia mające na celu sprawdzenie logistyki Battle Fleet z dala od bogato zaopatrzonych baz były jak najbardziej sensowne, ale można je było przeprowadzić w kilkunastu rejonach, zaczynając od znajdujących się kilkadziesiąt lat świetlnych od Układu Słonecznego. Było tam sporo pustych i nieużywanych systemów - wystarczyło zaparkować w którymś na pół roku i zobaczyć, jak sprawdza się zaopatrzenie.

Warunki miały być zapewne jak najbardziej realistyczne, wytypowano więc obszar leżący setki lat świetlnych od Ziemi, ale nadal nie rozumiał, dlaczego Crandall wybrała akurat ten rejon, akurat w tym czasie, i to na ćwiczenia, o których mowa była od lat. Naturalnie mógł to być przypadek, tylko jakoś nie chciało mu się w to wierzyć. Druga możliwość zaś była taka, iż sprawił to ten, kto doprowadził do objęcia dowództwa przez Bynga i wysłania go tutaj. Skoro to było wykonalne, mimo iż wydawało się niemożliwe, podobnie mogło być i teraz.

Nie podobała mu się ta możliwość, co nie powodowało niestety, że stawała się mniej prawdopodobna.

To założenie rodziło kolejne niemiłe pytanie: jak głęboko w kieszeni Manpower siedziała Crandall?

Przez piętnaście lat standardowych był oficerem wywiadu floty, toteż niezłe się orientował w realiach życia na Pograniczu. Dlatego fakt istnienia układu między Manpower i Verrochiem czy Hongbo nie stanowił dlań żadnego zaskoczenia, ale to, że Manpower miało takie dojścia do Marynarki Ligi, by spowodować to, co podejrzewał, to była zupełnie inna sprawa. Nadal nie bardzo mógł uwierzyć, że admirałowie Battle Fleet wykonują rozkazy korporacji handlowej, i to spoza Ligi Solarnej.

Doszedł co prawda do wniosku, że Byng miał ponieść klęskę, bo nikt mający choćby elementarne rozeznanie w realiach nie powierzyłby mu zadania taktycznego bardziej skomplikowanego niż obrabowanie kiosku. W sumie nawet nie trzeba było mu niczego kazać: wystarczyło umieścić go w sytuacji, w której spanikuje i zadziała odruchowo, czyli głupio, by mieć pewność, że osiągnie się zamierzony cel. Tłumaczenie mu prawdziwych celów byłoby wręcz błędem, bo mógłby coś pomylić albo się wygadać. Dlatego zmienił swą pierwotną opinię, iż New Tuscany stanowiło klęskę dla Manpower. Spowodowało to, że zaczął się

poważnie zastanawiać nad rolą Crandall. Gdyby Manpower uważało, że Byng da sobie radę, po co zadawałoby sobie trud i wchodziło w koszty organizowania tak potężnego wsparcia? A skoro spodziewano się, że Byng poniesie klęskę, dlaczego w ogóle go tam wysłano? Prościej było od razu zlecić sprawę Crandall... o ile liczone na to, że Crandall wygra. I ta kwestia stała się dlań najważniejsza, odkąd dostał przydział do jej sztabu. Byng mógł być pretekstem, którego potrzebowała, by zadziałać. Ale mogła też okazać się powtórką z Bynga na większą skalę. A jeśli zachodziła ta druga ewentualność, to czy Crandall była tego świadoma? Czy też była równie głupia, że nie brała podobnej możliwości pod uwagę?

Jedyne, czego był pewien, to tego, że Ou-yang Zhing-wei nie była w nic wtajemniczona. Bautista zresztą też nie, ale on był równie głupi jak Byng. Ou-yang natomiast miała działający umysł, i to większy od oliwki. To ona przekonała Crandall, że powinna zacząć od prób negocjacji, a nie od salwy, ledwie wyjdzie z nadprzestrzeni. Bautista w nagrodę omal nie oskarżył jej o tchórzostwo, a Crandall pomysł się nie spodobał, ale Ou-yang okazała się całkiem dobra w manipulowaniu przełożoną.

Pomogło jej bez wątpienia to, że stracili tydzień, nim mogli wyruszyć, bo nawet Crandall nie mogła twierdzić, że przybędą do Spindle niespodziewanie. A sam słyszał jej tyradę w gabinecie Verrochia, gdy zarzekała się, że wyruszy w ciągu 48 godzin standardowych.

Życie dowiodło, że letarg Battle Fleet jest silniejszy.

Mógł mieć tylko nadzieję, że życie nie da jej kolejnej nauczki w postaci silnego kopa w tyłek, bo jego własny tyłek też by przy tym ucierpiał.

## ROZDZIAŁ XIX

- No dobra, Darryl. Chyba już czas z nimi pogadać - zdecydowała ponuro admirał Crandall.

- Rozkaz, ma'am - odparł kapitan Darryl Chatfield, jej oficer łącznościowy.

I zajął się nawiązaniem łączności z planetą, która wywoływała ich od czterdziestu pięciu minut.

496. Zespół Wydzielony Marynarki Ligi zajmował pozycję tuż za granicą przejścia w nadprzestrzeń systemu Spindle wynoszącą 22 minuty świetlne. Planeta Flax - stolica systemu, jak i całego Quadrantu Talbott - znajdowała się 9 minut świetlnych od okrętów, czyli grubo poza zasięgiem rakiet. Nie zmieniało to faktu, że 496. Zespół Wydzielony od prawie godziny bezczelnie naruszał prawo międzyplanetarne, jako że od wieków uznawano, iż granica każdego systemu planetarnego znajduje się w odległości 12 godzin świetlnych od jego słońca. To, że żadna flota takiego obszaru nie patrolowała, było bez znaczenia, ponieważ każdy okręt miał obowiązek zidentyfikować się po jej przekroczeniu, jeśli został do tego wezwany, oraz wykonać każde zgodne z prawem polecenie wydane przez państwo, w którego obszarze się znalazł, nawet jeśli obejmowało ono pojedynczy system planetarny gdzieś na zadupiu. To, jak szybko miał to zrobić, nie zostało dokładnie określone, ale powszechnie uznawano, że w sensownym możliwym czasie, czyli bez specjalnej zwłoki.

A Sandra Crandall ignorowała obwołanie z planety dokładnie przez trzy kwadranse, nim na nie odpowiedziała nie wspominając o tym, że nawiązała łączność, nie ruszając się z miejsca, co oznaczało dziewięćminutową zwłokę w konwersacji w jedną stronę, bo tyle czasu potrzebował sygnał na dotarcie do adresata. Naturalnie oficjalnym powodem była chęć pozostania w odpowiedniej odległości od granicy przejścia w nadprzestrzeń, by wykluczyć ryzyko jakiegoś incydentu. W istocie chodziło jednak o obrażenia drugiej strony i danie jej do zrozumienia, że nie jest traktowana poważnie, czego Crandall przed swoim sztabem nie ukrywała.

Shavarshyan zastanawiał się, czy przypadkiem nie pominęła jakiejś okazji do wkurzenia gospodarzy, gdy na głównym ekranie łącznościowym pomostu flagowego pojawił się obraz. To, co zobaczył,omal nie spowodowało, że parsknął śmiechem, bo zamiast spoconego i gorączkowo wywołującego ich oficera przerażonego ignorowaniem ze strony niespodziewanych gości zobaczył szpakowatego jegomościa siedzącego wygodnie bokiem do

kamery w rozłożonym do połowy fotelu, z nogami na siedzeniu drugiego fotela. Siedzący oddawał się spokojnie lekturze, a tytuł książki dało się nawet odczytać - był to kryminał z cyklu o detektywie Garrecie Randallu autorstwa nader popularnego Darcy'ego Lorda.

Jegomość ani drgnął, dopóki z boku nie dobiegł go przeraźliwy, sceniczny szept:

- Odezwali się!

Wtedy spojrział przez ramię, zablokował stronę w czytniku i usiadł prosto, obracając się równocześnie z fotelem w stronę kamery. Nacisnął jakiś klawisz, najwyraźniej wyłączając automatyczne wezwanie do identyfikacji, i uśmiechnął się promiennie.

- A, obudziliście się! - orzekł radośnie.

Przez moment Shavarshyan miał nadzieję, że Crandall trafi apopleksja tu i teraz. Jej zejście sytuacji by nie poprawiło, gdyż jej zastępca, admirał Dunichi Lazlo dowodzący 196. Eskadrą Liniową, nie był wiele od niej mądrzejszy, ale obserwowanie padającej (być może w symulatorze) trupem Crandall sprawiłoby mu olbrzymią satysfakcję.

Niestety jego nadzieje okazały się płonne.

- Jestem admirał Sandra Crandall z Marynarki Ligi - warknęła w odpowiedzi.

- Widzę - skwitował osiemnaście minut później mężczyzna. - A ja jestem Gregor O'Shaughnessy z biura gubernatora. W czym mogę pomóc, pani admirał?

Pytanie zadał uprzejmie, po czym równie uprzejmie skinął głową i wrócił do lektury, rozsiadając się wygodnie i wyciągając nogi na sąsiedni fotel. Było to zupełnie rozsądne, choć może średnio uprzejme, ale coś przez ten czas oczekiwania musiał robić.

Crandall tak nie uważała i przez moment wyglądała zupełnie jak buldog nie mogący zrozumieć, dlaczego wygrzewający się na parapecie kot ignoruje kompletnie jego obecność po drugiej stronie zamkniętego okna. Jej ciśnienie, sądząc po barwie twarzy, osiągnęło interesujący poziom, gdyż O'Shaughnessy zrobił jej dokładnie to, co planowała zrobić jemu. Po dłuższej chwili opanowała się i oznajmiła lodowato:

- Jestem tu w odpowiedzi na niesprowokowany atak waszej floty na Ligę Solarną.

- Musiała zajść jakaś pomyłka - oświadczył O'Shaughnessy, odkładając książkę. - Nic nie wiem o żadnym niesprowokowanym ataku na obszar czy obywateli Ligi Solarnej.

- Mówię, jak pan doskonale wie, o świadomym i niesprowokowanym zniszczeniu krążownika *Jean Bart* wraz z całą załogą dwa i pół miesiąca temu w systemie New Tuscany - warknęła.

I dała znak Chatfieldowi, by wyłączył kamerę i mikrofon.

Po czym obróciła się wraz z fotelem do Bautisty.

- Oni się o to proszą, Pépé! - warknęła.

- Tym bardziej satysfakcjonujące będzie, gdy dostaną to, o co się proszą - pocieszył ją Bautista.

Crandall chrząknęła i spojrzała z wyrzutem na Ou-yang.

- Ten cały pomysł negocjacji jakoś się nie sprawdza - powiedziała, starając się, by nie brzmiało to jak warknięcie.

Nie do końca jej się udało.

- Na to wygląda, ma'am - zgodziła się oficer operacyjna. - To nie z ich powodu pani je przecież prowadzi, ma'am.

- Fakt. Ale nie stają się przez to ani trochę przyjemniejsze.

- Za to mamy dzięki nim czas, by spokojnie przyjrzeć się, co mają na orbicie w pobliżu, ma'am. A to, jak sędzę, warte jest chwili poświęcenia - rzekła Ou-yang.

- Niech już będzie - burknęła Crandall.

- A co tam mają, Zhing-wei? - spytał Bautista.

Shavarshyan przez moment zastanawiał się, czy pytanie nie miało na celu odwrócenia uwagi Crandall, ale szybko odrzucił tę myśl, bo jeśli na pokładzie był ktoś bardziej wkurzony na Królestwo Manticore niż ona, to tym kimś był właśnie wiceadmirał Pépé Bautista.

- Jeśli nie chcemy wysłać sond na tyle blisko, by zostały wykryte i zniszczone, dane będą tylko prawdopodobne, nie pewne - uprzedziła Ou-yang. - Nie ulega wątpliwości, że na orbicie jest superdreadnought i osiem tych ich dużych ciężkich krążowników czy też małych krążowników liniowych. Ale jestem pewna, że to nie wszystko, co mają.

- Dlaczego? - spytała znacznie spokojniej Crandall.

- Bo mamy kilka dziwnych „duchów” w tych samych miejscach i nieco za silnych, by można je uznać za przekłamanie sensorów. RMN ma ponoć dobre systemy maskowania elektronicznego, gotowa więc jestem się założyć, że to właśnie jej zamaskowane okręty.

- To sensowne, ma'am - zgodził się Bautista. - Chcą, żebyśmy nie byli pewni, jakimi siłami dysponują. A może mają nadzieję na jakąś zasadzkę!

Po tym ostatnim zdaniu prychnął pogardliwie.

- Mogą też chcieć nas zaniepokoić - dodała Ou-yang. - Dopóki się nie zjawiliśmy, nie wiedzieli, jakie siły tu wyślemy. Mogli się spodziewać o wiele mniejszych i liczyć na to, że jeśli ich okręty pojawiają się za naszymi, skłonią nas do odwrotu.

Shavarshyan otworzył usta, zamknął je, po czym wziął głęboki oddech i powiedział:

- Jest też możliwe, że próbują przekonać nas, że mają mniejsze siły niż w rzeczywistości, byśmy ich zlekceważyli i stali się zbyt pewni siebie.

Jeszcze nim skończył mówić, wiedział, że popełnił błąd. Sam zresztą nie bardzo w

taką możliwość wierzył, ale obowiązkiem oficera wywiadu było wskazywanie ewentualności przeoczonych przez innych. Sądząc po reakcji Crandall i Bautisty, nie docenili oni jego obowiązkowości, bo przyglądali mu się niczym półgłówkowi i całemu durniowi, najwyraźniej nie wierząc, że nawet oficer Floty Granicznej może być aż tak głupi.

- Mamy siedemdziesiąt okrętów liniowych, komandorze - powiedział Bautista tonem, jakim zwraca się zwykle człowiek do opóźnionego w rozwoju dziecka. - Ostatnie, czego oni mogą chcieć, to z nami walczyć, bo są świadomi, że byłoby to krótkie, ale bardzo niemiłe dla nich doświadczenie. Nie sądzi pan, że wobec tego powinni starać się wyolbrzymić swoje siły, by zniechęcić nas do ataku?

Zapytany zacisnął zęby, ale nim zdążył odpowiedzieć, niespodziewanie w sukurs przysłała mu Ou-yang.

- Komandor Shavarshyan może mieć rację, Pépé, ale nie w tym sensie, w jakim to zrozumiałeś - powiedziała z namysłem. - Oni faktycznie nie mogą chcieć z nami walczyć, ale mogli dostać rozkaz, by tak właśnie postąpić. A radzę pamiętać, że to doświadczeni oficerowie, bo od dwudziestu lat standardowych toczą lokalną co prawda, ale zaciętą wojnę.

- I dzięki temu odkryli sposób, w jaki ciężkie krążowniki czy krążowniki liniowe mogą zniszczyć superdreadnoughty? - spytał sarkastycznie Bautista.

- Tego nie powiedziałam - osadziła go Ou-yang. - Chodzi mi o to, że obecnie raczej trudno znaleźć niepewnego czy tchórzliwego królewskiego oficera. Jeśli więc dostali rozkaz, by walczyć, wypełnią go, czy im się to podoba, czy nie, a w tej sytuacji chęć, byśmy ich nie docenili, ma sens. Niewiele co prawda im to pomoże, ale przy takiej dysproporcji sił na ich miejscu starałabym się wykorzystać każdą, nawet najdrobniejszą rzecz mogącą choć trochę wyrównać szanse.

- Rozumiem, o co chodzi - przyznała Crandall - ale...

- Przepraszam, ma'am - wtrącił kapitan Chatfield. - Za dwie minuty nadejdzie odpowiedź.

- Dziękuję, Darryl. - Crandall nawet na niego nie spojrzała. - W tym może coś być, Pépé. Przeanalizujcie to z Zhing-wei, opierając się na założeniu, że wszystkie duchy to te przerośnięte krążowniki liniowe. I zróbcie drugą analizę, że to superdreadnoughty, które zdążyły dotrzeć tu z Manticore. Jasne?

- Tak, ma'am - potwierdził Bautista, choć widać było, że uważa to za marnowanie czasu i energii.

Crandall odwróciła się do ekranu i kamery tuż przed tym, nim Chatfield zameldował:

- Aktywna wizja i fonia, ma'am.

- Dobrze wiem, co się stało w New Tuscany, admirał Crandall - uśmiechnął się O'Shaughnessy, a potem przestał się uśmiechać i głos mu stwardniał: - Tylko nie wiedziałem, że to Gwiazdne Imperium Manticore kogoś zaatakowało bez powodu i uprzedzenia.

Po czym spokojnie wrócił do lektury.

Crandall dosłownie się najeżyła.

A Shavarshyan musiał przyznać, że O'Shaughnessy niezwykle umiejętnie prowokował ją i drażnił. Choć z drugiej strony nie mógł sobie wyobrazić sensownego powodu takiego postępowania...

- Jeśli nie chce pan, żebym natychmiast zajęła pańską planetkę, panie O'Shaughnessy, radziłabym przestać bawić się w semantykę - oznajmiła Crandall tonem pasującym do miny. - Dobrze pan wie, dlaczego tu jestem!

- Obawiam się, że ponieważ nie jestem jasnowidzem i nie posiadam zdolności telepatycznych, a pani nie raczyła odpowiedzieć na wcześniejsze próby nawiązania łączności, nie mam pojęcia, dlaczego się pani tu zjawiała. Może specjaliści MSZ na Ziemi będą w stanie to odkryć, odtwarzając nagranie tej pouczającej konwersacji, która bez wątpienia stanowić będzie załącznik do kolejnej noty Jej Królewskiej Mości do premiera.

Crandall drgnęła, jakby ją ktoś oblał lodowatą wodą, a jej twarz przybrała barwę dorodnego buraka na to przypomnienie, że teoretycznie jest to rozmowa między przedstawicielami dwóch niezależnych państw nie będących w stanie wojny.

Jeszcze.

- Doskonale, panie O'Shaughnessy - oznajmiła z lodowatą precyzją. - Żeby uniknąć kolejnych nieporozumień, chciałabym rozmawiać osobiście z... panią gubernator Medusą.

I przejechała palcem po gardle, dając znak Chatfieldowi, by wyłączył nagrywanie.

Na ekranie pojawił się herb *Josepha Buckleya*, ale Crandall na wszelki wypadek nacisnęła przycisk na poręczy fotela, odcinając łączność.

I wbiła wściekły wzrok w czarny ekran.

Nikt się nie odezwał. Bautista, Ou-yang i jej asystenci skupieni byli na danych przesyłanych przez sondy zwiadowcze. Shavarshyan był pewien, że są zachwyceni z racji posiadania tego oficjalnego zajęcia. On sam na wszelki wypadek ściągnął na ekran analizę zagrożeń, którą znał na pamięć, i pochylił się nad klawiaturą.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność, aż wreszcie rozległ się starannie wyprany z jakichkolwiek emocji głos Chatfielda:

- Minuta do odpowiedzi, ma'am.

- Włącz wszystko - poleciła Crandall.



Na ekranie pojawił się czytający O'Shaughnessy.

Gdy dotarło doń żądanie Crandall, powiedział:

- Rozumiem. Zobaczę, czy pani gubernator ma czas.

I na ekranie pojawiło się godło Gwiezdnego Imperium Manticore.

Tym razem cisza na pomoście flagowym była cięższa i bardziej napięta. A Shavarshyan jako jedyny oficer Floty Granicznej nieźle się bawił, obserwując mieszane uczucia targające sztabowcami Crandall. Dobrze zdawali sobie sprawę, jak bardzo jest wściekła, toteż większość chciałaby zapunktować, wyrażając gniew, ale równocześnie instynkt samozachowawczy ostrzegał ich, że każde odezwanie się może spowodować rozładowanie wściekłości Crandall zgodnie ze starożytną zasadą głoszącą, że „przeciwpancerny rwie na pierwszej przeszkodzie”. Nikt co prawda nie wiedział, co to takiego ów „przeciwpancerny”, ale zasadę znali wszyscy. Dylemat mieli tym większy, że milczenie można było zrozumieć też jako wyraz uznania, iż O'Shaughnessy pięknie upokorzył Crandall, ustawiając ją na właściwym miejscu.

Właśnie zakładał się sam ze sobą, że pierwszy nie wytrzyma Bautista, gdy na ekranie łącznościowym pojawiła się drobnej budowy niewiasta o bystrych, ciemnych oczach w kształcie migdałów. Rozpoznał natychmiast damę Estelle Matsuko, baronową Medusę i gubernatora Quadrantu Talbott, choć nigdy się nie spotkali. Wyglądała na spokojną, ale w jej oczach tańczyły dziwne błyski... Na pewno nie była osobą, którą należało lekceważyć, zwłaszcza po przygrywce w wykonaniu O'Shaughnessy'ego, którego zadaniem było wkurzenie Crandall. Fakt, że baronowa idiotką nie była i wiedziała, że siedem eskadr liniowych naruszyło przestrzeń systemu Spindle, a mimo to prowokowała ich dowódcę, sprawił, iż Hago Shavarshyan zrobił się naprawdę nerwowy.

- Dobry wieczór, pani admirał - odezwała się zimno - Co mogę zrobić dla Marynarki Ligi?

- Może pani zacząć od wydania oficera odpowiedzialnego za zamordowanie admirała Josepha Bynga i trzech tysięcy członków załogi jego okrętu flagowego - oznajmiła Crandall. - Potem możemy przedyskutować zasady poddania wszystkich jednostek uczestniczących w tym incydencie i kwestię odszkodowania.

Nastąpiła cisza, niewygodna dla obu stron, ale gorsza dla Crandall, która mogła jedynie gapić się w ekran, czekając aż jej słowa dotrą do odbiorcy, i robiąc przy tym marsową minę stosowną u dowodzącej karną ekspedycją cywilizowanego mocarstwa mającą nauczyć rozumu dzikusów.

- Rozumiem... - Pani gubernator przechyliła głowę i spytała: - A sądzi pani, że

podporządkuję się tym żądaniom, ponieważ...?

I uniosła pytająco brwi.

- O ile nie jest pani znacznie głupsza, niż myślę - z tonu Crandall wynikało jasno, że jest to fizycznie niemożliwe - to moje okręty tuż za systemową granicą przejścia w nadprzestrzeń powinny stanowić dla pani przynajmniej jeden powód.

Dama Matsuko pokiwała głową.

- Ta liczba okrętów ma mi więc uzmysłwić groźbę kolejnych aktów agresji wobec Gwiezdnego Imperium Manticore, na które jest pani gotowa? - spytała.

- Oznacza to, że jestem gotowa użyć wszelkich niezbędnych środków do zapewnienia suwerenności Ligi Solarnej, jak wymaga się tego od każdego solarnego oficera.

Shavarshyan, nadal bezpiecznie wgapiiony we własny ekran, doszedł do wniosku, iż zadziwiające jest, jak skutecznie osiemnastominutowa zwłoka w rozmowie pozbawia groźby wymowy, równocześnie za jego plecami destylując złość do czystej wściekłości.

- Po pierwsze, admirał Crandall, nikt nie zagraża suwerenności Ligi Solarnej - poinformowała ją dama Estelle. - W odpowiedzi na zniszczenie naszych okrętów i zabicie ich załóg postanowiliśmy jedynie sprawcę tej masakry pociągnąć do odpowiedzialności zgodnie z międzynarodowym prawem. Prawem, które zostało potwierdzone jako obowiązujące także przez Ligę Solarną w kilkunastu podpisanych przez nią traktatach międzynarodowych. Admirał Gold Peak dała admirałowi Byngowi wszelkie możliwości uniknięcia dalszego rozlewu krwi, a gdy z nich nie skorzystał, ostrzelała i zniszczyła wyłącznie jego okręt flagowy, mimo iż miała możliwość zrobić to ze wszystkimi znajdującymi się pod jego dowództwem jednostkami. Następnie zaś przerwała ogień i dała jego następcy kolejną okazję do zakończenia rozlewu krwi. Ten oficer okazał się na szczęście inteligentniejszy. Po drugie, mamy kopie rozkazów, jakie otrzymał admirał Byng, przejęte na okręcie admirał Sigbee. Sądzę, że pani je zna, admirał Crandall. Nie ma w nich niczego co by go upoważniało do wszczęcia wojny z suwerennym państwem. Nie licząc planu Bukanier, ale nie o tym planie awaryjnym rozmawiamy, chyba że chce pani dyskutować o polityce Biura Bezpieczeństwa Granicznego, piractwie, wykorzystywaniu Floty Granicznej i zaginięciach frachtowców. Jeśli tak, proszę bardzo, ale przy włączonym nagrywaniu. Powiedziałam to jedynie, by podkreślić, że wiemy, iż działa pani na własną rękę. Zdajemy sobie sprawę, że oficer dowodzący gdziekolwiek daleko od stolicy tak właśnie powinien postępować w sytuacji kryzysowej, tylko byłoby wskazane, by wzięła pani pod uwagę, że Gwiezdne Imperium Manticore nawiązało już formalną korespondencję z rządem Ligi Solarnej w sprawie obu incydentów w systemie New Tuscany. Posiadam kopie odpowiedzi pani rządu, jeśli ma pani ochotę je

przeczytać. A jeśli pani zechce, możemy wysłać przez terminal Lynx pani raport i prośbę o dalsze rozkazy, nim z pani winy dojdzie do kolejnego... „nieporozumienia”, które zaowocuje godną pożałowania eskalacją konfliktu między naszymi państwami.

Kątem oka Shavarshyan spojrział na Ou-yang. Po jej reakcji stwierdził, że ta salwa trafiła. Pani gubernator nie tylko potwierdziła zdobycie nieuszkodzonych baz danych Sigbee, ale też i to, że uzyskali dostęp do najtajniejszej ich części oraz że wie więcej o reakcji władz Ligi na incydenty niż Crandall. Niezależnie od tego, czy Crandall i Bautista byli gotowi na konsekwencje, ona zdawała sobie sprawę, na jakim dyplomatycznym polu minowym się znaleźli. A żaden oficer floty nie miał na tyle silnych pleców, by uszła mu płazem niekompetencja, jeśli spieprzył coś naprawdę konkursowo i na dużą skalę. Crandall była zbyt wściekła, by zauważyć wyraz twarzy rozmówczyni, ale była też zbyt rozwścieczona, by skorzystać z oferty bezpośredniej łączności z dowództwem, choć propozycja była jasna i oczywista: pod dyplomatyczną zasłoną dymną wziąć głęboki oddech i poczekać na rozkazy.

Niestety wściekłość skutecznie zaćmiewała umysł.

- Nie mam zamiaru siedzieć tu miesiąc standardowy i pozwolić wam poczekać na posiłki - oznajmiła lodowato. - Znam swoje rozkazy. To, co powiedziałam, to minimum, na które gotowa jestem się zgodzić.

- A jeśli odrzucę to pani minimum?

Shavarshyan nie wiedział, czy lekko pogardliwy grymas wykrzywający usta Matsuko był odruchową, czy starannie zaplanowaną reakcją. Zresztą wszystko jedno - był na tyle wyraźny, że nie dało się go nie zauważyć, podobnie jak pogardliwego tonu.

- Wtedy ruszę ku stolicy tego systemu i zniszczę każdy okręt, jaki stanie mi na drodze - oznajmiła Crandall. - A potem wysadzę na powierzchnię Marines i przejmę kontrolę nad planetą w imieniu Ligi Solarnej. Potrwa to do chwili powołania stosownej władzy przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego, które będzie administrowało nią i wszystkimi pozostałymi w tak zwanym Quadrancie Talbott aż do czasu, gdy żądania sprawiedliwości i zadośćuczynienia zostaną spełnione. Jestem gotowa dać pani czas na zastanowienie się nad moimi rozsądnymi żądaniami, ale Marynarka Ligi nie pozwoli, by bezkarnie atakowano bez powodu jej okręty. Nie wątpię, że nawiązaliście kontakt z władzami Ligi, ale wiem, jakie mam obowiązki. Ponieważ chcę uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi, daję pani dokładnie trzy dni standardowe, licząc od momentu wyjścia moich okrętów z nadprzestrzeni, na przyjęcie moich warunków. Jeśli pani tego nie zrobi, ja zrobię to, co powiedziałam, a konsekwencje spadną na panią. Aha, i nie jestem zainteresowana żadną rozmową. Tylko zgodą na postawione warunki. Żegnam, pani gubernator.

I naciśnęła klawisz przerywający połączenie.

\* \* \*

- Dobra, Clement - powiedział cicho Østby. - Tylko się teraz nie potknijmy, co?

- Tak, sir - komandor Clement Foreman, oficer operacyjny, uśmiechnął się, nie kryjąc napięcia.

*Chameleon* spotkał się z *Wraithem* i *Ghostem* i cała trójka ostrożnie zbliżała się do punktu stawiania, jak to niezbyt gramatycznie określono w planie operacji. Pod wieloma względami była to najbardziej ryzykowna część misji, toteż nic dziwnego, że napięcie na pokładzie można było prawie że kroić.

Foreman przyglądał się jeszcze przez chwilę ekranowi taktycznemu, po czym uaktywnił mikrofon i powiedział:

- Wszystkie zespoły, zaczynać!

Na pomoście flagowym nic się nie zmieniło, ale napięcie wyraźnie zmalało. Było to irracjonalne - najważniejszy moment właśnie się zaczął, a nie zakończył. Okręty i przekaźniki posiadały doskonałe systemy maskowania elektronicznego, ale te ostatnie trzeba było wydobyć z luków, rozłożyć i umieścić na dokładnie wyznaczonych pozycjach ręcznie. A skafandry próżniowe i narzędzia nie były aż tak dobrze zamaskowane, co znaczyło, że jeden człowiek może zostać szybciej wykryty niż cały okręt.

Słuchając krótkich meldunków, był świadom, że wcale nie trwa to tak długo, jak mu się wydaje, ale niewiele to pomagało, bo czuł, jakby to była wieczność. Spojrzał na kalendarz - jego ludzie jak dotąd działali równie dobrze jak na ostatnich ćwiczeniach.

A to oznaczało, że za 15 dni standardowych o ich sukcesie dowie się cała galaktyka...

## ROZDZIAŁ XX

- No dobra, czas im się skończył - oznajmiła zwięźle admirał Crandall.

- Rozumiem, ma'am - potwierdziła dowodząca superdreadnoughtem *Joseph Buckley* kapitan Jacomina van Heutz widoczna na ekranie łącznościowym.

Crandall spojrzała przez ramię na Bautistę i Ou-yang - oboje skinęli głowami.

Czas wyznaczony przez Crandall dobiegł końca i najwyraźniej nie zamierzała tracić ani minuty na próbę nawiązania łączności z panią gubernator. Nie było to specjalnie finezyjne, ale jeśli ma się do dyspozycji młotek, by rozbić jajko, finezja jest zbędna.

Shavarshyan pomógł Ou-yang w analizie duchów i doszedł do wniosku, że miała rację - to były nie całkiem zamaskowane okręty, choć nie sposób było dojść do tego jakie, gdyż skuteczność systemów maskowania elektronicznego królewskich jednostek okazała się większa, niż zakładano na podstawie posiadanych informacji. Rodziło to niemiłe podejrzenie, że z innymi kwestiami będzie podobnie, zwłaszcza jeśli chodzi o uzbrojenie, od lat lekceważone przez wywiad. Na dokładkę wyrażone przez Ou-yang obawy związane z wykryciem ich sond zwiadowczych okazały się jak najbardziej uzasadnione. Kiedy tylko próbowały się zbliżyć na tyle, by przebić się przez maskowanie, zostawały wykryte i zniszczone. Nie był pewien, czy solarne sensory spisałyby się na tyle dobrze, a sądząc po reakcji Ou-yang, śmiał w to wątpić.

Na szczęście duchów było tylko 10 i nawet gdyby wszystkie okazały się superdreadnoughtami, Crandall nadal miałaby przewagę 7 do 1, a to w dalszym ciągu była przewaga miażdżąca. Bardziej prawdopodobne było, że są to te przerośnięte krążowniki liniowe, toteż przeświadczenie Bautisty o błyskawicznym zwycięstwie wydawało się mieć solidne podstawy.

Zastanawiał się, czy tylko jemu nie podoba się ta perspektywa. Nadal miał nadzieję, że Królestwo Manticore zda sobie sprawę, jakim szaleństwem jest prowokowanie Ligi Solarnej, ale coraz bardziej wątplą. Obie strony zapędziły się wzajemnie w sytuację bez wyjścia, a Crandall była maniaczką i zamierzała zrobić dokładnie to, co zapowiedziała.

Wyglądało jednak na to, że baronowa Medusa podobnie jak Crandall ma dość gadania i mimo że jest bez szans, zdecydowała się nie ustąpić. Tak więc Hago Shavarshyan stanie się przymusowym uczestnikiem masakry, co już samo w sobie było złe. Ale jeszcze gorsze było

to, co się stanie, gdy wieść o niej dotrze do systemu Manticore. Bo wtedy dojdzie do prawdziwej bitwy, a gdy Marynarka Ligi spotka się ze zbliżoną liczbą królewskich okrętów liniowych, zostanie zmasakrowana. Crandall i Bautista mogli być tego radośnie nieświadomi, ale on i Ou-yang dobrze o tym wiedzieli. Jak i o tym, że ostateczne zwycięstwo będzie niewielką pociechą po tysiącach, o ile nie milionach ofiar, które zginą bez sensu, zanim do niego dojdzie.

Czuł się niczym bezsilny świadek wypadku szkolnego autobusu zmierzającego prosto ku skalnej ścianie. Zrobił, co mógł, a na ostateczną decyzję nie miał żadnego wpływu, ale czuł się... zbrukany. Było to dziwne, ale najwłaściwsze określenie.

Jedyną pociechą stanowiła świadomość, że masakra przynajmniej będzie szybka...

\* \* \*

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o przyływ zdrowego rozsądku w ostatniej chwili - odezwał się Augustus Khumalo.

Kapitan Loretta Shoupe była zaskoczona spokojnym tonem i zachowaniem siedzącego na pomoście flagowym *Herculesa* przełożonego. I z dumą przyznała w duchu, że dorósł i dojrzał. Nie był w tej chwili szczęśliwy, ale nie czuł niepewności i wahania, jeszcze kilka lat temu typowych dlań przy podejmowaniu każdej ważniejszej decyzji.

- No cóż, skoro tak, to nadszedł czas - ocenił z żalem Khumalo i dodał głośniejszym głosem: - Steve, przekaz komandor Kaplan rozkaz „Wykonać Paula Revere”, a potem skontaktuj się z komandorem Terekhovem i powiedz mu, że obowiązuje plan Yankee.

- Aye, aye, sir - potwierdził oficer łącznościowy.

- Kapitan Saunders, dowództwo floty od tej chwili obejmuje komandor Terekhov - dodał Khumalo, spoglądając na ekran łącznościowy fotela.

- Rozumiem, sir - potwierdziła kapitan Victoria Saunders dowodząca HMS *Hercules*.

Powód był prosty: HMS *Quentin Saint-James* miał o wiele lepsze systemy kierowania ogniem i możliwość sterowania znacznie większą liczbą rakiet niż *Hercules*. Khumalo zastanawiał się nawet, czy nie przenieść się na okręt Terekhova, by móc dowodzić, ale zrezygnował z tego, przyznając uczciwie sam przed sobą, że Terekhov jest lepszym taktikiem i ma znacznie więcej doświadczenia bojowego niż on.

\* \* \*

- Rozkaz z *Herculesa*, ma'am - zameldowała porucznik Wanda O'Reilly. - Wykonać Paula Revere.

- Proszę potwierdzić - poleciła Naomi Kaplan dowodząca HMS *Tristram* i spytała: - Odczyty sensorów uaktualnione, Abigail?

- Właśnie trwa uaktualnianie przesłane przez komodora Terekhova - zameldowała Abigail Hearn. - Zakończy się za piętnaście sekund, ma'am.

- Doskonale. Hosea, jeśli uaktualnienie pójdzie bez problemów, za dwadzieścia pięć sekund wykonaj Paula Revere.

- Aye, aye, ma'am - potwierdziła porucznik Hosea Simpkins, oficer astronawigacyjny także rodem z Graysona.

- Wykonać Paula Revere za dwadzieścia pięć sekund od... teraz.

\* \* \*

Czekający w bezruchu 40 minut świetlnych od systemowej granicy przejścia w nadprzestrzeń HMS *Tristram* wszedł w nadprzestrzeń, czemu nie towarzyszył żaden ślad przejścia, i znalazł się prawie dokładnie tam, gdzie powinien.

- Obwołanie, ma'am! - oznajmiła O'Reilly.

- Odpowiedz - poleciła natychmiast Kaplan.

- Aye, aye, ma'am - potwierdziła oficer łącznościowy i włączyła transponder.

Wyłączenie go na okres oczekiwania było sensownym środkiem ostrożności, ale Kaplan odetchnęła z ulgą dopiero, gdy z HMS *Artemis* nadeszło potwierdzenie. W 10. Flocie nie było co prawda oficerów taktycznych skłonnych wpierw strzelać, potem sprawdzać do kogo, ale wypadki zawsze mogą się wydarzyć. A w przeciwieństwie do Sandry Crandall Kaplan doskonale wiedziała, jaką siłą ognia dysponują uzbrojone okręty.

- Doskonale, Abigail, wysyłaj dane - poleciła.

- Aye, aye, ma'am.

\* \* \*

- Ale arogancka dziwka! - westchnęła z mimowolnym podziwem Michelle Henke.

Zrobiła to na tyle głośno, że usłyszały ją stojące obok Dominica Adenauer i Cynthia Lecter. Wszystkie trzy przyglądały się głównemu ekranowi taktycznemu, na którym właśnie pojawiały się wysłane z *Tristrama* dane.

- Skąd to zdziwienie? - spytała cicho Lecter.

- Potwierdzenie niemiłego bywa zaskakujące - wyjaśniła Mike. - Myślałam, że choć zawiadomi damę Estelle, że czas się skończył.

- Z całym szacunkiem, ma'am, ale nie rozumiem, co by to zmieniło. - Lecter leciutko

wzruszyła ramionami. - Oczywiście jest, że wybrali ją ci sami, którzy wybrali Bynga, dlatego że jest głupia czy dlatego że przekupna. Skutek jest taki sam: od samego początku dobrze wie, po co tu przybyła.

Henke pokiwała głową. Cindy miała rację: wszyscy wiedzieli, jakie zadanie ma Crandall, a ona sama oparła na tej właśnie wiedzy całą taktykę. Mimo to arogancja Crandall wkurzyła ją równo i dokładnie. Być może dlatego, że postępując dokładnie tak, jak Henke przewidywała, Crandall nie tylko udowodniła, że jest zbyt pewną siebie idiotką, ale także okazała bezbrzeżne wprost lekceważenie dla przeciwnika. A tym przeciwnikiem była właśnie Michelle Henke. A być może Crandall chciała też zademonstrować, że nic ją nie obchodzi, ile osób przy tej okazji zginie, bo była pewna, że to nie będą jej podkomendni.

Mike uśmiechnęła się zimno: Crandall czekał lodowaty prysznic. I tak by go dostała, nawet gdyby przed nią do Spindle nie dotarły okręty amunicyjne, teraz dostanie znacznie solidniejszy, bo 10. Flota miała do dyspozycji system *Apollo*. Nie przestając się uśmiechać, sprawdziła, co się zmieniło od czasu, gdy HMS *Ivanhoe* dostarczył trzy dni temu dane dotyczące sił i pozycji Crandall. Okazało się, że poza kilkoma drobiazgami i dodatkowymi bardziej szczegółowymi identyfikacjami poszczególnych okrętów nic się nie zmieniło.

Tak jak się spodziewała, niszczycieli nie dało się zidentyfikować; można było tylko stwierdzić, że należą do klas *Rampart* i *War Harvest*, każdy bowiem przeszedł tyle różnych modyfikacji i napraw, że sygnatury napędów bardzo się różniły od oryginalnych. Z większymi okrętami poszło łatwiej - zdołano na przykład zidentyfikować wszystkie jednostki wchodzące w skład eskadry ciężkich krążowników kontradmirała Gordona Nelsona oraz sporo innych. Nie powiodło się ze wszystkimi, ale nie ulegało wątpliwości, że co do jednego należą do klasy *Nevada*.

Wśród superdreadnoughtów zaś panowała godna podziwu jednorodność - siedem należało do klasy *Vega*, a wszystkie pozostałe do klasy *Scientist*. Różnica między nimi polegała na tym, że te drugie miały o dwie wyrzutnie rakietowe na burcie więcej. Według standardów przedwojennej Royal Manticoran Navy nie były to złe okręty, choć opracowano je tak dawno temu, że obrona antyrakietowa wyposażona była w sprzężone działka szybkostrzelne. Te, którymi dowodziła Crandall, przebrojono w działka laserowe, co potwierdziły pasywne sensory sond *Ghost Rider*. Przy tej okazji także wyszło na jaw, jaka różnica dzieli sensory i systemy maskowania elektronicznego obu stron, bo nic nie wskazywało na to, by sondy te zostały wykryte. Fakt - najbliższe przeloty wykonały z wyłączonymi napędami jako pociski balistyczne, ale nie powinny niezauważone dolecieć aż tak blisko, by obraz z ich kamer umożliwił odczytanie nazw poszczególnych okrętów.



Superdreadnought klasy *Scientist* miał 6,8 miliona ton i uzbrojony był w 32 wyrzutnie rakiet, 24 działa laserowe i 26 graserów na każdej burcie. Uzbrojenie artyleryjskie miał więc silniejsze niż współczesny okręt liniowy Królewskiej Marynarki czy Marynarki Graysona. Ale jego uzbrojenie antyrakietowe składało się z 16 wyrzutni i 32 stanowisk sprzężonych działek laserowych na każdej burcie, podczas gdy krążownik liniowy HMS *Artemis* miał po 32 wyrzutnie i 30 stanowisk sprzężonych działek większego kalibru i o większej szybkostrzelności. Nawet ciężki krążownik klasy *Saganami-C* miał po 20 wyrzutni i 24 sprzężone działka. Biorąc pod uwagę, że Mike nie miała najmniejszego zamiaru znaleźć się w zasięgu dział energetycznych Crandall, ta różnica w uzbrojeniu antyrakietowym powinna mieć opłakane skutki dla solarnych okrętów.

- Ciekawa jestem, czy ona jest przesadna - powiedziała nagle Henke.

Adenauer spojrzała na nią pytająco.

- Nie poznajesz, czyje imię nosi jej flagowiec? - spytała Henke.

Oficer operacyjna potrząsnęła przecząco głową.

A Lecter zachichotała złośliwie.

- To szósty *Joseph Buckley*. Wychodzi na to, że Marynarka Ligi nie potrafi wyciągać wniosków z historii - wyjaśniła. - To naprawdę nie jest najszcześniejsza nazwa dla okrętu w jej dziejach.

- Nie wzięła się też stąd, że był to najszcześniejszy naukowiec w historii - dodała Mike.

- Ładnie to pani nie dopowiedziała, ma'am - pochwaliła Lecter.

Adenauer w końcu się uśmiechnęła, gdy nazwisko skojarzyło się jej z życiorysem.

Doktor Joseph Buckley odegrał ważną rolę w wynalezieniu napędu typu impeller, co miało miejsce w XIII wieku na Beowulfie. Niestety szczęście chłopu nie dopisywało, za to cieszył się opinią tyleż genialnego, co narwanego. Adrienne Warshawski dopracowała żagle ledwie 27 lat standardowych później, ale on był zbyt niecierpliwy, by na to poczekać. Uparł się udowodnić, że przy odpowiednio delikatnej kalibracji sam ekran wystarczy, by bezpiecznie wejść w nadprzestrzenną falę grawitacyjną.

Choć sporo naukowców zgadzało się z jego pracami teoretycznymi, tej teorii żaden nie poparł. Nie zrobiło to na nim wrażenia, a jako że dzięki różnorodnym patentom miał spory majątek, zaprojektował i opłacił budowę statku doświadczalnego, który ochrzcił *Gahak* po jakimś pomniejszym babilońskim bóstwie. Zebrał załogę złożoną z ochotników i wyruszył udowodnić, że ma rację.

Próba okazała się nieudana, acz spektakularna - nagranie z kamer towarzyszących mu

jednostek puszczane w zwolnionym tempie uznano za jedną z robiących największe wrażenie katastrof w dziejach lotów kosmicznych.

Choć Buckley zasłużył na upamiętnienie z uwagi na swoje osiągnięcia naukowe, i tak zapamiętany został głównie dzięki temu właśnie dramatycznemu końcowi, a okrętom Marynarki Ligi, które nosiły jego imię, nie wiodło się znacznie lepiej. Z pięciu dotychczas tak ochrzczonych tylko jeden doczekał wycofania ze służby ze starości.

- Tylko trzy zostały zniszczone w walce, Cindy - przypomniała Henke.

- Cztery, jeśli liczyć krążownik liniowy, ma'am - poprawiła ją Lecter.

- Fakt - przyznała Henke. - Ale mimo wszystko nie sądzę, by przekleństwo Buckleya dotyczyło także okrętu zaginionego z nieznanymi powodów.

- Dlaczego? Bo istnienie świadków daje pewność czy dlatego, że kolizja przy aktywnych ekranach jest bardziej spektakularna?

- Bo bardziej psuje do końca pana doktora - uśmiechnęła się Henke.

- Z tym mogę się zgodzić - przyznała Lecter. - A tak w ogóle to strata trzech okrętów w ciągu prawie siedmiuset lat standardowych tak do końca nie jest dowodem na istnienie klątwy. Może uważam tak, bo nie jestem specjalnie przesądna, niemniej jednak wolałabym na nim nie służyć. Zwłaszcza mając perspektywę wzięcia udziału w największej wojnie, jaką kiedykolwiek stoczyła moja flota.

- Ja też nie - zgodziła się Henke. - Ale Crandall o tym drobnym fakcie nie ma przecież pojęcia, prawda?

\* \* \*

Sir Aivars Terekhov siedział w swoim fotelu na pokładzie flagowym HMS *Quentin Saint-James* i rozmyślał o ostatnim razie, gdy prowadził do walki ciężki krążownik klasy *Saganami-C*. Według standardów większości flot tym razem stosunek sił był jeszcze gorszy, ale nie interesowały go te standardy. I doskonale wiedział, czym w rzeczywistości były elektroniczne duchy tak intrygujące Crandall.

Cztery były lotniskowcami. *Pegasus*, *Hippogriff*, *Troll* i *Goblin* miały łącznie na pokładach 432 kutry. Te ostatnie też miały dobre systemy maskowania elektronicznego, ale łatwiej było je ukryć, jak długo pozostawały na pokładach hangarowych. Dwa następne były okrętami amunicyjnymi pełnymi zasobników, a ostatnie 4 to ciężkie krążowniki Scotty'ego - *Allistair McKeon*, *Medelyn Hoffman*, *Trebuchet* i *Canopus*.

Dalsze rozmyślania przerwał mu głos porucznik Atalante Montelli.

- Admirał Khumalo chce z panem rozmawiać, sir.

- Przełącz na ekran fotela.

- Aye, aye, sir.

Moment później twarz Khumala pojawiła się na ekraniku łącznościowym fotela.

- Dobry wieczór, sir.

- Dobry wieczór, Aivars. - Khumalo wyglądał i brzmiał na spokojniejszego, niż się Terekhov spodziewał. - Jak widać, pani admirał ma choć jedną zaletę: punktualność.

- Każdy posiada jakieś zalety, sir.

- Kiedy osiągniesz mój wiek, pozbędziesz się takiego naiwnego optymizmu. Zakładając, że utrzyma obecny kurs i przyspieszenie, dołączycy do nas za jakieś cztery godziny. Naturalnie byłbym bardzo zaskoczony, gdyby wtedy jeszcze żyła.

- Życie jest pełne niespodzianek, sir.

- Nieprawdą? - uśmiechnął się Khumalo. - Kutry startują, gdy tylko opuszczają pokłady hangarowe, admirał Enderby wycofa lotniskowce w głąb systemu, żeby nam nie przeszkadzały. Komandor Badmachim zaczął stawianie zasobników i o ile admirał Gold Peak nie zadecyduje inaczej, wygląda mi to na Agincourt.

- Rozumiem, sir.

- W takim razie nie zawracam ci dłużej głowy. Khumalo, bez odbioru.

Ekranik ściemniał, a Terekhov przeniósł wzrok na główny ekran taktyczny. Lepiej do tej roli nadawałyby się okręty Oversteegeny jako wyposażone w *Keyhole*. W przeciwieństwie do jego jednostek. I do pojawienia się okrętów amunicyjnych z systemu *Apollo* to one właśnie miały znajdować się na orbicie planety Flax, a jego ciężkie krążowniki miały robić za nagonkę. Możliwość użycia *Apollo* zmieniła sytuację i powinno wystarczyć mu łączy, by udowodnić pani Crandall, jak dalece zbłądziła.

A gdyby mu się to do końca nie udało, pozostawała jeszcze admirał Henke...

\* \* \*

- Ma'am?

- Tak, Nicolette? - kapitan Jacomina van Heutz spojrzała na komandor Nicolette Sambroth pytająco.

- Nadal odbieram te impulsy grawitacyjne, ma'am.

Van Heutz zmarszczyła brwi. Sambroth, jeden z najlepszych oficerów taktycznych, jakich знаła, była pod dużym wrażeniem teoretycznych możliwości łączności grawitacyjnej Królewskiej Marynarki. Nie było w tym nic dziwnego, zakładając, że raport przywieziony przez jedyne uciekiniera z New Tuscany był zgodny z prawdą. Poza tym wiceadmirał Ou-

yang podzielała zdanie Sambroth.

Samej van Heutz się to nie podobało, zwłaszcza gdy pomyślała o niedalekiej przecież bitwie, gdy natkną się na królewskie okręty liniowe, ale tym razem była spokojna.

- Przekazujesz to na bieżąco admirał Ou-yang? - spytała.

- Oczywiście, ma'am.

- W takim razie należy założyć, że admirał Crandall o tym wie - zauważyła van Heutz łagodnie.

Sambroth uniosła głowę, spojrzała jej w oczy i pokiwała bez słowa głową.

Van Heutz odpowiedziała jej tym samym na znak zgody. Byng był patentowanym cymbałem i nie zamierzała udawać, że jej go brakuje, ale to... Ciekawa była, jak wielu solarnych oficerów żywiło przekonanie, że zejście Josepha Bynga poprawi skuteczność i profesjonalizm całego korpusu oficerskiego Marynarki Ligi. Podejrzewała, że jest ich naprawdę sporo. Natomiast cena, jaką za tę poprawę zapłaci Marynarka Ligi, a przy okazji Royal Manticoran Navy, będzie zdecydowanie za wysoka...

\* \* \*

Kapitan Alice Levinski dowodząca 711. Grupą obserwowała, jak jej *Katany* i *Shrike'y* zajmują pozycję wokół HMS *Typhoon*, czyli jej kutra. Widok zbliżających się 70 superdreadnoughtów napawał ją niepokojem, ale umiarkowanym. Gdyby to były okręty Marynarki Republiki, bałaby się, bo nawet kutry najnowszej generacji Królewskiej Marynarki nie miały w starciu z nimi większych szans. Nie to co dziewięć standardowych lat temu, gdy pierwszy raz użyto nowej wersji kutra rakietowego. Poza tym superdreadnoughty, nawet solarne, miały zbyt grube pancerze dla ich graserów, nawet tych z nowymi soczewkami grawitacyjnymi, jakie miał *Typhoon*.

I tak 2/3 maszyn stanowiły myśliwce *Katana* z magazynami amunicyjnymi pełnymi *Viperów*. Po bitwie o Manticore RMN zmieniła bowiem zasady użycia kutrów - okazało się, że są znacznie skuteczniejsze w roli antyrakietowej niż w atakowaniu okrętów liniowych. Były zwrotniejsze i mniejsze, a więc trudniejsze do trafienia od niszczycieli, a posiadając *Vipery* opracowane na bazie antyrakiet *Mark 33*, miały prawie taką skuteczność jak niszczyciele. Oznaczało to, że duża formacja kutrów jak skrzydło czy grupa była najskuteczniejszym i najtańszym sposobem wzmocnienia obrony antyrakietowej ugrupowania okrętów liniowych. A przy okazji zwalniała do innych zadań okręty osłony, których zawsze i wszędzie było za mało.

Na szczęście to nie były superdreadnoughty Marynarki Republiki, lecz solarne, a to

była już zupełnie inna bajka. Podobnie jak reszta oficerów 10. Floty Levinski przestudiowała dane taktyczno-techniczne zdobyte w New Tuscany i doszła do wniosku, że jeśli są aktualne, obrona antyrakietowa i przeciwlotnicza solarnych okrętów jest o wiele gorsza niż okrętów Ludowej Marynarki w czasie operacji Buttercup, A to otwierało całą gamę interesujących możliwości taktycznych...

\* \* \*

- Komodor Terekhov potwierdza Agincourt, sir - zameldował porucznik Stilson MacDonald.

- Dzięki - odrzekł Scotty Tremaine, dziwiąc się równocześnie, że jego własny głos brzmi tak spokojnie.

Prawdę mówiąc, wolałby być na miejscu kapitan Levinski niż w kapitańskim fotelu na pomoście flagowym nowiutkiego ciężkiego krążownika. Nie żeby wątpił, czy da sobie radę w nowej roli, ale stara była taka miła i tak mu pasowała...

Wstępując do Royal Manticoran Navy, chciał być pilotem promu, a gdzie skończył?

Jakiś czas temu uznał, że gdy w końcu otrzyma dowództwo okrętu, będzie to lotniskowiec, ale kolejny raz okazało się, że niezbadane są wyroki działu personalnego. Jednak zgodnie ze starą zasadą: „gdy ci proponują dowództwo, bierz, nie wybrzydź, bo drugi raz tego nie zrobią”, przyjął propozycję. Inaczej podpisałby wyrok śmierci na swoją karierę, bo Królewska Marynarka nie miała w zwyczaju powierzać okrętów tym, którzy okazali brak wiary we własne możliwości lub udowodnili posiadanie innych groźnych fanaberii.

Zdawał sobie do tego sprawę, że jest to niezbędny krok na drodze do kolejnych awansów, a osłodę stanowiło to, że wybrał sobie oficera wojny radioelektronicznej. No może niezupełnie oficera, bo w fotelu zwykle zajmowanym przez porucznika, o ile nie komandora, zasiadał poobijany przez życie i pozbawiony resztek złudzeń bosman. Ale bosman sir Horace Harkness miał w Royal Manticoran Navy pozycję wyjątkową.

O czym Scotty przekonał się w czasie rozmowy z kapitanem Shawem, szefem sztabu admirała Corteza.

- Oczywiście, że może pan mieć Harknessa - prychnął rozbawiony jego nieśmiałym pytaniem kapitan Shaw. - Na okładce pańskiej teczki osobowej jest napisane: „Nie rozdzielać Pięknej i Bestii”.

A potem kapitan Shaw ryknął śmiechem, widząc jego minę.

- Nie wiedział pan, że was tak nazywają, kapitanie Tremaine? - spytał po chwili,

ocierając załzawione oczy, po czym dodał poważniej: - Nie zachęcamy do podobnych praktyk, ale admirał Cortez zawsze uważał, że od każdej reguły są wyjątki i nie chodzi tu o jakiegokolwiek faworyzowanie. Wy po prostu udowodniliście, że doskonale ze sobą współpracujecie, osiągając wyższy poziom, niż należałoby się spodziewać. A poza tym do spółki z małżonką zdaje się pan mieć na niego zbawienny wpływ moralny. Rozdzielanie was byłoby więc bez sensu, a poza tym jestem pewien, że nawet gdybyśmy to zrobili, sir Horace i tak znalazłby sposób, żebyście dostali przydział na ten sam okręt czy do tego samego sztabu. Wiem, że obiecał już tego nie robić, ale uznaliśmy, że lepiej będzie nie wodzić go na pokuszenie. I nie prowokować.

Tremaine uśmiechnął się na wspomnienie tej rozmowy i ze zdumieniem stwierdził, że wyraźnie poprawił mu się humor.

- Adam, słyszałeś Stilsona - powiedział Tremaine, zwracając się do oficera operacyjnego, komandora porucznika Adama Golbatsiego.

- Słyszałem, sir, i już się tym zająłem.

- To dobrze. Jakież zmiany w ECM-ach, bosmanie?

- Niezauważalne, sir. - Harkness wzruszył ramionami. - Wiem, że w New Tuscany nie zdobyliśmy wszystkich danych solarnych okrętów liniowych, ale jeśli ci tutaj mają coś lepszego niż Byng, to nie chciało im się tego włączyć, sir.

- Zgadzam się z bosmanem Harknessem, sir - potwierdziła Klusener.

Jeszcze niedawno Scotty gotów byłby się założyć, że jeśli któryś z członków jego sztabu będzie kręcił nosem na podoficera na stanowisku oficera wojny radioelektronicznej, to właśnie jasnowłosa i szarooka Klusener. Nie żeby była głupia czy niekompetentna, ale najwyżej urodzona, a akcentem i wymową dorównywała Oversteegenowi. Na szczęście była to jej jedyna wada, a z Harknessem ku zaskoczeniu Scotty'ego polubili się od samego początku.

- Po tym, co spotkało Bynga, powinni być naprawdę ostrożni i użyć wszystkiego, co mają - dodała Klusener. - Jeśli to zrobili, rakiety nie będą miały większego problemu z otrzymaniem namiarów celów.

- W porównaniu do Marynarki Republiki oni nie mają ECM-ów - uśmiechnął się Harkness. - To niczym strzelanie do tarczy, sir.

- Nie dajmy się ponieść entuzjizmowi, bosmanie Harkness. - Tremaine uznał, że trzeba nieco ostudzić jego zapał.

- Jak pan sobie życzy, sir - zgodził się uprzejmie sir Horace.

## ROZDZIAŁ XXI

- Za dwie minuty rozpoczniemy wytracanie prędkości, ma'am - przypomniał oficer astronawigacyjny, kapitan Berend Haarhuis, sto czternaście minut po przekroczeniu przez 496. Zespół Wydzielony granicy przejścia w nadprzestrzeń systemu Spindle.

W stosunku do planety Flax okręty miały prędkość nieco ponad 23 000 km/s, a odległość od niej zmalała do 81 milionów kilometrów.

Crandall kiwnęła głową z satysfakcją i spytała:

- Jakież ruchy z ich strony, Zhing-wei?

- Nie, ma'am. Natomiast zwiększyła się liczba źródeł i częstotliwości tych impulsów grawitacyjnych. I niepokoi mnie trochę ten obszar.

Wskazała kursorem na głównym ekranie taktycznym obszar po przeciwległej stronie planety.

Crandall skrzywiła się.

- Impulsy to ta ich cholerna łączność szybsza od światła - powiedziała z irytacją i pretensją w głosie, zła, iż musi przyznać, że Królewska Marynarka naprawdę ją posiada.

Ale po informacjach z New Tuscany po prostu nie miała wyjścia.

- Co niczego nie zmienia - dodała. - Po prostu dostaną informacje z sond zwiadowczych trochę szybciej niż my, ale to nie wpłynie ani na stosunek sił, ani ich szanse. Jeśli magicznie nie teleportowali tu posiłków z Manticore, mało mnie martwi, co mogli schować za planetą, bo niczego groźnego nie mieli i nie mają.

- Ale należy pamiętać, ma'am, że nigdy nie udało nam się dowiedzieć niczego konkretnego o tych zamaskowanych jednostkach, a teraz mamy te sześć źródeł napędów - przypomniała Ou-yang, przesuając odpowiednio kursor.

Źródła napędu zostały wykryte 36 minut wcześniej, ale jedyne, co dało się o nich powiedzieć, to że należą do naprawdę dużych, mających po kilka milionów ton jednostek, mimo iż rozwijały one niewiarygodnie duże przyspieszenie.

- Frachtowce - ocenił lekceważąco Bautista, a widząc minę Ou-yang, wzruszył ramionami i wyjaśnił: - Niczym innym nie mogą być. Fakt, są szybkie, muszą więc to być jednostki pomocnicze floty. Prawdopodobnie zaopatrzeniowe lub warsztatowe. Inaczej przy tych masach musiałyby to być superdreadnoughty, ale dlaczego miałyby się wycofywać i

zostawiać krążowniki bez wsparcia?

- Niepokoi mnie to, że tak długo zwlekały z ucieczką - wyjaśniła Ou-yang.

- Sprawdzają, czy naprawdę zrobimy to, co zapowiedzieliśmy. - Bautista ponownie wzruszył ramionami, nieco bardziej zniecierpliwiony. - Albo czekały, by się upewnić, że nie zostawimy żadnych mniejszych jednostek poza granicą przejścia, by mogły wykonać mikroskok i przechwycić je z drugiej strony systemu, nim zdążą wejść w nadprzestrzeń.

- Albo czekały, aż skończą rozładunek - dodała Ou-yang.

Bautista uniósł brwi, ale nie odezwał się.

- Uzgodniliśmy, że rakiety, które zniszczyły *Jean Barta*, musiały zostać wystrzelone z zasobników, Pépé - przypomniała Ou-yang. - Bo żeby mieć taki zasięg, musiały być większe niż te, które zmieściłyby się w wyrzutnie ich krążowników liniowych. Prawda?

Bautista kiwnął głową.

- Nie wiem jak ciebie, ale mnie zastanawia, ile zasobników mogło zmieścić się do sześciu frachtowców tej wielkości. I dlaczego każda sonda wysłana, by przyjrzeć się temu, co kryje cień planety, zostaje zniszczona, nim dolarze do celu - wyjaśniła cierpliwie Ou-yang.

- Myślisz, że tam rozładowali zasobniki? - spytała Crandall, nim Bautista zdążył coś powiedzieć.

- Myślę, że istnieje poważny powód, dla którego nie chcą, byśmy zobaczyli, co tam jest, ma'am. I zgadzam się, że nie wycofyaliby sześciu okrętów liniowych, wiedząc, że za półtorej godziny będziemy mieli planetę w zasięgu rakiet. Chyba że wycofyaliby wszystkie okręty z systemu, ale tego nie zrobili. A te jednostki miały na tyle dobre systemy maskowania, że dopóki nie uruchomiły napędów, nawet nie mieliśmy pewności, że tam są. Uważam więc, że powinniśmy się poważnie zastanowić, czy nie były to okręty amunicyjne czekające na rozwój sytuacji. A gdy zaatakowaliśmy, rozładowały, co miały, czyli zasobniki holowane, po czym opuściły miejsce przyszłej walki, kierując się w głąb systemu. To, co rozładowały, musi być łatwiejsze do wykrycia od nich samych, bo inaczej już wcześniej zostawiłoby to na orbicie, nie wzbudzając naszych podejrzeń. A jeśli chodzi o tę strefę, do której nie pozwalają nam zajrzeć, to zasobniki są najbardziej prawdopodobne, gdy się nad tym zastanowić.

Bautista poczerwieniał ze złości.

Ale Crandall pokiwała głową i przyznała po chwili:

- To ma sens. Zwłaszcza dla kogoś na tyle głupiego, że się nie poddał. A sześć jednostek tej wielkości faktycznie mogło rozładować dużo zasobników...

Słyszac to, Bautista natychmiast się uspokoił. Ponieważ nie zdarzyło się to pierwszy



raz, Shavarshyan poważnie się zastanawiał, czy Crandall specjalnie nie wybrała na oficera operacyjnego Ou-yang, bo ta nie dość, że była najmniejszym władzidupcem w całym sztabie, to potrafiła myśleć nieszablonowo. Chciałby w to wierzyć, ale jakoś nie mógł. Za to miał kolejny raz okazję widzieć w akcji dobrego wazeliniarza, który właśnie zmieniał front o sto osiemdziesiąt stopni, zgodnie ze stanowiskiem szefowej. Już miał zamyśloną minę i wiadomo było, że zaraz się odezwie, popierając opinię, którą przed chwilą zwalczał.

- Ale nawet jeśli jest tam dużo zasobników, nie zdołają ich skutecznie wykorzystać z braku łączy kontroli ogniowej - dodała Crandall.

- Zgadza się, ma'am - potwierdziła oficer operacyjna. - Ale jak już mówił przy różnych okazjach komandor Shavarshyan, nie wiemy, jaką kontrolą ognia i iloma łączami dysponują królewskie okręty. Co prawda ciężki krążownik, nawet tej wielkości, nie może ich mieć tyle co okręt liniowy, ale jest całkiem prawdopodobne, że są w stanie kontrolować więcej rakiet, niż sądziliśmy.

- Możliwe - wtrącił Bautista, nadal z przesadnie zamyśloną miną. - Ale nadal nie widzę możliwości, by zdołali odpalić salwę na tyle liczną, by przewyciężyła naszą obronę.

- Nie powiedziałam, że tak się stanie, ale jeśli będzie wystarczająco liczna, część rakiet przedrze się przez obronę antyrakietową i poniesiemy większe straty, niż zakładaliśmy. Najprostszy sposób, by to osiągnąć, to wystrzelić kilkakrotnie więcej pocisków, niż można kontrolować, bo obrona nie będzie miała czasu rozróżnić, które są które, będzie więc niszczyła je w ciemno. W ten sposób zdalnie sterowanych ocaleje dość, by nam zaszkodzić. Jest to naturalnie marnotrawstwo rakiet i nie twierdzę, że tak zrobią. Mówię tylko, że mogą tak zrobić i że trzeba to wziąć pod uwagę. I że niepokoi mnie to, co tak starannie ukrywają.

- A to odkryjemy niedługo - uśmiechnęła się zimno Crandall. - A kiedy to nastąpi...

Przerwał jej sygnał alarmu i meldunek.

- Ślad wyjścia z nadprzestrzeni prosto za naszą rufą, ma'am.

Crandall odwróciła się ku głównemu ekranowi taktycznemu, na którym pojawiło się 21 nowych symboli w odległości czterech minut trzydziestu sekund świetlnych za jej zespołem wydzielonym. Ich awaryjne wyjście z nadprzestrzeni było przykładem doskonałej nawigacji, bo zrobiły to dokładnie na granicy przejścia. Wszyscy na pomoście flagowym zamarli, czekając na identyfikację przez sondy postawione przez Ou-yang.

Prawie wszyscy, bo Haarhuis zameldował spokojnie:

- Za piętnaście sekund powinniśmy zacząć wytracać prędkość, ma'am.

Crandall ledwie zaszczyciła go spojrzeniem, wpatrując się z ponurą miną w główny ekran taktyczny. To mogły być jedynie okręty Royal Manticoran Navy zamykające zasadzkę,

I jeśli to były superdreadnoughty, znalazła się w naprawdę nieciekawej sytuacji...

- Czternaście krążowników liniowych, cztery lekkie krążowniki i trzy jednostki o masie czterech-pięciu milionów ton - oświadczyła Ou-yang, a symbole na ekranie zmieniły odpowiednio barwę i kształt. - Sądząc po formacji i sygnaturach napędów, to najprawdopodobniej okręty amunicyjne.

W jej głosie słychać było ulgę.

Crandall przez chwilę nic nie powiedziała, a potem parsknęła krótkim, nerwowym śmiechem.

- Jaj im nie brakuje, to muszę przyznać! - oceniła. - A raczej jej, tej Gold Peak. Zorganizowanie tego wymagało pomysłowości i wysiłku, ale na geniusza taktycznego ona mi nie wygląda. Zaczynij wytracanie prędkości, Berend.

- Aye, aye, ma'am - potwierdził oficer astronawigacyjny.

I zajął się wydawaniem stosownych rozkazów.

A Crandall spojrzała na Bautistę i Ou-yang i dodała:

- Jak już powiedziałam: gratulacje za bezczelność. Ale skutki zakochania we własnej pomysłowości mogą być bolesne. I nie chodzi mi o nonsensowność organizowania zasadzki na o tyle potężniejsze siły, ale o niezgranie czasowe. Niezależnie od tego, jaką mają przewagę przyspieszenia, nie zdążą dotrzeć w skuteczny zasięg rakiet, nim my nie rozprawimy się z ich kolegami na orbicie.

- A nie wydaje się pani podejrzane, że wyszli z nadprzestrzeni w momencie, w którym powinniśmy zacząć wytracać prędkość, ma'am? - spytała Ou-yang.

Crandall zastanowiła się dłuższą chwilę.

- Możesz mieć rację, że to było celowe, choć nie mam pojęcia, co chcieli dzięki temu uzyskać - przyznała powoli. - Nie można też wykluczyć, że był to zwykły zbieg okoliczności, i to wydaje mi się bardziej prawdopodobne... Wiemy, że mają przewagę zasięgu, jak długo dysponują zasobnikami holowanymi, i wiemy, że mogą je holować wewnątrz ekranów, dzięki czemu nie muszą zmniejszać przyspieszenia. Najprawdopodobniej więc chcieli nas złapać wewnątrz systemu na tyle blisko granicy przejścia, by mieć nas w zasięgu rakiet. Ponieważ mamy mniejsze przyspieszenie maksymalne, jak długo będą uważać, pozostaną poza zasięgiem naszych rakiet; mogą wycofać się poza granicę przejścia i uciec w nadprzestrzeń, gdybyśmy zaczęli ich gonić. Dlatego uważam, że spieprzyli sprawę, bo w tej sytuacji nie są w stanie zbliżyć się do nas na tyle, byśmy znaleźli się w zasięgu ich rakiet, zanim nie będziemy mogli ostrzelać i zniszczyć wszystkiego, co jest na orbitach planetarnych. A gdy zniszczymy znajdujące się tam okręty, będą mieli tylko trzy możliwości: poddać się i uratować przemysł

orbitalny, walczyć z nami na naszych warunkach, tracąc cały przemysł, albo zawrócić, gdy skończą im się rakiety w zasobnikach holowanych.

Ou-yang powoli pokiwała głową, choć nie wyglądała na do końca przekonaną, a przynajmniej nie podzielała pewności siebie Crandall. Prawdopodobnie zaczęła spodziewać się o wiele poważniejszych strat niż ona, ale nie tego, że rozdzielone i nieporównywalnie słabsze siły obrońców mogą przeszkodzić 496. Zespołowi Wydzielonemu w odniesieniu kompletnego zwycięstwa.

\* \* \*

- No cóż, teraz wiemy na pewno, co zamierza - oceniła Michelle Henke.

- Nasze przybycie coś nie zrobiło na niej wrażenia - skomentowała Dominica Adenauer.

- Uczciwość nakazuje przyznać, że nie bardzo mogła zrobić coś innego. - Henke wzruszyła ramionami.

Adenauer przytaknęła, ale widać było, że nadal coś ją nurtuje. Zdaniem Mike była po prostu przyzwyczajona do sposobu myślenia i działania oficerów Marynarki Republiki jako przeciwników, a żaden z nich nie pchałby się tak beztrąsko w tak dziwną sytuację taktyczną. Fakt, że Crandall to robiła, spowodował, że Dominica drastycznie zmieniła zdanie o poziomie jej inteligencji.

Mike podzielała tę opinię, ale przyznawała równocześnie, że Crandall nie bardzo miała wybór, bo jej okręty rozwijały przyspieszenie 337 g, czyli standardowe „80% maksymalnego”. Tak postępowały wszystkie floty w galaktyce, mając na względzie margines bezpieczeństwa kompensatorów bezwładnościowych. Gdyby okręty Crandall rozwinęły maksymalne przyspieszenie, osiągnęłyby 422 g. I niczego by im to nie dało, bo najwolniejsze jednostki Henke, czyli okręty amunicyjne HMS *Mauna Loa*, *New Popocatepetl* i *New Kilimanjaro* mogły lecieć z przyspieszeniem 650 g, a krążowniki liniowe 670 g.

Oznaczało to, że Crandall nie może jej uciec ani też jej złapać. A biorąc pod uwagę wzajemne położenie obu formacji, nie mogła też wykonać skutecznego uniku. Nie mogła wreszcie dotrzeć do granicy przejścia po przeciwległej stronie systemu planetarnego bez walki. A niezależnie od tego, jakie przekonanie co do skuteczności obrony antyrakietowej swych okrętów żywiła, wiedziała, że jej rakiety mają mniejszy zasięg - na podstawie danych dostarczonych przez kuriera, który zdołał uciec z New Tuscany, powinna wywnioskować, że skuteczny zasięg jej rakiet wynosi co najwyżej 1/4 zasięgu rakiet, które zniszczyły *Jeana Barta*. W związku z tym wszystkim najsensowniejsze, co mogła zrobić, to realizować

oryginalny plan, bo choćby nie wiadomo jak zwrotne i szybkie były okręty Królewskiej Marynarki, planeta Flax nigdzie się nie ruszy, a to jej muszą te okręty bronić. Jeśliby więc zdążyła dotrzeć na tyle blisko planety, by mieć ją w skutecznym zasięgu rakiet, mogłaby zmusić Henke do walki na swoich warunkach lub uzyskać strategiczne zwycięstwo mimo taktycznej przewagi posiadanej przez Royal Manticoran Navy. I jeśli założenia dotyczące skuteczności obrony antyrakietowej okrętów solarnych okażą się zbyt, optymistyczne, mogłoby jej się to udać.

Mike spojrzała na ekran łącznościowy fotela, na którym widać było wachtowego podoficera sekcji łączności na mostku HMS *Artemis*, i powiedziała:

- Proszę z kapitan Armstrong.

- Aye, aye, ma'am.

Wachtowy zniknął i na ekranie pojawiła się twarz kapitan Victorii Armstrong.

- Pani dzwoniła, ma'am? - spytała tonem równie niewinnym co wyraz oczu będących jaskrawym zaprzeczeniem charakteryzującego ich właścicielkę złośliwego poczucia humoru i kompetencji.

- Tak mi się wydaje... o czymś chciałam z tobą porozmawiać... tylko co to mogło być...

Armstrong uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- A nie chodziło przypadkiem o tę bandę nieproszonych natrętów pchającą się nachalnie ku Flax? - odpowiedziała uprzejmie.

- O właśnie! - ucieszyła się Henke.

Ktoś na pomoście flagowym zachichotał.

- Jak na razie wygląda na plan Alfa, Vicki - powiedziała już poważnie Henke.

- Rozumiem, ma'am. Rozmawialiśmy o tym właśnie z Wiltonem i Ronem. Ciekawa jestem, co Crandall w tej chwili myśli.

- Pewnie już się uspokoiła po niespodziance, jaką jej sprawiliśmy, bo z opóźnieniem, ale zaczęła wytracać szybkość. Podejrzewam, że skoro nie mamy superdreadnoughtów, nie będzie chciała się natychmiast poddać.

- A to tak by wszystko uprościło. Prawda?

- I owszem. Ale wygląda na to, że admirał Khumalo i komodor Terekhov będą musieli ją wpięrować. Póki co obowiązuje Agincourt Alfa. Będziemy sobie lecieli cichutko dopóki nie okazemy się potrzebni. O ile się okazemy.

- Aye, aye, ma'am.

Mike kiwnęła jej głową i rozsiadła się wygodniej, zakładając nogę na nogę i skupiając

uwagę na głównym ekranie taktycznym.

W tej skali okręty Crandall zdawały się pełznąć, a ruch jej własnych okrętów był ledwie zauważalny, jako że dopiero zaczynały się rozpędzać. Po dwudziestu latach bojowych doświadczeń kapitanowie i admirałowie Królewskiej Marynarki nie przejmowali się marginesami bezpieczeństwa kompensatorów bezwładnościowych tak jak oficerowie innych flot. Duży wpływ na to miał też stały postęp w ich unowocześnianiu i rosnąca niezawodność. Dlatego okręty Henke leciały z przyspieszeniem 6,5 kilometra na sekundę kwadrat. Zmniejszać go nie było powodu, bo wieści o przyspieszeniu, jakie rozwijały w czasie drugiej bitwy o New Tuscany, dotarły już na Ziemię w raporcie Sigbee, a jeśli Crandall jeszcze o nich nie wiedziała, to dostała teraz kolejny dowód na ich istnienie, który mógł obudzić u niej jeśli nie resztki zdrowego rozsądku, to choćby instynkt samozachowawczy.

Tylko że prawdę mówiąc, Henke na to nie liczyła.

Do bitwy po prostu musiało dojść - widziała w życiu zbyt wiele podobnych sytuacji i miała zbyt dużo doświadczenia, by żywić jakiegokolwiek złudzenia w tej sprawie.

Pamiętała, kiedy pierwszy raz zobaczyła podobną sytuację na ekranie taktycznym i wiedziała, że nie jest to symulacja komputerowa. Szkoliła się i ćwiczyła przez całe swoje dorosłe życie właśnie dla takiego momentu, ale tak naprawdę nadal nie mogła uwierzyć, że to prawda. Że w jakiś sposób w ostatniej chwili nie da się tego uniknąć. Zrobiła, co mogła, by się na tę chwilę przygotować, i uważała, że jest gotowa.

Myliła się. Nie była gotowa na jedno - na uświadomienie sobie własnej śmiertelności, na zrozumienie, że może zginąć równie łatwo jak każdy. Na to nie były w stanie przygotować nawet najrealistyczniejsze ćwiczenia.

Jak też na to, że gdy rakiety zostaną odpalone, ludzie zginą. Ona może przeżyć, ale zabici będą na pewno.

Teraz tę prawdę miała poznać Sandra Crandall i wszyscy na pokładach jej okrętów. Zastanawiała się, jak przeżyją to doświadczenie.

\* \* \*

Gervais Archer zwykle był w stanie po zachowaniu i minie określić nastrój Henke. Jej mowa ciała i mimika były dość proste do rozszyfrowania, a osobowość w tym pomagała, bo jako osoba z natury uparta miała zwyczaj stawiać czoło każdemu problemowi.

W tej jednakże chwili nie był w stanie niczego wyczytać ani z jej wyrazu twarzy, ani z zachowania, mimo że było w nich coś, czego dotąd u niej nie dostrzegł. Nie wiedział dokładnie, co to może być, ale wychodziło mu, że żal...

\* \* \*

Michelle Henke wzięła głęboki oddech, usiadła prosto i skupiła się na bieżących sprawach.

Podejrzewała, że Crandall robi to samo - gapi się na ekran taktyczny, tyle że ma na nim znacznie mniej danych i o wiele gorszej jakości. Henke bowiem usiała przestrzeń wewnątrzsystemową bojami i sondami zwiadowczymi wyposażonymi w nadajniki grawitacyjne. Najgęściej nasadziła je w płaszczyźnie ekliptyki i na przewidywanej trasie Crandall od granicy przejścia do planety. Obraz, który widziała na ekranie taktycznym, pochodził z sond oddalonych o sekundę świetlną lub mniej od okrętów Crandall i miał ledwie pięć sekund opóźnienia w stosunku do czasu rzeczywistego. Crandall, nie licząc sygnatur napędów, miała obraz o pięć minut spóźniony. Chwilowo nie było to istotne, ale gdy rakiety zostaną odpalone, to się diametralnie zmieni.

Spojrzała na chronometr. Od wyjścia z nadprzestrzeni minęło pięć minut i już miała Crandall w skutecznym zasięgu rakiet, zakładając dwupółminutowy lot balistyczny przed uaktywnieniem napędu trzeciego członu. Nie znaczyło to naturalnie, że przy takiej odległości rakiety nie tracą, i to poważnie, na celności, toteż nie miała zamiaru ich marnować.

Natomiast każda sekunda zmniejszała odległość dzielącą okręty Crandall i Terekhova. Gdy zmniejszy się do trzech minut świetlnych, czas bezczynności dobiegnie końca.

A to powinno nastąpić za siedemnaście minut...

\* \* \*

- Jeszcze siedemnaście minut, sir - powiedział cicho komandor Pope.

Terekhov kiwnął głową i spojrzał na komandora Stillwella Lewisa.

- Przygotuj falę alfa, Stillwell - polecił.

- Aye, aye, sir.

Lewis wpisał stosowne polecenie i generatory promieni ściągających zasobników postawionych przez okręty amunicyjne uaktywniły się po otrzymaniu odpowiednich sygnałów, przyciągając je na pozycje startowe w stosunku do okrętów, które będą je kontrolować. Na ten sygnał kutry także zajęły pozycje wyjściowe, choć jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie powinny w ogóle zostać użyte. Tak samo jak okręty Henke. Jedne i drugie były ubezpieczeniem na wypadek nieprzewidzianego, zgodnie ze starą strażacką zasadą „lepiej zapobiegać, niż gasić”.

Było to słuszne podejście, tym bardziej że w praktyce rzadko kiedy wszystko szło

zgodnie z planem, czego najlepszym przykładem była bitwa o Monicę, o miejscu zwanym Hyacinth nie wspominając.

Terekhov uśmiechnął się gorzko na wspomnienie obu bitew i spojrzał na Helen Zilwicką. I jego uśmiech omal nie zmienił się w radosny. Chorąży Zilwicka przyglądała się wszystkiemu pałającymi oczyma i byłby skłonny się założyć, że gdyby mogła, przestępowałaby z nogi na nogę lub zgoła podskakiwała.

- Spokojnie - powiedział cicho, tak by tylko ona to słyszała.

- Aż tak widać, sir? - spytała.

- Powiedzmy, że jest raczej oczywiste, że wolałabyś być na miejscu komandora Lewisa.

- Przepraszam, sir, ale...

- Jest jak ostatnim razem, kiedy to obie z Abigail miałyście pełne ręce roboty - dokończył z uśmiechem. - Jeszcze tak będzie. Obiecuję.

- Wiem, sir.

Terekhov pokiwał głową i wrócił do obserwowania głównego ekranu taktycznego.

I do swoich przemyśleń.

Mimo wysiłków wszystkich zainteresowanych rozwój techniki był tak szybki, że zasobniki holowane Royal Manticoran Navy przechodziły ciągle modernizacje, a w razie większych zmian zastępowane były nowymi modelami. Niestety odbijało się to na liczbie rakiet w każdym. Pierwotne zasobniki nowej generacji miały po 12 rakiet, następne wyposażone w generatory promieni ściąających także, dopóki nie opracowano rakiet *Mark 23*, bo wówczas zasobnik musiał zostać wyposażony we własny reaktor, by mieć możliwość uaktywnienia napędów rakietowych. Sensownie zdecydowano się utrzymać wymiary zasobnika bez zmian, bo ułatwiało to kwestie logistyki i produkcji, co spowodowało konieczność zmniejszenia liczby rakiet do 10.

Personel RMN nie odniósł się z entuzjazmem do tego posunięcia, bo oznaczało ono zmniejszenie pojemności magazynów amunicyjnych każdego okrętu rakietowego o 16%. Zaletą były większy zasięg i silniejsza elektronika nowych pocisków oraz znacznie wydłużony czas gotowości do użycia już postawionych zasobników. Wprowadzenie systemu *Keyhole* pozwalało na znaczne zwiększenie liczby rakiet w jednej salwie, ponieważ do dyspozycji była znacznie większa niż dotąd liczba łączny telemetrycznych. Ale wprowadzenie systemu *Apollo* spowodowało kolejne zmiany, bo rakieta sterująca *Mark 23 E* była tak duża, że zajęła miejsce dwóch normalnych *Mark 23* i na dodatek nie była rakieta bojową, co oznaczało, że w jednym zasobniku holowanym mieściło się tylko 8 rakiet z głowicami

bojowymi i *Mark 23 Echo*. Tu akurat obiekcji nie było, bo zwiększenie celności było większe niż straty spowodowane spadkiem liczby rakiet. Ponieważ jednak wymusiło kolejną redukcję pojemności magazynów amunicyjnych, opracowano nowy model zasobnika holowanego *Mark 19* o tych samych wymiarach co poprzednie, ale o innym kształcie. Wcześniejsze były symetryczne, te zaś zaprojektowano tak, by układane na przemian jeden na drugim zajmowały mniej miejsca, dzięki czemu do magazynów artyleryjskich mieściło się ich więcej. Nie zwiększało to liczby rakiet w salwie, ale zwiększyło liczbę możliwych do oddania salw. W praktyce okazało się, że dzięki temu superdreadnought raketowy dysponował większą liczbą rakiet niż w chwili wprowadzania zasobników holowanych przewożonych w magazynach artyleryjskich.

W tym momencie dla 10. Floty miało to niewielkie znaczenie, gdyż nie posiadała żadnego superdreadnoughta. Za to było o tyle istotne, że znacznie zwiększyła się liczba zasobników dostarczonych przez okręty amunicyjne. Ponieważ ciężkie krążowniki nie miały systemu *Keyhole*, o *Keyhole 2* nie wspominając, Terekhov nie miał nic przeciwko temu, że w zasobnikach tych było po osiem rakiet bojowych plus *Mark 23 Echo*.



## ROZDZIAŁ XXII

SNS *Joseph Buckley* zbliżał się do planety Flax, ciągle wytracając prędkość, a napięcie na jego pomoście flagowym rosło. Nikt nic nie mówił, ale było to widoczne w zachowaniu wszystkich obecnych.

Dla części był to czas zapłaty za zniszczenie *Jeana Barta*, której wręcz doczekać się nie mogli. Dla większości był to początek pierwszej realnej wojny w dziejach Ligi Solarnej. Crandall mogła sobie udawać, co chciała, ale to nie była żadna akcja porządkowa, a Marynarka Ligi pierwszy raz w historii miała do czynienia z przeciwnikiem, który dysponował nie tylko liczną flotą, w skład której wchodziły okręty liniowe, ale także doświadczeniem bojowym, zaufaniem do swego uzbrojenia i taktyki. Niezależnie od tego, czy ktoś to głośno przyznawał, czy nie, wiedzieli o tym wszyscy. I używanie określeń takich jak „prymitywy” czy „neobarbarzyńcy” było tylko próbą zaklinania rzeczywistości.

Obserwujący to wszystko Hago Shavarshyan gotów był założyć się o dowolną kwotę, że wszyscy wokół są wdzięczni losowi, że nie spotkają się z okrętami liniowymi Królewskiej Marynarki.

\* \* \*

- Odległość 56 milionów 750 tysięcy kilometrów - zameldował komandor porucznik Golbatsi. - Prędkość 19 tysięcy kilometrów na sekundę. Punkt Longbow osiągniemy za trzy minuty od... teraz.

- Dzięki - potwierdził Scotty Tremaine i spytał porucznika MacDonalda: - Jak sądzę, wspomniałbyś, gdybyś dostał jakąś wiadomość od komodora Terekhova, Stilson.

- Wspomniałbym, sir - zapewnił oficer łącznościowy.

Scotty uśmiechnął się zadowolony. Poza porucznikiem Yellandem wszyscy członkowie jego sztabu brali już udział w walce. Nie mieli aż takiego doświadczenia jak Harkness czy on sam, ale nie było też po nich widać nerwowości, o panice nie mówiąc. Biorąc pod uwagę dysproporcję sił, było to spore osiągnięcie.

- Jakież zmiany w ECM-ach, bosmanie Harkness? - spytał.

- Nie, sir. Zaczynają przygotowywać do użycia ten cały system *Halo*, ale jeszcze go nie uaktywnili. Wygląda mi to na autotest, sir.

\* \* \*

Sandra Crandall przygryzła dolną wargę, wpatrując się w główny ekran taktyczny.

- Test systemu *Halo* kompletny, ma'am - zameldowała Ou-yang. - System w pełni sprawny.

Crandall skwitowała to kiwnięciem głowy i zmarszczyła brwi. Jeśli informacje o zasięgu rakiet RMN przywiezione przez kuriera z New Tuscany były właściwe, znajdowała się 10 milionów kilometrów od maksymalnego skutecznego zasięgu rakiet okrętów na orbicie parkingowej Flaksa. Rozsądnie byłoby poczekać z otwarciem ognia, bo im większa odległość, tym mniejsza celność, i żaden postęp techniki tego zmienić nie zdołał. A gdy jej okręty uaktywnią bierne środki obrony antyrakietowej, ta celność jeszcze ulegnie zmniejszeniu. Wniosek był prosty - obrońcy powinni odpalić rakiety z mniejszej odległości niż wobec zaskoczonych okrętów Bynga, by móc utrzymać sensowną celność.

Jeżeli jednak Ou-yang nie myliła się co do tych uciekających jednostek, obrońcy mieli o wiele więcej rakiet, niż mogli kontrolować, i żadnego powodu, by oszczędzać amunicję. W tych okolicznościach zaczęła ostrzalać najszybciej, jak się da, chcąc jak najbardziej zniwelować dysproporcję sił. Ponieważ wybrała bój spotkaniowy, nie mieli innego wyjścia, niż go przyjąć, a każdy jej okręt uszkodzony na tyle, by wypaść z szyku, nie mogąc utrzymać kursu czy prędkości, będzie okrętem, który w tym boju udziału nie weźmie. Do równowagi sił doprowadzić naturalnie nie mogli, ale straty mieli szansę spowodować duże, zwłaszcza gdyby dopisało im szczęście.

No i pozostawały jeszcze te impulsy grawitacyjne. Niektóre ich źródła były zaskakująco blisko. Jeśli rzeczywiście pochodziły z sond zwiadowczych z nadajnikami grawitacyjnymi, ich maskowanie elektroniczne było nieporównanie lepsze, niż twierdził wywiad floty. Co gorsza, uzyskiwali dzięki nim dobre i szybkie informacje o jej okrętach. Dlatego nie zamierzała uaktywnić systemu *Halo* wcześniej, niż będzie to konieczne, by nie ułatwiać im życia. Mimo to...

- Uaktywnić system *Halo*, gdy znajdziemy się czterdzieści milionów kilometrów od nich - poleciła.

\* \* \*

- Punkt Longbow za minutę, ma'am.

- Dziękuję, Dominico - odparła Henke.

Adenauer powiedziała to niesamowicie spokojnie i być może przyszło jej to bez

wysiłku. Mike bowiem ze zdziwieniem stwierdziła, że sama jest spokojna. To nie była wyprawa po sprawiedliwość jak w New Tuscany. To była starannie zaplanowana bitwa i podchodziła do niej prawie obojętnie, jakby była jedynie obiektywnym obserwatorem. Widziała takie podejście wielokrotnie u Honor, ale nigdy dotąd sama go nie doświadczyła.

Uświadomiło jej to, że staje się coraz bardziej do niej podobna. Średnio ją to cieszyło, bo oznaczało też perspektywę zajęcia się w przyszłości najgorszą z możliwych dziedzin życia, czyli polityką. Na myśl o tym najpierw się skrzywiła, a potem uśmiechnęła.

Nie miała pojęcia, że ten uśmiech podziałał na obsadę pomostu flagowego niczym dawka środka uspokajającego.

\* \* \*

- Punkt Longbow, sir - zameldował Stillwell Lewis.

Sir Aivars Terekhov kiwnął głową i polecił:

- Ognia!

\* \* \*

- Rakiety! - Głos komandor Sambroth zabrzmiał nienaturalnie głośno w panującej na mostku ciszy.

Jacomina van Heutz drgnęła, gdy na ekranie taktycznym nagle pojawiło się mnóstwo nowych symboli.

- Odległość 53 miliony 96 tysięcy kilometrów. - Głos Sambroth wskazywał, że nie do końca wierzy w to, co melduje. - Przy stałym przyspieszeniu dotrą do nas za siedem minut trzydzieści sekund.

- Obrona antyrakietowa: pogotowie bojowe - poleciła van Heutz.

Wydawało się jej, że mówi to ktoś inny, bo jej uwaga nadal skupiona była na niewiarygodnej liczbie nadlatujących rakiet wyświetlonej na głównym ekranie taktycznym.

\* \* \*

Ciężki krążownik *Saganami-C* ważył 480 tysięcy ton i uzbrojony był w 20 wyrzutni rakiet na każdej burcie. Miał możliwość kierowania pociskami wystrzelonymi z obu burt, tak by trafiły one do celu równocześnie. Został też zaprojektowany tak, by mógł być wyposażony w dwuczłonowe rakiety *Mark 16*, i posiadał odpowiednią liczbę łączы telemetrycznych, by równocześnie naprowadzać dwie salwy z obu burt, czyli 80 rakiet. Na wszelki wypadek, z uwagi na możliwe uszkodzenia bojowe, wyposażono go w 60% zapasu łączы, czyli razem w

128. Terekhov wykorzystał wszystkie łącza wszystkich swoich okrętów, a każde służyło do naprowadzania rakiety *Mark 23 Echo*, która z kolei sterowała ośmioma bojowymi raketami *Mark 23*.

W ten sposób 94. Eskadra Ciężkich Krążowników i 1. Dywizjon 96. Eskadry mogły sterować raketami z ponad 1500 zasobników holowanych.

I taką też salwę odpaliły w stronę 496. Zespołu Wydzielonego Marynarki Ligi.

\* \* \*

- Szacunkowa ocena to dwanaście tysięcy, powtarzam: dwanaście tysięcy raket! - zameldowała rzeczowo Ou-yang.

Sandra Crandall podskoczyła i obróciła się w stronę oficer operacyjnej, wytrzeszczając oczy. Była zbyt zszokowana, by cokolwiek powiedzieć. Kątem oka dostrzegła Bautistę siedzącego z opuszczoną szczęką i wybałuszonymi oczyma.

- System *Halo* aktywny - zameldowała zwięźle Ou-yang. - Plan ogniowy Able dla obrony antyrakietowej.

\* \* \*

- Komodor Terekhov otworzył ogień, ma'am - zameldowała Dominica Adenauer.

Henke skrzywiła się w duchu - główny ekran taktyczny wręcz się skrzył od symboli raket, ale Adenauer miała obowiązek meldować o takich wydarzeniach.

- Rozumiem - potwierdziła spokojnie.

\* \* \*

Scotty Tremaine obserwował salwę z podziwem. Widywał już liczniejsze, i to nie raz, jak choćby w czasie bitwy o Manticore, ale 1/3 tych raket została wystrzelona i była sterowana przez jego okręty. A to stanowiło zupełnie nowe doświadczenie.

Zerknął na Harknessa - ten, jak zwykle niewzruszony, przyglądał się odczytom sensorów i od czasu do czasu wpisywał krótkie polecenia na klawiaturze. Od dwudziestu lat standardowych był dla Scotty'ego opoką przy każdym nowym wyzwaniu i stanowił ją także tym razem.

Za co Scotty był mu zwyczajnie, po ludzku wdzięczny.

\* \* \*

Obserwując salwę, Helen Zilwicka zastanawiała się, jak bardzo sytuacja zmieniła się

od bitwy o Monicę. Jako porucznik flagowy Terekhova była na odprawie, na której uzgodniono szczegóły planu Agincourt. Ponieważ nikt nie miał pewnych informacji o skuteczności obrony antyrakietowej solarnych superdreadnoughtów, postanowiono przyjąć najbardziej pesymistyczne założenia.

Dlatego z 12 288 rakiet *Mark 23* ponad 3 tysiące miały głowice z ECM-ami. A pozostałym wyznaczono tylko 23 cele, zakładając, że będzie to o wiele za dużo rakiet na jeden okręt. Do zniszczenia superdreadnoughta Marynarki Republiki wystarczyło bowiem 200-250 rakiet. Ale możliwości tych okrętów były dobrze znane, a solarnych nie, i dlatego zgodnie z zasadami zdrowo rozwiniętej profilaktyki każdy z wybranych okrętów miał być celem dla 400 rakiet.

- Przygotować salwę Bravo - polecił spokojnie Terekhov.

\* \* \*

Oficerowie taktyczni Terekhova i Scotty'ego naprowadzali rakiety w luksusowych warunkach całkowitego spokoju i poczucia bezpieczeństwa, jakie nigdy wcześniej im się w podobnej sytuacji nie przytrafiły. Wiedzieli bowiem, że mimo olbrzymiej różnicy wielkości między ich okrętami a jednostkami przeciwnika ten nie może im w żaden sposób zaszkodzić.

Dawało im to niezwykle komfort psychiczny i skutkowało większym skupieniem.

\* \* \*

Nikt na pokładach okrętów 496. Zespołu Wydzielonego w najgorszych koszmarach nie wyśnił sobie czegoś podobnego. Zgodnie z wiedzą i możliwościami Marynarki Ligi było to po prostu niemożliwe, toteż zaskoczenie i niedowierzanie stały się udziałem wszystkich. Mimo zaślepienia i arogancji byli to jednak profesjonaliści, toteż poza nielicznymi wyjątkami przerażenie ich nie sparaliżowało, a myślenie ustąpiło miejsca wytrenowanym odruchom.

Jacomina van Heutz z ulgą usłyszała serię normalnych rozkazów i zarejestrowała zwyczajową aktywność dyżurnej obsady mostka. Wszyscy działali tak, jakby to były kolejne ćwiczenia, i poczuła dumę, że nimi dowodzi. Fakt, w głosach słychać było strach i napięcie, ale wszyscy wzorowo wykonywali swoje obowiązki.

Mimo iż wiedzieli, że żadną miarą nie zdołają się uratować.

\* \* \*

Hago Shavarshyan nie był oficerem taktycznym, ale posiadał dość wiedzy z tej dziedziny, by wiedzieć, że to, co się zbliża, nie jest salwą odpalonych na oślepek rakiet.

Najprostszą analizę ich lotu wyraźnie wskazywała, że wszystkie są zdalnie sterowane i manewrują jako całość. To że było to niemożliwe, nie znaczyło, że nie miało miejsca, i sądząc po zachowaniu Ou-yang Zhing-wei, ona także się z tym pogodziła, a nawet próbowała wydawać jakieś rozkazy, słuchając równocześnie meldunków i przyglądając się odczytom sensorów.

Zazdrościł jej - przynajmniej miała jakieś zajęcie wypełniające oczekiwanie na śmierć.

- To musi być jakaś elektroniczna sztuczka! - wychrypiął Bautista, odzyskując wreszcie głos.

- To nie ECM-y, Pépé - warknęła Crandall. - One są realne.

- Ale... ale oni nie mogą ich kontrolować! Nie mogą mieć tylu łączów! A... a nawet jeśli mają, to przy tej odległości rakiety nie będą celne!

- Wątpię, by ktokolwiek odpalił rakiety, których nie może w pełni kontrolować, o ile nie jest to salwa na oślep. Możesz mieć rację, że stracą na celności, ale przy takich salwach nawet słaba celność wystarczy, żeby nas wykończyć.

Bautista zamarł, słysząc to wyznanie, i nie zdołał już słowa wykrztusić, choć próbował.

Crandall nawet tego nie zauważyła.

\* \* \*

- Uaktywnili *Halo*, sir - zameldował Stillwell Lewis prawie radośnie. - Pokładowe ECM-y bez zmian. Jak na razie żadnych niespodzianek.

- Tylko bez przesadnej pewności siebie, Stillwell - ostrzegł Terekhov.

- Oczywiście, sir.

Helen omal nie parsknęła śmiechem, słysząc na poły urażony, na poły zawstydzony głos Lewisa. Dobrze przy tym rozumiała, skąd bierze się pewność siebie oficera taktycznego.

Sondy systemu *Ghost Rider* znajdowały się trzy minuty świetlne od *Quentina Saint-Jamesa*, co oznaczało mniej niż trzy sekundy opóźnienia w przekazywaniu danych. Lewis obserwował więc okręty Crandall w czasie rzeczywistym. Bez systemu *Keyhole 2* nie było szybszej od światła łączności między krążownikami a raketami, ale opóźnienie wynosiło połowę tego, co bez wykorzystania systemu *Ghost Rider*.

To byłoby już wiele, a istniał jeszcze system *Apollo* - każda rakietka *Mark 23 Echo* była lepszym węzłem kontrolnym, niż ktokolwiek w Marynarce Ligi mógł przypuszczać. Ich komputery artyleryjskie miały po kilkanaście programów ataków opartych na wszelkich wersjach obrony, jakie z pomocą symulatorów oficerowie taktyczni 10. Floty byli w stanie

wymyślić. Oprogramowanie zaś było na tyle dobre, że bez trudu mogło wybrać właściwą lub dostosować się do zmian w obronie w razie potrzeby. Naturalnie nie było to tak skuteczne jak sterowanie przy użyciu *Keyhole 2*.

Ale i tak nieporównanie lepsze, niż ktokolwiek po drugiej stronie mógł podejrzewać.

\* \* \*

- Uaktywnili system *Halo* - zameldował Harkness, wpisując coś na klawiaturze niczym pianista. - Wygląda na skuteczniejszy o 20 procent w stosunku do używanego przez ich krążowniki liniowe, ale to wszystko, sir. I mamy sporo lidarów artyleryjskich, pewnie więc szybko pojawią się antyrakiety.

Tremaine skinął głową - 20 procent to mniej, niż zakładał plan operacyjny, ale nie znaczyło to, że w ciągu kilku minut nie może to ulec zmianie. Ale nawet jeśli tak by się stało...

- Zasobniki salwy Bravo na pozycjach - zameldował komandor Golbatsi. - Kody startowe potwierdzone przez wszystkie.

- Dzięki.

- Wzór Alfa-Quebec-1-7! - oznajmił nagle Stilson MacDonald.

- Wykonać - rozkazał Tremaine.

- Jest wykonanie Alfa-Quebec-1-7! - potwierdził Adam Golbatsi.

I wysłał polecenie ostatecznego wzoru ataku rakietom pierwszej salwy.

Przez pomost flagowy przetoczyło się jakby westchnienie, gdy wszyscy prawie równocześnie odetchnęli.

\* \* \*

Podobne westchnienie przemknęło przez pomost flagowy *Quentina Saint-Jamesa*, ale Terekhov go nie zarejestrował, tak był skupiony na tym, co pokazywał główny ekran taktyczny.

- Odpalić salwę Bravo! - polecił.

I druga, równie liczna salwa opuściła zasobniki holowane.

\* \* \*

Znajdujące się 14177 748 kilometrów od celu komputery celownicze rakiet *Mark 23 Echo* salwy Alfa przyjęły ostateczne polecenia, wybrały profil ataku AQ-17 i wysłały go poszczególnym rakietom poruszającym się z prędkością 207 412 km/s, czyli nieco ponad

69% prędkości światła. Było to o 4,5 raza szybciej, niż mogła lecieć jakakolwiek solarna rakietka w takich samych warunkach. A ta prędkość w ciągu ostatnich trzydziestu sekund do lotu do celu jeszcze się zwiększała.

Komputery celownicze dokonały pewnych drobnych korekt wynikających z indywidualnych charakterystyk obrony antyrakietowej poszczególnych celów i wysłały stosowne polecenia rakietom *Mark 23*.

Te, wyposażone w głowice radioelektroniczne, wykonały otrzymane polecenia i uaktywniły się.

\* \* \*

Opracowując taktykę użycia obrony antyrakietowej, taktycy solarni nawet nie pomyśleli, że możliwa jest tak liczna salwa rakietowa. Tradycyjna taktyka polegała na identyfikacji rakiet stanowiących największe zagrożenie i wyznaczaniu ich jako celów dla kilku antyrakiet każdej. Tym razem było to niemożliwe, gdyż rakiet było za dużo, a na dodatek leciały za szybko - osiągały taką prędkość, że obrona miała czas tylko na jedną salwę, toteż łącznie *superdreadnoughty Crandall* były w stanie wystrzelić mniej niż 2000 antyrakiet. Wychodziło na to, że wystrzelivano jedną na każde 6,5 nadlatujących rakiet, a to absolutnie nie wystarczało. A sytuacja właśnie uległa drastycznej zmianie.

Oficerowie artylerysty gapili się z niedowierzaniem na ekrany, na których nagle zapanował chaos, gdy zaczęły działać rakietki typu *Dragon's Teeth* i liczba celów podwoiła się, a potem jeszcze raz i jeszcze raz, całkowicie wykluczając możliwość rozpoznania, które cele są rzeczywiste, a które pozorne. Ani operatorzy, ani komputery obrony antyrakietowej nie byli w stanie temu zaradzić.

Nie dość tego. Sekundę później uaktywniły się *Dazzlery* lecące na czele salwy i w odczytach solarnych sensorów pojawiły się dziury wybite przez zagłuszacze, co poważnie zmniejszyło skuteczność nie tylko antyrakiet, ale i sprzężonych działek laserowych stanowiących ostatnią przeszkodę dla rakiet.

W ten sposób z 9200 rakiet *Mark 23* salwy Alfa okręty *Crandall* zdołały przechwycić dokładnie 1007. Reszta dotarła do celów i detonowała.

\* \* \*

*Superdreadnoughtem Joseph Buckley* targnęła seria eksplozji, które złały się w jedną, gdy w jego kadłub trafiły promienie laserowe najpierw jednej, potem kolejnych rakiet. Okręt miał gruby pancierz, ale takiej lawiny energii wytrzymać nie był w stanie.



Jacomina van Heutz trzymała kurczowo poręcz fotela podskakującego na wszystkie strony. Gdyby nie uprząż antyurazowa, już dawno wyleciałaby z niego jak z procy. Rakiety dotarły do okrętu z prędkością prawie 73% szybkości światła, toteż detonowały w zasadzie równocześnie i żaden ludzki umysł nie był w stanie rozróżnić poszczególnych trafień. Ba, nawet komputery nie były do tego zdolne.

Promienie spolaryzowanej energii najpierw przecięły generatory osłon burtowych, powodując ich spalanie, potem wybiły dziury w pancerzu, a na koniec sięgnęły w głąb, niszcząc wszystko, co napotkały: stanowiska dział, sensory, wyrzutnie antyrakiet, pokłady hangarowe, węzły napędu. W ciągu kilku sekund okręt flagowy Sandry Crandall został zmieniony w bezwładnie dryfujący wrak, podziurawiony niczym ser szwajcarski i pozbawiony energii. Ponad 3/4 załogi zginęło na miejscu.

Okręt van Heutz nie był jedyny - jego los podzielili *Joseph Lister*, a *Joseph Hutton* i *Max Planck* z tej samej eskadry przestały istnieć. Po drugim nie zostało nic, pierwszy po serii wewnętrznych eksplozji zmienił się w trzy kawałki dryfujące w różne strony.

*Archimedes*, *Andreas Vescdius*, *Hipparchus*, *Leonardo da Vinci*, *Gregor Mendel*, *Marie Curie*, *Wilhelm Röntgen*, *Alfred Wegener*, *Avicenna*, *Al-Kawarizmi* i jeszcze 9 innych albo zniknęły w oślepiających wybuchach, albo zmieniły się w podziurawione, targane wewnętrznymi eksplozjami wraki dryfujące w przestrzeni. Salwa Alfa w wyniku doskonale zsynchronizowanych eksplozji wyłączyła z walki 32% okrętów Crandall łącznie z nią samą.

\* \* \*

Sir Aivars Terekhov bez mrugnięcia okiem patrzył, jak 23 symbole albo znikają z ekranu, albo zmieniają się w czerwone krzyże oznaczające wraki. Przyglądał się głównemu ekranowi taktycznemu przez pełną minutę i z pełną satysfakcją. Solarna formacja przestała istnieć, gdyż kapitanowie ocalałych okrętów gorączkowo manewrowali, próbując uniknąć większych szczątków, które eksplozje rozrzuciły we wszystkich kierunkach.

Potem spojrzął na Stillwella Lewisa i polecił:

- Wykonać Wykrzyknik.
- Aye, aye, sir. Jest wykonać Wykrzyknik.

Lewis nacisnął klawisz na konsoli.

20 sekund później wszystkie rakiety salwy Bravo detonowały, nie dolatując do celu.

- Przygotować salwę Charlie - rozkazał Terekhov.
- Aye, aye, sir - potwierdził Lewis.

\* \* \*

45 sekund minęło.

Potem 60 sekund.

W końcu po 90 sekundach ekrany wszystkich solarnych okrętów zniknęły.

Po kolejnych 150 sekundach do okrętów Królewskiej Marynarki dotarła wiadomość.

- Odebraliśmy wiadomość od admirała Keeley O'Cleary, sir - zameldowała kapitan Loretta Shoupe. - Chce się poddać, sir.

Admirał Augustus Khumalo uśmiechnął się z satysfakcją.

## ROZDZIAŁ XXIII

Michelle Henke stała na pomoście flagowym *Artemis* z dłońmi splecionymi za plecami i obserwowała na głównym ekranie taktycznym kutry admirała Enderby zajmujące pozycje. I żałowała, że O'Cleary nie poddała się dopiero po następnej salwie. Albo jeszcze lepiej po następnych dwóch. Znacznie uprościłoby to sytuację, a tak miała problem. I to niemały.

Złośliwością losu było zaś to, że problem ów wynikał z jednej z największych przewag Royal Manticoran Navy, czyli przewagi technicznej. Konkretnie rzecz biorąc, z wysokiego stopnia zautomatyzowania okrętów, które udało się bardziej, niż pierwotnie sądzono. Efektem była poważna redukcja liczebności załóg - superdreadnought miał obsadę mniejszą niż przedwojenny krążownik liniowy. Ułatwiało to pracę Piątemu Lordowi Przestrzeni Cortezowi, który w przeciwnym razie nie byłby w stanie znaleźć załóg dla nowych jednostek. Ale utrudniało życie dowódcom przy rozmaitych okazjach.

Jak na przykład konieczność obsadzenia zdobytej jednostki załogą przyzową.

Załogi okrętów solarnych dla odmiany były liczniejsze od przedwojennych załóg RMN - każdy z 71 superdreadnoughtów Crandall miał ponad 6 tysięcy ludzi na pokładzie. Na 48 nienaruszonych okrętach było więc prawie 300 tysięcy ludzi, nie wspominając o jednostkach mniejszych. Z drugiej strony niszczyciel klasy *Roland*, taki jak HMS *Tristram*, miał mniej niż 70 ludzi, w tym ani jednej Marine. Na ciężkim krążowniku klasy *Saganami-C*, taki jak HMS *Quentin Saint-James*, znajdowało się 355 ludzi, w tym 140 Marines, a na krążowniku liniowym klasy *Nike*, takim jak HMS *Artemis* - 750. Łącznie z personelem HMS *Hercules*, 4 lotniskowców i kutrów Henke miała 32 tysiące ludzi. Na okrętach solarnych było ich 350 tysięcy, a do tego należało przeszukać wraki 9 superdreadnoughtów, które nie zostały całkowicie zniszczone, bo na pewno ktoś na nich przeżył.

A do ekip poszukiwawczych także potrzebni byli ludzie.

Ujmując rzecz krótko, miała za mało ludzi, a za dużo jeńców i żadnego pomysłu, co zrobić z tymi drugimi. Nie była w stanie przetransportować ich do obozów jenieckich w systemie Manticore zasiedlonych głównie przez personel Drugiej Floty Marynarki Republiki. Nie była zresztą pewna, czy pomieściłyby taką liczbę jeńców mimo gwałtownej rozbudowy po bitwie o Manticore.

Dama Estelle Matsuko robiła, co mogła, by znaleźć jakieś miejsce dla jeńców, choćby

tyczasowe, ale nikomu wcześniej nie przyszło do głowy, że na planecie trzeba będzie upchnąć 350 tysięcy nieproszonych gości, toteż miała raczej ograniczone możliwości działania, przynajmniej chwilowo. Najrozsądniejszy wydawał się pomysł zastosowany przez Republikę Haven - zamiana jednej z kilku dużych wysp tropikalnych w obóz jeniecki. Chwilowo na żadnej nie było nic poza roślinnością i zwierzętami, ale żywność i wodę można dowozić, a sanitariaty, na początek prymitywne, zbudować szybko. Postawienie normalnych budynków mieszkalnych i urządzeń sanitarnych wymagało więcej czasu, ale w tym mogli pomóc jeńcy w dobrze pojętym interesie własnym, gdy kryzys wywołany nowym położeniem już im minie.

Naturalnie w Lidze Solarnej na wieść o tym podniesie się dziki wrzask o nieludzkim traktowaniu, ale to jej nie obchodziło, bo wrzask podnosił się tam w związku z każdym posunięciem Królestwa, a teraz Imperium Manticore. A jeśli takiego powodu nie było, zawsze dało się go wymyślić.

Prawdę mówiąc, ona i jej starsi oficerowie taktyczni nadal czuli się oszołomieni rozmiarami i szybkością zwycięstwa. Okazało się, że obrona antyrakietowa solarnych okrętów jest gorsza, niż zakładali w najbardziej optymistycznych ocenach. Na zniszczenie jednego superdreadnoughta wystarczyłoby według wstępnych analiz 50-100 rakiet *Mark 23*. Była przekonana, że potrzebnych będzie pięć, a najprawdopodobniej około dziesięciu salw, by zadać Crandall straty wymuszające kapitulację, a tymczasem wystarczyła jedna. I ta jedna wystarczyłaby, gdyby posiadała te informacje co obecnie, do zniszczenia wszystkich okrętów Crandall przy innym rozdziale rakiet w stosunku do celów.

Tak oto 10. Flota znalazła się w sytuacji wędkarza, który wybrał się na śledzie, a złowił dwunastometrowego rekina. Osiągnięcie imponujące, tylko problem, co z tym cholerstwem zrobić, jeszcze większy.

Obecnie okręty Terekhova i flagowiec Khumala zajmowały poprzednie pozycje na orbicie, a okręty 496. Zespołu Wydzielonego tkwiły nieruchomo, z wyłączonymi napędami, w odległości 800 tysięcy kilometrów od nich. Jej krążowniki liniowe znajdowały się z kolei 750 tysięcy kilometrów od nich. Wszystkie królewskie okręty były więc daleko poza zasięgiem dział jednostek solarnych, a wszystkie ciężkie krążowniki i krążowniki liniowe dosłownie otaczały ławice zasobników holowanych. Wystrzelone z nich rakiety potrzebowałyby 24 sekund na dotarcie do celu, a po dotychczasowych doświadczeniach Mike była pewna, że wystarczyłaby jedna salwa, aby po 496. Zespole Wydzielonym pozostało tylko wspomnienie.

Na wszelki wypadek miała przygotowanych pięć.

Również na wszelki wypadek nad i pod solarnymi okrętami zajęły pozycje kutry raketowe, a ponieważ było bardzo prawdopodobne, że solarni oficerowie zlekceważą je tak, jak zlekceważyli nowe rakiety, Mike zorganizowała im darmową prezentację możliwości graserów, w jakie uzbrojono kutry typu *Shrike-B*. Miała ona zademonstrować największym niedowiarkom, co mogą one zrobić z nieopancerzonymi powierzchniami kadłuba superdreadnoughta zwykle chronionymi przez ekrany.

Dopiero po tym wszystkim wysłała swoje niszczyciele na misję ratunkową. Tyle że niszczycieli miała 5, a wraków było 9, z czego jeden w trzech kawałkach. Na pięciu starych niszczycielach bez problemu znalazłoby się dość ludzi, by zorganizować ekipy ratunkowe, które przeszukałyby wraki równocześnie. Czy przy jednostkach klasy *Roland* to się uda, miał pokazać czas.

Czas też było sprawdzić, czy pozostałe rozwiązania zadziałają.

Ze względu na załogi okrętów solarnych miała nadzieję, że tak.

- Połącz mnie z O'Cleary, Bill - poleciła, nie odwracając się.

- Aye, aye, ma'am - potwierdził komandor porucznik Edwards.

Mike jeszcze przez parę sekund przyglądała się głównemu ekranowi taktycznemu, po czym odwróciła się ku widocznej na głównym ekranie łącznościowym kobiecie w białym mundurze Marynarki ligi.

- Admirał O'Cleary - powitała ją Mike.

Po dwóch sekundach nadeszła odpowiedź:

- Admirał Gold Peak.

Pierwotnie admirał O'Cleary była trzecią w łańcuchu dowodzenia 496. Zespołu Wydzielonego. Drugą stała się, gdy okręt admirała Dunichiego Lazla *Andreas Vesalius* eksplodował, zmieniając się wraz z całą załogą w kulę ognistej plazmy. Ponieważ z wrakiem *Josepha Buckleya* nie było żadnej łączności, awansowała na dowódcę 496. Zespołu Wydzielonego. Głos miała ponury, ale było to całkowicie zrozumiałe u kogoś w jej sytuacji i po takim szoku, jaki przeżyła.

- Moje grupy abordażowe są gotowe do przejęcia pani superdreadnoughtów - poinformowała ją rzeczowo Henke. - Zdaję sobie sprawę, że wśród pani podwładnych panują różne, często gwałtowne emocje. Moi ludzie dostali rozkaz, by postępować w sposób spokojny i wykazywać opanowanie, ale przypomniałam im także, że najważniejsze jest ich bezpieczeństwo i wykonanie rozkazu głównego, czyli przejęcie okrętów. Mam nadzieję, że nie dojdzie do żadnych incydentów, ale formalnie przypominam pani, że zgodnie z prawem międzyplanetarnym odpowiedzialność za utrzymanie porządku i wykonywanie moich poleceń

oraz poleceń załóg przyzwoych spoczywa na pani ludziach, jako że to oni są stroną, która chciała kapitulacji.

- Zapewniam panią, że uświadomiłam to wszystkim podkomendnym. Jak pani powiedziała, emocje są gwałtowne, ale podobnie jak pani mam nadzieję, że uda się uniknąć incydentów.

- To dobrze. - Henke skinęła uprzejmie głową i przeszła do drugiego tematu. - Jestem pewna, że zdaje sobie pani sprawę, że nikt w Quadrancie Talbott nie był przygotowany na taką liczbę jeńców.

W oczach O'Cleary coś błysnęło; w świetle prawa status ten nie przysługiwał im automatycznie, jako że pomiędzy Ligą a Gwiezdnym Imperium nie została wypowiedziana wojna. Atak Crandall w warunkach pokojowych podpadał zaś pod piractwo, tyle że na wielką skalę. Mike nie musiała potraktować personelu zespołu wydzielonego jak jeńców, lecz mogła to zrobić. Jej decyzja była gestem dobrej woli, nie zaś konsekwencją przepisów prawnych. To, czy musiała cały czas ich tak traktować, pozostawało luką prawną, jak to określali prawnicy.

- Pani gubernator organizuje w tej chwili schronienie, żywność i opiekę medyczną - kontynuowała Henke. - Dołożymy starań, aby nikt nie cierpiał niewygody, ale z początku nie unikniemy prowizorki. Chciałam też przypomnieć, że umowy denebskie przyznają stronie przetrzymującej prawo do użycia wszelkich niezbędnych środków w celu zapewnienia porządku. Nie mamy zamiaru zmuszać nikogo do kolaboracji i przyznajemy, że każdy jeńiec ma prawo próbować ucieczki, byłoby jednak dobrze, gdyby przypomniiała pani swoim ludziom, że nie oznacza to bezkarności i że możemy użyć siły by uniemożliwić im ucieczkę i utrzymać wśród nich porządek.

- To rozkaz? - spytała zimno O'Cleary.

- Nie, to nie rozkaz - odparła równie zimno Henke. - To bardzo zdecydowana sugestia. Przypominam, że ta rozmowa jest nagrywana i zostanie przedstawiona jako dowód w śledztwie dotyczącym jakichkolwiek ewentualnych problemów, które wyniknęłyby w czasie przebywania pani ludzi w naszej niewoli, gdyby zaistniała konieczność wdrożenia takiego dochodzenia.

Przez kilka sekund patrzyły sobie w oczy bez słowa, aż wreszcie O'Cleary ustąpiła.

- Przekażę pani sugestię moim ludziom. Coś jeszcze?

- Tak. Jak sądzę, domyśliła się już pani, że dysponujemy znacznie mniejszą liczbą ludzi, niż znajduje się na pani okrętach, co oznacza oczywiste problemy dla moich drużyn abordażowych. Ich efektem mogą być różnorakie incydenty, a obie jesteśmy zgodne, iż

należy ich unikać. Według obliczeń moich sztabowców kapsuły ratunkowe i jednostki pokładowe, jakimi dysponują pani superdreadnoughty, pomieszczą około pięciu tysięcy ludzi.

- O'Cleary zeszywniała i otworzyła usta, ale odezwać się nie zdążyła, bo Henke dodała: - Nim pani coś powie, proszę dokładnie rozważyć swoje położenie, admirał O'Cleary. Właśnie potwierdziła pani, że zgodnie z prawem międzyplanetarnym musi pani wypełniać moje polecenia, jak długo nie naruszają one tego prawa. Ja zaś jestem zobowiązana zapewnić pani ludziom bezpieczeństwo, jak długo przestrzegają tychże poleceń. Planeta Flax znajduje się mniej niż milion kilometrów od pani okrętów, a to oznacza, że jest w zasięgu sterowanego lotu kapsuł ratunkowych, którym pozostaje 200% rezerwy na awaryjne lądowanie. Inaczej mówiąc: zabranie załóg z okrętów przy ich użyciu nie stwarza zagrożenia życia lub zdrowia dla nikogo. A oficjalnie informuję panią, że odmowę z pani strony uznaję za decyzję wznowienia walki.

Tym razem cisza trwała znacznie dłużej.

O'Cleary próbowała zorientować się, czy jest to blef, a Henke miała nadzieję, że dojdzie do wniosku, że nie.

Bo nie blefowała.

- Rozumiem - warknęła w końcu O'Cleary.

- Miło mi to słyszeć. Kapsuły i jednostki pokładowe po opuszczeniu okrętów skierują się na orbitę parkingową zgodnie z rozkazami admirała Khumala i pozostaną na niej do chwili otrzymania dalszych rozkazów od niego lub ode mnie. Dołożymy starań, by jak najszybciej wylądowały, ale musi się to odbywać stopniowo i w sposób uporządkowany, a tempo uzależnione będzie od szybkości przygotowania obozu jenieckiego. Gwarantuję, że wszystkie kapsuły znajdą się na planecie, nim wyczerpią się w nich możliwości podtrzymywania życia. Jeśli natomiast któraś nie wykona poleceń moich czy admirała Khumala, zostanie zniszczona. Zdaję sobie sprawę, że to nietypowe wymagania, ale takie też są okoliczności. Próbuję znaleźć najlepszy możliwy kompromis między bezpieczeństwem moich ludzi a właściwym traktowaniem pani podkomendnych. Spodziewam się, że wyjaśni im pani, że zamierzam odnosić się do nich tak uczciwie i honorowo, jak na to pozwolą warunki, ale każde nieposłuszeństwo spotka się z natychmiastową reakcją. Włącznie z użyciem siły, jeśli uznaję to za stosowne. Rozumiemy się?

- Tak.

- To dobrze. Może mi pani nie uwierzy, admirał O'Cleary, ale naprawdę nie sprawia mi żadnej przyjemności wydawanie pani rozkazów, które mogą wydać się upokarzające. Niestety nie mam wyboru, a wręcz nie wypełniłabym obowiązku, jakim jest zapewnienie

jeńcom bezpieczeństwa, gdybym nie podjęła kroków niezbędnych, by nie dopuścić do eskalacji wrogości, która zmusiłaby mnie do użycia siły. Gold Peak, bez odbioru.

Prawdę mówiąc, stosunek O'Cleary do niej był mniej wrogi, niż się spodziewała, ale to nie znaczyło, że inni oficerowie czy personel Marynarki Ligi na jej okrętach będą zachowywać się podobnie.

\* \* \*

- Za trzy minuty będziemy u celu, ma'am - zameldował mechanik pokładowy.

- Dziękuję, macie Pettigrew. - Abigail Hearn wstała i odwróciła się do uzbrojonej grupy w skafandrach próżniowych, zdecydowanie zbyt małej jak na jej gust i czekające ich zadanie. - Trzy minuty do celu. Pamiętajcie, o czym była mowa na odprawie, i uważajcie na siebie. Nie chcemy żadnych wypadków ani incydentów, a takie poszukiwania są ryzykowne nawet na pokładzie królewskiego okrętu. Naprawdę chcielibyśmy, żebyście cali i zdrowi wrócili z tego wraku, bądźcie więc uprzejmi nie sprawić nam zawodu.

Rozległo się parę radosnych parsknięć, uśmiechnęła się więc w odpowiedzi. A potem spojrzała na midszypmena zajmującego fotel sąsiadujący z jej siedziskiem. Walter Corbett przypominał Gwena Archera, bo był rudy i miał zielone oczy, ale w przeciwieństwie do niego posiadał też wręcz imponujący nos. Poza tym miał 19 lat, był chudy jak szczapa i rozsadyła go energia - do tego stopnia, że w normalnych warunkach siedzenie bez ruchu dłużej niż trzy minuty stanowiło dlań poważny problem.

Tym razem było inaczej i przez ostatnich dziesięć minut prawie się nie ruszał, siedząc z nosem przyklepionym niemalże do okna i pałającym wzrokiem wbitym we wrak superdreadnoughta, do którego się zbliżali. Nie dziwiła mu się - pierwszy przydział Corbetta drastycznie odbiegał od normy i choć może nie był aż tak urozmaicony i groźny jak jej własny na pokładzie *Gauntleta*, to wokół działało się aż zbyt wiele. A to, co stało się z trzema niszczycielami z eskadry *Tristrama* w systemie New Tuscany, wyraźnie uwidaczniało, jakie ryzyko wiąże się z karierą królewskiego oficera.

A teraz dojdzie do tego nowe doświadczenie, jako że Corbett nigdy wcześniej nie był we wraku. Abigail była i wiedziała, czego się spodziewać, dlatego zdawała sobie sprawę, że musi na niego uważać, by odniósł z tego konkretne korzyści, a nie zyskał pożywkę dla koszmarów.

- Pamiętaj, że jesteś królewskim oficerem - nie mówiła zbyt głośno, ale i tak podskoczył niczym przestraszony królik i obejrzał się nerwowo. - Wiem, że nie tak wyobrażałeś sobie swój pierwszy przydział bojowy; na pocieszenie powiem ci, że mi



przydarzyło się to samo, co może zaświadczyć porucznik Gutierrez.

Ruchem głowy wskazała masywną postać w następnym rzędzie foteli, noszącą pancerny skafander zasilany Marines, ale z emblematem Gwardii Owens na ramieniu. Mężczyzna oprócz pulsera uzbrojony był w wysłużoną strzelbę systemu *flechette*. Z jego strony dobiegło ni to prychnięcie, ni to potwierdzający pomruk. Corbett uśmiechnął się w odpowiedzi - najwyraźniej słyszał, co się przytrafiło na planecie Refuge sierżantowi Gutierrezowi i midszypmen Hearn.

- Musisz pamiętać o trzech rzeczach - dodała poważnie Abigail. - Po pierwsze: jesteś królewskim oficerem, po drugie; na wraku są ludzie, którzy przez całe swoje zawodowe życie uważali się za służących w najlepszej flocie w galaktyce, a nas za prymitywne państwko z manią wielkości. Po trzecie: nie mamy pojęcia, ilu ludzi przeżyło na SNS *Charles Babbage* i w jakim są oni stanie, ale nasza ekipa liczy mniej niż trzydziestu ludzi. Obecnie większość rozbitków jest w szoku, ale nie wiem, jak długo jeszcze to potrwa. Z naszego punktu widzenia to źle lub dobrze, lub oba naraz. Dobrze, bo większość będzie zbyt zaskoczona i skupiona na nadziei, że ktoś zdąży ich uratować, by myśleć o jakimś oporze, tym bardziej zorganizowanym. Źle, bo nawet jeśli 90 procent załogi zginęło, i tak pozostało dziesięć razy więcej ludzi, niż liczy cała załoga *Tristrama*. Większość będzie uszczęśliwiona naszym widokiem, ale na pewno znajdą się tacy, których szok, upokorzenie i złość, że tak oberwali od jakiejś tam Królewskiej Marynarki, spowoduje od aktów wrogości aż do otwartej walki. Kogoś może dodatkowo wkurzyć, że rozkazuje mu midszypmen, i będziesz miał problem. Z jednej strony musisz być świadom ich niechęci i tego, że na pewien poziom biernego oporu możesz pozwolić, ale z drugiej musisz pamiętać, że jesteś oficerem, a oni mają wykonać twoje rozkazy. I że okazanie słabości pogorszy sytuacją.

- Rozumiem, ma'am - zabrzmiało to nieomal płaczliwie.

- Najprawdopodobniej będzie lepiej, niż podejrzewam, ale na wszelki wypadek do twojej grupy przydzieliłam bosmana i oczekuję, że będziesz pamiętał, że służy on w Royal Manticoran Navy od czasu, gdy ty miałeś pięć lat. Korzystaj z jego rad i doświadczenia, a wszystko będzie dobrze.

- Rozumiem, ma'am - zabrzmiało to zdecydowanie pewniej.

Nie dodała, że rozmawiała też z bosmanem Franklinem Musgrave'em, bo byłoby to niepedagogiczne.

- W takim razie uprzedzę cię jeszcze o jednym - dodała. - W ciągu kilku najbliższych godzin zobaczysz potworne rzeczy. Czy masz dużą wyobraźnię, czy nie, to, co zobaczysz, przekroczy twoje najgorsze wyobrażenia. Wiem, bo sama przez to przesłam, i zdaję sobie

sprawę, że nie ma sposobu na przygotowanie kogoś na te widoki. Masz prawo być zszokowany i czuć mdłości, ale pamiętaj, że mamy swoje obowiązki i jeśli się na nich skupisz, będzie ci łatwiej. To też sprawdziłam empirycznie.

- Rozumiem, ma'am.

- To dobrze.

Obróciła głowę i spojrzała na Gutierrezę.

Ledwie dostrzegalnie kiwnął głową na znak, że dobrze się spisała.

Poklepała więc Corbetta po ramieniu i wróciła myślami do swoich zajęć.

\* \* \*

Konradmirał Michael Oversteegen obserwował główny ekran taktyczny HMS *Rigel* rozwalony wygodnie w admiralskim fotelu. Jego oczy były jednak czujne i skupione.

- Są jakieś wiadomości od majora Markiewicza albo od Sebastiana? - spytał.

- Nie, sir - odparła porucznik Irena Thomas tonem zwykle używanym przez podkomendnych w celu poinformowania dowódcy, że jeszcze nie mają sklerozy i gdy ktoś będzie chciał z nim rozmawiać, jakimś cudem o tym nie zapomną.

Oversteegen uśmiechnął się lekko, w duchu przyznając jej rację. Pytanie było zbędne, a równocześnie dowodziło, że martwi się bardziej, niż powinien. Spojrzał na oficera operacyjnego - komandor Steren Retallack siedział sobie wygodnie, patrząc na ekran taktyczny, ale widać było, że uważnie obserwuje solarne okręty, gotów do natychmiastowej reakcji, gdyby status któregoś z nich uległ choćby najmniejszej zmianie.

Podobnie jak wszyscy w 10. Flocie, Oversteegen miał nadzieję, że środki ostrożności podjęte przez Henke okażą się niepotrzebne, ale całkowicie popierał zastosowanie szeroko rozwiniętej profilaktyki. W tej chwili na solarnych superdreadnoughtach pozostało po około 1500 ludzi, czyli zbyt mało, by walczyć, ale wystarczająco dużo, by strzelać. Fakt, wszystkie aktywne sensory, a więc i lidity artyleryjskie były wyłączone, podobnie jak napędy, ekrany i generatory osłon burtowych, ale przy tak niewielkiej odległości do celowania można było wykorzystać pasywne sensory.

Prawo międzyplanetarne wyraźnie określało obowiązki obu stron. Gdy O'Cleary wygasła ekrany w uniwersalnym geście kapitulacji, Henke miała obowiązek zaprzestać dalszej walki, oczekując na dotarcie stosownej wiadomości. O wygaszeniu ekranów wiedziała bowiem natychmiast dzięki sensorom grawitacyjnym, a wiadomość przysyłana była z prędkością światła. Naturalnie dotyczyło to sytuacji, w której uznałaby załogi solarnych okrętów za jeńców, a nie za piratów. Skoro tak się stało, solarne okręty miały obowiązek

pozostać jednostkami, które się poddały, a ich załogi wykonywać rozkazy grup abordażowych. Inne zachowanie oznaczało wznowienie walki. Istniała jednakże jedna, bardzo drobna luka w przepisach dotycząca tego, czy załoga, która się poddała, ma prawo spróbować odzyskać okręt i czy za taką próbę uznana zostałaby załoga na grupę abordażową. Jak podejrzewał, wyrok zależałby od tego, przed sądem której ze stron toczyłaby się rozprawa, tyle że jakkolwiek by on był, stanowiłby niewielką pociechę dla zabitych w takiej próbie. I to po obu stronach.

A Michael Oversteegen uczciwie przyznawał, że nic by go nie obchodził los personelu Marynarki Ligi, który spróbowałby takiego numeru, natomiast bardzo go obchodził los jego własnych ludzi.

I dlatego miał zamiar zniszczyć pierwszy superdreadnought, który zachowałby się inaczej niż dotąd.

I to bez ostrzeżenia.

\* \* \*

Major Evgeny Markiewicz przyznawał, że to, w czym właśnie brał udział, będzie dobre do opowiadania przy piwie za parę lat, ale teraz przyjemnie mu nie było. Podobnych sytuacji przeżył sporo w ciągu 18 lat standardowych służby w Royal Manticoran Marine Corps i kolejnej wolałby nie przeżywać, bo reguła sprawdzała się prawie zawsze.

Niestety nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia, skupił się więc na tym, co musiał zrobić, i na wyjściu cało z kolejnego niebezpiecznego doświadczenia.

Krażownik liniowy klasy *Nike* miał na pokładzie 300 Marines, czyli dwie pełne kompanie, ale kontyngent HMS *Rigel*, jak zresztą i wszystkie pozostałe, musiał zapewnić ludzi do dwóch grup abordażowych, co oznaczało, że na solarnym superdreadnoughcie stosunek załogi do Marines będzie jak 10 do 1.

Razem z nim w pinasie leciał porucznik flagowy admirała Oversteegen, urodzony na San Martin porucznik Sebastian Fariñas. Poza nim w przedziale desantowym była też dowodząca kompanią Alfa kapitan Luciana Ingebrigtsen, a kompanii Bravo dowodzonej przez kapitana Motoyukiego MacDermenta towarzyszyła Gunny Danko (oficjalnie sierżant major Evelyn Danko). Obaj kapitanowie byli dobrymi oficerami, ale nieco zbyt młodymi i bez odpowiedniego doświadczenia. Nie wątpił w ich kompetencje, ale że sytuacja do typowych nie należała, postanowił dopilnować jednego osobiście, a drugiemu przydzielić najbardziej doświadczonego podoficera kompanii. O wyborze komu kogo zdecydował przydział okrętów do obsadzenia - kompania Alfa miała obsadzić okręt flagowy admirała

Keeley O'Cleary SNS *Anton von Leeuwenhoek*. W związku z tym prawie pewne było, że kompania Bravo będzie testowała obowiązywanie praw Murphy'ego - co do tego nie miał żadnych wątpliwości po 11 latach służby podoficerskiej, bo dopiero potem trafił na kurs oficerski.

Ingebrigtsen właśnie pogrążona była w rozmowie ze starszym sierżantem Cliftonem Palmarocchim, najstarszym stopniem podoficerem kompanii, szpakowatym, masywnym, pochodzącym z planety Gryphon mężczyzną, natychmiast przywodzącym na myśl określenie „doświadczony weteran”. Rzucało się to w oczy, zwłaszcza gdy stał obok młodego kapitana, ale jeszcze bardziej, gdy stanął obok porucznika Hectora Lindsaya, który wyglądał na ledwie wyrwanego ze szkolnego boiska, czemu trudno było się dziwić, jako że do 20 urodzin brakowało mu paru miesięcy i ledwie skończył kurs oficerski, a plutonem dowodził od dwóch miesięcy, czyli od chwili pojawienia się na pokładzie tuż przed odlotem do Quadranta Talbott.

Właśnie dlatego Ingebrigtsen, Palmorocchi i on sam byli w pinasie 1 plutonu, a nie w którejś z dwóch pozostałych. Lindsay był bystry i uczył się szybko, ale nadal był zielony jak szczypiorek na wiosnę.

Patrząc na obraz wyświetlany na wewnętrznej powierzchni osłony twarzowej hełmu, przesyłany stałym łączem z ekranu taktycznego w kabinie pilotów, Markiewicz był pewien, że zrobił wszystko, co mógł.

A co będzie dalej, zależało od losu.

\* \* \*

- Połączenie hermetyczne, ma'am - zameldował mat John Pettigrew, gdy nad wewnętrznymi drzwiami służby zapłonęła zielona kontrolka. - Zgodnie z odczytem służa awaryjna nr 117 jest sprawna, ale na zasilaniu awaryjnym.

- Dziękuję - skwitowała Abigail i dodała: - No to bierzemy się do roboty, panie poruczniku.

- Jak pani sobie życzy, ma'am - odparł Gutierrez i zasalutował.

A dopiero potem założył hełm.

Jak na niego było to równoważne z karczemną awanturą.

Powód był prosty - nie podobało mu się, że został dowódcą grupy abordażowej, bo to utrudniało mu chronienie Abigail. Niestety *Tristram* nie miał kontyngentu pokładowego Marines, a tym samym Gutierrez był jedynym człowiekiem z doświadczeniem w abordażach, jakiego Kaplan miała do dyspozycji. I jednym z dwojga mających doświadczenie w walce na

bliski dystans. Tym drugim była Abigail Hearn. Dlatego oboje weszli w skład grupy abordażowej.

Fakt, że wszyscy mieli nadzieję, iż do żadnej walki nie dojdzie, był bez znaczenia. Podobnie jak i to, że przydzielono im najbardziej podziurawiony wrak ze wszystkich - SNS *Charles Babbage*. Oraz to, że oficjalnie była to misja ratunkowa, gdyż jej celem było przeszukanie wraku i ewakuacja żyjących rozbitków. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że każdy, kogo na wraku znajdą, powinien być zachwycony ich widokiem.

Niestety jak już nie raz się przekonali, nie wszyscy ludzie cechują się zdrowym rozsądkiem, a ci dodatkowo wiele przeszli. Niektórzy mogli wręcz wpaść w obłąd i zachowywać się nieprzewidywalnie. W tej sytuacji doświadczenie z Korpusu Marines Mateo Gutierrez było nie do przecenienia.

On sam też to rozumiał, ale to nie znaczyło, że musiało mu się to podobać. Obowiązki związane z dowodzeniem całą ekipą oznaczały, iż nie będzie mógł całej uwagi poświęcić na chronienie Abigail. A to było jego głównym zadaniem, które traktował bardzo poważnie.

Tym razem jednakże nie miał wyjścia. Abigail szczerze mu współczuła.

## ROZDZIAŁ XXIV

Evgeny Markiewicz nigdy nie miał dobrego zdania o oficerach, którzy zajmowali się detalami, jakie winni byli zostawić w gestii podoficerów. Widział ich w życiu aż zbyt wielu, sam będąc podoficerem, i wiedział, jak to tychże podoficerów wkurza. Na dodatek było to marnowanie czasu i uwagi takiego oficera, którego zadaniem było koordynowanie i dowodzenie, a nie zajmowanie się duperelami, którymi nie musiał, a które skutecznie potrafiły odciągnąć go od dowodzenia.

Ostatnim przypadkiem, z jakim się zetknął, była kapitan Ingebrigtsen, toteż postanowił mieć ją na oku, i to w chwili, w której znaleźli się na pokładzie hangarowym *Antona von Leeuwenhoek*. A ten był większy niż na jakimkolwiek superdreadnoughcie RMN. Częściowo dlatego, że etatowo każdy solarny okręt liniowy miał więcej małych jednostek pokładowych, a częściowo dlatego, że były one większe od używanych w Królewskiej Marynarce. Nie miały większego zasięgu, ale zaprojektowano je dawno temu, nie biorąc pod uwagę takich kryteriów, jak zwiększenie skuteczności bojowej czy uproszczenie konstrukcji ułatwiające tak przeglądy, jak i naprawy.

Pokład hangarowy wydawał się tym większy, że pozostał na nim tylko jakiś rozbebeszony kuter, którego najwyraźniej nie zdołano naprawić, a teraz doszły do niego trzy pinasy. Reszta pokładowych drobnoustrojów znajdowała się na orbicie parkingowej, pod okiem i wycelowaną bronią krążowników Terekhova. Prawdę mówiąc, pinasy zdawały się tu być zupełnie nie na miejscu...

1 pluton miał zabezpieczyć pokład hangarowy, toteż wysiadł jako pierwszy, pozostałe nie opuszczały na razie pinas Markiewicz z zadowoleniem stwierdził, że Ingebrigtsen się nie wtrąca, a Lindsay zdał się na Harpera, dzięki czemu wszystko poszło szybko i sprawnie, acz gdy pododdział znalazł się na galerii, Ingebrigtsen zaczął świerzbic język.

Na szczęście Lindsay niczego nie zauważył - rozejrzał się, spojrzał na Harpera i powiedział:

- Po drużynie na każdy szyb windy, Frankie.

- Aye, aye, sir! - potwierdził Harper i wydał zwięzłe polecenia.

Manewr podziału na drużyny wykonano bez zarzutu, a co ważniejsze, w głosie Lindsaya nie było śladu wahania, a nic w jego zachowaniu nie wskazywało, że chciał zająć

się tym, co robił Harper.

- Pokład hangarowy zabezpieczony, ma'am - zameldował Lindsay.

- Dziękuję, poruczniku - potwierdziła Ingebrigtsen. - Pokład bezpieczny. Dwójka, czas na rozładunek.

- Aye, aye, ma'am - potwierdził porucznik Sylvester Jackson. - Dwójka w drodze.

Śluza pinasy została otwarta i pluton Jacksona, starszego o cztery lata od Lindsaya blondyna ze Sphinksa wydostał się sprawnie na galerię.

- Wiesz, co robić, Sly - skomentowała Ingebrigtsen.

- Wiem, ma'am - potwierdził Jackson.

Wydał stosowne rozkazy i jego ludzie przeszli przez perymetr 1 plutonu ku szybom wind. Nie wsiedli do nich jednakże, tylko wysłali je na górę i ruszyli w ślad za nimi, używając szybów centralnych wind każdej grupy. Wszyscy byli w zbrojach, nie stanowiło to więc problemu, a Markiewicz, choć nie spodziewał się zorganizowanego oporu, nie widział powodu, by ułatwiać przeciwnikowi zadanie, gdyby się pomylił. A nawet opancerzeni Marines stłoczeni w windzie stanowili łatwy cel.

- Dobra, Aldonza, twoja kolej! - rozległ się głos Ingebrigtsen na częstotliwości taktycznej kompanii.

- Rozumiem, ma'am.

Porucznik Aldonza Navarro dowodząca 3 plutonem mówiła ze znacznie wyraźniejszym akcentem zdradzającym pochodzenie z San Martin niż Fariñas. Mając wzrost 172 centymetrów, była niska jak na mieszkankę tej planety, ale nie miało to wpływu na jej skuteczność i 3 pluton szybko zjawił się na galerii.

Markiewicz tymczasem śledził postępy 2 plutonu. Druga drużyna wyszła z szybu na pokładzie 03, pierwsza, z którą był Jackson, na pokładzie 02, a trzecia na pokładzie 01. Żadna nie napotkała oporu i wszystkie zajęły pozycje obronne.

- Przejmij windy, Aldonza - poleciła Ingebrigtsen.

Trzeci pluton zluźował pierwszy, który stał się w ten sposób rezerwą.

- Jesteśmy gotowi, sir - zameldowała Ingebrigtsen.

- Doskonale, kapitan Ingebrigtsen - uśmiechnął się Markiewicz, - W takim razie zaczynamy.

- Rozumiem, sir. Hector, skieruj ich do wind!

- Aye, aye, ma'am! - potwierdził Lindsay.

I 1 pluton ruszył śladem drugiego, a za nim do szybów weszli Ingebrigtsen, Fariñas i Markiewicz.

Tym razem w głosie Lindsaya słysząc było podniecenie - nic dziwnego, bo jego pluton miał towarzyszyć Markiewiczowi na pomoście flagowym, gdzie admirał O'Cleary miała oficjalnie skapitulować. Dopiero potem Marines przystąpią do opanowywania reszty okrętu. A to oznaczało, że porucznik Hector Lindsay przejdzie do historii Royal Manticoran Marine Corps jako pierwszy młodszy oficer, który przyjął kapitulację oficera flagowego Marynarki Ligi na pomoście jego własnego okrętu flagowego. Żaden oficer żadnego państwa nie mógł poszczycić się podobnym osiągnięciem. I dlatego Markiewicz nie zrobił nic, by zgasić jego entuzjazm. Na przykład nie uzmysłowił mu, że dostał ten przydział, bo jest najmniej doświadczonym dowódcą plutonu w kompanii, na którego trzeba mieć oko. Navarro jako najbardziej doświadczona została na pokładzie hangarowym, bo gdyby coś poszło nie tak, jej zadaniem będzie przebić się do pozostałych i wybawić ich z opresji.

Nie miał serca, by mu to wyjaśnić, i był ciekaw, czy Luciana by się na to zdobyła...

\* \* \*

Abigail Hearn rozejrzała się spokojnie. Korytarz ze służą awaryjną był dłuższy i nieco szerszy niż na okrętach graysońskich lub królewskich, ale chwilowo i tak zatłoczony, jako że znajdowała się tu cała ekipa ratunkowa i sześć antygrawitacyjnych sań ze sprzętem. W korytarzu było powietrze, i to nadające się do oddychania, paliły się światła awaryjne, ale tylko 1/3 z tych, które powinny, a jak sprawdził jeden z techników, awaryjny system łączności wewnętrznej nie działał, podobnie jak główny. Tyle że mogło to być wynikiem zaniedbań w konserwacji, nie uszkodzeń bojowych.

Na wraku panowało ciężenie około 1,2 g. Wrak obracał się, dryfując, toteż *Tristram* ustabilizował go i przyholował. Abigail wolałaby o wiele mniejszą grawitację, bo nie dość, że ułatwiałaby poruszanie się, to stanowiłaby mniejsze obciążenie dla uszkodzonej konstrukcji kadłuba. Wytracanie prędkości mogło też okazać się groźne dla rozbitków właśnie z powodu naprężeń i obciążeń konstrukcyjnych, ale było niezbędne, bo wrak poruszał się z prędkością prawie 18000 km/s i minął już planetę Flax, kierując się prosto na gazowego olbrzyma o nazwie Everest, z którym, lecąc z prędkością 6% prędkości światła, miał się zderzyć za 20 godzin. Biorąc pod uwagę liczebność ekipy ratunkowej, było mało prawdopodobne, aby udało jej się w tym czasie przeszukać cały wrak, toteż jedyne wyjście stanowiło spowolnienie jego ruchu.

*Tristram* wyglądał przy nim niczym gupik przy wielorybie, ale swoje zadanie spełniał doskonale. Większy okręt mógłby nie sprawdzić się w tej roli tak dobrze, bo gwałtowniejsze wyhamowanie wraku mogłoby mieć oplakane skutki.



Z rozerwaniem go włącznie. Przy tym tempie, z jakim wrak obecnie wytracał prędkość, za piętnaście dni i prawie 12 godzin standardowych znieruchomieje względem systemowego słońca, a co ważniejsze, z niczym się nie zderzy. To pozwalało na spokojne przeprowadzenie kompletnej akcji poszukiwawczo-ratowniczej, tyle że biorąc pod uwagę, jak zaniedbane były wewnętrzne systemy okrętu, Abigail miała coraz większe wątpliwości, czy jest kogo ratować.

Powtarzała sobie, że to tylko droga awaryjna i nie należy wyciągać pochopnych wniosków, ale wiedziała, że taki stan byłby nie do pomyślenia na szanującym się okręcie. Właśnie dlatego, że było to wyjście awaryjne - projektowano je na wypadek zagrożenia, a kiedy do niego doszło, ciemny korytarz, bo ktoś zapomniał sprawdzić oświetlenie, czy zabezpieczony z braku smarowania mechanizm ręcznego otwierania drzwi mogły okazać się przeszkodą nie do pokonania.

- Dobra, Mateo, ruszamy - zdecydowała.

- Tak jest, ma'am - potwierdził Gutierrez i polecił matowi Williamowi MacFarlane'owi: - Prowadź, Bill.

MacFarlane należał do grupy podoficerów z polecenia Gutierrezza uzbrojonych w strzelby systemu *flechette*. Teraz ostrożnie ruszył jako pierwszy pogrążonym w półmroku korytarzem, a w ślad za nim poszli trzej inni podoficerowie, także z bronią gotową do strzału.

Gutierrez dobre pół godziny deliberował z bosmanem Musgrave'em, komu dać broń. W końcu zdecydowali się na siedmiu podoficerów albo mających jakieś doświadczenie bojowe, albo świeżo po kursie. Czterech stanowiło szpicę, trzech tylną straż. Wszyscy członkowie grupy ratunkowej uzbrojeni byli w broń boczna, ale Gutierrez raczej obrazowo i dosadnie wytłumaczył im, co spotka każdego poza wyznaczonymi strzelcami z bronią długą, kto bez jego polecenia choćby odbezpieczy pulser. Było to jak najsensowniejsze podejście, biorąc pod uwagę, jak niewiarygodnie głupie rzeczy potrafili robić ludzie nie obcy z nią na co dzień.

MacFarlane podszedł do hermetycznych drzwi na końcu korytarza i przepuścił Selmę Wilkie, technika z działu maszynowego, by je obejrzała.

- Brak zasilania, ma'am - zameldowała. - Kontrolki pokazują, że po drugiej stronie jest powietrze o normalnym ciśnieniu.

Ktoś prychnął pogardliwie, a Abigail odruchowo potrząsnęła głową z niesmakiem. Znajdowali się pomiędzy pancierzem a wewnętrznym kadłubem; z przejść takich jak to w chwili ogłoszenia alarmu bojowego powietrze powinno zostać usunięte, bo w ten sposób poważnie zmniejszało się zniszczenia spowodowane przebiciem pancierza przez promień

laserowy rakiety. Fakt, że załoga *Charlesa Babbage'a* nie zadała sobie trudu, by to zrobić, mówił jej wiele o jej wyszkoleniu i o podejściu do walki Marynarki Ligi. Albo o stopniu lekceważenia przeciwnika przez cały 496. Zespół Wydzielony, nie tylko przez jego dowódcę.

- Byłoby miło - odparła - ale kontrolki mogą być zepsute. Poza tym z tego co słyszałam, w Lidze Solarnej częste mycie jest niemodne, podobnie jak regularne zmienianie skarpetek, proponuję więc nie rozszczelniać hełmów.

- Mnie pasuje, ma'am - ucieszyła się Wilkie.

A parę osób parsknęło śmiechem. Fakt, że nieco nerwowym, ale śmiechem.

- Otwieraj - poleciła.

- Aye, aye, ma'am.

Wilkie włączyła ręczny system otwierania i złapała za znajdujące się na środku drzwi koło. Przez dobre dwie sekundy nic się nie działo, a potem ze zgrzytem, od którego zęby bolały, koło ruszyło. Na takie traktowanie ręcznego mechanizmu wjazdu ewakuacyjnego nie było żadnego wytłumaczenia poza ogólnym lenistwem i brakiem kompetencji.

Gdy Wilkie przestała obracać koło, drzwi otworzyły się bezgłośnie i bezproblemowo, MacFarlane zaś przeszedł przez nie, obracając się od razu w lewo. Drugi strzelec podążył natychmiast za nim, zwracając się w prawo.

- Czysta lewa - zameldował MacFarlane.

- Czysta prawa - zawtórował drugi.

- Naprzód! - polecił Gutierrez.

Kolejno pod jego czujnym okiem przeszli wszyscy członkowie ekipy. Na szczęście nikt nie potknął się o własne nogi, a większość zdawała się nawet pamiętać, co mówił przed startem, i poruszała się ostrożnie, ale szybko.

Ona sama zatrzymała się, by dokładniej obejrzeć włącz ewakuacyjny. W korytarzu za nim paliły się także tylko światła awaryjne, ale tym razem przynajmniej wszystkie. Okazało się, że zasilany system otwierania drzwi jest w dobrym stanie, więc najwyraźniej o niego dbano. Tyle że odpowiedzialny za to głupek nie pomyślał, że w razie awarii najczęściej brakuje prądu i dlatego ręczne otwieranie jest ważniejsze.

Nim Wilkie skończyła, na mechanizm padł cień - Musgrave stanął za nią i zaglądał jej przez ramię.

- Pięknie, prawda, ma'am? - spytał z niesmakiem, ale na kanale dowodzenia, a nie łączności ogólnej.

- Komuś należałoby skopać dupę, ale całkiem prawdopodobne, że już to zrobiliśmy - oceniła, zmieniając częstotliwość. - Zostawienie powietrza to większe niedopatzenie.

- Łagodnie powiedziane, ma'am.

- Łagodnie, bo Marynarka Ligi to pokojowa flota, bosmanie. Lenistwo i niekompetencja są w tych warunkach normalne.

- Pokojowa czy nie, instykt samozachowawczy mieć powinni. To dla ich bezpieczeństwa należało usunąć powietrze i im przede wszystkim powinno zależeć na szybkim otwarciu wjazdu awaryjnego - zirytował się bosman. - Jeśli się nie mylę, wypadki w czasie pokoju także się zdarzają, ma'am.

- Zdarzają - przyznała. - I pewnikiem nawet na pokładach solarnych okrętów liniowych.

Odwróciła się od drzwi i sprawdziła plan okrętu załadowany do pamięci elektrokarty przed startem. Teoretycznie był aktualny i przeznaczony właśnie do operacji poszukiwawczo-ratunkowych, a dostarczył go sztab admirał O'Cleary. Miała nadzieję, że rzeczywiście jest kompletny i pozbawiony niespodzianek, ale nie zamierzała zakładać tego w ciemno.

Dzięki niemu mieli chociaż ogólne pojęcie o wewnętrznym rozkładzie jednostki, tym lepsze że nałożyła nań uszkodzenia, które zdołały wykryć sensory *Tristrama*.

- Dobrze, Walt - zwróciła się do midszypmena Corbetta posiadającego identyczny plan. - Tu się rozdzielimy. Ten korytarz powinien biec około stu metrów, nim trafisz na uszkodzenia. A za jakieś pięćdziesiąt metrów drzwi przeciwybuchowe, które powinny być sprawne. Bierz ludzi i ruszaj.

Zaznaczyła na swoim planie szyby wind, które rozświetliły się na obu elektrokartach, i dodała:

- Sprawdzaj łączność i zatrzymaj się przy tych windach. Ja pójdę na rufę szybem nr 19. Czy windy mają zasilanie, czy nie, szybów możemy używać jako pewnej drogi do wnętrza okrętu.

- Aye, aye, ma'am - potwierdził Corbett. - Panie bosmanie?

- Już wszystko wiem, sir - zapewnił go Musgrave.

Następnie kiwnął głową Abigail i ruszył korytarzem we wskazaną stronę.

Porucznik Corbett grzecznie pomaszerował za nim, a jego śladem powędrowali pozostali.

Abigail przyglądała im się przez chwilę z uśmiechem, po czym odwróciła się i powiedziała:

- No to w drogę, Mateo.

\* \* \*

Major Markiewicz opuścił szyb windy w ślad za kapitan Ingebrigtsen i sierżantem Palmarocchim na pokładzie 00, zgodnie z planem okrętu 60 metrów za mostkiem, a 100 przed pomostem flagowym. Na okrętach Royal Manticoran Navy nazywano ten pokład A1 i było to najbezpieczniejsze i najlepiej opancerzone miejsce na całym okręcie. Ten był szerszy i wyższy niż pozostałe i tak jak wszystkie dobrze oświetlony.

I pusty.

To ostatnie robiło dziwaczne wrażenie i powodowało nerwowe rozglądanie się - na okręcie po prostu nie powinno być tyle pustej, wolnej przestrzeni, w której nie pojawiła się żywa dusza. A raczej pojawiła się jedna - przy drzwiach windy czekała na nich ciemnowłosa porucznik Marynarki Ligi. Jej wiek oceniał na 30 lat standardowych, jak na porucznika dużo, ale w Marynarce Ligi nie było tak szybkich awansów spowodowanych stratami i gwałtowną rozbudową co w Royal Manticoran Navy. Na skafandrze próżniowym miała wypisane nazwisko „Pabst V. ” i nie nosiła hełmu. Przy jego zasilanym pancerzu wyglądała jak podrostek, choć w rzeczywistości była wyższa od przeciętnej.

- Major Markiewicz, Royal Manticoran Marine Corps - przedstawił się.

- Porucznik Pabst... Valencia Pabst. Porucznik flagowy admirał O'Cleary.

- W Marynarce Ligi nie ma zwyczaju salutowania starszym stopniem, porucznik Pabst? - spytała ostro Ingebrigtsen.

Pabst przez chwilę patrzyła na nią, jakby odezwała się w zupełnie nieznanym języku, po czym fizycznie nią wstrząsnęło, zaczerwieniła się i przybrała w miarę przyzwoitą pozycję zasadniczą.

Zasalutowała i wyrecytowała, nie kryjąc złości:

- Proszę o wybaczenie, panie majorze.

- Rozumiem, że rozwój wydarzeń panią zaskoczył, porucznik Pabst - skwitował Markiewicz wspaniałomyślnie, odsalutowując.

- Tak, sir. Proszę za mną, sir.

- Proszę prowadzić - zgodził się Markiewicz.

- Sierżancie... - mruknęła cicho Ingebrigtsen.

- Wiem, ma'am - odmruknął równie cicho podoficer i został z tyłu, by dołączyć do porucznika Lindsaya.

Po krótkiej rozmowie pluton niepostrzeżenie zmienił szyk. Pierwsza drużyna zbliżyła się do oficerów, pozostałe dwie zostały z tyłu, by mieć na nich oko. Palmorocchi powinien towarzyszyć pierwszej drużynie, ale Markiewicz uznał, że niedoświadczony porucznik, doświadczony kapitan i major weteran przez długie lata będący sierżantem szefem batalionu

poradzą sobie jakoś z dowodzeniem drużyną Marines.

Spacerek do drzwi pomostu flagowego upłynął w ciszy która wręcz dzwoniła w uszach, bo Pabst nie przejawiała żadnej ochoty do pogawędki, a Marines nie mieli zwyczaju konwersować o bzdurach przy użyciu sieci taktycznej. Markiewicz doszedł do wniosku, że skoro tak idealnie przestrzegają zasad łączności, abordaże solarnych okrętów mogą być nie najgorszą metodą treningową...

Przerwał rozmyślenia, bo znalazł się przed drzwiami pomostu flagowego. Pabst otworzyła je, spojrzała na niego i weszła jako pierwsza.

Poszedł jej śladem i rozejrzał się ciekawie.

Podobnie jak korytarz, pomieszczenie robiło wrażenie przestronniejszego niż na królewskim okręcie, co stanowiło spore osiągnięcie, bo znajdowała się w nim większa liczba ludzi, i to służbowo. Projektant z Manticore zmieściłby te wszystkie stanowiska na 2/3 tej powierzchni, ale też zorganizowałby całość zupełnie inaczej.

Ekran i konsole miały bowiem estetyczny, przyjemny wygląd i zdawały się tworzyć jedną całość, nader gustowną i niezwykle lekką, tyle że rozplanowano je, mając na względzie estetykę, a nie zdrowy rozsądek.

Na przykład stanowisko oficera operacyjnego ze sztabu admirała Królewskiej Marynarki usytuowane było tak, że nie ruszając się z miejsca, widział on ekran oficera astronawigacyjnego i główny ekran taktyczny, jeśli popatrzył w drugą stronę. Tutaj musiał wstać, zrobić minimum dwa kroki i ryzykować skręcenie karku, by dojrzeć ekran astronawigatora. A jednym z powodów, dla których musiał tak postąpić, było to, że miał dwa razy więcej asystentów, niż było potrzebne, i po prostu musiał obejść fotel i konsolę jednego z nich.

Najwyraźniej ten, kto projektował rozkład pomostu flagowego, uznał, że ten, kto strzela, nie musi widzieć, dokąd leci okręt.

A poza tym był to skuteczny sposób na zwalczanie bezrobocia w Lidze.

Markiewicz skończył lustrację i skupił się na zidentyfikowaniu admirała Keeley O'Cleary. Co prawda miał jej wizerunek w pamięci zbroi, ale od liczby gwiazdek na skafandrach próżniowych dobrej 1/4 obecnych aż mu się w oczach mieniło. Nim się z tym uporał, z tego gwiazdozbioru wyszła ciemnowłosa admirał i spojrzała na niego wyczekująco.

Zasalutował i wyrecytował:

- Major Evgeny Markiewicz, Royal Manticoran Marine Corps.

- Admirał O'Cleary - odparła, odsalutowując z nienaganną precyzją. - Sądzę, że wybaczy mi pan, majorze, że nie dodam „witamy na pokładzie”.

Zapytany postanowił postąpić zgodnie z zasadą, że milczenie jest złotem.

- Wiceadmirał Hansen Chamberlain, mój szef sztabu - powiedziała O'Cleary, wskazując kolejnego przysadzistego jegomościa: - Mój oficer operacyjny kontradmirał Tang Dzung-ming, oficer wywiadu kontradmirał Lavinia Fairfax i oficer łącznościowy kapitan Kalidasa Omprakash.

Markiewicz przetrwał tę lawinę nazwisk oficerów flagowych, nieco zdumiony, że Omprakash też nie jest co najmniej kontradmirałem, i przedstawił zwięźle swoich oficerów:

- Kapitan Ingebrigtsen i porucznik Fariñas, porucznik flagowy kontradmirała Oversteegen, i porucznik Lindsay.

Cała trójka zaszalutowała.

O'Cleary odsalutowała i zwróciła się do Markiewicza:

- Sądzę, że powinnam oddać panu szpadę czy jakiś inny miecz, majorze, niestety w Marynarce Ligi nie używamy podobnych utensyliów jako mało praktycznych.

Mogło to zostać powiedziane z humorem, ale nie zostało. A w towarzyszącym tym słowom zimnym uśmiechu nie było śladu wesołości.

- W ciągu ostatnich mniej więcej dwudziestu lat stale przekonuję się, że praktyczność różnych ważnych rzeczy odkrywa się przeważnie, gdy jest za późno - odpalił Markiewicz.

O'Cleary zacisnęła usta, po czym z widocznym wysiłkiem ugryzła się w język, wzięła głęboki oddech i powiedziała;

- Zdaje się, że jest to coś, o czym wszyscy powinniśmy pamiętać, majorze. A wracając do rzeczy, jak pańska admirał chce to załatwić?

- Gdy tylko formalnie się pani podda, podobnie jak kapitan Lister, zawiadomię admirał Gold Peak i zostawię na pokładzie drużynę Marines. Druga znajdzie się w głównej maszynowni, a kolejne dwie na pokładach hangarowych, by zapewnić kontrolę ruchu i bezpieczeństwo. Następnie na pokładzie zjawi się załoga abordażowa, która przejmie okręt. Mam przekazać pani pozdrowienia od admirał Gold Peak i zaprosić panią na pokład HMS *Rigel*, okrętu flagowego admirała Oversteegen. Jak rozumiem, admirał Gold Peak przybędzie tam wkrótce.

- Dobrze... - O'Cleary przyglądała mu się przez kilkanaście sekund. Jej twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu. Wreszcie kiwnęła głową. - Dobrze, majorze. Wygląda na to, że jestem podobnie jak reszta tego zespołu wydzielonego w mocy admirał Gold Peak. Naturalnie zrobię, czego sobie życzę.

- Dziękuję, admirał O'Cleary.

- Woli pan przyjąć kapitulację kapitana Listera tutaj czy na mostku?

- Ponieważ mam rozkaz zabezpieczyć także mostek, sądzę, że kapitanowi wygodniej będzie poczekać na mnie, ma'am - odparł Markiewicz uprzejmie i tak bezosobowo, jak tylko był w stanie.

O'Cleary ponownie kiwnęła głową.

Być może nawet była świadoma, że stara się nie zwiększać jej upokorzenia bardziej, niż to niezbędne.

Ale nie był tego pewien.

- Kalidasa, poinformuj proszę kapitana Listera, że major Markiewicz spotka się z nim na mostku - poleciła O'Cleary, nie odwracając się.

- Aye, aye, ma'am - potwierdziła oficer łącznościowy.

- Cóż, w takim razie formalności mamy już za sobą... tutaj przynajmniej - O'Cleary uśmiechnęła się lekko do Sebastiana Fariñasa. - Czy członkowie mojego sztabu mają nam towarzyszyć, poruczniku?

- Jeśli pani sobie tego życzy, ma'am. Jestem pewien, że kontradmirał Oversteegen przyjmie ich gościnnie, ale decyzja należy do pani.

- W takim razie chcę, by towarzyszył mi wiceadmirał Chamberlain.

- Oczywiście, ma'am.

- Iwasaki - rzekł Lindsay na częstotliwości taktycznej plutonu.

Kapral Dunstan Iwasaki i trzech ludzi z dowodzonej przez niego sekcji ustawili się w romb wokół obojga solarnych oficerów i Fariñasa. Szyk można było wziąć zarówno za konwojowy, jak i honorowy, bo niczym się od siebie nie różniły.

Markiewicz zerknął na Ingebrigtsen - sądząc po jej minie, nie ćwiczyła tego, zasługa należała więc do Lindsaya, który przewidział taką konieczność i wyjaśnił Iwasakiemu, co ma robić.

O'Cleary przekrzywiła głowę, jakby próbowała zdecydować, z którą rolą Marines ma do czynienia, po czym prychnęła cicho i powiedziała:

- Gdybyśmy się już nie zobaczyli, majorze, dziękuję panu za uprzejmość w trudnej sytuacji.

- Nie ma za co, ma'am. Ja dziękuję za współpracę - odparł uprzejmie.

I zasalutował.

Moment później honory oddali pozostali jego oficerowie.

O'Cleary i Chamberlain odsalutowali i wyszli w ślad za Fariñasem.

\* \* \*

- Mamy dwójkę, ma'am - w słuchawce rozległ się głos midszypmena Corbetta.

Abigail stanęła jak wryta, gestem zatrzymując resztę bo w jego głosie było coś dziwnego...

Zmieniła częstotliwość na kanał dowodzenia i spytała:

- W porządku, Walt?

- Tak, ma'am, tylko... - Dał się słyszeć odgłos z trudem przełykanej śliny. - To nie wygląda... ciekawie...

Abigail spojrzała na elektrokartę z zaznaczonymi pozycjami obu grup. Dowodzona przez nią natknęła się na ponad 70 trupów w różnym stanie rozczłonkowania i 6 żywych ludzi. Wszyscy byli w skafandrach próżniowych i w zablokowanych pomieszczeniach, z których nie mogli wyjść, Naliczyli też 23 włązy do kapsuł ratunkowych, za którymi była próżnia, co mogło oznaczać, że zostały wykorzystane, Rozbitków odesłała do pinasy pod eskortą jednego podoficera - wszyscy wydawali się zbyt przytłoczeni tym, co się stało, i tak wdzięczni za ratunek, że nie podejrzewała z ich strony próby oporu. Corbett jak dotąd napotykał same trupy, ale najwyraźniej właśnie uległo to zmianie, prawdopodobnie dlatego że dotarł do środkowej części kadłuba, a jeśli plan był dokładny, do jednego z pomieszczeń kontroli uszkodzeń, w którym po ogłoszeniu alarmu bojowego powinno być około 40 ludzi. Jeśli tylko dwóch przeżyło, oznaczało to, że pomieszczenie zostało trafione...

- Potrzebujesz pomocy? - spytała, starając się utrzymać neutralny ton.

- Nie, ma'am. Przynajmniej jeszcze nie. - Corbett znów przełknął ślinę, ale mówił nieco pewniej. - Bosman i sanitariusz przypięli ich do noszy. Są w stanie stabilnym, wyśle więc dwóch ludzi, żeby dostarczyli ich do pinasy, a potem dołączyli do mnie. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, ma'am.

- Walt, ty dowodzisz tą grupą - przypomniała mu, nie dodając, że w granicach wyznaczonych przez bosmana, żeby uniknąć ofiar w grupie ratunkowej.

- Dziękuję, ma'am - powiedział zdecydowanie pewniejszym głosem.

- Drobiazg - uśmiechnęła się Abigail. - Teraz zrób to, co zaplanowałeś.



## ROZDZIAŁ XXV

- ...obawiam się, że to wcale nie jest takie proste, admirał Harrington. Mój komitet jest zdecydowany w tej sprawie. Zanim rząd będzie w stanie skłonić Kongres do podpisania traktatu, w którym Republika weźmie na siebie winę za tę wojnę, przyszłość tych systemów planetarnych musi być ustalona. Dlatego przecież głosowaliśmy za wznowieniem działań.

Honor ugryzła się w język, co w ciągu ostatnich pięciu tygodni stało się nałogiem w zasadzie za każdym razem, gdy Gerald Younger zabierał głos, i pomyślała z tęsknotą o dziesięciomilimetrowych pistoletach pojedynkowych. Nie dlatego, że nie wierzyła w to, co powiedział, choć uważała, że członkowie jego komitetu nie byli ani tacy zgodni, ani tacy stanowczy, jak sugerował, ale dlatego, że zawsze z trudem znosiła hipokryzję i fałsz. A ponieważ znała jego emocje, wiedziała, że nie obchodzi go i nigdy nie obchodził los tych systemów, a pieprzył na ten temat ponad dwie godziny. Chodziło mu o coś zupełnie innego, niestety nie potrafiła sprecyzować, o którą z dwóch rzeczy.

Albo gotów był w końcu ustąpić w zamian za jakieś ustępstwo z jej strony - prawdopodobnie w kwestii wysokości odszkodowań, na co wskazywały nawiązania do winy za sprowokowanie wojny. Albo, co bardziej prawdopodobne, nie chodziło o nią, ale o wymuszenie czegoś na Pritchart i dlatego wspominał o głosowaniu za wznowieniem walk. Pomiął zupełnie fakt, że powodem, dla którego Republika znalazła się w takim położeniu, były błędy rządu, a wręcz prosiło się o to, by kilkakrotnie tego sloganu użył. I to potwierdzało najlepiej, że obiektem szantażu była Eloise Pritchart. O co konkretnie chodziło, pojęcia nie miała, ale było prawdopodobne, że w końcu mu się uda wymusić co chce, byle tylko się zamknął.

Kolejną wskazówką mogło być to, że słowem się nawet nie zająknął o Green Pines, a był to wymarzony kij, by przyłożyć Gwiezdnemu Imperium. Choć z drugiej strony pewne drobiazgi wskazywały na zupełnie inne powody tak starannego omijania tematu...

Sądząc po emocjach Pritchart, ta dobrze wiedziała, co jest grane, i też żałowała, że nie może użyć broni. Najlepiej tu i teraz.

- Panie Younger - odezwała się Honor, gdy uznała, że w pełni panuje nad głosem - nie sądzę, żeby sensowne było marnowanie czasu na dysputy o przyszłości jakiegokolwiek systemu bez pytania o zdanie jego mieszkańców. Jak pan dobrze wie, większość systemów

znajdujących się w chwili wznowienia walk pod naszą kontrolą miała znaczenie strategiczne. Po podpisaniu traktatu pokojowego albo odzyskają niepodległość, albo wrócą pod waszą kontrolę, w zależności od woli obywateli. Inne systemy, które pozostały na naszym obszarze, znajdowały się na takim zapleczu frontu, że do nich nie dotarliście. Ich mieszkańcy już zdecydowali, że chcą pozostać niezależni. Królowa im to zagwarantowała. To także będzie zawarte w traktacie, bo wątpię, by Jej Królewska Mość miała zamiar zmusić ich do przyłączenia się do Republiki pod groźbą bagnetów. Ponieważ większość systemów, o których mowa, została przez nas odbita, nie rozumiem, na jakiej podstawie oczekuje pan od Korony podpisania w ciemno zgody na to, by o ich losie decydowała Republika, zamiast zapytać o opinię samych zainteresowanych po oficjalnym zakończeniu wojny.

- Nie oczekuję od pani podpisywania czegokolwiek w ciemno, ale proszę jako przedstawicielkę Królowej Elżbiety o potwierdzenie ważności wyników plebiscytów przeprowadzonych w tych systemach, które wyzwoliliśmy spod waszej okupacji. Oraz o zgodę o przeprowadzenie podobnych plebiscytów na każdej planecie, która stanowiła część Ludowej Republiki Haven, a chwilowo nie znajduje się w gestii Republiki Haven.

- Powiedziałam już panu - odparła Honor tonem, który zwykle powodował, że ci, którzy ją dobrze znali, robili się dziwnie nerwowi - że Jej Królewska Mość nie zgodzi się, nie zatwierdzi i nie zdecyduje o losach żadnego systemu planetarnego bez poznania woli jego mieszkańców. Jeśli taką wolę wyrazili, sposób jej wyrażenia musi być udokumentowany, a wynik podlegający obiektywnej ocenie. I Korona musi się z nimi zapoznać przed podjęciem decyzji.

- Sugeruje pani, że rezultaty przeprowadzonych przez Republikę plebiscytów mogą być niezgodne z pragnieniami mieszkańców tych systemów? - spytał, mrużąc oczy, i na tyle zimno, by nikt nie mógł mieć wątpliwości, że czuje się obrażony taką sugestią.

Był to niezły pokaz aktorstwa, ale znająca jego uczucia Honor poczuła przemożną ochotę, by strzelić go w pysk. Nimitz zdecydowanie poparł ten pomysł. To, że Younger w tej chwili czuł olbrzymią satysfakcję, że potrafi taką bzdurę wykorzystać do przeciągania rozmów, czyli zyskać na czasie, jeszcze tę chęć zwiększało.

Ponieważ rozwiązanie takie, choć przyjemne, byłoby niezbyt polityczne, z żalem z niego zrezygnowała i postanowiła załatwić sprawę inaczej.

- Panie Younger, i pan, i ja doskonale wiemy, że niczego podobnego nie sugerowałam - oznajmiła spokojnie.

Younger wytrzeszczył oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Polityk by się w ten sposób nie odezwał, a on zapomniał, że ma do czynienia z wojskowym, nie z

dypłomata. Honor właśnie zaczęła mu o tym przypominać.

- Nie powiedziałam, że Korona nie uzna wyników plebiscytów, ale że nie uzna ich bez wcześniejszej oceny prawidłowości, dokładności i uczciwości ich przeprowadzenia. Równie dobrze jak ja wie pan, na czym polega różnica, i wie pan też, że nie ustąpię w tej kwestii. Dlatego uważam, że gra pan na zwłokę, przeciągając negocjacje, choć na początku uprzedziłam jasno i wyraźnie, że mamy limit czasowy na osiągnięcie porozumienia, po przekroczeniu którego podejmiemy działania zbrojne. Będzie pan łaskaw się nie odzywać, bo jeszcze nie skończyłam. Istnieć może kilka powodów, dla których przeciąga pan rozmowy, zaczynając od błędnego przeświadczenia, że desperacko pragniemy tego pokoju w związku z potencjalnym konfliktem z Ligą Solarną, toteż jeśli potrwać one wystarczająco długo, odstępimy od pewnych warunków, jak choćby określenia, kto jest winny sfalszowania korespondencji dyplomatycznej. Jeśli pan tak uważa, jestem pewna, że prezydent Pritchart nie podziela pańskiego przekonania. Wie bowiem, że to, co powiedziałam na początku, to prawda, a nie dyplomatyczne kłamstewko. A prawda, powtarzam raz jeszcze, jest taka, że lepiej, bym wróciła bez traktatu pokojowego niż ze złym traktatem pokojowym. Nie sądzę, by pan tego za pierwszym razem nie zrozumiał, dlatego też znacznie prawdopodobniejsze wydaje mi się, że chce pan osiągnąć coś w sprawach wewnętrznych, czego dotąd nie udało się panu wymusić na rządzie, w zamian za to, że przestanie pan marnować czas wszystkich obecnych. Sugerowałabym zastanowienie się nad tą postawą, bo jeśli przypadkiem udałoby się panu doprowadzić do zerwania tych rozmów, skończy się to, jak mawiali moi przodkowie, „wbombardowaniem was w epokę kamienną”. A wówczas będzie pan mógł śnić o potędze, siedząc na kupie gruzów, o ile będzie pan miał dość szczęścia, by przeżyć. Mam nadzieję, że to do pana dotarło, ale na wszelki wypadek proponuję krótką przerwę, w czasie której może pan przedyskutować z prezydent Pritchart, co chce pan na niej wymusić, wykorzystując negocjacje jako narzędzie. Ja chciałam tylko uprzedzić, że mnie to nie interesuje i nie będę tolerowała podobnego bicia piany w przyszłości.

Younger poczerwieniał. Zdołał zapanować nad wściekłością i jedynie wpatrywał się w nią z nienawiścią. Nikt mu do tej pory głośno i publicznie nie powiedział w przekładzie na ludzki język, że jest zasranym egoistą, i to go najbardziej rozjuszyło.

Honor przez moment przyglądała mu się, nie kryjąc pogardy, po czym spojrzała na Pritchart. Ta zachowała kamienny wyraz twarzy, ale wargi dziwnie jej drżały, a w emocjach przeważało rozbawienie.

- Sądzę, że to dobry pomysł - odezwała się. - A ponieważ zbliża się pora lunchu, proponuję przerwę dwugodzinną, w trakcie której pan Younger zdąży skontaktować się z

członkami swego komitetu i przekazać stanowisko Gwiezdnego Imperium w tej kwestii. A gdybyś miał taką ochotę, Geraldzie, to Leslie, Walter i ja znajdziemy, jak sądzę, dla ciebie czas, by przedyskutować rządowe stanowisko w tej materii. Zawsze jestem gotowa poznać opinię Kongresu i wiem, że członkowie twojego komitetu mają pewne zastrzeżenia, ale przyznaję, że nic mi nie wiadomo, by zaostrzyli stanowisko w tej kwestii ostatnimi czasy. Jeśli tak się stało, byłabym wdzięczna, gdybyś mnie o tym poinformował.

Younger spojrział na nią jeszcze bardziej wrogo niż na Honor, ale nic nie odpowiedział. Zdołał nawet zmusić się do udającego uprzejme kiwnięcia głową.

- W takim razie spotkamy się za dwie godziny, admirał Harrington - oznajmiła radośnie Pritchart. - Czy to będzie pani odpowiadało?

- Naturalnie, pani prezydent - odparła Honor z równie promiennym uśmiechem.

\* \* \*

- Cóż, uważam, że było to równie pouczające co przyjemne - oznajmiła Honor, gdy delegacja została przez jej gwardzistów odprowadzona do jadalni. - Co wy na to?

Podobnie jak okno sali konferencyjnej przezroczyta ściana jadalni wychodziła na wodospad Frontenae.

- „Przyjemne” chyba nie jest określeniem, którego bym użył, milady - ocenił Tuominen. - Pani podejście do realiów dyplomacji jest raczej... bezpośrednio; tak, to chyba najwłaściwsze słowo.

- Daj spokój, Voitto. - Sir Barnabas Kew uśmiechnął się szeroko. - Nauczka, na jaką już dawno zasłużył ten egoistyczny wszarz, sprawiła ci taką samą przyjemność jak mnie. Nie wiem, co dokładnie chciał wytargować, ale uważam, milady, że trafiła pani w dziesiątkę.

- Rozmawialiśmy o nim parokrotnie z Nimitzem - przyznała Honor.

Podobnie zresztą jak i o pozostałych. Regularnie informowała ich o opiniach, do jakich doszli w kwestii każdego członka komisji republikańskiej delegacji. Opinie były kompletne o wszystkich poza Pritchart, Theismanem i Nesbittem.

- Younger i Tullingham są najbardziej cyniczni i egoistyczni - dodała. - McGwire święty nie jest, ale przynajmniej zdaje sobie sprawę, że w obecnej sytuacji potrzebny jest pragmatyzm, a więc chwilowa rezygnacja z własnych ambicji jako rzeczy najważniejszej. Tullinghama z kolei nie obchodzi, co stanie się z obecnym rządem, a konstytucję ma gdzieś, co jest wysoce osobliwe jak na sędziego Sądu Najwyższego. Osobiście uważam, że sędzię, który uważa, że każdy wyrok jest do kupienia, powiesiłabym bez wahania, ale muszę przyznać, że nie jest idiotą i nie doprowadzi do poważnego kryzysu, byle zaspokoić

prywatne ambicje. Ma czysto komercyjne podejście, a liczyć potrafi. Natomiast Younger...

Przerwała i pokiwała głową z odrazą i pogardą.

- Może chciałaby pani dokończyć, milady - zaproponowała Selleck, przyglądając jej się uważnie.

- Jestem zaskoczona, że nie próbował wykorzystać Green Pines - przyznała Honor. - Wiem, że po to właśnie odbyłam małą pogawędkę z Pritchard, ale nie sądziłam, że zdoła go całkowicie zakneblować.

Ciekawa była, jak Pritchard to osiągnęła, bo Younger wręcz bał się, gdy zaczynało wyglądać na to, że ktoś inny poruszy ten temat.

- Natomiast im dłużej mam z nim do czynienia, tym bardziej jestem przekonana, że wymuszeń i szantażu nauczył się wcześniej, niż wypłynął na szerokie wody - dodała.

- Może to być prawda - przyznała Selleck, która weszła w skład delegacji głównie z uwagi na dobrą znajomość układu sił politycznych w Republice i najrozmaitszych ugrupowań, które pojawiły się po odstrzeleniu Saint-Justa. - Nadal nie do końca znam wewnętrzne układy w jego partii, ale moje źródła sugerują, że jest ważniejszy, niż dotąd sądziliśmy. Może nawet ważniejszy, niż sądzimy teraz.

- To faktycznie trudno określić - przyznała Honor, siadając przy stole, gdyż w przeciwległych drzwiach pojawił się James MacGuinness, a w ślad za nim trzech stewardów wypożyczonych jako wsparcie przez Ósmą Flotę. - Nie wiem, jak jest ważny, ani czy w ogóle jest tak ważny, jak sam uważa - dodała Honor. - Jakaś pozycję musi mieć, bo inaczej nie znalazłby się w składzie delegacji. Problem z nim polega na tym, że żywi przeświadczenie, że jest sprytniejszy, cwańszy i ogólnie lepszy niż wszyscy wokół. Nie wiem, czego chce od Pritchard, ale nigdy nawet mu przez myśl nie przeszło, że tego nie dostanie. Zaświtało mu to dopiero dziś w czasie jej wypowiedzi. A przechodząc do kwestii ważniejszych, to czym zamierzasz nas dziś nakarmić, Mac?

- Ufam, że czymś jadalnym, by nie rzec smacznym, milady - odparł MacGuinness z uśmiechem.

- Ale nie powiesz mi, póki nie stanie na stole?

- Mam słabość do swoich niespodzianek.

- Niech już będzie - westchnęła teatralnie.

MacGuinness dał znak, stewardzi postawili talerze ze srebrnymi pokrywami i równocześnie je podnieśli. Po jadalni rozszedł się aromat zupy z krabów.

\* \* \*

- Przepraszam, milady.

Honor spojrzała w lewo, bo dotąd koncentrowała uwagę na dokładce tortu wiśniowego. Koło fotela zmaterializował się porucznik Tummel, najwyraźniej pilnie terminujący u MacGuinnessa w opanowaniu sztuki teleportacji, bo szło mu naprawdę dobrze. Był pod tym względem o wiele lepszy od Mearesa, który nigdy nie zdołał zlać się z otoczeniem i ujawnić w odpowiednim momencie.

- Słucham?

- Właśnie odebraliśmy wiadomość z Manticore, milady. Osobistą, pilną, od Jej Królewskiej Mości do pani.

- Rozumiem. - Honor odłożyła łyżeczkę, otarła usta serwetką, a widząc spojrzenia reszty delegacji, powiedziała: - Smacznego deseru, postaram się szybko wrócić.

\* \* \*

Dwadzieścia minut później Honor odsunęła się od biurka w swoim pokoju. Już nie była w radosnym nastroju. Założyła nogę na nogę i odchyliła poręcz fotela, co skłoniło Nimitza do przeprowadzki z oparcia na jej kolana.

- Nie najlepiej, prawda, Stinker? - spytała, drapiąc go za uszami.

„Nie najlepiej” było łagodnym, by nie rzec optymistycznym określeniem wieści sprzed trzech tygodni standardowych. W tym czasie Mike najprawdopodobniej miała już okazję udowodnić, czy ocena zdolności bojowych Marynarki Ligi była słuszna, czy nie. Podobnie jak ocena przewagi technicznej, jaką ma nad nią Royal Manticoran Navy.

„Mike jest silna” - zasygnalizował Nimitz. „Da sobie radę”.

Przez moment miała ochotę spytać, od kiedy to stał się ekspertem w dziedzinie wojny w przestrzeni, ale na szczęście ugryzła się w język. Treecaty nie rozumiały zasad działania broni czy zaawansowanej techniki, ale dobrze wiedziały, jakie są skutki jej użycia, zwłaszcza te, które adoptowały ludzi. A Nimitz brał udział w większej liczbie bitew niż większość personelu Royal Manticoran Navy. A odkąd Paul Tankersley zaprojektował dla niego skafander próżniowy, uczestniczył w nich, widząc dokładnie to samo co ona, czy to na mostku, czy na pomoście flagowym. A Mike Henke znał lepiej niż ktokolwiek, miał więc pełne prawo do wyrażania podobnych opinii.

- Mam nadzieję, że masz rację - powiedziała cicho.

Bleeknął rozbawiony nagłą zmianą jej emocji. Uśmiechnęła się i przytuliła go.

- Pytanie, czy powiemy o tym Pritchard, czy nie?

Nimitz wysunął się z jej objęć i oznajmił:

„Chcesz jej powiedzieć”.

- Chcę - przyznała.

Zastrzygł pytająco uszami.

Honor westchnęła i wyjaśniła:

- Beth nie podała jeszcze tego do publicznej wiadomości. Przynajmniej do czasu wysłania tej informacji. Ale to się prędzej czy później zmieni, Pritchard więc dowie się w końcu, co się dzieje. Nie chciałabym, aby doszła do wniosku, że chciałam to przed nią ukryć. Wątpię, by zaczęła grać na czas, ale mogę się mylić. Od początku starałam się być wobec niej tak uczciwa, jak mogłam, i nie chcę ryzykować, że straci to zaufanie do mnie, którego dzięki temu nabrała.

Nimitz rozważał jej słowa przez dłuższą chwilę. Znał uczucia Pritchard lepiej niż sama Honor i najwyraźniej analizował to, co powiedziała, w świetle opinii, jaką wyrobił sobie o charakterze i osobowości Eloise Pritchard. Nie poganiała go, bo żywiła duży szacunek dla inteligencji i intuicji treecatów. Nie wątpiła też w ich zdolność rozumienia skomplikowanych wyjaśnień, zwłaszcza w sprawach natury ludzkiej. Zresztą coraz więcej poddanych Korony przychyliło się w części lub w całości do takiego zdania.

Nimitz w końcu oświadczył:

„Tak naprawdę chcesz jej powiedzieć, bo ją lubisz”.

- Wcale... - zaczęła Honor i umilkła, zdając sobie sprawę, że jak zwykle doszedł do tego, co najważniejsze. - Masz rację - przyznała. - Co wcale nie musi być dobre. Wytrawny dyplomata, zdaje się, nie powinien lubić tego, z kogo ma wydusić jakiś traktat.

„I co z tego? Stalowy Duch wysłała cię, żebyś osiągnęła porozumienie, nie żebyś się kłóciła i gadała. Poza tym ja też lubię Szukającą Prawdy”.

- Szukająca Prawdy... - powtórzyła Honor, patrząc mu w oczy. - Takie zdecydowałeś się w końcu dać jej imię?

Nimitz przytaknął.

A Honor zmarszczyła brwi. Generalną zasadą było, iż imiona nadane ludziom przez treecaty okazywały się niezwykle trafne, choć nie wszystkie dotyczyły charakteru czy też były jednoznaczne, jak choćby jej własne: Tańcząca w Chmurach. „Szukająca Prawdy” doskonale podsumowywało to, co ona sama sądziła o Pritchard. Tyle tylko, że należało pamiętać, że chciałaby, aby Eloise Pritchard miała taką właśnie naturę, co mogło mieć wpływ na Nimitza i dlatego interpretował to, co odbierali, w sposób nieobiektywny, choć oczywiście wcale tak być nie musiało.

- A dla Thomasa Theismana też znalazłeś imię? - spytała niespodziewanie.

Nimitz kiwnął potakująco głową, ale nie zaczął sygnalizować.

Przyjrzała mu się uważniej i uniosła brwi, bo wyczuła u niego wahanie i obawę, że gdy jej to powie, nie uwierzy mu. W końcu jednak zdecydował się i zaczął nadawać litera po literze, by uniknąć nieporozumienia. Gdy skończył, Honor popatrzyła na niego osłupiała.

- Śniący o Pokoju? - powiedziała wolno i z niedowierzaniem. - Jesteś pewien?

Nimitz ponownie kiwnął potakująco głową, ale tym razem bez wahania.

Równocześnie wyczuła, że imienia jest całkowicie pewien. Nic więc dziwnego, że się wahał, bo jeśli ktokolwiek w galaktyce mógł być przykładem niewzruszonego wykonywania obowiązków, niezależnie od tego, czego by to wymagało to był to właśnie Thomas Theisman. To on odbudował flotę, tworząc Marynarkę Republiki, wygrał wojnę domową i stworzył siłę, która mogła jak równy z równym walczyć z Royal Manticoran Navy. To on opracował i wykonał operację Thunderbolt i zaplanował atak na system Manticore - Honor odetchnęła głęboko, olśniona nagłą myślą. Wiedziała o tym od dawna, ale sobie tego nie uświadamiała. Fakt, Theisman zawsze wypełniał swój obowiązek bez wahania, niezależnie od tego, ile go to kosztowało. Ale dokładnie to samo można było powiedzieć o niej, a przecież nie przyłeciałyby tu, by negocjować warunki pokoju, gdyby go naprawdę nie pragnęła!

Im dłużej teraz o tym myślała, tym lepiej rozumiała, ile musiały go kosztować te wszystkie lata, gdy z jednej strony próbował bronić swego kraju przed wrogiem zewnętrznym, a z drugiej widział, jak Urząd Bezpieczeństwa zabija ludzi, których znał od lat, często przyjaciół, całkowicie bez sensu i bez powodu. Ktoś taki naprawdę mógł śnić o pokoju.

Żałowała, że nie ma tu Elżbiety - co prawda nie łączyła jej z Arielem więź umożliwiająca odbieranie emocji innych, ale Beth ufała Arielowi i gdyby ten powiedział jej, że zgadza się z Nimitzem w sprawie obu imion...

- Wiesz, że to, co mi właśnie powiedziałeś, nie ułatwia podjęcia decyzji, Stinker? - spytała.

Bleeknął radośnie i zdecydowanie kiwnął głową.

Poczuła bijącą od niego miłość i szczere rozbawienie - Nimitz rozumiał, że przybyli tu w ważnej sprawie, i wiedział, co jest stawką, ale cały ten pomysł „negocjacji” był dla przedstawiciela rasy telepatów niezrozumiałym nonsensem i marnowaniem czasu w czystej postaci. Wiedział, że Honor musi grać według reguł dwunogów, ale nie znaczyło to, że musiał tę zabawę uważać za mniej głupią.

- No, tobie to dobrze, cwaniaku - skwitowała Honor.

I przytuliła go ponownie.



\* \* \*

- Słucham, admirał Harrington? - powiedziała uprzejmie zaciekawiona Eloise Pritchard, pojawiając się na ekranie modułu łączności stojącego na biurku Honor.

Widać było, że zastanawia się, dlaczego Honor chce z nią rozmawiać, skoro za pół godziny miały się spotkać. Nie wiedziała, że właśnie bierze udział w teście na trafność swego nowego imienia...

- Przepraszam, że przeszkadzam, pani prezydent, ale właśnie otrzymałam wiadomości z domu. Co prawda nie dotyczą one bezpośrednio naszych negocjacji, ale pomyślałam, że panią o nich poinformuję, by lepiej zrozumiała pani stanowisko Gwiezdnego Imperium.

- Oczywiście, jeśli pani tak uważa, to zamieniam się w słuch. - Pritchard spoważniała, najwyraźniej przypominając sobie treść ostatniej podobnej rozmowy.

- Otóż około trzech tygodni standardowych temu nasz niszczyciel HMS *Reprise* wrócił z systemu Meyers do systemu Spindle z nader interesującymi danymi. Okazuje się, że wbrew rozpowszechnionej opinii naprawdę możliwe jest, by solarny okręt liniowy dotarł o własnych siłach w taki rejon jak sektor Madras. Faktycznie to...

## ROZDZIAŁ XXVI

- Jak sądzę teraz mamy problem z gatunku: i co do cholery z tym zrobić - oceniła zgryźliwie Elżbieta Winton.

- Na to wygląda - zgodził się William Alexander. - Z drugiej strony możliwości wyboru zostały dość drastycznie ograniczone. Można by powiedzieć, że znaleźliśmy się w sytuacji pechowca, który dosiadł hexapumy. Ma tylko dwie opcje: trzymać się kurczowo albo zostać zjedzonym.

- Ma też trzecią możliwość, Willie - sprzeciwił się Hamish. - O ile nie jest nieodpowiedzialnym durniem.

Brat spojrział na niego, unosząc brwi.

Earl White Haven błysnął zębami w uśmiechu, w którym nie było śladu wesołości.

- Naprawdę sądzisz, że jest trzecie wyjście? - spytał premier.

- Oczywiście, że jest, o ile cymbał nie wybrał się do lasu bez broni. Wyciąga pulser, strzela hexapumie w łeb i po kłopocie - wyjaśnił zwięźle brat głosem, w którym brzmiały złość, chęć zemsty i pewność siebie.

Choleryczne usposobienie rodu Alexandrów znane było nie tylko w Royal Manticoran Navy, a William miał więcej okazji niż ktokolwiek, by doświadczyć wybuchów brata. Sam zresztą miał tylko trochę łagodniejszy charakter. A znając Hamisha, rozumiał dobrze, jaką miał opinię i jakimi uczuciami darzył on kogoś, kto z premedytacją wybrał się z ponad połową setki okrętów liniowych, by zniszczyć kilkanaście krążowników liniowych i ciężkich krążowników. To, że Crandall się nie udało, nie było jej zasługą i nie miało żadnego wpływu na zdanie White Havena.

Bo prawdę mówiąc, nie powinno mieć.

- Wiesz, od ostatniego raportu Mike poszperałem sobie trochę w historii - odezwał się William. - Miałeś rację mówiąc o Lincolnie, ale znalazłem też inną ciekawostkę. Sądzę, że znasz określenie „przeklęte zwycięstwo”.

- Znam, tylko że to my mieliśmy mieć odpowiednik ataku na Pearl Harbor, a nie być durniami, którzy go przeprowadzili. I nie lekceważę skali zagrożenia ani też nie proponuję, by ktokolwiek z nas to robił. Mówię tylko, że nie ma sensu udawać, że to się nie stało albo że Liga przełknie zniszczenie dwudziestu trzech superdreadnoughtów i poddanie się czterdziestu

ośmiu, nie licząc jednostek osłony i pomocniczych. Skutek może być tylko jeden: zaprą się, żeby zmienić Gwiazdne Imperium we wspomnienie. Podbite przez siebie wspomnienie. Uważam, że Mike postąpiła słusznie, biorąc pod uwagę, z jak ograniczonym dowódcą solarnym miała do czynienia, ale nie zmienia to faktu, że słuszne rozwiązanie to dobre rozwiązanie. A w tej sytuacji nie miała do wyboru żadnego dobrego.

Zrobił przerwę, czekając, czy ktoś wyrazi sprzeciw. Królowa nie miała ochoty, William Alexander, choćby chciał, nie mógł tego zrobić, a sir Anthony Langtry wydawał się mieć mieszane uczucia - z jednej strony jako dyplomata powinien być zwolennikiem rozwiązań bez użycia siły, ale jako były Marine dobrze wiedział, że bez wojny się nie obejdzie. Sir Thomas Caparelli i admirał Patricia Givens zaś zgadzali się w pełni z White Havenem.

- Skoro Liga Solarna zdecydowała jeszcze przed występowaniem Crandall, że jesteśmy gwoździem, który jej beczelnie wystaje, a tak właśnie zdecydował Kołokolcow i reszta tych aroganckich cymbałów, nasze możliwości zostały ograniczone - podjął White Haven, gdy nikt nie skorzystał z zaproszenia. - A o tym, co zdecydowali, jednoznacznie świadczy nagonka rozpętana w związku z eksplozją na Mesie. Żądania „obiektywnego międzyplanetarnego śledztwa pod przewodnictwem Biura Bezpieczeństwa Granicznego” czy „związek Gwiazdne Imperium z działaniami terrorystycznymi” powtarzające się do znudzenia w mediach to robota Abruzziego, czyli propagandy oficjalnej. Dlatego uważam, że najlepiej będzie powiedzieć im w jasnych i prostych słowach, że cały ten problem jest skutkiem tego, jak spieprzyli wszystko ich własni oficerowie, i że mamy tego dość. Należy wysłać im nagranie bitwy o Spindle z pytaniem, ile jeszcze superdreadnoughtów mają zniszczyć nasze krążowniki, żeby się opamiętali. Bo mamy jeszcze krążowniki liniowe i superdreadnoughty, może więc im zabraknąć okrętów liniowych. A poza tym należy wprowadzić w życie plan Laokoon.

Ostatnie zdanie spowodowało wzrost napięcia w pokoju. Plan Laokoon zakładał zamknięcie wszystkich terminali będących pod kontrolą Royal Manticoran Navy dla całego ruchu militarnego i cywilnego zarejestrowanego w Lidze Solarnej. Tyle faza pierwsza. Faza druga obejmowała objęcie kontrolą RMN wszystkich możliwych terminali, niezależnie od tego, do kogo by teoretycznie należały.

- Zdaję sobie sprawę z powagi takiej decyzji i wiem, jaki obłądny wrzask podniesie się w Lidze, i to już przed rozpoczęciem fazy drugiej, ale awantura już jest, nastąpi więc tylko zmiana tematu. Zaczną krzyczeć o „przeszkadzaniu wolnemu handlowi”. Natomiast jeśli władze Ligi uświadomią sobie, jak możemy im zaszkodzić ekonomicznie, to w połączeniu z

laniem, jakie dostali w systemie Spindle, może to dać taki efekt, że dojdą do wniosku, iż nie oplaca im się ta wojna. Rozpoczynając ofensywę, najlepiej jest wyprowadzić najsilniejszy atak na początku, a być może kolejne nie będą potrzebne. Poza tym i tak mamy niewiele do stracenia, bo w najgorszym razie Liga nadal będzie robiła to, co robi, tylko oficjalnie; wtedy okaże się, czy Honor miała rację co do jej wewnętrznej kruchości. W najlepszym razie, choć przyznaję, że nie liczę na to, ktoś z rzeczywiście decydujących wykaże się ilorazem inteligencji większym niż numer buta i stwierdzi, że zabicie dwóch czy trzech milionów ludzi i utrata kilku tysięcy okrętów liniowych jednak nie jest najlepszą perspektywą. Nie uważam, że mój pomysł jest dobry ale podobnie jak Mike jesteśmy w sytuacji braku dobrych pomysłów, czas więc przestać próbować uniknąć nieuniknionego i walczyć z Ligą tak skutecznie, jak tylko potrafia.

Gdy skończył, zapadła długa i ciężka cisza.

Przerwał ją Langtry.

- Nie podoba mi się to, ale uważam, że Hamish ma rację. Nikt nigdy nie zdobył solarnego okrętu liniowego, nie mówiąc o zniszczeniu dwudziestu trzech innych. I jeśli się nie mylę, w żadnej wojnie nie zdarzyło się, by ciężki krążownik zniszczył okręt liniowy. Jesteśmy więc na obcym terenie, ale jedno jest pewne, biorąc pod uwagę arogancję Ligi; tego policzka nie przyjmie dobrze. Dlatego mam tylko jedną drobną modyfikację do pomysłu Hamisha: do nagrania bitwy o Spindle dołączmy notę dyplomatyczną z informacją, że uważamy działania Crandall za kolejny akt wojny i jeśli go publicznie i zdecydowanie nie potępia w ciągu dwóch dni standardowych od otrzymania tej noty, rząd Jej Królewskiej Mości uzna, że Liga Solarna wybrała politykę konfrontacji z Gwiezdnym Imperium Manticore. Dlatego podejmie stosowne kroki, takie jak zamknięcie wormholi dla solarnego ruchu oraz zawiadomienie wszystkich dowódców stacji, że znajdujemy się w stanie wojny z Ligą Solarną, toteż mają postępować odpowiednio.

- Nie mam nic przeciwko temu - odezwał się White Haven. - Wątpię, by to coś dało, ale przynajmniej tym razem nie będzie żadnych wątpliwości, kto zaczął.

- Zaraz. - Elżbieta z dziwną miną uniosła rękę. - Sama nie wierzę, że to mówię, ale przypadkiem nie sądzicie, że dobrze byłoby najpierw dowiedzieć się, czy będzie pokój z Pritchart, a potem dopiero wysłać Lidze ultimatum?

- Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, ale ultimatum już zostało nie tylko wysłane, ale i doręczone. Przez Ligę, nie przez nas: dwa tygodnie temu do systemu Spindle - wyjaśnił Langtry. - Dlatego właśnie zgadzam się z Hamishem. Na szczęście z informacji od księżnej Harrington wynika, że szanse na traktat pokojowy są spore. Natomiast nie mam zamiaru

dzielić skóry na niedźwiedziu. Nie możemy jednakże uzależniać polityki wobec Ligi od stosunków z Republiką Haven. Musimy mieć obie te kwestie na uwadze, podejmując decyzje, ale nie możemy uzależniać jednej od drugiej, tak jeśli chodzi o planowanie strategicznych posunięć militarnych, jak i politycznych.

- Rozumiem - przyznała Elżbieta. - Chciałabym też coś wyjaśnić. Wyślemy im nagrania taktyczne bitwy o Spindle. Jaka jest szansa, Pat, że wyciągną z nich właściwe wnioski?

Admirał Givens, do której adresowane było to pytanie, skrzywiła się boleśnie.

- Wasza Wysokość, obawiam się, że odpowiedź brzmi „nie wiadomo”. Tego po prostu nie sposób przewidzieć, bo w takich sprawach logika to jedno, praktyka to drugie. Crandall na przykład miała nagrania taktyczne tego, co spotkało Bynga, i nie wyciągnęła żadnych właściwych wniosków. Fakt, inteligencją nie grzeszyła, ale bitwa o Spindle była na dobrą sprawę powtórką drugiej bitwy o New Tuscany, tylko na pełną skalę. Ziemia jest o wiele dalej od Spindle niż Meyers od New Tuscany, było więc dość czasu na analizę i właściwą ocenę, ale najprawdopodobniej tak zwane analizy wywiadowcze dostarczane przez wywiad Marynarki Ligi są od dawna tak oderwane od rzeczywistości, że podejmujący decyzję biurokraci tak naprawdę nie mają pojęcia, jak wielka przepaść techniczna dzieli ich flotę i naszą. A trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że nie wiadomo, czy ktokolwiek z wojskowych chce powiedzieć im prawdę.

- A dlaczego mieliby nie chcieć?! - zdumiała się Elżbieta. - Przecież to ich obowiązek, prawda? A poza tym to oni odpowiedzą za przegraną bitwę!

- To dlaczego analitycy Janaceka nie mówili mi, co się naprawdę dzieje? - spytała Givens prawie łagodnie. - Po zapoznaniu się z informacjami zdobytymi przez admirał Gold Peak w solarnych bazach danych w New Tuscany jestem prawie pewna, że w Lidze od tak dawna wszyscy mówią zwierzchnikom to, co oni chcą usłyszeć, że jest mało prawdopodobne, by ktokolwiek jeszcze pamiętał, jak się przekazuje niemiłą prawdę. Tak po części to nawet ich rozumiem.

- Przepraszam, że co? - Elżbieta uniosła pytająco brwi.

Givens zaś pokiwała smętnie głową.

- Dla każdego analityka kuszące jest wybranie hipotezy, o której wie się, że dowódca, rząd czy ci, którzy podejmują decyzję, chcą ją usłyszeć. Mówienie im czegoś przeciwnego nie przysparza człowiekowi popularności, Wasza Wysokość. Ale może nawet nie chodzi o tak egoistyczne pobudki. Czasami to świadomość, że podając takie informacje, tracą zajęcie, a wtedy nie zostanie nikt, kto w jakiegokolwiek sytuacji, nawet kryzysowej, zaryzykuje

powiedzenie prawdy. A czasem jest to po prostu umyślone lenistwo. Zdarza się to częściej, niż większość pracujących w wywiadzie, w jakimkolwiek wywiadzie, jest gotowa przyznać. Istnieje jeszcze jedna możliwość, wbrew pozorom często występująca: uczciwy analityk spieprzy sprawę, bo wpadł w rutynę i nabrał zwyczaju sztamkowego myślenia. W ten sposób wszystkie interesujące informacje ocenia tendencyjnie i najczęściej nawet sobie z tego sprawy nie zdaje. A innym razem automatycznie odrzuca wszystko, co nie zgadza się z obowiązującą oficjalnie interpretacją. I prawdę mówiąc, uważam, że to właśnie zdarzyło się Lidze, a to dlatego, że Liga była i jest tak potężna, że dotąd przetrwała wszystko. Klęska wywiadu nigdy nie miała dla Marynarki Ligi takich konsekwencji jak klapa Jurgensena dla nas, gdyby Theisman wznowił działania. Liga jest tak duża i silna, że do pewnego stopnia może tworzyć rzeczywistość według własnego widzimisie, bo nikt nic jej nie zrobi, nawet gdy to się nie uda. Mieszkańcy Ligi, jej władze i dowództwo floty mogą więc sobie żyć wygodnie, uważając się za władców wszechświata. I żyją tak od pani wieków. W takiej sytuacji jakiemś szaleńcowi wieszczącemu nieszczęścia naprawdę niezwykle trudno jest się przebić do tych, którzy podejmują decyzję.

- Nawet jeśli położy im przed nosy zapisy taktyczne bitwy o Spindle?

- Zakładając, że analitycy uznają je za prawdziwe, muszą przekonać do tego swoich bezpośrednich przełożonych, Wasza Wysokość, a to nie będzie łatwe. Wysoce prawdopodobne jest, że gdzieś wyżej w łańcuchu dowodzenia ktoś zechce zataić dowód swojej niekompetencji, która doprowadziła do obecnego problemu. Zakładając optymistycznie, że tak się nie stanie, dowódcy wyższego szczebla także mają ugruntowany punkt widzenia i filtry odrzucające wszystko, co doń nie pasuje. Do tego dodać należy odruchową skłonność do tonowania wniosków analityków, by uniknąć oskarżeń o histerię i nieuzasadnione panikarstwo.

- Pat ma w paru sprawach rację, Wasza Wysokość - dodał White Haven. - Po pierwsze, w sprawie inercji, czyli sposobu, w jaki posiadając pewną wiedzę, odrzucamy wszystko, co jej zaprzecza. Jeśli Wasza Wysokość pamięta, sam tak miałem, co zaowocowało sporem z Sonją Hemphill. Może się to przytrafić każdemu, nawet komuś uczciwie próbującemu być intelektualnie obiektywnym, jeśli nie zda sobie sprawy, że zbyt wielkie zaufanie pokłada w tym, co „wie”, co jest możliwe, a co nie, i że przysyłania mu to obiektywną ocenę sytuacji. Po drugie, w sprawie podejścia wyższych oficerów Marynarki Ligi, którzy nie będą zainteresowani intelektualną uczciwością, ale chronieniem swoich tyłków i stanowisk. Nie sądziłem, że kiedykolwiek powiem coś podobnego, ale w porównaniu do większości z nich Edward Janacek był kompetentny, inteligentny i dalekowzroczny.

- Bez przesady! - zirytował się Caparelli. - Zgadzam się, że oni są gorsi, ale nie rób z łacha świętego! Wszyscy mieliśmy nieprzyjemność go znać.

- No dobra - uśmiechnął się White Haven. - Ale faktem jest, że są gorsi. Poza tym tak długo wykorzystywali system w przekonaniu, że nie istnieją i nie zaistnieją żadne realistyczne dlań zagrożenia, że ich pierwszym odruchowym wręcz działaniem będzie zabezpieczenie swoich pozycji w tymże systemie. Najgłupszy będą to próbowali osiągnąć przez zatuszowanie dowodów, które wskazywałyby na ich głupotę, czyli winę, gdy nadejdzie czas szukania winnych. Inni są tak nieprzyzwyczajeni do poważnego traktowania zewnętrznych zagrożeń, że nie rozpoznają takowego. A przynajmniej nie rozpoznają go, dopóki nie będzie za późno.

- Mamy raport admirała O'Cleary w całości popierający zapisy taktyczne - wtrącił Langtry.

Givens po jego słowach prychnęła pogardliwie.

- Mamy - zgodziła się, gdy spojrział na nią zaskoczony. - Tylko że sam fakt, że O'Cleary poddała to, co zostało z 496. Zespołu Wydzielonego, będzie działać przeciwko jej wiarygodności. Nie tylko powstaną podejrzenia, że stchórzyła, ale gwarantuję, że ktoś zasugeruje, że miała interes w przecenieniu skuteczności naszej broni, no bo skoro dysponujemy superbronią, to jej tchórzliwa decyzja o kapitulacji nie jest wcale tchórzliwa, prawda? Ale nie koniec na tym. Drugim, co zadziała na niekorzyść, będzie nasza uczynność w przesłaniu im tego raportu. Jest to podejrzane samo w sobie, bo musimy mieć jakiś ukryty powód, dla którego zależy nam, by ten raport dotarł do Ligi najszybciej, jak się da, inaczej po co byśmy to robili. W przypadku raportu Sigbee okazuje się, że o ile nie był sfałszowany, to w każdym razie są kontrowersje co do jego autentyczności, więc tym razem może być podobnie. No i pozostaje jeszcze drobna kwestia, dlaczego to akurat ona go napisała.

- Chodzi ci o to, że to jednak nie było samobójstwo? - upewniła się Elżbieta.

- Trudno jednoznacznie to ocenić, Wasza Wysokość - odparła Givens. - Przyznaję, że gdybym była solarnym admirałem, który zdołał podjąć złą decyzję we wszystkich możliwych sprawach i stracił dwadzieścia trzy superdreadnoughty w wyniku własnej głupoty i zaciętrzewienia, palnięcie sobie w łeb jawiłoby mi się jako pociągająca perspektywa. Ale przytłaczająca większość ludzi, którzy w ten sposób popełniają samobójstwo, nie strzela sobie w tył głowy. Zresztą była w skafandrze próżniowym i musiała wiedzieć, jak pokonuje się blokadę medpakietu, by zaaplikował śmiertelną dawkę środków przeciwbólowych. Po prostu by zasnęła, bez bólu i strachu. Każdy we flocie wie, jak to zrobić na wypadek zgubienia się w przestrzeni bez możliwości ratunku. Tylko nikt nie lubi o tym rozmawiać. Nie ulega wątpliwości, że strzał padł z jej pulsera, który trzymała w dłoni, gdy nasi Marines ją znaleźli,

a ponieważ wszyscy na pomoście flagowym byli w skafandrach próżniowych, nie będzie żadnych śladów pomocnych w śledztwie. Dziwniejsze jest to, że nie ma żadnych świadków, którzy widzieliby to samobójstwo, a fakt, że choć jej flagowiec został zmieniony we wrak, tylko ona z obecnych na pomoście flagowym zginęła, też nie dodaje całej sprawie prawdopodobieństwa.

- W takim razie kto i dlaczego ją zabił? - spytał Grantville.

- Możliwości jest aż za wiele - odparła Givens. - Dla mnie najprawdopodobniejsza jest wersja, że co najmniej jedna osoba z obsady pomostu, najprawdopodobniej ze sztabu Crandall, pracuje dla Mesy i postanowiła uniemożliwić nam porozmawianie z panią admirał i zapytanie, dlaczego podjęła pewne dziwne decyzje. Ale takie wyjaśnienie nikomu na Ziemi nawet przez myśl nie przejdzie. Za to nie trzeba będzie długo czekać, by pojawiły się pogłoski, że to myśmy ją zabili, choć nie musi to być wersja oficjalna. Nawet jeśli nie przecieknie do mediów, jestem pewna, że w dowództwie floty i we władzach Ligi będzie popularna.

- Ale... dlaczego? - Widać było, że premier się zgubił.

- Dlatego, że dzięki temu to O'Cleary napisała raport - wyjaśniła cierpliwie, acz z nutką pobłażania w głosie Givens. - Inaczej nie mogłaby tego zrobić. A O'Cleary jest albo zdrajcą, albo tchórzem, którego przekonał argument, że jeśli nie napisze tego, czego się po niej oczekuje, to też popełni samobójstwo, strzelając sobie w tył głowy.

- Pięknie!

Elżbieta przeniosła Ariela na swoje kolana i przez kilka minut głaskała go w milczeniu.

W końcu odetchnęła i powiedziała:

- No dobra, zaczynamy bić pianę, a to bez sensu. Nie jest to krytyka, tylko podsumowanie, jak niewielką szansę mamy na przewidzenie tego, jaką decyzję podejmą ci, którzy faktycznie rządzą Ligą, proponuję więc zmienić temat. Mam jedno pytanie i byłabym wdzięczna, gdybyście spróbowali się nad nim zastanowić tu i teraz.

- Jakie pytanie, Wasza Wysokość? - spytał ostrożnie Grantville, bo Elżbieta umilkła i przez długą chwilę nie przerywała milczenia.

- Wszyscy jesteśmy zgodni, że sprawcą całego zamieszania jest Mesa - mówiąc to, Królowa potrząsnęła głową, jakby nadal nie do końca mogła w to uwierzyć. - Wiem, że nie mamy dowodów łączących Crandall czy wydarzenia w New Tuscany z Mesą czy Manpower, bo na jedno zresztą wychodzi. Wiemy, że to Mesa stała za wcześniejszymi problemami w Gromadzie Talbott i za Unią Monica. Wiemy o roli Anisimowej we wciągnięciu w sprawę



New Tuscany. Wiemy też, że Mesa pociągała za sznurki wielu drobniejszych spraw, o czym wcześniej nie wiedzieliśmy, a oficjalna wersja tego, co się zdarzyło w Green Pines, jest bzdurą. To ostatnie jest definitywnym dowodem, że Manpower albo rządzi Mesą, albo jest przykrywką dla poczynań Mesy. Tak czy siak, głównym winnym jest Mesa, a my przez długie lata popełnialiśmy ten sam błąd, który zarzucamy teraz Lidze Solarnej: filtrowaliśmy informacje, odrzucając taką możliwość, bo wszyscy uważali, że niemożliwe jest, by tak zachowywała się pojedyncza firma. Skoro teraz przejrzelśmy na oczy i wiemy, kto jest sprawcą, moje pytanie jest następujące: dlaczego nie zlikwidować problemu i źródła?

- Mówiąc prosto, dlaczego nie zdobyć systemu i planety Mesa, Wasza Wysokość? - spytał Caparelli, woląc się upewnić, że dobrze zrozumiał.

- Właśnie - potwierdziła Elżbieta. - Skoro Ósma Flota może bez trudu zniszczyć obronę systemu Haven, sądzę, że na Mesę wystarczą dwie-trzy eskadry liniowe. Ale chodzi mi o to, by wyraźnie napisać to Lidze Solarnej i zażądać przeprowadzenia śledztwa dotyczącego zakresu, w jaki Mesa zdołała przeniknąć do solarnych sił zbrojnych i manipulować ich poczynaniami.

- Z czysto militarnego punktu widzenia zdobycie Mesy nie będzie problemem, zakładając, że nie mają podobnej niespodzianki co my dla Ligi, Wasza Wysokość - odpowiedział Caparelli. - Naturalnie dotarcie tam potrwa długo i będzie nieco skomplikowane, ale jak najbardziej wykonalne. Jest to do przeprowadzenia, o ile jesteśmy gotowi na kolejny atak propagandowy w Lidze, tym razem na temat imperialnych ciągów, niesprowokowanej agresji na Bogu ducha winny system, i to na dodatek leżący na obszarze Ligi, choć do niej nie należący.

- Jeśli będziemy mieli pod kontrolą sytuację z Republiką, nie mam nic przeciwko tej akcji - dodał White Haven. - A stosunkami z Ligą nie ma się co przejmować: bardziej się nie pogorszą.

- Myślę, że podszedłbym do tego nieco ostrożniej, Wasza Wysokość - zaproponował Langtry. - Jeśli zaatakujemy Mesę, z jednej strony będzie to dla wszystkich źle nam życzących czytelna wiadomość, czym się kończą wrogie działania przeciw nam, choćby nawet najbardziej subtelne, ale z drugiej strony doprowadzimy do sytuacji, w której dosłownie wszystkie media plus władze Ligi nie zostawią na nas suchej nitki. Atak na Mesę zostanie uznany za jedyny sposób, jaki nam pozostał, by nie dopuścić do ujawnienia dalszych informacji o wybuchach w Green Pines, i pewnie zostaniemy oskarżeni o terroryzm.

- Nie sugerujesz chyba, żeby podobne propagandowe brednie miały nas sparaliżować? - zdziwił się White Haven, ostrzej niż zwykle zwracał się do długoletniego przyjaciela.

- Nie sugeruję niczego takiego, tylko próbuję uzmysłwić wam, że Mesa nie zniknie. Uważam, że na rozliczenie się z nią przyjdzie czas później, bo nie sądzę, by było dobrze w tej chwili komplikować stosunki z Ligą bardziej, niż to konieczne.

- Ale zdobycie przez nas Mesy może być dla Ligi korzystne. - Elżbieta nie ustąpiła. - Będzie to przekonujący dowód, że faktycznie uważamy ich za winnych tego wszystkiego, co dzieje się w Quadrancie Talbott. Możliwe jest, że nawet Liga zda sobie sprawę, że to otwiera możliwość wycofania się z wojny z nami o ile nie definitywnie, to przynajmniej na tyle, by sprawdzić, czy nasze podejrzania są uzasadnione, czy nie.

- Jest to możliwe, Wasza Wysokość, ale bardzo mało prawdopodobne. - Langtry też obstawał przy swoim. - Po Green Pines sporo gadających głów będzie twierdzić, że do spółki z Baletem i Torch toczymy aktywną wojnę z Manpower, używając wszelkich dostępnych metod, i że w końcu uciekliśmy się do najazdu i inwazji. Jesteśmy wręcz państwem terrorystycznym i o tym, by mówić o jakiegokolwiek moralnej wyższości nad przeciwnikiem, możemy zapomnieć. Zarówno w sprawie Mesy, jak i Ligi.

- Nie przesadzaj, Tony - odezwał się niespodziewanie William Alexander i uśmiechnął się, widząc minę Langtry'ego, - Wprawdzie jestem tym, którego najbardziej niepokoi dołożenie jednej wojny do drugiej, ale uważam, że Jej Wysokość ma rację, a poza tym nikt nie sądzi, że podejmiemy taką decyzję tu i teraz. Dostarczyliśmy Lidze wszystkie dowody na udział Mesy w problemach z Monicą i New Tuscany, a wysyłając im zapis bitwy o Spindle, co uważam za bardzo dobry pomysł, możemy przypomnieć, że jesteśmy przekonani o związku Mesy z całą tą sytuacją, i zobaczymy, czy będzie jakaś reakcja. Nawet Kołokolcow i pozostali nie zdecydują się od ręki na wypowiedzenie wojny, choćby z powodu szoku, który stanie się ich udziałem na wieść o tym, co się stało w Spindle. Powinni przynajmniej spróbować dowiedzieć się, co i dlaczego się tam wydarzyło. A po drugie, bo formalne wypowiedzenie wojny to decyzja, którą musi podjąć Zgromadzenie, a będzie to prawie niemożliwe do osiągnięcia. Tak więc nawet jeśli Marynarka Ligi będzie kontynuowała działania ofensywne, będzie to wojna *de facto*, a nie *de jure*. Jeśli będziemy zadawali jej nadal takie straty, ta sytuacja nie będzie mogła trwać wiecznie, bo zabraknie im okrętów w czynnej służbie. Jeżeli też cały czas będziemy się upierali, że to sprawka Mesy, to nie mając sił do dalszej walki, bez formalnego wypowiedzenia wojny i nie mogąc go uzyskać, mogą zdecydować się na woltę pozwalającą zachować twarz i władzę. Czyli przyznać, że jednak mieliśmy rację i że to Mesa jest winna. A wtedy z bólem serca i wbrew sobie, bo miałbym ochotę im dokopać, wyciągnę pomocną dłoń. Chwilowo uważam, że powinniśmy Lidze tę furtkę zostawić, bo jak sam słusznie powiedziałeś, Mesę jesteśmy w stanie znaleźć zawsze.

- No dobrze, uznaję racje was obu - przyznała Elżbieta. - Ale równocześnie chcę, by Admiralicja opracowała plany ataku na system Mesa i samą planetę, tak by były gotowe, gdy będą potrzebne.

- Rozumiem, Wasza Wysokość - potwierdził Caparelli. - Będą gotowe.

- A póki co - dodała bardziej ponuro - zostajecie oficjalnie poinformowani, że Korona uznała, iż między Ligą Solarną a Gwiezdnym Imperium istnieje stan wojny. Macie nakazać wykonanie planu Laokoon i zapewnić mu wszelkie potrzebne wsparcie militarne. Na drugi plan schodzi unikanie dodatkowych prowokacji, najważniejsze staje się bezpieczeństwo naszych okrętów i ludzi oraz osiągnięcie celu operacji. Macie też podjąć wszystkie kroki niezbędne do wykonania fazy drugiej, ale rozkaz, by to zrobić, wydaję ja. Czy wyraziłem się jasno?

- Tak, Wasza Wysokość - powiedział cicho White Haven.

Elżbieta przez chwilę spoglądała mu w oczy, po czym kiwnęła głową.

- To dobrze.

## ROZDZIAŁ XXVII

Wychodząc z windy na pomost flagowy swego okrętu, admirał floty Allen Higgins czuł znajomą mieszaninę zaskoczenia, żalu, niepokoju i rozbawienia. Był do tych uczuć przyzwyczajony, ale przybrały one na sile, odkąd księżna Harrington ponownie objęła dowództwo Ósmej Floty i odleciała do systemu Haven.

Zaskoczenie brało się stąd, że był jednym z oficerów flagowych, których na dowódcę dużego związku taktycznego wyznaczył Edward Janacek, a jakby tego było mało, przez małżeństwo wszedł do jego rodziny. Był więc bardzo zaskoczony, że po zmianie władz Admiralicji w ogóle znalazł się w czynnej służbie, a fakt, że otrzymał dowództwo, wiele mówił o earlu White Haven. Pierwszym bowiem posunięciem Janaceka, gdy został Pierwszym Lordem Admiralicji, była dokładna czystka - na połowę pensji wylecieli wszyscy protegowani, sojusznicy i dobrzy znajomi White Havena. Higgins spodziewał się więc rewanzu, a ponieważ stosunki z Hamishem Alexandrem nigdy nie układały się najlepiej, odkąd stał się świadkiem któregoś ze słynnych ataków cholery, był pewien, że pójdzie na pierwszy ogień. Biorąc pod uwagę przebieg operacji Thunderbolt, byłoby to na dodatek uzasadnione posunięcie.

Tymczasem nic podobnego nie nastąpiło. Być może dlatego, że flotę trzeba było na gwałt odbudowywać, ale raczej nie o to chodziło. Wyrzucono tylko tych, którzy udowodnili, że nic nie potrafią, lub ewidentne przypadki mianowania z partyjnego klucza bądź na prośbę innych członków rządu High Ridge'a.

Dodatkowym powodem zaskoczenia Allena Higginsa było to, że dowodził bazą Grendelsbane, gdy Marynarka Republiki wznowiła działania. W bitwie o Grendelsbane stracił kilkaset kutrów i siedem superdreadnoughtów raketowych, odkrywając, że przeciwnik także dysponuje już kutrami i wieloczołowymi raketami. Bitwę przegrał i musiał opuścić system, ale przedtem zniszczył 19 lotniskowców i 73 okręty liniowe wraz z kompleksem stoczniowym, w którym były budowane, by nie wpadły w ręce wroga. No i pozostawił 40 tysięcy stoczniowców, bo nie miał możliwości ich ewakuacji. Ilekroć przypominał mu się ten dzień, miewał koszmary nocne.

Janacek natychmiast wysłałby go na połowę pensji „aż do ustalenia prawdy przez sąd polowy”. Często zastanawiał się, czy nie to wpłynęło na decyzję earla White Haven, podobnie

jak fakt, że nigdy nie krył się z krytyką Janaceka. Oraz to, że publiczną tajemnicą było, iż ten dał mu przydział nie dlatego, że mu ufał czy go cenił, ale żeby utrzymać spokój w rodzinie, jako że Higgins był mężem jego kuzynki.

Higgins źle się czuł, pozostając w czynnej służbie pod jego rządami, ale uznał, że lepiej, by w Grendelsbane dowodził w miarę kompetentny oficer niż któryś z typowych zaufanych, czyli kompletne beztalencie i karykatura królewskiego oficera. Podejrzewał też, że Janacek posłał go tam, by go nie widywać na co dzień, jako że nie darzył go ani zaufaniem, ani ciepłymi uczuciami.

I prawdopodobnie dlatego też uznał, że będzie doskonałym kozłem ofiarnym, na którego da się zwalić winę za utratę stoczni, systemu i nieukończonych okrętów na początek, a potem wszystkiego, co się tylko da.

Na jego szczęście posiedzenie sądu odbyło się już po zmianie władzy i wyrok głosił, że biorąc pod uwagę przewagę przeciwnika i dysponowanie przez niego bronią, o której nikt w RMN nie wiedział, zachował się we właściwy sposób i że nikt na jego miejscu nie byłby w stanie obronić systemu Grendelsbane. White Haven po tym wyroku dał mu przydział i to, jak Higgins podejrzewał, było formą kolejnego upokorzenia Janaceka.

No a potem interweniował los, dzięki któremu w piorunującym tempie został dowódcą Home Fleet i jedynym admirałem floty w Royal Manticoran Navy. Powodem były olbrzymie straty wśród oficerów flagowych w bitwie o Manticore. Po niej okazało się, że Allen Higgins został jednym z tuzina najstarszych stopniem oficerów w całej Królewskiej Marynarce. A gdy księżna Harrington ponownie objęła dowództwo Ósmej Floty, czyli gdy udało się odbudować Home Fleet, Allen Higgins został po niej dowódcą tejże Home Fleet. Było to ciekawe doświadczenie, gdyż księżna była osobą wybitną zarówno jako dowódca, jak i polityk. Jej status na Graysonie w połączeniu z faktem, iż stała się jednym z głównych przeciwników rządu High Ridge'a, oraz legenda „Salamandry” skutecznie wspierana przez media zrobiły z niej prawie ucieleśnienie bogini wojny. I to nie tylko w oczach opinii publicznej, ale także wśród personelu floty.

Stąd właśnie brał się jego niepokój. Bo przed nią dowodził Home Fleet Sebastian D'Orville, inna legendarna postać. Było oczywiste, że nowy dowódca porównywany będzie do poprzedników, bo zawsze tak było. Po części zaś niepokój wynikał z doświadczeń wyniesionych z Grendelsbane, a konkretnie z obawy, by to się nie powtórzyło. Wmawiał sobie, że to niemożliwe, bo piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce, ale wiedział, że to nieprawda - uderzał. Przekonywał samego siebie, że bitwa o Grendelsbane nie była naturalnym żywiołem, prawa natury jej więc nie dotyczą, ale to także nic nie dawało...

Na szczęście nie opuściło go poczucie humoru. Było złośliwsze niż wcześniej, ale było, a teraz, po aktywacji planu Laokoon I, wiedział, że będzie mu niezbędne. Liga się wścieknie i na pewno nie przejdzie nad tym do porządku dziennego...

Jego wzrok padł na nazwę i herb okrętu umieszczone na ścianie obok drzwi windy HMS *Inconceivable*. Nie bardzo był przekonany, czy „Nieprawdopodobny” to właściwe imię dla królewskiego okrętu, ale wydało mu się, że w tych okolicznościach nawet pasuje do jego okrętu flagowego...

\* \* \*

- Jak cię znam, to wątpię, żebyś przyniósł ten plan lotu? - spytał cierpliwy i naznaczony cierpieniem żeński głos, gdy pułkownik Andrew LaFollet przestąpił próg biura.

Słyszając pytanie, spojrział zdumiony i spytał niewinnie:

- Jaki plan lotu?

Siostra tylko pokiwała z rezygnacją głową.

A siedzący na blacie jej biurka treecat bleeknął radośnie.

- Ten na Sphinksa - wyjaśniła, obrzucając go niezyczliwym spojrzeniem. - Pamiętasz, że lecisz na Sphinksa na urodziny Clarissy, czy skleroza posunęła się dalej?

- A, ten! - ucieszył się LaFollet. - A niby dlaczego uważasz, że ja miałem go zrobić? To ty tu rządysz, gdy patronki i Maca nie ma, nie ja!

- Ale nie mogę tego zrobić, dopóki nie dasz mi planu bezpieczeństwa wycieczki, nieprawdaż? - spytała zrezygnowana. Brata już nie sposób było zmienić...

A poza tym byłaby rozczarowana, gdyby jej się udało.

- A, to to mam - ucieszył się Andrew.

I rzucił jej pudełko z chipem.

Naturalnie go nie złapała, ale zrobił to zgrabnie Farragut.

- Dzięki - powiedziała, gdy treecat jej je wręczył. - To miło, że są jeszcze osobnicy płci męskiej okazujący kobiecie minimum szacunku. Szkoda tylko, że nie z mojego gatunku.

- Zarabia na dokładkę selera.

Miranda parsknęła śmiechem.

Andrew zaś pomachał jej i wyszedł.

Nadal z uśmiechem wsunęła chip do czytnika i zagłębiła się w lekturze.

I przestała się uśmiechać.

Było całkiem możliwe, a nawet prawdopodobne, że większość poddanych Korony, a nawet mieszkańców Graysona uzna, że plan bezpieczeństwa jednodniowej wycieczki

dziesięciomiesięcznego dzieciaka, jego babki i ich ochrony na urodziny ciotki liczący 50 bitych stron to lekka przesada. Łagodnie rzecz ujmując. Miranda LaFollet tak nie uważała, ponieważ w grę wchodziła matka patronki i Raoul Alfred Alistair Alexander-Harrington, który pewnego dnia, jeśli Tester pozwoli, zostanie patronem Harrington.

A to, że ona tego dnia nie doczeka, było bez znaczenia, choć żałowała, że tak się stanie. Miała po prostu pecha - była za stara, gdy prolong stał się dostępny na Graysonie, i teraz, mając 50 lat standardowych, choć o 13 lat młodsza od Honor, wyglądała na dwadzieścia lat od niej starszą. Nie byłaby człowiekiem, gdyby jej nie zazdrościła, ale pogodziła się z nieuniknionym. Pocieszało ją, że choć Andrew i ona nie pożyją aż tak długo, młodsze rodzeństwo - jak Micah - już tak.

Przez kilka sekund wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w ekran, pogrążona w myślach, nim otrząsnęła się z parsknięciem. Miała ważniejsze sprawy od smętnych rozważań, toteż wzięła się do roboty.

\* \* \*

- ...to najgłupszy pomysł, o jakim słyszałam! Zupełnie jakbyśmy nie mieli nic innego do roboty! Poza tym gdyby coś na serio stało się ze stacją, kto miałby czas, żeby dobiec do tych zasranych kapsuł?!

Choraży Paulo d'Arezzo z dużym trudem stłumił chęć uduszenia porucznika Anthony'ego Berkeleya. Brakowało mu umiejętności Helen Zilwickiej, poza tym odpowiadałby za „uderzenie wyższego stopniem w czasie działań wojennych”, a gdyby mu się udało, to i za zabicie człowieka. A to się już zupełnie nie opłacało. Tym bardziej że sąd najprawdopodobniej nie uznałby za wystarczające uzasadnienie faktu, że „ofiara była niewiarygodnie pyskatym kretyńcem”. Choć gdyby sędziowie mieli nieprzyjemność znać Berkeleya...

- I jeszcze jedno - dodał Berkeley, machając prawą ręką z wyciągniętym palcem wskazującym dla dodania ważności swoim głębokim przemyśleniom. - Ile ten kretyńizm kosztował? Odpalenie wszystkich kapsuł ratunkowych, jakie ma stacja, to nie byle co, a samo ich odzyskanie zajmie tygodnie, no i każdą trzeba będzie sprawdzić przed ponownym zainstalowaniem.

Paulo tymczasem rozważał niesprawiedliwość losu - dlaczego jak Helen nie dostał przydziału z powrotem do Quadrantu Talbott albo nie zostawili go na okręcie jak Aikawy... Prawdę mówiąc, bardziej żałował tego pierwszego, bo doskwierała mu jej nieobecność, ale wolał się w problem nie zagłębiać po tylu latach unikania przedstawicielek przeciwnej płci.

Natomiast nie ulegało żadnej wątpliwości, że umieszczenie go pod rozkazami porucznika Berkeleya było wyjątkowo wredną, bo całkowicie niezasłużoną karą. Gdyby w galaktyce istniała choć odrobina sprawiedliwości, dostałby przydział do działu badawczego jak kapitan Lewis. To byłoby ciekawe i pożyteczne przy jego fascynacji wojną radioelektroniczną. Ale nie, musiał razem z bosmanem Wandermanem wylądować w dziale produkcyjnym, bo ponoć dobrze jest, gdy oficer wojny radioelektronicznej ma choćby pojęcie o tym, jak wygląda sprzęt, którego używa. Może i było w tym coś z prawdy, ale musiał istnieć sposób, by się tego dowiedzieć bez kontaktów z Berkeleyem...

A najgorsze było to, że po ewakuacji kazano im czekać na rozkazy w małej szkolnej klasie, z której nie sposób było się niepostrzeżenie ulotnić. Najstarszym zaś stopniem w grupie przez złośliwość losu był właśnie Berkeley, który na pewno zechce się dowiedzieć, dokąd Paulo się wybiera, gdyby spróbował wyjść. Jakoś tak nie podejrzewał, by odpowiedź „tam, gdzie pana nie ma, obojętne gdzie by to było, sir” spotkała się ze zrozumieniem.

Poza tym była mało dyplomatyczna.

Szczera do bólu i owszem, ale dyplomatyczna nie bardzo.

- A jeśli już musieliśmy zrobić coś tak durnego - perorował dalej Berkeley - to przynajmniej mogliśmy to zrobić, gdy...

- Przepraszam, poruczniku - przerwał mu kontralt dobiegający od strony drzwi - ale dokładnie co „durnego” ma pan na myśli?

Berkeley na moment zamarł z otwartą gębą, a zaraz potem zamknął ją z prawie słyszalnym trzaskiem i odwrócił się ku pytającej.

A była nią niewysoka, ciemnowłosa komandor delikatnej budowy stojąca z przekrzywioną głową w otwartych drzwiach i przyglądająca mu się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nie... nie zauważyłem pani, komandor McGillicuddy... - wyjąkał Berkeley.

- Fakt - zgodziła się uprzejmie komandor Anastasia McGillicuddy. - Jednakże ja, przechodząc, usłyszałam bez trudu pański głos. Być może dlatego, że był podniesiony. Ale nie aż tak, by w drugim końcu korytarza dało się wszystko zrozumieć, dlatego postanowiłam sprawdzić. Podchodząc, zrozumiałam, że korzysta pan z okazji, by instruować powierzonych pana opiece młodszych oficerów, i duże wrażenie zrobił na mnie wigor, z jakim pan się temu oddawał. Najwyraźniej chodziło o temat, na który miał pan wyrobione zdanie, toteż postanowiłam się dowiedzieć, cóż to takiego.

Mówiła tonem uprzejmym, ale było w nim coś, podobnie jak w wyrazie brązowych oczu, co spowodowało, że Berkeley wbrew regułom fizyki wręcz zapadał się w siebie.



- Ja tylko... to jest... - Elokwencja najwyraźniej opuściła porucznika Berkeleyya.

Widok ten sprawił czystą satysfakcję chorążemu d'Arezzo.

- Czy mam rozumieć, że kwestionuje pan sensowność rozkazów wiceadmirała Faradaya? - spytała podejrzliwie miękko McGillicuddy.

Berkeley milczał jak zakłęty.

McGillicuddy rozejrzała się po obecnych w klasie oficerach i podoficerach, po czym ponownie skupiła uwagę na poruczniku.

- Skoro uznał pan, poruczniku, iż posiada stosowne kwalifikacje, by krytykować ćwiczenia, zorganizuję panu spotkanie z kapitanem Sugiharą, by mógł mu pan przedstawić swoją opinię - dodała.

Kapitan Brian Sugihara był zastępcą kontradmirała Traommella. Na dźwięk jego nazwiska błady z natury Berkeley zrobił się prawie przezroczyście.

- Dopóki to spotkanie nie nastąpi - dodała McGillicuddy - sugeruję, by rozważył pan, czy zwraca się do właściwych słuchaczy, tym bardziej że jest pan najstarszym rangą obecnym tu oficerem. Może pan chcieć owocniej spędzić czas, na przykład zastanawiając się, czy nie wziąć pod uwagę artykułu 10.

Paulo gwizdnął bezgłośnie - najwyraźniej McGillicuddy słyszała więcej, niż sądził, bo nie sprawiała wrażenia kogoś, kto ma w zwyczaju ustawianie podkomendnych, i to w obecności niższych rangą od ustawianego. Berkeley musiał więc zirytować ją bardziej, niż na to początkowo wyglądało. Jednoznacznie wskazywała na to wzmianka o artykule dziesiątym - zabraniającym działania lub wypowiedzi szkodliwych dla dyscypliny i łańcucha dowodzenia. Jeśli zarzut taki znajdzie się w aktach Berkeleyya...

McGillicuddy jeszcze przez kilka sekund spoglądała na winowajcę, potem omiotła wzrokiem obserwujących całą scenę w ciszy i skupieniu i wyszła.

Bez słowa.

\* \* \*

- No to jestem najbardziej niepopularnym oficerem na *Weylandzie* - ocenił z satysfakcją Claudio Faraday. - A może i w całym podsystemie Beta!

- Chyba pan troszkę przesadza, sir - sprzeciwił się Marcus Howell. - Jeśli chodzi o subsystem. Choć po namyśle przyznaję, że na Gryphonie w tej chwili też mogą za panem nie przepadać.

- Prawda? - Faraday uśmiechnął się promiennie. - I podejrzewam, że usłyszę kilka słów od dusigroszów z Admiralicji. Właśnie skasowaliśmy z dziesięć procent kapsuł

ratunkowych będących na wyposażeniu stacji.

- Nie wspominając o jej zamknięciu, dopóki pozostałe nie zostaną odzyskane, sprawdzone i zainstalowane z powrotem, a braki uzupełnione, sir - dodał z szacunkiem Howell, - A! Serdeczne dzięki za przypomnienie mi o tym drobiazgu.

- Po to właśnie są szefowie sztabów, sir.

Faraday posłał mu nieprzychylnie spojrzenie, ale nie włożył w to serca.

A potem usiadł prosto, oparł łokcie na blacie i pochylił się do przodu.

- To ostatnie, czyli przestój, najbardziej mnie martwi - przyznał poważnie. - Ale wątpię, by admirał Hemphill specjalnie się piekliła. Większość uważa ją za zaślepionego technicznego narwańca, ale ma ona lepsze rozeznanie realiów niż większość jej podkomendnych. Mam mocne podejrzenia, że spora część z nich nie zdaje sobie do tej pory sprawy, że jest personelem Królewskiej Marynarki i w związku z tym jest zobowiązana wykonywać rozmaite fanaberie służby jak na ten przykład ćwiczenia ewakuacyjne. Zupełnie jakby pomimo bitwy o Manticore nadal nie dotarło do nich, że ktoś może chcieć zrobić im krzywdę, nie wspominając o tym drobiazgu, że wypadki i katastrofy zdarzają się nawet na najnowocześniejszych stacjach kosmicznych.

Howell przytaknął bez słowa. Nie był do końca przekonany, czy Faraday miał słuszość, ewakuując stację i wysyłając całą załogę poza szkieletową obsadę alarmową na powierzchnię Gryphona. Przyznawał, że stan gotowości do ewakuacji załogi był katastrofalny, a wypadki wszędzie się zdarzają. To, że od wielu lat poważnej katastrofy na żadnej stacji w systemie Manticore nie było, nie znaczyło, że nie może się jakaś zdarzyć. Było sporo poważnych wypadków, a gdyby choć raz coś poważniejszego zdarzyło się na HMSS *Weyland*, skutki byłyby opłakane.

Seria symulowanych ćwiczeń zarządzonych przez Faradaya dowiodła tego niezbitcie, wywołując równocześnie wśród naukowo-technicznej części załogi złość i frustrację. Zmusiła jednakże wszystkich do uświadomienia sobie, że Faraday nie żartuje i będzie próbował aż do skutku nauczyć ich, jak ująć z życiem ze stacji w przypadku poważnej awarii. Nie byli tym uszczęśliwieni, ale przynajmniej zaczęli ćwiczyć i ewakuacja stopniowo przestawała przypominać klęskę żywiołową.

Naturalnie wiedzieli, że kolejne ćwiczenia to tylko symulacja, po której będą mogli wrócić do pracy i do czasu następnej nikt nie będzie im przeszkadzał w poważnych sprawach. Całość trwała zwykle około pół godziny i pogodzili się z koniecznością brania udziału w tym nonsense. I tak było aż do tego ranka, gdy alarm ewakuacyjny zakończył się słowami „to nie jest symulacja”.

I to właściwie było jedyne ostrzeżenie, jakie dostali, nim kapsuły ratunkowe zostały odpalone i skierowały się ku powierzchni Gryphona... którego władze także o niczym nie zostały uprzedzone. No i okazało się, że planetarne plany i przygotowania na wypadek ewakuacji stacji też pozostawiają wiele do życzenia. W efekcie ewakuowani zostali stłoczeni w prowizorycznych punktach zorganizowanych na poczekaniu, podczas gdy władze próbowały wymyślić, co z nimi zrobić. Wszystko to rzecz jasna miało być wcześniej zaplanowane w każdym szczególe. Wyjście na jaw prawdziwego stanu rzeczy z pewnością nie przysporzyło wiceadmirałowi Faradayowi popularności.

- Nie ma to jak satysfakcja z uczciwie przepracowanego dnia - ocenił Faraday. - Myślę, że za dwa dni będziemy mogli zacząć instalować pierwsze kapsuły po przeglądach. Chcę zacząć od działu produkcyjnego.

- Można spytać dlaczego, sir? - spytał z lekką obawą Howell.

- Można - odparł Faraday z drapieżnym uśmiechem. - Gdy będziemy tym oficjalnie zajęci, ty, ja i admirał Yeager wraz z zespołem specjalistów do spraw bezpieczeństwa wywiadu floty, który jest przypadkiem niedaleko, zrobimy sobie zwiedzanie stacji. Powysyłamy wszystkie uaktualnienia na planetę, a przy okazji sprawdzimy, ile to pracowitych pszczołek Yeager zapomniało zabezpieczyć tajne dane, nim ruszyło do kapsuł.

- Auć! - Howell skrzywił się boleśnie.

Faraday zaś uśmiechnął się paskudnie.

- Skoro już mnie nie lubią, dam im uczciwy powód, a równocześnie wykorzystam okazję, gdy można to będzie spokojnie zrobić. Już uprzedziłem Yeager. Nie była zachwycona, ale przynajmniej rozumie, dlaczego chcę to przeprowadzić. Obiecałem nie strącić więcej głów, niż będzie to naprawdę niezbędne. Co nie znaczy, że żadne głowy nie polecą.

Howell pokiwał głową. Istnieli ludzie przekonani, że szpiegostwo to wymysł kontrwywiadu, i istnieli inni, nie mogący zrozumieć, że skuteczne wojsko musi charakteryzować się określonym poziomem bezwzględności, dowódcy zaś nie startują w konkursach na najpopularniejszego oficera floty. Ich obowiązkiem było nagradzanie skuteczności, bo to zwiększało szanse przetrwania jednostek, którymi dowodzili. I to, czy chodziło o okręt, czy o stację kosmiczną, było bez znaczenia. Do obowiązków dowódcy należało nie tylko usuwanie osobników stanowiących zagrożenie, ale także uświadamianie wszystkim pozostałym podkomendnym, że to zrobił, i to równie skutecznie co bezwzględnie. Karanie tych, którzy coś spieprzyli, było podstawą istnienia wojska od zamierzonych czasów. Miało zniechęcać innych do pójścia w ich ślady. Nie musiało być to miłe, ważne, że działało.

Kara zaś stanowiła jeden z lepszych motywatorów, byle była zasłużona i nienadużywana. Faraday był tego na szczęście świadom, toteż Howell przeszedł do następnej kwestii.

- Jak rozumiem, pierwszeństwo mają kapsuły ratunkowe działu produkcyjnego, sir. Ale zostaje kwestia maszynowni, a zwłaszcza...

\* \* \*

Miliony kilometrów od kabiny wiceadmirała Claudia Faradaya leciały z prędkością ledwie 20% szybkości światła rakiety coraz bardziej zbliżające się do gwiazd zwanych Manticore-A i Manticore-B.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Tym razem nie była to niczyja wina.

W przeciwieństwie do totalnej kompromitacji wywiadu floty, dzięki której sukces operacji Thunderbolt stał się możliwy, tym razem nikt nie zignorował żadnych sygnałów ostrzegawczych. System wczesnego ostrzegania i Home Fleet całkowicie wypełniły swe obowiązki, ludzie Pat Givens ani pracownicy żadnej innej agencji wywiadowczej Gwiezdnego Imperium Manticore nie przeoczyli, nie zrozumieli źle czy źle nie zinterpretowali choćby jednej informacji. Fakt, żaden z wywiadów nie sprawdzał właściwego zagrożenia, ale nie były w tym osamotnione, bo nikt w galaktyce poza samym Równaniem nie wiedział o jego istnieniu, a nikt poza wybranymi członkami Równania nie miał pojęcia, że oprócz Marynarki Mesy istnieje też Flota Mesy. Była to więc sytuacja nie do przewidzenia nawet bez rozmaitych odwracających uwagę władz, floty i wywiadów Gwiezdnego Imperium incydentów zorganizowanych przez Równanie.

Na dodatek oprócz tego, że nikt nie wiedział o istnieniu i celach Równania, nikt też nie miał pojęcia o wynalezieniu przez jego naukowców zupełnie nowego typu napędu. Dlatego też nikt nie podejrzewał, iż możliwe jest przeprowadzenie czegoś podobnego do operacji Ostryga, czyli ataku, o którym ofiar nie uprzedziłyby żadne systemy wczesnego ostrzegania.

Można by uznać, że właściwie była to klęska wywiadów, i to wszystkich, ale zwłaszcza wywiadu floty. W końcu Royal Manticoran Navy miała olbrzymią przewagę techniczną nad Marynarką Ligi, czego ta druga, jak udowodniły ostatnie wydarzenia, była całkowicie nieświadoma. W połączeniu ze stałą przewagą techniczną nad Marynarką Republiki powinno to zasugerować, iż może istnieć flota mająca podobną przewagę nad RMN. Faktem było, że tak analitycy, jak i stratedzy w Admiralicji byli świadomi, że każda przewaga techniczna jest czasowa, co najlepiej pokazała operacja Thunderbolt, ale byli przekonani, że w tej chwili to ich flota ma miażdżącą przewagę.

I generalnie była to racja.

Tyle tylko, że okręty, które zaatakowały systemy Manticore i Yeltsin, stanowiły osiągnięcie równie wielkie jak wszystkie nowinki techniczne Królewskiej Marynarki razem wzięte, a na dodatek były efektem radykalnego odstępstwa od wszystkiego, co dotąd

widziano w galaktyce. Nie były zgrabne czy ładne, prawdę mówiąc, w porównaniu do jednostek z napędem typu impeller były brzydkie: kanciaste, pękate i dziwaczne. Powód był prosty - napęd typu triplet, choć był napędem grawitacyjnym, nie powodował powstania ekranu. Zamiast bowiem tworzyć dwie płaszczyzny zogniskowanej grawitacji, by stworzyć wokół jednostki skreconą przestrzeń, oparty był na kilkudziesięciu węzłach wytwarzających wiązki zogniskowanej grawitacji działające podobnie jak promienie ściągające. Tyle że nikt nie brał pod uwagę promieni ściągających takiej mocy. A na krótki dystans były one tak potężne, że mogły służyć jako broń, tworzyły bowiem dziurę w normalnej przestrzeni i mogły przebić się przez granicę przejścia w nadprzestrzeń do pasma alfa.

Pojedynczy promień nie miał większego zastosowania, bo w porównaniu do energii dawanej przez pojedynczy węzeł beta, nie wspominając o alfa, był słabutki. Słabszy nawet od generowanych do łączności grawitacyjnej impulsów, ale w przeciwieństwie do nich zakotwiczał się do pasma alfa, dając okrętowi punkt zaczepienia (lub odepchnięcia). Połączenie kilkunastu takich promieni stwarzało możliwość ruchu przy zastosowaniu mikroimpulsowego cyklu pracy węzłów napędu.

Maksymalne teoretyczne przyspieszenie było znacznie niższe, a praktyczne jeszcze mniejsze. W teorii bowiem napęd typu impeller był w stanie osiągnąć prędkość światła, ale z przyczyn technicznych nigdy nie próbowano tego zrobić. Praktyczną zaś granicą były możliwości kompensatorów bezwładnościowych, bez których załoga zmieniałaby się w ciekłą warstwę pasty pokrywającą ściany i wyposażenie wewnętrzne.

W przypadku napędu typu triplet brak ekranu powodował niemożność użycia kompensatora bezwładnościowego, co oznaczało, że maksymalne przyspieszenie zależało od skuteczności generatorów antygravitacji, a te były przynajmniej chwilowo niezbyt skuteczne w równoważeniu przyspieszeń tej wielkości. Na dokładkę takie rozwiązanie wymuszało inny układ wewnętrzny okrętu, gdyż pokłady zamiast równoległe do kierunku ruchu, musiały być ustawione prostopadle. Stąd właśnie krótki a szeroki kształt kadłuba.

Choć wynalezienie tego napędu skłoniło fizyków Równania do maksymalnych wysiłków w celu usprawnienia generatorów antygravitacyjnych i zaszli dalej niż ktokolwiek inny, to nie tak daleko, jak by pragnęli. Aktualnie były one w stanie zrównoważyć przyspieszenie 150 g do 1 g. Przy większych przyspieszeniach ich skuteczność drastycznie malała, a wielkość generatorów rosła, ale skutek i tak był mizerny: każde 1 g przyspieszenia udawało się zredukować do 0,05 g odczuwalnego na pokładzie. Oznaczało to, że 50 g przyspieszenia zwiększało grawitację pokładową o 2,5, dając łącznie 3,5 g. Powyżej tej wielkości nawet genetycznie zmodyfikowani ludzie mieli poważne problemy z pracą, a na

dodatek generatory zabierały dwa razy więcej miejsca niż te pozwalające na lot z przyspieszeniem 150 g.

Po starannym rozważeniu sytuacji zdecydowano się na konstrukcję i systemy kontrolne mogące działać przy ciężeniu 4 g. Przy większych skuteczność gwałtownie malała na skutek ograniczeń fizycznych załogi. Umożliwiło to osiągnięcie przyspieszenia 210 g, co było śmieszne w porównaniu do przyspieszeń jednostek z napędem typu impeller. W razie konieczności i na krótko można było osiągnąć 310 g, czyli 9 g ciężenia pokładowego. Na taką okoliczność wyposażono okręty w fotele antyprzeciążeniowe dla członków załóg. Ale i tak była to połowa przyspieszenia superdreadnoughta Royal Manticoran Navy. Dodatkową wadę stanowiło to, że wielkość jednostki nie miała wpływu na osiągnięte przez nią przyspieszenie, a konieczność stabilizacji okrętu względem granicy przejścia w nadprzestrzeń wymagała co najmniej trzech punktów zaczepienia. To z kolei dawało „trójkątny” kadłub i trzy salwy burtowe zamiast dwóch. Ale równocześnie brak ekranu uniemożliwiał użycie osłon burtowych i wymuszał opancerzenie całego kadłuba, nie tylko jego burt. Nie dawało się też użyć napędu przy zastosowaniu sferycznych osłon siłowych, jakie posiadały forty.

Wszystko to były poważne minusy, ale napęd typu triplet miał też jeden niwelujący je wszystkie plus - był bowiem w zasadzie niewykrywalny przez jakiegokolwiek sensory używane przez jakąkolwiek flotę z odległości większej niż sekunda świetlna. Nawet Flota Mesy miała problemy ze znalezieniem go przy większych odległościach, a dla kogoś nie wiedzącego, czego szukać, było to praktycznie niewykonalne. Oznaczało to, że jednostki z takim napędem są niewidzialne dla sensorów i co najważniejsze, nie mają sygnatury napędu w normalnym rozumieniu tego słowa, a to właśnie ona stanowiła podstawę wykrycia okrętu przez pasywne sensory z dużej odległości.

I dzięki temu zespoły uderzeniowe admirała Fredericks Topoleva i kontradmirał Lydii Papnikitas mogły spokojnie dotrzeć na wyznaczone miejsca i odpalić rakiety. A jednostki zwiadowcze komodora Karla Østby’ego i komodor Mileny Omelchenko przez dwa miesiące standardowe mogły niezauważone latać po podwójnym systemie Manticore. To samo dotyczyło okrętów admirał Jennifer Colenso i komodora Rodericka Sunga w systemie Yeltsin.

W obu nie dość, że nikt ich nie wykrył, to nawet niczego nie podejrzewał.

\* \* \*

Nadlatujące rakiety były słabymi celami dla radaru, bo postarali się o to ich projektanci, a leciały z prędkością ledwie 60 tysięcy km/s. Nawet gdyby któraś została

wykryta, było mało prawdopodobne, by komputerowe filtry nie odrzuciły jej jako przedmiotu nie stanowiącego zagrożenia właśnie z powodu małej prędkości. Tak się jednak złożyło, że żadna nie została wykryta.

W systemie Manticore prowadzonych było równocześnie sześć ataków - po dwa na infrastrukturę orbitalną każdej z planet. Największym problemem było takie ich zgranie czasowe, by odbyły się równocześnie, bo tylko to uniemożliwiało podjęcie jakiegokolwiek akcji przez obrońców systemu.

Trzy otwierające ataki wykonane zostały przy użyciu rakiet stanowiących taki sam przełom w dziedzinie uzbrojenia jak wieloczołowe rakiety Królewskiej Marynarki. Rakiety były potężne, miały napęd typu triplet i ich wielkość wykluczała ich odpalenie z pokładowych wyrzutni okrętów klasy *Shark*. Miały stanowić uzbrojenie okrętów klasy *Leonard Detweiler*, ale żaden z nich nie był nawet bliski ukończenia, toteż musiano na gwałt zaprojektować i wyposażyć jednostki klasy *Shark* w zewnętrzne wyrzutnie.

Rakiety były też powolne, bo nie sposób było umieścić napędu typu triplet umożliwiającego osiągnięcie przyspieszenia większego niż kilkaset g w czymś na tyle małym, by dało się to wykorzystać jako broń. Napęd ten miał jedną zaletę - zasięg prawie równy sondom zwiadowczym. Uzbrojenie zaś stanowił graser o mocy montowanej na krążownikach. Słabszy niż będący na uzbrojeniu kutrów klasy *Shrike*, był i tak silniejszy od pojedynczego promienia impulsowej głowicy laserowej, ale każda rakietka miała tylko jeden graser i była to broń jednorazowa. Wiązało się to ze sporym ryzykiem, ale zdecydowano się na takie rozwiązanie, gdyż pod trzema względami przewyższało najlepsze nawet klasyczne rakiety. Rodzaj napędu powodował niewykrywalność, a najlepsza obrona antyrakietowa nie była w stanie przechwycić czegoś, o czym nie wiedziała, że nadlatuje. Rakiety wyposażono w sensory i komputery celownicze o rozdzielczości i możliwościach porównywalnych z rakietami *Mark 23 Echo*, co bardzo zwiększało celność. No i promień impulsowej głowicy laserowej trwał pięć tysięcznych sekundy, a graser prowadził ogień przez trzy sekundy i z odległości 50 tysięcy kilometrów był w stanie przebić osłonę burtową wszystkiego poza okrętem liniowym.

Upchnięcie tego wszystkiego w kadłub nawet przerośniętej rakietki wymagało drobnych kompromisów, toteż stanęło na tym, że skonstruowano jednorazowy graser ze źródłem energii i wytrzymałością na trzysekundowy strzał. Potem graser przestawał istnieć razem z rakietą, co bardzo Równaniu odpowiadało, dzięki temu nie było ryzyka, że ktoś znajdzie zużytą rakietę i na jej podstawie zbuduje własną.

Rakiety zaczęły przyspieszać na długo przedtem, nim znalazły się w zasięgu sond



celowniczych rozmieszczonych przez jednostki zwiadowcze. Dodatkowe informacje ich komputerom pokładowym były średnio potrzebne - wiedziały, gdzie znaleźć cele, a ich sygnatury energetyczne były tak charakterystyczne i unikalne, że nie sposób było ich pomylić.

\* \* \*

- Zabawne - mruknął operator sensorów, mat Franklin Sands. Wpisał na klawiaturze polecenie i zmarszczył brwi, gdy na ekranie pojawił się bardziej szczegółowy opis.

- Mam coś zabawnego, ma'am - zameldował, spoglądając przez ramię.

Podporucznik Tabatha Dombrowska, młodszy oficer taktyczny ciężkiego krążownika HMS *Star Witch*, wachtowy oficer w centrali, uniosła brwi, ale nie skomentowała, choć określenie „coś zabawnego” nie należało do określeń, jakich standardowo używał kompetentny i doświadczony podoficer.

- Co takiego? - spytała i zaraz potem prychnęła ze złością. - Cofam pytanie, gdybyś wiedział, tobyś mi powiedział, prawda?

- Sądzę, że to słuszne założenie, ma'am - zgodził się ponuro Sands, ale z błyskiem wesołości w oczach.

Podporucznik Dombrowska robiła mniej błędów niż większość podporuczników, jakich przez lata służby poznał, i była gotowa przyznawać, że podkomendni mogą ją jeszcze wielu rzeczy nauczyć.

- No dobrze - powiedziała, stając koło jego stanowiska i patrząc ponad jego ramieniem na ekran. - A więc czego nie byliśmy w stanie zidentyfikować?

- Tego, ma'am - przyznał poważnie Sands.

*Star Witch* razem z resztą 1. Dywizjonu 114. Eskadry Ciężkich Krążowników, w skład której wchodziły jednostki klasy *Star Knight*, odbywał ćwiczenia przed odlotem do Silesii. Okręty były już przeznaczone do złomowania, gdy straty poniesione w bitwie o Manticore wymusiły pospieszne przywrócenie ich do służby. Gwałtu w zgrywaniu dywizjonu nie było, bo raz, że udawał się na drugorzędny teatr działań, a dwa, miał jeszcze ponad dwa tygodnie do opuszczenia systemu Manticore, ale dowodzący nim komodor James Tanner wiedział, że na sam koniec zawsze następuje spiętrzenie problemów, i starał się, jak mógł, by temu zapobiec. Dlatego uzyskał zgodę na ćwiczenia z dużym wyprzedzeniem i wybrał do tego pusty rejon nad płaszczyzną ekliptyki. Okręty ćwiczyły przez ostatnie trzy dni. Przy okazji miano sprawdzić, czy nie wystąpią jakieś usterki, by mogli je jeszcze naprawić stocznicy *Hephaestusa* przed ostatecznym odlotem. Dlatego *Star Witch* otaczało pół tuzina sond *Ghost*

*Rider* - nie chodziło o znalezienie czegokolwiek, ale o sprawdzenie telemetrii i oprogramowania sond oraz komputerów pokładowych po ostatnich poprawkach. Mniej doświadczony niż Sands operator mógł nawet nie zauważyć fragmentu wiadomości, jaki przy tej okazji został odebrany.

- Masz jakiś pomysł, skąd się to wzięło? - spytała Dombrowska. - Kto tam jest?

- To właśnie jest zabawne, bo nikt, ma'am. To bardzo wąska wiązka kierunkowa, a nadajnik jest na jeszcze wyższej płaszczyźnie ekliptyki niż my, ma'am. Z tego co wiemy, oficjalnie nikogo tam nie ma.

- A co z analizą komputerową zawartości?

- Właśnie powinna być...

Jakby w odpowiedzi sąsiedni ekran odżył - pojawiła się na nim długa kolumna znaków.

- Strasznie spakowane jak na impulsową wiadomość, ma'am - ocenił Sands.

- Tak... a co ważniejsze, nieznaną algorytm kodowania...

- Wewnętrzny kod Imperium Andermańskiego... - podpowiedział Sands.

- Komputer nie potrafi zidentyfikować rodzaju algorytmu, więc to nikt, z kim dotąd mieliśmy do czynienia... Jak sam powiedziałaś, wiadomość jest długa i nadana z miejsca, w którym nikogo nie powinno być. Nie podoba mi się to!

- Ale... - zaczął Sands.

I urwał, marszcząc brwi.

- Właśnie - przytaknęła Dombrowska. - Nikt nie powinien przedostać się tam bez wiedzy systemu wczesnego ostrzegania. Może jestem przewrażliwiona, ale uważam, że trzeba zawiadomić starszych i mądrzejszych... Z komandorem Neukirchem proszę.

To ostatnie zdanie powiedziała do mikrofonu po wybraniu stosownego kanału interkomu.

- Neukirch - rozległ się zaspany głos.

- Dombrowska z centrali, sir. Przepraszam, że przeszkadzam, ale właśnie przechwyciliśmy coś, co mnie trochę zaniepokoiło.

- Zaniepokoiło? - powtórzył już znacznie przytomniej komandor porucznik Gilderoy Neukirch, oficer taktyczny HMS *Star Witch*.

- Transmisja impulsowa, sir. Duża i z miejsca, w którym nikogo nie powinno być. Komputery nie są w stanie zidentyfikować pochodzenia algorytmu kodującego, sir.

- Poinformuj natychmiast mostek i kapitana McMahona. Powiedz mu, że sugeruję, żeby jak najszybciej zjawił się w centrali. Ja tam zaraz będę!

- Aye, aye, sir.

\* \* \*

- Przepraszam, milady, ale jeśli się nie mylę, urodziny lady Clarissy są dzisiaj - odezwał się nader uprzejmie Andrew LaFollet.

Doktor Allison Harrington, jeden z czołowych genetyków Gwiezdnego Imperium Manticore, uniosła głowę znad stołu do przewijania, na którym znajdował się średnio szczęśliwy lord Raoul Alexander-Harrington, i posłała LaFolletowi zdecydowanie niezyczliwe spojrzenie.

- Gdyby pan, pułkowniku LaFollet, zechciał w pełni wykonywać swoje obowiązki, spóźnienie by nam nie groziło - odparła z godnością.

- Zamachy, zabójcy, bomby, chronienie przed własną głupotą, to mam w obowiązkach. O broni biologicznej, zwłaszcza własnej produkcji, w umowie słowa nie było, milady. O gazach bojowych też nie.

- Poważne niedopatrzenie - oceniła, biorąc chusteczkę jednorazową.

Oboje doskonale wiedzieli, że do przewijania wnuka Allison zgłosiła się na ochotnika, bo raz, że uznała, iż należy to do babskich obowiązków, dwa, że lubiła niemowlaki. Zwłaszcza tego, który był jej wnukiem.

- No i proszę, młodzieńcze - oznajmiła, kończąc zapinać jednorazową pieluchę. - Czysty i przebrany... chwilowo przynajmniej.

Zagulgotał coś radośnie, i to niezwykle cicho jak na swoje możliwości. Nie podobały mu się zwłaszcza brudne, to jest obsrane pieluchy, czemu dawał wyraz pełną piersią, ale generalnie był bardziej zachwycony niż zirytowany wszechświatem, toteż narzekał rzadko. Allison uważała, że Honor taka radosna w jego wieku nie była, no ale Nimitz adoptował ją, gdy miała 12 lat standardowych, a Raoul od początku właściwie wychowywany był przez ludzi i przez treecaty. Co mogło z tej mieszanki wyjść, nawet nie próbowała przewidywać.

- Zawiadomię Tennarda - oznajmił LaFollet.

Sierżant Jeremiah Tennard był ochroniarzem Faith, ale po narodzinach Raoula, gdy zagrożenie dla bliźniąt znacznie się zmniejszyło, często przy okazji wyjazdów pomagał LaFolletowi. Dlatego znalazł się na Sphinksie, gdy Allison z wnukiem przybyli do Copper Walls.

- Lindsey! - zawołała Allison.

- Tak, milady? - W drzwiach pojawiła się niczym wyczarowana niania Raoula, Lindsey Phillips.

- Myślę, że jesteśmy gotowi.

- Przecież ja się tym mogłam zająć. Jeśli się nie mylę, mam to w obowiązkach, milady.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się Allison.

Lindsey była wcześniej nianią Faith i Jamesa, znały się więc długo i dobrze.

- Mówisz, że od początku mogłaś wszystkie przewijać? - zaintrygowała się Allison.

- Prawdę mówiąc, mogłam.

- Żebym ja to wiedziała!

Lindsey roześmiała się, odebrała od niej niemowlaka i obie wyszły wprawdzie z pokoju, potem z domu na werandę, skąd za drzewami w dole widać było błękitne wody Oceanu Tannermana. Na podjeździe stała opancerzona limuzyna w barwach domeny Harrington, a w górze krążyły dwa myśliwce. Allison potrząsnęła głową - dopiero w takich chwilach uświadamiała sobie w pełni, jak zmieniło się życie jej i jej najbliższych. Oto byli w siedzibie rodziny, stojącej tu od czasów zarazy i nigdy wcześniej nie wymagającej uzbrojonej ochrony... W takich właśnie momentach żałowała, że to wszystko aż tak strasznie się skomplikowało. Były to tak zwane gorzkie żale, bo nie miała żadnego pola manewru, a zmiany miały więcej plusów niż minusów, jak na ten przykład Raoula...

- Jesteśmy, Andrew - oznajmiła. - Mam nadzieję, że nie spóźnieni.

- Prawdę mówiąc trochę - przyznał z uśmiechem LaFollet. - Ale nie ma problemu... rozmawiałem z Mirandą, Faith miała mały wypadek związany z poręczą głównej klatki schodowej.

- No nie! - jęknęła Allison.

Lindsey tylko pokiwała głową.

Faith miała prawie dziewięć lat standardowych i od niedawna, po tym jak zobaczyła, że treccaty robią sobie z nich ujeżdżalnie, obsesję na punkcie poręczy schodów. Na szczęście Jamesa ta aberracja psychiczna ominęła.

- Wszystko w porządku, milady - zapewnił ją LaFollet. - Tym razem niczego nie złała.

- Sobie czy poza tym? - upewniła się Allison.

- Ani sobie, ani niczego. Rozbiła sobie nos, co wymagało zatamowania krwotoku, przebrania, rozmowy pedagogicznej z ojcem na temat wątpliwej mądrości decyzji i w efekcie spóźnili się na lot. Musieli przebukować bilety i teraz są już w drodze, ale lady Clarissa po rozmowie z Mirandą opóźniła rozpoczęcie przyjęcia o godzinę, żeby zdążyli.

- Rozumiem. - Allison pokiwała głową z rezygnacją. - Zanim się zjawią, Raoul już coś

wymyśli, żeby spowodować następne opóźnienie. Ale póki co możemy ruszać.

- Jak pani sobie życzy, milady.

\* \* \*

Rakiety odebrały uaktualnienie namiarów nadane przez sondy celownicze, wybrały to, co było adresowane do nich, i wyrzuciły resztę z pamięci, po czym wykonały otrzymane polecenia. Osłony chroniące sensory przed cząsteczkami i mikrometeoritami w czasie długiego lotu balistycznego zostały odstrzelone, a komputery pokładowe porównały uzyskane odczyty sensorów z posiadanymi namiarami celów. Doszły do wniosku, że nie muszą modyfikować otrzymanych przed startem profili ataków. Cele były duże i znajdowały się tam, gdzie powinny.

Najtrudniejsze było czasowe zgranie ataku bo Manticore-A i Manticore-B były tak odległe, że powodowało to zwłokę nawet w łączności grawitacyjnej wynoszącą prawie 13 minut. Dlatego planujący operację Ostryga zdecydowali, że dokładne zgranie ataków na oba podsystemy nie jest tak istotne jak zsynchronizowanie uderzeń w cele wokół planety Sphinx i Manticore, które znalazły się w odległości ponad 21 minut świetlnych. Chodziło o to, by ataki stanowiły kompletne zaskoczenie dla wszystkich obrońców, a w przeciwieństwie do dowódców Marynarki Ligi Flota Mesy żywiła duży szacunek dla Royal Manticoran Navy. Przygotowania do operacji obejmowały zapoznanie się z danymi wywiadu, co doprowadziło do bolesnego uświadomienia sobie, że czas reakcji RMN jest krótszy, niż wcześniej zakładano, a z pewnością jeszcze uległ skróceniu, a koordynacja poprawie po bitwie o Manticore.

Oczywiste było, że wszelkie plany obronne opracowane zostały z myślą o znanych zagrożeniach, bo trudno opracować podobny plan przeciwko nieznanym, ale nie znaczyło to, że są one bezużyteczne, toteż stratedzy Równania postępowali ostrożnie i dokładnie wszystko obliczyli. A potem załogi ćwiczyły całość do znudzenia.

18 rakiet pierwszej fali grupy M lekko zmieniło kursy. Te prowadzące grupę S nie musiały tego robić, bo były idealnie na kursie. Pasywne sensory utrzymywały stałe namiary celów, a systemy pokładowe rozpoczęły autotesty.

\* \* \*

- Nie, sir - przyznał komandor Neukirch. - Pojęcia nie mam, kto to może być i skąd się wziął, ale uważam, że porucznik Dombrowska zachowała się właściwie, informując mnie o tym.

- Zgadzam się - odparł komodor Tanner. - I wysłałem już informacje do systemu wczesnego ostrzegania, ale trochę czasu minie, nim usłyszymy od nich cokolwiek. Jeśli ktoś ma jakiś pomysł czy podejrzenie, chciałbym je usłyszeć.

Odpowiedziała mu cisza.

Nikt z widocznych na podzielonym na cztery części ekranie łącznościowym, a byli to dowódca HMS *Star Dance* i równocześnie kapitan flagowy Tannera kapitan Matheson Marcos, kapitan Vince McMahon dowodzący *Star Witch* i oficerowie taktyczni obu krążowników, nie odezwał się. Komandor Alexandras Adrinpoulos, szef sztabu Tannera, obecny osobiście, także milczał. Od odebrania meldunku ze *Star Witch* minęło sześć minut dziesięć sekund.

- No dobrze - odezwał się Tanner, gdy cisza zaczęła się przeciągać. - Czekać na odpowiedź, możemy zrobić kilka rzeczy. Komandorze Neukirch, udzielam zezwolenia na użycie dodatkowych sond systemu *Ghost Rider*. Proszę wykorzystać, ile będzie pan potrzebował, ale proszę mi znaleźć tego, kto nadał tę wiadomość.

Neukirch już otwierał usta, ale nim zdążył się odezwać, Tanner uniósł rękę i dodał:

- Wiem, że żądam, aby znalazł pan igłę w olbrzymim stogu siana, komandorze, ale przynajmniej z grubsza wiemy, gdzie jej szukać, a im później zaczniemy poszukiwania, tym mniejsza będzie szansa na sukces. Proszę dołożyć starań i pamiętać, że nikt nie spodziewa się cudu.

- Rozumiem, sir.

- Alexandrosie, czas obudzić kapitanów pozostałych okrętów - polecił Tanner. - Im więcej szukających, tym lepiej. I wyślij wiadomość do dowództwa Home Fleet. System wczesnego ostrzegania powinien co prawda poinformować admirała Higginsa, ale w ten sposób dowie się szybciej.

- Aye, aye, sir.

- A my tymczasem powinni...

- Przepraszam, sir! - przerwał mu nagle zdławionym głosem Neukirch wyglądający tak, jakby dostał cios w splot słoneczny.

Wpatrywał się w coś poza zasięgiem kamery i widać było jak robi się coraz bledszy. Po dłuższej chwili wziął głęboki oddech, spojrzął w kamerę i wykrztusił:

- Chyba wiem, co to była za wiadomość, sir...

\* \* \*

18 rakiet dotarło na wyznaczoną odległość i zajęło zaprogramowane pozycje,

sprawdziło identyfikację celów, a gdy ta została potwierdzona, wystrzeliło.

Trzy sekundy później już nie istniały.

Ale ich cel nie posiadał żadnych osłon burtowych, co spowodowało maksymalną skuteczność ich graserów, mimo iż strzeliły one z odległości prawie pół miliona kilometra.

I 18 promieni spolaryzowanej energii trafiło w Stację Kosmiczną Jej Królewskiej Mości *Hephaestus*, siejąc śmierć i zniszczenie. Ponieważ atak był kompletnym zaskoczeniem, generatory sferycznej osłony siłowej nie pracowały, a nikt na pokładzie nie był w skafandrze próżniowym. Skutek przypominał spotkanie piły łańcuchowej z jajkiem.

*Hephaestus* pomimo wyposażenia w generatory osłon nie był przystosowany do przetrwania podobnego ataku. Nawet jego budowniczy nie brali tego pod uwagę, zresztą niemożliwe było opancerzenie i wzmocnienie konstrukcji, by choć przypominała wojskową. Z prostego powodu - stacja *Hephaestus* poza pierwszym jej elementem nie była wynikiem jednego projektu ani nawet serii spójnych projektów czy realizacji wcześniej wytyczonego planu, ale efektem potrzeb. Gdy trzeba było dobudować w jakimś miejscu magazyn, stocznię, moduł produkcyjny czy mieszkaniowy, robiono to. Można by rzec, że stacja rosła, a dzięki temu, że znajdowała się w próżni, jej dziwaczny i nieproporcjonalny kształt był możliwy i w miarę funkcjonalny. Liczyła ponad 110 kilometrów długości, a odgałęzienia wysuwała we wszystkie strony, przy czym niektóre miały prawie po 40 kilometrów. Była najjaśniejszym obiektem na orbicie planety Manticore i miała stałą załogę liczącą ponad 950 tysięcy ludzi. Wliczając gości, podróżnych w drodze i załogi okrętów, codziennie przebywało na niej prawie dwa miliony ludzi. Do obrony jej służyła zaś Home Fleet i fortyfikacje orbitalne planety Manticore.

Mimo tych rozmiarów była to konstrukcja delikatna, która nie przetrwałaby w planetarnym polu grawitacyjnym.

O ostrzale 18 graserów nie wspominając.

## ROZDZIAŁ XXIX

Nikt nigdy nie zdołał dokładnie odtworzyć przebiegu kilku pierwszych sekund ataku, gdyż zniszczenia, straty i chaos były zbyt wielkie, poza tym nikt nie patrzył tam, gdzie powinien, mimo olbrzymiej liczby sensorów w sąsiedztwie planety.

Gdyby ktoś zdołał to odtworzyć, okazałoby się, że pierwsze zostało trafione pomieszczenie HF/1-17-1336-T-1219 będące stanowiskiem kontrolnym modułu produkcyjnego GM-HF/1-17-13 przy stoczni remontowej Royal Manticoran Navy HF/1-17. Pierwsza była pusta, czekała bowiem na nowy krążownik liniowy klasy *Nike*, w drugiej znajdowały się trzy niszczyciele klasy *Roland*: *Barbarossa*, *Saladin* i *Yamamoto*, które kończono wyposażać, miały więc na pokładach prawie pełne załogi.

Promień graseira, który trafił w pomieszczenie HF/1-17-1336-T-1219, był o dziesiątą część sekundy szybszy od pozostałych i zabił 32 techników, nim ci zdali sobie sprawę, że giną. Wszyscy byli w koszulach i pochłaniały ich codzienne obowiązki, gdy strzał z graseira zniszczył pomieszczenie wraz z nimi i rozpruł ścianę obu stocznii.

W chwili strzału rakietę poruszała się z prędkością prawie 70 tysięcy kilometrów na sekundę i nieco miotła się na boki, dzięki czemu promień graseira nie szedł po linii prostej, lecz przypominał spiralny stożek, który wyrządził znacznie większe szkody, bo w ciągu trzech sekund istnienia zniszczył więcej elementów stacji położonych w różnych miejscach. Tak założyli projektanci i dlatego wprawili rakiety w ruch w chwili strzałów. Sam promień oddalił się od modułu produkcyjnego GM-HF/1-17-13, ale siła wybuchu sąsiedniego pomieszczenia zabiła 16 techników pracujących w module prawie tak szybko jak ich kolegów w sterowni, której szczątki przeleciały przez moduł produkcyjny, dziurawiąc go na wylot, i przebiły ścianę stoczni HF/1-17.

Podziurawienie ścian modułu produkcyjnego dla jego załogi było bez znaczenia, bo już była martwa, natomiast było istotne dla 48 członków załóg niszczycieli w stoczni, bo znajdowali się akurat w drodze do lub z okrętów, a żaden nie był w skafandrze próżniowym, gdy fragmenty modułu pocięły przejścia łączące okręty z galerią i wystawiły ich na działanie próżni.

To z kolei spowodowało ucieczkę atmosfery z okrętów, na których w ciągu kilku sekund zginęło przynajmniej 30% załóg, nim opuszczono grodzie awaryjne, by uniemożliwić



ucieczkę atmosfery. Nie na wiele się to zresztą przydało, bo gdy promień graser, który spowodował te zniszczenia, przesunął się w kierunku centrum stacji, promień innego graser, który dotarł do obu stoczni, a miał dość mocy, by przeciąć na pół pozbawiony ekranów i osłon burtowych niszczyciel.

I to właśnie spotkało HMS *Saladin*. Jego reaktor został przy tym uszkodzony tak poważnie i bez żadnego uprzedzenia, że nawet cybernetyczne zabezpieczenia nie zdążyły zadziałać. Oślepiająca eksplozja spowodowała, że zniszczenia spowodowane przez graser w tej części stacji kosmicznej stały się drobiazgami zupełnie bez znaczenia.

\* \* \*

HMS *Longshoreman*, jeden z dyżurnych holowników *Hephaestusa*, oddalał się od stacji, ciągnąc nowiutki ciężki krążownik klasy *Saganami-C* HMS *Jessica Rice* ku granicy użycia napędu typu impeller. Obie jednostki miały przyspieszenie ledwie 10 g, jako że na krążowniku nie działał kompensator bezwładnościowy przy wyłączonym napędzie którego z kolei przepisy zabraniały uaktywniać w pobliżu stacji kosmicznej.

Jeden z graserów trafił w centralny rejon stacji, jego promień przesunął się ku zewnętrznym obszarom, wywołując serię eksplozji wtórnych, po czym zniknął w pustce i pojawił się ponownie na górnej powierzchni kadłuba *Jessiki Rice*, rozcinając go wzdłuż, aż trafił w reaktor. Eksplozja pochłonęła okręt z całą załogą. Wybuch ten uszkodził rufowy pierścień napędu holownika, co spowodowało automatyczne wyłączenie ekranu... A moment później kawał stacji *Hephaestus* o masie o połowę większej od *Longshoremana*, oderwany przez jedną z wtórnych eksplozji, rąbnął w pozbawiony ochrony kadłub, niszcząc kompletnie holownik.

\* \* \*

- Jasna kurwa!

Porucznik Edouard Boisvin, pierwszy oficer HMS *Stevedore*, spojrzał zdumiony na bosman Oxanę Karpową. Pani bosman była głównym sternikiem holownika, a podobne wystąpienia nie leżały w jej charakterze.

Już otwierał usta, by zażądać wyjaśnień, gdy spojrzał na główny ekran wizualny i zamarł, nie mogąc wydobyć z siebie dźwięku. Siedział, wpatrzony w przerażające widowisko, jakim było niszczenie całej stacji kosmicznej, ku której zbliżał się holownik. A spektakl ten rozgrywał się dosłownie na jego oczach. Eksplozje następowały zbyt szybko i w zbyt wielu miejscach równocześnie, by jego umysł był w stanie zarejestrować je w jakimś spójnym

porządku, ale w pamięć wbiły mu się poszczególne obrazy, i to tak dokładnie, że jeszcze przez lata widywał je wyraźnie w sennych koszmarach. Moduł wyrwany z mocowania i rozsiewający wokół zawartość złożoną z ludzi i maszyn... dwie połówki ciężkiego krążownika oddalające się od siebie i wirujące coraz szybciej, póki nie rozerwało ich na znacznie drobniejsze kawałki... seria wybuchów idąca przez fragment stacji niczym front burzowy i pochłaniająca wszystko, co napotyka na drodze... statek warsztatowy lecący z pełną mocą silników manewrowych byle dalej od stacji i ognisty język, który wystrzelił za nim, ogarnął go i pochłonął, a gdy zniknął po jednostce nie było śladu...

Całości zniszczeń mózg po prostu nie przyjmował, bo to, co widział, było po prostu niemożliwe. Na uczucia w stylu strachu nie było już miejsca, bo niedowierzanie było zbyt silne i zbyt wszechobecne. Nie tylko zresztą u niego, ale u wszystkich świadków.

Choć jednak Edouard Boisvin nie mógł uwierzyć w to, od czego nie potrafił oderwać wzroku, wytrenowane odruchy zadziałały i na oślepnął nacisnął kciukiem przycisk w poręczy fotela. I we wszystkich pomieszczeniach HMS *Stevedore* rozbrzmiało wycie alarmu bojowego.

\* \* \*

- ...w sumie nie problem, ma'am. Fakt, wyglądało to poważnie, ale po sprawdzeniu okazało się, że to tylko pokrecony plan - wyjaśnił kapitan Karaamat Fonzarelli, szef działu remontów stacji *Hephaestus*.

Kontradmiral Margaret Truman kiwnęła z zadowoleniem głową. Podejrzewała od początku, że tak właśnie przedstawia się sytuacja, ale podejrzania a pewność to dwie zupełnie różne sprawy.

- Już rozmawiałem o tym z logistyką - dodał Fonzarelli. - Według nich to głównie kwestia kiedy i gdzie chcemy mieć te części, więc powiedziałem...

Ekran nagle zgasł.

Dowodząca stacją *Hephaestus* Truman zaczynała unosić ze zdumienia brwi, gdy promień lasera trafił prosto w jej gabinet i w nią.

\* \* \*

- Tato, a co to takiego?

John Cabecadas zaklął w duchu.

Pasek cholernego nosidla ciągle się skręcał, gdy znajdowała się w nim Serafina, a ta, choć przez większość 16 miesięcy swego życia okazywała dobry humor, w chwilach

problemów z nosidłem demonstrowała, że potrafi też być wcielonym półdiabłem. Właśnie zdecydował się wręczyć cały problem żonie, gdy Jennifer wypaliła kolejne pytanie.

- Nie wiem - prawie warknął.

I zaraz tego pożałował.

Jak na dziewięciolatkę Jennifer była bardzo rozwinięta, a więc równie inteligentna co ciekawa. W efekcie od chwili opuszczenia promu pytania zadawała w zasadzie bez przerwy albo raczej z przerwami na wysłuchanie i przeanalizowanie odpowiedzi. Przy czym to ostatnie szło jej zdecydowanie zbyt szybko. Dlatego mimo że ją kochał i był z niej generalnie dumny, teraz z utęsknieniem czekał na chwilę wejścia na pokład liniowca lecącego na Beowulfa, w którym w kabinach nie było okien, za to były terminale komputerowe. Córka umiała samodzielnie dogadać się z komputerem, a ten miał dostęp do pokładowej biblioteki.

I niewyczerpaną wręcz cierpliwość.

- Co chciałaś wie... - zaczął i urwał, bo przypadkiem spojrzął przez przezroczysty dach korytarza, przez który widać było panoramę stacji kosmicznej *Hephaestus*.

Zdażył złapać za rękę Jennifer. Żony i dwunastoletniego syna już nie zdażył, gdy potężna eksplozja zniszczyła korytarz.

\* \* \*

- Pierdolę ich urażone uczucia! - wybuchnęła Jacqueline Rivera.

Nigdy nie żywiła ciepłych uczuć dla Gwiezdnego Imperium Manticore, uważając je za przejaw manii wielkości podrzędnego państewka, i dlatego ciężko wkurzył ją wymóg centrali, by stonowała komentarze. I nie chodziło nawet o to, że nie zgadzała się z polityką firmy, choć to także miało miejsce, ale o to, że polecenie (oficjalnie przypomnienie) przyszło od jakiejś tam asystentki zastępcy producenta, która swoją pozycję zawdzięczała albo temu, że była czymś pociotkiem, albo temu, że rozkładała nogi przed kim trzeba. Zupełnie jakby ona, Jacqueline, była jakimś tam sobie początkującym dziennikarzyną, a nie jednym z wiodących reporterów „Solarian News Services”.

No dobrze, rzeczywiście mogła ostrzej niż zwykle podważać wersję Królewskiej Marynarki dotyczącą tego, co stało się w New Tuscany, i ostrzej, niż życzyłyby sobie tego dyrekcja, zwłaszcza od kiedy „Święta Audrey” zaczęła nawoływać do ostrożnej oceny. Wynikało to z faktu, iż reporterzy solarni obecni w Gromadzie Talbott poważnie wątpili w wiarygodność materiałów z New Tuscany, które do nich trafiły. Fakt - mogła mieć rację, twierdząc, że wrobili ją wrogowie Gwiezdnego Imperium w ramach starannie zaplanowanej kampanii dezinformacyjnej. Było możliwe, że to, co władze Mesy twierdziły o atakach

terrorystycznych, zostało sfabrykowane... choć ona sama wiedziała lepiej, bo zrobiła trzy materiały na ten temat. Dlatego zresztą wysłano ją na Manticore i nakazano być miłą w myśl zasady, że na miód łapie się więcej much. Gówno prawda, bo właśnie wychodziło na jaw, że te cholerne świętoszki z Królestwa cały czas pomagały terrorystom z Baletu, co ona od samego początku wiedziała. Teraz trzeba było łapać za gardło, a nie „utrzymywać zawodową obiektywność i perspektywiczne podejście do zagadnienia”.

- Uspokój się - zaproponował Manfred O'Neill, jej kamerzysta od wielu lat. - To nie koniec świata. Za to trafiła ci się naprawdę bombowa historia.

- Tak? - Rivera spojrzała na niego bykiem. - Może im się wydaje, że wysłali nas tu w nagrodę, ale wolałabym znaleźć się w Green Pines.

- Nikt nic nie mówił o żadnej nagrodzie. Ja ci tylko powiedziałem, że to będzie hit. I to większy od Green Pines, o ile plotki ze Spindle się potwierdzą. Poza tym Green Pines wydojono już do czysta, a władze nowych danych nie ujawnią. Znasz Mesę; powiedzieli, co chcieli powiedzieć, i kropka. A tu będzie gorąco; kiedy w Talbocie się zagotuje, nikt w domu nie będzie się przejmował takimi drobiazgami jak ton twojego komentarza.

Spoglądała na niego długą chwilę i czuła, że się uspokaja. Złość jej stopniowo przechodziła, bo Manny miał dar wynajdowania tego, co najważniejsze, i ignorowania mało ważnej otoczki. Mógł mieć rację... nie zmieniało to co prawda...

Dalsze rozmyślania Jacqueline Rivery przerwał, i to definitywnie, wraz z jej perspektywami zawodowymi oraz egzystencją, promień graseira, który trafił w poczekalnię 317. Wraz z Riverą zginął Manfred O'Neill oraz 419 pasażerów, którzy wraz z nimi wysiedli z liniowca Hauptman Lines *Starlight*.

Około trzech setnych sekundy później ten sam promień graseira dotarł do *Starlighta*, zmieniając go wraz z 28 członkami załogi oraz 200 pasażerami zmierzającymi na Sphinksa w ognistą kulę.

\* \* \*

- Aikawa już wrócił? - spytał Ansten FitzGerald.

- Nie, sir - odparł steward Benjamin Frankel nalewający mu kawy. - Powinien zjawić się po południu, sir.

- Hm. - FitzGerald zmarszczył brwi.

*Hexapuma* miała pozostać w stoczni jeszcze co najmniej trzy tygodnie, ale właśnie trafiło na nią troje midszypmenów prosto z Akademii i mimo wewnętrznych obaw zdecydował się powierzyć ich Aikawie. Miał nadzieję, że ten dobrze się nimi zaopiekuje i da

im właściwy przykład.

Ale tylko nadzieję...

Dlatego z taką niecierpliwością czekał na jego powrót - by sprawdzić, czy te nadzieje okażą się uzasadnione.

- Cóż, w takim razie...

Nie dokończył, bo promień grasera trafił w reaktor i okręt eksplodował.

\* \* \*

Zniszczenie stacji HMSS *Hephaestus* nastąpiło w ciągu pierwszych trzech sekund ataku.

Niektóre fragmenty stacji były na tyle duże i nieuszkodzone, że zachowały hermetyczność, a kilka okrętów, które cumowały do stacji, wyszło z tego z niewielkimi uszkodzeniami. Niszczyciel *Horalius*, frachtowiec graysoński *Foxglove* i holownik *Bollard* pozostały nietknięte, ale były to wyjątki od reguły, jaką było powszechne zniszczenie.

Atak na HMSS *Vulcan* wyglądał bardzo podobnie.

Do idealnego zgrania obu ataków zabrakło czterech sekund - o tyle później trafiona została pierwszym promieniem grasera stacja kosmiczna *Vulcan* krążąca na orbicie planety Sphinx. Nie miało to żadnego znaczenia, bo została zniszczona, nim zdążyła do niej dotrzeć informacja o zaatakowaniu *Hephaestusa*.

Pierwszych dziesięć sekund ataku przyniosło zniszczenie dwóch największych stacji orbitalnych w systemie Manticore i śmierć ponad 5 milionów ludzi.

\* \* \*

Allen Higgins był błąd jak trup, patrząc na główny ekran taktyczny aktualizowany w miarę, jak napływały dane z odbiorników łączności grawitacyjnej. Na pomoście flagowym znalazł się przypadkiem, ale tym większą czuł bezsilność. Mógł jedynie wszystko beczynnie obserwować, bo Home Fleet była za daleko od obu stacji, by był w stanie cokolwiek zrobić. Równocześnie też była zbyt daleko, by stać się celem ataku, co pod pewnymi względami było najgorsze. Bo to ludzie stanowiący załogi okrętów wchodzących w jej skład mieli za wszelką cenę bronić systemu Manticore. Ich zadaniem było zapobiec właśnie czemuś podobnemu, a tymczasem mogli tylko patrzeć. Czuli, że całkowicie zawiedli. Fakt, że nie było w tym ani odrobiny ich winy, jedynie zwiększał poczucie klęski.

A dla dowodzącego Home Fleet Allena Higginsa było to gorsze przeżycie niż dla innych...

Przez moment stał jak sparaliżowany, mając przed oczyma Grendelsbane... ale tylko przez moment - dopóki nie uświadomił sobie, że tym razem jest nieporównanie gorzej.

A zaraz potem rozpoczęła się druga faza ataku.

\* \* \*

Ludzie Daniela Detweilera nie zdołali zmieścić kilku napędów do jednej rakiety o sensownych gabarytach. Wiedzieli jednakże, że Królewskiej Marynarce się to udało, toteż zrobili, co mogli, by to zrównoważyć. Stąd wzięły się rakiety serii *Cataphract* będące połączeniem najnowszych standardowych rakiet używanych przez Marynarkę Ligi z napędem antyrakiety. W operacji Ostryga wykorzystano najcięższą z opracowanych wersji, mającą równocześnie największy zasięg. Zostały zapakowane do specjalnych, przerośniętych zasobników, przed którymi leciały specjalne zasobniki wyposażone w generatory osłon niskiej mocy i źródła energii dla nich i posłane lotem balistycznym w ślad za rakietami z graserami. Osłony były niezbędne przy tak długim i dalekim locie, inaczej duża część rakiet byłaby niesprawna na skutek uszkodzeń po zderzeniach z cząsteczkami i mikrometeoritami. A było ich zbyt mało, by można sobie było na to pozwolić. Teraz zasobniki dotarły na wyznaczone miejsca, komputery artyleryjskie sprawdziły namiary celów, nanosząc w razie potrzeby drobne poprawki do programów rakiet.

I wystrzeliły rakiety.

O skuteczności tych hybryd przekonał się Luiz Roszak w trakcie bitwy o Torch, ale Royal Manticoran Navy nie dysponowała jego szczegółowym raportem i zapisami sensorów pokładowych. Wiedzano, że Ludowa Marynarka na Wygnaniu posiadała rakiety o większym niż powinna zasięgu, i domyślano się, jak zostało to osiągnięte, ale to wszystko. Zresztą nawet gdyby posiadano komplet informacji, nie przydałyby się one na wiele, bo w bitwie o Torch użyto rakiet typu *Cataphract-A* będących rozwinięciem solarnych rakiet typu *Spotha*, w jakie uzbrajano krążowniki, natomiast te rakiety należały do typu *Cataphract-C*, które były modyfikacją solarnych rakiet typu *Trebucht* będących na uzbrojeniu okrętów liniowych. W wersji Floty Mesy miały zasięg 16 milionów kilometrów i prędkość ataku .49c. Napęd antyrakiety był uruchamiany jako ostatni i dawał jej dodatkową zwrotność w końcowej fazie ataku.

To ostatnie tym razem było bez znaczenia, jako że cele pozostawały nieruchome i były pozbawione obrony antyrakietowej. Nie włączono też generatorów osłon, by nie przeszkadzały w pracy, jako że nikt nie spodziewał się żadnego ataku.

Że taki atak nastąpił, zorientowano się, gdy sensory wykryły sygnatury napędów

rakiet, ale wtedy już nic nie można było zrobić, Część rakiet, które najpóźniej dotarły do celów, z braku podstawowych zaatakowała ich większe szczątki, ale nie było ich wiele. Większość wykonała zadanie bezbłędnie, a choć było ich obiektywnie niewiele, do zniszczenia stacjonarnego, nieopancerzonego i pozbawionego osłon celu nie potrzeba było wielu trafień.

A ich celem były orbitalne stocznie krążące wokół Manticore i Sphinksa.

Promienie z indukcyjnych głowic laserowych rozpruwały kadłuby budowanych okrętów, niszczyły stocznie i dzięki wtórnym eksplozjom rozsiewały ich szczątki po okolicy. A za nimi nadleciały rakiety z głowicami nuklearnymi i przestrzeń rozjaśniły potężne eksplozje, krótkotrwałe, ale oślepiające. A gdy zgasły, tam, gdzie były, nie pozostało nic ani po konstrukcjach, ani po wykwalifikowanych pracownikach.

W ciągu zaledwie jedenastu minut potęga przemysłowa Gwiezdnego Imperium Manticore przestała istnieć - zniszczone zostały dwa największe ośrodki przemysłowe oraz 90% rozproszonych stocznii orbitalnych. Prawie 6 milionów ludzi - tak stoczniovców, jak i członków ich rodzin oraz personelu Royal Manticoran Navy - zginęło.

Był to najskuteczniejszy niespodziewany atak w dziejach ludzkości.

Ale to jeszcze nie były wszystkie jego skutki.

\* \* \*

- Prawo na burt, panie bosman! Zwrot o pięćdziesiąt stopni!

- Jest pięćdziesiąt stopni, sir! - zameldował bosman Manitoba Jackson.

HMS *Quay* posłusznie wykonał polecenie.

- Daj 510 g i połóż go dnem ku szczątkom! - polecił komandor porucznik Andrew Sugimatsu dowodzący holownikiem.

- Aye, aye, sir... Jest 510 g, sir - potwierdził Jackson otępiałym z szoku głosem.

Sugimatsu spojrzął na niego uważnie - wyglądało na to, że do podoficera dopiero dociera to, co się stało. Choć bosman służył w Królewskiej Marynarce prawie tyle lat, ile miał Sugimatsu, to przez cały czas na holownikach w systemie Manticore, czyli prawie nie posmakował walki. W przeciwieństwie do swego dowódcy. Była to więc dlań pierwsza okazja przeżycia śmierci ludzi, których znał od dziesięcioleci, i nie było wiadomo, jak zareaguje. W obliczu naturalnych katastrof udowodnił, że ma silne nerwy, ale ta katastrofa nie miała z naturą nic wspólnego. Na szczęście drugi sternik, bosman Leslie Myerson, był weteranem wojennym ze sporym doświadczeniem.

- Za chwilę w tę stronę polecą cała masa szczątków, sir - rozległ się żeński głos z

boku.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Truido. Problem w tym, że wszystko, co polecą w tę stronę, trafi w planetę - powiedział Sugimatsu, patrząc na pierwszego oficera, porucznik Truidę Verstappen. - A jeśli się nie mylę, tylko my możemy temu zapobiec.

Verstappen spoglądała na niego przez długą chwilę, po czym kiwnęła głową, najwyraźniej domyślając się, co planuje.

- Przygotuj generatory promieni ściągających - polecił jej Sugimatsu. - Nie zdołamy wyłapać wszystkiego, co ominie ekran, spróbujmy więc choć te największe, nim dotrą do atmosfery.

- Mamy tylko sześć generatorów.

- No to należy mieć nadzieję, że tylko sześć dużych kawałów w nas nie trafi - skomentował Sugimatsu z wisielczym humorem, podobnie jak pozostali doskonale wiedząc, że to niemożliwe.

*Quay* leciał z maksymalnym przyspieszeniem, by znaleźć się dokładnie pomiędzy szczątkami stacji HMSS *Vulcan* a planetą. Tak jak ocenił Sugimatsu - tylko holownik znalazł się na tyle blisko, by móc to zrobić. Większość szczątków była na tyle mała, że ulegną spaleniu w atmosferze przed dotarciem na powierzchnię lub rozlecą się na mniejsze, nie stanowiące zagrożenia, ale nie dotyczyło to wszystkich. A niektóre pochodzące z kadłubów zniszczonych okrętów były fragmentami pancerza nader wytrzymałego, którym atmosfera nie była w stanie niewiele zrobić.

Dobłą informacją było to, że co najmniej połowa szczątków została wyrzucona przez eksplozję w przeciwną stronę od planety. Naturalnie trzeba będzie je uprzątnąć, bo stanowiły zagrożenie dla ruchu, ale na to było dużo czasu. Drugą miłą wiadomością było to, że większość lecących ku planecie była ciasno skupiona, co pozwoliło na skuteczne użycie holownika, którego ekran działał w tym wypadku jako tarcza i odkurzacz w jednym - to, co w niego uderzyło, przestawało istnieć. To zresztą był jeden z powodów, dla których w pobliżu stacji kosmicznych znajdowały się stale jeden lub dwa dyżurne holowniki. W razie konieczności miały pełnić rolę ruchomych osłon, ustawiając się ekranami ku temu, co zagrażało stacji.

Nikt nie przewidział, że będą kiedyś osłaniały planetę przed resztkami stacji...

Problem polegał na tym, że ekran holownika był za mały, bo określenie „ciasno skupione” w kategoriach czegoś tak wielkiego jak stacja kosmiczna i planeta to pojęcie względne.

*Quay* był w stanie przelecieć przez najgęstsze skupisko szczątków, ale nie mógł ich



wszystkich przechwycić choćby dlatego, że nie powstały natychmiast i nie leciały równo. A mimo iż holownik był w stanie rozwijać duże przyspieszenie, nie mógł wytracić prędkości na tyle szybko, by zdążyć przelecieć przez nie ponownie. Dlatego jeden przelot był wszystkim, na co załoga mogła liczyć.

A niektóre ze szczątków były większe od samego holownika.

Sugimatsu wybrał numer na klawiaturze fotela.

- Maszynownia - rozbrzmiało w głośniku.

- Będzie parszywie, Harland - uprzedził cicho. - Za cholere nie zdołamy złapać wszystkiego na ekran, dopilnuj więc, by promienie były gotowe.

- Rozumiem - potwierdził porucznik Harland Wingate. - Zdajesz sobie sprawę, że moje instrumenty nie zostały zaprojektowane do łapania czegoś, co nie próbuje pomóc w łapaniu?

- Zdaję sobie sprawę, ale musimy zrobić, co się tylko da. Truida będzie kierowała oceną i łapaniem. Powie ci, którymi masz się zająć i gdzie one są.

- Pomoc się przyda - przyznał ponuro Wingate. - Mam dać awaryjną moc?

Sugimatsu już chciał zaprzeczyć, ale nie odezwał się, tylko zastanowił. Wingate'owi chodziło o to, że promienie ściągające miały dużą moc i trzeba było nimi operować delikatnie, żeby nie wyrwały kawałów kadłuba z jednostki, którą mieli holować. Generatory były tak potężne, że w określonych warunkach mogły zniszczyć dowolny okręt. Teraz chodziło o to, czy celowo nie dać maksymalnej mocy i nie próbować rozdrabniać największych fragmentów na mniejsze, które spłonęłyby w atmosferze. Naturalnie nie gwarantowało to sukcesu za każdym razem, wiele bowiem zależało od strukturalnej wytrzymałości i składu takiego złapanego kawałka, ale każdy zniszczony oznaczał o jeden więcej, który zdołają odholować. Z drugiej strony przeciążone generatory mogą się spalić, a wtedy będzie to o jeden złapany mniej.. Andrew Sugimatsu zacisnął szczęki - nie raz brał udział w walce i spodziewał się jeszcze wziąć w niej udział, ale nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał podejmować podobne decyzje na orbicie planety w macierzystym systemie.

Analizował problem jeszcze przez jakieś cztery sekundy, po czym polecił:

- Daj maksa!

\* \* \*

Ci, którzy zaplanowali operację Ostryga, dołożyli starań, by uniknąć bezpośredniego ataku na powierzchnię czy mieszkańców zarówno Manticore, jak i Sphinksa. Nie dlatego, by mieli jakieś opory przed zabijaniem poddanych Korony, ale z uwagi na edykt eridiański.

Założenie co prawda było takie, że minie sporo czasu, nim ktokolwiek zorientuje się, kto był sprawcą tego ataku, ale anonimowość nie mogła trwać wiecznie, a w początkowym stadium wojny była nader istotna. Istniał co prawda plan mający uniemożliwić Królewskiej Marynarce odplacenie pięknym za nadobne, ale nie wszystkie plany sprawdzały się w praktyce, a co ważniejsze, strategia dyplomatyczna Równania poważnie ucierpiałaby, gdyby reszta galaktyki zorientowała się tak szybko, jak nieważny jest dla niego edykt eridiański.

Dlatego atak przeprowadzono przy użyciu głowic energetycznych rakiet, które odpaliły, będąc ustawione równolegle w stosunku do stacji i do stacji orbitalnych. Istniało co prawda ryzyko awarii systemu samonaprowadzania którejś z nich, albo i paru, co poskutkowałoby uderzeniem w powierzchnię planety jako pocisku kinetycznego, co wszyscy uznaliby za działanie celowe, toteż by to ryzyko zminimalizować, ograniczono do minimum liczbę rakiet i starannie zaplanowano ostateczne ich kursy w pobliżu planet.

Nie przejmowano się natomiast pośrednim zbombardowaniem planet przez szczątki stacji kosmicznych czy stocznii. Raz, że tego nie sposób było uniknąć, dwa, że atakujący nie mieli na to żadnego wpływu, trzy, że nie było to złamaniem edyktu. Stacje kosmiczne stanowiły cele wojskowe, toteż mogły zostać zaatakowane bez uprzedzenia, a jeśli w wyniku tego ataku od ich resztek zginie kilka tysięcy czy kilkaset tysięcy ludzi na powierzchni, tym lepiej dla atakujących.

\* \* \*

- Co takiego? - Andrew LaFollet usiadł nagle prosto w fotelu, przyciskając dłonią tkwiącą w uchu słuchawkę, by lepiej słyszeć.

Zajęta karmieniem wnuka z butelki, którą ten opróżniał w tempie przemysłowym, Allison Harrington odwróciła się, słysząc jego ton.

LaFollet słuchał jeszcze przez chwilę i widać było, jak krew odpływa z jego twarzy. Potem nacisnął klawisz interkomu i polecił:

- Jeremiaś, lądujemy natychmiast... Dobrze, jeśli jesteśmy tak blisko miasta, ale doleć tam szybko.

LaFollet odwrócił się ku Allison, a limuzyna przyspieszyła, wciskając ją w oparcie fotela.

- Co się dzieje? - spytała spokojnie.

- Nie jestem pewien, milady, bo na kanałach alarmowych panuje zbyt duże zamieszanie. Wygląda na to... że zostaliśmy zaatakowani.

- Co?! - Allison popatrzyła nań, nic nie rozumiejąc, co zdarzało jej się niezwykle

rzadko.

- Ktoś ostrzelał *Hephaestusa* i *Vulcana*, milady. Nie wiem kto, ale wygląda na to, że uszkodzenia są poważne, i dlatego chcę, żebyśmy znaleźli się gdzieś w bezpiecznym miejscu.

- Alfred i bliźnięta!

- Powinni być prawie dokładnie w połowie drogi między Manticore a Sphinksem, a to wygląda na atak na przemysł orbitalny, nie na bitwę w przestrzeni, milady - uspokoił ją LaFollet. - W takiej sytuacji nikt nie będzie tracił czasu na lokalny statek pasażerski nie będący w pobliżu planety.

Allison popatrzyła na niego, przełknęła z trudem ślinę i uznała, że prawdopodobnie ma rację.

- Dzięki - powiedziała cicho.

\* \* \*

Sensory *Quaya* miały ograniczone przez ekran pole widzenia, ale Truida Verstappen mimo to zdołała stwierdzić, że denny ekran nie wylapuje wszystkiego, toteż zaprogramowała komputer, by uważnie śledził wszystkie duże fragmenty przelatujące przed dziobem czy za rufą. Wcześniej określiła wielkość szczątków, które wchodziły w grę, ale do aktualnego ich złapania potrzebne były dziobowy radar i lidar.

Gdyby ktokolwiek mógł obserwować ten widok, uznalby go za nader malowniczy, bo każdy fragment, który trafił w ekran, znikał w mniejszym lub większym rozbłysku energii. Mimo iż ekran nie przepuszczał żadnych obiektów materialnych, posunięcie było ryzykowne, gdyż duża prędkość holownika i konieczność przelecenia przez najgęstsze skupisko szczątków, a nie pod nim, powodowały, iż przez otwór dziobowy w osłonach wpadało sporo rozmaitej wielkości fragmentów.

Na szczęście nie miało znaczenia, czy taki fragment trafił w zewnętrzne czy wewnętrzne powierzchnie ekranu, bo i tak zostawał zniszczony, ale zawsze istniało ryzyko, że z którymś z nich holownik się zderzy. Było to mało prawdopodobne, jako że nawet spory fragment stacji był niewielkim obiektem w stosunku do powierzchni ekranu, ale to nie znaczyło, że niemożliwe. Dlatego Sugimatsu w pewnym momencie stwierdził, że z zapartym tchem obserwuje delikatne, ale błyskawiczne manewry Jacksona. W tej sytuacji nie było bowiem czasu na rozkazy i wszystko zależało od refleksu i umiejętności sternika.

Coś dużego, poszarpanego i wyglądającego na połowę ciężkiego modułu produkcyjnego o masie kilkudziesięciu tysięcy ton przeleciało obok lewej burty i trafiło w wewnętrzną powierzchnię górnego ekranu, gdzie zniknęło w jaskrawej eksplozji, rozerwane

na naprawę drobne kawałeczki, gdy znalazło się w strefie, w której na odcinku 5 metrów siła grawitacji osiągnęła kilkaset tysięcy g.

Okretem zaczęło rzucać, gdy kolejne duże fragmenty stacji przestawały istnieć, trafiając w zewnętrzną powierzchnię dennego ekranu, bo najlepszy nawet kompensator bezwładnościowy nie był w stanie natychmiast zrównoważyć takich transferów energii, ale został zaprojektowany z myślą o podobnych przeciążeniach, toteż ani holownikowi, ani załodze nic się nie stało.

A potem wstrząsy ustały i czas było wziąć się do roboty, czyli za obrót do normalnej pozycji, włączenie lidarów i radarów. Palce Verstappen zamigotały na klawiszach. Gdyby miała więcej czasu na określenie stopnia zagrożenia, jakie stanowiły poszczególne szczątki, które omijały ekran, wybrałaby najgroźniejsze, ale miała maksimum dwie minuty na złapanie lub zniszczenie wszystkich, gdyż potem znajdą się poza zasięgiem promieni ściąających, toteż pracowała w locie.

- Masz kolejność, Harland! - warknęła, naciskając klawisz.

W maszynowni Harland Wingate i jego dwaj pomocnicy przystąpili do gorączkowej pracy, gdy na ekranach pojawiła się lista najwyraźniejszych obiektów, którymi powinni się zająć.

Promienie ściąające wystrzeliły ku nim niczym niewidzialne demony zniszczenia, miażdżąc, rozrywając i uderzając z energią rozdrabniającą największe nawet fragmenty. A gdy zniszczyły jeden, natychmiast brały się do następnego...

W ciągu 133 sekund zniszczyły 18 najgroźniejszych fragmentów, a złapały następne cztery, które pociągnęły za holownikiem. Więcej zrobić nie mogły, bo szczątki *Vulcana* zostały zbyt daleko za rufą, a dwa generatory promieni ściąających uległy spaleni.

\* \* \*

Załoga HMS *Quay* spisała się doskonale.

Ale doskonale nie zawsze wystarcza.

Kilku dużych fragmentów nie udało się jej ani złapać, ani zniszczyć. Trzy z nich mające wielkość mniej więcej krążowników, ciągnąc za sobą warkocze mniejszych kawałków, weszły w atmosferę planety po jej dziennej stronie.

Atmosfera Sphinksa była płytsza niż większości planet zasiedlonych przez ludzi, bo sięgała ledwie 95 kilometrów. Pierwszy kawał uderzył w powierzchnię planety 20 sekund po zetknięciu się z atmosferą, z prędkością ledwie 8 km/s, czyli 25 razy szybciej niż dźwięk. Nie wszystkie fragmenty, które ominęły holownik, uderzyły w powierzchnię, część spłonęła w

atmosferze, ale nawet one przekazały jej energię kinetyczną, a ogień wywołany przez tarcie o atmosferę i seria wybuchów towarzysząca ich niszczeniu w wyniku tarcia spowodowały pożary lasu i zniszczenia w wyniku fali uderzeniowej. Towarzyszyło temu ogłuszające wycie i eksplozje, ale tego akurat ofiary nie słyszały.

W atmosferze tylko dwa myśliwce chroniące limuzynę z Allison Harrington znajdowały się na tyle blisko, by móc dotrzeć w rejon upadku, ale nie posiadały uzbrojenia na tyle silnego, by mogły zniszczyć tak duże obiekty, nim dotrą one na powierzchnię. Zresztą zapanowało takie zamieszanie, że nikt nie poinformował o niczym ich pilotów.

Wiele fragmentów, w tym dwa o masie między 200 a 300 tysięcy ton, wpadło do oceanu, wywołując falę, która zabiła ponad 10 tysięcy ludzi w dziesiątkach nadbrzeżnych miasteczek i osad, i powodując straty warte miliardy dolarów.

I to była dobra wiadomość.

20 sekund, bo tyle trwał kataklizm, to zbyt mało, by poskutkowało jakiegokolwiek ostrzeżenia, bo w takim czasie nikt nie zdąży zareagować na tyle, by to coś zmieniło. W Yawata Crossing rozbrzmiał co prawda alarm przeciwlotniczy, a na publicznych kanałach zaczęto nadawać ostrzeżenia, ale to było wszystko, co zdołano zrobić, gdy fragment stacji *Vulcan* o masie 300 tysięcy ton i rozmiarach ciężkiego krążownika klasy *Star Knight* uderzył w ziemię około 5,5 kilometra od centrum miasta zamieszkanego przez 1 milion 250 tysięcy ludzi.

Siła wybuchu odpowiadała 2 megatonom.

Uderzenia 3 fragmentów o masie 40 tysięcy ton każdy, które nastąpiły później, były praktycznie bez znaczenia.

\* \* \*

Andrew LaFollet zaczął działać.

Allison wpatrywała się w krajobraz przemykający za oknem, próbując przyswoić sobie niemożliwe informacje, a jej uwagę przyciągnął jaskrawy błysk gdzieś nad morzem, toteż była całkowicie zaskoczona, gdy LaFollet wyrwał z jej objęć Raoula.

Ten zaczął wyć, ale błyskawicznie umilkł, gdy LaFollet umieścił go w specjalnym pojemniku wmontowanym w podstawę fotela Allison. Normalnie siedziałyby na nim Honor, a pojemnik stanowił najnowsze osiągnięcie firmy, która produkowała najlepsze moduły ratunkowe dla treecatów. Ponieważ ludzkie niemowlę jest zdecydowanie mniej zaradne, pojemnik wyposażono w sieć promieni przyciągających niewielkiej mocy skutecznie unieruchamiających pasażera i amortyzujących każdy wstrząs. Oprócz tego zamontowano w

nim wszelkie środki zabezpieczające, na jakie wpadli projektanci, a byli to ludzie naprawdę pomysłowi. Allison zdążyła obrócić głowę i zaczęła prostować się w fotelu, gdy LaFollet zatrzasnął wieko pojemnika, cofnął się i nacisnął jeden z przycisków na oparciu swego fotela. Uprząż antyurazowa fotela Allison szarpnęła nią nagle, wduszając w oparcie i siedzisko, a z burt i sufitu limuzyny wysunęły się pancerne panele zamykające fotel z pasażerką w opancerzonym kokonie. Ułamek sekundy później odstrzelona została pancerna kłapa awaryjna w kadłubie i kokon odłączył się od limuzyny. W chwili odłączenia uaktywnił się wewnętrzny generator antygravitacyjny.

LaFollet nacisnął drugi przycisk i ten sam los spotkał fotel, w którym siedziała Lindsey Phillips.

Następnie usiadł prosto i dotknął trzeciego guzika.

\* \* \*

Klan Czarnej Skąły był jednym z najstarszych. Nie istniał aż od tak dawna jak Klan Jasnej Wody, ale naprawdę długo. I był dużym klanem, bo ostatnimi czasy polowania były udane, a niebezpieczeństw w okolicy, którą dwunogi zwały Copper Walls, niewiele. „Ogrodnicze” sztuczki, jakich nauczyły ich dwunogi, także miały wpływ na wzrost populacji. Podobnie jak regularne wizyty lekarzy, dzięki którym poważnie zmniejszyła się śmiertelność wśród młodych.

Klan Czarnej Skąły podobnie jak większość klanów trzymał się osobno i nie szukał kontaktu z dwunogami. W bezpośrednim sąsiedztwie jego terenów łowieckich nie mieszkał też żaden dwunóg, toteż nikt nie był w stanie uprzedzić treecatów, co się dzieje wysoko na niebie.

I tak było najlepiej, bo żaden z nich nie wiedział, co się wydarzy.

## ROZDZIAŁ XXX

Obecni w pomieszczeniu wstali, gdy weszła Królowa Elżbieta III.

Był to spontaniczny gest szacunku, bo Królową podobne rzeczy denerwowały - uważała, że poważni ludzie mają istotniejsze zajęcia od głupawej gimnastyki. Tym razem jednak tylko kiwnęła głową i bez słowa podeszła do swego fotela. W objęciach trzymała Ariela, podobnie jak towarzyszący jej księżę małżonek Monroe'a. Stulone uszy treecatów i regularne ruchy końcówek ich ogonów doskonale odzwierciedlały atmosferę panującą w pokoju.

Królowa i Justin usiedli, a treecaty usadowiły się na oparciach ich foteli niczym napięte sprężyny. Dopiero wtedy reszta obecnych także zajęła miejsca.

Przez chwilę, która ciągnęła się niczym wieczność, panowała cisza.

Elżbieta popatrzyła po twarzach najbardziej zaufanych doradców i ministrów. Doskonale wiedziała, co czują. Do tego nie trzeba było być telepatą czy choćby empatą. To po prostu było widać.

Nie było objawów paniki, ale pod wieloma względami to, co się wydarzyło, wywarło na nich o wiele większe wrażenie niż na zwykłych obywatelach, dla których szok, niedowierzanie i niezrozumienie pełnych konsekwencji były skutecznym środkiem uspokajającym... przynajmniej chwilowo. Naturalnie stan ten ulegnie zmianie i odezwą się głosy obwiniające ją i obecnych o to, co się stało. Tych głosów będzie dużo, może nawet bardzo dużo, a to, czy oskarżenie będzie racjonalne czy nie, nie będzie miało najmniejszego znaczenia. Taka jest po prostu ludzka natura. Zdawała sobie z tego sprawę, podobnie jak wiedziała, że już w tej chwili część obecnych obwinia się o to, co się stało.

Miała też świadomość, że szok jest tym większy, że stało się to ledwie trzy standardowe dni po dotarciu wiadomości o zwycięstwie w bitwie o Spindle. Nikomu w najgorszych koszmarach nie śniło się, iż w tak krótkim czasie sytuacja i perspektywy Gwiezdnego Imperium Manticore ulegną tak drastycznej zmianie. Ona sama czuła się emocjonalnie i psychicznie sparaliżowana, a nawet nie starała się sobie wyobrazić, co czują ludzie odpowiedzialni za obronę państwa.

- No dobrze - powiedziała w końcu spokojnie. - Wiem, że jest źle. Chcę się dowiedzieć, jak źle. Mów, Hamish.

- Wasza Wysokość, w skrócie: prawie tragicznie - odpowiedział rzeczowo wywołany.

- Ujmując rzecz nieco inaczej, jest bardzo źle. Nie wiem wszystkiego o skutkach cywilnych, ale Tyler na pewno już je nieźle zna. Z wojskowego punktu widzenia sytuacja jest następująca: zniszczone zostały wszystkie trzy stacje kosmiczne: *Hephaestus*, *Vulcan* i *Weyland*. Można odzyskać część modułów i je naprawić, ale w zgodnej opinii specjalistów z Admiralicji szybciej, prościej i taniej będzie zacząć od początku. Utrata stacji oznacza utratę wszystkich klasycznych stoczni, jakie mieliśmy. Jeszcze nie mam pełnej listy okrętów, które zniszczono wraz z nimi, ale wiem, że jest długa. Do tego utraciliśmy ponad 99% stoczniovców. Ocalili tylko ci, którzy z różnych powodów nie przebywali w stoczniach. Ponieważ większość pracowników mieszkała na stacjach, wśród zabitych są też całe ich rodziny. A to oznacza, że minie trochę czasu, nim tych, którzy przeżyli, będzie można uznać za w pełni zdolnych do pracy. Rozproszonych stoczni orbitalnych ocalało 15, a kolejnych 8 da się wyremontować, choć okrętów w nich odbudować raczej nie. Szybciej będzie je zezłomować i zacząć wszystko od początku. Chodzi o osiem jednostek z uszkodzonych stoczni, bo w 15 nietkniętych akurat nie budowano niczego. Być może właśnie dlatego nie zostały zaatakowane. W sumie straciliśmy wszystkie budowane okręty oraz ludzi, którzy umieli to robić, większość stoczni oraz zakładów produkujących dla nich. Oznacza to, że to, co mamy w Trevor's Star plus okręty przechodzące próby odbiorcze, to wszystko, czym przyjdzie nam dysponować przez co najmniej dwa lata standardowe. Jeśli chodzi o okręty liniowe, to przez cztery lata standardowe. Minimum.

Mimo iż wszyscy otrzymali wcześniej wycinkowe informacje o stratach, to podsumowanie wstrząsnęło prawie wszystkimi, a część obecnych wyraźnie pobladła.

- A co ze stoczniami remontowymi w Trevor's Star? - spytał cicho premier.

- Są nietknięte i będą bardzo ważne przy odtwarzaniu stoczni tutaj - wyjaśnił White Haven. - Ale to stocznie remontowe, nieprzystosowane do długotrwałej, intensywnej produkcji komponentów, będą więc wymagały znacznych modyfikacji, nim ich działalność da się odczuć. Ale nie to jest najgorsze i najważniejsze. Będziemy musieli zacząć od przeznaczenia dużej części ich potencjału na coś, co jest nam niezbędne.

Słyszając to, William Alexander otworzył usta, ale po chwili zamknął je bez słowa, potrząsnął głową i wzruszył ramionami, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że nieszczęścia chodzą parami.

- Zanim zaczniemy budować okręty, musimy odbudować stocznie - podjął Pierwszy Lord Admiralicji. - Na szczęście nasz przemysł górniczy i przetwórczy nie ucierpiał. Prawdopodobnie dlatego, że kopalnie i huty są rozrzucone w pasie asteroidów i zbyt daleko



od stoczni, by stanowiły atrakcyjne cele. Natomiast wszystkie problemy związane z produkcją, jakie mieliśmy dotąd, to nic w porównaniu z tym, co mamy teraz. Bo zanim odbudujemy stocznie, musimy odtworzyć zdolności produkcji przemysłowej, jaką posiadały stacje. Układamy listę posiadanych jednostek warsztatowych i produkcyjnych i przygotowujemy rozkazy odwołujące je z obecnych przydziałów, bo będą potrzebne tutaj. Biorąc pod uwagę stosunki z Ligą Solarną, fakt, że nie będziemy w stanie zwiększyć liczby posiadanych okrętów w najbliższym czasie, komplikuje naszą sytuację, ale mamy gorszy problem. Ci, którzy zaplanowali ten atak, mieli bardzo dobre informacje, gdyż niszcząc *Vulcana i Hephaestusa*, zniszczyli też wszystkie linie produkcyjne rakiet, jakie posiadaliśmy. A to oznacza, że rakiety w magazynach artyleryjskich okrętów, na okrętach amunicyjnych oraz w kilku strategicznych magazynach obrony systemowej to wszystko, co mamy i co będziemy mieć, dopóki nie odtworzymy ich produkcji. Dlatego powiedziałem, że możliwości produkcyjne istniejące w Trevor's Star będą nam potrzebne do czegoś innego niż odbudowa przemysłu stocznioowego. W tej chwili nie wiem, jak długo potrwa uruchomienie produkcji rakiet w Trevor's Star, ponieważ nadal sprawdzamy możliwości mobilnych jednostek remontowych i stocznioowych. Ale byłbym naprawdę zaskoczony, gdyby udało nam się to wcześniej niż za dziesięć miesięcy standardowych. Takiego poziomu produkcji, jakim dysponowaliśmy jeszcze wczoraj, nie osiągniemy więc szybko. Biorąc pod uwagę, że nasza przewaga taktyczna oparta jest na rakietach, jak i to, ile ich potrzeba do zniszczenia nawet solarnego superdreadnoughta, oznacza to, że właśnie zniknęła możliwość przejścia przez nas inicjatywy w konflikcie z Ligą Solarną. Zmianie uległa też sytuacja na froncie z Republiką Haven, bo choć zostało nam dość rakiet, by ją wykończyć, wiązałoby się to z tym, że przez prawie rok nie mielibyśmy czym Strzelać do Marynarki Ligi. Jediną miłą niespodzianką stanowi to, że choć stacja *Weyland* została zniszczona tak jak pozostałe, była w chwili ataku prawie pusta. Wiceadmirał Faraday ogłosił bowiem niespodziewane manewry ewakuacyjne dla całej załogi. Biorąc pod uwagę, jak się one odbyły na funkcjonowaniu stacji oraz że wykazały totalne nieprzygotowanie władz Gryphona do zapewnienia opieki rozbitkom, spodziewał się, jak sędzę, tegiej awantury. Tak się składa, że obawiał się niepotrzebnie, bo wraz ze sztabem i szkieletową obsadą przebywał na stacji, gdy została ostrzelana. Wszyscy zginęli, ale nie zabito nikogo z działu naukowo-badawczego i produkcyjnego ani też z ich rodzin, bo wszyscy byli na planecie. Będą na wagę złota, gdy rozpoczniemy odbudowę.

- Ile wyników badań straciliśmy wraz z *Weylandem*!? - spytał Justin.

- Niczego nie straciliśmy, Wasza Miłość - odparł White Haven i podziękował mu leciutkim ruchem głowy, Książę małżonek bowiem wiedział już o tym wcześniej, a spytał

tylko dlatego, by dowiedzieli się pozostali, bo była to jedna z niewielu dobrych niespodzianek.

- Wszystkie wyniki badań i notatki zostały automatycznie przesłane do bezpiecznego banku na planecie Gryphon w chwili ogłoszenia alarmu ewakuacyjnego - wyjaśnił earl White Haven. - Poza tym przesyłanie danych odbywało się standardowo co dwanaście godzin, a banki danych są dwa. Dzięki temu nie straciliśmy dosłownie ani minuty z prac badawczych, nie licząc naturalnie prototypów i modeli doświadczalnych. Mamy wszystkie dane i wszystkie pomysły, które są za to odpowiedzialne.

- Co niestety w najbliższej przyszłości na nic nam się nie przyda - skomentował baron Grantville. - Sytuacja zmieni się oczywiście, gdy będziemy mieli miejsce, w którym da się te wynalazki budować, ale do tego momentu wszelkie projekty cudownej broni pozostaną bezużyteczne. Prawda, Ham?

- Można to tak ująć - zgodził się brat.

- No dobrze. Jestem pewna, że nie cieszą was nowe wieści, pomijając tę o losie ludzi z *Weylanda* - odezwała się Królowa. - Reszta, jak sądzę, będzie równie niewesoła, ale trzeba poznać całą prawdę. Tyler, ile jest ofiar na chwilę obecną?

Sir Tyler Abercrombie, minister spraw wewnętrznych, był barczysty i szpakowaty na skroniach. O rok młodszy od White Havena, wyglądał na osobę godną szacunku i zazwyczaj był spokojny, pewny siebie i budzący zaufanie. Teraz ręce mu się trzęsły, a po pewności siebie nie zostało ani śladu.

- Chciałbym zacząć od tego, Wasza Wysokość, że wszystkie liczby, które podam, należy uznać za szacunkowe i wstępne - nad głosem jednak zdecydowanie lepiej panował. - Istnieje możliwość, że ostateczna liczba ofiar będzie mniejsza niż obecnie zakładana, bo duża część osób uznanych za zaginione okaże się takowymi w rzeczywistości. Ale niestety nie liczę na to, uważam raczej, że liczba ta będzie wzrastać w miarę opanowywania chaosu. Oceniamy, że na stacjach kosmicznych zginęło 5,5 miliona ludzi, ale dane te nie uwzględniają pasażerów w trakcie tranzytu, którzy nie przeszli przez cło, ani tych, którzy przejść nie musieli, bo czekali na przesiadkę i nigdy nie zamierzali wkroczyć na teren naszego państwa. Nie sądzimy, by było ich wielu, bo większość ruchu tranzytowego odbywa się na terenie nexusa Manticore Wormhole Junction. Nie uwzględniono też załóg okrętów znajdujących się w stocznich lub dokujących do stacji. W rozproszonych stocznich zginęło 400 tysięcy ludzi. Dokładnie 396 tysięcy i, jak oceniamy, kolejny tysiąc na pokładach małych jednostek, które zostały zniszczone niejako przypadkiem. Jeśli chodzi o straty w populacjach planetarnych, to w przypadku Gryphona mieliśmy szczęście raz dlatego, że *Weyland* był najmniejszą stacją ze

wszystkich, dwa dlatego, że planeta jest najsłabiej zaludniona, a największe skupiska ludzkie znajdują się w rejonie równikowym, szczątki zaś spadły na rejony północne. Z tego, co wiemy, nie zginął nikt, a straty ekologiczne są niewielkie i łatwe do odrobienia. Jeszcze więcej szczęścia miała Manticore, gdyż w pobliżu *Hephaestusa* znajdowało się więcej niż zwykle holowników. Dwa zniszczono, ale pozostałe zorganizował komandor Strickland dowodzący *Stevedore'em*, wykazując godną podziwu zimną krew i świetną orientację. Zdołali dzięki temu wyłapać prawie wszystkie większe i niebezpieczniejsze fragmenty stacji. Z sześciu, które im uciekły, obrona pałacu Mount Royal zniszczyła dwa, a cztery ostatnie spadły na słabo zaludnione obszary i wątpię, by liczba zabitych przekroczyła 200 osób. Natomiast Sphinx nie miał szczęścia. Tylko jeden holownik był na pozycji umożliwiającej jakiegokolwiek działanie i choć jego załoga spisała się o wiele lepiej, niż można było sądzić, to uciekły jej trzy duże fragmenty stacji. W wyniku bezpośredniego trafienia jednego z nich przestało istnieć Yawata Crossing. Zniszczeniu uległo też 3/4 Tanners Point i trzy mniejsze miasta - te na skutek fali powstałej po uderzeniu pozostałych dwóch fragmentów w wodę. Yawata Crossing prawie na pewno zostałyby unicestwione przez tę samą falę. Na ewakuację zabrakło czasu, toteż straty w ludziach są duże, a straty materialne jeszcze większe. Ucierpiało też miasto Evans Mountain, na które spadł deszcz mniejszych kawałków, ale tu ofiar jest znacznie mniej. No i według Służby Leśnej zginął w całości co najmniej jeden klan treecatów.

Z oparcie fotela Elżbiety, Justina i White Havena rozległo się przeraźliwie smutne miauczenie, toteż Abercrombie przerwał wyliczanie strat. Dopiero gdy treecaty umilkły, podjął relację.

- Łącznie na planetach zginęło więc około 7,5 miliona cywilów. Dokładnie 7 milionów 448 tysięcy. Oraz około 8,5 tysiąca treecatów, choć to także nie są dokładne dane i z pewnością ulegną mniejszej lub większej zmianie.

White Haven skrzywił się boleśnie: 7,5 miliona zabitych to było więcej, niż się spodziewał, ale z drugiej strony o półtora miliona mniej, niż wynosiła populacja Landing. A liczba ludzi zamieszkujących system Manticore wynosiła ponad 3,6 miliarda i w ciągu ostatnich 30 lat standardowych wzrosła o prawie 20% pomimo strat ponoszonych przez Royal Manticoran Navy. W tym ataku zginęło więc 0,2% mieszkańców. Tyle że stanowili oni prawie całą wykwalifikowaną kadrę stoczniovców i innych specjalistów, a to oni byli podstawą przemysłowej potęgi państwa. Do tego należało doliczyć straty wśród personelu Royal Manticoran Navy, a te razem z zabitymi w bitwie o Manticore wynosiły w zasadzie tyle samo, ile stan RMN przed rozpoczęciem wojny z Ludową Republiką Haven.

Konsekwencje tego dla doświadczenia, morale i wyszkolenia ludzi będą fatalne, tym bardziej że chwilę wcześniej bitwa o Spindle umocniła ich wiarę we własne siły. Poza tym próba połączenia funkcjonowania floty z poniesionymi stratami mogła pierwszy raz doprowadzić do kapitulacji Luciana Corteza i działu personalnego.

W obliczu tych strat śmierć niespełna 9 tysięcy treecatów nie wydawała się poważną stratą, tyle że ludzie zasiedlali kilka tysięcy planet, a treecaty tylko jedną, i szacowano, że żyje ich na Sphinksie mniej niż 12 milionów. A to znaczyło, że zginął prawie 1% wszystkich treecatów żyjących w galaktyce.

No a poza tym one były telepatami.

Samantha, Ariel i Monroe siedziały na kolanach adoptowanych ludzi i choć przestały już rozpaczliwie miauczeć, wtulały się w nich, domagając się przytulenia i pogłaskania.

Dopiero po kilkunastu sekundach Elżbieta pocałowała Ariela w czubek głowy, przestała go głaskać i odchrząknęła.

- Dziękuję, Tyler - powiedziała cicho i rozejrzała się po obecnych. - Minie wiele czasu, nim w pełni zrozumieję to, co właśnie usłyszeliśmy, ale naszym obowiązkiem jest zadbać o przyszłość, a nie płakać nad ofiarami. Przyszłość zaś zależy od tego, jak szybko i w jakim stopniu będziemy w stanie odtworzyć zniszczenia militarne, przemysłowe i ekonomiczne. Militarne już znamy, teraz więc twoja kolej, Charlotte.

- W zasadzie mogę tylko potwierdzić to, co powiedział Hamish, Wasza Wysokość - odezwała się Charlotte FitzCummings, hrabina Maiden Hill i minister przemysłu w rządzie Grantville'a. - Rozpoczęliśmy już alarmową mobilizację wszystkich cywilnych jednostek remontowych i stoczniowych przydzielonych do nexusa i systemu Basilisk. Kończymy opracowywanie planów przeholowania modułów przemysłowych z nexusa na orbity planetarne, ale podobnie jak te znajdujące się w Trevor's Star, są one przystosowane do napraw, nie do produkcji na skalę przemysłową. Możemy naturalnie zwiększyć ich wydajność, ale będzie ona i tak zbyt mała, by efekty stały się odczuwalne natychmiast. Proces koordynujemy z flotą i prywatnie sędzę, że po zakończeniu prowadzonej obecnie inwentaryzacji sił i możliwości okaże się, że mamy ich więcej, niż w tej chwili sędzimy, bo naturalną reakcją na to, co się wydarzyło, musi być pesymizm. Ale nawet jeśli moje prognozy się sprawdzą wątpliwe, byśmy byli w stanie poważnie skrócić czas potrzebny na odtworzenie przemysłu, jaki podał Hamish. Drugim elementem, który przysporzy nam równie wielu problemów, będzie odtworzenie wykwalifikowanej kadry. Nikt nigdy nie rozważał skutków zniszczenia stacji kosmicznej z całą załogą. Nawet w wypadku przegranej bitwy o Manticore mielibyśmy czas na ewakuowanie choćby części ludzi. Ataku bez żadnego uprzedzenia po

prostu nikt nie brał pod uwagę. A utrata wszystkich wykwalifikowanych pracowników dezaktualizuje wszystkie istniejące plany alarmowe. W jakiś sposób będziemy musieli ustalić priorytetowe przydziały dla tych, którzy przeżyli, tak by mogli pracować i szkolić innych. Tym, co przez ostatnie 20-30 lat standardowych pozwalało nam przetrwać, było połączenie trzech czynników: rozwoju naukowo-technicznego, jakości systemu nauczania i siły gospodarki. Pierwsze dwa pozostały niezmienione, ale nie mamy już przemysłu i wykwalifikowanych pracowników, co musi się odbić na stanie gospodarki.

- Bruce? - Elżbieta spojrzała na starannie ubranego i zaczynającego tyć Bruce'a Wijenberga, ministra handlu.

Był jedynym członkiem rządu bez arystokratycznego tytułu, i to nie dlatego, że mu go nie proponowano, ale że podobnie jak Klaus Hauptman regularnie odmawiał. Pochodził z planety Gryphon i był z tego dumny, czego nie ukrywał, podobnie jak swego podejścia do szlachetnie urodzonych. Podobało mu się w Izbie Gmin, gdzie był liderem Partii Centrystycznej, i nie zamierzał tego zmieniać. Po zakończeniu kariery w rządzie miał zamiar tam wrócić, a to byłoby niemożliwe, gdyby przyjął jakikolwiek tytuł.

- Nasz handel bezpośrednio tego nie odczuje, Wasza Wysokość, zwłaszcza przewozy. Opłaty za korzystanie z Manticore Wormhole Junction także nie powinny ulec zmniejszeniu, przynajmniej na razie. Natomiast pośredni efekt da się zauważyć dość szybko, bo straciliśmy przemysł, a to oznacza brak wyrobów, które od lat eksportowaliśmy. One zaś stanowiły znaczną część przewożonych przez nas towarów, nie wspominając już o tym, że to spory procent systemowego produktu brutto. Spadek eksportu i będący jego konsekwencją spadek przewozów odbiją się też na wielkości opłat z wormhola. Reszta produktu systemowego pochodzi ze sfery finansowej i nawet nie będę próbował oceniać, jaka będzie reakcja rynków, bo coś podobnego nie zdarzyło się od Ostatecznej Wojny na Ziemi; zresztą nawet tamtą sytuację trudno porównywać z naszą, bo bardzo wzrósł handel międzyplanetarny. Ponieważ spora część naszych dochodów pochodzi z obsługi międzyplanetarnych transakcji finansowych, a te w żaden sposób nie ucierpiały, podobnie jak system transportowy wormholi, nie sądzę, by ucierpiała ona w jakikolwiek sposób. Nie ma natomiast i przez jakiś czas nie będzie czynnika napędzającego naszą ekonomię. Inwestorzy tak zagraniczni, jak i rodzimi właśnie ponieśli olbrzymie straty. Jak je odrobiją i jak szybko to nastąpi oraz jaki będzie wpływ ostatnich wydarzeń na ich zaufanie do nas, może byłby w stanie przewidzieć Nostradamus, ale nie byłbym tego pewien.

- Bruce ma całkowitą rację, Wasza Wysokość - dodała minister skarbu, baronowa Morncreek, przy Wijenbergu wyglądająca na nieletniego podrostka. - W tej chwili

zawiesiliśmy rynki i jeszcze przez kilka dni nam to ujdzie, ale nie sposób utrzymać tego stanu w nieskończoność, musimy więc ustalić jakąś spójną politykę, i to szybko. Proponuję zacząć od wzięcia głębokiego oddechu i pomyślenia. Nadal mamy system edukacyjny i trasy przewozowe. Mamy możliwość odtworzenia wszystkiego... zakładając, że będziemy istnieć wystarczająco długo. Nie podejmuję się określić, kiedy zacznie się poprawiać; wiem, że cena będzie olbrzymia, ale jestem pewna, że odbudujemy wszystko, co straciliśmy... jeśli napastnik da nam na to czas.

Mówiąc to, popatrzyła pytająco na Hamisha, Caparellego i Givens. Jako że przez lata była Pierwszym Lordem Admiralicji, wiedziała, o co pytać i kogo.

- Tego nikt z nas nie wie, milady. - Patricia Givens w ciągu ostatnich dwudziestu godzin postarzała się o dwadzieścia lat, a w jej oczach widać było gorzyc porażki i poczucie winy. - W tej chwili nie mamy nawet pojęcia, kto nas zaatakował, nie mówiąc już o tym jak. Wasza Wysokość, to, co się stało, to największa porażka wywiadu w dziejach tego państwa. A ponieważ ja jestem szefową wywiadu floty, jest to moja porażka.

Choć nie poruszyła się, mówiąc te słowa, wyglądała, jakby zapadła się w sobie pod ciężarem tego wyznania.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

Elżbieta spojrzała na White Havena; chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się i przeniosła wzrok na sir Thomasa Caparellego.

- Wasza Wysokość, admirał Givens ma rację, że ponieśliśmy wywiadowczą klęskę - przyznał spokojnie. - Nigdy nie podejrzewaliśmy nawet podobnej możliwości. Nikt z nas tego nie przewidział i jest to porażka całych sił zbrojnych, nie tylko wywiadu. Powinniśmy zapobiec temu, co się stało, a nie zrobiliśmy tego.

Zamilkł i pozwolił, by cisza trwała przez kilka sekund. Następnie wziął głęboki oddech i dodał:

- Wasza Wysokość jeszcze dziś otrzyma moją rezygnację, bo to na mnie spoczywa ostateczna odpowiedzialność. Natomiast w obronie moich podkomendnych, w tym admirał Givens, mogę powiedzieć tylko tyle, że nie sądzę, by ktokolwiek na ich miejscu okazał się mądrzejszy. Rozmawiałem już z admirał Hemphill, której ludzie analizują każdy zapis sensorów ze wszystkich jednostek i systemów bezpieczeństwa, zaczynając od chwili ataku, aż do sześciu standardowych miesięcy w tył. Powiedziała mi, że musieliśmy mieć do czynienia z wynalazkiem, najprawdopodobniej równie rewolucyjnym jak wszystko, co sami do tej pory wymyśliliśmy. Ale coś takiego nie powstaje nagle, to znaczy wynalazek tak, plan jego zastosowania nie. Napastnik, kimkolwiek był - nie obudził się przedwczoraj i nie wybrał

przypadkiem celu, który postanowił sobie ot, tak zaatakować czymś, co akurat miał pod ręką. Ten, kto to zrobił, a mam silne podejrzenia, kto to może być, najpierw wyznaczył sobie cel, potem zaczął szukać środków, a na końcu zaplanował i zorganizował atak. To działanie wymagające czasu, i to lat, nie miesięcy, oraz zachowania wszystkiego w ścisłej tajemnicy. Biorąc pod uwagę to, co ostatnio dzieje się w Gromadzie Talbott i co się wyprawia z Ligą Solarną, uważam, że od samego początku my byliśmy celem głównym. Wywiad poniósł klęskę nie w tym sensie, że źle zinterpretował jakieś informacje czy coś przeoczył, choć jest możliwe, że odkryjemy jakieś drobne ślady, które w świetle tego, co w tej chwili wiemy, da się potraktować jak poszlaki. Uważam jednak, że wcześniej było to niemożliwe. A ponieważ od bitwy o Monicę naprawdę dokładnie zajęliśmy się badaniem możliwości tego, kogo podejrzewam, i niczego nie odkryliśmy, uważam, że to nie dlatego, że coś przeoczyliśmy, tylko że mamy do czynienia z przemyślaną i od lat prowadzoną dezinformacją. I tak ścisłym zachowaniem wszystkiego w tajemnicy, że nie tylko my, ale nikt nawet nie podejrzewał, że powinien być czegoś szukać, nie mówiąc już o tym czego.

Caparelli umilkł i przez chwilę panowała cisza.

Przerwał ją dopiero premier:

- Jestem skłonny zgodzić się z tym, zwłaszcza jeśli chodzi o admirał Givens. Znam cię za długo, Pat, i zbyt blisko z tobą współpracuję, by uwierzyć choć przez chwilę, że jesteś winna temu, co się stało, bo czegoś nie dopilnowałaś czy nie zauważyłaś. Skoro nikt u nas nawet nie podejrzewał istnienia techniki, dzięki której taki atak był możliwy, trudno mieć pretensje do wywiadu, że nie wiedział, kto nią dysponuje i co zamierza. Ten, komu się to udało, zdołał ukryć to przed całą galaktyką, a to już prawdziwe osiągnięcie. Jeśli nie wyjdą na jaw jakieś fakty o przełomowym znaczeniu, nie uważam tego za klęskę wywiadu, za którą jest odpowiedzialny ktoś konkretny. Fakt, jest to klęska w sensie ogólnym: powinniśmy coś podobnego przewidzieć i nie zrobiliśmy tego, a nasz wywiad, i mam tu na myśli wszystkie jego rodzaje, powinien był choć podejrzewać, co się święci. Ale jak to kiedyś ujął Hamish, kiedy siedzi się po uszy wśród krokodyli, trudno pamiętać, że wlało się tam po to by osuszyć bagno. Ustalenie, że ktoś przygotowuje zupełnie nową technicznie broń, której nie są w stanie wykryć żadne istniejące sensory, i to akurat po to, żeby nas zaatakować, zakrawałoby na cud. Z tego co mi wiadomo, jasnowidzów i cudotwórców na etacie nie mamy.

Givens nie odezwała się słowem, co Grantville przygotowany na upór w kwestii winy uznał za swój spory sukces. Poczekał jeszcze chwilę, czy nie zmieni zdania, po czym spojrzał na Caparellego.

- Powiedziałem, że zgadzam się z tym, że to nie wina Pat - podjął. - Ale nie bardzo

przekonuje mnie, że to Mesa. Fakt, jesteśmy na etapie radykalnej reewaluacji wszystkiego, co dotąd sądziliśmy o Manpower i Mesie, ale nie chce mi się wierzyć, żeby Mesa miała takie możliwości. Dlaczego uważasz, że bardziej prawdopodobna jest Mesa, a nie supertajna broń Marynarki Ligi?

Caparelli nie zdążył nic powiedzieć, gdy odezwał się White Haven.

- Mogę, Tom?

Caparelli spojrzał na niego zdziwiony i kiwnął głową.

- Pozornie, Willie, wydaje się bardziej prawdopodobne, że taki przełom techniczny nastąpił w Lidze Solarnej, która zarówno możliwości naukowo-badawcze, jak i produkcyjne ma większe niż jakikolwiek pojedynczy system planetarny. Ale podobnie jak Tom jestem pewien, że to nie Liga, i to z kilku powodów - wyjaśnił Hamish bratu. - I nie chodzi o nasze przekonanie, że mamy przewagę techniczną nad Marynarką Ligi. Gdyby Marynarka Ligi miała takie możliwości, po New Tuscany Liga by nawet z nami nie gadała. Mogę się zgodzić, że Crandall o tej broni nie wiedziała: była głupia i narwana, mogli jej więc nie wtajemniczyć. Działała samowolnie, nie mogli jej więc powstrzymać. Mogła to nawet wymyślić któraś z flot systemowych, nie Marynarka Ligi jako taka, choć to mniej prawdopodobne. Żadna z tych opcji nie zmienia faktu, że Kołokolcow i reszta musieliby o niej wiedzieć, powiedzieliby nam więc, żebyśmy się wypchali, zamiast bawić się w dyplomatyczne gierki maskujące przygotowania do ataku. Tak po prostu byłoby im wygodniej. Tom ma rację: broń została opracowana z myślą o takiej właśnie operacji, a Liga w ogóle by takowej nie rozważała. Jeśli jest się największą i najsilniejszą flotą w historii ludzkości, a tak zawsze o sobie myślała Marynarka Ligi, nie potrzebuje się broni umożliwiającej skryty atak, bo takie posunięcie podważyłoby posiadaną pozycję. Można to porównać do naszego wynalezienia łączności grawitacyjnej i rakiet wielostopniowych, tylko na większą skalę. Pamiętasz, ile problemów miała Sonja, żeby przekonać innych, w tym i mnie, do tych zmian? A wszyscy byliśmy zgodni, że żeby przetrwać wojnę z Ludową Republiką, potrzebujemy nowinek technicznych równoważących przewagę sił. Człowiek już ma taką naturę, że darzy zaufaniem to, co zna, a czuje strach przed odejściem od znanych rozwiązań technicznych. Kiedy jesteś największy, najlepszy i pewien, że masz przewagę nad innymi, nie zrobisz czegoś takiego, bo nic cię do tego nie zmusza. Nas zmusiła sytuacja, a i tak łatwo nie było. Ktoś kiedyś powiedział, że perspektywa zawisnięcia na stryczku wspaniale wpływa na zdolność logicznego myślenia, i to właśnie nam się przydarzyło. Ale Liga czy jej flota nigdy nie znalazła się w takim położeniu i dlatego dowództwo jest tak potwornie skostniałe i konserwatywne. Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby zmienić swoje podejście, i to radykalnie, bo zgodnie z obecną



techniką są najpotężniejsi. Nowa może zagrozić tej pozycji, a już na pewno zmusić do olbrzymich wydatków, by nie stracić przewagi liczebnej, którą budowali przez stulecia. Natomiast Mesa to zupełnie inna bajka, czy nam się to podoba, czy nie. Zgodziliśmy się z wnioskami Honor i Mike, że Manpower, czyli Mesa, jest odpowiedzialne za wszystko, co zdarzyło się w Gromadzie Talbott, a tym samym przyznaliśmy, że nasz obraz Manpower i Mesy przez ostatnich kilkaset lat był całkowicie fałszywy. Nadal nie wiem, o co im chodzi, ale wiem, że to nie żadna korporacja, tylko państwo. I to potężne państwo, realizujące swoją politykę jak każde inne, tyle że z zachowaniem tajemnicy i pozorów oraz wykorzystujące, gdzie się tylko da, ślepe a czasami świadome narzędzia. I wiem, że przez te kilkaset lat nikt w galaktyce nawet tego nie podejrzewał. A to znaczy, że przygotowania do tego, co właśnie zaczęli, mogli zacząć naprawdę dawno temu. A jeśli ktoś udowodnił, że potrafi doprowadzić do wojny między nami a Ligą Solarną, to ten ktoś jest według mnie najbardziej prawdopodobnym sprawcą tego ataku. Raz dlatego, że chce nas zniszczyć, choć nie wiem dlaczego, dwa, że ten atak wymagał wieloletnich przygotowań i zachowania ścisłej tajemnicy, co jak ułał pasuje do Mesy. I z jej punktu widzenia nowa, nieznana nikomu broń jest idealna do realizacji tych planów. Jeśli przychodzi ci na myśl ktoś, kto lepiej pasuje do roli sprawcy, to słucham.

Grantville przyglądał mu się przez długą chwilę, a potem przyznał:

- Nie przychodzi.

- Mnie też - dodała ponuro Elżbieta. - Jak sądzę, obaj z sir Thomasem uważacie, że Mesa czy jak tam zdecydujemy się ich nazywać, nie zaatakowała tylko nas, zostawiając resztę Sojuszu w spokoju?

- Większość członków Sojuszu zostawili w spokoju - odparł White Haven. - Jest nawet możliwe, że nie ruszyli Imperium Andermańskiego. Muszą wiedzieć, że Cesarzowi nie podoba się konfrontacja z Ligą, a podobnie jak jego przodkowie jest pragmatykiem. Poza tym ich możliwości są dość ograniczone, mogli więc skupić się na najważniejszych celach, uznając, że Gustaw zrozumie, że w przyszłości mogą powtórzyć atak, którego celem będzie Imperium, jeśli nie wyjdzie z Sojuszu. Większość zaś członków Sojuszu jest zbyt słaba i zacofana technicznie, by stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Natomiast nie da się tego powiedzieć o Protektoracie Graysona ani nie da się Benjamina Mayhew oskarżyć o pragmatyzm. Dlatego uważamy, że Grayson został zaatakowany w tym samym czasie i w ten sam sposób. Kurier, którym wysłaliśmy ostrzeżenie, najprawdopodobniej minie się z kurierem wysłanym z systemu Yeltsin.

- Zgadza się całkowicie z tą oceną, Wasza Wysokość - dodał Caparelli. - Chciałbym

tylko dodać, że Imperialna Marynarka nadal nie osiągnęła naszego poziomu technicznego, podczas gdy Marynarka Graysona zrobiła to już dawno. Choćby dlatego Grayson stał się celem ataku, byłby bowiem najbardziej nam pomocny w odbudowie.

Elżbieta pokiwała głową.

- Niestety także doszłam do tego wniosku - przyznała ciężko.

- Za pozwoleniem Waszej Wysokości, chciałbym jeszcze coś dodać - powiedział cicho Pierwszy Lord Przestrzeni.

- Proszę bardzo.

- Wiem, że w tej chwili jesteśmy najbardziej wstrząśnięci skalą zniszczeń i liczbą ofiar oraz tym, że nie wiemy, jak ten atak został przeprowadzony, ale z militarnego punktu widzenia najgorsze jest co innego. To, że nasze sensory niczego nie wykryły. Zgodnie z bardzo wstępnymi analizami sztabu admirał Hemphill, z którymi się zgadzam, było to możliwe tylko dzięki użyciu przez napastników zupełnie nowego systemu napędowego. Rakiety, którymi ostrzelano stocznice, zostały dostarczone przez zasobniki, które dotarły na miejsce odpalenia lotem balistycznym z prędkością ledwie 20% szybkości światła. Natomiast broń, która zniszczyła stacje kosmiczne, to coś zupełnie innego. Wygląda na to, że była to wersja naszego *Shrike'a*, tyle że jednorazowego użytku, a nikt nie wie, jak zdołano zmieścić tak potężny graser w kadłubie największej nawet rakiety ani jak zdołano osiągnąć wytrzymałość na ciągły impuls trzysiekundowej długości. Natomiast z praktycznego punktu widzenia to odmiana *Mistletoe* o większym zasięgu, wyposażona w ten sam rodzaj nowego napędu. Jediną rewolucyjną sprawą jest więc ten napęd. Podejrzewam, że powtórne jego użycie nie będzie miało takiego efektu psychologicznego, bo już wiemy, że coś takiego istnieje, a poza tym, o ile prawa fizyki nie uległy radykalnej zmianie, ich okręty muszą zostawić ślad wyjścia z nadprzestrzeni. Admirał Hemphill jest pewna, że w końcu uda się zidentyfikować ten ślad lub ducha, za którego został wzięty, gdy okręty, które nas zaatakowały, wyszły z nadprzestrzeni w pobliżu systemu Manticore. Chodzi mi o to, Wasza Wysokość, że przeciwnikowi będzie o wiele trudniej powtórnie nas zaatakować. Podobnie zresztą jak Grayson czy New Potsdam. Tym razem zauważymy wyjście z nadprzestrzeni wrogich okrętów i okolica natychmiast zaroi się od naszych jednostek. Użyjemy tylu sond, ilu będzie trzeba, by przeczesać ten rejon tak, żeby wszystko co materialne zostało zauważone. Poza tym każdy okręt wydziela jakąś energię, a tę też można wykryć. Nieprawdopodobne jest, by takie poszukiwania nie odniosły skutku. Coś znajdziemy, a o ile przeciwnik nie ma dużej liczby superdreadnoughtów raketowych z odpowiednikiem systemu *Apollo*, owo „coś” wystarczy Home Fleet.

- Tak więc drugi atak nie ma szans na sukces? - upewnił się Grantville.

- Tego nikt nie może zagwarantować, ale uważam, że nikłe szanse na sukces to właściwe postawienie sprawy, panie premierze - odparł dość formalnie Caparelli, po czym dodał: - Zdaję sobie sprawę, Wasza Wysokość, że to niewielka pociecha. I oczywiste jest, że dopóki nie będziemy wiedzieli, kto to zrobił i jak, nie ma mowy o podjęciu działań ofensywnych. A wojna z Ludową Republiką nauczyła nas, że strona, która nie potrafi przejąć inicjatywy, ostatecznie przegrywa. Mimo to biorąc pod uwagę ograniczoną liczbę rakiet, których możemy w dodatku potrzebować przeciwko Republice czy Lidze, uważam, że do czasu wznowienia ich produkcji zdołamy się obronić przed tym nowym napastnikiem. A rok standardowy to wystarczający czas, by dowiedzieć się tego, co niezbędne do rewanzu.

Elżbieta już miała odpowiedzieć, ale White Haven uniósł dłoń, prosząc o głos. Przez moment się zastanawiała, po czym kiwnęła głową na znak zgody.

- Chciałbym coś dodać, Wasza Wysokość - powiedział earl White Haven. - Po pierwsze, istnieje możliwość, choć nie wiem na ile prawdopodobna, że sprawca ataku liczy na to, iż wykończy nas albo Republika Haven, albo Liga Solarna. Nie wiem, czy taki jest jego zamiar, bo mamy zbyt mało danych, ale należy brać to pod uwagę. Po drugie, sprawca nie dysponuje dużą flotą.

- Proszę? - Wiliam Alexander zamrugał gwałtownie, by nie wytrzeszczyć na niego oczu, co byłoby mało uprzejme.

Kilkoro z obecnych nie kryło zaskoczenia czy sceptycyzmu.

Za to Caparelli energicznie przytaknął.

- Zastanów się, Willie - wyjaśnił Hamish. - Gdyby ten ktoś miał choćby kilkanaście okrętów liniowych z tym niewykrywalnym napędem, nie robiłby rajdu na nasz przemysł, tylko albo pokazał, co potrafi, i zażądał naszej kapitulacji, albo zaatakował Home Fleet, a po jej zniszczeniu zaproponował, byśmy się poddali. A zniszczyłby ją, bo nie sposób trafić w okręt, którego nie widzą sensory. A my nie mielibyśmy wyboru. Zresztą pierwsza opcja byłaby prosta: gdyby te okręty ujawniły się na naszych orbitach parkingowych, Home Fleet mogłaby być nienaruszona, a i tak pozostałaby bezsilna. A gdybyśmy nie skapitulowali, zgodnie z edyktem eridiańskim przeciwnik miałby pełne prawo zbombardować planetę. A zamiast załatwić nas raz na zawsze, łapiąc za gardło, połamał nam tylko ręce i nogi. Co więcej, sam sposób przeprowadzenia ataku wskazuje, że napastnik dysponował ograniczonymi środkami. Z zawodowego punktu widzenia podziwiam plan i wykonanie, jak też umiejętności, wyobraźnię i perfekcję, ale to był typowy rajd. Fakt, że skutki przyniósł olbrzymie, ale dlatego, że był kompletną niespodzianką. Tak na skalę taktyczną, jak i

strategiczną. Taka okazja zdarza się raz i każdy szanujący się taktyk, nawet z Marynarki Ligi, wie, że należy ją wykorzystać do maksimum, bo powtórki nie będzie. Gdyby miał czym, wykończyłby nas pierwszym atakiem. Nie zrobił tego, bo nie mógł. Jeszcze jedno: do przeprowadzenia ataku wykorzystano bardzo ograniczone środki. Fakt, zostały starannie wyliczone i wystarczyły, by osiągnąć sukces, ale planując podobne operacje, zawsze zakłada się, że to, co może pójść nie tak, pójdzie nie tak, więc trzeba przeznaczyć większe niż teoretycznie niezbędne siły, by to zrównoważyć. Tego też nie zrobił. I zwróć uwagę na ryzyko związane z takim podejściem. Gdybyśmy wykryli coś podejrzanego, a było to prawdopodobne, wystarczyłby kwadrans, by ewakuować większość personelu ze stacji i część okrętów do nich cumujących, a nawet przechodzących drobniejsze naprawy. Stacje uruchomiłyby generatory osłon, a holowniki ustawiły się ekranami ku nadlatującym rakietom. Ponieważ było ich mało, obrona okazałaby się bardzo skuteczna. Ponieśliśmyby straty, ale nieporównywalnie mniejsze. A przeciwnik straciłby największy atut, praktycznie niczego nie osiągając. Nikt mający do dyspozycji duże siły nie poszedłby na takie ryzyko. Wniosek jest tylko jeden: przeciwnik nie miał dość sił i przeprowadził atak tym, co miał, licząc na szczęście.

Grantville zmarszczył brwi, analizując to, co właśnie usłyszał, a część obecnych nie tyle poweselała, ile przestała wyglądać jak na własnym pogrzebie.

Królowa rozejrzała się po ich twarzach i oznajmiła:

- Sądzę, że wszyscy zrobiliście, co było w waszej mocy. Wiem, że w najbliższych dniach obraz będzie nieco się zmieniał, w miarę jak zaczną spływać dokładniejsze informacje. W pewnych sprawach zmieni się na lepsze, w innych na gorsze, ale Hamish ma według mnie rację co do sił przeciwnika, a kim on jest, wszyscy wiemy prawie na pewno. Teraz jest przekonany, że wygrał. I prawdę mówiąc, ma do tego podstawy, biorąc pod uwagę naszą nie zakończoną wojnę z Republiką Haven, rozpoczętą wojnę z Ligą Solarną i zniszczenie naszego przemysłu. Wie, że przegraliśmy.

W pomieszczeniu zapadła martwa cisza.

A potem niespodziewanie Królowa uśmiechnęła się.

Nie było w tym uśmiechu śladu humoru - był to grymas gotowego do walki drapieżnika. Zdeterminowanego, groźnego i nie dopuszczającego myśli o porażce.

- Są przekonani, że wygrali - powiedziała dziwnie cicho Elizabeth Adrienne Samantha Anette Winton. - Tyle tylko, że w analizie sytuacji popełnili jeden mały błąd. Nie wzięli pod uwagę tego, że my nie jesteśmy o tym przekonani.

## **MARZEC 1922 ROKU PO DIASPORZE**

„Historia pełna jest ofiar, które sądziły, że dokładnie wiedzą, co jest «nieuniknione»”.

Hamish Alexander-Harrington,

earl White Haven

## ROZDZIAŁ XXXI

Starannie ukrywając obawę, Innokentij Kołokolcow uniósł głowę, słysząc delikatne pukanie w futrynę drzwi gabinetu. W progu stała Astrid Wang, mając „minę”, jak to powszechnie określano. Komuś, kto jej nigdy nie widział, trudno byłoby ją opisać, ale składały się na nią: zaniepokojone spojrzenie, zaciśnięte wargi i lekko zmarszczone brwi. Ale przede wszystkim coś, co sygnalizowało, że przynosi złe wieści.

To określenie zresztą uległo ostatnimi czasy poważnej zmianie znaczeniowej. Przedtem znaczyło „coś irytującego, z czym będzie problem”, a obecnie „co się znowu, na litość boską, spieszyło?”

- Tak, Astrid? - spytał spokojnie, ale z nutką ostrożności w głosie.

Błysk w jej oczach świadczył, że tę nutkę wychwyciła.

- Kurier od admirała Rajampeta właśnie to dostarczył - oznajmiła, podchodząc.

W wyciągniętej ręce trzymała pudełko z chipem o wysokim szczeblu tajności.

Kołokolcow popatrzył na nie i skrzywił się jak ktoś, kto trafił na zgniły kawałek owocu wyglądającego na zupełnie świeży. Rajampetowi odbijało coraz bardziej - zamiast wysłać e-mail albo zorganizować wideokonferencję przy użyciu jednego z niezliczonych kodowanych łączy, jakie mieli do dyspozycji, przysyłał coś kurierem za osobistym pokwitowaniem. Jak tak dalej pójdzie, za tydzień wyśle wiadomość napisaną na papierze atramentem sympatycznym którą będzie chronił batalion Marines.

Myśl ta nieco go rozbawiła, co go szczerze zaskoczyło. Był to jedynie przebłysk humoru, ale w obliczu tego, co działo się w ciągu ostatnich paru dni, i tak było niesamowite, W końcu westchnął i powiedział:

- Chyba lepiej będzie, jeśli mi to dasz.

- Proszę. - Wang wręczyła mu pudełko, jakby się bała, że ją ugryzie.

I pospiesznie wycofała się za drzwi.

Zupełnie jakby uważała, że bycie w pobliżu wieści o kolejnym nieszczęściu fatalnie wpłynie na posłańca. Kołokolcow prychnął, otworzył pudełko po uprzednim zidentyfikowaniu się odciskiem kciuka, wsunął chip do czytnika i spojrzał z obawą na ekran.

\* \* \*

- I co sądzicie o najnowszym, genialnym pomysle Rajampeta? - spytał Kołokolcow.

Było późne popołudnie, a obecni byli Nathan MacArtney, Malachai Abruzzi i Agata Wodosławska. Spotkanie miało miejsce u Kołokolcowa. Właśnie skończyli obiad. Był to trzeci obiad tego typu z rzędu, tyle że w poprzednich uczestniczyła też Omosupe Quartermain, tego dnia mająca supertajne spotkanie z największymi przemysłowcami w Systemie Słonecznym. Kołokolcow nie spodziewał się po nim niczego konkretnego, ale w razie czego przynajmniej będzie dowód, że „coś robili”. Dokładnie co, to zupełnie inna sprawa, ale pomysł „planu mobilizacji przemysłu” nie mógł zaszkodzić, a w razie konieczności mogli go pokazać mediom.

- O który pomysł ci chodzi? - spytała kwaśno Wodosławska.

- Ten z wysłaniem wszystkich krążowników liniowych Floty Granicznej do ataku na Manticore, żeby zniszczyć przemysł systemowy.

- W porównaniu do paru innych, jakie ostatnio proponował, ten brzmi prawie rozsądnie - ocenił jeszcze kwaśniejszym tonem MacArtney.

- Nikt z nas nie wpadł na nic sensowniejszego - przypomniał Abruzzi.

- Tak? - warknął MacArtney. - To nie żaden z nas orientował się doskonale w stopniu zacofania naszej floty. To nie żaden z nas „zapomniał” powiedzieć pozostałym, że ta idiotka Crandall jest o rzut kamieniem od Gromady Talbott. To nie żaden z nas zapewniał pozostałych, że żadne cud-rakiety nie przejdą przez obronę antyrakietową naszych okrętów liniowych. Zapomniałeś?

MacArtney był najbardziej zły i przestraszony ze wszystkich, czemu trudno było się dziwić - jemu podlegało Biuro Bezpieczeństwa Granicznego, toteż był najbardziej świadom, jakie konsekwencje dla prestiżu Marynarki Ligi może mieć katastrofalny cios, jaki właśnie jej zadano.

- A jakby tego było mało, jeszcze to cholerne Green Pines - dodał MacArtney z obrzydzeniem.

- O to akurat cię, Malachai, nie obwiniam, ale przez Rajaniego ta cała sprawa może nam jeszcze dopieć, jeśli nie będziemy ostrożni. Żądanie śledztwa było jak najbardziej w porządku, gdy wierzyliśmy cymbałowi, że nasza flota jest niepokonana. Tyle że za bardzo rozpaliliśmy tę sprawę i teraz i media, i ludzie chcą, żebyśmy zmusili Królestwo do przyznania się do winy i zapłacenia Mesie odszkodowania. A okazało się, że nie możemy go do niczego zmusić, bo Rajani ma stary złom, a nie flotę!

- Sądzę, że wszyscy jesteśmy zgodni, że ani Rajani, ani Battle Fleet chwalą się nie okryli - odezwał się Kołokolcow. - Z drugiej strony można to też powiedzieć o nas. Indywidualnie i jako o całości. Wszyscy zlekceważyliśmy Królestwo Manticore. Nie

naciskaliśmy Rajaniego o szczegóły, bo uważaliśmy je za nieistotne, jako że cokolwiek Królewska Marynarka by wymyśliła, my i tak mieliśmy większą i lepszą flotę.

- To nie całkiem uczciwa ocena - zaprotestował MacArtney. - Rozważaliśmy różne opcje...

- Pewnie, że rozważaliśmy - przerwał mu Kołokolcow. - I nawet minuty nie poświęciliśmy na to, żeby po prostu przyznać, że Byng był pierdolonym idiotą, który bez powodu zniszczył trzy królewskie okręty wraz z załogami, a potem dał się zabić wraz ze wszystkimi na swoim okręcie flagowym, próbując zrobić kolejny idiotyzm. A jeśli mnie pamięć nie zawodzi, nie zrobiliśmy tego głównie z powodu konsekwencji, jakie miałyby to dla Ligi, bo zniszczenie *Jean Barta* osłabiłoby prestiż naszej floty. Jeśli się poważnie nie mylę to zniszczenie dwudziestu okrętów liniowych i zdobycie pół setki kolejnych, o jednostkach osłony i pomocniczych nie wspominając, i to przez krążowniki, na litość boską, chyba bardziej osłabia prestiż tejże floty. Nie sądzisz?

MacArtney spojrzał na niego wściekle, ale nagle jakby sflaczał i przygarbił się.

- Zgadza się - powiedział cicho.

- Cóż, to szczere przyznanie może być prawdziwym *katharsis*. I faktycznie teraz widać, że powinniśmy byli wówczas spojrzeć prawdzie w oczy - ocenił zgryźliwie Abruzzi. - Ale ustalenie, kto jest czemu winny, niewiele pomoże w wydostaniu się z tego bagna, w którym tkwimy po uszy. Chyba że chcesz, żebyśmy teraz przyznali, że odpowiedzialność jest po naszej stronie, i poprosili Królestwo, by przestało i było uprzejme powiedzieć, czego sobie życzy, żeby o całej sprawie zapomnieć.

Kołokolcow w ostatnim momencie ugryzł się w język. Dobrze pamiętał, jak Abruzzi zapewniał wszystkich, że żądania zawarte w pierwszej nocy mają cel wyłącznie wewnętrzny, bo władze Królestwa chcą uspokoić społeczeństwo i nie zamierzają doprowadzić do konfrontacji z Liga Solarną. Przypomnienie mu tego faktu niczego by bowiem teraz nie zmieniło.

- Nie chcę, choć to byłoby najprostsze i najtańsze wyjście - odparł, siłąc się na spokojny głos, i z zadowoleniem zauważył, że do Abruzziego dotarło, iż był o włos od konfrontacji. - Wolałbym takie rozwiązanie, ale niestety jest ono niewykonalne.

- Nie po tym, jak rozdmuchaliśmy Green Pines - zgodziła się ponuro Wodosławska. - To raczej zamknęło drogę dyplomatycznego rozwiązania. Teraz, gdy media dowiedziały się o Crandall, jakakolwiek sugestia na temat negocjacji z naszej strony zostanie odebrana jako oznaka słabości i rozpocznie proces, którego baliśmy się od początku, tylko na większą skalę.

- Właśnie - przyznał Kołokolcow. - I dlatego nie możemy wybrać najtańszego i



najrozsądniejszego rozwiązania.

Nie przypominał sobie żadnego wydarzenia czy ich ciągu, które miałyby choć zbliżone skutki do tego, co stało się teraz. Obywatelom Ligi tak często i tak zdecydowanie powtarzano, że mają największą i najsilniejszą flotę w dziejach ludzkości, że w to uwierzyli. Co gorsza, Kołokolcow i pozostali podzielali to przekonanie. A najgorsze, że uwierzyła w to sama flota, a raczej jej dowództwo i starsi oficerowie. A teraz okazało się, jak jest naprawdę. I nie chodziło o to, że gdzieś tam jakiś pojedynczy krążownik został zniszczony, bo tego media nawet by nie zauważyły. To nawet nie była kapitulacja jakiejś wciągniętej w zasadzkę eskadry Floty Granicznej w celu uniknięcia niepotrzebnych ofiar.

Tym razem była to uczciwa regularna klęska całego zespołu wydzielonego Battle Fleet złożonego z 70 najnowocześniejszych okrętów liniowych. Klęska całkowita i upokarzająca, bo poniesiona w starciu z krążownikami jakiejś prymitywnej floty małego państewka położonego na zadupiu. Dziennikarze, którzy polecili do Gromady Talbott w związku z incydem w New Tuscany, dostali więcej, niż chcieli.

O wiele więcej. Wracali na Ziemię, jakby brali udział w wyścigach, próbując za wszelką cenę przegonić jednostkę kurierską wiozącą notę, zapis taktyczny bitwy i admirał O'Cleary we własnej osobie. Niektórym się to udało, dlatego pierwsze pogłoski o klęsce Crandall zaczęły krążyć, nim pojawił się oficjalny komunikat.

Ludzie nie przyjęli dobrze tych nowin.

W pierwszym odruchu uznali tę informację za głupią plotkę - bo przecież krążowniki, nawet liniowe, nie są w stanie pokonać superdreadnoughtów. To tak jakby antylopy pokonały tygrysy.

Potem, w miarę pojawiania się coraz dokładniejszych i powtarzających to samo informacji prawda zaczęła docierać do opinii publicznej. Największa potęga militarna wszechświata została pokonana przez kilkanaście krążowników. Informacji o ofiarach w ludziach nie podawano do wiadomości, ale nawet przeciętny obywatel Ligi był w stanie dojść do wniosku, że kiedy superdreadnought eksploduje, niewielu z jego załogi przeżyje. A załoga to parę tysięcy ludzi.

W niektórych komentarzach, i to nawet teoretycznie dobrze poinformowanych analityków militarnych i politycznych, pojawiły się nuty strachu, a potem hysterii. Zapanowała atmosfera końca świata. No bo jeśli takie Królestwo Manticore mogło tego dokonać, to czego jeszcze można się po nim spodziewać, jeśli użyją okrętów liniowych?! Najwięksi panikarze zdawali się oczekiwać, że okręty liniowe Królewskiej Marynarki lada dzień wleczą przez terminal Beowulf do Systemu Słonecznego i zaatakują Ziemię.

Prawdę mówiąc, zaraz po otrzymaniu informacji o tym, co spotkało Crandall, Kołokolcow też się tego obawiał. Szybko się jednak uspokoił. To byłby nonsens, i to z wielu powodów, a w Królestwie Manticore, jak dowodziły ostatnie wydarzenia, władzę sprawowali mądrzejsi niż on i jego koledzy. Wątpił więc, by ktoś tam poważnie rozważał zaatakowanie kolebki ludzkości. Dałoby to bowiem Lidze idealną przewagę propagandową i emocjonalną, mobilizującą i jednoczącą bardziej niż cokolwiek innego.

Ale oprócz strachu pojawiła się też, znacznie silniejsza, złość. Coś takiego nie miało prawa spotkać Ligi Solarnej! Niezwyciężoność Ligi była prawem fizyki tak jak prawo ciężenia! Ktoś musiał być więc winny temu, co się stało...

Chwilowo obiektem złości było Królestwo, a raczej Imperium Manticore. Specjaliści od propagandy Abruzziego, którzy rozdmuchali sprawę Green Pines, przypadkiem w tym pomogli, bo już wcześniej skierowali nienawiść opinii publicznej na „morderców dzieci” z Baletu i ich mocodawców z Imperium Manticore. Osobiście Kołokolcow uważał, że w informacji z Mesy prawdziwe było jedno: w parku doszło do eksplozji nuklearnej. I tyle. Ale zarzuty były spektakularne i użyteczne, toteż ludzie Abruzziego je wykorzystali.

Tyle że, jak się teraz okazało, robili to zbyt gorliwie. MacArtney miał całkowitą rację - tak podsycano złość ludzi na Gwiazdne Imperium, przynajmniej tu, na Ziemi, że osiągnęła ona prawie poziom hysterii, a strach po bitwie o Spindle jeszcze nastroje pogorszył. Odezwały się oczywiście głosy, wzywające do zastanowienia się, jakim cudem ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo Ligi Solarnej tak nawalili, że w ogóle nie byli świadomi zagrożenia, i jakim cudem pozwolili takiemu narwańcowi jak Sandra Crandall wpędzić Ligę w takie kłopoty, ale chwilowo nikt ich nie słuchał.

Były to głosy niebezpieczne, bo nawołujące do szukania winnych w domu, co mogłoby zagrozić nie tylko pozycji i władzy Kołokolcowa i reszty, ale też - i to było o wiele niebezpieczniejsze - stabilizacji samej Ligi. Śledztwo w sprawie decyzji, które doprowadziły do bitwy o Spindle, miałoby konsekwencje nie tylko osobiste, ale i instytucjonalne dla systemu od wieków rządzącego Ligą Solarną.

W normalnej sytuacji żadne śledztwo nic by nie dało - po to utworzono rozmaite komisje, niezależne organa dochodzeniowe i inne fikcyjne ciała. Ich zadaniem było nigdy niczego ważnego nie wykryć, a tak zapętlić sprawę i się ślimaczyć, by wszyscy zapomnieli, od czego się zaczęło i o co chodziło. I przez lata metoda ta działała nader skutecznie. Tyle że ta sprawa była zbyt grubego kalibru, a emocje ludzi zostały zbyt rozbudzone, by śledztwo dało się kontrolować. A nie kontrolowane przyniosłoby efekty gorsze niż przyznanie się do winy i przeprosiny.

Ponieważ brutalna prawda była taka, że nie istniała żadna struktura polityczna mogąca zastąpić biurokratyczną, która tworzyła się stopniowo, ale stała się wszechogarniająca. A to właśnie biurokratyczna struktura padłaby ofiarą uczciwego dochodzenia. Kołokolcow podejrzewał, że w świetle tego, jak została napisana konstytucja, oraz wieków tradycji niemożliwe było stworzenie politycznej struktury władzy w żadnych okolicznościach. Liga po prostu była zbyt duża, by to mogło zadziałać. A to oznaczało, że musieli reagować tak, by do owego śledztwa nie dopuścić. Mówiąc obrazowo: dosiedli tygrysa, mając nadzieję, że ma on cugle i siodło.

Tylko jak dotąd żadnego z nich nie znaleźli.

- Prawda jest taka, że na dyplomatyczne uzgodnienia jest już za późno - poinformował pozostałych. - A nie możemy sobie pozwolić, by podawano w wątpliwość dwie kwestie: zdolność Ligi do poradzenia sobie z takim państwem jak Gwiezdne Imperium Manticore i naszą zdolność kontrolowania jej.

- Nie żebym miała inne zdanie, ale zdolność Ligi do poradzenia sobie z takim państwem jak Gwiezdne Imperium właśnie okazała się nie istnieć - zauważyła Wodosławska.

- W tej chwili tak jest - zgodził się Kołokolcow. - I jak długo nie będziemy w stanie skopiować technicznych rozwiązań Królewskiej Marynarki, nie możemy z nią walczyć.

- To jak... - zaczął Abruzzi.

- Dlatego pomysł Rajaniego z krążownikami liniowymi jest niewykonalny - dokończył Kołokolcow, jakby tamten w ogóle się nie odezwał.

- W sumie mogłoby to się okazać skuteczne - odezwał się MacArtney, powoli dobierając słowa. - Stracilibyśmy masę okrętów, ale stać nas na to. Ich na utratę systemu macierzystego nie.

- Nie mogłoby się udać - nie ustąpił Kołokolcow. - Przyznaję, że teoretycznie mogłoby to być wykonalne, jeśli prędzej skończyłyby się im rakiety niż nam krążowniki. Tylko że koszt byłby katastrofalny i nie byłoby sposobu ukryć przed ludźmi, że wysłaliśmy te okręty i ich załogi na pewną śmierć, bo nawet nie mogli odpowiedzieć ogniem. Wyobrażasz sobie O'Hanrahan i resztę, gdy rozwiałby się dym, a zaczęło liczenie strat? Wyobrażasz sobie, co by nastąpiło, gdy do ludzi dotarłoby, że wysłaliśmy te okręty jako ruchome cele?

W pierwszej chwili MacArtney chciał zaprotestować, ale gdy jego wyobraźnia zadziałała, zamknął usta bez słowa.

- Spowodowałyby to gorsze konsekwencje niż przyznanie racji Imperium Manticore w tej chwili - dodał Kołokolcow. - A wcale nie jest pewne, że rakiety skończyłyby się im

wcześniej. Fakt, możemy użyć superdreadnoughtów. Trudniej je zniszczyć, więc szansa na sukces jest większa. Tyle że straty także byłyby większe i to, że pokonalibyśmy ich w końcu za cenę 10 czy 20 razy większych strat, nic by nam nie dało. Zresztą w tej chwili stosunek strat jest jeszcze gorszy. Manticore stałoby się historią, racja. A precedens zostałby ustanowiony, bo nie myślisz chyba, że o cenie, jaką musielibyśmy zapłacić za to zwycięstwo, zapomnieliby ci wszyscy na Obrzeżu czy Pograniczu, którzy nas nie lubią. Być może ponieśliśmy takie straty, że ktoś postanowiłby to natychmiast wykorzystać. Nie wiem kto, ale to o niczym nie świadczy, bo o zagrożeniu ze strony Królestwa czy Imperium Manticore też nie wiedziałem. A poza tym mogę ci teraz wymienić z tuzin flot systemowych, których lojalność w takiej sytuacji stałaby się, łagodnie rzecz ujmując, wątpliwa.

- W takim razie co możemy zrobić? - spytał MacArtney.

- Chwilowo nic - odparł zwięźle Kołokolcow. - Bez podobnych rakiet nie możemy atakować, Królestwo zaś ma na karku Republikę Haven, a nie stać go na atak i wojnę na dwa fronty. Nawet jeśli wojnę z Republiką zakończy traktat pokojowy, wynegocjowanie go wymaga czasu. Musimy ten czas wykorzystać, by wmówić wszystkim w Lidze, że to, co się dzieje, jest winą Gwiazdowego Imperium Manticore, czyli musimy krzyczeć głośniejsz niż tłum. Nie odpuszczać sprawy Green Pines i dodać wiarygodności temu nagraniu, które trafiło do O'Hanrahan jako prawdziwa wersja. Jeśli chodzi o Spindle, nie możemy ukryć wielkości strat, ale nie musimy potwierdzać, że zadały je krążowniki.

- A co z relacjami dziennikarzy, którzy byli na miejscu? - spytała sceptycznie Wodosławska.

- Nic - odpowiedział jej Abruzzi, myśląc intensywnie. - Nie podamy ich bezpośrednio w wątpliwość, tylko zwrócimy uwagę, że żadnego nie było na pokładzie okrętu którejkolwiek ze stron. Fakt, byli na parę naszych po ich poddaniu się, ale nie wpuszczono ich na żaden królewski okręt, więc tak naprawdę wiedzą to, co im powiedziano. Te relacje z drugiej ręki i nasi analitycy mają poważne podejrzenia, że tak naprawdę były to okręty liniowe. Naturalnie dopuszczamy wszystkie możliwości, także tę, że Królewska Marynarka mówi prawdę, ale dowody, jakie mamy, są zbyt słabe, by móc uznać którąkolwiek z wersji za prawdziwą.

- Właśnie - ucieszył się Kołokolcow.

Wodosławska pokiwała głową już mniej sceptycznie - w tę grę bawili się od lat i wiedzieli, że przynosi dobre efekty.

- A przez cały czas będziemy podkreślać, że wszystko, co się dzieje w Gromadzie Talbott, to efekt imperialistycznych zapędów Królestwa Manticore, których najlepszym dowodem jest zmiana nazwy na Gwiazdne Imperium. Już od dawna jego postępowanie nas

martwi i niepokoi, a od ataku na admirała Bynga szczególnie. Informacje o popieraniu terrorystów i masowych morderców z Baletu, których wykorzystuje się jako broń przeciwko państwu, które uznało się za wrogie, potwierdzają ambicje zwiększenia obszaru i arogancję w traktowaniu sąsiadów - kontynuował Kołokolcow. - Spindle można rozegrać na kilka sposobów. Możemy zwalić wszystko na Crandall, bo już nie może się bronić. Możemy powiedzieć, że choć miała dobre intencje i uzasadnione podejrzenia co do imperialistycznych skłonności Królestwa Manticore, zachowała się zbyt gwałtownie i w nieprzemyślany sposób. Możemy też twierdzić, że skoro mamy tylko jedną wersję nagrania rozmowy z przedstawicielem władz Quadrantu Talbott, pochodzące właśnie od tych władz, nie musi ono być prawdziwe, podobnie jak fałszywką okazały się zapisy incydentu w New Tuscany. W rzeczywistości nie była wcale tak skłonna do walki, a ktoś od ciebie, Malachai, czy ktoś u Rajaniego z pewnością jest w stanie sprokurować spokojniejszą wersję rozmowy na domowy użytek. To, że Crandall zginęła w tajemniczych okolicznościach, pasuje jak ulał do takiej wersji, bo skoro sfalszowali rozmowę, musieli ją zabić, by jej nie podważyła. Nieprawdaż? Zwalenie na nią winy może obrócić się przeciwko nam, bo prowadzi do tego, że nie mieliśmy racji i powinniśmy byli spełnić żądania Gwiezdnego Imperium. Druga wersja też jest ryzykowna, bo w końcu ktoś, dajmy na to O'Hanrahan, odkryje prawdę i oskarży nas, że od początku kłamaliśmy, co może doprowadzić do polowania na czarownice, którego za wszelką cenę pragniemy uniknąć. Z drugiej strony powinno się wtedy dać kierować śledztwem, co jest niemożliwe, jeśli teraz zacznie się węszenie dotyczące decyzji, jakie podjęliśmy po incydentach w New Tuscany.

- A mamy się tak męczyć dlatego że...? - spytała Wodosławska.

- Dlatego, że w końcu dojdzie do wojny z Gwiezdnym Imperium Manticore. Nie będziemy mieli innego wyjścia, jak zaatakować - wyjaśnił rzeczowo Kołokolcow. - A ponieważ nie możemy tego zrobić teraz, należy starannie przygotować grunt. Wyjaśnić, dlaczego wojna będzie, że nie z naszej winy i dlaczego nie możemy dać nauczki, na jaką Królestwo zasługuje, już teraz, zaraz.

- Niezłe wyzwanie - oceniła z powątpiewaniem.

- Ano niezłe. Ale jeśli to dobrze rozegramy, mamy spore szanse na sukces. Po pierwsze, musimy przyznać, że niezależnie od tego, jakiej klasy okręty miała w Spindle Royal Manticoran Navy, udowodniła, że istnieją rakiety przewyższające te, które w tej chwili są na wyposażeniu naszej floty. Oczywiście my jesteśmy w posiadaniu podobnej broni, ale nie chcieliśmy wprowadzać jej do użycia, bo oznaczałoby to dramatyczną eskalację wyścigu zbrojeń. Dlatego nie naciskaliśmy ani na przyspieszenie badań, ani nie wdroyliśmy

produkcji, co się teraz zemściło. Naturalnie przyspieszymy teraz cały proces, ale dopóki nie będziemy dysponowali wystarczającą liczbą nowych rakiet, nie podejmiemy żadnych działań, by uniknąć zbędnych strat. Imperium Manticore, świadome tej chwilowej przewagi, postanowiło ją wykorzystać do osiągnięcia swych imperialistycznych celów i zaczęło realizować swój plan, przedstawiając fałszywą wersję incydentów w New Tuscany, a być może też bitwy o Monicę. Jego zamiarem jest przedstawienie nas jako agresorów, by stworzyć w Lidze lobby agitujące za tym, byśmy pozwolili nowemu Imperium zatrzymać bezprawnie podbite tereny i nie ryzykowali długiej, kosztownej wojny, by je zmusić do ich zwrotu. Dlatego też najprawdopodobniej Imperium Manticore uporczywie lansuje nonsensowną tezę, że za wszystkim stoi Manpower.

- Uważasz więc, że ten wątek jest całkowicie fałszywy? - spytał Abruzzi.

- Daj spokój! Jedna korporacja, obojętne jak duża i wpływowa, ma decydować, gdzie się znajdzie setka naszych okrętów? Przecież to już nie śmieszne, tylko żalosne. Manpower, a w zasadzie Mesa, bo wszyscy wiemy, jak to u nich działa, naturalnie maczała palce w terroryzmie w Gromadzie Talbott i w Unii Monica. A władze Mesy sfabrykowały dowody na związek Królestwa z Green Pines. Wiemy, jak Manpower i Manticore się nienawidzą, i to od stuleci. To wszystko jest prawdą. Ale niemożliwe, by Manpower było w stanie zorganizować to wszystko, o co oskarża je Królestwo czy też Imperium Manticore. A ponieważ wszyscy wiedzą, jakie złe jest Manpower, a dzięki O'Hanrahan, jacy przekupni są nasi urzędnicy na Pograniczu, uwierzą, że Królestwo próbuje to wykorzystać do wybielenia siebie.

- Jesteś pewien tego ostatniego? - spytał sceptycznie MacArtney.

- Wiesz lepiej ode mnie, co się dzieje w Biurze Bezpieczeństwa Granicznego, nie udawaj więc niewiniątka. Ja nikogo nie oskarżam, bo mnie to nie interesuje, natomiast jestem pewien, że na tym Imperium Manticore oparło swoją zagrywkę. Ja bym tak zrobił na jego miejscu. Niezależnie od tego, czy Imperium ma ambicje sięgające poza Gromadę Talbott, czy nie, naprawdę ma poważne powody, by chcieć powstania takiego pokojowego lobby u nas. Należy więc pomachać naszym świętoszkom Manpower przed oczyma, by zmniejszyć publiczne poparcie dla dalszych operacji militarnych z naszej strony.

- A jak my zniweczmy ten podstępny plan? - zainteresowała się Wodosławska.

- Po pierwsze, dopilnowując, żeby nie znaleźli się następcy Crandall. Po drugie, biorąc Rajaniego na krótką smycz. Zaczął już reaktywować okręty z Rezerwy i podejrzewam, że zmienił też dyslokację części floty, choć o tym nie był łaskaw nam powiedzieć. To pierwsze wiem, to drugie podejrzewam, ale byłbym bardzo zaskoczony, gdyby tego nie zrobił.

- Przywołanie go do porządku jest wykonalne - ocenił MacArtney. - Co dalej?

- Najważniejsze, żebyśmy nawet nie próbowali uzyskać zgody na formalne wypowiedzenie wojny. Na pewno ktoś to zawetuje, nie musi to zaraz być Beowulf, a każda debata na ten temat w Zgromadzeniu może sprowokować polowanie na czarownice. Poza tym gdybyśmy jakimś cudem taką zgodę uzyskali, zaczęto by zaraz żądać podjęcia działań ofensywnych, czego nie możemy w tej chwili zrobić. Zamiast tego będziemy reaktywowali okręty z Rezerwy i naciskali na naszych speców, by skopowali te cholerne rakiety. Czyli przyjmujemy pozycję w całości defensywną, za to w dyplomacji ofensywną. Rajani się wścieknie, ale to mnie akurat mało wzrusza. No i będziemy nadal aktywni w mediach, trzymając się tego, że nie damy się sprowokować do masakry i próbujemy negocjacji, by usunąć Imperium Manticore z Gromady Talbott, a potem ukarać winnych New Tuscany, Moniki i prawdopodobnie Green Pines.

- Krótka, zwycięska wojenka? - spytała Wodosławska.

- Właśnie. A gdy będziemy mieli nowe rakiety, uderzymy. Nie musimy mieć aż tak dobrych, jak ma RMN, żeby przewaga liczebna okazała się decydująca. Wtedy z żalem oznajmimy, że dyplomacja nie zadziałała i niestety nie mamy innego wyjścia, jak wrócić do rozwiązań militarnych, zgodnie z Artykułem Siódmym bez oficjalnego wypowiedzenia wojny. I wtedy będzie to krótka, zwycięska wojenka.

- Myślisz, że to wszystko wypali? - Wodosławska najwyraźniej miała wątpliwości.

- Myślę, że jest na to duża szansa. Będzie to zonglerka zaostrzonymi granatami, ale tak wyglądałoby to niezależnie od opcji, którą wybierzemy. A Imperium Manticore musi zrozumieć, że Liga jest po prostu za duża, by mogło ją pokonać, nieważne o ile lepszą będzie miało broń. Będzie więc rozmawiać, jak długo my zechcemy, bo jeśli tego nie zrobi, tylko zaatakuje, mając przewagę taktyczną, wyjdzie na agresora, a nie biedaka z prowincji broniącego się przed złym sąsiadem. Już oberwało za Green Pines i nie stać go na uwiarygodnianie tych zarzutów podbojami zbrojnymi. Nie przekonają naszej zjednoczonej opinii publicznej, nie zaatakują więc nas, bo to oznaczałoby miliony zabitych, których ludzie by im nie darowali. A przez cały ten czas dla wszystkich w Lidze będzie oczywiste, że niezależnie od tego, jak ten cały problem się zaczął, zajęliśmy dojrzałe, rozsądne stanowisko, by powstrzymać imperialistyczne zapędy sąsiada i uniknąć dalszych ofiar. To powinno wpłynąć uspokajająco na opinię publiczną, a może i przeciwną jakichś durniów najgłośniejszych wrzeszczących, jakie to Imperium Manticore jest złe, na naszą stronę. Dajmy na to Stowarzyszenie Renesansowe. A im bardziej będziemy podkreślać, że szukamy rozwiązania dyplomatycznego, tym mniejsza szansa, by ktoś zauważył, że nie możemy zastosować militarnego. A przez ten cały czas będziemy utrzymywali kocioł w stanie wrzenia, żeby

wszystkim spowszedniał ten konflikt bez wojny. A kiedy przyjdzie czas, podniesiemy temperaturę tak, by albo zmusić Imperium Manticore do ataku, albo mieć pretekst do rozpoczęcia strzelaniny.

Abruzzi uśmiechnął się szeroko.

A Kołokolcow dodał:

- Nie twierdzę, że to idealne rozwiązanie, ale po tym, co narobiła Crandall, i po reakcji ludzi to najlepsze, co możemy zrobić. A poza tym...

- Przepraszam, panie podsekretarzu...

Kołokolcow zamarł na moment, słysząc głos Alberta Howarda, służącego, który pracował u niego od ponad 30 lat standardowych i dobrze wiedział, że nie należy przeszkadzać w popołudniowo-wieczornych naradach, w jakie zawsze przeradzały się posiłki w tym gronie. Powoli odwrócił się ku drzwiom jadalni - rzeczywiście stał w nich Albert z przeproszającą miną i komunikatorem w dłoni.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam - powtórzył, nim Kołokolcow zdążył się odezwać. - Ale admirał Rajampet twierdzi, że to bardzo ważne i że musi z panem natychmiast rozmawiać, obojętne co pan robi.

Kołokolcow zamknął usta, zmarszczył brwi i po chwili kiwnął głową.

- W tych okolicznościach podjąłeś słuszną decyzję, Albercie - ocenił i wyciągnął rękę. Howard wręczył mu komunikator, skłonił się i wyszedł.

Kołokolcow zaś spojrzał wymownie na pozostałych, westchnął i włączył urządzenie.

- O co chodzi, Rajani? - spytał, gdy nad pudełkiem pojawił się miniaturowy hologram.

Był jednak na tyle wyraźny, by Kołokolcow dostrzegł wyraz twarzy Rajampeta, a był on przedziwny. Dopiero po chwili do Kołokolcowa dotarło, że to dzika radość.

- Dobrze, że pozostali są z tobą - oznajmił radośnie Rajampet. - Właśnie dostaliśmy wiadomość przywiezioną przez kuriera. Zgadnij, co spotkało tych skurwieli z Manticore?



## ROZDZIAŁ XXXII

- Wiedziałem, że głupota jest bezgraniczna, ale nie sądziłem, że z czasem się nasila! - rozległo się od drzwi.

Irene Teague uniosła głowę znad ekranu, słysząc te słowa Dauda ibn Mamouna al-Fanudahiego. Automatyczne drzwi trudno jest zamknąć z hukiem, ale jemu prawie się to udało.

- Przepraszam, że co? - spytała uprzejmie, gdy walnął dłonią w przycisk ręcznego zamykania, aż huknęło.

Daud spojrział na nią. Na jego twarzy malowało się obrzydzenie. Miał fatalny humor od paru dni, kiedy to okazało się, że przewaga techniczna Royal Manticoran Navy jest większa, niż się obawiał, ale nawet wtedy nie stracił spokoju i opanowania. Skoro więc w końcu coś wyträciło go z równowagi, i to do tego stopnia...

- Nie mogę uwierzyć, że nawet to... banda patentowanych kretyńców...!

Irene zdała sobie sprawę, że to nie obrzydzenie, tylko ślepa furia.

- Co się stało?

- Ci idioci... - zaczął i znów wściekłość go zatchnęła.

Potrząsnął głową, opadł na fotel i nagle jakby za naciśnięciem guzika wściekłość zmieniła się w rezygnację i zmęczenie. A w oczach błysnęło mu coś na gust Irene zdecydowanie przypominającego strach.

Zamierzała coś powiedzieć, ale tylko potrząsnęła głową, wstała i nalała kawy do kubka, potem przyjrzała się z namysłem najpierw kubkowi, potem przełożonemu i dołała solidną dawkę leczniczą z butelki single malt trzymanej na podobne okazje w szafce obok ekspresu. A potem nalała kawy do drugiego kubka, już bez dawki leczniczej, dla siebie, pierwszy, z logo Marynarki Ligi, podała Daudowi, z drugim w dłoniach przysiadła na rogu biurka.

- Najpierw wypij, potem mów - poleciła.

- Aye, aye, ma'am - wyrecytował z krzywym uśmiechem.

I pociągnął solidny łyk.

Uśmiech nie wiedzieć czemu zmienił się w znacznie naturalniejszy.

- Nie jest przypadkowo trochę za wcześnie na kawę? - spytał.

- Nigdy nie jest za wcześnie na kawę - poinformowała go rzeczowo. - Zwłaszcza leczniczą.

- Aha - skapitulował.

I ponownie zajął się zawartością kubka.

W końcu westchnął i usiadł wygodniej, zaczynając się odprężyć, co sprawiło jej ulgę. Ostatnią bowiem rzeczą, jakiej Daud potrzebował, było żeby puściły mu nerwy w obecności kogoś z przełożonych. Była zaskoczona tym, jak bardzo go polubiła w ciągu tych pięciu standardowych miesięcy, gdy zrozumiała, że ma rację i Królewska Marynarka naprawdę dysponuje znacznie nowocześniejszą i groźniejszą bronią niż Marynarka Ligi. Nawet fakt, że był z Battle Fleet, a ona z Floty Granicznej, przestał mieć znaczenie. A to, że nie pozwolił jej podpisać się pod większością analiz, wzbudziło w niej poczucie winy, choć rozumiała jego motywy i uznawała argumentację. Równocześnie w miarę zapoznawania się z coraz to nowymi raportami, jakie jej podsuwał, czuła rosnący niepokój. Liczba tych, które dziwnym trafem uzyskały złe tytuły lub trafiły do niewłaściwych działów czy akt, a które dało się wysledzić i odzyskać, pogarszała jej stan.

A potem nadeszły wieści o bitwie o Spindle i okazało się, że rzeczywistość przerosła najgorsze wyobrażenia nie tylko jej, ale i Dauda. Nawet oni nie spodziewali się, że ponad pół setki superdreadnoughtów zostanie pokonanych przez kilkanaście krążowników z taką łatwością i tak błyskawicznie.

Oni oboje byli zaskoczeni, natomiast reszta floty była w szoku. Część kadry nie potrafiła ogarnąć myślą tego, co się stało. Pierwszą reakcją była niewiara i zaprzeczenie - to nie mogło się wydarzyć, a więc się nie wydarzyło. To musiał być błąd i przekłamanie - gdzieś w systemie musiały czekać królewskie okręty liniowe i to one otworzyły ogień z zasadzki.

Niestety ten bezwzględnie logiczny tok myślowy legł w gruzach bo Royal Manticoran Navy, najwyraźniej spodziewając się czegoś podobnego, wysłała na Ziemię nie tylko notę dyplomatyczną i zapis taktyczny przebiegu bitwy, ale i admirał O'Cleary we własnej osobie z zapisami taktycznymi z jej okrętu flagowego.

Chwilowo O'Cleary była pariasem, podobnie jak Evelyn Sigbee, tyle że ta druga zaocznie. O'Cleary, mimo że z Battle Fleet, doświadczyła tyłu upokorzeń, że Teague zaczęła jej nawet współczuć. W końcu jej jedyną winą było znalezienie się pod rozkazami patentowanej idiotki, która dała się zabić wraz z jedną trzecią swoich sił w pierwszych minutach niepotrzebnej bitwy. Kardynalnym zaś błędem O'Cleary było to, że okazała się mądrzejsza i zapobiegła zniszczeniu pozostałych okrętów oraz śmierci ich załóg, kapitulując, bo walczyć w żaden sposób nie mogła.

Pomimo iż O'Cleary stanowiła doskonałego kozła ofiarnego, jej niekompetencją nie dało się wytłumaczyć ani też przykryć przyspieszeń i zasięgu królewskich rakiet. Analizy i raporty, które do tej pory uznawano za niedorzeczne, okazały się jak najbardziej rzetelne i oparte na faktach, dokładnie tak jak al-Fanudahi ostrzegał. Prawdę mówiąc, okazały się nawet nie doceniać stopnia przewagi technicznej RMN, bo przewidywano w nich mniejsze przyspieszenia i krótszy zasięg. I to właśnie wykorzystał admirał Cheng, zajęty konstruowaniem sobie na gwałt dupochronu, by udzielić nagany al-Fanudahiemu za „niedocenie stopnia zagrożenia”

O tym, że sam ignorował wszystkie analizy, w których choćby wspomniano o tych przyspieszeniach i zasięgach, naturalnie nie wspomniał.

Mimo to nie dało się dłużej ignorować przykrej prawdy, że al-Fanudahi miał od początku rację, i pogardzany dotąd panikarz i czarnowidz nagle stał się wręcz rozchwytywany. Referował w kółko to samo na różnych odprawach sztabowych. Tyle że tym razem oficerowie flagowi w nich uczestniczący słuchali tego, co mówił. Nie dość na tym - Biuro Analiz Operacyjnych dostało rozkaz, żeby zrobiło to, co powinno robić przez cały czas swego istnienia. Naturalnie efekty nie mogły być imponujące, jako że systematycznie ograniczano mu fundusze, a 90% analiz to były pochwalne oceny symulowanych ćwiczeń Battle Fleet, nie dane dotyczące potencjalnych zagrożeń dla Ligi Solarnej. Dlatego, choć było to wręcz śmieszne, oni oboje byli jedynymi, którzy znali owe zagrożenia.

Uczciwość nakazywała przyznać, że część ich współpracowników próbowała uzupełnić braki w wiedzy, ale było ich znacznie mniej niż tych, którzy biegali w kółko niczym kurczaki z odciętymi głowami, do których jeszcze nie dotarło, że już są martwe. Teague miała dziwną pewność, że z tymi oficerami będzie tak samo, tyle że śmierć nie dotyczyła ich fizycznych bytów, a karier.

Ważniejsze było to, żeby banda idiotów dowodząca flotą zaczęła zwracać uwagę i przetwarzać informacje dostarczane przez Dauda, a nie tylko przyjmować je do wiadomości. Na co jak dotąd nic nie wskazywało.

Gdyby we wszechświecie istniała choćby szcążkowa sprawiedliwość, Cheng Haiswun i Karl-Heinz Thimár straciliby stanowiska i zostali zdegradowani. Gdyby istniała porządna sprawiedliwość, wylądowaliby na długie lata w więzieniu. Niestety mieli zbyt dobre układy, by ponieść jakiegokolwiek konsekwencje za katastrofalną klapę wywiadowczą, która doprowadziła do bitwy o Spindle. O wiele prawdopodobniejsze było, że beknie za to al-Fanudahi wraz z większością ich podkomendnych, no bo winni przecież musieli się znaleźć.

Chwilowo jednakże nic mu nie groziło, co więcej, stał się popularny i jego słowa w

końcu docierały do słuchaczy. Tyle że wprawiały ich w stan będący mieszaniną przerażenia i desperacji, która była kombinacją nader niebezpieczną.

- Możesz mówić? - spytała łagodnie.

- Chyba tak - ocenił.

Upił jeszcze jeden łyk, prawie opróżniając kubek, i spojrzał na nią.

- Co tym razem zrobili? - zachęciła go.

- Nie chodzi o to, co zrobili, ale o to, co zamierzają zrobić. Zdecydowali, że to, co wydarzyło się w systemie Manticore, daje im doskonałą okazję, którą należy wykorzystać.

- Co?!

Daud prychnął, słysząc jej ton.

- Nie przesłyszałaś się. Właśnie skończyłem spotkanie z Kingsfordem, Jenningsem i Bernard opracowującymi plan operacyjny kolejnego genialnego pomysłu Rajampeta.

Teague poczuła się jak po ciosie w żołądek. Admirał Willis Jennings był szefem sztabu Kingsforda, a admirał floty Evangeline Bernard dowodziła Biurem Strategii i Planowania. W normalnych okolicznościach spotkanie dowódcy Battle Fleet i jego szefa sztabu z głównym strategiem Marynarki Ligi byłoby budujące, jako że należało rozważyć skutki ostatniej klęski. Obecnie, zwłaszcza biorąc pod uwagę stan, w jakim Daud z tego spotkania wrócił, na budujące zdecydowanie nie wyglądało.

- Jaki genialny pomysł? - spytała z obawą.

- A taki, że to, co zaszło w systemie Manticore, jest okazją strategiczną, której nie można zmarnować, i należy natychmiast zorganizować operację zaczepną, wykorzystując do tego siły admirała Filarety.

- Kogo? - zdziwiła się Teague.

Al-Fanudahi wzruszył ramionami.

- Nie znasz go, bo jest z Battle Fleet, ale możesz mi wierzyć, że niewiele straciłaś. Jest mądrzejszy od Crandall, ale to żadna sztuka. Jestem skłonny przyznać, że jego iloraz inteligencji odpowiada numerowi butów, a to już coś. Prawdopodobnie dlatego dostał obecne dowództwo, bo innych powodów w żaden sposób nie da się znaleźć.

- A dlaczego Rajampet właśnie jego wybrał?

- A dlatego, że dziwnym przypadkiem Filareta pałęta się na obszarze przygranicznym gdzieś w połowie drogi do systemu Manticore z siłami znacznie większymi niż Crandall. Powody, dla których się tam znalazł, znane są jedynie Bogu i Rajampetowi, a być może też Kingsfordowi, ale o to bym się nie zakładał.

Chwilę potrwało, nim przyswoiła sobie tę informację, po czym spytała:

- A cóż pan admirał tam oficjalnie porabia?

- Odbywa ćwiczenia - odparł Daud z kamiennym wyrazem twarzy. - Zainteresuje cię być może, a sam to sprawdziłem, więc informacja jest pewna, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat standardowych Battle Fleet odbyła trzy, słownie: trzy ćwiczenia, w których wzięło udział więcej niż pięćdziesiąt okrętów liniowych, tak daleko na Pograniczu. A w tym roku, przypadkiem naturalnie, dwa, i to równocześnie. Admirał floty Massimo Filareta przeprowadza, cytując: „duże manewry floty”, koniec cytatu, w sektorze Tasmania i ma pod swoimi rozkazami trzysta okrętów liniowych plus jednostki osłony. Rajampet chce go wzmocnić 70 czy 80 superdreadnoughtami, które też czystym przypadkiem znajdują się w różnych bazach leżących w odległości dwóch tygodni drogi od systemu Tasmania, gdzie jest Filareta, a potem wysłać go na tyły, by zaatakował system Manticore.

- Że co?!

Uśmiechnął się bez śladu wesołości i spytał:

- Nie przydałaby ci się dawka lecznicza do kawy?

- Cała butelka by nie pomogła - prychnęła. - Nie żartowałeś przypadkiem?

- Nie mam aż tak zboczonego poczucia humoru.

- Jakim cudem on to wymyślił?!

- Nie wiem, czy można to określić procesem myślowym, ale wykombinował sobie mniej więcej tak, o ile dobrze zrozumiałem Jenningsa i Bernard: nawet jeśli informacje o tym, co się stało, są przesadzone, w całym systemie musi panować zamieszanie, a moment jest „psychologicznie doskonały”, bo ani mieszkańcy, ani władze, ani flota nie będą mieli ochoty walczyć z Marynarką Ligi.

- Zupełnie jak załogi tych kilkunastu krążowników z Crandall, tak?

- Zdaje się, że ma nadzieję na większy efekt psychologiczny.

- Zdaje się, że jest idiotą. Uważa, że Home Fleet Royal Manticoran Navy nie będzie walczyć do końca w obronie macierzystego systemu, bo kilkanaście krążowników walczyło z kilkudziesięcioma okrętami liniowymi o centrum administracyjne dopiero co utworzonej prowincji, tak? To jest ta logika, której przyznaję, że nie pojmuję.

Al-Fanudahi pokiwał głową z politowaniem.

- Czy ja powiedziałem, że to logiczne? - spytał z wyrzutem. - Chciałaś, to ci streściłem jego tok myślowy zgodnie z wersją Jenningsa. Teoria głosi, że taki niespodziewany a skuteczny atak ma niezwykle niszczący wpływ na morale i wiarę we własne siły przeciwnika niezależnie od spowodowanych zniszczeń. Jennings zasugerował nawet, że jest on tym większy, że nastąpił zaraz po wieściach o zwycięstwie w bitwie o Spindle, a na dodatek nie

wiedzą, kto ich zaatakował. To mogliśmy być my, jeśli więc kilkaset naszych okrętów liniowych zjawi się w ich systemie o wiele wcześniej, niż mogą się spodziewać, i to pomimo bitwy o Spindle, zdadzą sobie sprawę, że przegrali. Zwłaszcza jeśli uważają, że to my. Bo wtedy będą się bać, że powtórzymy atak, gdy ich okręty będą zajęte walką z naszymi konwencjonalnymi jednostkami.

Teague popatrzyła na niego i powiedziała zrezygnowana:

- I co dalej? Bo jestem pewna, że to nie wszystko.

- No cóż... zwróciłem im uwagę, że nawet zakładając, iż Filareta jest bliżej systemu Manticore niż ktokolwiek inny, dotarcie posiłków, o których mówili, potrwa z miesiąc, a przelot do Manticore kolejne półtora miesiąca standardowego. A przez ten czas szok, na który tak liczy Rajampet, zniknie. Bernard zgodziła się, że to możliwe, ale jej „psycholog sztabowy” ocenia, że zadziała to na naszą korzyść. Swoją drogą ciekawe, czy ma też „sztabowego psychoterapeutę”, bo „sztabowy psychiatra” przydałby się każdemu z nich. A wracając do tematu, ponoć trzy miesiące standardowe to idealny czas, by znieczulenie wywołane szokiem przestało działać i ustąpiło miejsca zniechęceniu i rozpacz, bo dopiero wówczas dotrze do nich pełna prawda o ich położeniu.

- Nie sądzę, by któryś z tych specjalistów planował towarzyszyć Filarecie?

- Jakoś nikt o tym nie wspomniał.

- Tak też myślałam.

- Wykazałem jednakże karygodną upierdliwość - Daud wrócił do tematu - bo zaraz potem zauważyłem, że według danych wywiadu Home Fleet ma około setki okrętów liniowych. Pamiętając o bitwie o Spindle, uważam, że przydałaby się nam większa przewaga liczebna. Admirał Jennings poinformował mnie, że raporty otrzymane przez admirała Thimára wskazują na większe straty Królewskiej Marynarki w bitwie o Manticore, niż sądziliśmy dotąd, i że nie zostało jej więcej niż 60-70 okrętów liniowych.

- Wydawało mi się, że to my jesteśmy w wywiadzie.

- Nie, moja droga, my jesteśmy w analizach operacyjnych, a to co innego, o czym był uprzejmy przypomnieć mi admirał Kingsford, gdy palnałem to samo - poprawił ją chłodno Daud. - I jak się domyślasz, tym samym tonem. Otóż otrzymaliśmy informacje ze źródeł osobowych, do których ani ty, ani ja nie mamy dostępu, potwierdzające wysokość strat Royal Manticoran Navy.

- Fascynujące.

- Prawda? Gdy odzyskałem dar wymowy, zwróciłem uwagę, że te 70 okrętów liniowych też wystarczy, by rozprawić się z naszymi 400, biorąc pod uwagę możliwości ich

rakiet. A to wyliczenie nie uwzględnia stałych fortyfikacji systemowych, jakie z pewnością istnieją po dwudziestu latach ciągłej wojny z Republiką Haven. Admirał Bernard ponownie przyznała, że jest to czynnik, który należy brać pod uwagę, ale według opinii admirała Kingsforda i Rajampeta nikomu nie udało się zniszczyć stoczni orbitalnych czy stacji, nie wybijając wcześniej przejścia w obronie systemowej. A to znaczy, że straciła ona znacznie na skuteczności, a biorąc pod uwagę zniszczenia w przemyśle i straty wśród wyszkolonego personelu floty, Królewska Marynarka nie będzie w stanie nadrobić tego w tak krótkim czasie.

Teague stwierdziła, że boli ją szyja od ciągłego kręcenia głową, zmusiła się więc, by zaprzestać tej bezsensownej gimnastyki.

- Powariowali - oceniła.

- Ze szczeniem - dodał ponuro Daud.

- Czy oni naprawdę nie zauważyli żadnych innych konsekwencji tego ataku?

- Nie wiem, czy nie zauważyli, ale jedyne, które wzięli pod uwagę, to te, które im odpowiadają. To taka odmiana myślenia życzeniowego. Powiedziałem im, że nie mamy pojęcia, jak ci, którzy to zrobili, dokonali ataku. Wszystko, co mamy do tej pory, to informacje z mediów, są to więc dane ogólne, w dodatku mało wiarygodne. Wiemy tyle, że ktoś dostał się jakoś w pobliże planet i zniszczył znaczną część przemysłu orbitalnego. To wszystko.

- Nieprawda! - zirytowała się Teague. - Wiemy, że nie zdołalibyśmy tego dokonać. Wiemy, że nie mamy pojęcia o niczym, co umożliwiłoby osiągnięcie takiego efektu. W Spindle nie było sieci wczesnego ostrzegania, którą można by choć porównać z tym, co istnieje w systemie Manticore, a Home Fleet to potężna siła, jeśli więc ktoś zdołał dotrzeć niezauważony w pobliże planet, musiał użyć techniki, o jakiej nawet nie słyszeliśmy. A gdyby przebił się przez obronę, jak to ująłeś, dziennikarze mówiliby o drugiej bitwie o Manticore, bo tego nie dałoby się ukryć, a nikt się nawet o tym nie zająknął.

- Brawo - ocenił zwięźle al-Fanudahi. - Doszedłem dokładnie do tych samych wniosków.

Oboje przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

W końcu Teague wzięła głęboki oddech i spytała cicho:

- Domyślasz się, kto to zrobił?

- Na pewno nie my i na pewno nie Republika Haven, bo gdyby Marynarka Republiki miała takie możliwości techniczne, nie doszłoby do bitwy o Manticore. A biorąc pod uwagę, co się dzieje w Gromadzie Talbott i zamachy tu oraz na Torch tudzież brednie o

sponsorowaniu przez Imperium Manticore ataku w Green Pines, uważam, że listę podejrzanych otwierają ci na M.

- Moją też - przyznała z ponurą miną i niepokojem w oczach. - I naprawdę mi się to nie podoba. Bo jeśli Królestwo Manticore od początku miało rację w kwestii Manpower... Wiem, że to wygląda nieprawdopodobnie, ale...

Al-Fanudahi kiwnął głową.

- Zgadza się. A to, że dosłownie nikt: Rajampet, Kingsford, Jennings czy Bernard, nie przywiązuje do tego wagi, martwi mnie jeszcze bardziej niż nasze zacofanie techniczne w stosunku do Royal Manticoran Navy. Powinni w tej chwili pilnować śledztwa, prawdziwego, rzetelnego śledztwa mającego wykryć, jakim sposobem Manpower wniknęło tak głęboko w strukturę dowodzenia floty, że ma wpływ na tak ważne decyzje jak na przykład rozmieszczenie zespołów wydzielonych. Ale to wszystko jest mniej ważne od znalezienia odpowiedzi na pytanie, co skłoniło Manpower czy Mesę, czy jakkolwiek ich nazwiemy, do bezpośredniego uderzenia na system Manticore. Dotąd działali, wykorzystując innych i pozostając w cieniu. Dlaczego zaryzykowali wyjście z niego?

- Uważasz, że chodzi o coś więcej niż pozbycie się Królestwa Manticore z Gromady Talbott i z sąsiedztwa Mesy - to było stwierdzenie, nie pytanie.

- Uważam, że jego pojawienie się w tej okolicy rozpoczęło tę serię wydarzeń, natomiast nie wiem, o co ostatecznie chodzi. Natomiast jestem pewien, że ktoś, kto potrafił to wszystko zorganizować, z jednej strony rozmieszczając całe floty naszych okrętów tam, gdzie chciał, i wtedy, kiedy chciał, a z drugiej przeprowadzając atak na Manticore, nie improwizował. Każde z tych działań wymagało starannego zaplanowania i przygotowania, a więc czasu i zachowania absolutnej tajemnicy, że o potężnej organizacji nie wspomnę. Musieli uciec się nie tylko do przekupstwa, ale też manipulować kimś na wysokim stanowisku. Taki przełom techniczny, który stanowiłby całkowite zaskoczenie dla RMN i dla nas, wymaga dobrego zespołu naukowo-badawczego czasu i pieniędzy. To wszystko wykracza poza możliwości i potrzeby największej nawet korporacji. To działanie typowe dla państwa. Dużego i silnego państwa. Ten, kto używa Manpower jako przykrywki, musiał mieć jakiś powód, żeby akurat teraz ujawnić może nie tyle swoje istnienie, ile możliwości. Być może częściowo było to spowodowane oportunistycznym, być może Królestwo od początku było celem głównym, a konfrontacja z nami w Gromadzie Talbott i straty RMN w bitwie o Manticore stanowiły zbyt wielką pokusę, by ją zignorować, dlatego zaatakowali, nim byli gotowi. Ale nie wydaje mi się, żeby to było takie proste. I nie sądzę, by ktoś, kto miał dość cierpliwości, by stworzyć sobie takie pole działania, zachowując wszystko w tajemnicy,



zaryzykował utratę największego atutu, czyli elementu zaskoczenia, nieważne jak kusząca byłaby okazja, gdyby nie był gotów do osiągnięcia celu strategicznego.

- Chodzi ci o to, że celem jest coś większego niż Królestwo Manticore. - Teague zmarszczyła brwi. - Nie sądzę, żebyś się mylił, tylko że nie widzę takiego celu... Naturalnie skoro nie wiemy nawet, kim oni są, trudno przewidzieć, co sobie zaplanowali. Królestwo jest zbyt bogate jak na małe państwo, a jego statki są dosłownie wszędzie, gdzie ich nie powinno być, co wkurza całą masę ludzi. Manpower, czyli Mesa, i Królestwo nienawidzą się od dawna i szkodzą sobie, jak mogą, ale żeby włożyć aż tyle wysiłku w zniszczenie go... Za duży nakład sił i środków w stosunku do zamierzonego celu. O co więc chodzi, skoro nie o unicestwienie państewka leżącego po drugiej stronie Ligi? To nie ma sensu!

- Nie ma - przyznał Daud cicho. - I właśnie dlatego martwi mnie, że nikt nie zwraca na to uwagi. Bo masz całkowitą rację: nikt nie zada sobie takiego trudu tylko dlatego, że nie lubi Gwiezdnego Imperium Manticore. Musi chodzić o coś więcej, a od paru dni nie daje mi spokoju pytanie, dlaczego nas w to wciągnięto. Skoro mieli możliwość przeprowadzenia skutecznego ataku, po co podjęli ryzyko wplątania nas w zniszczenie Królestwa Manticore? Mogli to zrobić samodzielnie, tylko trochę później, z większą liczbą okrętów. Wtedy jednym atakiem załatwiliby sprawę, i to szybko, bo budowa okrętów to kwestia paru lat, nie dziesięcioleci. A skoro mieli tak dobre informacje, jakie musieli mieć, by podobne uderzenie przeprowadzić, musieli także wiedzieć, jak jesteśmy technicznie zacofani w stosunku do Królewskiej Marynarki. Oczywiście więc jest, że nie liczyli na to, że załatwimy sprawę za nich.

- Jesteś pewien? Mogli zostać zmuszeni do działania, gdy zdali sobie sprawę, że nie zdołamy zrobić tego, co dla nas zaplanowali.

- Niemożliwe. O ile nie opanowali umiejętności teleportacji na skalę przemysłową, dotarcie do systemu Manticore zajęłoby im zbyt długi czas. Nie zdążyliby, gdyby rozpoczęli po śmierci Bynga, a wcześniej nie było dowodu na to, jak bardzo jesteśmy zacofani technicznie. A to oznacza, że praktycznie równocześnie rozpoczęli realizację obu wariantów planu, o ile to były warianty, a nie elementy jednego planu wymagające określonego zgrania czasowego. A coraz bardziej jestem przekonany, że to ostatnie jest prawdą. Wiedzieli, że nie zdołamy pokonać Imperium Manticore, ale i tak wmanewrowali nas w wojnę z nim. A to sugeruje, że chodziło im nie tyle o to, by Imperium Manticore znalazło się w stanie wojny z nami, ile o to, abyśmy my weszli w konflikt z Imperium Manticore.

- Dlaczego? - spytała zdziwiona.

- Gdybym znał odpowiedź, nie przejmowałbym się aż tak bardzo. Ale obawiam się, że

byliśmy w błędzie, sądząc, że chodzi o wykorzystanie nas do zniszczenia Imperium Manticore. Myślę, że chodzi o coś znacznie większego. I choć to brzmi nieprawdopodobnie, widzę tylko jeden wystarczająco duży cel, by uzasadniał te wszystkie wysiłki, o których mówiliśmy... - Spojrzał w jej oczy i powiedział: - Nas!

## ROZDZIAŁ XXXIII

- Sekretarz Theisman chce z panią rozmawiać, pani prezydent - oznajmił Antoine Belardinelli.

- Dziękuję, Antoine - odparła Eloise Pritchard, tłumiąc uśmiech.

Antoine był jedynym z jej współpracowników, który z uporem godnym lepszej sprawy „zapominał” mówić „admiral Theisman”, choć tak jak wszyscy wiedział, że woli on tę formę, a miał prawo używać stopnia jako głównodowodzący floty. Belardinelli miał na ten temat swoje zdanie - uważał, że jedną z ważniejszych cech odtworzonej Republiki jest to, iż stanowiska obejmują ludzie wybrani w wolnych wyborach, toteż należy o nich mówić, używając należnych im tytułów. Toczył zresztą w tej kwestii nieustającą wojnę z Angeliną Rousseau, ale to było zrozumiałe. Jako najbliżsi współpracownicy Pritchard, oboje bardzo dobrzy w tym, co robili, musieli się szczerze nienawidzić. Dlatego prawdopodobnie Rousseau przestrzegła wojskowej nomenklatury i generalnie stała po stronie wojska. Zresztą - jak Pritchard podejrzewała, gdyby nie wyszła kwestia tytułu Theismana, znaleźliby inny powód do kłótni. Ponieważ to było niegroźne, nie próbowała nawet z tym walczyć, a Thomas, jak wiedziała, traktował problem czysto rozrywkowo.

- Nie ma za co, pani prezydent. - Belardinelli skłonił głowę i zniknął z ekranu.

A na jego miejscu pojawił się Thomas Theisman.

- Jak się pan ma tego ranka, panie sekretarzu? - powitała go Pritchard.

- Aha, znowu się pożarli. - Theisman.

- Jeśli się nie mylę, Angelina była w zewnętrznym biurze, gdy zadzwoniłem, więc jak znam życie, zapomniał użyć zestawu cicho mówiącego.

- Zastanawiałeś się nad tym, żeby zamknąć ich oboje w jednym pomieszczeniu z pulsarem? Mogłoby to być interesujące.

- I sprzedawać bilety? Niestety Sheila nie pozwala mi się bawić bronią.

- No to dać każdemu z nich po widelcu.

- A to już byłoby niehumanitarne.

- Szkoda.

- W rzeczy samej. A skoro najważniejsze mamy już z głowy, to czemu zawdzięczam tę przyjemność, admirale Theisman?

- Przeprowadziliśmy analizę, o którą prosiłaś - odparł już poważnie.

- Rozumiem. I jakie wnioski?

- Takie, jakich się chyba spodziewałaś. Bitwa o Spindle w sumie nie zmienia naszej sytuacji strategicznej. Nadal mamy przesrane, jeśli Królewska Marynarka nas zaatakuje. Teraz zmieniło się tylko to, że mamy towarzystwo i Liga ma jeszcze bardziej przesrane. Prywatnie sprawia mi to satysfakcję, bo pamiętam, ile musieliśmy płacić za solarne rozwiązania techniczne w pierwszej fazie wojny.

Pritchard pokiwała głową - cały raport przestudiować zamierzała później, natomiast wnioski chciała poznać jak najszybciej. I tak jak Theisman podejrzewał, pokrywały się one z jej własnymi.

- Jak rozumiem, admirał Trenis uważa, że zapisy dostarczone przez Harrington są autentyczne? - upewniła się.

- Tak. Ciekawostką jest mniejsza skuteczność rakiet, niż sami zaobserwowaliśmy, ale podejrzewam, że powodem było to, iż ciężkie krążowniki nie miały takich możliwości kontroli ogniowej, by w pełni wykorzystać przewagę łączności grawitacyjnej. Na pewno nie był to skutek użycia czegokolwiek, czym dysponowały okręty solarne. Prawda jest taka, że Marynarka Ligi jest bardziej zacofana, niż my byliśmy w czasie operacji Buttercup w stosunku do Royal Manticoran Navy. A to z kolei świadczy o niewiarygodnej wręcz nieskuteczności solarne wywiadu. Przecież strzelamy do siebie z RMN wieloczołowymi rakietami już od dość dawna, a nie ulega wątpliwości, że ta cała Crandall nie miała pojęcia, co to w praktyce oznacza. Wydawać by się mogło, że wywiad floty solarnej powinien był zwrócić uwagę dowództwa Marynarki Ligi na takie drobne szczegóły techniczne.

- Cóż, jedną z niewielu kwestii, w których od zawsze zgadzałam się z Królestwem, było to, że Liga jest najbardziej aroganckim i zadufanym w sobie wrzodem na tyłku całej skolonizowanej galaktyki. Nie cieszy mnie, że bez sensu zginęło tylu ludzi, ale czuję sporą satysfakcję, widząc wszechmocną Ligę Solarną bezradnie leżącą z mordą w trocinach, podczas gdy ktoś dotąd pogardzany i lekceważony tańczy jej na plecach trepaka.

- Święte słowa - uśmiechnął się Theisman. - Ale jako sekretarz wojny mam obowiązek poinformować, że tym samym zagrożenie Gwiazdowego Imperium Manticore ze strony Ligi Solarnej poważnie osłabło.

- Jak rozumiem, nie podzielasz przekonania Youngera, że sama wielkość Ligi powstrzyma Gwiazdne Imperium przed konfrontacją, bo się jej przestraszy?

- Bądźmy poważni. - Theisman skrzywił się z niesmakiem. - Można Królestwu Manticore zarzucać różne rzeczy, ale nie to, że łatwo je przestraszyć. Gdyby było inaczej albo

gdyby wielkość przeciwnika miała dla niego znaczenie, rządiliby nadal Legislatorzy, a system Manticore wchodziłby w skład Ludowej Republiki Haven. A jak widać, ani Legislatorzy nie rządzą, ani ten system do nas nie należy. Nic nie wskazuje na to, by Gwiazdne Imperium Manticore miało okazać się bardziej strachliwe. Przypominam o tym na wypadek, gdybyś tego nie zauważyła.

- Dzięki, bo jakoś mi to umknęło.

- Jestem pewien, że Królestwo wolałoby uniknąć konfrontacji na pełną skalę z Ligą - dodał poważniej Theisman. - Ma bowiem namacalny dowód, czyli nas, na to, że przewaga techniczna jest zawsze chwilowa. Liga na dodatek jest cholernie duża i cholernie bogata i bez problemów może sobie pozwolić na równoczesne uruchomienie setki programów naukowo-badawczych, by dorównać Królewskiej Marynarce pod każdym względem. W końcu uda im się skopiować nowe rodzaje uzbrojenia, a kiedy zostaną wprowadzone do użycia, Gwiazdne Imperium Manticore stanie się historią. Ale jeśli przywódcy Ligi nie są bandą skończonych kretynów, czego wykluczyć się nie da, powinni zdać sobie sprawę, że przez najbliższych kilka lat - byłaby to wojna jednostronna, którą najlepiej opisałoby słowo „masakra”. Mogą być na tyle głupi, by się na nią zdecydować, ale poważnie wątpię, by nawet solarna opinia publiczna była w stanie długo tolerować straty, jakie przyniosłoby to Marynarce Ligi.

- A kogo to obchodzi? - spytała uprzejmie. - W państwie, w którym władzę absolutną sprawują urzędnicy nie rozliczani przez wyborców?

- W tej chwili - dodał Theisman. - Ale sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana, i to politycznie, nie tylko militarnie, biorąc pod uwagę sektor Maya. Poza tym wystarczy popatrzeć na nas: jeszcze nie tak dawno obywatele Ludowej Republiki mieli do powiedzenia dokładnie tyle samo co obecnie obywatele Ligi Solarnej, co uległo raczej drastycznej zmianie, gdy flota pod dowództwem White Havena zaczęła wybierać się tu z wizytą, co skupiło uwagę Saint-Justa na tyle, że zapomniał o kwestiach wewnętrznych. Ludzie szybko się uczą, zwłaszcza jeśli mają pod nosem świeży przykład.

Już miała mu się odciąć, gdy zrozumiała, że mówi zupełnie poważnie. Gdyby taka sugestia pochodziła od kogokolwiek innego, uznałaby ją za niedorzeczną, bo Liga mimo skorumpowania nadal miała się dobrze i pomyśl, że system rządów istniejących od stuleci mógłby zostać gwałtownie zmieniony, wydawał się absurdalny. Ale Thomas Theisman miał w tej kwestii najwięcej doświadczenia z żyjących. I choć nie cierpiał polityki, dobrze ją rozumiał. A na dodatek był najlepiej zorientowaną w historii osobą, jaką znała, skoro więc uważał, że Ligę Solarną może spotkać taki sam los...

- Cóż, sądzę, że w tej chwili wynik bitwy o Spindle doda pewności siebie

Gwiezdnemu Imperium - powiedziała, odsuwając resztę problemu Ligi na plan dalszy. - RMN udowodniła, że ma zdecydowaną przewagę nad Marynarką Ligi, toteż przekonanie McGwire'a i Youngera, że Gwiezdne Imperium będzie bardziej skłonne do ustępstw, wydaje mi się nieuzasadnione.

- Jakie uprzejme sformułowanie - pochwalił ją Theisman. - Najprawdopodobniej dlatego Harrington przekazała nam te zapisy odczytów. Jestem pewien, że dokładnie to rozważyła. Potencjalnie mogła w ten sposób dać nam dodatkowe informacje o ich uzbrojeniu, ale widocznie uznała, że ważniejsze jest, abyśmy zobaczyli, jak skuteczne są ich rakiety wobec solarnych okrętów, bo wtedy lepiej zrozumiemy, dlaczego są tak pewni siebie. A prawdę mówiąc, sytuacja taktyczna była taka, że z nagrań wyciągnęliśmy niewiele więcej, niż już wiedzieliśmy. Tak naprawdę chciałbym wiedzieć, jak wyglądałby ostrzał, gdyby ogniem kierowały jednostki klasy *Nike*, bo nie mam nawet pojęcia, czy są wyposażone w ten system kontroli ognia szybszy od prędkości światła.

- W takim razie najlepiej będzie, jeśli osobiście wytłumaczysz to Youngerowi i McGwire'owi. Wiem, że ich serdecznie nie trawisz, ale byłabym wdzięczna, gdybyś skorzystał z okazji i wyjaśnił im to dobitnie i po literkach.

- Chcesz, żebym siadł na nich jak tona cerambetu jako minister czy jako głównodowodzący?

- Jako obaj. Muszą to dobrze zrozumieć. Widzisz, Harrington była jak dotąd nader cierpliwa w kwestii korespondencji dyplomatycznej, ale nie udawała, że o niej zapomniała. Sądzę, iż ponieważ przyznaliśmy, że to my wszczęliśmy tę wojnę i zerwaliśmy rozejm, wznowiając walki, jest gotowa poczekać. Myślę też, że zgodziła się na te durne dyskusje o plebiscytach i zasadach naliczania odszkodowań, żeby oczyścić pole dla najgorszej kwestii. Prawdopodobnie uznała też, że jeśli rozmowy nabiorą tempa i kolejne sprawy zostaną uzgodnione, pomoże nam w załatwieniu następnych niejako z marszu. To rozsądne posunięcie, wskazujące na instynkt dyplomatyczny. Ale nie unikniemy dyskusji na ten temat, i to wkrótce. Z jednej strony pójdzie łatwiej, niż ona się spodziewa, ale wszyscy z naszej strony muszą rozumieć konsekwencje zerwania rozmów.

- Myślisz, że ta parka jest tak głupia, że jeszcze tego nie wie? - zdziwił się Theisman.

- Nie wiem - przyznała, marszcząc brwi. - Wiem, że żadnemu nie ufam w niczym poza tym, co uważają za dobre dla siebie. To para cynicznych egoistów, dla których nic innego się nie liczy, ale nie wiem, jak dalece który jest dobry w rozpoznaniu granic swoich możliwości. Younger martwi mnie bardziej, bo moim zdaniem jest przekonany, że zawsze zdoła wypłynąć i postawić na swoim. McGwire jest chyba większym egoistą, o ile to w ogóle

możliwe, ale też większym pragmatykiem, i już zrozumiał, że rzeczywistość ma wredny zwyczaj czasem okazywać się inna, niż on chce. Younger jeszcze do tego nie dorósł. Dlatego dobrze byłoby uzmysłwić im dobitnie, że militarnie leżymy.

- Serdeczne dzięki.

- Przywilej stanowiska i kolejna możliwość bliższego poznania politycznych wybrańców narodu.

- Pewnie. Uprzedź Sheilę, że będę miał broń.

\* \* \*

Siedząca przy biurku Pritchard uniosła głowę znad dokumentu - właściwie zawsze, będąc w gabinecie, czytała coś oficjalnego - i zmarszczyła brwi. Gdy sygnał rozległ się powtórnie, westchnęła i nacisnęła klawisz.

- Tak?

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale myślę, że będzie lepiej, jeśli tym razem zrobi pani wyjątek i przyjmie połączenie - Angelina Rousseau zaczęła mówić, nim jeszcze pojawiła się na ekranie.

- Za godzinę zaczyna się przyjęcie!

- Wiem, pani prezydent, ale to admirał Harrington i mówi, że to ważne!

Pritchard wyprostowała się odruchowo.

- Powiedziała, o co chodzi?

- Nie. Wiem tylko, że z Manticore właśnie przybył kurier.

- Kurier, powiadasz?

- Tak, pani prezydent. - Angelina Rousseau była piękną dziewczyną, ale pracę zawdzięczała dorównującej urodzie inteligencji, a nie walorom dekoracyjnym. - Niespełna pół godziny temu wyszedł z nadprzestrzeni i natychmiast nadał wiadomość grawitacyjną do okrętu flagowego 10. Floty.

- Rozumiem... Cóż, lepiej będzie, jak z nią porozmawiam. Uprzedź Sheilę, że możemy się spóźnić na to przyjęcie.

- Rozumiem, pani prezydent.

Rousseau zniknęła, a na ekranie pojawiła się Honor Harrington. Pritchard przyjrzała się jej, mając nadzieję, że dobrze maskuje obawę. Na szczęście treecat był za daleko, by odkryć prawdę, ale podejrzewała, że niewiele to zmieniało w tych okolicznościach. Polubiła Honor, ale to nagłe żądanie rozmowy zaniepokoiło ją.

Głównie dlatego, że ostatnio wszystko przebiegało tak dobrze i pomyślnie - biorąc

pod uwagę historię dotychczasowych stosunków Republiki Haven i Gwiazdowego Królestwa Manticore, trudno było pozbyć się natrętnej myśli, że zaraz nadejdzie niespodziewana katastrofa. Stąd nerwowe reakcje na wszystko, co niespodziewane.

Pritchard podejrzewała, że gdyby zajmowały się tym tylko we dwójkę, w mniej niż miesiąc uzgodniłyby warunki i treść traktatu pokojowego. A tak minęły prawie dwa miesiące i brakowało im jeszcze ustaleń w kwestii odszkodowań i korespondencji. Musiała jednak przyznać, że po stuleciach wrogości i 20 standardowych latach walk i tak było to tempo zgoła błyskawiczne.

Być może po części dlatego, że po stosownej rozmowie z Kevinem Gerald Younger i Samson McGwire nie przeszkadzali tak, jak by mogli. Naturalnie byli obstrukcjonistami, ale jakoś nie wkładali w to serca. Nawet zgodzili się bez większych problemów, na przyznanie, że to Republika wznowiła walki i rozpoczęła wojnę. Ich chęć do ustalenia reparacji, gdy druga strona była nadal „pod presją Ligi”, nawet przyspieszyła całą sprawę i w jej ocenie od porozumienia w tej sprawie, opartego zresztą na propozycji Honor, dzielił ich najwyżej dzień lub dwa.

A wtedy zostanie ostatnia, najtrudniejsza kwestia - sfałszowania korespondencji. Obawiała się, że w tej sprawie nawet Kevin jej nie pomoże, bo wyglądało na to, że ani McGwire, ani Younger nic nie wiedzieli o manipulacji Arnolda, co było o tyle dziwne, że należeli do jego bliskich sojuszników. Istniała oczywiście możliwość, że tylko starannie to ukrywali i najlepsi ludzie Kevina nie byli w stanie odkryć choćby śladu tego faktu. A ona dotąd im tego nie powiedziała, by uniknąć problemów. Nie ulegało wątpliwości, że szok na wieść o tym, co się naprawdę stało, będzie taki, że prawdopodobnie przełamie strach przed Usherem, a będą dysponowali potężną bronią, by osiągnąć jakieś wymarzone prywatne korzyści kosztem państwa i rozmów pokojowych.

Jedyne, co mogła zrobić poza ukatrupieniem ich obu, to napuścić na nich Theismana w nadziei, że zdoła im uzmysłwić, że tym razem stawką jest byt państwa, a jeśli jego zabraknie, o prywatnych korzyściach mowy nie będzie. Ale wątpiła, by mu się to udało, bo mimo bitwy o Manticore jakoś ta prawda im umknęła. Zdecydowanie wolałaby, żeby Honor ich zadusiła, na co ta miała wielką ochotę i co mogłaby zrobić bez trudu. Natychmiast podpisałyby akt ułaskawienia, najlepiej krwią obu mend... I dopiero w tym momencie przyszło jej do głowy, że nie musiałyby się wysilać: admirał Harrington chronił przecież immunitet dyplomatyczny.

- Dziękuję, że tak szybko zgodziła się pani ze mną porozmawiać - powiedziała Harrington. - Wiem, jak jest pani zajęta, pani prezydent.



- Nie ma sprawy, pani admirał. - Pritchart uśmiechnęła się, nie kryjąc ironii. - Niewiele osób w systemie Haven jest ważniejszych od pani. A poza tym nasze rozmowy zawsze są... interesujące.

Honor odpowiedziała uśmiechem, ale widać było, że nie ma w nim wesołości, co wzmogło czujność Pritchart.

- Obawiam się, że ta rozmowa będzie krótka - ostrzegła ją Harrington.

- Tak? - spytała ostrożnie Pritchart.

- Tak. - Harrington wzięła głęboki oddech i niepokój Pritchart zmienił się w coś znacznie silniejszego. Honor Harrington nie należała do osób skłonnych do wahania, a teraz wyglądała nie tylko na niepewną, ale wręcz na wstrząśniętą.

- Obawiam się, że będziemy zmuszone zawiesić negocjacje, pani prezydent. Przynajmniej na krótko.

- Przepraszam? - wykrztusiła Pritchart, czując, jak podłoga usuwa się jej spod nóg.

To, co czuła, to już nie był strach, lecz panika - jeśli Królestwo wznowi działania wojenne...

- Zapewniam, że to nie ma nic wspólnego z przebiegiem rozmów - dodała Harrington pospiesznie, jakby czytając w jej myślach. - Mam też nadzieję, że wznowimy je wkrótce, ale póki co zostałam odwołana.

- Rozumiem - zęgła Pritchart, bo nic nie rozumiała. - Wiadomo, kiedy pani wróci?

- Obawiam się, że nie. Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy w ogóle wrócę.

- Ale... dlaczego? - pytanie było jak najbardziej niedyplomatyczne i wywołane niepokojem tyleż o negocjacje, co o osobę, którą polubiła.

- Pani prezydent... - zaczęła Harrington i chyba zrozumiała motywy Pritchart, bo po chwili przerwy powiedziała innym tonem: - Eloise, odwołano nie tylko mnie, ale i całą Ósmą Flotę.

Po plecach Pritchart przeszedł lodowaty dreszcz.

Do obecności Ósmej Floty Royal Manticoran Navy będącej niczym elegancki miecz Damoklesa zdążyła się już przyzwyczaić, a poza tym jak długo znajdowała się ona w systemie Haven, było pewne, że nie robi nic przeciwko Republice. Ale... Nagle zdała sobie sprawę, że Harrington jest nie tylko wstrząśnięta, ale i przestraszona. Kogoś, kto wielokrotnie patrzył śmierci w twarz, niełatwo było przestraszyć, więc to, co się stało, musiało być...

- Liga Solarna? - spytała.

Harrington zawahała się przez chwilę, westchnęła i przyznała:

- Nie wiemy... jeszcze. Osobiście wątpię, ale to tylko pogarsza sprawę. Dowiedzie się

wszystkiego szybko i jestem pewna, że też zaczniecie spekulacje na temat tego, jaki będzie to miało wpływ na negocjacje i na waszą pozycję. W tej chwili nie mam pojęcia, jak to zmieni sytuację, ale mam nadzieję... miałam ją, jeszcze zanim zdążyłam poznać ciebie i Thomasa, że Królowa nie zostanie zmuszona do usztywnienia stanowiska, ale prawdę mówiąc, nie mogę tego obiecać. Nie polecono mi tego zrobić, ale przed odlotem wyślę ci kopię oficjalnej wiadomości od Elżbiety. Teraz przedstawię ci sytuację w skrócie. Otóż...

## ROZDZIAŁ XXXIV

- I tyle wiemy w tej chwili o tym, co się wydarzyło - zakończył Thomas Theisman i rozejrzał się po siedzących wokół stołu członkach rządu po czym dodał posepnie: - Nikt jeszcze nie orientuje się, jak zostało to zrobione, i jestem pewien, że ocena strat ulegnie zmianie, choć nie mam pojęcia, czy na plus, czy na minus. Najbardziej martwi mnie to, że nie podejrzewamy, ani kto to zrobił, ani jak, ani też jaki jest jego ostateczny cel.

- Nie chciałbym wyjść na chama, ale co nas tak naprawdę obchodzi, jaki może być ich ostateczny cel? - spytał po chwili Tony Nesbitt, rozglądając się po obecnych. - Z naszego punktu widzenia ważniejsze jest chyba to, że ktoś właśnie skopał tyłek Królestwu... to jest Imperium Manticore, prawda? Teraz będzie im znacznie trudniej nas wykończyć, skoro stracili większość przemysłu.

- Przyznaję, że też mi to przyszło do głowy. - Rachel Hanriott wyglądała na zawstydzoną tym wyznaniem.

- Mnie też - przyznała Henrietta Barloi bez śladu żalu, za to ze sporą satysfakcją. - A to, zdaje się, daje nam znacznie silniejszą pozycję negocjacyjną...

- Pozwólcie zwrócić sobie uwagę, że zmiany w pozycjach negocjacyjnych to broń obosieczna - odezwała się spokojnie Pritchard. - Nikt z negocjatorów w zespole admirała Harrington nie próbował nam wmówić, że Elżbieta Winton nagle nas polubiła i że nie zaproponowała tych negocjacji, znajdując się w pozycji silniejszego. To był zresztą główny powód jej decyzji: pewność, że potrafi kontrolować sytuację, gdybyśmy nie okazali się „rozsadni”. Jeśli uzna, że straciła tę pozycję, i znajdzie się pod ścianą, w obliczu kilku zagrożeń, według mnie zacznie likwidować te zagrożenia, zaczynając od najmniejszego. A zgadnijcie, kto nim będzie: my, Liga Solarna czy przeciwnik, którego jeszcze nie zdołała zidentyfikować?

Barloi nie wyglądała na przekonaną.

Za to Nesbitt zmarszczył brwi.

A Hanriott kiwnęła głową.

- Po dotychczasowym przebiegu negocjacji sądząc i zakładając, że podejście Harrington jest takie samo jak Królowej, uważam, że wołałaby ona to rozwiązanie - odezwała się Leslie Montreau. - Myślę, że chce prawdziwej i trwałej stabilizacji naszych wzajemnych

stosunków. Nie darzy nas sympatią i jest choleryczką, ale też pragmatyczką i wie, że lepiej mieć za plecami sąsiada, z którym wynegocjowała porozumienie, niż takiego, którego rzuciła na kolana brutalną siłą. Ale udowodniła już wielokrotnie, że potrafi być bezwzględna, i jeśli nie osiągnie pokoju, zneutralizuje zagrożenie, jakie stanowimy, tak szybko, jak tylko będzie w stanie.

- I należy brać pod uwagę jeszcze coś - dodał Denis LePic. - Ludzie Trajana też zajęli się tym atakiem, choć bardziej tym, dlaczego zastosowano taką metodę i taki typ broni. Doszli do wniosku, że to nie mogła być Liga Solarna, z wielu powodów, w tym czasie. Wiemy, że to nie byliśmy my, w świetle tego, co się dzieje w Gromadzie Talbott, zostaje więc tylko jeden kandydat. A to niestety rodzi kolejną serię nieprzyjemnych pytań, zaczynając od podstawowego: jak do diabła firma, czy nawet rząd Mesy, używający Manpower jako szyldu, zdołał wejść w posiadanie broni i sił umożliwiających podobny atak? A są jeszcze inne. Bo skoro miał już te możliwości, dlaczego obrał za cel Manticore? A skoro to Imperium Manticore było ostatecznym celem, dlaczego mając takie możliwości, najpierw wmanewrowali Ligę Solarną w konflikt z nim? A jeśli to nie Gwiezdne Imperium jest celem ostatecznym, to co? I skąd mamy mieć pewność, że to jedyny cel ataku w okolicy? Na żadne z tych pytań nie znamy odpowiedzi, dlatego zalecałbym daleko posuniętą ostrożność i niewyciąganie pochopnego wniosku, że wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

- To wszystko prawda, ale biorąc pod uwagę wielkość i wszechobecność floty handlowej Królestwa czy też Imperium Manticore plus zalety, jakie daje Manticore Wormhole Junction, jest cała masa powodów, dla których ktoś dokonał takiego właśnie wyboru - zauważył Nesbitt.

- Może... - odezwał się Stan Gregory. - Ale nie należy zapominać o prawdziwym powodzie wrogości między Manpower i Królestwem. Odliczając nas i Beowulfa, tylko Królestwo od początku poważnie traktuje konwencję z Cherwell. Jeśli dodamy do tego bitwę o Torch i brednie o Green Pines oraz zamach na Królową Berry, powstaje dziwny obraz, prawda?

- Dziwny i w miarę kompletny - dodał Theisman. - Ale nasuwający kolejne pytania: skoro Mesa miała sprzęt umożliwiający wykonanie skrytego ataku na stocznię w systemie Manticore, dlaczego nie użyła go wobec Torch, wynajmując jako najemników niedobitki UB? Potem wystarczyłoby wysłać tam dwa konwencjonalne krążowniki z brygadą desantu i cały system byłby ich.

- By zachować istnienie tej broni w tajemnicy, bo atak na Manticore był ważniejszy - zaproponował Nesbitt. - Żeby skierować podejrzania na nas z uwagi na wykorzystanie

ubeków.

- To może mieć sens, ale wątpię w to - ocenił Theisman. - Kolejność ataków można było odwrócić, a na Mesie wiedzą, że w Królewskiej Marynarce idiotów nie ma. Givens od dawna musiała być świadoma, że to Manpower zbiera po okolicy sieroty po UB, nierozsądne byłoby więc założenie, że ich udział ktokolwiek powiąże z nami. Ale fakt, że to tylko przypuszczenie, tym dobitniej podkreśla to, co powiedział Denis: nic nie wiemy, nie wolno nam więc zakładać czegokolwiek, bo prawdopodobnie będzie to założenie fałszywe. Jako sekretarz wojny twierdzą tylko jedno: ten, kto ów atak przeprowadził, może równie skutecznie i w ten sam sposób atakować nas, a nie widzę żadnego sposobu, by temu przeszkodzić. Zrozumiałe chyba, że nie napawa mnie to optymizmem i pewnością siebie.

\* \* \*

- I co myślicie? - spytała Pritchart.

Obecni byli tylko jej najbliżsi współpracownicy i doradcy - Theisman, LePic i Montreau, która niedawno do nich dołączyła jako spec od polityki zagranicznej. Ta ostatnia była świadoma swej pozycji nowicjuszek, ale skoro żaden z mężczyzn się nie odezwał, wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Straciliśmy półtorej godziny na przyznanie, że nic nie wiemy, ale przynajmniej zdołaliśmy we trójkę ostudzić agresywne zapędy Tony'ego, co może się przydać, jeśli rokowania zostaną wznowione. Nie jestem pewna, czy udało się to do końca z Henriettą.

- Żałuję, że nic nie wiemy - przyznała Pritchart ze szczerością, na którą nie pozwoliłaby sobie w większym gronie. - Denis, ludzie Wilhelma nie mają żadnych poszlak?

- O wszystkich wiesz - skrzywił się LePic. - Kevin też nic nie ma. Chciałbym mieć potwierdzenie co do Cachata i Zilwickiego, bo jeśli ktoś ma pojęcie, co się wyrabia na Mesie, to właśnie oni.

- Nie sądzisz, że to oni sprowokowali atak? - spytała Montreau, a widząc spojrzenia reszty, wyjaśniła: - Nie potrafiłabym wyjaśnić, jak mogliby to zrobić, ale nie wiemy też, co oni porabiali na Mesie ani też o co może Mesie chodzić. A jeśli dowiedzieli się czegoś tak ważnego, że uzasadniło to uderzenie na system Manticore?

- Nie wydaje mi się to możliwe choćby dlatego, że była to operacja wymagająca starannego zaplanowania i przygotowania. Sądzę, że rozpoczęto ją o wiele wcześniej, niż mogłaby to spowodować panika wywołana przez Zilwickiego i Cachata.

- Ja ciągle nie jestem przekonany, że Cachat nie żyje - odezwał się LePic. - Nie twierdzą, że żyje, ale tyle razy wywijał się grabarzowi spod łopaty, że dopóki nie zobaczę

ciała i wyników badań potwierdzających, że to nie klon, nie uwierzę.

- Cóż, obyś miał rację, bo wariat czy nie, ale to nasz wariat - przyznała Pritchart. - I jak powiedziałeś, skoro był na Mesie, może wiedzieć, co się dzieje. Natomiast po wypowiedzi Toma sprzed paru godzin coś mi przyszło do głowy, i to coś niemiłego.

- Witamy w naszej bajce - uśmiechnął się kwaśno Theisman. - A co konkretnie?

- Powiedziałeś, że nie znamy ostatecznego celu napastnika, którym najprawdopodobniej jest Mesa pod szyldem Manpower. Mamy podejrzenia Cachata, że to ona zorganizowała zamach na Królową Berry, a co za tym idzie, na admirała Webstera. W obu zastosowano tę samą metodę wymagającą samobójstwa sprawcy. A jak się głębiej zastanowić, dziwnie pasuje to do końca, jaki spotkał niejakiego Yveśa Grosclaude'a.

Nagle w pomieszczeniu zrobiło się bardzo, ale to bardzo cicho.

- Sugerujesz, że Manpower współpracowało z Giancolą? - spytał ostrożnie LePic.

- Nie. Sugeruję, że Arnold pracował dla Manpower - sprecyzowała Pritchart. - A skoro Mesa była w stanie zmanipulować Ligę Solarną, by ta wzięła udział w wojnie z Królestwem, dlaczego nie miałyby wcześniej zrobić tego z nami? Sprawa była o wiele łatwiejsza, bo zawarliśmy tylko rozejm, bez traktatu pokojowego, więc to ciągle ta sama wojna.

- Mój Boże! - Montreau potrząsnęła głową jak po solidnym ciosie pałką. - Nigdy mi to do głowy nie przyszło!

- Do tej pory nie było podstaw, by przyszło - rzekła Pritchart.

- Możliwe, że właśnie stajemy się zwolennikami spiskowej teorii dziejów - ostrzegł Theisman.

- To lepsze od zamykania oczu na spiski, które istnieją naprawdę - uznała Pritchart. - A skoro już o tym mowa: do tego sposobu przeprowadzania zamachów idealnie pasuje zamach na Harrington. Wiemy, że to nie my, choć nie dziwię się, że Królestwo jest innego zdania, ale jeśli to Mesa, a biologiczna metoda kontrolowania zamachowca wydaje się najprawdopodobniejsza, to miałyby i sposób, i motyw. Jeśli chciałoby się doprowadzić do wojny z nami czy z Ligą, likwidacja jednego z najlepszych strategów Royal Manticoran Navy byłaby jak najbardziej logicznym posunięciem.

- Mam nadzieję, że to pierwsze objawy paranoi - skomentował Theisman.

- Ja też - przyznała uczciwie Pritchart. - Ale jeśli nie, lepiej tę ewentualność traktować poważnie... Teraz żałuję, że nie powiedziałam Harrington o Arnoldzie. Co tak na mnie patrzycie, przecież mówię, że nie powiedziałam. A szkoda, bo ona uszanowałaby moją wolę, gdybym zastrzegła, że nie ma tego nikomu powtarzać, nawet Królowej, w przeciwieństwie do niektórych kreatur z Kongresu, które mamy nieprzyjemność znać.

- Z tym akurat zgadzam się całkowicie - przyznał Theisman.

- Younger i McGwire? - upewnił się LePic.

- Szkoda, że tego nie zrobiłam... - powtórzyła Pritchard. - Biorąc pod uwagę, w jak mętnym bajorze pływamy, naprawdę chciałabym znać jej opinię o możliwości pracy Giancoli na rzecz Manpower.

## ROZDZIAŁ XXXV

Honor siedziała w admiralskim fotelu na pomoście flagowym HMS *Imperator* zbliżającym się ku planecie Sphinx. Na oparciu fotela jak zwykle znajdował się Nimitz, ale tym razem siedział prosto, wpatrując się wraz z nią w główny ekran wizualny. Cisza panująca na pomoście była absolutna, a oni oboje mogliby być kamiennymi posągami.

Honor miała spokojną minę, ale była to tylko maska, za to wyjątkowo w jej głowie nie kłębiły się żadne myśli - była jedynie pustka, równie lodowata jak ta za kadłubem okrętu. Nie musiała już niczego widzieć - symbole na głównym ekranie taktycznym powiedziały jej wszystko. Sytuacja była tak zła, jak się obawiała, a większa niż zwykle liczba sygnatur napędów w dwóch miejscach na orbitach Sphinksa i Manticore oznaczała, że mimo iż minęło już parę tygodni, nadal nie skończono prac porządkowych i sprzątanania pozostałości po obu stacjach kosmicznych, które stanowiły serce przemysłu Gwiezdnego Królestwa, a więc i Gwiezdnego Imperium Manticore.

Po bitwie o Manticore sprzątanie też długo trwało, ale nie robiło aż tak ponurego wrażenia - tym razem większość zabitych stanowili cywile, a wszystkie okręty zostały zniszczone wraz ze stoczniami, nie w walce, do której były przeznaczone. Honor przepełniało irracjonalne poczucie, że zawiodła, i będący jego konsekwencją wstyd. Gdy miała 17 lat standardowych, złożyła przysięgę, że będzie broniła swego kraju i jego mieszkańców nawet za cenę życia. I zawiodła. O tym, że dotąd udawało jej się tej przysięgi dotrzymywać, jak i o tym, że nawet nie znała sprawcy tej masakry, w tej chwili nie myślała.

Świadomość, że to irracjonalne, bo nawet jej tu nie było w chwili ataku, jako że robiła, co mogła, prawie 100 lat świetlnych od systemu Manticore, by zakończyć inną wojnę, także nie pomagała. Była admirałem Królewskiej Marynarki i jedną z osób planujących oraz realizujących jej strategię. Powinna była to zagrożenie przewidzieć i zapobiec mu.

*Imperator* zajął miejsce na orbicie parkingowej bardziej niż zwykle oddalonej od planety, by uniknąć szczątków, które pozostały po stacji kosmicznej HMSS *Vulcan*, i prawie równocześnie rozległ się cichy głos komandora porucznika Harpera Brantleya, oficera łącznościowego:

- Przepraszam, milady.

- Tak? - spytała, dziwiąc się, jak spokojnie brzmi jej własny głos.



- Odebraliśmy prośbę o rozmowę, milady. Z Admiralicji, ale oznaczoną jako prywatna.

- Rozumiem... - Honor wstała, wzięła Nimitza i dodała: - Będę w sali odpraw.

- Rozumiem, milady.

Czuła na sobie spojrzenie Waldemara Tummela, toteż odwróciła głowę i dała mu znak, by nie wstawał. To, co się stało, dotknęło go bardziej boleśnie niż ją, bo rodzice i dwójka z czworga rodzeństwa mieszkali na stacji *Hephaestus*. Ich śmierć nie została jeszcze oficjalnie potwierdzona, ale nie było ich też na liście ocalałych. Próbowwała mu pomóc, ale nie zdołała - nadal wypełniał go smutek i żal. Mimo to robił, co do niego należało - częściowo dlatego, że obowiązki wymagały uwagi i uniemożliwiały myślenie o rodzinie, a częściowo dlatego, że były czymś znajomym, namiastką normalności. A także dlatego, że były to jego obowiązki i nie zamierzał ich nie wykonać.

Na Spencera Hawke'a nawet nie spojrzała, bo było oczywiste, że pójdzie za nią, czy będzie tego chciała, czy nie - taka była jego rola. A dla graysońskiego gwardzisty obowiązek był rzeczą jeszcze bardziej świętą niż dla oficera RMN. Teraz stanął przy drzwiach admirałkiej sali odpraw, gdy te się za nim i za Honor zamknęły, i znieruchomiał.

Teoretycznie powinna kazać mu czekać po drugiej stronie owych drzwi, ale nigdy tak nie postąpiła z LaFolletem, nie miała więc zamiaru obrażać Spencera. Zresztą doświadczenie nauczyło ją, że graysoński gwardzista równie skutecznie co życia swego patrona strzegł jego tajemnic.

Usiadła, postawiła Nimitza na stole i włączyła wmontowany w blat komputer.

- Przełącz tutaj, Harper - poleciła, gdy na ekranie pojawił się oficer łącznościowy.

- Już, ma'am.

Zniknął, a jego miejsce zajął brązowowłosy i brązowooki kapitan z listy, którego rozpoznała natychmiast.

- Witaj, Jackson.

- Dzień dobry, milady - odparł cicho kapitan Jackson. - Miło panią widzieć, choć wolałbym, żeby okoliczności były inne.

- Wiem. - Uśmiechnęła się do szefa personelu Hamisha w Gmachu Admiralicji. - Ciebie też miło widzieć, z tym samym zastrzeżeniem.

- Dziękuję, milady. Pierwszy Lord Admiralicji prosił, bym panią poinformował, że jest obecnie na planecie Sphinx, a raczej na pokładzie promu, który dotrze do pani okrętu za dwanaście minut. Jeśli to pani odpowiada, chciałby jak najszybciej się z panią spotkać.

Tym razem Honor uśmiechnęła się szerzej i cieplej.

- Sądzę, kapitanie Fargo, że jakoś zdołam znaleźć dla niego czas.
- Rozumiem i przekażę, milady.

\* \* \*

Hamish wyglądał upiornie, co Honor zauważyła, ledwie postawił stopę na pokładzie. Poczła, że Nimitz zgadza się z tą oceną i równocześnie martwi o Samanthę. Ta siedziała na ramieniu Hamisha i robiła wrażenie zmęczonej. Jej zwykle nienaganne futro było prawie w nieładzie, ogon zaś zwisał bezwładnie niczym flaga po kapitulacji.

Hamish wyglądał prawie równie źle, ale tylko w oczach kogoś, kto go dobrze znał, gdyż był jak zwykle wyprostowany i pewny siebie. Prawdę mówiły natomiast nowe zmarszczki, więcej siwizny na skroniach i wyraz oczu. No i przede wszystkim bijące z jego umysłu wyczerpanie i bezdenny żal oraz poczucie winy głębsze niż u niej samej.

Po tych emocjach naturalnie śladu nie było w jego zachowaniu w czasie formalnego powitania. Dopiero gdy uścisnęła mu dłoń, zdała sobie sprawę, że leciutko drżą mu palce. Puściła jego dłoń i nim zdała sobie sprawę, co robi, objęła go i przytuliła, opierając policzek na jego ramieniu.

Na moment zeszywniał, bo nigdy dotąd nie okazywali sobie publicznie czułości, przestrzegając zasad militarnego protokołu, ale później także ją objął.

- Witamy w domu, Honor - szepnął.

\* \* \*

- No to cofnęliśmy protokół militarny o jakiś wiek standardowy - oceniła Honor, gdy zamknęły się za nimi drzwi windy.

- Szczerze mówiąc, mało mnie to martwi - uśmiechnął się Hamish. - Ilu admirałów dowodzących flotami ma szansę wyjść za Pierwszego Lorda Admiralicji?

- Niewielu - przyznała, dostosowując się do jego lekkiego tonu, bo wiedziała, ile go to kosztuje.

Winda zatrzymała się, drzwi się otworzyły i Hamish z Samanthą, Honor z Nimitzem oraz Spencer Hawke i sierżant Stimson dyżurujący tego dnia u Hamisha wyszli na korytarz i skierowali się ku drzwiom pilnowanym przez Clifforda McGrawa. Ten zaszalutował i nacisnął przycisk otwierający drzwi.

Gdy te się otworzyły, Honor i Hamish weszli. I zamarli z wrażenia, bo ani Hawke, ani Stimson nie weszli za nimi. Honor spojrzała przez ramię, unosząc brwi, i zobaczyła, że Stimson złapał Hawke'a za ramię, powstrzymując go przed wkroczeniem do środka.

Gwardziści wyznaczeni do osobistej ochrony stanowili niewielkie i zżyte zespoły, ale nawet tam podoficerowie z reguły nie mówili oficerom, co mają robić. A tym razem Hawke nie tylko wykonał polecenie, ale nawet nie zaprotestował - wskazał głową Hamisha i zamknął drzwi.

- Nie wierzę! - przyznała Honor. - Cała trójka będzie stać na zewnątrz, narażając nas na niebezpieczeństwo zanudzenia się bez nich, że o zabójcach w sypialni nie wspomnę. Nie sądzę, żebyś miał z tym coś wspólnego.

- Prawdopodobnie doszli do wniosku, że potrzebujemy zostać sami - odparł Hamish. - I jeśli o to chodziło Toby'emu, to miał doskonały pomysł, bo faktycznie jest nam to potrzebne.

- Amen - przyznała.

I ponownie znalazła się w jego objęciach.

Stali tak długą chwilę, a Nimitz i Samantha pocierali się policzkami, mrużąc cicho.

W końcu Honor odsunęła się i powiedziała głośno:

- W porządku, Mac. Możesz wyjść!

Hamish prychnął ze śladem rozbawienia.

A w otwartych drzwiach kuchni pojawiła się głowa Jamesa MacGuinnessa.

- Witaj, Mac.

- Dobry wieczór, milordzie. Podać panu coś?

- Szklaneczkę whisky. Dużą. Najlepiej z Glenlivet Grand Reserve gospodyni. I nie zanieczyszczaj jej lodem.

- Naturalnie. A co dla pani, milady?

- Myślę, że na whisky jest trochę za wcześnie - odparła Honor, przyglądając się z namysłem Hamishowi. - Ale Old Tilman byłby mile widziany.

- Zaraz będzie, milady - zapewnił MacGuinness.

I zniknął.

Ale tylko na parę sekund, bo natychmiast pojawił się znów, z kuflem piwa i szklanką whisky na małej tacy. Jakim cudem tak błyskawicznie zdołał je napełnić, pozostało jego tajemnicą, ale Honor i tak uznała, że to jeden z przejawów jego magicznych zdolności.

Podał każdemu, co należało, skłonił się i ponownie zniknął, tym razem jednak zamykając za sobą drzwi.

Wskazała Hamishowi kuflem kanapę stojącą przy stoliku do kawy i oboje usiedli. Hamish objął ją ramieniem i pociągnął solidny łyk alkoholu. A potem zamknął oczy, odchylił głowę na oparcie i westchnął ciężko.

Nimitz i Samantha zajęli drugi koniec mebla spleceni w ciasny, futrzaty i pomrukujący cicho kłębek.

Siedzieli w ten sposób naprawdę długo, choć żadne z nich nie wiedziało ile. Pomagało im to, że są razem. W końcu Hamish upił kolejny łyk, opróżniając naczynie do połowy, i otworzył oczy.

- Potrzebowałem tego - powiedział i wiadomo było, że nie miał na myśli whisky. - Emily też tego potrzebuje. Gdy tylko znajdziesz się na Manticore...

- Też chcę ją zobaczyć - przerwała mu cicho. - Ale nie sądzę, by to się szybko stało. Już korzystam z przywilejów rangi, siedząc tu. Nikt nam tego nie wytknie i nie mam też wyrzutów sumienia, ale nie nadużyję władzy, wydając sobie rozkaz pobytu na Sphinksie czy Manticore tylko po to, by zobaczyć się z rodziną.

- I nie będziesz musiała, bo Elżbieta będzie chciała zobaczyć cię tak szybko, jak to tylko możliwe, żeby usłyszeć, jakie były reakcje Pritchard i co ty o tym wszystkim sądzisz.

- To chyba nieuniknione - przyznała.

- Daruj sobie to „chyba” - poradził jej.

Uśmiechnęła się, ale natychmiast spoważniała. Odstawiła nienaruszone piwo i pogładziła go po policzku.

- No dobrze. Ale przypominam ci, że potrafię odczuwać emocje, nie możesz więc chronić mnie przed prawdą w nieskończoność...

- Ja... - zaczął, urwał i odetchnął głęboko. - Wiem.

- Więc mi powiedz.

Przez moment jeszcze milczał, zbierając się w sobie, a potem zaczął mówić, starając się, by brzmiało to rzeczowo i jasno:

- Szczątki *Vulcana* trafiły w planetę. Mógł je przechwycić tylko jeden holownik i jego załoga dokonała cudów, ale nie udało się wyłapać wszystkich. Jeden z największych, który im uciekł, o masie kilkuset tysięcy ton, trafił prosto w Yawata Crossing. Całe miasto zostało zniszczone.

Honor poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w żołądek. Przez kilka sekund wpatrywała się w niego niezdolna zrozumieć tego, co usłyszała. Potem jęknęła i nabrała powietrza.

Hamish ujął jej głowę oburącz i pochylił się, aż ich czoła się zetknęły.

- Wszystkie trzy twoje ciotki - powiedział miękko. - Wujek Al był w podróży, więc przeżył, ale Jason i Owen byli w domu... tak jak wszystkie dzieci. Twój kuzyn Devon, jego żona i dwójka dzieci, Matthias i Frieda, Holly i Eric, Martha. Córka Devona Sarah, kuzyn

Benedict i Leah przeżyli, bo ich nie było. Reszta zgromadziła się na urodzinach ciotki Clarissy...

Skończył wyliczankę.

A z oczu Honor popłynęły łzy. Rodzina Harringtonów była spora. Większość jej członków mieszkała w okolicy lub w samym Yawata Crossing, a uroczystości rodzinne, zwłaszcza urodziny, były dla wszystkich ważne i kto tylko mógł, zjawiał się na nich. Teraz też tak było...

- Przykro mi, kochanie - szepnął Hamish.

Czując jego emocje, zrozumiała, dlaczego rozkazowi odwołującemu ją z Haven nie towarzyszyła żadna prywatna wiadomość od niego. I dlaczego nie było żadnych informacji o zniszczeniach na powierzchni planet. Hamish zdecydował, że o takiej tragedii powinna dowiedzieć się od niego osobiście, a nie z jakiegoś pisma czy nagrania. Była to przytłaczająca decyzja, ale Honor czuła wdzięczność... i wiedziała, że nie powiedział jeszcze wszystkiego.

- Powiedz mi resztę - zażądała chrapliwie.

- Twój ojciec i bliźnięta spóźnili się i byli w drodze na Sphinksa, gdy nastąpił atak. Są cali i zdrowi. Andrew, twoja matka, Lindsey Raoul i Miranda także byli w drodze, ale nie mieli tyle szczęścia, bo lecieli limuzyną...

Usłyszała lament treecatów i już wiedziała, że Miranda i Farragut nie przeżyli...

- Andrew? Raoul? Mama? - spytała, woląc nie analizować jego emocji.

- Raoul i twoja mama są cali i zdrowi, Lindsey ma złamany obojczyk... Byli za blisko miasta. Andrew zdążył odstrzelić dwie kapsuły ratunkowe, nim w limuzynę trafił jakiś mniejszy kawałek stacji. Zabrakło mu czasu, kochanie, by uratować pozostałych i siebie...

Honor już zapomniała, że we wszechświecie może być tyle bólu.

I jaki wszechświat jest wredny.

Przecież LaFolleta przydzieliła do ochrony syna, aby odsunąć go od najniebezpieczniejszej pracy, jaką było chronienie jej samej! A teraz ostatni z pierwotnego zespołu jej osobistej ochrony zginął... i ginąc, dokonał cudu, jakim było uratowanie jej syna i matki.

Starła się go ochronić... i też zawiodła. A fakt, że Andrew zginął świadomie, i to, że gdyby żył i przyszło mu powtórnie dokonać wyboru, zachowałby się tak samo, nie był pociechą. Wiedziała, że z czasem to się zmieni, ale teraz całkowicie wypełniało ją otepiające poczucie straty.

I ból.

- Twoja matka uparła się, żeby wszyscy udali się do White Haven - dodał Hamish. -

Oficjalnie, by być z Emily, naprawdę, by odciągnąć ojca od Yawata Crossing. Nic nie mógłby tam pomóc, bo po prostu nie został nikt, komu można by pomóc. Nie po czymś takim...

- I dobrze zrobiła... - powiedziała przez łzy. - Matka przeważnie ma rację.

- Wiem - powiedział i przytulił ją.

A Nimitz i Samantha przyłgnęły do niej z drugiej strony.

- Jakoś nigdy o podobnej możliwości nie pomyślałam... - powiedziała Honor powoli martwym głosem. - Nigdy do mnie nie dotarło, że coś podobnego może się zdarzyć... że mogę dopuścić, by się zdarzyło...

- Nie dopuściłaś! Nie mogłaś nic zrobić, by temu zapobiec!

- A powinniśmy być w stanie coś zrobić. To nasz obowiązek i nasza praca. Co z nas za pożytek, jeśli nie potrafimy nawet dobrze wypełniać swoich zadań?

W jej głosie brzmiał ból, żal i poczucie winy, które dobrze rozumiał. Nawet lepiej niż dobrze, bo sam czuł to samo. Objął ją mocniej i powiedział z mocą:

- Nie mówisz nic nowego. Sam to sobie powiedziałem, i to wielokrotnie. Jeśli ktoś miał taki obowiązek, - to właśnie Admiralicja, możesz mi więc wierzyć, że nie pomyślisz na swój temat nic paskudniejszego, niż ja pomyślałem o sobie. Ale oboje jesteście w błędzie. Po pierwsze, ciebie tu nawet nie było, a po drugie i ważniejsze, nikt tego nie przewidział, bo nie mógł. I tym razem nikt niczego nie zawalił: wszyscy wykonali swoją robotę wzorowo. Ale znalazł się ktoś lepszy od nas, kto wymyślił coś, czego nie można było przewidzieć, a więc czemu nie sposób było zapobiec.

Zesztywniała. Nie potrzebował telepaty, by wiedzieć, że chce odrzucić to, co właśnie usłyszała, ale nie pozwolił na to i przez długi czas siedzieli tak w napięciu.

Nagle zwiotczała i zaczęła szlochać, wspierając głowę na jego ramieniu.

Westchnął z ulgą, wyjął z kieszeni chusteczkę i delikatnie otarł jej łzy.

- Lepiej? - spytał cicho.

- Trochę - odparła, nie wiedząc, czy to prawda.

- Przykro mi, kochanie.

- Wiem. - Poklepała go delikatnie po ramieniu. - Wiem.

Znów nastąpiła długa chwila ciszy.

A potem Honor odetchnęła głęboko i usiadła prosto.

- Będzie mi ich brakowało - powiedziała miękko.

Ale jej oczy były już twarde i zimne.

Earl White Haven dobrze znał swoją żonę. Nie bez znaczenia był tu fakt, że oboje zostali adoptowani przez treecaty, i to na dodatek również tworzące parę. Widywał ją przez te

lata w różnych sytuacjach, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nigdy nie poznał Salamandry. Po prostu nigdy nie znalazł się we właściwym miejscu w stosownym czasie.

Nie miał okazji być obok, gdy przy dźwiękach Hammerwella prowadziła podziurawiony ciężki krążownik na ostatnie spotkanie z krążownikiem liniowym, by ocalić planetę pełną obcych. Nie stał obok niej na łące w Landing, gdy z pistoletem w dłoni i żądzą zemsty w sercu rozstrzelała w pojedynku tego, kto zapłacił za zabicie jej pierwszej miłości, ani w Sali Konklawe, gdy miała do czynienia z wielekroć bardziej doświadczonym w walce na miecze przeciwnikiem, a za nią stały duchy wielebnego Juliusa Hanksa, dzieci z Domeny Muellera i mieszkańców jej domeny.

Teraz patrząc w jej oczy, pojął, że w końcu spotkał Salamandrę.

I rozpoznał, z kim ma do czynienia, oraz zrozumiał, że mimo imponującej liczby odniesionych zwycięstw nigdy jej nie dorówna. Bo on był żołnierzem, a ona wojownikiem. Mógł być równie dobrym taktykiem, strategiem czy dowódcą, ale nie miał tego, co samą Honor przerażało, bo jak mu się przyznała, gdyby wymknęło się jej spod kontroli, mogłaby stać się jednym z największych zbrodniarzy w dziejach.

Dopiero teraz dotarło doń, co próbowała mu wtedy wyjaśnić - to było połączenie bezwzględności, żądzy zemsty, której nic nie mogło powstrzymać, i świadomości, że jest się w stanie zrobić wszystko, by osiągnąć cel, i ma się doświadczenie, by to uczynić. Zrozumiał, że gdyby nie poczucie obowiązku, miłość, współczucie i honor, którymi spętała owe skłonności, byłaby najbardziej przerażającą osobą, jaką w życiu spotkał.

A teraz pęta puściły.

Zdał sobie sprawę, że piekło wcale nie jest gorące. Piekło było tak lodowate jak oczy jego ukochanej żony w tej chwili.

- Będzie mi ich brakowało - powtórzyła podejrzanie miękko. - Ale nie zapomnę. I przyjdzie dzień, w którym znajdziemy tych, którzy to spowodowali. Znajdziemy ich, ty i ja. A wtedy będę miała tylko jedno pragnienie: by los czy Bóg pozwolił im pożyć na tyle długo, by zrozumieli, kto ich zabija. Wszystkich.

## ROZDZIAŁ XXXVI

- Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną zobaczyć, milady. Wiem, że to dla pani trudny czas.

- Nie masz za co dziękować, Judah - odparła Honor, wstając zza biurka na widok admirała Judaha Yanakova, którego MacGuinness wprowadził do jej gabinetu.

Wyraz twarzy i zachowanie tego ostatniego mogłyby oszukać większość ludzi, ale Yanakov znał go zbyt dobrze. Widać było, że martwi się stanem ducha tak Jamesa, jak i Honor. Zwłaszcza Honor.

- To trudny czas dla wielu - dodała, podając mu rękę na powitanie.

- Wiem. - Przyglądał jej się badawczo, nie próbując ukryć troski.

Honor była pewna, że należy do tych, którzy zorientowali się, że dzięki Nimitzowi zna emocje otaczających ją ludzi, choć nigdy tego nie okazał. Ani też nie próbował ukrywać swoich. Stąd wiedziała, że poza szacunkiem czuje do niej sympatię, a teraz szczerze się o nią martwi. To naturalnie nie było wszystko... ale właśnie dlatego chciał się z nią zobaczyć osobiście.

- Siadaj. - Wskazała na fotel z widokiem na Zatokę Jasona za zajmującym całą ścianę ekranem. - Coś do picia?

Potrząsnął przecząco głową.

- W takim razie damy sobie radę sami, Mac - oceniła, patrząc na MacGuinnessa.

Ten prawie się uśmiechnął, skłonił lekko głowę i wyszedł.

Honor obserwowała go, dopóki nie zamknął za sobą drzwi, a potem spojrzała na zatokę. Zbliżał się sztorm, sądząc po falach i czarnej ścianie chmur. Doskonała pogoda - pasowała do jej nastroju.

Ostateczna liczba zabitych nie była jeszcze znana, ale straty rodziny Harringtonów były. Oprócz rodziców, rodzeństwa i syna oraz Hamisha, Emily i Katherine Honor pozostało dokładnie pięciu krewnych w Gwiezdnym Imperium Manticore. A wkrótce będzie tylko czterech, bo stryj Allen po stracie żony i czterech córek zdecydował się wrócić na Beowulfa. Na Sphinksie było za wiele wspomnień, potrzebował też wsparcia bliskich, których tam już nie miał...

Przeżyło czworo kuzynostwa - Sarah, która nagle stała się drugą księżną Harrington, Benedict i Leah - dzieci ciotki Clarissy, oraz daleki krewny, którego nigdy nie poznała bliżej.



Wiedziała, że ma niezwykle szczęście, bo ocalała jej najbliższa rodzina, ale trudno było czuć wdzięczność do losu, biorąc pod uwagę, ilu krewnych zginęło.

Nimitz siedzący na swojej grzędzie przy oknie bleeknął ostrzegawczo. Czowała jego smutek i żal - uczucia podzielane przez wszystkie treecaty po zagładzie Klanu Czarnej Skały. Wiedziała, że decyzja Nimitza i Samantha o przeniesieniu rodziny na Graysona była częścią świadomej zmiany w myśleniu treecatów. Podejrzewała, że Samantha odegrała większą rolę w doprowadzeniu do tych zmian, niż przyznawała się dwunogom. Była to reakcja na broń, jaką dysponowali ludzie, ale reakcja czysto intelektualna, środek ostrożności wobec zagrożenia czysto teoretycznego, które w opinii większości treecatów nigdy nie miało nastąpić, a przynajmniej którego nastąpienia się nie spodziewały.

Teraz to się zmieniło.

Honor nie byłaby zdziwiona, gdyby treecaty uznały, że to, co się stało, jest najlepszym dowodem słuszności opinii przodków uważających, że nie należy zadawać się z ludźmi. Albo gdyby obwiniły swoich ludzi, że dopuścili do czegoś podobnego, tocząc jakąś głupawą wojnę, z którą treecaty nie miały nic wspólnego. Nie byłaby też zaskoczona, gdyby odbiło się to negatywnie na wzajemnych stosunkach obu ras.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Być może dlatego, że treecaty były pod pewnymi względami tak podobne do ludzi. A być może dlatego, że były bardzo odmienne - prostolinijne i pozbawione ludzkiej skłonności do obwiniania o katastrofę tych, którzy byli pod ręką. Niezależnie zresztą od powodów zareagowały żalem i wściekłością. Wściekłością nie na swoich dwunogów, lecz na tych, którzy byli rzeczywistymi sprawcami nieszczęścia. Była to wściekłość lodowata, skoncentrowana i śmiertelnie groźna. Honor lepiej niż ktokolwiek wiedziała, jak groźny potrafi być wściekły treecat. Czym może okazać się wściekłość całej rasy, nawet nie próbowała sobie wyobrazić. Z pewnością znaleźliby się ludzie, którym groźba ze strony niewielkich, kudłatych stworzeń używających ledwie prostych narzędzi wydałaby się śmieszna, ale dla niej była jak najbardziej poważna. Może dlatego, że była tak do nich podobna i dobrze wiedziała, jaki będzie skutek jej własnej wściekłości, która niczym się nie różniła od tego, co one czuły.

Skrzywiła się w duchu, świadoma, ku czemu zoczyły jej myśli, i skupiła się na burzy zbliżającej się znad morza. Fale były coraz wyższe i postanowiła posłać kogoś, by sprawdził, czy *Trafalgar* jest dobrze zacumowany. Powinna to zrobić sama, ale nie miała czasu, a poza tym Spencer nie wypuściłby jej samej z domu.

Omali się nie uśmiechnęła, przypominając sobie reakcję Spencera na wieść, że zaraz

po wizycie u Królowej zamierza popływać skipem tylko z Nimitzem. Próbował ją przekonać, żeby wzięła ze sobą choć jednego gwardzistę, ale choć wszyscy już umieli dobrze pływać, odmówiła. Nic natomiast nie mogła poradzić na to, że pływała pod ochroną trzech myśliwców i w pełni wyposażonej maszyny ratownictwa morskiego z dwoma pletwonurkami w gotowości do natychmiastowej akcji. Jedyne, co zdołała wymusić, to żeby latały naprawdę wysoko i nie zakłócały jej samotności, której oboje z Nimitzem tak bardzo potrzebowali.

Pogoda była wtedy burzowa, ale nie tak jak obecnie, a ona od tak dawna nie czuła słonego wiatru i kropli wody na twarzy. Sterowanie łodzią było znajome, podobnie jak plusk wody za burtą, krzyki morskich ptaków i fontanny pyłu wodnego. Odzyskała więc z morzem błyskawicznie, a dzięki niej i więc z życiem, choć to dłużej potrwało. Naturalnie pozostały bliźni po stracie rodziny, LaFolleta i Mirandy, ale pogodziła się z tą stratą naprawdę. Przetrwała wiele, więc przetrwa i to, ale uzna sprawę za do końca załatwioną, dopiero gdy wyrówna rachunki... Śpiew wiatru w olinowaniu, ruch pokładu pod stopami i poczucie wolności naprawdę czyniły cuda... postanowiła namówić ojca, by jej potowarzyszył pod koniec tygodnia...

Otrząsnęła się ze wspomnień i spojrzała na Yanakova.

- Zawsze miło cię widzieć, ale biorąc pod uwagę, jak wszyscy jesteśmy ostatnio zajęci, wątpię, by powody twojej wizyty były czysto towarzyskie - powiedziała z lekkim śladem uśmiechu.

- Jak zwykle, milady, ma pani rację.

- Cóż, w takim razie, panie admirale, do rzeczy - zaproponowała.

Yanakov uśmiechnął się, lecz natychmiast spowaźniał.

- Głównym powodem mojej wizyty jest to, że chciałem się pożegnać.

- Pożegnać? - powtórzyła całkowicie zaskoczona.

- Tak, milady. Zostałem odwołany, bo jestem potrzebny w domu.

- A! - mruknęła, siadając prosto.

Informacje o skutkach ataku na Yeltsin przeprowadzonego równocześnie z atakiem na Manticore były niekompletne, choć dla jednostki kurierskiej było to mniej niż cztery dni lotu. Choć biorąc pod uwagę skalę zniszczeń, jakie zastała po powrocie do domu, nie wydawało się to jej aż tak dziwne - w pierw należało uporządkować to, co zostało, by tak naprawdę zorientować się, jakie są straty.

- Otrzymałeś jakieś pełniejsze informacje? - spytała.

Przytaknął z ciężkim westchnieniem.

- Tak. A tu jest kopia dla pani - i położył na blacie wyjęte z kieszeni płaskie pudełko z

chipem.

W zasadzie powinien je przekazać Admiralicji, ale Honor była drugim w hierarchii oficerem Marynarki Graysona „czasowo oddelegowanym” do służby w Royal Manticoran Navy, jego postępowanie było więc uzasadnione.

- Jakie straty? - spytała cicho.

- Gorsze, niż pierwotnie sądzono. *Blackbird* przestał istnieć, milady, i wygląda na to, że straciliśmy praktycznie wszystkich stoczniovców.

Honor pokiwała głową - nie była to niespodzianka po pierwszym raporcie, choć miała nadzieję, że był on przesadzony. Stocznia *Blackbird* składała się z rozproszonych modułów stoczniowych, dlatego liczyła na to, że atak będzie mniej skuteczny niż w stosunku do dużych celów takich jak stacje kosmiczne. Zdawała sobie jednak sprawę, że ten, kto zaplanował całą tę operację, także o tym wiedział i zapewne dostosował do tego taktykę ataku. Najwyraźniej tak właśnie się stało.

- Użyli mniej rakiet z graserami, za to o wiele więcej konwencjonalnych - dodał Yanakov. - Straciliśmy 96% stoczni. Są zniszczone kompletnie lub tak uszkodzone, że nie ma sensu ich naprawiać. I zginął prawie cały personel stoczniowy.

Honor ponownie skinęła głową. Była jednym z największych inwestorów, gdy *Blackbird* budowano, i wiedziała, że zniszczenie stoczni będzie miało poważne konsekwencje ekonomiczne dla Graysona. Ale to było mało ważne w porównaniu do strat w ludziach: prawie 1/3 stoczniovców pochodziła z domeny Harrington lub była pracownikami *Skydomes*. A 18% z nich stanowiły kobiety, co jak na patriarchalne społeczeństwo graysońskie było rekordem.

- Jedyne dobre informacje są takie, że stocznie były na tyle oddalone od planety, że żadne szczątki nie spadły na powierzchnię i nie uszkodziły habitatów orbitalnych czy farm.

- Dzięki Bogu!

- No i to, że w stoczniach były głównie nowo budowane okręty, straciliśmy więc niewiele w pełni sprawnych jednostek i niewielu ludzi.

- A ciebie ściągają, żebyś zajął się obroną systemową - dokończyła.

Ale ku jej zaskoczeniu Yanakov potrząsnął przecząco głową.

- Obawiam się, że nie, milady. Kurier przywiózł rozkaz Protektora i wiadomość od niego do pani. - Położył na blacie drugie pudełeczko. - Zapewne wszystko wyjaśnia tam szczegółowo, ale chciałem to pani powiedzieć osobiście.

- Powiedzieć mi co? - spytała. - Bo zaczynam się naprawdę denerwować tym twoim krążeniem wokół tematu.

- Przepraszam, milady, ale... - Yanakov wziął głęboki oddech. - Dostałem awans na Wielkiego Admirala, milady.

Przez moment do Honor nie dotarło, co to znaczy.

A potem odruchowo potrząsnęła głową w bezsensownym i nic nie dającym zaprzeczeniu.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu.

W końcu przerwała je cicho zadaniem pytaniem:

- Wesley był w stoczni?

- Tak, milady. Na jakimś głupim rutynowym spotkaniu - wyjaśnił równie cicho. - Ale wiedziałem, jak dobrze się znaliście i lubiliście, i dlatego chciałem osobiście przekazać wiadomość o jego śmierci. Naturalnie jeśli pani chce, to stanowisko jest pani: w końcu jest pani wyższa stopniem.

- Bzdura! - zaprzeczyła natychmiast. - Wiem, jak serdecznie Hamish nienawidzi roboty w Admiralicji i co czuł Wesley, rozstając się na zawsze z dowodzeniem. Dobrowolnie ministrem nie zostanę, mowy nie ma. I nie oddam dowodzenia liniowego. Zwłaszcza teraz!

Głos jej stwardniał przy ostatnim zdaniu.

- Bałem się, że tak właśnie pani zareaguje - przyznał Yanakov. - Ale nie miałem nic do stracenia, więc spytałem.

- Zrobiłabym dla ciebie prawie wszystko - wyznała z uśmiechem Honor. - Ale tylko prawie.

Yanakov prychnął radośnie. Dźwięk rzadko słyszany w ciągu ostatnich dni. Zabrzmiał jednak dziwnie normalnie. Yanakov wstał i wyciągnął ku niej prawą dłoń.

- Niestety kazano mi się spieszyć, milady - wyjaśnił. - Wracam tym kurierem, który przywiózł rozkazy i odlatuje za niecałe dwie godziny, muszę więc się już pożegnać.

- Naturalnie.

Honor wstała, lecz zamiast uściskać jego dłoń, obeszła biurko i stanęła przed nim. A potem objęła go i uściskała.

Poczuła, jak sztywnieje. Nawet po tylu latach zareagował automatycznie, bo nie była jego żoną, matką czy siostrą. Można było zabrać chłopaka z Graysona, ale nie wymazać Graysona z duszy chłopaka - ta stara prawda nadal była aktualna. Ale po sekundzie odprężył się i odwzajemnił uścisk. Nieco niepewnie co prawda, ale to już było efektem braku wprawy.

Wypuściła go z objęć i cofnęła się z uśmiechem.

- Będzie mi brakowało Wesleya - powiedziała cicho. - Obojgu nam będzie brakowało wielu ludzi. Wiem, że nie chcesz tego stanowiska, Judah, ale sądzę, że Benjamin dokonał

dobrego wyboru.

- Mam nadzieję, milady. Ale kiedy pomyślę o tym, ile trzeba będzie posprzątać i odbudować...

- Wiem. Ale już raz to zrobiliśmy, pamiętasz?

Przytaknął bez słowa, dobrze wiedząc, do czego gospodyni nawiązuje. Chodziło o zniszczenia wywołane atakiem, w trakcie którego tak naprawdę się wiele lat temu poznali.

- Cóż, w takim razie powodzenia, Judah - powiedziała, patrząc mu głęboko w oczy.

\* \* \*

- Panie i panowie, proszę zająć miejsca! - polecił głośno admirał floty Rajampet.

W opinii Dauda al-Fanudahiego polecenie było bezsensowne, bo nikt z obecnych admirałów różnych stopni nie opuścił swojego miejsca. Był to równocześnie typowy przykład zbędnych rozkazów, z których Marynarka Ligi słynęła i który był typowym objawem paniki albo instalowania dupochronów.

Nie był jedynie pewien, które zjawisko występowało obecnie jako dominujące.

Irene Teague i on siedzieli sobie pod ścianą tak daleko od stołu konferencyjnego, jak to tylko było fizycznie możliwe. Byli prawie na pewno jedynymi w sali odpraw mającymi pojęcie, co się naprawdę dzieje, toteż takie odseparowanie od podejmujących decyzje we flocie było symptomatyczne.

Choć mógł to być również przejaw jego zdecydowanie pesymistycznej interpretacji świata, dzięki której przełożeni uznali go za czarnowidza i nieomal panikarza.

Prywatnie był przekonany, że powód jest inny - banda idiotów zebrana w sali odpraw na najważniejszych miejscach nadal nie chciała przyznać, że wpakowała się po uszy w gówno, a Ligę wciągnęła tam niejako przy okazji tylko dlatego, że żaden z nich nie miał bladego pojęcia o przeciwniku. Zadawanie mu jakichkolwiek pytań jedynie potwierdziłoby to, jak monumentalnie spieprzyli sprawę, nie zadając ich wcześniej, i tym samym zmusiło do stanięcia twarzą w twarz ze smętną rzeczywistością.

Zadowolony Rajampet rozejrzał się i dopiero po paru sekundach ciszy przerwał ją chrząknięciem. A następnie zagaił:

- Jestem pewien, że nikomu z obecnych nie trzeba podsumowywać wydarzeń ostatnich miesięcy, jak też tego, że wszystkich zaskoczyło i zasmuciło to, co spotkało w systemie Spindle admirał Crandall. Uczciwość zaś nakazuje przyznać, że możliwości uzbrojenia Royal Manticoran Navy były dla nas wszystkich bardzo nieprzyjemną niespodzianką.

Po tych słowach spojrział na Karla-Heinza Thimára i Cheng Hai-Shwun, na których nie zrobiło to absolutnie żadnego wrażenia. Faktem było, że naczelna zasada biurokraty brzmiała „Nigdy nie okaż, że się boisz”, ale w ich zachowaniu była też pewność siebie wynikająca ze świadomości, iż nic im nie grozi, bo mają za dobre koneksje.

- Wygląda jednak na to, że nie jesteśmy jedynymi, których wkurzyło to całe Gwiazdne Imperium - dodał Rajampet. - Wywiad nadal zajmuje się dokładnym ustalaniem, kto jest odpowiedzialny za atak na system Manticore, i jestem pewien, że wkrótce się tego dowiemy.

Co konkretnie dało mu tę pewność, Daud nie miał pojęcia, a jako że to on miał owe rewelacje wkrótce odkryć, było to swoistą ciekawostką. O tym, że uważał Mesę za winowajcę, poza Irene nie powiedział nikomu, bo jak dotąd nie znalazł strzępu dowodu, który by to potwierdzał.

- Póki co musimy się jednakże zastanowić, jak zareagować na arogancję i imperialistyczne skłonności państewka zwącego się Gwiazdnym Imperium - ciągnął Rajampet. - Nie sądzę, by po tym, jak zamknięto dla naszych statków wszystkie wormhole, które ono kontroluje, ktoś wątpił, że mamy do czynienia z zaplanowaną strategią, do której realizacji przymierzali się już jakiś czas. Ujawnili, że chwilowo mają lepszą od nas broń, a z drugiej strony pokazali, że mogą zagrozić naszemu handlowi i gospodarce. Łącznie ma to nam zasugerować, żebyśmy im nie przeszkadzali w ekspansjonistycznych dążeniach sięgających Gromady Talbott i dalej.

Po raz kolejny Daud doszedł do smutnego wniosku, że nikt z obecnych nie potrafi czytać tekstu ze zrozumieniem, bo inaczej po przeczytaniu choćby jednej jego analizy nie ośmieszałby się choćby wzmianką o jakichś imperialistycznych dążeniach w Gromadzie Talbott. Ale z drugiej strony nigdy nie było zdrowe dla kariery mieć zdanie o rzeczywistości inne niż wersja głoszona przez Abruzziego.

- Biorąc pod uwagę to nastawienie - perorował dalej Rajampet - wątpliwe jest, by inicjatywy dyplomatyczne naszego rządu odniosły jakikolwiek skutek. Równocześnie jednak to, co się stało w systemie Manticore, musi mieć wpływ tak na morale, jak i na zdolności bojowe floty, opinie społeczeństwa i podejście władz. W porównaniu do strat, jakie ponieśli, to, co się stało w systemie Spindle, to drobna niedogodność. Nadal mamy ponad dwa tysiące okrętów liniowych w służbie, trzysta w przeglądach i ponad osiem tysięcy w rezerwie. 496. Zespół Wydzielony stracił mniej niż pół procenta naszych okrętów liniowych, a trzeba pamiętać, że nasz przemysł pozostał nienaruszony, ich zaś przestał istnieć. W zasadzie tych strat nie da się porównać, bo należą do zupełnie innych rzędów wielkości, a ich wpływ na nastroje w Królestwie musi być tym większy, że klęska nastąpiła w tak krótkim czasie po

euforii wywołanej bitwą o Spindle. Ze szczytu spadli w otchłań i niezależnie od tego, ile mają w bankach, jak liczną posiadają flotę handlową czy wojenną, stali się czwartorzędną siłą, jeśli chodzi o możliwość prowadzenia dłuższych działań. I naturalnie zdają sobie z tego sprawę równie dobrze jak my.

W sali zapanowała cisza. Nawet Daud musiał przyznać, że część tej analizy jest zgodna z prawdą. Nie wierzył co prawda, by Gwiezdne Imperium Manticore po prostu upadło i zwiędło albo poddało się, ale faktem było, że jego pozycja stała się beznadziejna w dłuższej perspektywie. Była taka od początku, biorąc pod uwagę dysproporcje wielkości i siły obu stron, ale dopóki dysponowało przemysłem, mogło przez parę lat wykorzystywać przewagę techniczną, by skutecznie walczyć, licząc na cud. Bez tego przemysłu stało się to niemożliwe. Na dodatek, choć nie miał pojęcia, jakie zapasy amunicji posiadała Królewska Marynarka, i tak okazały się one niewystarczające, jeśli dojdzie do kilku większych bitew, a przez długi czas nie będzie jak ich uzupełnić. Dlatego jeśli Marynarka Ligi zdecyduje się na serię silnych ataków, ostatecznie wygra.

Tyle tylko, że zapłaci za to już nie straszną, a wręcz makabryczną cenę. Tak w okrętach, jak i w ludziach. Rajampet zaś albo o tym zapomniał, albo to ignorował.

- Natomiast większość z was nie wie - ciągnął Rajampet - że mamy spore siły znacznie bliżej systemu Manticore, niż moglibyście oczekiwać. W systemie Tasmania znajduje się bowiem na ćwiczeniach Wschodni Wiatr ponad trzysta okrętów liniowych pod komendą admirała Filarety. A system ten leży niewiele ponad czterysta lat świetlnych od Manticore, co oznacza, że jednostki te mogą pokonać tę odległość w nieco ponad sześć tygodni standardowych od dnia otrzymania rozkazu, czyli w dwa i pół miesiąca od wysłania go. To wszystko zaś oznacza, że jeśli nie nastąpi nieprzewidziane opóźnienie, admirał Filareta znajdzie się na pozycji wyjściowej 20 maja.

Sądząc po reakcji obecnych, wiadomość była dla większości kompletnym zaskoczeniem, a Rajampet jeszcze nie skończył z niespodziankami.

- Poza tym w odległości około dwóch tygodni lotu od systemu Tasmania mamy jeszcze około dziesięciu eskadr liniowych, co prawda rozproszonych, ale wszystkie zdążą w ciągu tych dwóch tygodni dołączyć do sił admirała Filarety, jeśli otrzymają taki rozkaz. A otrzymają. Da mu to w sumie prawie czterysta okrętów liniowych, co prawda o znacznie mniejszych siłach osłony niż powinny dysponować w teorii i bez wsparcia logistycznego, ale za to znacznie bliżej systemu Manticore, niż ktokolwiek w Królewskiej Marynarce może podejrzewać.

Daud al-Fanudahi jęknął w duchu. Miał nadzieję, że Rajampet zrezygnuje z tego

idiotyizmu po tym, co on sam powiedział Kingsfordowi, Jenningsowi i Bernard.

- Dlatego proponuję skoncentrować te siły pod rozkazami admirała Filarety i wysłać go do systemu Manticore - oznajmił Rajampet, po czym rozejrzał się po obecnych i dodał: - Zdaję sobie sprawę, podobnie jak Biuro Planowania Strategicznego popierające tę decyzję, że niesie ona ze sobą spore ryzyko, ale także znacznie większe szanse sukcesu. Po pierwsze, przeciwnik ma niskie morale po tym, co wydarzyło się w jego ojczystym systemie. Po drugie, ma znacznie zredukowane możliwości obrony, bo musiały one poważnie ucierpieć, jeśli atak dotarł do stacji orbitalnych, a odbudować ich nie mógł z braku przemysłu. Po trzecie, niespodziewane pojawienie się w jego systemie macierzystym sił sześciokrotnie większych, niż brały udział w bitwie o Spindle, musi mu uzmysłwić, jak wielką będziemy dysponować przewagą liczebną w razie dłuższego konfliktu. A po czwarte, nie poprzestaniemy na tym, gdyż rozpoczęliśmy już przesuwanie pozostających w linii jednostek ku systemowi Manticore i największą reaktywację Rezerwy w dziejach Marynarki Ligi.

Cisza stała się jeszcze głębsza, choć Daud z trudem mógł w to uwierzyć. Abstrakcyjnie ciekawiło go, czy ktokolwiek z obecnych był świadom konstytucyjnych konsekwencji tego, co Rajampet powiedział na samym końcu. Nawet najszersza interpretacja Artykułu Siódmego nie obejmowała generalnej reaktywacji Rezerwy. Na to potrzebna była zgoda rządu, czyli wypowiedzenie wojny. Najwyraźniej jednak Kołokolcow i kolesie uznali, że jej nie uzyskają albo że spowoduje to taką polityczną zawieruchę, jakiej Liga dotąd nie widziała, stwierdzili więc, że lepiej będzie udawać, że o niczym nie wiedzą i „podejmują dyplomatyczne wysiłki w celu rozwiązania kryzysu”. Tyle że to oznaczało, że jakby co, cała wina spadnie na flotę. A „jakby co” nastąpi, bo strat, jakie flota poniesie w tych walkach, w żaden sposób nie da się ukryć. A reakcja opinii publicznej na miliony zabitych była łatwa do przewidzenia.

- Biuro Planowania Strategicznego i ja uważamy, że przeciwnik zrozumie, że nie damy się zaszantażować i nie ustąpimy, nawet po bitwie o Spindle. Nie pozwolimy, by robili, co chcą, i siły Filarety powinny to wszystkim uzmysłwić, a ich obecność w systemie Manticore będzie najlepszym dowodem naszego zdecydowania. Dlatego najbardziej prawdopodobne jest, że pogodzą się z nieuniknionym i nie będą ryzykować dalszych ofiar oraz zniszczeń w rodzinnym systemie. Ponieważ jednak jesteśmy świadomi, że takiej pewności mieć nie można, będziemy przygotowani na ewentualność, że przeciwnik nie posłucha głosu rozsądku, a nawet na to, że zostało mu dość nowych rakiet by odeprzeć atak, choćby czasowo. Dlatego rozpoczęliśmy koncentrację nie mniej niż pięciuset okrętów liniowych i wystarczającej liczby jednostek osłony z Floty Granicznej w systemie Tasmania.



Te siły będą gotowe za dwa i pół miesiąca, a za trzy będzie tam sześćset okrętów liniowych. A to znaczy, że za maksimum pięć miesięcy standardowych będziemy mogli wysłać kolejną, jeszcze silniejszą flotę. Stanie się to więc szybciej, niż RMN zdoła odzyskać możliwość produkcji rakiet. W ten więc lub w inny sposób nie puścimy płazem tego, co stało się w Spindle. I mam nadzieję, że Gwiezdne Imperium Manticore zrozumie, jak poważnie traktujemy sprawę, nim swoim uporem pogorszy sytuację.

\* \* \*

Chris Billingsley napełnił filiżanki kawą, odstawił dzbanek na boczny stolik i wycofał się bez słowa. Michelle Henke obserwowała go, sięgając po filiżankę, podobnie jak pozostali siedzący przy stole konferencyjnym. Ciekawa była, ile wysiłku każdego z nich kosztuje udawanie, że wszechświat mimo wszystko nie zwariował...

Nie bardzo im to wychodziło być może dlatego, że podobnie jak ona doszli do wniosku, że wszechświat jednak zwariował.

- No dobrze - odezwała się po upiciu łyka kawy. - Sądzę, że możemy przejść do rzeczy. I nie spodziewam się, by ktokolwiek był zadowolony z tego, co usłyszysz. Niestety musimy podjąć decyzję, co robimy, i chcę mieć jakieś sensowne możliwości do przedstawienia admirałowi Khumalowi i pani gubernator, jeśli więc ktokolwiek z was, powtarzam: ktokolwiek, dozna olśnienia w trakcie wystąpienia Cindy, lepiej żeby go nie zignorował. Będziemy rozważali każdy pomysł, nawet pozornie zwariowany. A teraz, Cindy, masz głos.

Kapitan Lecter nie wyglądała na bardziej szczęśliwą od słuchaczy. Spojrzała wpierw w notatki, a potem rozejrzała się po obecnych.

- Otrzymaliśmy nowe informacje na temat strat i są one gorsze, niż się spodziewaliśmy - zaczęła, uaktywniając holoprojektor. - Straty w ludziach przekroczyły nasze najgorsze oczekiwania, bo nigdy nie rozważano możliwości ataku bez jakiegokolwiek uprzedzenia. Na *Hephaestusie*...

\* \* \*

- Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak zwycięstwo może wzmocnić smak klęski, jeśli nastąpi ona zaraz potem - przyznał Augustus Khumalo.

On, Henke, Oversteegen, Terekhov i gospodyni siedzieli na balkonie z widokiem na morze w oficjalnej rezydencji gubernatora. Fale przyływu kojąco pluskały w ciemności, ale nikt jakoś nie czuł się specjalnie ukojony.

- Rozumiem - potwierdziła Mike. - Jakoś tak przez to wszystko, czego tu dokonaliśmy, wydaje się znacznie mniej ważne, prawda?

- Nieprawda! - zaprzeczyła dama Estelle tak ostro, że Henke drgnęła zaskoczona. - Przepraszam, nie zamierzałam warczeć, ale to, czego dokonaliście, to olbrzymie osiągnięcie. Nie deprecjonujcie go ani siebie tylko dlatego, że gdzieś indziej wydarzyła się katastrofa.

- To prawda - przyznała Mike. - Ale...

- Ale ma się wrażenie, że to koniec świata - dokończyła Matsuko Estelle, gdy Mike zabrakło słów.

- Może nie aż tak, ale prawie - zgodziła się Henke.

- No i nic dziwnego, do cholery - prychnęła pani gubernator. - Docenianie własnych osiągnięć to jedno, a zdrowa ocena ogólnej sytuacji to drugie. A ta ostatnia jest taka, że siedzimy w gównie po uszy. Wszyscy.

Jak na damę Estelle Matsuko był to niecodzienny język, łagodnie rzecz określając, i najlepiej świadczył o powadze sytuacji. A ta zgodnie z najnowszymi informacjami przesłanymi przez Admiralicję była bardzo zła - od początku wojny z Ludową Republiką Haven Royal Manticoran Navy brakowało amunicji. A raczej nie tyle brakowało, bo na chwilę obecną było jej dość, ale wiadomo było, że rakiet zabraknie, jeśli RMN zostanie zmuszona do stoczenia dużej bitwy albo serii nieco mniejszych. I ta sytuacja potrwa. Dlatego Henke dostała rozkaz odesłania wszystkich posiadanych rakiet typu *Apollo* najszybciej, jak może. Biorąc pod uwagę, że jej okręty wyposażone były głównie w rakiety *Mark 16*, Admiralicja obiecała dostarczyć jej wszystkie rakiety tego typu, jakie znajdzie, co nie było aż tak naglące, bo zarówno pokładowe magazyny amunicyjne, jak i okręty amunicyjne, jakie miała do dyspozycji, były pełne pocisków. Nie znaczyło to naturalnie, że nie musi liczyć każdej wystrzelonej salwy, ponieważ przez długi czas nowych dostaw amunicji nie będzie.

- Pocieszające jest to, że nie spodziewam się, żeby po bitwie o Spindle ktoś próbował zjawić się tu bez zaproszenia - oceniła głośno.

- O ile nasz tajemniczy wróg nie zechce powtórzyć ataku na Manticore na mniejszą skalę - wtrącił Khumalo.

- Mało prawdopodobne - sprzeciwił się Oversteegen.

Khumalo spojrział nań zaskoczony.

Oversteegen wzruszył ramionami i wyjaśnił:

- Zgadzam się z oceną Admiralicji, że głównym atutem tego ataku było kompletne zaskoczenie. Powtórka byłaby znacznie trudniejsza, a prawdę mówiąc, tutaj nie ma celów choćby zbliżonych do tych w systemie Manticore, byłoby to więc marnowanie sił i środków

przy zwiększeniu ryzyka, że uda nam się zdobyć ich okręt czy raketę na tyle nieuszkodzoną, by poznać zasadę działania nowego napędu. Nieopłacalne, sir.

- Myślę, że Michael ma rację, sir - dodała Henke. - Naturalnie nie możemy działać, opierając się na tym założeniu, i Cindy z Dominiką pracują już nad tym, jak najlepiej wykorzystać posiadane sensory do utworzenia wielowarstwowego systemu wczesnego ostrzegania, ale nie sądzę, by groził nam podobny atak. Jeśli już coś w okolicy miało się stać celem takowego, to terminal Lynx, bo tylko on ma wystarczającą wartość strategiczną. A obrona terminalu to już nie nasz problem.

Pozostali pokiwali twierdząco głowami.

- Czy można więc założyć, że przynajmniej chwilowo jesteśmy względnie bezpieczni? - spytała Matsuko. - Chodzi mi o cały Quadrant, nie tylko o Spindle.

- Myślę, że tak - odpowiedział Khumalo. - Analiza tajemniczego napastnika przeprowadzona przez admirała Oversteegenę wydaje mi się słuszna, a Liga póki co po prostu nie ma czym nas zaatakować. Za kilka miesięcy to się może naturalnie zmienić, ale na razie nie widzę realnego zagrożenia.

- To dobrze - oceniła dama Estelle. - Mam tylko nadzieję, że ktoś w Lidze odzyska resztki zdrowego rozsądku, nim wyśle tu kolejne okręty w samobójczej misji. Albo nim wpadnie na pomysł, by zaatakować system Manticore.

## ROZDZIAŁ XXXVII

- O co chodzi, Pat? - spytał sir Thomas Caparelli, ledwie Patricia Givens odebrała połączenie.  
- Przepraszam, nie było mnie w biurze, ale Liesel powiedziała, że to pilne i żebym nie używał komunikatora.

- Zgadza się, sir, bo potrzebne było zakodowane łącze.

Wyglądała lepiej niż kilka dni po ataku, co naturalnie nie znaczyło, że dobrze, ale jej oczy z wolna traciły przepaszający wyraz. Nie było to łatwe, bo część pismaków dostała regularnej hysterii. Caparelli co prawda wątpił, by byli w stanie wymyślić jakiś zarzut, którego Givens nie postawiłaby wcześniej samej sobie - w jego przypadku im się nie udało - ale złość powodowana strachem była dokuczliwa, a skupili się oczywiście na „bezprecedensowym fiasku wywiadu”.

Realistycznie rzecz oceniając, należało się tego spodziewać, bo opinią publiczną wstrząsnęły tak straty materialne jak i liczba ofiar, a szok pogłębiło to, że stało się to natychmiast po euforii i uspokojeniu obaw po bitwie o Spindle. Szok był zrozumiały, podobnie jak odruch szukania winnych. Sam pod wieloma względami zgadzał się z ludźmi i dlatego złożył rezygnację.

Dwukrotnie.

Niestety dwukrotnie została odrzucona.

Pierwszy raz przez Pierwszego Lorda Admiralicji, który stwierdził, że nikt nie byłby w stanie przewidzieć czegoś podobnego, toteż uznanie kogokolwiek czy jakiegokolwiek grupy osób za odpowiedzialne byłoby jaskrawym przykładem polowania na czarownice.

Ponieważ nie był w stanie logicznie podważyć tej opinii, wycofał rezygnację, choć z wnioskami Hamisha się nie zgadzał. Dlatego drugą złożył bezpośrednio na ręce Królowej Elżbiety. Która odesłała ją, nie czytając, za to z odręcznym komentarzem na pierwszej stronie: „Nie bądź idiotą!”. Dołączyła też do tej prośby radę, by był łaskaw podrzeć rezygnację i nie zawracać jej ponownie głowy podobnymi bzdurami. Po pierwsze dlatego, że zgadzała się z earlem White Haven, po drugie, ponieważ jego nagłe odejście sugerowałoby, że stał się kozłem ofiarnym. A Królowa nie zamierzała wzniecać jeszcze większej hysterii w już ogarniętej nią mniejszości społeczeństwa. A tak błyskawiczne znalezienie „winnego” zostałyby potraktowane właśnie jak objaw paniki ze strony rządu i Korony.

I dlatego pozostał na stanowisku - bardziej z poczucia obowiązku niż jakiegokolwiek innego powodu. I dlatego też poparł Hamisha, gdy ten odrzucił rezygnację Givens.

I w ten sposób ponad trzy tygodnie standardowe po ataku mogli sobie rozmawiać oboje przez bezpieczne łącze...

Zdał sobie sprawę, że milczy trochę za długo, i wziął się w garść.

- Przepraszam, Pat. Myślałem o różnych takich... - przyznał. - O co chodzi?

- O coś, co prawdopodobnie będziemy musieli pokazać premierowi i Jej Wysokości.

Właśnie dostałam wiadomość od Czarnego Źródła na Beowulfie.

Caparelli leciutko zeszywniał. Beowulf był odwiecznym i niewzruszonym sojusznikiem Królestwa Manticore i najlepszym jego sprzymierzeńcem w Lidze Solarnej. A także największym partnerem handlowym i nie tylko, bo najwięcej małżeństw z osobami spoza Królestwa poddani Korony zawierali właśnie z mieszkańcami Beowulfa. Doskonałym przykładem była rodzina Harringtonów. Beowulf był też jedynym członkiem Ligi Solarnej na bieżąco informowanym o osiągnięciach w dziedzinie uzbrojenia i wyposażenia Royal Manticoran Navy. Admiralicja i dowództwo Sił Obrony Beowulfa dawno temu ustaliły, że nie byłoby korzystne dla żadnej ze stron, gdyby Flota Systemowa Beowulfa zaczęła nagle wprowadzać na wyposażenie nowinki techniczne opracowane przez RMN, bo mogłyby wpaść w niepowołane ręce. Jakoś tak zresztą nie wysłała też obserwatorów, których raporty Marynarka Ligi ignorowała. Ale dowództwo tak sił zbrojnych, jak i Floty Beowulfa wiedziało o wszystkich osiągnięciach Królewskiej Marynarki. I o jej planach. Beowulf jako jedyny członek Ligi Solarnej był też wyłączony z planu Laokoon, a poza oficjalnymi istniały też najrozmaitsze mniej znane lub w ogóle nieznane na zewnątrz kanały łączności między rządem Jej Królewskiej Mości a Radą Dyrektorów.

Istniały też oczywiście i rozmaite sekrety, o których uprzejmi ludzie nie rozmawiali, jak chociażby to, że rozsądni sojusznicy także wzajemnie się szpiegowali. Tak nakazywał dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy, a poza tym agenci mogli wymieniać informacje, których lepiej było nie powierzać oficjalnym czynnikom, jak zaprzyjaźnione by oba rządy nie były. Obie agencje nie były liczne, ale skuteczne, a Czarne Źródło, o którym wspomniała Pat, było kryptonimem najwyższego ulokowanego agenta, jakiego miał wywiad Królewskiej Marynarki.

- No dobrze - odezwał się Caparelli. - Zostałem uprzedzony i słucham.

\* \* \*

- Nie jest dobrze - ocenił Pierwszy Lord Admiralicji, gdy Pat skończyła.

Nie była to genialna uwaga, ale ktoś musiał przerwać ciszę i wyszło na to, że ta rola jemu przypadła.

- Można to i tak ocenić - prychnął siedzący po przeciwnej stronie William Alexander.

- Ostatnio to zresztą stan normalny.

- Na ile to źródło jest wiarygodne, admirał Givens? - spytała Elżbieta Winton.

- Bardzo, Wasza Wysokość - odpowiedziała Givens energiczniej niż w trakcie wcześniejszych spotkań. - Odzywa się bardzo rzadko. To trzecia wiadomość od prawie siedemdziesięciu lat standardowych poza kontrolnymi w celu sprawdzenia, czy kanał łączności funkcjonuje. Obie wcześniejsze okazały się całkowicie prawdziwe i ważne. Prawdę mówiąc, nie wiem, kto to jest, bo to on nawiązał kontakt z rezydentem naszego wywiadu na Beowulfie, nie zdradzając swej tożsamości, ale tak poprzednie wiadomości, jak i trud włożony w utrzymywanie tak długo kanału łączności mimo zmian personalnych świadczą o tym, że to ktoś wysoko postawiony i godny zaufania...

- W takim razie po co ta cała zabawa? - zdziwił się premier. - Nie mógłby przekazać nam tego otwarcie?

- Bo teoretycznie rzecz biorąc, podpada to pod zdradę Ligi Solarnej, Willie - wyjaśniła mu Elżbieta tonem, jakim zwykle tłumaczy się coś wyjątkowo tępemu, acz miłemu dziecku.

- To kwestia dyskusyjna, Wasza Wysokość - wtrącił się sir Anthony Langtry. - Po pierwsze, „zdrada” nie została precyzyjnie zdefiniowana w solarnej konstytucji. Po drugie, jeśli ostrzeżenie jest prawdziwe, tak naprawdę zdrajcą jest Rajampet nadużywający Artykułu Siódmego i ignorujący wyraźne zapisy konstytucji.

- Za co mu włos z głowy nie spadnie, Tony - skomentowała Honor. - A przynajmniej nie teraz, co najwyżej po fakcie. Z czego nie będziemy mieli żadnych korzyści, więc nie ma co się tym zajmować.

- Też tak sędzę - oceniła Elżbieta.

- W takim razie, skoro uznajemy informację za prawdziwą, co robimy? - spytał Grantville.

- A to zależy od tego, na ile poważne jest to zagrożenie z militarne punktu widzenia. - Królowa spojrzała na Caparellego. - Jak to wygląda?

- Pod pewnymi względami trudno to ocenić, Wasza Wysokość. Jeśli to rzeczywiście będzie tylko czterysta okrętów liniowych, sam atak nie stanowi żadnego zagrożenia.

Mamy prawie tyle okrętów liniowych, a wszystkie wyposażone w rakiety o dłuższym zasięgu niż te użyte w bitwie o Spindle. Nawet nie trzeba będzie użyć zasobników obrony systemowej, a pytanie jest tylko jedno: czy któryś z solarnych okrętów przetrwa na tyle długo,

że zdąży się poddać, czy nie. Natomiast to nie jest pełny obraz i wyczerpująca odpowiedź. Takie zwycięstwo będzie miało duży wpływ na solarną opinię publiczną, niestety nie wiadomo dokładnie jaki. Może wywołać przerażenie, które uniemożliwi dalsze podobne działania, albo też stanie się problemem dla rządów Kołokolcowa i pozostałych. Ale może też wzbudzić wściekłość, w efekcie czego Rajampet dostanie wolną rękę. Albo też coś pośredniego. A jak będzie, niestety nie sposób przewidzieć, jak już wspomniałem.

- Hamish? - spytała Elżbieta. - Honor?

Honor spojrzała na męża, a potem przeniosła wzrok na Królową.

- Myślę, że sir Thomas dobrze to ujął - powiedziała. - Prawda jest taka, że nawet gdyby Marynarka Ligi wysłała przeciwko nam wszystkie posiadane okręty liniowe, pokonalibyśmy ją. Posyłanie ich po kilkaset jedynie ułatwi nam sprawę. Prawdziwym problemem jest to, czy wystarczy nam rakiet, choć sądząc po bitwie o Spindle, jestem zdania, że tego, co mamy, wystarczy do zniszczenia wszystkich superdreadnoughtów Marynarki Ligi. Niestety spowodowałoby to takie zużycie zapasów amunicji, że nie byłibyśmy w stanie zrobić nic więcej. A to stwarza kolejne problemy, na przykład z Republiką Haven, jeśli nie zdołalibyśmy rozwiązać tej sprawy na drodze dyplomatycznej. No i przede wszystkim nie zostawia nam zapasu, który będzie potrzebny na walkę z Mesą.

Ostatnie zdanie powiedziała tak beznamiętnie, że coś zimnego przemaszerowało po kręgosłupie Elżbiety Winton. Oficjalna wersja nadal była taka, że nie ustalono jeszcze sprawcy ataku, ale Honor nie miała w tej kwestii najmniejszych wątpliwości.

Dla każdego, kto ją znał, było oczywiste, co ma zamiar z tym zrobić. Elżbieta zresztą całkowicie się z nią zgadzała, tyle że była zaskoczona, iż mimo tylu lat bliskiej znajomości dopiero teraz zdała sobie sprawę, że granitowa wręcz determinacja Honor czyniła z niej kogoś o wiele bardziej bezwzględnego i bezlitosnego niż ona sama, mimo cholerycznego temperamentu. Honor było trudniej doprowadzić do wściekłości i proces ten trwał wolniej, ale gdy komuś się to udało, skutki były o wiele groźniejsze.

- Gdybyśmy mieli do czynienia tylko z Ligą, dalibyśmy sobie radę przynajmniej przez pierwsze lata - dodała Honor. - Uaktywnienie i modernizacja jednostek Rezerwy, nie wspominając już o wyszkoleniu załóg i zgraniu formacji, zajmie Marynarce Ligi więcej czasu niż nam wznowienie produkcji rakiet. Fakt, ma dość krążowników liniowych we Flocie Granicznej, by stanowić realną groźbę dla naszego handlu, jeśli zacznie go aktywnie zwalczać. Na szczęście dzięki systemowi wormholi mamy w tym względzie większe możliwości, toteż na skutek tego rodzaju działań solarna flota handlowa ucierpi znacznie bardziej. Natomiast nie będziemy w stanie przejąć w tej wojnie inicjatywy, jak długo nie

wznowimy produkcji raket, a to oznacza, że Marynarka Ligi będzie miała o wiele więcej czasu na nadrobienie zacofania technicznego, niż zakładaliśmy. Jeśli nie podejmie działań przeciwko nam, zanim będziemy mogli przejąć inicjatywę, nasza przewaga zmaleje albo raczej okres, w którym będziemy ją mieli, znacznie się skróci, a nasza sytuacja stanie się o wiele trudniejsza. Przy potencjale produkcyjnym Ligi jej flota nie musi dysponować takim samym uzbrojeniem jak nasza, lecz jedynie wystarczająco dobrym, by móc nawiązać z nami walkę, a nie robić wyłącznie za ruchome cele. Jeśli do tego dojdzie, przegramy.

- A to, że nie możemy przejąć inicjatywy, znaczy także, że nie możemy wykorzystać strategii, o której mówiłaś kilka miesięcy temu - dodała Elżbieta ponuro.

- Tak. - Honor pogłaskała Nimitza, który przesiadł się z oparcia fotela na jej kolana. - Jeśli Rajampet chce tu przysłać czterysta okrętów liniowych, sytuacja zrobi się paskudna i obawiam się, że zajdzie druga ewentualność, o której wspomniał sir Thomas. Czterysta okrętów dla solarnej opinii publicznej to niewiele. Ale każdy z nich ma załogę złożoną z co najmniej sześciu i pół tysiąca ludzi, co daje ponad dwa i pół miliona, których będziemy musieli albo zabić, albo wziąć do niewoli. Dla ludności Ligi to niewielka różnica - straty wyniosą dwa i pół miliona. I nie jestem pewna, czy Rajampet celowo nie wysyła tak małej liczby okrętów, by osiągnąć taki właśnie psychologiczny efekt rozwścieczenia i strachu. To nader wybuchowa mieszanka.

- Nie jestem miłośnikiem Ligi - wtrącił Hamish, korzystając z tego, że zrobiła przerwę na oddech. - Ale taka kalkulacja wydaje mi się zbyt cyniczna nawet jak na solarnego admirała.

- A to dlatego, że tak naprawdę jesteś prostoduszny i uczciwy - podsumował go brat. - Przypomnij sobie pewną parkę: Roba S. Pierre'a i Cordelię Ransom. Dwa i pół miliona to znacznie mniej ofiar niż przy wymordowaniu Legislatorów, o dalszych czystkach nie mówiąc. Pierre o tym wiedział, a i tak dokonał przewrotu. A Ransom poświęciłaby bez mrugnięcia okiem dziesięć razy więcej ludzi, byle osiągnąć cel, który uważała za słuszny. A oni oboje to amatorzy w masowych mordach przy towarzyszu Saint-Juście.

- Ale... - zaczął White Haven i zamilkł.

Grantville pokiwał głową.

- Właśnie, Ham - powiedział prawie łagodnie. - Przyzwyczajiliśmy się uważać Ludową Republikę Haven za źródło wszelkiego zła, a jej władze za politycznych socjopatów. W mojej opinii Kołokolcow i jego klika, a szczególnie Rajampet, są przynajmniej równie źli, jeśli nie gorsi, bo wątpię, by którekolwiek z nich miało osobiste powody jak Pierre. Dla nich to tylko gra o stolki i władzę, jaką zawsze toczyli, tylko na większą skalę.



- Co powoduje, że jesteśmy w naprawdę nieciekawej sytuacji, nieprawdaż? - podsumowała Królowa Elżbieta.

Nikt z obecnych nie wyraził sprzeciwu.

\* \* \*

- Mówi pani poważnie, admirał Trenis? - spytała Eloise Pritchard, bardzo się starając, by w jej głosie nie zabrzmiało czyste niedowierzenie.

Pytanie skierowane było do szefowej Biura Planowania Floty, pod którą to eufemistyczną nazwą krył się wywiad floty. Linda Trenis była przyzwyczajona do informowania przełożonych o sprawach, w które byli w stanie uwierzyć jedynie z największym trudem, toteż popatrzyła spokojnie w oczy Pritchard i odparła zwięźle:

- Tak, pani prezydent.

- Żeby dobrze zrozumiała: nie ma pani pojęcia, kto przekazał tę informację?

- To niedokładnie to, co powiedziałam. Wiem dokładnie, kto ją nam przekazał. Nie wiem natomiast, z jakiego źródła pochodzi. Mogę się jedynie domyślać, w jakich kręgach to źródło się znajduje.

- Ale dlaczego ktoś z Beowulfa nagle zdecydował się właśnie nas o czymś takim poinformować?! - spytał Theisman, odwracając się od panoramicznego okna gabinetu prezydenckiego.

- Na ten temat też mam swoją teorię, ale jest to czysta spekulacja - ostrzegła Trenis.

- Skoro ma pani jakąkolwiek teorię, to i tak jest pani jedyną z obecnych, która widzi w tym jakiś sens - przyznała gospodyni, rozsiadając się wygodniej w fotelu. - Słuchamy więc.

- Jak pani sobie życzy, pani prezydent. - Linda Trenis była osobą zorganizowaną, potrafiącą tworzyć przemyślane analizy, układając w całość pozornie oderwane fragmenty informacji, co dało się usłyszeć, gdy zaczęła mówić. - Jest cała masa powodów, dla których ktoś na Beowulfie mógłby chcieć nas o tym poinformować, choć nie ma wśród nich niestety takiego, że nas tam lubią. Prawdę mówiąc, sądzę, że cieszymy się tam sympatią zbliżoną do tej, jaką darzy nas Królestwo Manticore. Pomogło nam odtworzenie Republiki, ale w sumie mają do nas stosunek bardziej negatywny niż pozytywny. Kiedyś było inaczej, ale od stu czterdziestu lat standardowych o współpracy militarnej czy wywiadowczej możemy zapomnieć. Z Królestwem tych więzów nie zerwali, toteż logiczne było, że gdy musieli wybierać, bo zaczęliśmy ze sobą walczyć, bez wahania wybrali Królestwo. Prawdę mówiąc, gdybym była na ich miejscu, czyli po drugiej stronie wormhola łączącego mój system z systemem Manticore, zrobiłabym to samo. Dlatego logiczne jest założenie, że poinformowali

nas, gdyż uznali, że to pomoże Królestwu, a nie dlatego, że chcieli mu zaszkodzić. Początkowo nie mogłam zrozumieć, dlaczego doszli do tego wniosku, a potem przyszło mi do głowy, że być może są lepiej zorientowani, co się dzieje u nas, w Nouveau Paris, niż dotąd zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

- Co proszę? - zdumiała się Pritchart.

A Theisman zmarszczył brwi.

- Chodzi mi o to, że ze zrozumiałych powodów nasz kontrwywiad koncentrował się na agenturze Królestwa Manticore. Teraz zaczęłam się zastanawiać, na ile wywiad Beowulfa zdołał spenetrować Republikę.

- Beowulfa? - Theisman nie krył wątpliwości. - Jesteśmy kawał drogi od Beowulfa, dlaczego mieliby się nami interesować? A jeśli masz rację, dlaczego zdobytych informacji nie przekazywali Królestwu?

- Zaczynając od drugiego pytania, sir, to nie wiemy, czy nie przekazywali - odparła Trenis i uśmiechnęła się, widząc minę Theismana. - A dlaczego się nami interesują... Bo jesteśmy wrogiem ich sąsiada i przyjaciela i od dwudziestu lat standardowych toczymy z nim wojnę. O tym się nie mówi, ale służby wywiadowcze Beowulfa są dobre, a zbieranie informacji o przeciwniku państwa leżącego ledwie sześć godzin lotu i jeden tranzyt od ich planety macierzystej wydaje się logiczne.

Pritchart kiwnęła głową, akceptując to wyjaśnienie.

Theisman zaś jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

- Myślę, że albo zdobyli niewiele cennych informacji, albo też zdecydowali się nie dzielić z Królestwem tym, co mają. Być może wywiad floty RMN robi to od początku i wywiad Beowulfa wie, że nie zdobył niczego, czego Królewska Marynarka już by nie wiedziała. Trzeba pamiętać, że siatka, a raczej siatki wywiadu floty Królewskiej Marynarki i innych wywiadów Królestwa istnieją u nas od lat i są dobrze rozbudowane. Robimy, co możemy, ale to niewiele daje. Z drugiej strony Beowulf mógł wzmoc wysiłki po zamachu na Harrington, Webstera i Królową Berry.

- Tak? - mruknęła Pritchart, przekrzywiając głowę.

Trenis nie została poinformowana o zdradzie Giancoli ani o podejrzaniach Ushera dotyczących śmierci Grosclaude'a.

- My tego nie zrobiliśmy, a ten, kto był sprawcą, posiadał zupełnie nowe możliwości przeprowadzania zamachów, pani prezydent. Biorąc pod uwagę, że prawdopodobnie jest to nowa technika biologiczna, nic dziwnego, że Beowulf jest nią żywotnie zainteresowany. A pamiętając, jak traktuje Mesę od początku jej istnienia, sędzę, że uznał ją za

najprawdopodobniejszego sprawcę dużo wcześniej niż my. Logiczne było założenie, że Manpower mogło nam tę technikę udostępnić, zwłaszcza że pierwszym celem była Harrington. A najprościej było się dowiedzieć, czy to prawda, drażąc problem od naszego końca - wyjaśniła Trenis.

Pritchard pokiwała głową. Naturalnie było to teoretyzowanie w najczystszej postaci, ale logiczne. Tym bardziej dla Beowulfa nienawidzącego Mesy i podejrzewającego ją o wszystko co najgorsze.

- Zakładając, że się nie mylę w tym, co dotąd przedstawiłam - kontynuowała Trenis - prawdopodobne, i to wysoce, jest, że po wydarzeniach w Monice, New Tuscany i Spindle Beowulf doszedł do wniosku, że naprawdę możemy być niewinni w sprawie zamachów. A stąd płynie oczywisty wniosek, że ten, kto jest sprawcą, próbował nie dopuścić do rozmów z Królową Elżbietą, a co za tym idzie, że naprawdę zależy nam na zakończeniu wojny, odkąd wysłała pani z taką propozycją admirał Gold Peak. Co więcej, jeśli spenetrowali nas tak dobrze, jak podejrzewam, są świadomi, jak zareagowaliśmy na przybycie Harrington z ofertą rozmów pokojowych.

- Uważa pani, że ktoś na Beowulfie doszedł do wniosku że bardziej chcemy sensownego traktatu pokojowego niż skorzystać z problemów Królestwa? - spytała wolno Pritchard nie kryjąc sceptycyzmu.

- Uważam, że to bardzo prawdopodobne, pani prezydent.

- Może, ale to nadal bardzo ryzykowne posunięcie ze strony kogoś uważającego się za przyjaciela Królestwa Manticore - ocenił Theisman.

- Nie aż tak bardzo, sir - zaproponowała Trenis. - Bo co tak naprawdę ten ktoś nam powiedział? Że Marynarka Ligi jest na tyle głupia, że pcha rękę w maszynkę do mięsa mimo dotychczasowych nauczek. Naturalnie możemy to wykorzystać i wcześniej zacząć planowanie pewnych operacji, ale i tak byśmy się o tej próbie dowiedzieli, a ona nie może się udać, o czym wiedzą wszyscy poza Ligą. I to tyle. A nie sądzę, by ktokolwiek na Beowulfie uważał nas za tak głupich, byśmy zdecydowali się na działania zbrojne, dopóki Królewska Marynarka nie zostałaby pobita przez kogoś innego. Informacji tej nie możemy więc wykorzystać militarnie.

- Sądzi pani, że ktoś we władzach Beowulfa uznał, że skutki przekazania nam tej wiadomości mogą być wyłącznie dyplomatyczne - powiedziała z namysłem Pritchard.

- Tak, pani prezydent, ale proszę pamiętać, że zostałam tym tak samo zaskoczona jak pani w tej chwili. Mogę się mylić, i to całkowicie, ale nie sposób zapomnieć o tym, że Beowulf i Królestwo w zasadzie od początku byli przyjaciółmi. No i jeszcze jedno: żywiliśmy

przekonanie, że szefem stacji wywiadu Beowulfa jest attache handlowy. Tymczasem zakładając, że nie jest to dezinformacja na dużą skalę, jest nim attache floty... i ujawnił się na wyraźne polecenie ambasadora. Naprawdę nie widzę możliwości, żeby ambasador Beowulfa kazał zrobić coś, co może zaszkodzić Królestwu czy teraz Imperium Manticore.

- Jestem skłonny się zgodzić, ale o ile się nie mylę, zasada nieoczekiwanych konsekwencji nadal działa - ocenił Theisman.

- I jest druga strona tego medalu - dodała z niesmakiem Pritchart.

Theisman i Trenis spojrzeli na nią pytająco.

- McGwire, Younger i Tullingham - wyrecytowała z obrzydzeniem.

Theisman skrzywił się.

Natomiast Trenis nadal patrzyła na nią bez śladu zrozumienia.

- Ma pani całkowitą rację w ocenie, że rząd i ja chcemy sensownego traktatu pokojowego, admirał Trenis - wyjaśniła więc Pritchart. - Niestety nie wszyscy rozumieją to samo pod pojęciem „sensowny”. Co gorsza, są dość wpływowe osoby spoza rządu, które traktują to nowe zagrożenie dla Gwiezdnego Imperium jak doskonałą okazję do usztywnienia stanowiska. Twierdzą, że skoro po ataku na Manticore druga strona znalazła się pod ścianą, należy to maksymalnie wykorzystać i wymusić ustępstwa, których inaczej nie byłibyśmy w stanie uzyskać.

- Co nie byłoby najsensowniejszym posunięciem, biorąc pod uwagę, jak w podobnych sytuacjach reaguje Elżbieta Winton - dodał Theisman.

Trenis skrzywiła się odruchowo.

- Właśnie. - Pritchart pokiwała głową. - Nie mówię, że nie chciałabym wynegocjować lepszych warunków, zwłaszcza w sprawie odszkodowań, ale nie w takiej sytuacji, bo może to się obrócić przeciwko nam. A obawiam się, że ta informacja może doprowadzić do zjednoczenia się przeciwników negocjacji pokojowych w ogóle. Obecność Ósmej Floty jakoś tak studziła ich zapał, a teraz gotowi będą uznać, że dzięki zagrożeniu ze strony Ligi Solarnej mamy w garści pałę, którą możemy pogrozić Gwiezdnemu Imperium... Tylko nie wezmą pod uwagę, że może to mieć oplakane konsekwencje dla nas... Bo zniknął widomy znak zagrożenia za strony Królewskiej Marynarki. A konsekwencją bitwy o Manticore nadal jeszcze jest to, że nie mam wystarczającego poparcia politycznego i nie mogę zmusić Kongresu, by zrobił to, czego chcę, nie dochodząc z nimi do porozumienia. A opozycja będzie miała ułatwione zadanie, chcąc mi w tym przeszkodzić. I dlatego niezależnie od tego, co ów ktoś na Beowulfie czy też całe jego władze uważają i jak bardzo chciałabym wrócić do rokowań i zakończyć tę wojnę, bardziej prawdopodobne jest, że ta informacja zaszkodzi

procesowi pokojowemu, nie pomoże. A na pewno zamiast przyspieszyć, opóźni go.

## **KWIECIEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE**

„Czego by nie powiedzieć o poddanych Korony, nie sposób im zarzucić, że łatwo wpadają w panikę”.

Admirał Thomas Theisman

Marynarka Republiki

## ROZDZIAŁ XXXVIII

Admirał floty Massimo Filareta był mężczyzną wysokim, czarnowłosym i barczystym o przenikliwych czarnych oczach i starannie przyciętej brodzie zwanej od niepamiętnych czasów kapitańską. Był też przedstawicielem i zwolennikiem układów i koneksji rodzinnych, a poza tym miał upodobanie do imprezowania, a wśród tych, którzy dobrze go znali, krążyły opowieści o jego preferencjach seksualnych, które nawet w Lidze Solarnej określano mianem „egzotycznych”. Równocześnie był pracowity, trzeźwo myślący i zwracał uwagę na detale. Chwilowo jednak owo trzeźwe myślenie zanikło, co nie wprawiało w najlepszy humor jego szefa sztabu, admirała Johna Burrowsa.

Burrows był fizycznym przeciwieństwem Filarety mierzącego ponad 190 centymetrów, jako że miał ledwie 162 centymetry, był błękitnookim blondynem i posiadaczem sporego brzucha. Także cieszył się reputacją ciężko pracującego, ale miał również dar improwizacji, czego Filarecie nie sposób było zarzucić. Przez lata współpracy nauczył się odgadywać humory dowódcy i w miarę nad nimi panować.

- I co sądzisz o tym genialnym pomysle? - spytał Filareta, odwracając się gwałtownie od ekranu wizualnego pokazującego słońce systemu Tasmania.

- Chodzi ci o ostatni wykwit intelektu Rajampeta? - upewnił się Burrows.

- A o co innego może mi chodzić? - warknął Filareta.

- O nic - odparł poważnie Burrows, zaprzestając prób poprawienia nastroju dowódcy humorem.

Filareta chrząknął, słysząc jego ton.

- Nieważne - burknął. - Co myślisz?

- Nie miałem czasu sprawdzić, jak faktycznie wygląda liczba dostępnych okrętów. Zakładając, że zjawią się wszyscy, którzy powinni, nim stąd odleciemy, wygląda na to, że rzeczywiście będziemy mieli czterysta okrętów liniowych albo i ciut więcej. Nie podoba mi się natomiast mała liczba jednostek osłony, no i chciałbym wiedzieć znacznie więcej o tym, co się wydarzyło w systemie Spindle.

- Brak osłony mnie nie martwi, a jeśli chodzi o Spindle, to masz rację - ocenił Filareta.

- Crandall co prawda zawsze była głupsza od średniej krajowej, ale...

Zamiast kończyć, westchnął wymownie a nieszczęśliwie.

To ostatnie odczucie Burrows w pełni podzielał.

- Myślę, że coś może być w tej teorii, że Gwiazdne Imperium nie będzie takie bojowe jak dotąd, zwłaszcza jeśli ocena wywiadu co do zniszczeń w przemyśle jest choćby zbliżona do prawdy - powiedział po chwili. - Jeśli Biuro Planowania Strategicznego ma rację, czterysta okrętów liniowych powinno ich skłonić do rozsądku.

- A jeśli nie ma racji? - prychnął ironicznie Filareta, dając do zrozumienia, że dobrze wie, ile z tym wspólnego miało owo biuro. - Pojawienie się tam z czterystoma okrętami liniowymi skończy się śmiercią bardzo wielu ludzi i zniszczeniem tychże czterystu okrętów.

- Fakt - przyznał Burrows. - Z drugiej strony sędzę, że ocena strat, jakie musiała ponieść obrona systemowa, jest zbliżona do prawdy. Nie twierdzę, że przestała ona istnieć, jak sugeruje założenie planu operacyjnego, ale nikt nie zdołałby dotrzeć na tyle blisko planet, by zniszczyć stacje orbitalne, nie wybijając wpierw dziury w obronie systemowej. A jeśli Królewska Marynarka w bitwie o Manticore poniosła takie straty, jak twierdzi wywiad, teraz nie zostało jej więcej niż sto okrętów liniowych.

- Co byłoby budujące, gdyby nie ten drobiazg, że skopali dupę Crandall samymi krążownikami - zauważył zgryźliwie Filareta.

- Z tym, że nie na pewno „samymi” - sprzeciwił się Burrows. - Jak już mówiłem, chciałbym wiedzieć więcej o bitwie o Spindle, ale na podstawie tych danych, które dostaliśmy, uważam, że tak naprawdę Crandall nadziała się na zasobniki obrony systemowej.

- Chcesz powiedzieć...?

- Że oficjalna wersja nie pokrywa się z rzeczywistością. Królewska Marynarka musi mieć lepsze systemy maskowania elektronicznego, niż sądziliśmy, a Crandall faktycznie do bystrych nie należała. Jest całkiem możliwe, że zorganizowali obronę systemową tak na Wszelki wypadek, zanim się zjawiała, a jej taka możliwość nawet przez myśl nie przeszła. Skuteczny zasięg tych rakiet był znacznie większy niż tych, które zniszczyły *Jeana Barta*, musiały więc zostać wystrzelone z zasobników obrony systemowej... to coś jak mina z trzema normalnymi napędami w tyłku. To jest technicznie możliwe, tylko efekt jest za duży, by mogła to być rakietka pokładowa, bo ile takich olbrzymów weszłoby do normalnego magazynu artyleryjskiego?

Filareta już chciał coś odpowiedzieć, ale zastanowił się, a po chwili przytaknął.

- Nie myślałem o takiej możliwości - przyznał. - Jeśli nawet RMN postawiła na rakietki, to i tak musiała wypracować jakąś równowagę między ich zasięgiem a wielkością. W końcu każdy okręt musi ich mieć na pokładzie sensowną liczbę, żeby móc wykonać zadanie.

- Właśnie. Jestem gotów przyznać, że nawet ich pokładowe rakietki mają o wiele



większy zasięg niż nasze, ale nie aż taki jak te ze Spindle. A dowód na to, że to były tylko krążowniki, to nagranie dostarczone przez Królewską Marynarkę. Na ich miejscu też zrobiłbym, co tylko możliwe, żeby przekonać o tym przeciwnika, bo daje to olbrzymią przewagę taktyczną i psychologiczną. Natomiast według naszego wywiadu i naukowców moduł grawitacyjny dysponujący wystarczającą liczbą łączy do kierowania taką liczbą rakiet, jakie widzieliśmy, wymaga tyle miejsca, że da się go zamontować jedynie na okręcie liniowym, na ciężkim krążowniku w żadnym razie. Naturalnie jeśli była to obrona systemowa, problem przestaje istnieć, bo na dowolnym księżycu czy stacji orbitalnej miejsca jest aż za dużo. I dlatego uważam, że to były rakiety obrony systemowej, a Crandall weszła prosto w pułapkę, bo tego nie przewidziała.

Filareta pokiwał głową, ale jego oczy miały dziwny wyraz, którego Burrows nie był w stanie zinterpretować.

- I uważasz, że ten, kto zaatakował system Manticore, musiał przebić się przez taką samą obronę? - spytał Filareta.

- Przez silniejszą - poprawił go Burrows. - A do tego albo musieli unieszkodliwić centrum dowodzenia, albo wybić solidną dziurę w obronie, albo zmusić ją do zużycia wszystkich rakiet. To pierwsze jest mało prawdopodobne, drugie oraz trzecie i owszem. Nawet jeśli system pozostał cały, tylko skończyły mu się rakiety, wychodzi na to samo z naszego punktu widzenia, bo po zniszczeniu przemysłu nie mieli czym uzupełnić zasobników. W najgorszym wypadku, gdyby Royal Manticoran Navy miała naprawdę duży zapas pocisków, wystarczyłoby ich co najwyżej na jednorazowe załadowanie zasobników. Nie ma możliwości, by miała ich tyle, żeby zniszczyć nas i następną flotę.

- Jestem pewien, że nasze duchy będą z tego kurewsko zadowolone - ocenił lodowato Filareta.

- Zgadza się, że wtedy mielibyśmy przegwizdane, ale tylko wówczas, jeśli obrońcy zdecydowałiby się ich użyć. A chodzi mi o to, że mając świadomość, iż są w stanie wygrać tylko tę bitwę, a my od początku będziemy informować ich, że kolejna grupa będzie jeszcze liczniejsza, mogą uznać, że walka nie ma sensu, bo i tak za kilka miesięcy przegrają następną.

- Hmm... - Filareta milczał ze zmarszczonymi brwiami naprawdę długo, ale Burrows zauważył, że humor mu się nieco poprawił, sądząc po wyrazie twarzy. - Mam nadzieję, że masz rację - powiedział w końcu. - Bo jeśli nie, to zginiemy obaj, nim Liga wygra ten konflikt.

Zrobił zapraszającą przerwę, lecz Burrows z niej nie skorzystał, bo co miał powiedzieć, skoro Filareta miał absolutną rację.

- No dobrze - rzekł w końcu Filareta. - Wprowadź we wszystko Billa i Yvonne. Chcę, żeby wszystko było zaplanowane, nim zjawią się tu ostatnie okręty. Oczywiście nie zaczniemy w wyznaczonym terminie, ale możemy choć starać się, by opóźnienie było jak najmniejsze.

- Rozumiem, sir.

Admirał William Daniels był oficerem operacyjnym w sztabie Filarety, a admirał Yvonne Uruguay oficerem astronawigacyjnym. Burrows byłby zaskoczony, gdyby zaczęli z opóźnieniem mniejszym niż standardowy tydzień, ale to akurat dowództwo zawsze brało pod uwagę, przygotowując rozkazy. Przy takich odległościach było to naturalne.

Filareta odwrócił się do ekranu wizualnego i przez kilkanaście sekund nań spoglądał. Potem wziął głęboki oddech i kiwnął głową.

- Dobra, John - stwierdził, nie odwracając się. - Pogadaj z Billem i Yvonne. Chcę dostać ich wstępną ocenę, kiedy będziemy w stanie ruszać. I zwołaj na jutro rano odprawę pełnego sztabu.

- Aye, aye, sir.

\* \* \*

Prywatny jacht Albrechta Detweilera *Genesis* miał gabaryty krążownika liniowego większości flot i prawie takie samo uzbrojenie. Równocześnie jednak był jedną z najbardziej luksusowo wyposażonych jednostek kosmicznych i jedną z najszybszych. Przelot z systemu Mesa do systemu Darius zajął mu o 40% mniej czasu, niż potrzebowałyby jakakolwiek inna jednostka.

Albrecht Detweiler stał na mostku i obserwował zbliżającą się stację kosmiczną błyszczącą w blasku gwiazdy klasy F6 będącej systemowym słońcem zwanym *Dariusem*. Stacja była imponująca, ale choć nazywała się oficjalnie *Darius Prime*, nie mogła się równać z *Hephaestusem* czy *Vulcanem*. Tyle że tamtych już nie było, a ta wraz z czterema innymi krążyła sobie spokojnie po orbicie planety Gamma, jedynej nadającej się do zamieszkania w systemie. W tej chwili znajdowała się nad nocną półkulą, toteż na powierzchni widać było skupiska i paciorki światła.

W jej stocznicach powstawały okręty klasy *Leonard Detweiler*, tylko że daleko jeszcze było do ich ukończenia. Za to znacznie mniejsze jednostki klasy *Shark* zajmowały miejsca na orbicie parkingowej w pobliżu stacji, co znaczyło, że wróciły już z pierwszego bojowego zadania, które wykonały wręcz znakomicie. A teraz czekały na niego. Wolałyby, aby na ich miejscu były te znajdujące się w budowie, jako że byłyby większe i lepiej uzbrojone, a

wiedział, że będzie ich potrzebował najszybciej, jak tylko się da. Niestety w tym wypadku życzenie nie wystarczało.

Bez wątplenia gdy Flota Mesy stanie się regularną marynarką wojenną, dorobi się tradycji i formalnych zwyczajów, które tak lubili oficerowie wszystkich flot w galaktyce, ale póki co nic takiego nie istniało. Dlatego to, że *Genesis* przybył prawie trzy godziny przed czasem, nie miało znaczenia i oficjalną część wizyty można było zacząć wcześniej.

Załogi zasłużyły sobie na uznanie, bo wątpił, by ktokolwiek w historii zdołał osiągnąć taki sukces w pierwszej operacji. Zwłaszcza skierowanej przeciwko tak dobremu przeciwnikowi jak Royal Manticoran Navy.

Liczba zabitych co prawda była większa, niż przewidywano, czego żałował, choć wiedział, że to głupie, jako że planował śmierć miliardów, ale nic na to nie mógł poradzić. Zastanawiał się, czy myśli o nich inaczej dlatego, że stali się rzeczywistością, podczas gdy przyszłe ofiary nadal były abstrakcją... Miał nadzieję, że nie. Bo nawet gdyby chciał, nie był w stanie zapobiec tym przyszłym śmierciom, a nie mógł sobie pozwolić na to, by nie dawały mu spokoju.

Miał nadzieję, że to reakcja na nowe doświadczenie, które szybko spowszednieje i przestanie robić na nim wrażenie.

Rozmyślenia przerwał mu głos kapitana Haydena Milne'a.

- Za trzydzieści pięć minut cumujemy, sir.

- Dziękuję - odpowiedział odruchowo.

I uśmiechnął się w duchu.

Hayden był kapitanem *Genesis* od ponad trzech lat standardowych i tak jak został nauczony, przez cały ten czas ani razu nie zwrócił się do niego po nazwisku. Podobnie zresztą jak wszyscy członkowie załogi i oficerowie. Cóż, taki los, że jeszcze przez jakiś czas musiał pozostać w cieniu...

Zasada ta nie dotyczyła personelu Floty Mesy, bo wszyscy wiedzieli, że ich dowódcą jest Benjamin, a jemu rozkazy wydawał Albrecht, choć nazwisko Detweiler nie padło ani razu w obecności większości z nich. Ponieważ jednak było to grono nieliczne i bardzo ze sobą zżyte, czy tajemnica została zachowana przez tych, którzy znali prawdę, trudno było mieć pewność. A Albrecht wołał nie dociekać prawdy. To, że znali ich imiona i twarze, było zresztą powodem, dla którego zjawił się teraz w systemie Darius.

- Sądzę, że powinienem wrócić do kabiny i uprzedzić żonę - ocenił Albrecht.

- Naturalnie, sir.

Detweiler kiwnął głową kapitanowi, odwrócił się i ruszył ku windom.

A w ślad za nim podążył Heinrich Stabolis.

Po sprawdzeniu przez tego ostatniego windy wsiedli, Stabolis wybrał właściwą kombinację na panelu kontrolnym i zamarł z rękoma za plecami. Detweiler nie miał pojęcia, ile razy zajmował tę pozycję przez te lata, gdy był jego osobistym ochroniarzem, ale widok ten zawsze wpływał dodatnio na jego poczucie pewności siebie.

- Jak dotąd wszystko idzie zgodnie z planem, Heinrichu. - Detweiler uśmiechnął się. - Wiesz, nie jesteś specjalnie gadatliwy.

- Chyba nie - zgodził się Heinrich ze śladem uśmiechu.

- Ale jesteś zawsze. I jeśli ci tego ostatnio nie mówiłem, doceniam to.

Stabolis skłonił głowę w milczącym podziękowaniu, a Detweiler położył mu dłoń na ramieniu. A potem winda stanęła, drzwi się otworzyły i Stabolis wyszedł na korytarz. Rozejrzał się błyskawicznie i dopiero wtedy zrobił krok w bok, umożliwiając wyjście z windy Albrechtowi. Obaj przeszli szerokim, gustownie wykończonym korytarzem prowadzącym do jednych tylko drzwi. Gdy przed nimi stanęli, Detweiler nacisnął klawisz wmontowany w ścianę.

- Tak? - rozległ się po chwili z głośnika miły sopran.

- To ja. Za pół godziny będziemy na miejscu.

- Aha. Mam rozumieć, że Heinrich ustrzegł cię przed sosem na koszuli?

Drzwi otworzyły się i Evelina Detweiler przyjrzała się krytycznie mężowi.

Za nią stała Ericka Stabolis z trudem maskująca uśmiech. Ericka była osobistym ochroniarzem Eveliny prawie tak długo, jak Heinrich pilnował jego. Miała takie same czarne włosy, błękitne oczy i regularne rysy co Heinrich i ludzie często dziwili się podobieństwu między obojgiem. Nie było w tym nic dziwnego, jako że Ericka i Heinrich byli klonami-bliźniętami o takich samych możliwościach, wszczepach i umiejętnościach. Jedyne, co ich różniło, to płeć.

- Co więcej, zdołałem wypić dwie filiżanki kawy i się nie oblać - oznajmił z dumą Albrecht.

- Jestem pod wrażeniem - przyznała Evelina i zrobiła mu przejsięcie.

Uśmiechnął się i pogłodził ją delikatnie po policzku.

Rada Planowania Genetycznego wiedziała, co robi, kojarząc ich ze sobą. Czasami jej wybór nie był trafiony, bo partnerzy patrzeć na siebie nie mogli; na szczęście dawało się to naprawić. I na szczęście zdarzało się to rzadko, a oficjalnie nigdy. W przypadku przedstawicieli linii alfa dokładano specjalnych starań i generalnie z dobrym rezultatem.

- Muszę za to zmienić marynarkę - oznajmił.

- Tylko nie na czerwoną!  
- Ale ja ją lubię.  
- Wiem, niestety - wzdrygnęła się Evelina. - Ciągle mam nadzieję, że nasze wnuki będą miały lepszy gust.

\* \* \*

- Baczość!

Komenda rozległa się, gdy Albrecht Detweiler, jego żona i Benjamin weszli na podwyższenie przestronnej, amfiteatralnej sali.

W sumie nie było konieczności, by zjawili się osobiście - Albrecht mógł przemówić do oficerów, którzy wrócili po wykonaniu planu Ostryga, elektronicznie i wątpił, by ktokolwiek z nich miał mu to za złe. Jednakże zasłużyli na coś więcej, czy w tej chwili byli tego świadomi, czy nie. Poza tym wiedział, że nie zapomną, że przybył tu z Mesy tylko po to, by ich powitać i podziękować im, a nie był to krótki spacer.

Podszedł do podium, mając żonę z jednej, a Benjamin z drugiej strony, i rozejrzał się po szeregach w kasztanowo-zielonych mundurach Floty Mesy. Stał tak przez parę minut, przyglądając się kolejno każdemu, a potem kiwnął głową i polecił:

- Siadajcie, proszę.

Gdy wykonali rozkaz i w sali zapadła cisza, przemówił:

- Panie i panowie, przybyłem tu, by was powitać i powiedzieć wam, że spisaliście się wszyscy doskonale. Mogę was poinformować, że Ostryga zakończyła się sukcesem: wszystkie trzy stacje orbitalne w systemie Manticore zostały zniszczone. Oficjalnie nie ogłoszono, ile z pojedynczych stocznii przestało istnieć, natomiast nieoficjalne źródła podają, że prawie wszystkie. Atak na system Yeltsin zakończył się podobnie: kompleks stocznioowy *Blackbird* został zniszczony ze wszystkimi pracownikami i budowanymi okrętami. A biorąc pod uwagę, że zakłady produkujące rakiety tak Marynarki Graysona, jak i Royal Manticoran Navy znajdowały się albo w stoczniach orbitalnych, albo w kompleksie *Blackbird*, należy przyjąć, że zniszczyliśmy całkowicie możliwości produkcji amunicji obu flot na najbliższą przewidywalną przyszłość. Jedyne, co nie udało się w stu procentach, to zniszczenie budowanych królewskich okrętów. Nie jest to niczyja wina, ponieważ nie doceniłmy tempa budowy osiąganego przez stocznie w systemie Manticore. Unicestwiliście co prawda wszystkie znajdujące się w budowie okręty, ale należały one do następnego rzutu, nie tego, który zakładaliśmy. Te, które planowaliśmy zniszczyć, w pełni ukończone i sprawne znajdowały się już w systemie Trevor Star. Zdawaliśmy sobie sprawę z takiej możliwości,

wysyłając was, ale uznaliśmy, że warto zaryzykować, a ponieważ przewaga Królewskiej Marynarki w całości opierała się na broni raketowej, pozbawienie jej szansy uzupełnienia amunicji jest o wiele skuteczniejsze niż zniszczenie pewnej liczby okrętów. Kiedy bowiem zużyje ona posiadane rakiety, bez znaczenia będzie fakt, iloma okrętami dysponuje. Kompletna realizacja pozostałych celów w pełni rekompensuje ten jeden brak i całe Równanie jest waszym dłużnikiem. Jesteśmy z was dumni i wiemy, że tego długu nigdy nie zdołamy spłacić. Pierwsza operacja bojowa Floty Mesy zakończyła się sukcesem, z którym nic w dziejach wojen nie może się równać. A osiągnęliście to, mając do dyspozycji jedynie kilkanaście jednostek szkolnych. Chciałbym urządzić wam oficjalne powitanie i defiladę na Mesie, ale chwilowo ważniejsze jest dalsze ukrywanie naszych możliwości bojowych. Zwłaszcza tych, jakie daje nam nowy rodzaj napędu. Obecnie nikt w galaktyce nie wie, kto przeprowadził ten atak ani gdzie może nastąpić kolejny, i najważniejsze jest utrzymanie tego stanu rzeczy najdłużej, jak się tylko da. Nie mogę wam więc oficjalnie podziękować ani nagrodzić tak, jak na to zasłużyliście. Jeszcze nie mogę. Mogę wam tylko powiedzieć, jak jestem z was dumny. Przez wieki nasi przodkowie planowali i pracowali dla tej chwili. Nie ma ich tu z nami, ale gdyby byli, pewien jestem, że powiedzieliby to samo co ja. Dziękuję wam za odwagę, poświęcenie, profesjonalizm i doskonały początek krucjaty, którą wszyscy planowaliśmy i na którą czekaliśmy tak długo.

\* \* \*

- Nie wyszło zbyt pompatycznie, Ben? - spytał Albrecht, gdy we trójkę siedli do posiłku.

Pytanie zadał lekkim tonem, ale Benjamin nie dał się zwieść.

- Nie - odpowiedział całkowicie poważnie. - Sądzę, że zrozumieli, że mówisz prawdę i nic więcej. Ja przynajmniej tak to odebrałem.

Albrecht spojrzał na niego uważnie, sięgnął po wino i upił spory łyk.

- Chyba go zawstydzilesz - oceniła Evelina. - Nie wiesz, że głównodowodzący nie powinien się roztkliwiać tylko dlatego, że flota doskonale wykonała zadanie?

- Daj spokój. - Albrecht odstawił kielich. - Dobrze wiem, że was nie oszukam.

- Nie. I nie ma powodu, dla którego miałbyś próbować oszukiwać tych oficerów - oceniła. - Zgadzam się ze wszystkim, co im powiedziałaś, i mam nadzieję, że wiedzą, iż mówilesz szczerze.

- Ja też - dodał Benjamin.

- Cóż, a ja miałem nadzieję, że zniszczymy im te okręty w stocznjach. Wiem, że

pozbawienie ich rakiet było ważniejsze, ale liczyłem na to, że będą mieli mniej okrętów, gdy nasze zaczną wchodzić do służby.

Benjamin zmarszczył brwi, ale skinął głową potwierdzająco.

Równanie rozpoczęło kolonizację Gammy prawie dwieście lat standardowych temu, ale prawdziwy rozwój kolonii zaczął się dopiero około 70 lat temu. Wiązało się z tym spore ryzyko, bo system planetarny to coś, na co każdy może przypadkiem trafić, a wtedy zaczęłyby się problemy. Z drugiej strony posiadanie systemu, o którym nikt nie wiedział, zawsze stanowiło podstawę strategii Równania i dlatego dziadek Albrechta zgodził się na pierwszą wyprawę kolonizacyjną. Była to też jedna z ostatnich podjętych przez niego decyzji jako szefa Równania.

Obecnie populacja wynosiła prawie 4 miliardy ludzi, z czego prawie dwa było przedstawicielami linii alfa, beta i gamma. Resztę stanowili niewolnicy genetyczni, ale reprezentujący niespotykany nigdzie indziej poziom. Byli traktowani lepiej, mieszkali wygodnie i byli wyszkolonymi pracownikami o dużych kwalifikacjach, szanowanymi przez przełożonych. System Darius był miejscem, w którym zastosowano w praktyce teoretyczne zasady konstytucji Mesy dotyczące niewolnictwa.

Wszyscy urodzili się tutaj i żadne z nich nigdy nie opuściło systemu. Ich wiedza o tym, co się dzieje w galaktyce, i o historii Mesy była starannie dobrana i kontrolowana przez pokolenia. Wiedzieli, że podobnie jak ich przodkowie tworzą od podstaw najpierw przemysł, a potem flotę wojenną, tyle że byli święcie przekonani, że celem tej floty jest obrona, nie atak.

Jednak mimo upływu lat, wysiłków i pieniędzy przykry fakt pozostawał niezmienny: stocznie były znacznie mniej wydajne niż te w systemie Manticore. Benjamin nie lubił tego przyznawać, ale zgadzał się z Albrechtem, że kiedy ktoś przestaje dostrzegać i mówić prawdę, żegna się z nadziejami na przyszłość. A prawda była taka, że mimo osiągnięć zespołów naukowo-badawczych niewiele państw mogło równać się z przemysłową skutecznością Gwiezdnego Królestwa, a potem Gwiezdnego Imperium Manticore. Benjamin podejrzewał zresztą, że nawet w systemie Manticore nie zdawano sobie sprawy, jak wielką mają w tej dziedzinie przewagę.

Przez ostatnich pięć czy sześć lat standardowych obaj z Danielem próbowali tu przeszczepić zasady obowiązujące w królewskich stoczniach i odkryli, że nie jest to wcale takie proste, jak im się wydawało. Żeby osiągnąć porównywalną skuteczność, nie wystarczyła taka sama technika, potrzebne było takie samo społeczeństwo, a takowego stworzyć nie mogli. Ich pracownicy byli doskonali w wykonywaniu poleceń, dobrze wyszkoleni i zmotywowani, ale całkowicie pozbawieni pomysłowości i niezależnego myślenia

charakterystycznych dla stoczniovców z Manticore. Z prostego powodu - u niewolników nie były to specjalnie pożądane cechy, toteż dawno je wypłeniono. I dlatego osiągnęli wyniki lepsze niż ktokolwiek w Lidze Solarnej, ale gorsze niż w Królestwie.

- Też żałuję, że nie zniszczyliśmy tych okrętów - przyznał po chwili. - Natomiast pozabawienie ich rakiet jest prawie równie skuteczne. Zwłaszcza jeśli zmusimy ich do zużycia tych posiadanych na Marynarce Ligi.

- Wiem. - Albrecht upił łyk wina, popatrzył w kielich i powtórzył: - Wiem. Ale tak sobie myślałem... uciekły nam ze stoczni, ale wiemy, gdzie są i...

- Nie - przerwał mu zdecydowanie Benjamin.

Albrecht spojrział na niego zaskoczony tą stanowczością z nieco ogłupiałą miną.

- Wiem, co ci przyszło do głowy, bo domyśliliśmy się z Collinem i Danem, że to może nastąpić - wyjaśnił Benjamin.

- Więc usiedliście sobie w kącie i spiskowaliście za moimi plecami? - spytał z uśmiechem Albrecht.

Benjamin wzruszył ramionami.

- To ty postawiłeś mnie na czele floty, Daniela na czele zespołów badawczych, a Collina wywiadu. Chyba nie po to, żebyśmy zadowoleni rozkwitali w nieróbstwie, używając głów tylko do noszenia kapeluszy.

- Masz rację, że nie po to - zgodził się Albrecht.

- I dlatego przyszło nam do tychże głów, na jaki pomysł wpadniesz. A jest on w założeniu prosty: wysłać jednostki do Trevor's Star, by zniszczyły okręty liniowe, które uciekły nam ze stoczni.

- Owszem. A sądząc po twojej reakcji, nie uznaliście tego za genialny pomysł?

- Pomysł jest genialny, tylko mało prawdopodobne, żeby udało się go zrealizować tak jak poprzedni. Ostryga powiodła się głównie dlatego, że stanowiła kompletne zaskoczenie, ale z założenia była to akcja jednorazowa, bo powtórka byłaby znacznie ryzykowniejsza. Królewska Marynarka nadal nie wie, jak to zrobiliśmy, ale wie już, że to da się zrobić. Założę się, że sprawdzają lub już sprawdzili wszystkie „elektroniczne duchy”, dziwne ślady wyjścia z nadprzestrzeni, i że bardzo zwiększyli liczbę sond zwiadowczych w systemie. I w Trevor's Star także. Teraz sprawdzą każdy taki sygnał, i to znacznie dokładniej, niż robili to dotąd. Poza tym to, że my nie mamy detektora nowego napędu, nie znaczy, że oni wkrótce nie będą go mieli. Fakt, jest to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Podsumowując: dostanie się w pobliże celów będzie znacznie trudniejsze, a szanse na ucieczkę jeszcze mniejsze. Po drugie, potrzebowalibyśmy znacznie większych sił, bo cele byłyby nie cywilne, lecz



wojskowe: opancerzone i wyposażone w ekrany oraz osłony burtowe. A założę się, że po Ostrydze okręty Royal Manticoran Navy mają gorące napędy i aktywne ekrany oraz generatory osłon. I że w systemie aż się roi od tych wyposażonych w nadajniki grawitacyjne sond zwiadowczych czy innych platform z podobnym wyposażeniem. A my nie mamy dość jednostek, by dysponować siłą ognia gwarantującą sukces w takich okolicznościach i mającą szansę przetrwać jakąkolwiek walkę. A to z kolei rodzi ryzyko, że uszkodzony, ale nie zniszczony okręt typu *Shark* dostanie się w ręce przeciwnika i cała nasza przewaga techniczna przestanie istnieć. A po trzecie, co jest ściśle powiązane z kwestią drugą, nie stać nas na utratę choćby jednego okrętu nie ze względu na jego wartość bojową, ale z uwagi na ofiary w ludziach. Ich załogi to kadra naszej przyszłej floty i nie możemy sobie pozwolić na utratę żadnego z nich w akcji, która i tak ma małe szanse sukcesu. Spowodowaliśmy duże straty w personelu Królewskiej Marynarki, ale ona ma dużo wyszkolonych ludzi i w miarę szybko dojdzie do siebie. My nie mamy i dlatego potrzebujemy wszystkich już wyszkolonych i z doświadczeniem.

- Uważasz, że poniesiemy straty w czasie takiej operacji? - spytał Albrecht.

Benjamin wzruszył ramionami.

- To mało prawdopodobne, ale możliwe, natomiast atak na pewno nie byłby tak skuteczny jak Ostryga, za to znacznie bardziej ryzykowny. Na dodatek mamy bardzo słabo rozpoznany system Trevor's Star, a sam nas uczyłeś, że nie da się zmusić wszechświata, by zrobił to, co chcemy, lepiej więc dostosować plany do tego, jaki jest naprawdę. A w tym wypadku potencjalne korzyści są niewspółmierne do potencjalnych strat.

Albrecht długą chwilę analizował to, co usłyszał, potem dopił wino i odstawił kielich.

- Masz rację - zdecydował. - Nie po to postawiłem was na czele różnych gałęzi tego przedsięwzięcia, żebyście bezsilnie obserwowali, jak popełniam błędy. Przyznaję, że nie pomyślałem o części możliwych konsekwencji, które właśnie wymieniłeś. Nadal chciałbym to zrobić, ale masz rację: to się nam nie kalkuluje. A kiedy zaczniemy uważać się za niezwyciężonych, staniemy się jak te dupy wołowe z Ligi Solarnej.

- Cieszę się, że tak zdecydowałeś. - Benjamin odetchnął z widoczną ulgą.

- Dobrze, temat zamknięty - oznajmił Albrecht. - W nagrodę mam dla ciebie nowinę: chcę, żebyś razem z Danielem towarzyszył mi na Mannerheimie.

- Że co proszę?!

Albrecht zachichotał, widząc jego minę.

- Obecni będą wszyscy z Hurskainenem na czele, chcę więc, żeby dostali odpowiedź na wszystkie pytania dotyczące operacji Ostryga, jakie zadadzą - wyjaśnił. - Naturalnie z

zachowaniem zasad bezpieczeństwa. A najlepsi do tego jesteście wy dwaj.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Na pewno będą pytać o nowy napęd i nowe rakiety, czyli o to, co najtajniejsze.

- Wiem, ale wszyscy oni udowodnili, że potrafią dochować tajemnicy, bo inaczej nie doszlibyśmy tak daleko, jak doszliśmy. Sądzę, że teraz niektórzy stali się nerwowi, bo nie mogliśmy ich uprzedzić o przyspieszeniu operacji Ostryga. Nie podejrzewam, by ktokolwiek miał wątpliwości, czy dobrze wybrał, ale niepokój bywa destrukcyjny, a możemy ich uspokoić stosownymi wyjaśnieniami, naturalnie w granicach rozsądku - wyjaśnił Albrecht i poczekał na reakcję Benjamina, a gdy ten kiwnął potakująco głową, kontynuował: - To spotkanie pod pewnymi względami jest nawet bardziej istotne od Ostrygi, bo zaczynamy aktywować Równanie jako państwo. Naturalnie wszystko musi pozostać w tajemnicy, aż Liga Solarna nie zacznie pękać, ale żeby proces się powiódł, musimy stopniowo wtajemniczać coraz niższe szczeble administracji systemów członkowskich. To, że coś kombinujemy, przecieknie na zewnątrz wcześniej, niżbym chciał, ale wątpię, by ktoś domyślił się, o co naprawdę chodzi. Nie gwarantuje to naturalnie, że nie będzie w najbliższej przyszłości paru nerwowych chwil, a ci, którzy wezmą udział w spotkaniu, nie doszliby tam, gdzie są, dzięki wrodzonej głupocie. Słusznie domyślą się więc, że weszliśmy w najważniejszy dla wszystkich okres wynoszący od roku standardowego do dwóch. I dlatego wolałbym, by byli tak pewni skuteczności sprzętu, którego użyliśmy, jak to tylko możliwe.

- A jeśli zapytają, czy mamy wystarczającą liczbę okrętów?

- To przyznasz, że nie i że te, których użyliśmy, zostały zaprojektowane jako jednostki szkolne. Powinno to dać właściwy efekt, bo skoro szkolne jednostki tak dobrze się spisały, to liniowe powinny być jeszcze skuteczniejsze. I powiesz, ile ich naprawdę mamy, bo ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest utrata wiarygodności, gdy kłamstwo się wyda. A każde kiedyś się wyda. I powinienesz też zwrócić im uwagę, że od początku planowaliśmy, że w pierwszej fazie naszą siłą będą ich połączone floty systemowe. Może nie są imponujące osobno, ale jest ich jedenaście. Flota Mesy to na tym etapie nasz as w rękawie; chcę, żeby wiedzieli o jego istnieniu i możliwości użycia w razie potrzeby. I by zrozumieli, że flota, którą budujemy, będzie dysponowała tymi samymi możliwościami, tylko na znacznie większą skalę. Nie chcę, by się bali, czy zdołamy wykonać to, co zaplanowaliśmy, tylko dlatego, że realizacja Ostrygi uległa przyspieszeniu.

- Rozumiem - mruknął Benjamin.

I zamilkł na kilkanaście długich sekund... potem spojrzął ojcu w oczy i powiedział:

- No dobrze. Sądzę, że obaj z Danem będziemy w stanie zadziałać jako środek

uspokajający, jak długo nie spodziewasz się, iż ogłosimy, że flota naszych niewidzialnych superdreadnoughtów zjawi się w przyszłym tygodniu na orbicie Ziemi.

## ROZDZIAŁ XXXIX

Albrecht Detweiler rozsiadł się wygodnie w fotelu, z zadowoleniem obserwując najważniejsze elementy cebuli stworzonej przez przodków. Sala konferencyjna, w której się znajdowali, była najprawdopodobniej najlepiej strzeżonym i zabezpieczonym przed podsłuchem miejscem w całej galaktyce. A jeśli nie była, to nie z braku starań. Spotkanie, które się w niej odbywało, było bowiem równie ważne, o ile nie ważniejsze od operacji Ostryga.

Sala była przestronna, ozdobiona rzeźbami świetlnymi ze wszystkich reprezentowanych państw, a na jej środku stał masywny stół otoczony fotelami. Przed każdym z nich znajdował się pulpit komputera najnowszej generacji z pełnym systemem zabezpieczeń. Ludzie zajmujący owe superwygodne fotele pasowali do eleganckiego wnętrza i dobrze się w nim czuli. Wszyscy byli też fizycznie atrakcyjniejsi niż on sam, tworząc łącznie godne uwagi zbiorowisko piękna. Godne uwagi było rzeczywiście, bo pracowano nad nim od pokoleń, jako że specjaliści dawno już zauważyli, że zgrabna sylwetka i atrakcyjne rysy zwiększają szanse każdego polityka niezależnie od systemu władzy.

Razem z nim przy stole zasiadł równy tuzin osób, a równie nietypowe było to, że nikomu nie towarzyszył choćby jeden sekretarz. Dla większości z nich był to chyba pierwszy tego typu przypadek od ponad dwudziestu lat standardowych, bo zwykle wokół każdego kłębił się tłum pomagierów różnej maści. Częściowo rzeczywiście potrzebnych, częściowo służących jedynie do podkreślenia ich ważności.

Albrecht nigdy tego nie rozumiał i nigdy nie tolerował. A fakt, że tym razem towarzyszyli mu Collin, Benjamin i Daniel, jedynie to podkreślał, bo wszyscy wiedzieli, że są aktywnymi członkami rady, nie pomocnikami. W rzeczywistości byli ministrami nader silnego państwa, mimo iż większość mieszkańców galaktyki nie miała pojęcia o jego istnieniu.

Co miało się zmienić we właściwym momencie, który zbliżał się raczej gwałtownie...

Albrecht odchrząknął.

Nie był to głośny dźwięk, ale dzięki akustyce pomieszczenia wyraźnie słyszalny. Wywarł też zamierzony efekt, gdyż wszystkie pogawędki ucichły natychmiast, a obecni skupili uwagę tylko na nim.

- Cóż, chyba czas, żebyśmy przeszli do rzeczy? - zaproponował uprzejmie.

Każdy z dziewięciu mężczyzn i dwóch kobiet zasiadających przy stole był głową państwa obejmującego cały system planetarny. Albrecht Detweiler nie miał żadnego oficjalnego tytułu czy stanowiska, ba, o jego istnieniu wiedziała niewielka grupa osób. Ale nie było najmniejszej wątpliwości, kto przewodniczy temu spotkaniu i kto rządzi w tym gronie.

- Wiem, że wszyscy otrzymaliście wstępne oceny skutków operacji Ostryga. Za kilka minut Benjamin przedstawi szczegółowy raport, ale pozwólcie, że powiem, iż zniszczenia tak w systemie Manticore, jak i Yeltsin okazały się większe, niż wskazywały na to wstępne szacunki. Nie nazwałbym operacji całkowitym sukcesem jedynie dlatego, że zawsze chciałem osiągnąć więcej, niż to było możliwe. Jeśli bowiem chodzi o zaplanowanie i przeprowadzenie tej operacji, wszystko poszło doskonale. Benjamin i Collin przedstawią wam też szczegóły decyzji Kołokolcowa i reszty Pięciorga popierającej atak na system Manticore zaproponowany przez Rajampeta. Nie muszę mówić, że będzie nieco mniej skuteczny niż nasz.

Reakcją była cicha fala śmiechu, która przetoczyła się wokół stołu.

- To wszystko oznacza - podjął Detweiler - że nadszedł czas i formalnie wprowadzam w życie uzgodnienia konstytucyjne Równania.

W sali zapadła cisza jeszcze głębsza niż dotąd.

Niepotrzebne były żadne teatralne gesty - wszyscy obecni należeli do linii alfa, niektórzy do niewiele młodszych niż genotyp Detweilerów, i od prawie dwudziestu lat standardowych wiedzieli, że cel, ku któremu dążyli przodkowie, zostanie zrealizowany prawie na pewno za ich życia.

Przyjrzał się kolejno każdemu z nich.

Stanley Hurskainen był prezydentem Republiki Mannerheim. Siedział po jego prawej stronie. Miał 190 centymetrów wzrostu, szerokie bary, brązowe oczy i proste, czarne włosy, które nosił splecione w gruby, sięgający poniżej ramion warkocz niczym jego barbarzyńscy przodkowie. Mimo doskonałych ubrań i zadbanego wyglądu dziwnie to doń pasowało. Flota systemowa, którą kontrolował, była najsilniejsza z wchodzących w skład Równania.

Kanclerz Walter Ford rządził Republiką Drugiej Szansy obejmującą system Matagorda i siedział po drugiej stronie Hurskainena. Był najstarszy z obecnych - o dobrych 25 lat standardowych starszy od Albrechta, z racji czego często zabierał głos w imieniu pozostałych. Miał szpakowate włosy z przewagą siwizny i sympatyczną twarz przywodzącą na myśl ukochanego wujka, ale oblicze to kryło bystry i bezkompromisowy umysł.

Jako następny siedział Clinton Thompson, Król Clinton III Królestwa New Madagascar. Był dynamiczną osobą o blond włosach, czarnych oczach i ostrych rysach. Siedział niczym kot, odprężony, ale równocześnie gotów do natychmiastowego działania. Mocne nadgarstki zdradzały zawodowego fechtmistrza, którym był, nim zasiadł na tronie.

Prezes Joan Kubrick była jedną z dwóch kobiet i najniższą osobą z obecnych. Miała niespełna 155 centymetrów wzrostu i wyglądała nader delikatnie i krucho. Kasztanowe włosy, błękitne oczy i ciemna karnacja dopełniały obrazu niewinnego dziewczęcia. Żelaznej woli i wspomaganym mięśniom oraz wzmocnionym kości widać nie było. Rządziła Stowarzyszeniem Maxwell.

Następny był Anton Polanski, prezydent systemu Line. Najmłodszy (nie licząc Daniela) z zebranych, zdobył reputację koncertowego gitarzysty, nim zgodnie z tradycją rodzinną zajął się polityką. Blondyn o zielonych oczach i bladej cerze, miał delikatne dłonie o długich palcach.

Obok niego zajmował miejsce Roman Hitchcock, prezydent systemu Visigoth. W porównaniu z pozostałymi miał toporne rysy, a budową przypominał Hurskainena, tyle że był o dziesięć centymetrów niższy i sprawiał wrażenie szybszego oraz zręczniejszego. Pierwszy mógłby być modelem dla barbarzyńskiego władcy, on dla wodza armii. Czarne włosy, szare oczy i wydatny nos dopełniały całości.

Nikomedes Kakadelis, kanclerz Demokratycznej Republiki Thrace, rzeczywiście wyglądał tak, jak sugerowało nazwisko - miał oliwkową cerę, czarne, kręcone włosy, błękitne oczy, ostry nos i podbródek. Był o ledwie osiem centymetrów wyższy od Kubrick, ale miał budowę zapaśnika, a twarz ciężarowca.

Następny był Vincent Stone, dyrektor Dyrektoriatu New Orkney. Jak na mężczyznę był za ładny - miał nadzwyczaj regularne rysy, idealny nos, delikatne, brązowe oczy, posągowy podbródek i kruczoczarne włosy. Mimo młodzieńczego wyglądu był jednym ze starszych spośród obecnych. Był też posiadaczem wysokich odznaczeń za odwagę, które zdobył jako oficer floty, nim zajął się polityką - tak jak zresztą od początku jego kariery zaplanowano.

Miejsce obok zajmowała Rebecca Montkelli, prezydent Republiki Comstock. Wyglądała tak, jakby została specjalnie zaprojektowana jako przeciwieństwo Kubrick, choć tak nie było. Miała czarne włosy, ciemne oczy i silną opaleniznę, w czym nie było nic dziwnego, jako że uwielbiała jazdę na nartach. Była też o dobre dwa centymetry wyższa od słynnej Honor Harrington, a także miała bardziej niż tamta wzmocniony metabolizm, gdyż posiadała bardziej zmodyfikowane umięśnienie niż pierwsza fala kolonistów Meyerdahla.

Obok siedział kanclerz Republiki New Bombay Robert Tarantino, który jako jedyny irytował Albrechta. Nie z własnej winy zresztą, tylko w efekcie wady genotypu, która w jego przypadku okazała się szczególnie wyraźna. Objawiało się to nadpobudliwością; mówiąc po ludzku, nie potrafił usiedzieć spokojnie, musiał ciągle czymś się bawić. Z reguły był to kamyk, który zawsze miał przy sobie. Albrecht kiedyś przekonał go, żeby się z nim chwilowo rozstał, ciekaw, co będzie. W ciągu minuty Tarantino zaczął pod stołem przytupywać, a po kolejnej jeszcze bębnić palcami na kolanie. Nie licząc jednakże tego małego feleru, był naprawdę zdolnym przywódcą politycznym z doktoratami z fizyki i ekonomii i cieszył się w Lidze zasłużoną sławą doskonałego ekonomisty.

Ostatnim siedzącym z lewej strony Albrechta był Reynaldo Lucas, markiz Reynaldo IV rządzący Księstwem Denver. Blondyn o orzechowych oczach i niewielkiej, starannie utrzymanej bródce. Lubił nosić długie włosy i był utalentowany muzycznie, jak zresztą wszyscy w jego rodzinie. Przejawiało się to pięknym barytonem i doskonałym słuchem.

Według wszelkich standardów była to grupa nader uzdolnionych ludzi, a wszyscy oni i ich rodziny oraz spora część pozostałych polityków i ekonomistów w ich państwach należeli do Równania. Częściowo ze względów strategicznych, częściowo genetycznych ich przodkowie zostali zwerbowani lub umieszczeni tam, gdzie trzeba, wieki temu. Ród Hurskainenów na przykład znalazł się na planecie Visigoth ponad trzysta lat standardowych temu, a Stanley należał do piętnastego pokolenia tej linii alfa. Genom Thompsona był jeszcze starszy. Żaden nie dorównywał pod tym względem linii Detweilera, ale w przeciwieństwie do przodków Albrechta ich rodzice, dziadowie czy pradziadowie nie byli znanymi postaciami aktywnie uczestniczącymi w życiu politycznym państw, w których żyli. Wszyscy bowiem pracowali wspólnie dla tej właśnie chwili.

- Przepraszam, że to powiem - odezwał się Ford - ale chciałbym, żebyś mógł się ujawnić. Wszyscy rozumiemy, dlaczego jest to niemożliwe, ale to... niewłaściwe i niesprawiedliwe.

- Dzięki, Walt - powiedział szczerze Albrecht, wiedząc, że nie jest to wazeliniarstwo czy pusty komplement, a poza tym po twarzach pozostałych widać było, że też są tego zdania.

- Doceniam twoją opinię, ale wszyscy wiemy, dlaczego nie mogę tego zrobić.

Ford kiwnął głową. Podobnie większość zebranych, bo wszyscy znali powód - prosty i o podstawowym znaczeniu równocześnie. Ostatnią rzeczą, na jaką mogli sobie pozwolić w tak krytycznym okresie, było, by reszta wszechświata doszła do wniosku, że to wszystko to sprawka tych wrednych przestępców z Mesy, którzy to wszystko wymyślili i pociągają za sznurki, jak zwykle pozostając w cieniu. Zebrani byli tak istotni dla sukcesu Równania

właśnie dlatego, że nie istniało nic, co łączyłoby któregokolwiek z nich z Mesą.

Wszyscy pochodzili z rodzin stanowiących od dawna część społeczeństwa, których pochodzenie i inteligencja zostały dawno udowodnione. Wszyscy mieli zasłużoną reputację zdolnych, dalekowzrocznych i zaangażowanych przywódców państw. Wszyscy wielokrotnie potępiali niewolnictwo genetyczne, a większość wręcz aktywnie je zwalczała. No i w przeciwieństwie do większości solarnych polityków żaden nigdy nie został choćby pomówiony o korupcję, i to nie z braku dowodów, ale z braku podstaw.

Kiedy Królewska Marynarka kolejny raz zaatakuje Marynarkę Ligi, w kilku miejscach na Obrzeżu wybuchną „spontaniczne rebelie”, a wkrótce potem kilku gubernatorów sektorów pójdzie śladem Barregosa z sektora Maya i ogłosi nadzwyczajne opracowania w celu ochrony ludności.

I wówczas obecni przy tym stole wyłonią się z chaosu jako przywódcy nowej międzyplanetarnej potęgi.

Jak będzie się nazywała, tego jeszcze dokładnie nie ustalono - wiadomo było, że nazwa będzie nawiązywała do Odrodzenia, ale reszta była starannie zaplanowana. Każdy zostanie „zmuszony” do podjęcia kroków w celu obrony swego państwa przed falą anarchii. Naturalnie nie wszyscy naraz i nie natychmiast. I nie nazwą siebie nowym państwem, ale nim w rzeczywistości będą. Oficjalne zjednoczenie i ogłoszenie nastąpi znacznie później. Najpierw, gdy dla wszystkich stanie się oczywiste, że Liga Solarna rozpada się ku powszechnym zresztą obawom, zostaną zmuszeni, by z żalem skorzystać z konstytucyjnego prawa odłączenia się od niej i formalnego ogłoszenia niezależności swych państw.

Potem połączą się w jedno państwo powstałe w wyniku zagrożenia i stanowiące oazę ładu i porządku w morzu chaosu. I naturalnie nie mające nic wspólnego z Mesą. I jak najbardziej przeciwne eugenicie czy jakimkolwiek manipulacjom genetycznym.

A po pewnym czasie reszta zasiedlonej galaktyki odkryje, że to nowe państwo to rzeczywiście odrodzona Liga Solarna, jak sugerowała jego nazwa. A raczej jej następca - równie potężny, choć mniejszy obszarowo, którego celem jest odrodzenie ludzkości w nowej, wspanialej formie, w której nareszcie będzie mogła w pełni zrealizować swoje możliwości.

Albrecht Detweiler nie był wcale pewien, czy mimo prologu i genetycznej długowieczności pożyje wystarczająco długo, by tego doczekać. Był przygotowany, że nie doczeka, ale nie miał do losu pretensji - ważne, że doczekał czegoś ważniejszego. Dnia, w którym wieki poświęceń i cierpliwości zaczęły w końcu przynosić owoce i od którego zacznie się nowa droga ludzkości. Droga właściwa, bez historycznych reakcji na wspomnienie Ostatecznej Wojny i bez świętoszkowatego Kodeksu Beowulfa. Nikt z obecnych nie dożyje



chwili, gdy to zadanie zostanie ukończone, ale wszyscy wiedzieli, że ona nastąpi i że to właśnie oni rozpoczęli aktywną realizację tej nowej drogi.

- Wiemy wszyscy, dlaczego nie mogę - powtórzył miękko Albrecht Detweiler. - Ale kiedy wy staniecie i ogłosicie powstanie państwa, będę stał obok was. I nie znam zaszczytniejszego towarzystwa, w którym chciałbym się wówczas znaleźć.

## ROZDZIAŁ XL

- Tak, Denis? - Eloise Pritchard próbowała nie warczeć, ale nie bardzo jej się udało.

Denis LePic obudził ją bowiem dokładnie po godzinie i siedemnastu minutach od momentu, gdy wreszcie mogła iść spać.

- Przepraszam za pobudkę - powiedział ostrożniej niż zwykle - ale dobrze się zastanowiłem i uznałem, że choć teoretycznie nie musiałem tego robić, to nigdy byś mi nie wybaczyła, gdybym poczekał do rana.

- O czym ty bełkoczesz? - spytała, patrząc podejrzliwie na ekran komunikatora.

- Pamiętasz pewnego narwańca, który nam zginął jakiś czas temu?

- Owszem. A bo co?

- Bo właśnie się znalazł. I to z kumplem. A na dodatek po drodze dołączył do nich jeszcze jeden koleś, z którym, jak sądzę, będziesz bardzo chciała porozmawiać osobiście.

- I Sheila pozwoli mi wejść do tego samego pokoju, w którym oni będą?

- Może mieć pewne opory - przyznał LePic. - Ale skoro będą tam Kevin, Tom, Wilhelm i Linda, to chyba zdołasz ją przekonać.

- Aha... - mruknęła świadoma, że połączenie jest niekodowane i każdy może ich usłyszeć, stąd staranny dobór formy i treści był niezbędny. - Tego nowego koleśia poznali tam, dokąd ich poniosło?

- Tak. I przyznaję, że robi wrażenie. Rozmawiałem z nim tylko chwilę, ale mogę cię ostrzec, że odkryjesz, iż sporo spraw, które wydawało się, że znamy, stoi na głowie. Dosłownie.

Pritchard sapnęła z wrażenia, gdy dotarło do niej, że pod maską humoru Denis LePic ukrywa szok i przerażenie.

A Denisa LePica nie łatwo było przerazić.

- No cóż... skoro tak, zajmij się budzeniem pozostałych.

- Już to zrobiłem.

\* \* \*

- Powrót syna marnotrawnego, jak widzę - skomentowała godzinę później, gdy do sali weszli Cachat, podobny do krasnoluda jegomość dziwnie przypominający zabitego Antona Zilwickiego oraz blondyn o szarych oczach nie wyróżniający się niczym specjalnym. - Miło

pana widzieć, panie Cachat. Nie pisałeś pan, nie dzwoniłeś... ładnie to tak?

Ku jej zaskoczeniu Cachat zarumienił się niczym dorodna piwonia, toteż czym prędzej spojrzała na krasnoluda i spytała:

- Pan, jak sędzę, to niezatapialny kapitan Zilwicki?

Zapytany, mimo iż oficjalnie znajdował się w gnieździe wroga - i to w samym jego sercu, bo sala była w podziemiach New Octagon - wyglądał na zupełnie spokojnego. A raczej nie było po nim widać żadnych emocji - wyglądał jak granitowa rzeźba bardzo poważnego i jeszcze bardziej zdecydowanego władcy krasnoludów. Pritchart miała okazję zobaczyć go na własne oczy pierwszy raz i była pod wrażeniem tak jego samokontroli, jak i całej osoby. Przestała się też dziwić, dlaczego zaprzyjaźnili się z Cachatem.

- Obawiam się, że wszyscy w galaktyce są przekonani, iż udało się panu zginąć od własnej bomby nuklearnej, kapitanie Zilwicki - dodała. - Miło mi, że informacje o pańskiej śmierci okazały się przedwczesne, choć sędzę, że sporo osób na planecie Manticore bardziej się ucieszy. I będą wręcz strasznie ciekawi, gdzie się pan podziewał przez ostatnie ponad pół roku. Razem z asem naszego wywiadu, jak rozumiem.

- Mieliśmy mały problem z napędem, pani prezydent. - Głos Zilwickiego pasował do postaci, był głęboki i poważny. - Trochę potrwało, nim udało się go naprawić. Ostrzegam, że jeśli ktoś mi jeszcze kiedyś zaproponuje grę w karty, mogę zareagować w sposób mało cywilizowany.

- Chyba wiem dlaczego - uśmiechnęła się Pritchart. - Zapewne zorientowaliście się już, że przez ten czas trochę się wydarzyło tu i tam. A teraz do rzeczy: mam nadzieję, że powiecie mi, co się naprawdę stało w Green Pines?

- Powiemy - zapewnił posepnie Zilwicki. - Z oficjalną wersją miało to niewiele wspólnego, ale i tak źle, że się wydarzyło.

Pritchart przyjrzała mu się uważnie i pokiwała głową. To, co usłyszała, znaczyło, że obaj byli w jakiś sposób w sprawę zamieszani, ale fakt, że Zilwicki był cały i zdrow, będzie solidnym ciosem dla wiarygodności Mesy. A to jej się podobało.

- Was obu znam, jednego aż za dobrze, natomiast nie mam pojęcia, kim jest ten dżentelmen. - Pritchart zmieniła temat i wskazała na blondyna, który wraz z Zilwickim był obiektem nachalnej wręcz uwagi całej trójki członków jej osobistej ochrony.

Mężczyzna miał ciekawą minę - widać było, że jest zdenerwowany i czuje się niepewnie, i to nie tylko z powodu skierowanej nań niepodzielnej uwagi jednego z podkomendnych Sheili Thiessen. Ale na jego twarzy malowało się coś jeszcze - zdecydowanie prawie takie jak u Zilwickiego. I jeszcze coś... jakby poczucie winy.

- To jest doktor Herlander Simões z planety Mesa - przedstawił go Cachat, już bez śladów rumieńca.

Pritchart, Theisman, LePic, Linda Trenis i Victor Lewis siedzieli po jednej stronie stołu konferencyjnego, Cachat, Zilwicki i Simões po przeciwnej. Jedyne LePic miał okazję wysłuchać wstępnego raportu Cachata, a fakt, że natychmiast zawiadomił ją i pozostałych, świadczył najlepiej o tym, jaką wagę przykładał do tego, co przybyli mieli do przekazania.

- Rozumiem... - mruknęła i przekrzywiła głowę. - Jak rozumiem, doktor Simões jest efektem, że tak się wyrażę, waszej wycieczki?

- Jednym z powodów - poprawił ją Cachat.

- W takim razie - Pritchart rozsiadła się wygodniej - słuchamy, jakie były pozostałe. Po kolei, od początku i w prostych słowach, jeśli to możliwe.

\* \* \*

- O kurwa! - westchnęła wyraźnie wstrząśnięta Eloise Pritchart. - Jasna cholera, Tom, myślisz, że to może być prawda?

Ostatni raz Thomas Theisman widział ją taką w dniu, w którym Genevieve Chin na czele niedobitków dotarła do systemu Haven, przynosząc wieść o bitwie o Manticore. Poprzednim razem, gdy poinformował ją o śmierci Javiera Giscarda. Trzeciego razu nie pamiętał.

Tym razem jednak był pewien, że na jego twarzy malują się te same uczucia.

- Nie wiem... - przyznał, potrząsając głową. - Nie wiem, ale...

Seria rewelacji zaprezentowanych przez Simõesa, plus mniej lub bardziej kompletne fragmenty pochodzące od nieżyjącego Jacka McBryde'a będące treścią chipa, który mógł stanowić dowód, że warto go wywieźć z Mesy, wstrząsnęły nim. Podczas spotkania dotychczasowy obraz sytuacji polityczno-militarnej galaktyki oraz kilkudziesięciu ostatnich lat jej historii stanął na głowie. Na analizę było jeszcze za wcześnie i naturalnie mogło to być jedno wielkie przemyślane kłamstwo, ale...

- Prawdę mówiąc, uważam, że to prawda - ocenił.

- To musi być operacja dezinformacyjna! - oznajmiła Linda Trenis, ale w jej głosie nie było przekonania.

Z obowiązku powinna być sceptyczna, ale tym razem instynkt wziął górę nad wyszkolonym umysłem...

- A ja myślę, że admirał Theisman ma rację - sprzeciwił się Victor Lewis.

Szef wydziału Badawczo-Operacyjnego powiedział to, jakby sam był zaskoczony

własnymi słowami, ale wyraz jego twarzy był najbardziej zbliżony do normalnego spośród wszystkich obecnych w gabinecie prezydenckim. Pozostali wyglądali na totalnie oszołomionych, a on na myślącego. Choć naturalnie mogły to być pozory.

- Ale... - odezwała się Pritchard.

- Pomyśl na spokojnie - przerwał jej Theisman. - O tym, co usłyszałaś, i o tym, że Cachat z Zilwickim zgadzają się z tym, a mieli aż za dużo czasu, by wszystkiego posłuchać po parę razy, przeanalizować i przedyskutować. Takich jak oni naprawdę trudno oszukać, bo z natury są podejrzliwi. Fakt, brzmi to jak wariactwo, ale jest spójne i logiczne. Jak to się mówi: trzyma się kupy.

Pritchard już miała zacząć protestować, ale zamknęła usta bez słowa. Thomas miał rację i w kwestii Cachata z Zilwickim, i w tym, że to się rzeczywiście trzymało kupy. Oczywiście jeśli była to dezinformacja, też musiała być spójna i logiczna, bo inaczej nikt by w nią nie uwierzył. Tyle tylko, że w tym wypadku w informacjach powinno być mniej luk albo też powinny istnieć sensowne wyjaśnienia pozwalające większość z nich przełknąć słuchającym. No i przede wszystkim autorzy wiedzieliby, że Zilwicki żyje, bo był niezbędny, by te dezinformacje wywarły właściwe wrażenie, nie ogłaszano by więc jego śmierci. A według tego całego McBryde'a we władzach Mesy było tylu członków Równania, że nie byłby w stanie samodzielnie czegoś podobnego wymyślić... Potrząsnęła głową, czując, że już ją boli, a do rana zostało jeszcze sporo czasu.

- Zgadzam się z admirałem Theismanem - oznajmił zdecydowanie Lewis. - A gdyby to miała być dezinformacja, to powiedz mi, Lindo, co miałyby ukryć? Nie mogę sobie wyobrazić powodu, dla którego ktoś z Mesy chciałby nas przekonać, że od ponad stu lat standardowych wraz z Królestwem Manticore jesteśmy celem. Co chcieliby osiągnąć przez taką dezinformację albo co ukryć? Co niby mieliby zyskać, przekonując nas, że prawdziwym wrogiem wcale nie jest Królestwo Manticore, tylko Mesa czy jakieś tajemnicze Równanie? Ba, więcej, że mamy z Królestwem wspólnego przeciwnika! Czy ktoś ma jakieś wyjaśnienie, choćby pozornie nielogiczne?

Rozejrzał się po obecnych, ale odpowiedziała mu cisza.

- Admirał Lewis ma w tej sprawie słuszość - przyznał LePic, marszcząc brwi. - Jeszcze coś: Cachat i Zilwicki potwierdzają, że pierwszy wybuch, który zniszczył owo Centrum Gamma, uszkodził też wieżę handlową. Jestem skłonny zgodzić się, że dobra operacja dezinformacyjna wymaga uprawdopodobnienia, ale nie wierzę, żeby nawet Manpower było skłonne wysadzić jedno ze swoich tajnych centrów badawczych, żeby sprzedać nam akurat tę historię.

- A zakładając, że ów McBryde mówił prawdę, dziwnie pasuje to do naszej własnej analizy i wniosku, że Manpower zachowuje się jak państwo, wrogie państwo - dodał Theisman. - Tyle że Manpower to szyld dla Równania, które jest tym wrogim państwem. O którego istnieniu nikt dotąd nie wiedział.

- Cholera, szkoda, że jego też nie zdołali wyciągnąć! - westchnęła Pritchart z uczuciem. - Wiem, że jeśli to prawda, to i tak mamy niewiarygodne szczęście, że sami zdołali uciec i zabrać Simõesa. Ale to technoświr... przestań się uśmiechać, Tom. To tak, jakbyś chciał, żeby Shannon Foraker opisała nam obecną sytuację polityczną w galaktyce. Jak dobrze nie byłby przesłuchiwany, i tak w jego opowieści będą dziury, których nie wypełni, bo to przekracza zakres jego wiadomości, zainteresowań i umiejętności.

- A z tymi przesłuchaniami trzeba bardzo uważać - dodała Trenis. - Personel naszej floty, podobnie zresztą jak większość innych, przechodzi specjalną procedurę antyprzesłuchaniową. Im kto ważniejszy, tym bardziej zaawansowaną. Jest skuteczna przeciwko wszystkim znanym środkom medycznym i naturalnym, ale oczywiście nie mamy pojęcia o wszystkich używanych w galaktyce. Jeśli to Równanie tak dobrze strzeże tajemnicy, jak on mówi, to jednego ze swych czołowych naukowców poddało zapewne jedynej niezawodnej w przypadku wszystkich form przesłuchania procedurze: wmontowali mu autosamobójstwo. Jeśli ktoś zacznie go naciskać, torturować albo nafaszeruje serum prawdy, organizm Simõesa umrze bez udziału jego świadomości. Nastąpi to całkowicie automatycznie.

- A jeśli prawdą jest to, co McBryde przekazał nam o nowym sposobie przeprowadzania zamachów, sposób jest prosty - ocenił LePic. - Wystarczy umieścić w organizmie odpowiednio zaprogramowane nanoroboty.

- Na szczęście nie zadziałają, jak długo mówi dobrowolnie - wtrącił Lewis. - Jeśli posadzimy go z naszymi fizykami, będą w stanie ocenić, czy to, co mówi o tym nowym napędzie, to prawda czy nie. W najgorszym razie sprawdzą, czy obliczenia są prawdziwe. A to pozwoli na zweryfikowanie, przynajmniej częściowe, jego wiarygodności.

- Może, ale byłabym zaskoczona, gdyby byli w stanie ocenić to szybko. - Pritchart nie kryła sceptycyzmu. - Prawdę mówiąc, lepsi byłiby specjaliści z Manticore, biorąc pod uwagę, o ile nas wyprzedzają w kompensatorach i łączności grawitacyjnej.

- Jeśli o to chodzi, to szkoda, że Harrington tu nie ma - uśmiechnął się złośliwie Theisman. - Nimitz byłby w stanie natychmiast nam powiedzieć, czy Simões kłamie. Tego, czy jemu nie sprzedano zestawu kłamstw, niestety nie byłby w stanie stwierdzić.

Pritchart pokiwała głową odruchowo, ale myślała o czymś innym.

Trenis chciała coś powiedzieć, lecz Theisman powstrzymał ją gestem i cała czwórka siedziała w milczeniu, czekając, aż Pritchart skończy rozmyślenia, co trwało dość długo.

Wreszcie spojrzała na Theismana nieprzytomnie, a w jej oczach było coś, co nie do końca mu się spodobało.

- Sądzę, że powinniśmy założyć, iż Simões i McBryde nie zostali podstawieni i powiedzieli prawdę - oznajmiła. - Denis zauważył ładunek nuklearny we własnym centrum badawczym; to trochę dużo jak na uwiarygodnienie kłamstwa. Zwłaszcza tak bezczelnego kłamstwa, bo podobnie jak admirał Lewis nie widzę żadnego sposobu, by Mesa mogła na nim skorzystać. Przyznaję, że trochę czasu zajmie mi pogodzenie się ze świadomością, że przez ostatnich pięćset lat standardowych banda niedorobionych supermenów genetycznych knuła, jak tu wymusić na reszcie ludzkości przyjęcie ich wizji przyszłości całej ludzkiej rasy, ale w końcu mi się to uda. Ułatwieniem będzie to, że są w to zamieszani skurwiele z Manpower, bo człowiek przyzwyczał się do traktowania ich jak rynsztoka galaktyki zdolnego do wszystkiego. Jako czarne charaktery pasują do każdej sytuacji i każdego scenariusza. Ale to całe Równanie to zupełnie inna bajka.

- I znacznie groźniejsza. Bo jeśli McBryde się nie mylił i Równanie było powiązane z Legislatorami, a zwłaszcza z DuQuesne, możliwe będzie znalezienie śladów tych związków - dodał LePic. - Wiem, że minęło sporo czasu i będzie to duże wyzwanie, ale archiwa ocalały, a wtedy nikt nie miał powodów podejrzewać jakichkolwiek zewnętrznych czynników. To, co teraz wiemy, daje nam zupełnie nową perspektywę i spojrzenie na to, jak uległa się Ludowa Republika. Jeśli sprawdzimy archiwa pod tym kątem, możemy odkryć rzeczy, które nie zwróciły wcześniej niczyjej uwagi i których nikt nie szukał.

- Naprawdę pan sądzi, że Równanie mogło odegrać w tym procesie istotną rolę? - spytała Trenis.

LePic w odpowiedzi uniósł pytająco brwi.

- Dla mnie to jedna z rzeczy sugerujących dezinformację - wyjaśniła. - Nie mam nic przeciwko spiskowej teorii dziejów, jeśli jest spójna. Ale żeby obalić czyjś rząd, nie zostawiając śladów...

- Już tę informację uważam za plus dla McBryde'a - sprzeciwiła się Pritchart, a widząc minę Trenis, dodała: - Jeśli ma rację, oni operują w zupełnie innej skali czasowej, bo planują swoje posunięcia z wyprzedzeniem kilkudziesięciu, a nawet kilkuset lat. Pomyśl o bezczelności, pewności siebie i psychice ludzi planujących zniszczenie tworu tak potężnego i wielkiego jak Liga Solarna. Dla nich zdestabilizowanie małego państewka takiego jak Republika Haven to prościzna. Zresztą jeśli się głębiej zastanowić, mogła być próba polowa:

okazja do praktycznego sprawdzenia metod przed właściwym ich zastosowaniem.

- Zakładając, że to prawda, takie podejście robi z nich wyjątkowo niebezpiecznego przeciwnika - odezwał się z namysłem Theisman.

Pritchard kiwnęła głową z ponurą miną.

Pozostali zaś spojrzeli na niego, nie bardzo rozumiejąc, co ma na myśli.

- Jeśli planują z takim wyprzedzeniem, to znaczy, że myślą z perspektywy wielu pokoleń - wyjaśnił Theisman. - Ich stratedzy opracowywali operacje, które mogły zaistnieć nie wcześniej, niż ich wnuki czy prawnuki będą dorosłe. A teraz pomyślcie, co to oznacza w kwestii agentury. Jakie legendy mogą posiadać ich od pokoleń uspieni agenci. To mogą być rodziny od dwustu-trzystu lat standardowych zakorzenione w każdym społeczeństwie, będące pełnoprawnymi, ba, patriotycznymi wręcz jego członkami. Taka pozycja daje niewiarygodny dostęp do informacji i potężne wpływy polityczne z możliwością kształtowania długofalowej polityki państwa. A w przypadku dziennikarzy także opinii publicznej.

Teraz już nikt nie patrzył na niego pytająco. Za to wszyscy zdecydowanie pobledli.

- Masz rację, ale nie dajmy się ponieść paranoi - odezwała się Pritchard. - Mogą się uważać za supermenów, ale nie widzę powodu, dla którego my mamy ich tak traktować. Fakt, mogli zniszczyć Republikę, ale nie wszystko im wychodzi, bo inaczej nadal mielibyśmy Ludową Republikę. Mogą planować z dużym, ogromnym wręcz wyprzedzeniem czasowym, ale muszą być w stanie koordynować posunięcia na bieżąco. A wiemy, jakie to wyzwanie przy dużych odległościach i pełnej strukturze władzy, nawet gdy nie trzeba się martwić o utrzymanie w tajemnicy samego faktu istnienia sieci łączności, nie mówiąc już o szczegółach operacyjnych. Dlatego takich śpiochów, o jakich mówisz, mają niewielu, bo muszą ze wszystkimi utrzymywać jakiś kontakt. Inaczej traciliby ich po prostu z powodu wypadków czy przypadków, takich jak choćby przedwczesna śmierć rodzica, który nie zdążył poinformować dzieci, kim są. A nie wystarczy powiedzieć czegoś w stylu: a tak przy okazji, jesteśmy agentami Równania, o którym nigdy nie słyszałeś, i naszym celem jest zdrada państwa, w którym się urodziłeś i wychowałeś. Tu masz częstotliwość łączności z szefem i powodzenia, gdyby coś mi się stało.

- Fakt, ale z drugiej strony trudno wykryć coś, czego nikt nie szuka - zauważył Theisman. - A takiej łączności nikt dotąd nigdzie nie szukał.

- To prawda, ale i tak muszą mieć naprawdę doskonałych agentów i bezwzględnie oceniać stopień ryzyka oraz priorytety. I działają wyłącznie na skalę, którą uznają za niezbędną - wtrącił Lewis. - Nam może się ona wydawać olbrzymia, ale obiektywnie jest tylko niezbędna.



- I to by pasowało do tego, co zrobili z Królestwem, według tego, co opisał McBryde - przyznał LePic z namysłem.

- Uruchomili dużo operacji w różnych miejscach, ale tylko atak na system Manticore wymagał dużych sił i wielu ludzi. Całą resztę można było osiągnąć przy udziale dosłownie kilku osób. Wystarczyło dotrzeć do Bynga i Crandall oraz jednego lub dwóch z Pięcioroga. A potem kogoś wysoko postawionego w dowództwie floty. I bez problemów można było zorganizować cały ten ciąg wydarzeń, który doprowadził do konfliktu Królestwa z Ligą. A dalej sprawy potoczą się same dzięki arogancji, korupcji całego systemu, braku kontroli, rozgrywkom poszczególnych urzędników, bezczelności Biura Bezpieczeństwa Granicznego i chęci zemsty na Królestwie Manticore za upokorzenie militarne. W tym czasie można było spokojnie skupić uwagę i wysiłek na czymś innym, o czym McBryde nie chciał powiedzieć, póki nie znajdzie się poza Mesą.

- No i w ten sposób wróciliśmy do punktu wyjścia - podsumowała ponuro Pritchard.

Pozostali spojrzeli na nią zdziwieni, błysnęła więc zębami w grymasie imitującym uśmiech.

- Konkretnie do kwestii zamachów. Naturalnie trzeba przeanalizować wszystko, co na ten temat zebrał McBryde, ale byłabym zdziwiona, gdyby coś nie grało. Myślę, że w końcu wiemy, co się naprawdę przytrafiło Grosclaude'owi. Zresztą pięknie pasuje to do tych fragmentów dowodów, które zdołali zdobyć Kevin i jego pracownicy. Powód, dla którego Równanie było łaskawe dać Arnoldowi najnowszy i najtajniejszy sposób zabijania, też jest chyba oczywisty. Jestem tylko ciekawa, czy należał do śpiochów, o których mówiliśmy, czy też po prostu go kupili. Ale to już w sumie szczegół techniczny. Muszę przyznać, że wymyślili to ładnie i zrobili z nas, zwłaszcza ze mnie, konkursowych idiotów. Mogli zresztą dla pewności mieć u High Ridge'a kogoś, kto robił to samo co Arnold. Ciekawe, że nikt nie słyszał ani nie widział niejkiej Descroix od momentu zmiany rządu w Królestwie. A pomysł, by wykorzystać fobie Elżbiety, przekonując ją, że to my zabiliśmy Webstera i chcieliśmy zabić Ruth Winton, tak jak Legislatory zamordowali jej ojca, a Saint-Just próbował zamordować ją, był genialny w swej prostocie. Zrobili z nas obu idiotki, przez co wróciliśmy do wojny... Pomyśleć, ile milionów ludzi, cywilów i wojskowych, naszych i z Królestwa, zostało zabitych w ciągu tych ostatnich osiemdziesięciu lat standardowych dlatego, że od początku zamierzali nas ze sobą skłócić i doprowadzić do wojny!

Ostatnie dwa zdania wypowiedziała, nawet nie próbując ukryć wściekłości.

Theisman uniósł dłoń w ostrzegawczym geście.

- Zakładając, że McBryde mówi prawdę, to możesz mieć rację. A raczej masz rację. I

przyznaję, że jakaś część mnie naprawdę chciałaby zrzucić odpowiedzialność za tych wszystkich zabitych, i tych, których my zabilśmy, i naszych ludzi, na czyjąś wredną machinację zamiast na naszą wrodzoną zdolność do pieprzenia spraw. Zanim zacniemy działać, na podstawie tego założenia, lepiej znajdziemy jakiś sposób, by sprawdzić, czy to prawda.

- Zgadzam się z tobą całkowicie - przyznała Pritchard - ale uważam, że sprawę przesądzą dwie rzeczy: relacje Cachata i Zilwickiego z tego, co stało się w Green Pines, w porównaniu z wersją oficjalną, i te dokumenty, które McBryde przesłał a dotyczące zamachu na Webstera. Jeśli nasi naukowcy potwierdzą informacje Simõesa o napędzie, będzie to dowód ostateczny. I będziemy mogli po cichu skontaktować się z Kongresem.

Ostatnie zdanie wyraźnie zaalarmowało Theismana i LePica, a u Trenis i Lewisa wywołało nieudane próby zamaskowania niepokoju. Tak się starali i tak im nie wychodziło, że zachichotała.

- Spokojnie, moi drodzy. Nie planuję rozmawiać z nikim, kogo nie sprawdzi Kevin i prawdopodobnie Leslie oraz ty, Tom. I będzie to naprawdę dogłębne sprawdzenie, zaręczam... No i naturalnie nie dowie się o tym nikt w typie McGwire'a czy Youngera. Tych poinformujemy jako ostatnich, gdy będzie to naprawdę niezbędne. Jeśli do tego dojdzie, oznaczać to będzie całkowitą zmianę założeń naszej polityki zagranicznej, i dlatego uważam, że pierwsze, naprawdę delikatne przygotowania należy zacząć jak najwcześniej.

## **MAJ 1922 ROKU PO DIASPORZE**

„Jeśli Liga Solarna chce wojny, będzie ją miała”.

Królowa Elżbieta III

## ROZDZIAŁ XLI

- Witam - zagaił Albrecht Detweiler, patrząc w obiektyw kamery. - Wiem, że od naszego spotkania minęły ledwie dwa tygodnie, ale właśnie otrzymaliśmy potwierdzenie o wykorzystaniu Filarety tak, jak to planowaliśmy.

Gdyby nagranie wpadło w niepowołane ręce, skutek byłby katastrofalny. Na szczęście szanse na to były niewielkie, a przy przewożeniu jedenastu kopii, bo tylko tyle ich istniało, zastosowano wszystkie możliwe środki bezpieczeństwa.

600 lat konspiracji spowodowało, że wykorzystywano jedynie zaufanych kurierów, nagrane były na chipach indywidualnie kodowanych DNA odbiorcy, a umieszczonych w pancernych pojemnikach wyposażonych w ładunki samoniszczące i przycisk umarlaka. Kurier odbierał przesyłkę, docierał na miejsce jednostką kurierską o zmodyfikowanym napędzie i przekazywał je wyłącznie odbiorcy do rąk własnych. Ryzyko, że ktoś niepowołany taką wiadomość odczyta, było więc niewielkie. Zresztą by ją przechwycić, musiałby wpierw wiedzieć o jej istnieniu. A tajemnica nie została zagrożona ani razu.

- Zakładając, że wyruszy w wyznaczonym czasie do systemu Manticore, powinien dotrzeć tam dokładnie za trzy tygodnie standardowe od dziś - kontynuował Detweiler. - Jest inteligentniejszy od Crandall, musi więc mieć pewne podejrzenia co do tego, w jaki sposób oboje znaleźli się z odpowiednimi siłami w stosownym miejscu. Może mieć nawet wątpliwości, ale Manpower ma na niego wystarczającego haka, by nie próbował postąpić inaczej niż zgodnie z rozkazem Rajampeta. A ten został opracowany na podstawie teorii, iż tajemniczy napastnik, który zniszczył przemysł orbitalny, wpierw rozprawił się z obroną systemową.

Ostatnie zdanie powiedział z prawdziwą satysfakcją, choć przekonanie o tym dowództwa Marynarki Ligi okazało się prostsze, niż się spodziewał. Naturalnie następnym razem będzie znacznie trudniej sprzedać im podobne brednie, ale tego spodziewali się od początku. Kolejna przegrana uświadomi nawet najgłupszym w tymże dowództwie, że wywiad floty ma na koncie same klapy i błędne analizy i należy zaprowadzić w nim porządek. Czy obecne szefostwo stanie się kozłami ofiarnymi, czy cichcem trafi na zieloną trawkę, było mało istotne - liczyło się to, że zastąpią ich bardziej kompetentni ludzie. Choćby dlatego, że o mniej kompetentnych trudno było nawet w Lidze Solarnej.

- Jeśli więc nie nastąpi coś totalnie niespodziewanego, z czym niestety należy się zawsze liczyć, zażąda kapitulacji, Królestwo odmówi i skończy się tak jak z Crandall, tylko na większą skalę - dodał. - A gdyby ktoś w krytycznym momencie wykazał większe opanowanie, niż zakładamy, podjęliśmy pewne kroki, by temu zaradzić. Z informacji, jakie posiadamy, wynika, że jeśli bitwa skończy się masakrą, plan Rajampeta wysłania tam kolejnej, liczniejszej floty zostanie wstrzymany. W końcu nawet Marynarka Ligi ma określoną liczbę superdreadnoughtów i nie będzie ich marnowała w nieskończoność. Nawet jeśli tak się stanie, co najmniej tuzin reprezentantów w Zgromadzeniu zażąda wyjaśnień, a istnieje szansa, że grupie tej będzie przewodniczył Beowulf, choć to ostatnie nie będzie naszą zasługą. Równocześnie wyślemy rozkazy rozpoczęcia spontanicznych powstań przeciwko Biuru Bezpieczeństwa Granicznego do planet wytypowanych jako pierwsza fala. Kiedy wybuchną, przyjdzie kolej stopniowo i na nas. Władze planet, którym zaproponujecie ochronę, powinni jej oczekiwać; gdyby stało się inaczej, trzeba postępować nader delikatnie.

Wiem, że o tym rozmawialiśmy, ale chcę jeszcze raz przypomnieć, że to ma być dobrowolne. Całkowicie dobrowolne. Jeśli ktoś nie będzie chciał, nie naciskajcie. Przyjdzie na to czas później. Teraz najważniejsze jest, żeby dla wszystkich było oczywiste i nie ulegało wątpliwości, że działacie wyłącznie w samoobronie i z chęci pomocy sąsiadom, by uratować, co się da, w rozprzestrzeniającym się chaosie. Wiem, że powtarzam rzeczy oczywiste, złożcie to więc na karb zazdrości: wszyscy już niedługo zaczniecie działać otwarcie, a ja właśnie odkryłem, jak bardzo chciałbym też tak postąpić. Najwyraźniej nie podchodzę do problemu tak filozoficznie, jak myślałem... Dobrze, teraz kilka szczegółów dotyczących ewentualnych problemów. Clinton, wiem, że od lat przyjaźnisz się z Księciem Felixem, ale nasze ostatnie analizy wskazują, że parlament systemu Siegfried nie zgodzi się, przynajmniej początkowo, do nas dołączyć. Wygląda na to, że powstanie sojusz między najbardziej konserwatywną częścią arystokracji bojącej się utracić wpływy i rosnącą klasą przemysłowców obawiającą się zmiany zasad właśnie wtedy, gdy mają się stać liczącą się politycznie siłą. Obawiam się, że z powodu przyjaźni Księżę Felix może spróbować wymusić to, na czym mu zależy, a wtedy ma czterdzieści procent szans na sukces według naszych analityków. Poradź mu, by poczekał, bo ten sojusz rozpadnie się dość szybko na skutek konfliktu interesów. Stałe pogarszanie się sytuacji w sąsiedztwie też będzie miało znaczenie; zgodnie z tymi samymi analizami jest dziewięćdziesiąt procent szans na to, że sami poproszą o zgodę na przyłączenie po odrzuceniu naszej propozycji, i to w ciągu paru lat. Dlatego musisz swemu partnerowi od fechtunku zdecydowanie wytłumaczyć, że...

\* \* \*

- Cóż, w końcu musiało się to wydostać na światło dzienne - skomentował ponuro William Alexander.

Obaj z bratem siedzieli nad basenem, obserwując Honor pływającą tam i z powrotem. Earl White Haven dzierżył kufel z piwem, ale nastroju mu to nie poprawiało, gdy widział, z jaką determinacją Honor przemierza długość basenu. Zawsze lubiła pływać, ale teraz robiła to tak, jakby była to najważniejsza rzecz w jej życiu, co martwiło go równie bardzo jak koszmary, o których teoretycznie nie wiedział.

I nie tylko jego, bo rozwalony wygodnie w sąsiednim fotelu Nimitz także nie spuszczał z niej oczu, choć prawdopodobnie niezupełnie z tego samego powodu. Nimitzowi nie podobał się jej żal i koszmary, ale nie miał nic przeciwko temu, co zamierzała zrobić. Wręcz przeciwnie - zgadzał się z nią całkowicie i nie miał żadnych wątpliwości, że jej się uda. Tego ostatniego Hamish był pewien, ale martwiła go cena, jaką mogła zapłacić za osiągnięcie tego sukcesu. Poza tym nie był pewien, czy cała zemsta wszechświata wystarczy, by ukoić jej ból i żal...

Potrząsnął głową i popatrzył na brata.

- Wiemy, jak to się stało? - spytał.

- Nie bardzo. - Zapytany upił łyk mrożonej herbaty. - Źródło jest gdzieś na Beowulfie, ale całkiem możliwe, że agent Pat celowo wypuścił w świat tę informację, choć nie bardzo wiem dlaczego. Mógł się też czegoś dowiedzieć jakiś pismak; tego nigdy nie można wykluczyć. No i sprawa się ryła, jak to mawiają, a najgłupsze byłoby, gdybyśmy próbowali wszystkiemu zaprzeczyć.

- A to faktycznie byłaby konkursowa głupota - zgodził się White Haven.

- Wiem. Zresztą gdyby sprawa nie wyciekła, niedługo sami musielibyśmy ją ogłosić. A tak po prostu musimy zrobić to trochę szybciej, ale nadal pozostaje problem, jak to rozegramy.

- Co rozegramy?

- Jaka będzie nasza reakcja, zwłaszcza wyjaśnienie, dlaczego źródłem jest przeciek, a nie nasze oświadczenie - wyjaśnił cierpliwie William. - Wiesz, jak ważne jest, żebyśmy...

Nagle zamilkł, spojrzał na brata podejrzliwie i prychnął, widząc jego minę.

- Nie jesteś za cwany? - spytał.

- Może i tak, ale przynajmniej mam poczucie humoru.

- To ty tak uważasz!

White Haven zachichotał - w sumie nie było to zbyt zabawne, ale wszystko, co burzyło powagę Williego, było warte próby.

- Więc jak zareagujemy? - spytał już poważnie.

- Zobaczysz dokładnie o dziewiętnastej. Wtedy Elżbieta wystąpi na żywo.

\* \* \*

Wyraz twarzy Elżbiety Winton, gdy pojawiła się w odbiornikach holowizyjnych rozsiąanych po całym binarnym systemie Manticore, był niezwykle poważny. Jej wystąpienie poprzedziła stosowna zapowiedź. Wydarzenie było niecodzienne, bo Królowa rzadko zabierała głos, kierując swe słowa do tak licznej rzeszy odbiorców. Przyczyny były tak techniczne, jak i polityczne. Technicznie niemożliwością było, by jej przemówienie dotarło do wszystkich obywateli Gwiezdnego Królestwa Manticore, o Gwiezdnym Imperium Manticore nie wspominając, jako że żaden sygnał nie był w stanie dokonać tranzytu przez wormhola. Dlatego jeśli występowała, to na lokalnych uroczystościach, a nagrania były potem retransmitowane. Drugi powód był taki, że monarcha nie mieszał się do rozgrywek politycznych, choć wszyscy wiedzieli, że oprócz głowy państwa jest też szefem rządu. Dlatego w imieniu rządu Jej Królewskiej Mości głos zabierał zwyczajowo premier, chyba że chodziło o naprawdę wyjątkową sytuację.

Taką jak ta.

- Dobry wieczór - odezwała się Królowa. - Mówię dziś do was dlatego, że Gwiezdne Imperium znalazło się w największym jak dotąd niebezpieczeństwie w swej historii.

Zrobiła przerwę, by sens tych słów dotarł do wszystkich, i pogłaskała rozciągniętego na oparciu fotela Ariela, a potem splotła dłonie na blacie zabytkowego biurka, za którym siedziała, i ponownie zabrała głos.

- Ostatnie piętnaście miesięcy standardowych było najbardziej traumatycznym okresem w dziejach Królestwa Manticore. W najgorszych koszmarach nie przyśniła nam się seria takich wydarzeń, którą rozpoczęła bitwa o Monicę, a potem padła propozycja osobistego spotkania z prezydent Pritchard, doszło do zamachu na ambasadora Webstera i drugiego na Królową Berry. Potem była bitwa o Lovat, a trzy miesiące standardowe później bitwa o Manticore, największa w dotychczasowej historii wojen kosmicznych w dziejach ludzkości. A ledwie zaczęliśmy dochodzić do siebie po tym desperackim starciu, gdy okazało się, że dzięki zdradzieckiej masakrze naszych trzech niszczycieli przez siedemnaście krążowników liniowych admirała Bynga w systemie New Tuscany jesteśmy w stanie wojny z Ligą Solarną. Wszyscy wiecie, co nastąpiło, gdy admirał Gold Peak zjawiła się tam, żądając wyjaśnień i

wydania winnych. Nie szukaliśmy konfrontacji z Ligą Solarną, a gdy się zaczęła, dołożyliśmy wszelkich starań, by to uzmysłwić jej władzom, ale bez skutku. Podobnie potraktowano nasze ostrzeżenia, iż jest ktoś trzeci, kto chce doprowadzić do tego konfliktu. W efekcie cztery miesiące standardowe temu doszło do bitwy o Spindle, w której kilkanaście naszych ciężkich krążowników pokonało ponad siedemdziesiąt solarnych superdreadnoughtów. Nie zginął przy tym ani jeden człowiek z personelu Royal Manticoran Navy czy Marynarki Graysona. Wydawało się niemożliwe, by odnieść tak totalne zwycięstwo nad sławną Marynarką Ligi. Dlatego tym większym szokiem dla nas wszystkich był zdradziecki atak na przemysł systemu Manticore, który stanowił dla nas całkowite zaskoczenie. Prawda bowiem jest taka, że nikt: ani Admiralicja, ani służby wywiadowcze, ani dyplomaci, ani ja, nie spodziewał się czegoś podobnego. Uważamy, że atak ten stał się możliwy dzięki wynalezieniu nowego typu napędu, i po długich analizach zidentyfikowaliśmy miejsce i czas wyjścia z nadprzestrzeni napastników, choć w chwili, gdy ono nastąpiło, niemożliwe było uznanie go za pierwszy sygnał alarmowy. Uważamy także, że powtórka takiego ataku byłaby nadzwyczaj trudna, o ile nie wręcz niemożliwa, bez przechwycenia atakujących w bezpiecznej odległości od celów. Nasz przemysł orbitalny został jednak zniszczony, miliony poddanych Korony oraz tysiące turystów i cały klan inteligentnych pierwotnych mieszkańców planety Sphinx zginęli. Ponieważ atak nastąpił bez uprzedzenia, czyli wbrew przyjętym zasadom, nie zdołano ewakuować nikogo z żadnej stacji kosmicznej. Równocześnie był to najskuteczniejszy i najkrwawszy atak w dziejach wojen. Nawet gdybyśmy próbowali, nie zdołalibyśmy ukryć jego skutków czy też faktu, że miał miejsce. Nie próbowaliśmy i informacja rozprzestrzeniła się w Lidze Solarnej błyskawicznie. Wiemy, kto jest sprawcą, ale chwilowo nie możemy tego jeszcze udowodnić. W połączeniu z tym, co miało miejsce w ciągu ostatniego roku standardowego, jest to oczywiste, choć zdajemy sobie sprawę, że aktualnie jest o wiele więcej niewiadomych niż pewników. Ale uzyskamy dowody, a gdy to nastąpi, przystąpimy do działania. Nim jednak do tego dojdzie, przyjdzie nam kolejny raz zmierzyć się z arogancją i głupotą władz Ligi, bo jak donoszą media, Marynarka Ligi nie wyciągnęła żadnych wniosków z bitwy o Spindle i zdecydowała się zaatakować system Manticore siłami liczącymi kilkaset okrętów liniowych. Spodziewamy się ich w ciągu najbliższych dwóch-trzech tygodni standardowych. Okrety te nie przybędą z misją dyplomatyczną. Wszyscy wiemy od dawna, jak skorumpowanym państwem stała się Liga Solarna i kto tak naprawdę nią rządzi. Wiemy o układach między korporacjami a komisarzami Biura Bezpieczeństwa Granicznego i o tym, jak olbrzymia przepaść dzieli szczytne ideały równości i sprawiedliwości od praktyki Biura stosującego nieuczciwe metody



na całym Obrzeżu i Pograniczu. Wiemy, że wielu wysokich przedstawicieli władz i urzędników Ligi jest opłacanych przez przestępcze firmy z planety Mesa, a zwłaszcza przez Manpower Incorporated. Dlatego nikogo z nas nie dziwi, że dowódca tej grupy solarnych okrętów zamierza zażądać bezwarunkowej kapitulacji Gwiezdnego Imperium Manticore. Zamiarem Ligi jest uczynienie z nas kolejnego satelity rządzonego przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego. Wszyscy widzieliśmy, co dzieje się z państwem jego gospodarką, systemem sprawiedliwości i władzy, gdy znajdzie się pod butem Biura. I dokładnie taki los Liga Solarna zaplanowała dla nas. Powodów jest kilka: chęć zemsty za klęski poniesione przez Marynarkę Ligi, która nie może sobie pozwolić, by jakieś „prymitywne państewko” sprzeciwiło się jej woli. Stanowiłoby to zbyt zachęcający przykład dla kolejnych ofiar, a być może i dla części już niewolonych systemów. Drugim jest wielkość i operatywność naszej floty handlowej. A trzecim chciwość: chęć zagarnięcia dochodów, jakie przynosi Manticore Wormhole Junction. Niemożliwe jest, by Liga zrezygnowała z tych zamiarów po interwencji dyplomatycznej, bo prawda jest taka, że potężna Liga Solarna o wybitnych osiągnięciach to już przeszłość. Zostało rozdęte, głodne państwo, którego mieszkańcy centralnych rejonów są syci, bezpieczni i całkowicie egoistyczni. Do tego głupi, bo ślepo wierzą mediom od lat sterowanym przez oficjalną propagandę. Nie mają pojęcia, co wyprawia się w rejonach przygranicznych i jak w praktyce realizowane są szczytne cele Ligi w stosunku do bezbronnych ofiar kolejnych podbojów. Najwyższy czas, żeby się dowiedzieli, jak wygląda prawda. Gwiezdne Imperium Manticore zostało zranione tak poważnie jak nigdy dotąd, ale tygrys, hexapuma czy kodiak max są najgroźniejsze właśnie wtedy, gdy ktoś je zrani. Pewnie biurokraci na Ziemi zapomnieli o tym. W takim razie przypomnimy im. I nie są to puste obietnice, choć wiem dobrze, jak poważnie zostały zredukowane możliwości naszej gospodarki i przemysłu, jak też co to na dłuższą metę oznacza dla naszych zdolności militarnych. Ale znam także stawkę, o którą idzie gra. Home Fleet pozostała nietknięta i ma pełne magazyny amunicyjne, podobnie jak obrona systemowa. Jeśli Liga Solarna chce wojny, będzie ją miała. To, co wydarzyło się w New Tuscany, a nawet w Spindle, można było jeszcze rozwiązać na drodze dyplomatycznej. Atak na system Manticore oznacza pełnowymiarową agresję i otwartą wojnę. A cokolwiek by sobie wyobrażali ci, którzy podejmują w Lidze decyzje, flota, którą tu wysłali, nie zdoła nas pokonać. Ani następne, o zbliżonej sile, bo krążą słuchy, że taki mają plan. Liga jest przekonana, że nie zdecydujemy się walczyć z uwagi na dysproporcje między możliwościami obu państw na dłuższą metę. Liga jest w błędzie. Za sześć miesięcy standardowo wznawiamy produkcję rakiet. Nie będzie taka jak przed atakiem, ale wystarczająca, by zagwarantować bezpieczeństwo naszych

systemów planetarnych i odeprzeć atak wszystkiego, co obecnie posiada na wyposażeniu Marynarka Ligi zgodnie z oceną Admiralicji. I macie moje słowo oraz słowo Domu Winton, że mówię absolutną prawdę. Istnieje naturalnie duża różnica pomiędzy gwarantowaniem własnego bezpieczeństwa na krótką metę i możliwością pokonania Ligi Solarnej na dłuższą. Nie będę udawać, że mamy superbroń, która zapewni nam ostateczne zwycięstwo. Mamy co innego: odwagę oraz determinację, i to tak obywateli Królestwa, jak i Imperium oraz ich umiłowanie wolności, umiejętności i determinację członków sił zbrojnych. Oraz to, że Dom Winton nigdy nie zawiódł zaufania, jakim go obdarzyliście. Mam absolutną pewność, że to wszystko przeważy i tym razem. Nie obiecuję łatwych zwycięstw, bo ich nie będzie. Obiecuję wam, że ostateczna cena może być wyższa niż ta, którą dotąd zapłaciliśmy, i że czekają nas poświęcenie, straty i potężny wysiłek, ale obiecuję wam też zwycięstwo. Przez ponad siedemdziesiąt lat standardowych Gwiazdne Królestwo żyło z wyrokiem śmierci, a nie tylko, że ciągle istnieje, ale rozrosło się w Gwiazdne Imperium. I nadal będzie istnieć, gdy ta wojna dobiegnie końca. Niezależnie od tego, jak długo to potrwa i ile będzie wymagało krwi i wyrzeczeń, zatriumfujemy, a ci, którzy sprowadzili na nas śmierć i zniszczenie, zdradziecko mordując cywilów niczym terroryści z dawnych wieków, pożałują, że to zrobili. Bo w obronie ojczyzny, rodzin i dzieci będziemy równie bezwzględni jak oni. A być może nawet bardziej.

## ROZDZIAŁ XLII

Sygnał alarmowego połączenia rozległ się w pograżonej w mroku kabinie. Honor usiadła i sięgnęła odruchowo we właściwe miejsce, naciskając klawisz stojącego na nocnym stoliku interkomu.

Nimitz przetoczył się na brzuch, a jego zielone ślepie zapłonęły niczym płynne szmaragdy, gdy zamrugał gwałtownie. Na ekranie pojawiło się godło HMS *Imperator* - skrzyżowane miecze, a przed nimi korona.

- Słucham? - W jej głosie nie było słycać, że od ataku na system Manticore nie spała dobrze i że przenosiny na pokład okrętu flagowego nie pomogły.

- Myślę, że potrzebujemy pani na pomoście flagowym, ma'am - odezwał się kapitan Cardones. - Natychmiast.

Honor odruchowo uniosła brwi. Widziała Rafe'a w różnych sytuacjach, także beznadziejnych, zdawałoby się, ale nigdy nie słyszała u niego podobnego tonu.

- Co się stało, Rafe?

- Właśnie wykryliśmy ślad wyjścia z nadprzestrzeni, ma'am. Pojedyncza jednostka w odległości czterech minut świetlnych od systemowej granicy przejścia w pobliżu jednej z naszych platform systemu wczesnego ostrzegania. Ma włączony transponder.

- I? - ponagliła go, gdy zamilkł.

- To okręt Marynarki Republiki, ma'am. Według transpondera to *Haven One*.

\* \* \*

- No dobrze, Hamish, o co chodzi? - spytała poirytowana Elżbieta Winton, siadając przed modulem łączności.

Miała za sobą kolejny męczący dzień, bo od wygłoszenia krzepiącego przemówienia dwa tygodnie standardowe temu każdy spędzała nader pracowicie. Spodziewane pojawienie się floty solarnej z admirałem Filaretą na czele na pewno nie wpłynie pozytywnie na rozkład jej zajęć, korzystała więc z każdej wolnej chwili, by trochę pospać. Tym razem sen przzerwano jej po niespełna dwóch godzinach.

Nikt nie odpowiedział.

Królowa uniosła brwi zaskoczona - Hamish nie miał zwyczaju budzić jej po nocy, i to priorytetowym sygnałem wywoławczym, dla zabawy czy innych fanaberii. A tymczasem na

ekranie widniało połączenie z jego osobistym herbem, a po nim samym śladu nie było. Połączenie zapewniało biegnące głęboko pod ziemią łącze stałe, toteż nie istniała możliwość, by ktoś się podłączył lub włamał. Rodziło się więc pytanie, gdzie jest Pierwszy Lord Admiralicji.

Gdy minęły dwie minuty, Elżbieta Winton nigdy nie będąca wzorem cierpliwości zaczęła być wściekła. Właściwie powinna wyłączyć moduł i iść spać, ale się zawzięła - postanowiła poczekać do skutku i skracala sobie czas układaniem w myślach stosownego powitania.

O którym zapomniała natychmiast, gdy po ponad sześciu minutach na ekranie pojawiła się znajoma twarz w białym berecie.

- Honor?! - zdumiała się Królowa. - Co ty robisz na tym kanale?! A raczej co ty robisz tutaj zamiast w Trevor's Star? Miałas, zdaje się, wrócić w połowie tygodnia?

Nastąpiła kolejna przerwa świadcząca o tym, że Honor na pewno nie znajdowała się w Gmachu Admiralicji, tylko gdzieś znacznie dalej...

- Nastąpiła drobna zmiana planów - odezwała się wreszcie. - I skończyło się na wcześniejszym powrocie. Poprosiłam Hamisha, żeby połączył mnie z pałacem bezpieczną linią, gdy tylko zakończyliśmy tranzyt. Stąd jego prywatna tapeta na ekranie. A opóźnienie w rozmowie bierze się stąd, że *Imperator* na orbicie będzie dopiero za dziewiętnaście godzin, ale pomyślałam sobie, że powinnam cię uprzedzić najszybciej, jak się da. Widzisz, stało się coś raczej nieoczekiwanego i postanowiłam wrócić, by to z tobą omówić osobiście.

Elżbieta zmarszczyła brwi - w tonie i minie Honor było coś podejrzanego... z drugiej strony znała ją zbyt dobrze, by wiedzieć, że nie wyrwała jej ze snu tylko po to, by jej oświadczyć, że za dziewiętnaście godzin będzie na orbicie Manticore...

- Można wiedzieć, co takiego raczej nieoczekiwanego się stało? - spytała podejrzenie spokojnie.

- Wygląda na to, że masz niespodziewanego gościa - poinformowała ją Honor sześć minut później.

I zwiększyła pole widzenia kamery.

Przez moment Elżbieta nie poznała osoby stojącej obok Honor. A potem szczeka jej opadła i kategorycznie odmówiła powrotu do zwykłej pozycji, gdy do Elżbiety Winton dotarło, że platynowa blondynka o oczach barwy topazu to Eloise Pritchard, prezydent Republiki Haven.

- Przepraszam za obudzenie w środku nocy - powiedziała spokojnie Pritchard. - Ale uważam, że musimy porozmawiać.

## ROZDZIAŁ XLIII

Pinasa, która zacumowała na dziobowym pokładzie hangarowym HMS *Imperator*, była osobistą jednostką księżnej Harrington, toteż miała pierwszeństwo przed wszystkimi okrętowymi małymi jednostkami. Towarzyszące jej dwa promy szturmowe Royal Manticoran Marine Corps go nie miały, bo nie należały do wyposażenia okrętowego, ale i tak zacumowały równocześnie z nią i po obu jej stronach za zgodą kontrolera lotów. Wachtowym oficerem dziobowego pokładu hangarowego był rudowłosy chorąży o bladej cerze i błękitnych oczach, jako że pora była późna a ruch niewielki. Młodzian nazywał się Hieronimus Thistlewaite, ale mimo młodego wieku zachował trzeźwość umysłu i wezwał stosowną dla admirała o takim starszeństwie wartę trapową. Był nieco nerwowy, jako że okazało się, iż jest najstarszym stopniem z witających, ale żywił przekonanie, że panuje nad sytuacją i da sobie radę.

Przekonanie to prysnęło w chwili, gdy w ślad za księżną Harrington na pokładzie stanęła Elżbieta Adrienne Samantha Annette Winton, Komandor Orderu Króla Rogera, Komandor Orderu Złotego Lwa, Komandor Orderu Królowej Elżbiety I, baronowa Crystal Pine, baronowa White Sands, hrabina Tennerman, hrabina High Garnet, Wielka Księżna Basilisk, Księżna Krwi i Obrońca Dziedziny, a z łaski Bożej i parlamentu Królowa Elżbieta III i Cesarzowa Elżbieta I.

Nikt z warty trapowej nie spodziewał się Królowej i widać to było wyraźnie po wybałuszonych oczach i opadniętych szczękach. Zresztą nie tylko oni się nie spodziewali...

- Ósma Flo... - rozległo się w głośnikach, a potem nastąpiła nagle cisza, gdy podoficer wachtowy zorientował się, kto jeszcze znalazł się na pokładzie.

Chorąży Thistlewaite ze słyszalnym kłapnięciem zamknął usta, a jego twarz przybrała barwę jaskrawszą od włosów, gdy wpatrzył się błagalnym wzrokiem w księżną Harrington.

- Manticore! - ożyły nagle głośniki.

Skądś z boku wypadło biegiem trzech dodatkowych członków warty trapowej. Gdy stanęli w szeregu, rozległ się wreszcie świst bosmański.

W tym czasie na pokładzie zdążyło stanąć trzech członków ochrony Królowej w uniformach Regimentu *Queen's Own*, a kolejni byli w drodze.

- Proszę o pozwolenie wejścia na pokład - odezwała się Królowa, ledwie umilkł świst bosmański.

- Pozwolenia udzielam, ma'am... to jest Wasza Wysokość.

Honor była pewna, że chorąży nie może się już bardziej zaczerwienić.

Myliła się.

- Proszę o pozwolenie wejścia na pokład - powtórzyła po Królowej.

- Pozwolenia udzielam, milady. - W głosie Thistlewaite'a słychać było wyraźną ulgę, że wreszcie zdarzyło się coś znajomego.

Honor uśmiechnęła się, odsalutowywując.

- Przepraszam, ale zorganizowaliśmy to wszystko, można powiedzieć, w locie i chyba trochę za bardzo utrzymaliśmy rzecz w tajemnicy - powiedziała wyjaśniająco. - Bo pana najwyraźniej nikt nie uprzedził.

- Nie, ma'am.

- Cóż, zdarza się - stwierdziła filozoficznie.

W czasie tej rozmowy na pokładzie zjawili się trzech kolejnych członków ochrony Królowej i trzech członków Gwardii Harrington.

- Proszę tędy, Wasza Wysokość - powiedziała Honor, wskazując, gdzie są windy.

- Dziękuję, pani admirał - odparła Elżbieta.

I uśmiechnęła się do Thistlewaite'a.

A potem obie otoczone przez dziesięciu członków ochrony osobistej, bo doszedł jeszcze jeden agent po cywilnemu, ruszyły ku windom. Towarzyszące im dwa treecaty wydawały się niezwykle ubawione tym, czego świadkami właśnie były.

\* \* \*

Gdy dotarli do drzwi kabiny Honor, Elżbieta zdążyła zapomnieć o wygłupionym chorążym i była już całkowicie poważna. Według czasu Manticore znów była noc, toteż dobrze się składało, że miała zwyczaj pracować do późna, choć nie pamiętała, kiedy ostatnim razem musiała zajmować się ważnymi kwestiami dyplomatycznymi o tej porze. Z drugiej strony z tak ważną kwestią dyplomatyczną jak dotąd w ogóle nie miała do czynienia, o żadnej porze. No i nigdy nie była zmuszona przystępować do istotnych rozmów właściwie bez przygotowania, bo do dyspozycji miała jedynie pół dnia od ostrzeżenia Honor.

Problem polegał na tym, że Pritchard nie powiedziała, o czym muszą porozmawiać, toteż pole do spekulacji i przemyśleń pozostało szerokie. Na szczęście poza najbliższymi doradcami nikt na Manticore nie miał pojęcia, że dzieje się coś ważnego. Żeby nie wzbudzić podejrzeń pismaków, co mogłoby doprowadzić do nieprzewidywalnych skutków, bo zaczęliby wymyślać brednie, nie mogąc dowiedzieć się, o co naprawdę chodzi, Honor wylądowała swoją pinasą pokładową i zabrała Elżbietę wraz z obstawą. Ta ostatnia wiedziała

jedynie, że ani Nimitz, ani Honor nie wykryli żadnych śladów oszustwa czy zdrady w umysłach niespodziewanych gości, bo Pritchart naturalnie nie zjawiała się sama. Było to pocieszające, ale niczego nie wyjaśniało. Elżbieta nadal nic konkretnego nie wiedziała poza faktem, że Pritchart podchodziła do sprawy szczerze i uczciwie.

I dlatego zawahała się przed wejściem, co było dla niej nader nietypowe. Wahanie trwało ledwie ułamek sekundy, a potem Elżbieta wyprostowana przekroczyła próg.

Na jej widok wstało i obróciło się ku drzwiom z tuzin osób z Eloise Pritchart na czele. Część z nich rozpoznała, na przykład sekretarza stanu czy Thomasa Theismana. Na szczęście Honor uprzedziła ją, że Zilwicki nie jest tak całkiem martwy, bo inaczej jego widok całego i zdrowego byłby jeszcze większym szokiem niż ujrzenie Pritchart prawie dobieg temu na okręcie. Założyła, że mężczyzna stojący obok Zilwickiego to Victor Cachat, natomiast w przypadku komodor Mercedes Brigham, szefa sztabu Honor, i komandora Georga Reynoldsa, oficera wywiadu Ósmej Floty, nie musiała niczego zakładać. Waldemara Trimmela, porucznika flagowego Honor, i Jamesa MacGuinnessa także znała, ale kim byli pozostali, nie miała pojęcia.

- Wasza Wysokość - odezwała się cicho Honor - pozwolę sobie przedstawić prezydent Eloise Pritchart, sekretarz stanu Leslie Montreau, sekretarza wojny Thomasa Theismana, prokuratora generalnego Denisa LePica, dyrektora Federalnej Agencji Śledczej Kevina Ushera, Victora Cachata z wywiadu Republiki Haven oraz doktora Herlandera Simõesa oraz Sheilę Thiessen, szefową ochrony osobistej prezydent Pritchart. Pozostałych, jak sądzę, Wasza Wysokość zna.

- Owszem - odparła po chwili Elżbieta. - Sądzę, że znam.

Pritchart skinęła jej lekko głową, odpowiedziała więc tym samym i rozejrzała się - kabina była przestronna, ale i tak panował w niej tłok. A napięcie dosłownie można było kroić. Spojrzała na Honor, która była tu oficjalnie gospodynią, i czekała.

- Proszę, usiądźcie - zaprosiła Honor.

Goście wykonali polecenie, odruchowo grupując się wokół dwóch najważniejszych osobistości.

- Mac, mam rozumieć, że pomimo późnej pory jesteś jak zwykle wzorem skuteczności? - spytała Honor, patrząc na MacGuinnessa.

- Naturalnie, milady. Czy ktoś życzy sobie czegoś do picia?

Choć Elżbieta odkryła nagle ochotę na dużą whisky, nie odezwała się.

A nikt inny nie wydawał się skłonny, by odezwać się jako pierwszy.

Po chwili Honor wzruszyła ramionami i stwierdziła:

- Wygląda na to, że nikt sobie nie życzy. Jeśli ktoś zmieni zdanie, dam ci znać.

- Naturalnie, milady. - MacGuinness skłonił się.

I wyszedł.

Honor odczekała, aż zamknie za sobą drzwi, nim zwróciła się do gości.

- W razie gdyby ktoś nie zdawał sobie z tego sprawy, według Nimitza poziom napięcia panujący w tym pomieszczeniu jest bardzo wysoki, choć nie bardzo rozumiem dlaczego.

Elżbieta ku własnemu zaskoczeniu parsknęła śmiechem, ale był to szczery śmiech.

- Wydaje mi się, że znalazłabym powód albo dwa - oceniła, po czym zwróciła się do Pritchard: - Przyznaję, że rozpatrywałam rozmaite wersje naszego spotkania, ale taka nawet przez myśl mi nie przeszła. A tak na marginesie, gdyby cokolwiek stało się tej delegacji, we władzach Republiki Haven powstałaby spora dziura.

- Pomyślałam, że skoro Wasza Wysokość zaufała nam na tyle, by przysłać księżną Harrington, mogę się odwzajemnić podobnym zaufaniem.

- To miło z pani strony, pani prezydent, ale była jedna drobna różnica: ja wysłałam księżną Harrington i całą Ósmą Flotę.

- Owszem, i zaręczam, że nie umknęła nam żadna część wiadomości, łącznie z daniem do zrozumienia, że byłoby wskazane, gdybyśmy dopilnowali, by posłańcowi nic się nie stało, jako że mogła zostać wysłana tylko Ósma Flota - przyznała Pritchard. - Proszę mi wierzyć, że po tym wszystkim, co zaszło między naszymi państwami, po bitwie o Manticore i w świetle rosnącego napięcia między Ligą a wami, byłam mile zaskoczona, że Wasza Wysokość chce rozmawiać, zamiast wykorzystać taką przewagę i skończyć z nami.

- Mogłabym rzec to samo o pani niespodziewanej wizycie po tym, co spotkało nasz przemysł - odparła Elżbieta.

- To, co się tutaj stało, ma bardzo wiele wspólnego z moją tu obecnością, choć być może nie w sposób, w jaki Wasza Wysokość się spodziewa.

- Doprawdy? - Elżbieta przyjrzała się jej uważnie; żałując, że nie łączy jej z Arielem więź taka jak Honor z Nimitzem.

Honor co prawda przedstawiła jej to, co z Nimitzem wyczuli u Pritchard i pozostałych od momentu ich nieoczekiwanego przybycia do Trevor Star, ale to nie było to samo, co czuć to osobiście. Nawet nie zbliżone.

Historia pełna była przykładów władców czy prezydentów, którym doradcy mówili to, co uważali za prawdę, zamiast prawdy. I równie pełna przykładów władców i prezydentów, którzy wmówili sobie, co chcą usłyszeć. Ojciec zawsze jej powtarzał, że odkąd zasiadł na



tronie, nader trudno było mu nie słuchać ani jednych, ani drugich.

A jeszcze trudniej o tym pamiętać.

Starła się o tym pamiętać i niezgorzej jej to szło. Starła się też nie zapominać, jaki ma charakterek i że prawie niemożliwe jest by wybaczyła komuś, kto zranił tych, których kochała, lub tych, za których była odpowiedzialna. Teraz, patrząc w oczy Pritchart, miała przed sobą głowę państwa, które zamordowało jej ojca, stryja, kuzyna i premiera, które podbiło kilkadziesiąt państw i spowodowało śmierć milionów ludzi z personelu jej floty, o zmuszeniu do potężnych wydatków zbrojeniowych nie wspominając. Jej obowiązkiem było chronić poddanych Korony i pamiętać o dziesięcioleciach zdrady, toteż naprawdę wiele by dała, by móc wiedzieć - nie usłyszeć od kogoś najbardziej nawet zaufanego, ale wiedzieć, co naprawdę myśli ta blondynka o niebieskich oczach.

W tym momencie poczuła z boku szyi jedwabiste ciepło i usłyszała głęboki, acz cichy pomruk. Odruchowo pogłaskała Ariela po głowie i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że od początku spotkania nawet nie próbował niczego sygnalizować.

I że to właśnie było najbardziej wymowne.

- No dobrze, pani prezydent - odezwała - się i ją samą zaskoczył ten łagodny ton. - Może więc najlepiej będzie, gdy mi pani po prostu powie, dlaczego tu przybyła.

- Dziękuję - powiedziała cicho Pritchart, jakby zrozumiała, co przemknęło Elżbiecie przez głowę, gdy milczała.

Potem zaś wzięła głęboki oddech i oznajmiła:

- Muszę zacząć od wyjaśnienia jednej kwestii, która zbyt długo psuła relacje między Republiką Haven a Gwiezdnym Królestwem Manticore. Otóż wiemy, kto sfalszował korespondencję dyplomatyczną z naszej strony, ale zrywając rozejm, nie mieliśmy o tym pojęcia. Daję słowo tak jako osoba prywatna, jak i jako prezydent Republiki Haven, że odkryliśmy prawdę, i to przez przypadek, dopiero po operacji Thunderbolt. Wersja, którą otrzymałam w Nouveau Paris wraz z członkami rządu, ulegała po drodze zmianie, i to mimo iż miała wszelkie właściwe kody naszego MSZ. Była to sprawka dwóch osób: specjalnego wysłannika do Królestwa Yveśa Grosclaude'a i sekretarza stanu Arnolda Giancoli.

Poza Honor i Zilwickim wszyscy obecni a pochodzący z Królestwa zamarli z wrażenia. Elżbiecie coś zapłonęło w oczach i już chciała się odezwać, ale zmusiła się do milczenia i spokojnego wysłuchania ciągu dalszego.

- Nasze podejrzania wzbudziła dopiero śmierć Grosclaude'a w wypadku lotniczym. Wyglądającym dziwnie podobnie do samobójstwa - podjęła Pritchart. - Dokładnie wyglądało to tak, jakby ktoś został zmuszony do rąbnienia w skałę z dużą prędkością. Bardzo dziwny

sposób na popełnienie samobójstwa.

Elżbieta przyjrzała się jej podejrzliwie, ale widząc, że Honor słucha wszystkiego spokojnie, zmusiła się do dalszego słuchania.

- Obecny tu Kevin jest osobnikiem z natury podejrzliwym i już zajmował się problemem korespondencji dyplomatycznej. Śmierć Grosclaude'a wzmocniła jego podejrzliwość i dość szybko odkrył, że zmiany nastąpiły u nas. Niestety, dowód został sfabrykowany tak, by winnym wydawał się być Giancola. - Pritchard uśmiechnęła się, widząc minę Elżbiety. - Doszliśmy do wniosku, że zrobił to sam Giancola, wychodząc z założenia, że dla wszystkich będzie oczywiste, że został wrobiony, bo fałszerstwo dowodów było łatwe do wykrycia. A kto wrabiałby winnego? Mówiąc inaczej, chciał, żebyśmy go publicznie oskarżyli. A potem zginął w wypadku drogowym, i to tym razem jak najbardziej autentycznym. No i znaleźliśmy się w kropce. Bez autentycznych dowodów, za to ze sfabrykowanymi, i z winnymi, którzy nic już nie byli w stanie powiedzieć, a wszystko wskazywało na to, że pomocników nie mieli. Co gorsza, obaj zginęli w wypadkach, a wypadki drogowe czy lotnicze od lat stanowiły ulubioną metodę bezpieki pozbywania się osobników niewygodnych, z przerwą na rządy UB, bo oni nie zadawali sobie trudu, by zachowywać jakiegokolwiek pozory. Biorąc pod uwagę, jak silna była w Kongresie partia popierająca wojnę oraz to, że nie mogliśmy niczego udowodnić, nie mogliśmy ogłosić tego, co wiedzieliśmy, i oczekiwać, że Kongres uwierzy w to, iż jeden z najwyższych polityków z nieznanymi powodami manipulował dyplomatyczną korespondencją, co doprowadziło do wznowienia walk, ponieważ byliśmy przekonani, że rząd strony przeciwnej nie tylko przeciąga rozmowy dla korzyści wewnętrznych, ale na dodatek kłamliwie podaje treść tychże rozmów. Po prostu nikt by w to nie uwierzył, za to skutki podobnego oświadczenia mogły okazać się katastrofalne dla rządu.

Zrobiła przerwę, z której skorzystała Królowa:

- Kiedy się tego dowiedzieliście? Albo raczej od kiedy to podejrzewaliście?

- Giancola zginął we wrześniu 1920 - odparła spokojnie Pritchard. - Podejrzewaliśmy ich już wcześniej, ale jak długo żyli, tak długo istniała szansa znalezienia prawdziwych dowodów.

- Więc od prawie dwóch lat standardowych wiedzieliście, że cały czas mówiliśmy prawdę i że to wasz człowiek był winny fałszerstwa? - W głosie Elżbiety brzmiała wściekłość. - I słowa nie pisnęliście!

- To był główny powód, dla którego zaproponowałam osobiste spotkanie - wyjaśniła spokojnie Pritchard. - Gdy stało się jasne, że takiego dowodu nie znajdziemy, uznałam, że jest

to jedyny sposób, by zakończyć tę wojnę: spotkać się twarzą w twarz i wszystko wyjaśnić. Ariel i Nimitz byliby w stanie potwierdzić, że mówię prawdę. Nie mogliśmy jej ogłosić, podobnie jak Wasza Wysokość nie mogła odebrać władzy rządowi High Ridge'a, jak długo trwał rozejm. Gotowa byłam w geście dobrej woli zrezygnować ze sporej w tym momencie przewagi militarnej i żeby sprawę uprawdopodobnić, na posłańca wybrałam hrabinę Gold Peak. Wszyscy wiemy, co stało się potem.

Cały czas patrzyła prosto w oczy Elżbiecie, której ostatnie zdanie przypomniało, że to ona ostatecznie odrzuciła pomysł spotkania na szczycie i postanowiła wznowić działania wojenne.

W kabinie zapadła cisza prawie dźwięcząca od napięcia.

Minęło kilkanaście sekund, nim Pritchard odezwała się ponownie:

- Kiedy wygraliście bitwę o Lovat, wiedzieliśmy, że nowe rakiety i nowy system kierowania ogniem dają wam decydującą przewagę. A raczej dadzą ją wam, gdy wyposażycie w nie wszystkie okręty. Dlatego wraz z Thomasem zorganizowaliśmy operację Beatrice. Thomas zaplanował ją na moją wyraźną prośbę. Żadne z nas nie spodziewało się, że będzie tak krwawa, choć wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że straty i ofiary będą duże. Ale skoro nie mogliśmy rozmawiać, była to nasza jedyna szansa na zwycięstwo. I z naszych analiz bitwy o Manticore wynika, że prawie nam się udało... No, ale ostatecznie ją przegraliśmy. I tym samym przegraliśmy wojnę, o czym dobrze wiedzieliśmy. A tymczasem zamiast floty, której nie moglibyśmy powstrzymać, przybyła księżna Harrington jako osobisty wysłannik Waszej Wysokości, by negocjować pokój. Miałam ochotę powiedzieć jej prawdę... nie od razu, ale gdy ją lepiej poznałam. I nie mogłam, głównie z tych samych powodów politycznych. Przegrana bitwa o Manticore poważnie osłabiła pozycję mojej administracji. Ale były i inne kwestie. Choć może powiedziałabym jej, gdyby nie to nagłe odwołanie... Nie wiem. Ale kiedy dowiedzieliśmy się o ataku na system Manticore, sporo osób uznało to prawie za boską interwencję i okazję do zwycięstwa mimo wszystko. A przynajmniej za szansę uniknięcia klęski.

Elżbieta powoli pokiwała głową - reakcja Republiki była jak najbardziej normalna. Gdyby sytuacja się odwróciła, dokładnie tak samo myślałaby znaczna część obywateli Królestwa.

Łącznie z nią samą.

- Ale nie zdecydowała się pani na wykorzystanie tej okazji - powiedziała.

- Nie. Była to opcja, na którą w ogóle miałam najmniejszą ochotę. Gdyż prawdą jest to, co powiedziała księżna Harrington: żebyśmy mieli szanse realnie zakończyć wrogość

między naszymi państwami, musi to być oparte na porozumieniu, a nie na doprowadzeniu jednej ze stron do takiej ruiny, że będzie musiała skapitulować. Ale przylotu tutaj nie brałam w ogóle pod uwagę, nim w zeszłym miesiącu nie zjawili się panowie Cachat i Zilwicki.

- Proszę? - zdziwiła się Elżbieta zaskoczona tą nagłą wolą.

Pritchart uśmiechnęła się.

I nie był to przyjemny uśmiech.

Prawdę mówiąc, dziwnie przypominał Elżbiecie ten, który czasami widywała w lustrze...

- Mamy powody, by wierzyć, że wiemy, dlaczego tak, a nie inaczej zorganizowano przebieg wydarzeń w Gromadzie Talbott - oznajmiła Pritchart. - Co więcej, wiemy, lub sądzimy, że wiemy, jak dokonano ataku na Manticore i kto jest za to odpowiedzialny. Oraz kto używa zaawansowanej nanobroni zmieniającej zwykłego człowieka w zamachowca... lub w samobójcę. I wiemy, dla kogo pracował Arnold Giancola. I czyje manipulacje doprowadziły nas obie do wznowienia wojny.

Elżbieta wpatrywała się w nią, nie wierząc w to, co słyszy.

- Wasza Wysokość, Republika Haven, stara Republika Haven i Gwiazdne Królestwo Manticore od wielu lat znajdują się na tej samej liście - oznajmiła Pritchart. - Mamy wspólnego wroga, który swoimi manipulacjami doprowadził do tego, że wybiliśmy sobie wzajemnie miliony obywateli. Ponieważ jego plan wszedł w fazę krytyczną, uruchomił on ciąg wydarzeń mających doprowadzić do zniszczenia, nie do pokonania, ale do zniszczenia obu naszych państw. Od prawie stu lat standardowych tak Republika, jak i Królestwo robiły dokładnie to, czego chciał ten wróg. Uważam, że najwyższy czas, żebyśmy przestali.

\* \* \*

- Kawy, Wasza Wysokość?

Słyszac to cichutko wypowiedziane pytanie, Elżbieta uniosła głowę i wyciągnęła dłoń z filiżanką.

James MacGuinness napełnił ją zręcznie i ruszył wokół stołu do kolejnych gości.

Kawa jak zwykle była doskonała i Elżbieta kolejny raz doszła do wniosku, że raziącą niesprawiedliwością było marnowanie kogoś potrafiącego robić ją tak dobrze u osoby nie cierpiącej kawy niezależnie od jej jakości.

Upiła łyk, odstawiła filiżankę i wzięła się w garść. Pomimo zmęczenia i szoku wywołanego przez niespodzianki zaprezentowane przez Pritchart, które stawały na głowie to, co wiedziała o sytuacji i współzależnościach politycznych we wszechświecie, wiedziała, że

koniec jest jeszcze daleki.

Spojrzała na siedzącą po przeciwległej stronie stolika prezydent Republiki Haven, która właśnie kończyła specjalność MacGuinnessa - jajka po benedyktyńsku. Mimo męczącego dnia i męczącej nocy, bo to głównie ona mówiła, nadal wyglądała niewiarygodnie świeżo. Była wielką osobowością i to się czuło. Obie stanowiły prawie doskonałe swoje przeciwieństwo, od koloru włosów zaczynając, przez systemy polityczne, które reprezentowały, na społecznych, których były produktami. Mimo to niechętnie, bo niechętnie, ale uczciwie sama przed sobą przyznawała, że w sumie pod zewnętrznymi pozorami były zaskakująco do siebie podobne.

- No dobrze - odezwała się, siadając wygodniej. - Honor, Simões mówi prawdę czy nie?

Przy stoliku obok niej i Honor siedzieli Theisman i Pritchart. Oboje spojrzeli zaskoczeni na Honor. Ta uśmiechnęła się i zerknęła na Nimitza smacznie śpiącego po męczącym dniu.

- Jej Wysokość pyta mnie o to dlatego, że prawdopodobnie dzięki długiemu przebywaniu z treecatami powstała między mną a Nimitzem pewna unikalna więź - wyjaśniła. - Jestem w stanie za jego pośrednictwem odbierać emocje otaczających nas ludzi i wiem, kiedy ktoś kłamie.

Zaskakująco łatwo przyszło jej to przyznać przywódcom państwa, z którym walczyła całe swoje dorosłe życie. Istniały jednak granice szczerości, toteż o tym, że dorobiła się zmysłu empatycznego, nie wspomniała.

Pritchart wytrzeszczyła oczy, potem zmarszczyła brwi i pokiwała głową.

- A więc to dlatego jest pani tak potwornie skutecznym dyplomata! - powiedziała prawie z tryumfem. - Nie mogłam uwierzyć, że nowicjuszka tak doskonale odczytuje intencje doświadczonych zawodowców. A pani po prostu oszukiwała!

Zakończyła prawie ze śmiechem.

Honor zaś odparła spokojnie:

- Jeśli chodzi o dyplomację, moi nauczyciele z MSZ twierdzą, że nie ma czegoś takiego jak „oszustwo”. Jeśli się nie oszukuje, to znaczy, że nie stara się wystarczająco.

Elżbieta prychnęła, a Theisman potrząsnął głową.

- Jej Wysokość spytała tylko o Simõesa, ponieważ już ją poinformowałam, że pani mówi prawdę, pani prezydent - dodała Honor. - Ponieważ jednak czułam, że od początku spodziewała się pani, iż Nimitz i Ariel będą w stanie to sprawdzić i nam powiedzieć, nie miałam w związku z tym żadnych skrępowań.

Pritchard kiwnęła głową.

- Jeśli chodzi o Simõesa, jego wściekłość na Równanie jest całkowicie szczerą. Podobnie jak jego ból, który jest niewiarygodny. On mówi prawdę, a przynajmniej to, co uważa za prawdę, bo czy McBryde go nie okłamał, tego nie potrafię stwierdzić na pewno. Oceniając jednak rzecz ogólnie, sądzę, że tak. Wszystko świetnie pasuje do tego, czego zdołaliśmy dowiedzieć się wcześniej sami, i do tego, co Simões wie o ich uzbrojeniu i wyposażeniu.

- I nadal jest dziurawe jak sito - dodała Elżbieta.

- Fakt - zgodziła się Honor. - Ale z drugiej strony wiemy nieporównanie więcej, niż wiedzieliśmy wczoraj.

Elżbieta przytaknęła, po czym przyjrzała się z namysłem Pritchard.

- W takim razie problem sprowadza się do tego, co teraz zrobimy - powiedziała powoli. - Niezależnie od tego, co się wydarzy, chciałabym, aby wiedziała pani, że jestem niezwykle wdzięczna za te informacje, pani prezydent. I sądzę, że obie jesteśmy zgodne co do tego, że wojna między Republiką Haven a Gwiezdnym Imperium Manticore jest zakończona.

Potrząsnęła głową, jakby nawet mówiąc te słowa, nie całkiem była w stanie uwierzyć, że stało się to, czego wszyscy tak bardzo pragnęli.

- Oczywiście nie spodziewam się, by wszyscy byli zachwyceni tą wiadomością - dodała. - Prawdę mówiąc, jeszcze parę dni temu sama bym nie była.

- Proszę mi wierzyć, że ładnych parę miliardów obywateli Republiki będzie uważało dokładnie tak samo - przyznała Pritchard.

- I to jest właśnie problem, nieprawdaż? - spytała miękko Elżbieta. - Jestem pewna, że zdołamy doprowadzić do tego, żebyśmy przestali do siebie strzelać. Ale jeśli to wszystko jest prawdą, to nie wystarczy.

- Nie wystarczy - potwierdziła cicho Pritchard.

- No cóż... - Elżbieta uśmiechnęła się w zasadzie bez śladu wesołości. - Przynajmniej wiem, że będę miała spokój ze strony Republiki, kiedy przyjdzie rozprawić się z tym całym Filaretą.

- Prawdę mówiąc, mam inną propozycję... - powiedziała Pritchard.

- Tak? - Elżbieta uniosła brwi. - A jaką?

- Równanie chce zniszczyć was i nas. Was jako pierwszych. Nie wiem, czy uznało, że sama Liga Solarna do tego wystarczy, czy chce nas w to włączyć, gdy sytuacja dojrzeje, ale to bez znaczenia. Ważne jest to, że ten atak jest kolejnym krokiem strategii skierowanej przeciwko obu naszym państwom. Dlatego pomyślałam o czymś skuteczniejszym niż tylko

zakończenie wojny między nami.

- Czyli? - zachęciła ją Elżbieta.

- Jak rozumiem, wasze zakłady produkujące rakiety zostały zniszczone. Tom uważa, że macie dość tych piekielnych superpocisków, żeby rozprawić się z Filaretą bez trudu, ale nadszarpaniecie w ten sposób wasze rezerwy amunicji. A biorąc pod uwagę, że Równanie zniszczyło wasz przemysł, sądzę, że lepiej byłoby zachować jak najwięcej tych rakiet na kogoś bardziej na nie zasługującego.

- I?

- Cóż, tak się składa, że jakieś trzysta okrętów liniowych Marynarki Republiki stanowiło moją eskortę w tej podróży, a teraz czeka w nadprzestrzeni osiem godzin świetlnych od granicy przejścia systemu Trevor's Star. Jeśli nam zaufacie, być może bylibyśmy w stanie pomóc w uświadomieniu panu Filarecie, jak powinien postąpić w dobrze pojętym własnym interesie. Wiem, że nasze rakiety nie mogą równać się z waszymi, ale wszystko wskazuje na to, że spokojnie wystarczą na okręty solarne. A mamy ich pod dostatkiem.

- Proponuje pani sojusz militarny przeciwko Lidze Solarnej? - spytała Elżbieta, starannie dobierając słowa.

- Jeśli McBryde mówił prawdę, niedługo nie będzie już Ligi Solarnej - odparła ponuro Pritchart. - A biorąc pod uwagę, że ta sama banda skurwysynów jest odpowiedzialna za zniszczenie waszego przemysłu i za doprowadzenie nas do tego, że się wzajemnie wyrzynaliśmy przez kilkadziesiąt lat, sądzę, że mamy wspólny interes. I nie jest to z mojej strony działalność dobroczynna. Republika też jest na liście egzekucyjnej Równania. Głupotą byłoby zostawić drugą ofiarę własnemu losowi i zostać samotnie na placu boju, nieprawdaż?

I spojrzała prosto w oczy Królowej Elżbiety III.

W kabinie zrobiło się bardzo, ale to bardzo cicho.

- Nadal będziemy miały masę problemów - powiedziała Elżbieta zgoła towarzyskim tonem. - Wszyscy ci po obu stronach, którzy się nie lubią, czy cała ta spuścizna podejrzliwości...

- Oczywiście - zgodziła się Pritchart.

- A do tego dochodzą jeszcze takie drobiazgi jak ustalenie, gdzie znajduje się prawdziwa siedziba Równania i kogo jeszcze używa ono jako szyldu. Poza tym jakimi jeszcze tajnymi broniąmi dysponuje i co zaplanowało dla was, gdy rozprawi się z nami.

- Fakt.

- A jakby się głębiej zastanowić, istnieje jeszcze problem wymiany informacji

technicznych i kwestia tego, jak szybko uda się przekonać nasze floty do pełnej współpracy. I naszych sojuszników. Wolę nie myśleć, jakie piekło się rozpęta, ledwie coś podobnego zasugeruję.

- Jestem pewna, że się rozpęta. Ale wolę sobie tego nie wyobrazać - przyznała Pritchart.

Obie długą chwilę przyglądały się sobie w milczeniu.

A potem obie zaczęły się uśmiechać.

- A, pieprzyć to! - oznajmiła niespodziewanie Elżbieta Winton. - Zawsze lubiłam wyzwania!

I wyciągnęła nad stołem prawą rękę.

Pritchart uścisnęła ją bez wahania.



## LISTA POSTACI

ABERCROMBIE TYLER - sir, minister spraw wewnętrznych Gwiezdnego Królestwa Manticore

ABRIOUX DANIELLE - starszy inspektor Federalnej Agencji Śledczej, zaufana Kevina Ushera

ABRUZZI MALACH AI - stały starszy podsekretarz edukacji i informacji Ligi Solarnej

ADENAUER DOMINICA - komandor, Royal Manticoran Navy, oficer operacyjny w sztabie 10. Floty

ALEXANDER EMILY - hrabina White Haven, żona earla White Haven, Pierwszego Lorda Admiralicji

ALEXANDER HAMISH - earl White Haven, admirał (emerytowany), Royal Manticoran Navy, Pierwszy Lord Admiralicji Gwiezdnego Królestwa Manticore

ALEXANDER WILLIAM - baron Grantville, lord Alexander, premier Gwiezdnego Królestwa Manticore

al-FANUDAHI DAUD ibn MAMOUN - kapitan, Marynarka Ligi, analityk przydzielony do Biura Analiz Operacyjnych

ALONSO Y YANEZ ENGRACIA - admirał floty, Marynarka Ligi, dowódca Floty Granicznej

ALQUEZAR JOACHIM - premier Quadrantu Talbott

ANISIMOWNA ALDONA - członek zarządu Manpower Inc., członek Równania

ARIEL - treecat, który adoptował Królową Elżbietę III

ARMSTRONG VICTORIA „Vicky” - kapitan, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Artemis*, kapitan flagowy admiral Michelle Henke

ATKINS JOSHUA - kapral Gwardii Harrington należący do osobistej ochrony Honor Harrington

ATTUNGA MARGUERITE - reporterka Manticoran News Service

BARLOI HENRIETTA - sekretarz nauki i techniki Republiki Haven

BAUTISTA PÉPÉ - wiceadmirał, Marynarka Ligi, szef sztabu admirał floty Sandry Crandall

BEAUPRE ANDRE - podporucznik Marynarki Republiki, pilot osobisty Thomasa Theismana

BELARDINELLI ANTOINE - sekretarz prezydent Eloise Pritchard

BERKELEY ANTHONY - porucznik Royal Manticoran Navy, wydział prototypów, HMSS *Weyland*

BERNARD EVANGELINE - admirał floty, Marynarka Ligi, dowódca Biura Planowania Strategicznego

BILLINGSLEY CHRIS - steward, Royal Manticoran Navy, osobisty steward Michelle Henke

BLACKETT LUKE - sierżant w Gwardii Harrington, osobista ochrona Jamesa Harringtona

BLAINE JESSUP - admirał, Royal Manticoran Navy, dowódca 14. Zespołu Wydzielonego, stacja Lynx

BOISVIN EDOUARD - porucznik, Royal Manticoran Navy, pierwszy oficer HMS *Stevedore*

BOLTITZ HELGA - osobista asystentka Henriego Krietzmana

BORDEWIJK ALENKA - kapitan, Marynarka Republiki, adiutant Thomasa Theismana

BOUCHARD JEROD - komandor, Royal Manticoran Navy, oficer astronawigacyjny HMS *Artemis*

BOURCHIER NINON - senator Republiki Haven, Partia Konstytucyjno-Postępowa

BRANTLEY HARPER - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer łącznościowy sztabu Ósmej Floty

BRIGHAM MERCEDES - komodor, Royal Manticoran Navy, szef sztabu Ósmej Floty

BROWNE ISHMAEL - komandor, Marynarka Ligi, pierwszy oficer SNS *Joseph Buckley*

BURROWS JOHN - admirał, Marynarka Ligi, szef sztabu admirała floty Massima Filarety

CABECADAS JENNIFER - starsza córka Johna i Laury Cabecadasów

CABECADAS JOHN - turysta na stacji HMSS *Hephaestus*

CABECADAS LAURA - żona Johna Cabecadasa

CABECADAS MIGUEL - syn Johna i Laury Cabecadasów

CABECADAS SERAFINA - młodsza córka Johna i Laury Cabecadasów

CACHAT VICTOR - oficer Federalnej Agencji Wywiadowczej Republiki Haven, szef stacji obejmującej Erewhon i Congo, zaufany Kevina Ushera

CAPARELLI THOMAS - admirał, sir, Royal Manticoran Navy, Pierwszy Lord Przestrzeni Admiralicji Gwiezdnego Królestwa Manticore

CARDONES RAFE - kapitan, Royal Manticoran Navy, dowódca superdreadnoughta rakietowego HMS *Imperator*, okrętu flagowego Honor Harrington

CARLSON FREDERICK - kapitan, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Quentin Saint-James*, kapitan flagowy komodora sir Aivarsa Terekhova

CARMICHAEL LYMAN - sir, następca admirała Jamesa Webstera jako ambasador Gwiezdnego Królestwa Manticore w Lidze Solarnej

CARUS Michael - komandor, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Javelin*, dowódca 2. Dywizjonu 265. Eskadry Niszczycieli

CASTERLIN STERLING - komandor, Royal Manticoran Navy, oficer astronawigacyjny w sztabie 10. Floty

CHAMBERLAIN HANSEN - wiceadmirał, Marynarka Ligi, szef sztabu admirał Keeley O'Clery

CHANDLER AMBROSE - komandor, Royal Manticoran Navy, oficer wywiadu w sztabie wiceadmirała Augustusa Khumala

CHASE JULIE - komandor, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Lodestone*

CHATFIELD DARRYL - kapitan, Marynarka Ligi, oficer łącznościowy admirał Sandry Crandall

CHENG HAI-SHWUN - admirał, Marynarki Ligi, dowódca Biura Analiz Operacyjnych

CHERNEVSKA ANASTASIA - szef działu badawczego Floty Mesy

CHIN MARJORIE - kapitan. Marynarka Ligi, pierwszy oficer SNS *Anton von Leeuwenhoek*

CHOL YEOU KUN - prezydent Ligi Solarnej

COLEMAN THERESA - komandor, Flota Mesy, szef sztabu admirała Fredericka Topoleva

COLENZO JENNIFER - admirał, Flota Mesy, dowódca 2. Zespołu Uderzeniowego

COLOMBO THOMAS - kontradmirał, Royal Manticoran Navy, poprzednik wiceadmirała Claudia Faradaya na stanowisku dowódcy HMSS *Weyland*

CONNER JEROME - kapitan, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Penelope* i 1. Dywizjonu 106. Eskadry Krążowników Liniowych

CORTEZ LUCIEN - sir, admirał, Royal Manticoran Navy, Piąty Lord Admiralicji  
COTTOLENGO CHIKOSI - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer wojny radioelektronicznej w sztabie 108. Eskadry Krążowników Liniowych

CRANDALL SANDRA - admirał floty, Marynarka Ligi, dowódca 496. Zespołu Wydzielonego

CULPEPPER MARTIN - komandor, Royal Manticoran Navy, szef sztabu admirała Michaela Oversteegen

DaORTA e DIADORO JACINTA - minister spraw wewnętrznych Ligi Solarnej

D'AREZZO PAULO - chorąży, Royal Manticoran Navy, HMSS *Weyland*

DA SILVA CHANTELE - porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer logistyczny w sztabie 108. Eskadry Krążowników Liniowych

DANKO EVELYN - sierżant major, Royal Manticoran, „Gunny”, najstarsza stopniem podoficer kontyngentu pokładowego HMS *Rigel*

DANVERS LILIAN - wiceadmirał, Royal Manticoran Navy, Trzeci Lord Przestrzeni Królewskiej Marynarki

DEANGELO SEVERINO - kapitan, Royal Manticoran Navy, attache na Ziemi

DENTON LEWIS - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Reprise*

DETWEILER ALBRECHT - przewodniczący rady zarządzającej planetą Mesa, szef Manpower Inc.

DETWEILER BENJAMIN - syn Albrechta, szef sił zbrojnych Równania

DETWEILER COLLIN - syn Albrechta, szef wywiadu Równania

DETWEILER DANIEL - syn Albrechta, szef działu badawczego Równania

DETWEILER EVELINA - żona Albrechta Detweilera

DETWEILER EVERETT - syn Albrechta Detweilera, szef działu badań biologicznych Równania

DETWEILER FRANKLIN - syn Albrechta, główny strateg polityczny Równania

DETWEILER GERVAIS - syn Albrechta, szef polityki zagranicznej Równania

DICEY - Royal Manticoran Navy, kot stewarda Chrisa Billingsleya

DIEGO WILSON - komandor, Royal Manticoran Navy, oficer taktyczny HMS *Artemis*

DOMBROWSKA TABATHA - podporucznik, Royal Manticoran Navy, młodszy oficer taktyczny HMS *Star Witch*

DOYLE LAMPRECHT - komandor chirurg, Royal Manticoran Navy, lekarz

okrętowy

DZUNG-MING TANG - kontradmirał, Marynarka Ligi, oficer operacyjny admirał Keeley O'Cleary

EDWARDS WILLIAM „Bill” - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer łącznościowy w sztabie 10. Floty

EPSTEIN JESSICA - komandor porucznik, oficer dyżurny systemu wczesnego ostrzegania w systemie Manticore

FAIRFAX LAVINIA - kontradmirał, Marynarka Ligi, oficer wywiadu w sztabie admirał Keeley O'Cleary

FARADAY CLAUDIO - wiceadmirał, Royal Manticoran Navy, dowódca stacji HMSS *Weyland*

FARIÑAS SEBASTIAN - porucznik, Royal Manticoran Navy, porucznik flagowy admirała Michaela Oversteegen

FERNANDEZ KYLE - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer łącznościowy HMS *Artemis*

FILARETA MASSIMO - admirał floty, Marynarka Ligi, dowódca sił w systemie Tasmania

FITZCUMMINGS CHARLOTTE - dama, hrabina Maiden Hill, minister przemysłu, Gwiezdne Imperium Manticore

FITZGERALD ANSTEN - kapitan, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Hexapuma*

FLYNN SHEILA - komandor, Flota Mesy, szef sztabu komodora Karola Østby'ego

FONZARELLI VINCENZO - porucznik, Royal Manticoran Navy, pierwszy mechanik HMSS *Hephaestus*

FORAKER SHANNON - wiceadmirał, Marynarka Republiki, dowódca kompleksu *Bolthole*

FORD WALTER „Walt” - kanclerz Republiki Drugiej Szansy

FOREMAN CLEMENT - komandor, Flota Mesy, oficer operacyjny sztabu Grupy Uderzeniowej 1.1

FRANKEL BENJAMIN - steward, Royal Manticoran Navy, steward kapitana Anstena FitzGeralda

GIVENS PATRICIA - admirał, Royal Manticoran Navy, Drugi Lord Przestrzeni Royal Manticoran Navy, szefowa Wywiadu Floty

GOLD PEAK - admirał - patrz: Michelle Henke

GRANTVILLE - baron - patrz: Alexander William

GREGORY STAN - sekretarz rolnictwa w rządzie Republiki Haven

GRUNER ALOYSIUS - porucznik, Marynarka Ligi, dowódca jednostki kurierskiej 17702 przydzielonej admirałowi Josephowi Byngowi

GYULAY SHONA - premier Ligi Solarnej

HAARHUIS BEREND - kapitan, Marynarka Ligi, oficer astronawigacyjny w sztabie admirała floty Sandry Crandall

HAFGNER ABEDNEGO - szef sekretariatu Henriego Krietzmana

HALSTEAD RAYMOND - kapitan, Royal Manticoran Navy, podkomendny admirał Hemphill, jeden z twórców *Apolla*

HAMPTON ALICIA - sekretarka sekretarza stanu Leslie Montreau

HANRIOT RACHEL - sekretarz skarbu Republiki Haven

HARDY GEORGE - kapitan jachtu *Paul Tankersley*

HARKNESS HORACE - sir, bosman, Royal Manticoran Navy, oficer wojny radioelektronicznej w sztabie 1. Dywizjonu 96. Eskadry Ciężkich Krążowników

HARPER FRANCES „Frankie” - sierżant, Royal Manticoran Marine Corps, dowódca 1 plutonu kompanii Alfa kontyngentu pokładowego HMS *Rigel*

HARRINGTON - lady dama Honor Stephanie, księżna Harrington, patronka Harrington, admirał Royal Manticoran Navy, admirał floty Marynarki Graysona, dowódca *Protector's Own*, dowódca Ósmej Floty, dowódca HMS *Unconquered*

HAWKE SPENCER - kapitan Gwardii Harrington przydzielony do osobistej ochrony Honor Harrington

HEMPHILL SONJA - baronowa Low Delhi, „Upiorna Hemphill”, admirał, Royal Manticoran Navy, Czwarty Lord Przestrzeni

HENKE MICHELLE GLORIA SAMANTHA EVELYN - wiceadmirał, Royal Manticoran Navy, hrabina Gold Peak, kuzynka Elżbiety Winton, dowódca 10. Floty

HENNESSY COLEMAN - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, szef sztabu admirała Sonji Hemphill

HENNING VIVIENNE - komandor porucznik, Flota Mesy, oficer astronawigacyjny 1. Zespołu Uderzeniowego

HIGGINS ALLEN - admirał, Royal Manticoran Navy, dowódca Home Fleet

HITCHCOCK ROMAN - prezydent systemu Visigoth

HONGBO JUNYAN - wicekomisarz Biura Bezpieczeństwa Granicznego Ligi Solarnej, najstarszy rangą po Lorcanie Verrochiiu w sektorze Madras

HOWARD ALBERT - służący Innokentija Kołokolcowa

HUBNER LIESELOTTE „Liesel” - kapitan, Royal Manticoran Navy, szef sztabu Thomasa Caparellego

HURSKAINEN STANLEY - prezydent Republiki Mannerheim

IMBAR EFRON - reporter „Star Kingdom News”

INBARI MAZAL - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer astronawigacyjny w sztabie 94. Eskadry Krążowników

INGEBRIGTSEN LUCIANA - kapitan, Royal Manticoran Marine Corps, dowódca Kompanii Alfa, kontyngent pokładowy HMS *Rigel*

IWASAKI DUNSTAN - kapral, Royal Manticoran Marine Corps, dowódca drużyny 1 plutonu Kompanii Alfa, kontyngent pokładowy HMS *Rigel*

JACKSON MANITOBA - bosman, Royal Manticoran Navy, sternik HMS *Quay*

JACKSON SYLWESTER „Sly” - porucznik, Royal Manticoran Marine Corps, dowódca 2 plutonu Kompanii Alfa, kontyngent pokładowy HMS *Rigel*

JARUWALSKI ANDREA - kapitan, Royal Manticoran Navy, oficer operacyjny w sztabie Ósmej Floty

JEFFERSON GEORGE - kapitan, Royal Manticoran Navy, dowódca sekcji Delta, HMSS *Weyland*

JENNINGS WILLIS - admirał, Marynarka Ligi, szef sztabu admirała floty Winstona Kingsforda

JOHANSEN BARNABE - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer astronawigacyjny HMS *Quentin Saint-James*

JUPPÉ BALTAZAR - wpływowy ziemski dziennikarz, specjalista od finansów

JUSTICE SHARON - zastępczyni Victora Cachata w sektorze Erewhon

KAGIYAMA AIKAWA - chorąży, Royal Manticoran Navy, młodszy oficer HMS *Hexapuma*

KAKADELIS NIKOMEDES „Nicky” - kanclerz Demokratycznej Republiki Thrace

KARLBERG EMIL - komodor, Flota Nuncio, dowódca

KARPOVA OXANA - bosman, Royal Manticoran Navy, sternik HMS *Stevedore*

KEW BARNABAS - sir, stały podsekretarz stanu Ministerstwa Spraw Zagranicznych Gwiezdnego Imperium Manticore, specjalny wysłannik do Republiki Haven

KGARI THEOPHILE - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer astronawigacyjny w sztabie Ósmej Floty

KHUMALO AUGUSTUS - wiceadmirał, Royal Manticoran Navy, dowódca stacji

Talbott

KINGSFORD WINSTON SETH - admirał floty, Marynarka Ligi, dowódca Battle Fleet

KITTOW JOSHUA - kapitan, Royal Manticoran Navy, pierwszy oficer HMS *Quentin Saint-James*

KOŁOKOLCOW INNOKIENTIJ ARSENOWICZ - stały podsekretarz spraw zagranicznych w Lidze Solarnej

KOLOSOW PETER - porucznik, Royal Manticoran Navy, pierwszy oficer HMS *Quentin Saint-James*

KOLSTAD FELICIDAD - komandor, Flota Mesy, oficer operacyjny w sztabie 1. Zespołu Uderzeniowego

KRIETZMANN HENRI - minister wojny w rządzie Joachima Alquezara

KRÓL CLINTON III - patrz: Thompson Clinton

KSIAŻĘ FELIX II - dziedziczny władca systemu Siegfried

KUBRICK JOAN - Prezes Stowarzyszenia Maxwell

KUNIMICHI TAKETOMO - emerytowany admirał Marynarki Ligi, minister obrony Ligi Solarnej

KYPRIANOU RENZO - szef działu badawczego broni biologicznych Manpower Inc.

LABABIBI SANIHA - minister skarbu w rządzie Joachima Alquezara

LANDRY BRIDGET - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Dagger*

LaFOLLET ANDREW - pułkownik Gwardii Harrington, szef ochrony osobistej Raoula Harringtona

LaFOLLET MIRANDA GLORIA - młodsza siostra Andrew LaFolleta, adoptowana przez Farraguta, osobista służąca Honor Harrington

LANGTRY ANTHONY - sir, minister spraw zagranicznych Gwiezdnego Królestwa Manticore

LARSON RON - komandor, Royal Manticoran Navy, pierwszy oficer HMS *Artemis*

LASZLO ANDRAS - komodor, dowódca Floty Spindle

LAZLO DUNICHI - admirał, Marynarka Ligi, dowódca 196. Eskadry Liniowej, zastępca admirał floty Sandry Crandall

LECTER CYNTHIA - kapitan, Royal Manticoran Navy, szef sztabu 10. Floty

LePIC DENIS - prokurator generalny Republiki Haven

LEWIS GINGER - kapitan, Royal Manticoran Navy, sekcja Delta, HMSS *Weyland*



LEWIS STILWELL „Stilt” - komandor, Royal Manticoran Navy oficer operacyjny w sztabie 94. Eskadry Krążowników

LEWIS VICTOR - kontradmirał, Marynarka Republiki, dowódca wydziału operacyjnego

LINDSAY HECTOR - porucznik, Royal Manticoran Marine Corps, dowódca 1 plutonu Kompanii Alfa, kontyngent pokładowy HMS *Rigel*

LISTER ANTHONY - kapitan, Marynarka Ligi, dowódca SNS *Anton von Leeuwenhoek*, kapitan flagowy admirał Keeley O’Cleary

LOW DELHI - baronowa - patrz: admirał Sonja Hemphill

LUCAS REYNALDO „Ray” - markiz Reynaldo IV, Księstwo Denver

LYNCH HORACE - komandor, Royal Manticoran Navy, oficer taktyczny HMS *Quentin Saint-James*

MacARTNEY NATHAN - stały podsekretarz spraw wewnętrznych w Lidze Solarnej

MacDERMENT MOTOYUKI - kapitan, Royal Manticoran Marine Corps, dowódca Kompanii Bravo, kontyngent pokładowy HMS *Rigel*

MacGUINNESS JAMES - osobisty steward Honor Harrington

MacKECHIE ESME - major, Royal Manticoran Marine Corps, dowódca kontyngentu pokładowego HMS *Artemis*

MACKLIN TERESA - komandor, Marynarka Ligi, oficer taktyczny SNS *Anton von Leeuwenhoek*

MADDUKS BARUTI - kapitan jachtu Aldony Anisimownej *Bolide*

MANG SYWAN - minister handlu Ligi Solarnej

MANNING NATHALIE - kontradmirał, Royal Manticoran Navy, dowódca 2. Dywizjonu 108. Eskadry Krążowników Liniowych

MANSTON HEATHER - podporucznik, Royal Manticoran Navy, oficer astronawigacyjny jednostki kurierskiej HMS *Hare*

MARCOS MATHESON - kapitan, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Star Dance*

MARKIEWICZ EVGENY - Royal Manticoran Marine Corps, dowódca kontyngentu pokładowego HMS *Rigel* MARKUSSEN LEONTINA - minister edukacji i informacji Ligi Solarnej

MARQUETTE ARNAUD - admirał, Marynarka Republiki, szef sztabu generalnego Marynarki Republiki

MARKIZ REYNALDO IV - patrz: Reynaldo Lucas

MASŁOW ISAIAH - porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer radioelektroniczny  
HMS *Artemis*

MATSUKO ESTELLE - dama, baronowa Medusa, gubernator tymczasowy Gromady  
Talbot z ramienia Gwiezdnego Imperium Manticore

MAURIER FRANCINE - baronowa Morncreek, minister skarbu Gwiezdnego  
Imperium Manticore

MAYHEW BENJAMIN BERNARD JASON - Benjamin IX, Protektor Graysona

McCLELLAND MARTIN - komandor, Flota Mesy, oficer radioelektroniczny sztabu  
Fredericka Topoleva

McCLURE JEFFERSON - sierżant Gwardii Harrington przydzielony do ochrony  
osobistej Emily Alexander

McCORMICK CLINTON - porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer wachtowy  
systemu wczesnego ostrzegania Systemu Manticore

McGILL HEATHER - porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer taktyczny HMS  
*Reprise*

McGILLICUDDY ANASTASIA - komandor, Royal Manticoran Navy, wydział  
prototypów HMSS *Weyland*

McGRAW CLIFFORD - sierżant Gwardii Harrington, członek ochrony osobistej  
Honor Harrington

McGWIRE SAMSON - senator, Republika Haven, Nowa Partia Konserwatywna

McMAHON VINCE - kapitan, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Star Witch*,  
kapitan flagowy komodora Jamesa Tarnera

MEDUSA - baronowa - patrz: Matsuko Estelle, dama

MILNE HAYDEN - kapitan, Flota Mesy, dowódca jachtu Albrechta Detweilera  
*Genesis*

MONAHAN RACHEL - chorąży, Royal Manticoran Navy, HMS *Reprise*

MONTELLA ATALANTE - porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer łącznościowy  
w sztabie 94. Eskadry Krążowników Liniowych

MONTICELLI REBECCA „Becky” - prezydent Republiki Comstock

MONTOYA ALVIN - komodor, Royal Manticoran Navy, dowódca 1. Dywizjonu  
108. Eskadry Krążowników Liniowych

MONTREAU LESLIE - sekretarz stanu Republiki Haven, następczyni Arnolda  
Giancoli

MOOREHEAD SYBIL - szefowa sekretariatu premiera Alquezara

MOROZOV RAMON - porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer logistyczny w sztabie 94. Eskadry Krążowników

MULCAHEY CARISSA - baronowa Selleck, specjalny wysłannik do Republiki Haven

MYAU ZHIN - porucznik chirurg, Royal Manticoran Navy, lekarz okrętowy na HMS *Quentin Saint-James*

MYERSON WESLEY - bosmanmat, Royal Manticoran Navy, drugi sternik HMS *Quay*

NAGCHAUDHURI AMAL - komandor, Royal Manticoran Navy, pierwszy oficer HMS *Hexapuma*

NAVARRO ALDONZA - porucznik, Royal Manticoran Marine Corps, dowódca 3 plutonu Kompanii Alfa, kontyngent pokładowy HMS *Rigel*

NESBITT JEAN-CLAUDE - pułkownik, szef ochrony Departamentu Stanu Republiki Haven.

NESBITT TONY - sekretarz handlu Republiki Haven

NEUKIRCH GILDEROY - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer taktyczny HMS *Star Witch*

NEVILLE GERVAIS WINSTON ERWIN „Gwen” - porucznik, Royal Manticoran Navy, porucznik flagowy admirał Michelle Henke

NIMITZ - treecat, który adoptował Honor Harrington

NOORLANDER HARBRECHT - minister skarbu Ligi Solarnej

O’CLEARY KEELEY - admirał, Marynarka Ligi, dowódca 326. Eskadry Liniowej

O’SHAUGHNESSY GREGOR - szef wywiadu damy Estelle Matsuko

ODEGAARD MATEUSZ - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer wywiadu w sztabie 94. Eskadry Krążowników Liniowych

O’HANRAHAN AUDREY - wpływowa dziennikarka solarna

OMELCHENKO MILENA - komodor, Flota Mesy, dowódca Grupy Uderzeniowej 1.4

OMPRAKASH KALIDASA - kapitan, Marynarka Ligi, oficer łącznościowy w sztabie admirał Keeley O’Cleary

ONASSIS SHULAMIT - komodor, Royal Manticoran Navy, dowódca 2. Dywizjonu 106. Eskadry Krążowników Liniowych

O’NEILL MANFRED - kamerzysta Jacqueline Rivery

OSTBY KAROL - komodor, Flota Mesy, dowódca Grupy Uderzeniowej 1.1

O'SULLIVAN MICHAEL - komandor, Royal Manticoran Navy, pierwszy oficer HMS *Rigel*

OTTWEILER VALERY - dyplomata, przedstawiciel planety Mesa w systemie Meyers

OVERSTEEGEN MICHAEL - kontradmirał, Royal Manticoran Navy, dowódca 108. Eskadry Krążowników Liniowych

PABST VALENCIA - porucznik, Marynarka Ligi, oficer na SNS *Anton von Leeuwenhoek*

PALMAROCCI CLIFTON - sierżant major, Royal Manticoran Marine Corps, sierżant szef Kompanii Alfa, kontyngent pokładowy HMS *Rigel*

PAPNIKITAS LYDIA kontradmirał, Flota Mesy, dowódca Grupy Uderzeniowej 1.2

PEPLIŃSKI MICKEY - porucznik, Royal Manticoran Navy, dowódca jednostki kurierskiej HMS *Hare*

PERSHING JOHN - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Raven*

PETERSEN LINDA - porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer astronawigacyjny HMS *Javelin*

POLANSKI ANTON - prezydent systemu Line

POLYDOROU MARTINOS - admirał, Marynarka Ligi, szef Biura Rozwoju

POPE TOM - komandor, Royal Manticoran Navy, szef sztabu 94. Eskadry Krążowników

POWELL MARKUS - kapitan, Royal Manticoran Navy, szef sztabu wiceadmirała Claudia Faradaya, HMSS *Weyland*

PRITCHART ELOISE - prezydent Republiki Haven

QUARTERMAIN OMOSUPE - stała podsekretarz handlu w Lidze Solarnej

RAJAMPET KAUSHAL RAJANI - admirał floty, Marynarka Ligi, głównodowodzący Marynarki Ligi

REDONDO CONSUELA - reporter „Sphinx News Association”

RETALLACK STEREN - komandor, Royal Manticoran Navy, oficer operacyjny w sztabie 108. Eskadry Krążowników Liniowych

REYNOLDS GEORGE - komandor, Royal Manticoran Navy, oficer wywiadu w sztabie Ósmej Floty

RICHARDSON OSAMA - porucznik, Royal Manticoran Navy, pierwszy mechanik HMS *Reprise*

RIVERA JACQUELINE - dziennikarka „Solarian News Services”

RODRIGUEZ SINEAD - porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer łącznościowy  
HMS *Rigel*

ROELAS y VALIENTE MARCELITO LORENZO - minister spraw zagranicznych  
Ligi Solarnej

RONAYNE BRANGWEN - prokurator generalny Ligi Solarnej

ROQUEFORT BENESEK - kontradmirał, Royal Manticoran Navy, dowódca stacji  
HMSS *Vulcan*

ROUSSEAU ANGELINA - asystentka prezydent Eloise Pritchard

SACKETT LEMUEL - komodor floty systemowej Montany, dowódca

SAMANTHA - treecat, który adoptował Hamisha Alexandra, partnerka Nimitza

SAMBROTH NICOLETTE - komandor, Marynarka Ligi, oficer taktyczny SNS

*Joseph Buckley*

SANDERSON WALTER - sekretarz spraw wewnętrznych Republiki Haven

SAUNDERS VICTORIA - kapitan, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS  
*Hercules*, kapitan flagowy wiceadmirała Khumala

SCHREIBER UTAKO - komandor porucznik, Flota Mesy, oficer operacyjny  
komodora Rodericka Sunga

SEIDEL LANDBERT - porucznik, Royal Manticoran Navy, pierwszy mechanik HMS  
*Stevedore*

SHAVARSHYAN HUAGO - komandor, Marynarka Ligi, oficer wywiadu Floty  
Granicznej przydzielony do sztabu admirał floty Sandry Crandall

SHAW TERENCE - kapitan, Royal Manticoran Navy, szef sztabu admirała Luciena  
Corteza

SHOUBE LORETTA - kapitan, Royal Manticoran Navy, szef sztabu wiceadmirała  
Khumala

SIMÕES HERLANDER - doktor, były pracownik Centrum Gamma, uciekinier z  
Mesy, towarzyszący Zilwickiemu i Cachatowi naukowiec

SLOAN TAMARA - bosmanmat, Royal Manticoran Navy, HMS *Reprise*

STABOLIS ERICKA - mutantka, osobista ochrona Evelyn Detweiler

STABOLIS HEINRICH - mutant, osobisty ochroniarz Albrechta Detweilera

STAUNTON SANDRA - sekretarz bionauk w rządzie Republiki Haven

STIMSON TOBIAS - kapitan Gwardii Harrington przydzielony do ochrony osobistej  
Hamisha Alexandra

STONE VINCENT - dyrektor Dyrektoriatu New Orkney

STRICKLAND SHARON - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Stevedore*

SUGIH ARA BRIAN - kapitan, Royal Manticoran Navy, szef sztabu kontradmirała Warrena Trammella

SUGIMATSU ANDREW - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Quay*

SULLIVAN AMBROSE - kapitan, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Rigel*, kapitan flagowy admirała Michaela Oversteegena

SUNG RODERICK - komodor, Flota Mesy, dowódca Grupy Uderzeniowej 2.2

TALIADOROS KYRILLOS - mutant, ochroniarz Aldony Anisimownej

TANNER JAMES - komodor, Royal Manticoran Navy, dowódca 1. Dywizjonu 114. Eskadry Krążowników

TARANTINO ROBERT „Bob” - kanclerz Republiki New Bombay

TEAGUE IRENE - kapitan, Marynarka Ligi, analityk Biura Analiz Operacyjnych

TELMACHI ROBERT - arcybiskup Manticore

TENNARD JEREMIAH - sierżant Gwardii Harrington przydzielony do ochrony osobistej Faith Harrington

TEREKHOV AIVARS ALEKSOWICZ - sir, komodor, Royal Manticoran Navy, dowódca 94. Eskadry Krążowników

TEREKHOV SINEAD PATRICIA O’DALEY - żona komodora Terekhova

TERSTEEG MAXWELL - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer radioelektroniczny w sztabie 10. Floty

THEISMAN THOMAS - admirał, sekretarz wojny w rządzie Republiki Haven

THIESSEN SHEILA - szefowa ochrony osobistej prezydent Eloise Pritchard

THIMAR KARL-HEINZ - admirał, Marynarka Ligi, Biuro Wywiadu Floty

THOMAS IRENA - porucznik Royal Manticoran Navy, oficer łącznościowy w sztabie 108. Eskadry Krążowników Liniowych

THOMPSON CLINTON - Król Clinton III, władca Królestwa New Madagascar

THURGOOD FRANCIS - komodor, Marynarka Ligi, dowódca Floty Granicznej w sektorze Madras

TIMMONS RANDALL - bosmanmat, Royal Manticoran Navy, adiutant kontradmirała Tiny Yeager

TOBOLOWSKI BASIL - porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer

astronawigacyjny w sztabie 108. Eskadry Krążowników Liniowych

TOPOLEV FREDERICK - admirał, Flota Mesy, dowódca 1. Zespołu Uderzeniowego

TÖRÖK IONA - komandor porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer łącznościowy

HMS *Quentin Saint-James*

TRAJAN WILHELM - dyrektor Federalnej Agencji Wywiadowczej Republiki Haven

TRAMMELL WARREN - kontradmirał, Royal Manticoran Navy, szef działu prototypów HMSS *Weyland*

TREACHER JACKSON - komandor-porucznik, Royal Manticoran Navy, oficer łącznościowy 10. Floty

TREMAINE PRESCOTT DAVID „Scotty” - kapitan Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Alistair McKeon*, dowódca 1. Dywizjonu 96. Eskadry Ciężkich Krążowników

TRENIS LINDA - wiceadmirał, Marynarka Republiki, szefowa Biura Planowania Floty

TRUMAN MARGARET - kontradmirał, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Hephaestus*

TSAU TRAVIS - komodor, Flota Mesy, szef sztabu komodora Rodericka Sunga

TUCKER GEORGE - komandor, Marynarka Republiki, szef sztabu obrony systemu Hera

TULLINGHAM JEFFREY - sędzia Sądu Najwyższego Republiki Haven

TUMMEL WALDEMAR - porucznik, Royal Manticoran Navy, porucznik flagowy admirał Honor Harrington

TUOMINEN VOITTO - stały sekretarz MSZ Gwiezdnego Imperium Manticore, specjalny wysłannik do Republiki Haven

USHER KEVIN - dyrektor Federalnej Agencji Śledczej Republiki Haven

VAN DORT BERNARDUS - twórca i były prezes Rembrandt Trade Union, minister bez teki w rządzie Joachima Alquezara

VAN HEUTZ JACOMINA - kapitan, Marynarka Ligi, dowódca SNS *Joseph Buckley*, kapitan flagowy admirał Sandry Crandall

VAN SCHELDT PAUL - sekretarz zajmujący się rozkładem zajęć Joachima Alquezara

VERROCHIO LORCAN - komisarz Biura Bezpieczeństwa Granicznego Ligi Solarnej administrujący sektorem Madras graniczącym z Gromadą Talbott

VERSTAPPEN TRUIDA - porucznik, Royal Manticoran Navy, pierwszy oficer HMS *Quay*

WALSH JOSHUA - kapitan, Flota Mesy, dowódca MNS *Mako*, kapitan flagowy admirała Fredericka Topoleva

WANDERMAN AUBREY-bosman, Royal Manticoran Navy, sekcja prototypów HMSS *Weyland*

WANG ASTRID - osobista asystentka Innokientija Kołokolcowa

WEAVER SAMUEL - porucznik, Royal Manticoran Navy, porucznik flagowy kontradmirał Tiny Yeager

WHITE HAVEN earl - patrz: Alexander Hamish

WIJENBERG BRUCE - minister handlu Gwiezdnego Imperium Manticore

WINTON ELIZABETH ADRIENNE SAMANTHA ANNETTE - Królowa Elżbieta III, monarcha panujący w Gwiezdnym Królestwie Manticore, adoptowana przez Ariela

WODOSŁAWSKA AGATA - stały podsekretarz skarbu Ligi Solarnej

YANAKOV JUDAH - Wielki Admirał Marynarki Gauysona

YEAGER TINA - kontradmirał, Royal Manticoran Navy, szefowa działu naukowo-badawczego HMSS *Weyland*

YOUNGER GERALD - reprezentant Nowych Konserwatystów, Republika Haven

ZACHARIACH JOSEPH - komandor, Royal Manticoran Navy, dowódca HMS *Javelin*

ZHING-WEI OU-YANG - wiceadmirał, Marynarka Ligi, oficer operacyjny admirał floty Sandry Crandall

ZILWICKI ANTON - kapitan (emerytowany), Royal Manticoran Navy, były oficer wywiadu floty Royal Manticoran Navy, przybrany ojciec Królowej Berry, szef wywiadu planety Torch, partner Catherine Montaigne

ZILWICKA HELEN - chorąży, Royal Manticoran Navy, porucznik flagowy komodora sir Aivara Terekhova